

Przed nim zmarli niczego nie ukryją...

MICHAEL TSOKOS

Naładowany akcją, oparty na faktach
thriller światowej sławy eksperta
medycyny sądowej, autora **SMAKU ŚMIERCI**



IDENTYFIKACJA

Przed nim zmarli niczego nie ukryją...

MICHAEL TSOKOS

Naładowany akcją oparty na faktach
thriller światowej sławy eksperta
medycyny sądowej, autora **SMAKU ŚMIERCI**



IDENTYFIKACJA


AMBER

MICHAEL TSOKOS

współpraca
ANDREAS GÖBLING

IDENTYFIKACJA

Przekład
VIKTOR GROTEWICZ
BARBARA TARNAS



Redaktor serii
Małgorzata Cebo-Foniok

Redakcja stylistyczna
Ryszard Turczyn

Konsultacja medyczna
dr hab. med. Wojciech J. Łebkowski

Korekta
Anna Raczyńska
Agnieszka Pyśk

Projekt graficzny okładki
Małgorzata Cebo-Foniok

Zdjęcie na okładce
© aradaphotography/Fotolia

Zdjęcie autora
© Andreas Franke

Tytuł oryginału
Zersetzt

Copyright © 2016 by Verlagsgruppe Droemer Knauer GmbH & Co.
KG, Munich, Germany

The book has been negotiated through AVA international GmbH,
Germany (www.ava-international.de).

All rights reserved.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej publikacji nie może być
reprodukowana ani przekazywana w jakiegokolwiek formie zapisu
bez zgody właściciela praw autorskich.

For the Polish edition
Copyright © 2017 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-6322-9

Warszawa 2017. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.
02-954 Warszawa, ul. Królowej Marysienki 58

www.wydawnictwoamber.pl

Konwersja do wydania elektronicznego
P.U. OPCJA

Akcja Identyfikacji rozgrywa się dziesięć miesięcy przed wydarzeniami opisanymi w Smaku śmierci.

Prolog

Ta mała dziwka w ogóle nie kapowała, zupełnie. W każdym razie robiła wrażenie, jakby nic do niej nie docierało. A przecież objaśnił jej to bardzo dokładnie, nie raz i nie dwa. Ale ona gapiła się tylko na niego baranim wzrokiem, a z jej fiołkowych oczu kapało jak z zepsutych kranów.

– Mam panu nogi na szyję...? – Znowu zaczęła beczeć. – Ja nie mogę... nie chcę... nie rozumiem tego... Dlaczego mnie pan po prostu nie wypuści?

Musiał zrobić głęboki wdech.

– Jesteśmy na ty – przypomniał jej. – Już zapomniałaś? – Uszczypnął ją w brodawkę lewej piersi. – Jana. Tak masz przecież na imię, prawda?

Przytaknęła i dalej beczała.

– Zapamiętaj, że mam na imię Barry.

Nie była to specjalnie genialna ksywka, bo w prawdziwym życiu miał na imię Harry. Ale przecież nie o to chodziło. Harry to było jego jasne ja, Barry to mroczne. Jak doktor Jekyll i Mr. Hyde. Uwielbiał to porównanie.

Leżała na przedpotopowym łóżku z wyrobionym materacem, on przykucnął obok niej. Oboje byli nadzy. Włączył ogrzewanie elektryczne, było przytulnie ciepło. Nie miała więc powodu do narzekania, chociaż jeszcze nie tak dawno myślała, że jest w drodze do swojego kiczowatego singielskiego mieszkania na obrzeżach miasta, gdzie nikt na nią nie czekał z wyjątkiem kolekcji pluszowych misiów.

Jana o brązowych, kędzierzawych włosach. Wysportowana sylwetka, ale z uroczyimi krągłościami. Strasznie mu jej było żal, kiedy obserwował ją przez ostatnie dni. Taka młoda, taka ładna i taka samotna. To, że zabrał ją z przystanku autobusowego położonego na terenach przemysłowych i przywiózł tutaj, było właściwie wyrazem miłości bliźniego. Tutaj, to znaczy do jego podziemnego zabawowego hostelu.

Wyposażenie było skąpe, ale praktyczne. Stół z pękniętym plastikowym blatem, dwa skrzypiące drewniane krzesła, wszystko przynajmniej sprzed trzydziestu lat. W jednym kącie plastikowy prysznic, obok toaleta chemiczna. W drugim – pokryty pleśnią zlew w kombinacji z ultranowoczesną mikrofalówką i zepsutą, już od nie wiadomo kiedy, lodówką. Pod sufitem paliła się żarówka, a co pięć minut, z cichym szumem, włączał się nawiew. Na stole piętrzyły się opakowania gotowych potraw w rodzaju Oryginalna Thai Curry czy Danie Jednogarnkowe Według Przepisu Babuni, czego chcieć więcej?

To prawda, że obok stalowych drzwi stało jeszcze dziesięć zgrzewek wody mineralnej w plastikowych butelkach. A walizka lekarska, którą Barry umieścił w zasięgu ręki, po swojej stronie łóżka, zawierała wszystko, tylko nie to, czego człowiek mógłby potrzebować w trakcie takiego wypadu pod ziemię. Na przykład sześć ampułek laxophorinu, opiatu importowanego bezpośrednio z Moskwy, buteleczkę liquid ecstasy własnej produkcji, kilka opakowań viagry, prawie sto gramów rosyjskiej kokainy najwyższej jakości, całe mnóstwo strzykawk jednorazowych i igieł, a do tego rzecz jasna oficjalny arsenał lekarza pogotowia. Ostatecznie był przecież lekarzem z własnym gabinetem w Wandlitzsee pod Berlinem.

– Podoba ci się tu, mała?

Żadnej reakcji. Jej monotony płacz się nie liczył. Chciał usłyszeć od niej, że jej się podoba. Ale wiedział, że wcześniej czy później będzie go zapewniała ze łzami w oczach, jak cudowne jest to miejsce.

A także on, Barry, jej lover.

Hej, twoją najnowszą zdobyczą jest najprawdziwszy doktor! Nieźle, jak na byłą studentkę pedagogiki, która przerwała naukę, a teraz haruje w dyskoncie na pierwszą zmianę. A do tego z miejsca związek na całe życie, ty dziwko, pomyślał Barry. Przynajmniej jeśli chodzi o twoje życie.

Na razie nie wykazywała jeszcze odpowiedniego entuzjazmu, ale to przyjdzie z czasem. On z pewnością nie będzie tu przeszkodą. Absolutnie nie można było mu zarzucić, że jest nudziarzem.

– Już samo łóżko jest zabytkiem muzealnym – zachwalał swój bunkier. – Gdzie indziej trzeba płacić za wstęp, żeby coś takiego tylko zobaczyć. – Do głosu dołączył radosną nutkę, tak jak robią to prowadzący audycje w radiu. – A gdybyś w muzeum próbowała przemyścić się do niebiańskiego łóża księżniczki, to natychmiast nadbiegliby strażnicy i diabli wiedzą, co by z tobą zrobili.

Jej płacz stawał się coraz bardziej histeryczny, ale Barry'ego nie zbijało to z tropu.

– Poza tym powietrze tutaj jest o wiele lepsze. – Wyjaśnił jej przy tej okazji, że własnymi rękami zainstalował elektronicznie sterowany system wentylacyjny, ponieważ nie ma tutaj rzecz jasna żadnych okien. – Pomyśl tylko, jesteśmy prawie trzy metry pod ziemią.

Spojrzał na nią badawczo, a ona chlipnęła, wciągając z powrotem głuta i przytaknęła niepewnie.

Żeby końcówki rur wentylacji na powierzchni ziemi nie były widoczne, zakamuflował je bardzo gęstymi krzakami. Ale o tym nie wspomniał, ponieważ uznał, że zabrzmiałoby to defensywnie. Jakby niepokoiło go to, że ktoś mógłby odkryć jego podziemny bunkier. Co oczywiście nie było dalekie od prawdy, ale to przecież nie powód, żeby to ciągle wałkować.

Nieprzyjemne myśli się wypiera, a wszystko inne to mentalna masturbacja. Tak w każdym razie widział to Barry.

1

Berlin, Treptowers.
Jednostka Federalnego Urzędu Kryminalnego „Przypadki nadzwyczajne”.
Pokój konferencyjny.
Wtorek 5 września godz. 7.30.

Profesor Paul Herzfeld, wyraźnie w dobrym humorze, otworzył punktualnie o wpół do ósmej poranną naradę. Przed nim leżał stos skoroszytów, na których królował jego smartfon, nowiuteńki blackberry o imponujących rozmiarach. Herzfeld, wbrew swoim dotychczasowym zwyczajom, stał za krzesłem na końcu stołu konferencyjnego, jakby chciał od razu wygłosić mowę albo pośpieszyć na inne spotkanie.

Raczej to drugie, pomyślał doktor Fred Abel.

Przemawiało za tym również i to, że szef jednostki „Przypadki nadzwyczajne” Federalnego Urzędu Kryminalnego pojawił się w granatowym garniturze z kamizelką i krawatem. Biały fartuch lekarski narzucił tylko prawdopodobnie ze względów formalnych, nie zapinając go nawet. Abel, jako jego wice, był przyzwyczajony do zastępowania swojego szefa, zarówno podczas tego typu spotkań, jak i na sali sekcyjnej. Herzfeld był znanym na całym świecie lekarzem medycyny sądowej i stąd też często wyjeżdżał na konferencje czy też na zadania specjalne na wszystkich kontynentach.

– Czekają na nas nowe, ciekawe przypadki, panie i panowie – powiedział Herzfeld. Jego oczy błyszczały, niski, dźwięczny głos wypełniał umeblowane szarymi meblami pomieszczenie. Ze swoim wzrostem ponad metr dziewięćdziesiąt oraz fizjonomią znanego aktora hollywoodzkiego był imponującą postacią. Nawet japoński lekarz, doktor Takahito Hayashi, przebywający u nich jako gość, chłonał każde jego słowo, mimo że prawie nie znał niemieckiego.

– Podejrzenie o stosowanie tortury podtapiania w dzielnicy rządowej – kontynuował Herzfeld. – O całej sytuacji poinformuje państwa zaraz doktor Horstmar z Wydziału Medycyny Sądowej w klinice Charité. – Skinął głową w kierunku młodzieńczo wyglądającego mężczyzny w wieku około trzydziestu pięciu lat, który siedział w tylnej części stołu i przeglądał blad różowy skoroszyt. Abel wyczuwał wręcz napięcie emanujące od kolegi z Charité.

Zgromadzili się w pozbawionym okien pomieszczeniu konferencyjnym w Treptowers nad brzegiem Szprewy, w którym odbywały się zawsze poranne narady ze wszystkimi pracownikami ich wydziału. Ten kompleks biurowy zawdzięczał swoją nazwę wysokiej na sto dwadzieścia pięć metrów, wyłożonej szkłem wieży, która dominowała nad resztą praktycznych i pozbawionych raczej polotu budynków tego zespołu usytuowanego w południowej części stolicy Niemiec. Jednak wspaniałym widokiem, jaki roztaczał się z tarasu na dachu, Abel i jego koledzy nie mieli okazji się rozkoszować: ich jednostka specjalna medycyny sądowej miała siedzibę na drugim podziemnym poziomie.

Mimo że w pokoju narad było raczej chłodno, to na jasnoniebieskiej koszuli Horstmara było widać plamy potu wielkości krążków CD. *Kolega jest na pełnej adrenalinie*, przeleciało przez głowę Ablowi. Wydawało się, że Horstmar czuje na sobie jego spojrzenie. Podniósł wzrok znad akt i spojrzał

przenikliwie na Abła.

Gorączka łowcy. Obudził się jego kryminalistyczny instykt, pomyślał Abel i skinął mu głową z namiastką uśmiechu. Odczuwał mimowolną sympatię do tego młodszego o dziesięć lat mężczyzny. Tylko niewielu lekarzy medycyny sądowej czuło powołanie, żeby jako „komisarz z piłą do kości” brać aktywny udział w dochodzeniu, a wśród tych specjalistów nieliczne etaty w jednostce „Przypadki nadzwyczajne” Federalnego Urzędu Kryminalnego, cieszyły się ogromnym wzięciem. Abel propozycję pracy od Herzfelda przyjął cztery lata temu i szybko awansował na jego zastępcę, kiedy poprzedni wice odszedł z powodu wieku. Od pierwszego dnia w jednostce Herzfelda Abel był przekonany, że właśnie znalazł pracę swoich marzeń.

– Ponadto jest jeszcze jeden domniemany seryjny morderca. – Herzfeld przerwał na chwilę i przesunął wzrokiem po pierwszej stronie swojego skoroszytu, który wyjął ze stosu. – Uważna młoda koleżanka z Brandenburskiego Instytutu Krajowego – ciągnął – dokonała w krematorium, przed spaleniem zgodnie z wymogami przepisów, oględzin zwłok mężczyzny, który rzekomo zmarł na zaburzenia czynności wątroby, i dokonała przy tym dziwnego odkrycia. Według aktu zgonu ten pięćdziesięciosześcioletni agent obrotu nieruchomościami miał w wątrobie przerzuty raka jelita grubego, w stadium nieuleczalnym. Podejrzenie koleżanki wzbudził fakt, że podczas zewnętrznych oględzin zwłok nie stwierdziła żółtawego zabarwienia skóry czy też spojówek zmarłego, jak należało tego oczekiwać w przypadku przerzutów i wynikającej z nich żółtaczkę. Wręcz przeciwnie: jego skóra i spojówki były „białe jak lilie”, by użyć sformułowania tej koleżanki.

Krótko spojrzął w kierunku doktora Muraua, który ułożył usta w dzióbek i kiwnął głową z uznaniem. Murau był znakomitym lekarzem medycyny sądowej, ale równie imponująca była jego znajomość mrocznej poezji. Podobno ten trzydziestopięcioletek, z niewielkim wystającym brzuszkiem, znał na pamięć wszystkie wiersze Baudelaire’a i Gottfrieda Benn’a. Ponieważ ich jednostka specjalizowała się w wyjaśnianiu szczególnie okrutnych czy niezwykłych przypadków, to właściwie każdego dnia na ich stołach sekcyjnych lądowały przedziwnie poranione szczątki ludzkich ciał. Murau, jako typowy wiedeńczyk, miał zawsze w pogotowiu kilka makabrycznych wersów i wyrafinowanych złośliwości własnego autorstwa, które trafnie komentowały leżące przed nimi przykłady zawiłości ludzkich losów.

– Wiedziałem, że spodoba się panu to określenie – skomentował jego reakcję Herzfeld i zagrzmiał swoim przypominającym fanfary śmiechem.

Był w wyjątkowo dobrym nastroju. Abel usiłował wyobrazić sobie to, bez wątpienia, spektakularne zadanie specjalne, które wprawiło Herzfelda w tak znakomity humor. Już kilka dni temu wezwano go do Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Jak przypadkowo dowiedział się Abel, w tym naprędce zwołanym spotkaniu uczestniczył, oprócz ministra spraw zagranicznych i prokuratora generalnego, także minister spraw wewnętrznych i obrony.

– Niestety, nasza koleżanka z Brandenburgii nie może osobiście wyjaśnić dokonanego przez siebie odkrycia, ponieważ wypadły jej inne zajęcia – ciągnął Herzfeld – czego należy żałować, nie tylko z powodów zawodowych.

Przesunął wzrokiem po zebranych, jakby miał nadzieję, odkryć wśród nich ową młodą patolożkę. Herzfeld, podobnie jak jego odpowiednik z wyglądu w Hollywood, uchodził za kobieciarza i wdawał się niekiedy w dyskretne flirty. Jednakże od lat był w stałym związku i tak jak Abel zwracał ogromną uwagę na to, żeby nie łączyć relacji zawodowych z miłosnymi. Wynikająca z takiej hormonalnej mieszanki mikstura była z reguły wybuchowa i z ogromną trudnością dawała się ponownie rozdzielić na pierwotne składniki.

– Nasza koleżanka odkryła także świeże nakłucie w lewym dole podkolanowym zmarłego – referował dalej Herzfeld.

Abel od razu poczuł ukłucie, jednakże nie w okolicy podkolanowej. Słowa Herzfelda ożywiły coś w jego pamięci.

– Nakłucie to było na obrzeżach podbiegnięte krwią w kolorze ciemnoczerwonym, a więc musiało zostać zrobione tuż przed zgonem mężczyzny – dodał Herzfeld. – Przed około sześcioma miesiącami był podobny przypadek, dlatego Urząd Kryminalny przejął tę sprawę i zarządził dokonanie obdukcji. Pierwszy zmarły to przedsiębiorca przemysłowy Rainer Bunting. Podczas badań toksykologicznych we krwi ofiary znaleziono opioid pochodzenia rosyjskiego. W obu przypadkach akt zgonu został wystawiony przez internistę doktora Haralda Lenskiego. Prowadzi on gabinet w Wandlitzsee w północnym Berlinie. Według naszej bazy danych nie był dotychczas podejrzany ani w sprawach karnych, ani związanych z działalnością zawodową.

Abel miał problemy ze skupieniem się na donośnym potoku słów Herzfelda. Nazwisko Lenskiego nic mu nie mówiło, ale był pewny, że zajmował się już kiedyś sprawcą, który wstrzyknął swojej ofierze śmiertelną truciznę pod kolano. Jednak kto to był i kiedy, za nic nie mógł sobie przypomnieć.

– Zgadzasz się, Fred?

Herzfeld położył dłoń na ramieniu siedzącego obok niego Abła. Wszyscy spojrzeli na niego pełni oczekiwania.

– Sorry, zamyśliłem się – wymamrotał Abel. – Coś przeoczyłem?

– Nic ważnego – zapewnił go Herzfeld. – Właśnie przekazałem ci kierownictwo jednostki, ponieważ bezpośrednio po naszej naradzie muszę wziąć udział w następnym spotkaniu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Poza tym zaproponowałem jeszcze, żebyś osobiście dokonał sekcji domniemanej ofiary tortury podtapiania. Ta sprawa może być politycznie bardzo niewygodna.

Abel skinął głową.

– Nic się nie martw, przypilnuję tego – powiedział specjalnie nieco ogólnikowo. Po cichu postanowił jednak, że dokona obdukcji zwłok z tym tajemniczym nakłuciem w okolicy podkolanowej. Ale o tym powiadomi swojego szefa dopiero w rozmowie w cztery oczy, gdy tylko na własny użytek uporządkuje sobie powody podjęcia takiej właśnie decyzji.

Natomiast ofiarą tortury podtapiania mógł zająć się zasłużony lekarz naczelny, doktor Martin Scherz, który jak zwykle siedział ze skwaszoną miną między Ablem i lekarzem asystentem doktor Sabine Yao, drobną Niemką chińskiego pochodzenia o twarzy porcelanowej lalki. Jednak Abel musiał w takim przypadku bardzo uważać, żeby ten gruboskórny lekarz nie wpisał do protokołu sekcyjnego zbyt pochopnych wniosków. Scherz był wprawdzie jednym z najlepszych i najbardziej doświadczonych lekarzy medycyny sądowej, z jakim Abel pracował dotychczas, ale wyglądało na to, że ten pozbawiony empatii odludek posiada znajomość natury ludzkiej jedynie w stosunku do zmarłych. Jeżeli natomiast chodziło o żywych ludzi, ich motywy i sposoby działania, to skłaniał się do koszmarnie błędnych ocen. A tortury podtapiania należały z pewnością do tematów bardzo drażliwych.

– Wpadnij tak około dwunastej do mojego biura, Fred – dodał Herzfeld. – Chodzi o krótką podróż na dziki wschód naszego kontynentu, która jest wręcz wymarzona dla ciebie.

Abel znów skinął głową.

– Do dwunastej powinniśmy zakończyć obdukcje.

Abel wychwycił zawistne spojrzenie Horstmara. Jednak w myślach nadal poszukiwał tej tajemniczej sprawy z przeszłości, w której główną rolę odgrywało ukryte pod kolanem nakłucie.

– W takim razie oddaję głos doktorowi Horstmarowi – Herzfeld zwrócił się z jowialnym uśmiechem do patologa z Charité. – Proszę nam wyjaśnić, co skłoniło pana do sformułowania hipotezy mówiącej, że w jednym z budynków Bundestagu mogło dojść do zastosowania tortury podtapiania ze śmiertelnym skutkiem.

2

Berlin, Treptowers.
Jednostka Federalnego Urzędu Kryminalnego „Przypadki nadzwyczajne”.
Pokój konferencyjny.
Wtorek 5 września godz. 8.05

To jest Moah Aslewi – powiedział Horstmar – kurdyjski Turek, który pracował jako sprzątacze w parlamencie Berlina.

Zaczął nerwowo naciskać przyciski na pilocie wielkości karty kredytowej. Plamy potu pod jego pachami znacznie się powiększyły. Ale proporcjonalnie do tego wydawała się wzrastać suchość w jego ustach. Ze zdenerwowania jego głos pobrzmiwał wręcz metalicznie.

W końcu rzutnik komputerowy, po kilku nieudanych próbach, poddał się jego woli i na ekranie pojawił się portret krępego mieszkańca Orientu. Aslewi miał na szyi przewiazaną chustę palestyńską, a na twarzy uśmiech, który w pewnym sensie był zaprzeczeniem jego gniewnie błyszczących oczu.

Ambicja Horstmara jest większa niż myślałem, powiedział do siebie Abel. Wyglądało na to, że kolega z Charité opracował całość akt tego przypadku w formie prezentacji w PowerPoint. *Godne podziwu.*

Chłodzący wiatrak umocowanego pod sufitem rzutnika wydawał jednak denerwujący odgłos kołatania, tak że z trudem można było zrozumieć, co mówi Horstmar.

– A tak wyglądał Aslewi, kiedy znaleźli go funkcjonariusze dyżurnej jednostki policji kryminalnej. W pomieszczeniu piwnicznym Paul-Löbe-Haus, budynku parlamentu w dzielnicy rządowej. – Horstmar znów nacisnął na pilota. – Byłem na miejscu znalezienia zwłok razem z technikami kryminalistycznymi. To są zdjęcia zmarłego tak, jak zastali go funkcjonariusze.

Na ekranie pojawiło się jaskrawo oświetlone pomieszczenie piwniczne: otynkowane betonowe ściany, na jasnej cementowej podłodze Aslewi w pozycji na plecach i z nagim torsem i w niebieskich spodniach roboczych. Nie żył już od dłuższego czasu, jak można było łatwo rozpoznać po silnie wykształconych plamach opadowych. Obok niego leżał złożony stół do tapetowania, poza tym piwnica była pusta. Usta Aslewiego były szeroko rozwarte, jakby do ostatniej chwili próbował złapać powietrze.

Horstmar pokazał w szybkim tempie kolejne fotografie ramion, nóg i górnej części ciała Aslewiego, w dalekich jak i bliskich planach. Czerwonawobrazowe obtarcia wokół nadgarstków i stawów skokowych były już pokryte strupami. Dobrze widoczne były również półkoliste czerwonawe i ciemnofioletowe wybroczyny podskórne na bocznych powierzchniach jego torsu. Prawdopodobnie został skrępowany w pozycji siedzącej lub leżącej, więzami biegnącymi wokół górnej części ciała i dodatkowymi na rękach i stopach.

Zdjęcia jego twarzy ukazywały przeciętnego mężczyznę około czterdziestu pięciu lat z gęstymi, czarnymi włosami, wyrazistymi brwiami i bujnymi wąsami. Tym większą uwagę zwracały okrągłe, czerwonawofioletowe przebarwienia skóry w obszarze żuchwy, które z pewnością powstały w wyniku przytrzymywania rękami. Prawdopodobnie usta Aslewiego były otwierane przemocą. Takie ślady Abel

znał z przypadków szczególnie brutalnego maltretowania dzieci, kiedy oprawcy zmuszali swoje ofiary do jedzenia zepsutego lub zbyt ostrego pożywienia albo picia takich płynów.

Abel spojrział szybko po zebranych. Wyglądało na to, że zgromadzeni koledzy byli tak samo zafascynowani wywodami Horstmara, jak on sam.

Po kolejnym kliknięciu w pilota na ekranie pojawiły się nagie zwłoki Aslewiego leżące na stole w sali sekcyjnej. Horstmar obliznął spierzchnięte wargi i wyskrzeczwał:

– Denat miał czterdzieści dwa lata, a więc był stosunkowo młody. Nie ma informacji o przebytych chorobach, poza tym drzwi piwnicy nie były zamknięte. – Znów chwycił za pilota. Na ekranie pojawiły się mocno powiększone fotografie z dokonanej sekcji serca i płuc.

– Wczoraj wieczorem dokonałem natychmiastowej sekcji – kontynuował swój wywód Horstmar – i stwierdziłem, że Aslewi doznał nie tylko zawału serca, jak mogą to państwo tutaj zauważyć.

Wskazał na fotografię w dużym powiększeniu, na której, równomiernie zazwyczaj brązowy mięsień serca był wyraźnie bledszy niż normalnie, z wyraźnymi jasnoczerwonymi punktowymi krwawymi wybroczynami.

– Ten mężczyzna miał poza tym wodę w płucach – kontynuował Horstmar. – I nie mówię tutaj o pianistej wydzielinie, jaką odnajdujemy przy zwykłym obrzęku płuc, powstałym w wyniku na przykład ataku serca. Tutaj dostała się ona do płuc przez tchawicę, a więc została wprowadzona z zewnątrz, jakby utonął. I w zasadzie tak było.

Horstmar wskazał na zdjęcia obu płuc, które leżały oddzielnie, w metalowej misie na stole sekcyjnym. Były wyraźnie przesiąknięte wodą. Sporo płynu wydostało się także z oskrzeli i zgromadziło w misce, tak że płuca wydawały się wręcz w tym pływać.

– Zawał serca był skutkiem utopienia względnie silnej reakcji stresowej ciała tuż przed śmiercią – ciągnął Horstmar. – Serce Aslewiego było do tego momentu całkowicie zdrowe. Żadnego stwardnienia tętnic wieńcowych, nic. Utonięcie w przypadku osoby, która nie została wyciągnięta z wody, jak ustaliłem na podstawie własnych poszukiwań, występuje często przy metodzie tortur, która zyskała smutną sławę jako *waterboarding*. Przypominają sobie z pewnością państwo relacje na temat skandalu z torturami w Abu Ghureib podczas okupacji Iraku przez Stany Zjednoczone i ujawnione później fakty na temat sposobów traktowania więźniów w Guantanamo.

Na twarzy Horstmara widać było przez moment wahanie, ale potem wyraźnie się przemógł.

– Śledczy z wydziału zabójstw prowadzący dochodzenie odkryli poza tym, że Aslewi był w przeszłości aktywnym członkiem kurdyjskiego Hezbollahu – mówił dalej Horstmar. – Na podstawie mojego protokołu sekcji dochodzenie przejęła wasza instytucja. Z tego powodu jestem dzisiaj u państwa. O ile słyszałem powołana ma zostać specjalna komisja w tej sprawie, ale o tym państwo zapewne już wiedzą.

Po tych słowach Horstmar zamilkł i spojrzął z wyczekiwaniem na Herzfelda i Abła. Wyglądało na to, że przewyciężył swoją treść, ponieważ sprawiał teraz wrażenie dumnego i pewnego siebie. Oraz żadnego należnych pochwał ze strony Herzfelda i Abła.

Na podstawie własnych poszukiwań, no popatrz, pomyślał Abel. Żał mu było Horstmara, ten biedak wypalał się wręcz przez swoją ambicję. Jednak jeżeli oczekiwał z ich strony czegoś więcej niż głośno wyrażonej pochwały, to się po prostu przeliczył.

Herzfeld, jak się wydawało, w ogóle nie zauważał ambicji kolegi z Charité. Skończył pisać mejla na swoim smartfonie i skinął głową w kierunku Horstmara z roztargnionym uśmiechem.

– Znakomita robota, panie kolego – pochwalił go. – Tym samym przejmujemy oficjalnie sprawę Aslewiego. Doktor Abel dokona powtórnej sekcji zmarłego, żeby się upewnić, że nie popełnił pan żadnego błędu. Serdeczne dzięki. Poświęcił nam pan ogromnie dużo ze swojego drogiego czasu.

Po tych słowach twarz Horstmara stała się tak szara, jak metalowe szafki przy ścianie za jego plecami. Herzfeld przeglądał akta sprawy.

– Dochodzeniem kieruje pani nadkomisarz Lubitz – powiedział tonem świadczącym, że to dobra wiadomość. – Zdolna i doświadczona funkcjonariuszka. Jeżeli podejrzenie o tortury podtapiania jest słuszne, to ona to potwierdzi.

Przesunął skoroszyt w kierunku Abła i wziął do ręki kolejne akta ze stosu. Horstmar zbierał swoje notatki i upychał w aktówce.

– Niech ktoś wyłączy ten cholerny aparat – wyburczał Scherz. Jego podwójny podbródek drżał z wściekłości pod wystrzępioną brodą. Także dłoń Horstmara drżała, kiedy po raz ostatni wziął pilota. Wyłączył rzutnik i denerwujący odgłos wiatraka ucichł.

Horstmar obszedł stół ze spuszczoną głową i wciągnął rękę do Herzfelda.

– Do widzenia, panie profesorze – powiedział głosem idącego na zesłanie. – To był dla mnie wielki zaszczyt...

– I wzajemnie. Raz jeszcze, wielkie dzięki.

Herzfeld podniósł się, Abel poszedł za jego przykładem. Ze swoim metr osiemdziesiąt dziewięć, także nie zaliczał się do niskich, ale jego przełożony przewyższał go jeszcze o kilka centymetrów. Uścisnęli dłoń Horstmara. Błagalny wręcz wzrok kolegi z Charité spowodował, że postanowił odprowadzić go do drzwi.

– Jeżeli jednostka specjalna potrzebowałaby fachowego wsparcia... – wydusił z siebie Horstmar.

– ...to pomyślimy o panu – zapewnił go Abel, co jednak zabrzmiało tyleż szczerze, co i wieloznacznie.

– W końcu to ja dostarczyłem solidny zastrzyk dowodów – podbił stawkę Horstmar.

Abel słuchał go już tylko jednym uchem. *Zastrzyk*, przemknęło mu przez głowę, a jego myśli znów skierowały się ku sprawie z jego przeszłości, w której ofiara została zamordowana zastrzykiem trucizny w okolicę podkolanową. *Kiedy i gdzie to się wydarzyło?*

W tym samym momencie ktoś zapukał do drzwi. Abel, który miał już rękę na klamce, otworzył je, a na progu pojawiła się sekretarka Renate Hübner. Skinęła głową Ablowi i krokiem robota pomaszerowała w stronę Herzfelda.

– Panie dyrektorze, Ministerstwo Spraw Zagranicznych. – Jak zawsze mówiła tak jednostajnym tonem, jak przestarzała nawigacja samochodowa. Również jej podłużna twarz, z wyraźnie widocznymi siekaczami, pozostała nieruchoma, kiedy podawała Herzfeldowi bezprzewodową słuchawkę.

Herzfeld wsunął smartfon do prawej wewnętrznej kieszeni swojej szytej na miarę marynarki. Drugą ręką wziął telefon od pani Hübner.

– Dzień dobry, pani sekretarz stanu. Już jadę.

3

Naddniestrze. Gospoda wiejska w Pilipczy pod Tyraspołem. Cztery lata wcześniej.

No to się zgadzamy – powiedział Zwiria i spojrzał przenikliwie na swojego brata.

Tioma chciał odwrócić wzrok, ale Zwiria zmusił go do spojrzenia mu w oczy. Zawsze tak było, jak daleko Tioma sięgał pamięcią. Jego brat był tylko o szesnaście miesięcy starszy od niego, ale Zwirii udało się jakoś utrzymać pozycję dominującą z okresu dzieciństwa. A nawet ją umocnić. To duży Zwiria decydował, co będą robili. A mały Tioma był posłuszny.

A przecież obaj przekroczyli już czterdziestkę. I posiadali majątek w kwocie około dwudziestu pięciu milionów – euro, rzecz jasna, a nie jakichś tam naddniestrzańskich rubli. Ale także w odniesieniu do ich wspólnego dziedzictwa Zwiria miał głos decydujący.

– Okay? – zapytał i spojrzał groźnie na Tiomę.

Tioma skinął niechętnie głową. Nie ufał temu kontraktowi, jaki Zwiria sporządził dla nich obu. Ale jeszcze mniej ufał własnej odwadze w kwestii wyrażenia sprzeciwu. Był prawie tak samo wysoki, szeroki w ramionach i jasnowłosy jak jego brat. Ale wszędzie, gdzie pojawiali się razem, każdy od razu wyczuwał, że szefem jest Zwiria. A Tioma co najwyżej jego zastępcą.

Dlatego właśnie podział ich przedsiębiorstwa był początkowo pomysłem Tiomy. Żeby nie musiał mieć ciągle poczucia, że jest zdominowany przez Zwirię. Jednak jego brat tak ochoczo zaakceptował ten plan, że Tiomie ciarki przeszły po plecach. I to Zwiria zaproponował, żeby spotkali się, jak spiskowcy, tutaj w gospodzie w Pilipczy, odległej wsi, daleko od bram naddniestrzańskiej stolicy, Tyraspolu. Bez świadków i nawet bez ochroniarzy, którzy zwykle nie odstępowali ich na krok w miejscach publicznych.

– Tu nie potrzebujemy goryli – stwierdził Zwiria. – W Naddniestrzu nie mamy już żadnych wrogów. Ojczulek wszystkich wydusił.

Tioma nie był tego taki pewny. Musiał jednak przyznać, że ich „ojczulek”, i jego równie potężny sojusznik, oczyścili politykę i gospodarkę kraju ze wszelkich możliwych przeciwników. Nie mówiąc już o różnych klanach przestępców, które w latach dziewięćdziesiątych kontrolowały praktycznie cały region. Obecnie członkowie tych syndykatów albo nie żyli, albo rozpierzchli się na wszystkie strony świata.

Mimo to nie powinniśmy czuć się zbyt pewnie, pomyślał Tioma.

O tak wczesnej godzinie przedpołudniowej nie było w tej mrocznej knajpie nikogo poza nimi – z wyjątkiem gospodarza, starego człowieka o krzywych nogach, który był w zasadzie głuchy jak pień i siedział za swoją ladą sztywny, jak drewniany posąg. Na dworze z bezchmurnego nieba lał się sierpniowy żar, jednak w środku, pod glinianym sufitem, było tak chłodno, że Tioma niemal trząśniętym się z zimna.

Zwiria podniósł kieliszek i wznosił toast. Tioma z wahaniem także wziął do ręki kieliszek i upił trochę ciężkiego, czerwonego wina.

Zamówili najlepsze z tego, co mogła przyrządzić kuchnia tej małej wiejskiej knajpy. Barszcz z

kawałkami jagnięciny, potem duszonego królika z białą i czerwoną fasolą, w końcu turta dulce, besarabskie ciasto z orzechów włoskich, miodu i maku. Właściwie były to ulubione dania Tiomy, ale teraz zjadł i wypił niewiele. Od miesiący nie miał apetytu. W przeciwieństwie do swojego brata, który praktycznie sam opróżnił miski i talerze.

– W takim razie podsumuję krótko to, co zaraz obaj podpiszemy – powiedział Zwiria. – Żeby nie było żadnych nieporozumień.

Przekartkował kontrakt, który leżał przed nim w dwóch egzemplarzach. Wystarczyłoby, żeby Tioma lekko się pochylił i mógłby przysunąć sobie kopię umowy po brudnym stole, ale nawet do tego brakowało mu niezbędnej energii. Zupełnie, jakby przed dwoma miesiącami odeszła od niego nie tylko żona, ale wraz z nią wszystko, czego potrzebował do życia. Zwłaszcza poczucie własnej wartości i życiową odwagę. Zarówno jednego, jak i drugiego i tak nigdy nie miał zbyt dużo, w przeciwieństwie do Zwirii, który od zawsze tryskał pewnością siebie.

– Jak obaj wiemy – powiedział Zwiria – nasz ojczulek uważa za konieczne, abyśmy odziedziczony kombinat utrzymali w całości i wspólnie nim kierowali. Dwóch dyrektorów, z których żaden nie może sam zdecydować o czymkolwiek. Ale mieszany koncern złożony z przemysłu chemicznego i optycznego nie ma jednak, kurwa, żadnego sensu. Poza tym wkurza mnie, tak samo jak ciebie, to, że musimy uzgadniać każde gówno. Ty też tak uważasz, prawda Tioma?

Zwiria znów spojrzał na niego groźnie, a Tioma ponownie przytaknął. Jasnoniebieskie oczy jego brata miały tę władzę nad nim właściwie od zawsze. Niekiedy Tioma myślał, że jego bunt powinien zacząć się od tego, żeby zmusić Zwirię do nazywania go właściwym imieniem. Jak dorosłego mężczyznę, a nie małego chłopca. „Tioma” i „Zwiria” to były dziecinne zdrobnienia ich prawdziwych imion, także „ojczulek” nie był ich właściwym ojcem. Ale zmuszenie Zwirii do czegokolwiek było tak prawdopodobne, jak zawrócenie nurtu Dniestru, którego koryto ciągnie się od Karpat po Morze Czarne.

– Z tych powodów postanowiliśmy – ciągnął Zwiria – że ty od zaraz będziesz kierował częścią optyczną, a ja przejmę kontrolę nad obszarem chemicznym. Na zewnątrz wszystko pozostaje tak, jak jest; w naszej umowie ustalamy tylko, że nie będziemy sobie wzajemnie szczali do zupy. Od teraz będziesz podpisywał wszystko, co ja przedłożę ci z mojego obszaru, a ja będę robił tak samo w drugą stronę.

Jednak Tomie coś bardzo nie pasowało w tej umowie, i nie były to z całą pewnością przekleństwa, którymi Zwiria okraszał każde swoje zdanie. Ale nie był w stanie powiedzieć, co w tej umowie, czy też w ich spotkaniu tutaj, było podejrzane. Z pozorów planowany podział był sprawiedliwy i jasny. Zwiria kazał sporządzić ekspertyzę, z której wynikało, że obie części przedsiębiorstwa są warte mniej więcej tyle samo. Według szacunków renomowanego biura rzeczoznawców w Moskwie część optyczna miała nawet lepsze perspektywy wzrostu, tak że proponowany podział byłby dla Tiomy wręcz korzystniejszy.

– No to podpisujemy, tak? – zapytał Zwiria, trzymając już swoje złote pióro w dłoni. Pasowało do jego złotego roleksa i złotego łańcucha na szyi.

Tioma nigdy nie odważyłby się tak ostentacyjnie chełpić bogactwem, jak robił to Zwiria. Nosił zawsze dzinsy, koszulkę polo i sneakersy. Natomiast jego brat miał złocisty krawat do szytego na miarę garnituru w jodełkę i gruby jak kciuk złoty łańcuch na lewym nadgarstku. Nawet jego bmw było w złotym kolorze, a każda z jego byłych kochanek otrzymywała od niego na pożegnanie ten sam prezent: etui ze złotym pierścieniem i łańcuszek na szyję ze złotym medalionem. Zwiria musiał mieć mnóstwo tych etui, ponieważ przerób kochanek miał imponujący. Nierzadko zdarzało się, że Tioma w którymś z ekskluzywnych klubów Tyraspolu czy Moskwy spotykał młodą piękność, która nosiła standardową biżuterię Zwirii. Pewnego razu brat pokazał mu dokładnie taki medalion: kiczowate serce, w którego wnętrzu przyklejony był na stałe mocno upiększony portret Zwirii.

Atrament jeszcze błyszczał wilgocią, kiedy Zwiria podsunął mu przez stół pierwszą kopię umowy ze swoim podpisem.

– Znowu pewnie nie masz nic do pisania? – Wyszczrzył zęby do Tiomy. – Poczekaj, dostaniesz moje.

Podpisał także drugi egzemplarz i także przysunął go po stole, dokładając wielkodusznym gestem swoje pióro.

– Ach, Tioma, mój mały, co ty byś zrobił beze mnie. Ale od teraz musisz już sam sobie radzić.

Arogancki uśmiezek nagle zniknął z jego twarzy. Tioma szybko dokończył podpisywanie, potem odwrócił się i spojrzał w kierunku, w którym Zwiria wpatrywał się z mrocznym wyrazem twarzy.

W drzwiach stał napakowany mężczyzna z czarnymi włosami zaczesanymi żelem do tyłu. Miał na sobie rozciągnięty szary garnitur, a w rękę trzymał pistolet automatyczny glock z lufą wycelowaną w głowę Zwirii. Kiedy wszedł do gospody, stęknęły pod jego ciężarem wyrobione deski podłogi. Tuż za nim pojawiło się dwóch innych mężczyzn, chudych jak szakale, każdy uzbrojony w AK-47, lepiej znane jako kałasznikow.

– Nawet nie myślcie o sięganiu do kieszeni! – szczerzył ten z naželowaną fryzurą, zapewne przywódca. – Natychmiast ruszać tyłki z krzesel! I chcę widzieć wasze łapska. No, szybciej!

Zwiria i Tioma spojrzeli po sobie.

– Gdyby wiedzieli, kim jesteśmy, to posraliby się w gacie – powiedział cicho Zwiria.

Tioma nie był tego taki pewny, ale swoje przemyślenia zachował dla siebie. Przywódca dał znak jednemu ze swoich ludzi. Ten przewiesił kałasznikowa przez ramię, podszedł do Zwirii i Tiomy i szybko ich obmacał.

– Te dupki są czyste – zameldował. Był ubrany, tak jak ego towarzysz, który nadal celował z karabinu w obu braci, w podkoszulkę i wojskowe spodnie z maskującym wzorkiem, do tego znoszone buty żołnierskie.

Być może ci dwaj to też bracia, przeleciało przez głowę Tiomie. Typ, który ich rewidował miał krzywy podbródek, ale poza tym obaj wyglądali tak samo. Chudzi, o szarej skórze, z zepsutymi zębami i przeredzonymi, brunatnymi jak błoto włosami, spod których prześwitywała skóra głowy.

– Wyprowadźcie ich! – rozkazał przywódca. Gwałtownym gestem wskazał na drzwi kuchenne z tyłu pomieszczenia szynku. Na jego lewej dłoni błysnął gruby, srebrny sygnet.

Zwiria i Tioma, każdy z lufą AK-47 między łopatkami, zostali brutalnie wyprowadzeni przez tylne drzwi na zewnątrz. Gospodarza nie było nigdzie widać, prawdopodobnie zmył się na swoich krzywych nogach.

Nie ukrywają swoich twarzy przed nami, przeleciało przez głowę Tiomie. Albo rzeczywiście nie wiedzą, kim jesteśmy, albo jest im to obojętne, ponieważ mają zlecenie nas zabić.

Niewielka rosyjska kryta ciężarówka typu GAZ-66 czekała na podwórzu z włączonym silnikiem.

– Oni chcą nas zabić! – wyszeptał Tioma do brata.

– Stul pysk! – wrzasnął przywódca. W swoim szarym nieforemnym garniturze wyglądał jak zwykły urzędnik średniego szczebla z Federacji Rosyjskiej. Jednak jego umięśniona sylwetka i stalowe spojrzenie emanowały brutalną stanowczością.

– Jesteśmy... – wyrzucił z siebie Tioma, ale więcej nie zdążył.

Kolba kałasznikowa uderzyła w tył jego głowy. Jęknął zamroczony i zamilkł.

– Nie będę tego powtarzał – ciągnął przywódca. – Wiemy, kim jesteście. Mam zadanie zabrać was stąd, a wy nie macie najmniejszej szansy nam w tym przeszkodzić. Możecie tylko sobie wybrać, czy od razu wyprujemy z was flaki, czy też dotrzecie do miejsca przeznaczenia w miarę dobrym stanie.

Typ z krzywą żuchwą wybuchnął wariackim śmiechem, a jego szef wyszczerzył do niego zęby. Plik niedbale złożonych papierów wystawał z kieszeni jego marynarki.

Tioma pomyślał mimowolnie, czy to aby nie jest jego umowa ze Zwirią, ale to nie miało najmniejszego sensu.

– Jeszcze jakieś pytania, dupki?

Zwiria pokręcił głową.

– Już nie żyjecie, parszywi idioci – powiedział, a jego głos brzmiał znów tak mocno i pewnie, jak

zazwyczaj. – Tylko jeszcze o tym nie wiecie.

Jeden z mężczyzn podszedł do niego i splunął mu prosto w twarz. Kiedy Zwiria odruchowo podniósł rękę, mężczyzna uderzył go kolbą karabinu w bok głowy. Zwiria zaczął przeklinać, ale za moment zamilkł. Z miną wyrażającą najwyższe niedowierzanie patrzył na swoją dłoń, którą przesunął po skroni. Była cała pomazana krwią.

Także Tioma wciąż był lekko zamroczony. *Dlaczego Zwiria jest tak bardzo wytrącony z równowagi, zastanawiał się mgliście. Wygląda, jakby nie mógł po prostu pojąć, co się z nami dzieje.*

– Związać, ale już! – wrzasnął przywódca i otworzył tylne drzwi budy ciężarówki. – Ty bierzesz tego tu, Wadik, a ty, Witalij, drugiego!

Witalij, typ z prostą żuchwą, wyjął z ciężarówki dwie długie na łokieć opaski zaciskowe do mocowania kabli. Wadik, najpierw Zwirii, a potem Tiomie, wykręcił ręce na plecy, a Witalij założył im opaski na nadgarstki i brutalnie zacisnął. Tioma poczuł natychmiast jak drętwieją mu dłonie.

Popchnęli obu braci do wnętrza ciężarówki. Potem wsiedli za swoimi więźniami i rozkazali im usiąść na bocznej ławce. Sami zajęli miejsca na ławce naprzeciwko, przy czym broń nadal kierowali w Zwirię i Tiomę.

Przywódca zatrzaskał tylną klapę transportera. Tioma usłyszał, jak z przodu otwierają się drzwi obok kierowcy i znów zatrzaskują. Nie widział, co dzieje się na zewnątrz, ponieważ ciężarówka miała tylko niewielkie okna na górze w bocznych ścianach.

– Ruszamy! – krzyknął przywódca.

– Rozkaz, panie lejtnancie! – Kierowca wrzucił z łoskotem bieg, potem ciężarówka ruszyła z charakterystycznym wyciem silnika.

– Na pomoc! – wrzasnął Tioma, najgłośniejszy, jak tylko mógł. – Zostaliśmy porwani!

Kopał w blaszaną podłogę ciężarówki, chociaż było raczej oczywiste, że nikt na zewnątrz go nie usłyszy. Tych niewielkich nie do zderzenia ciężarówek typu GAZ-66 nie produkowano już od dwudziestu lat, ale mimo to były wszechobecne na ulicach Naddniestrza. Także Tioma miał jeden taki egzemplarz, polakierowany na ciemnozielony kolor z wyblakłą czerwoną gwiazdą nad przednią szybą. Niekiedy jeździł nim godzinami po okolicy, żeby oczyścić głowę ze złych myśli. Maszyna huczała i grzechotała tak potwornie, że człowiek nie słyszał własnych słów.

Wadik i Witalij uśmiechali się szyderczo. Mimo to Tioma krzyczał i tupał dalej, nawet wtedy, gdy Zwiria wykonał gest ręką, jakby chciał powiedzieć: *Uspokój się już, poradzimy sobie.* Tioma jednak zdawał sobie sprawę, że zbyt wiele okazji do buntowania się – czy to przeciwko własnemu bratu, czy też komukolwiek innemu – nie będzie już miał.

4

Naddniestrze. Ruiny budynku fabryki. Cztery lata wcześniej.

Kierowca tak mocno nacisnął na hamulec, że Tiomę rzuciło na brata.

– Przestań wreszcie się wydzierać! – krzyknął na niego Zwiria.

Tioma prawie tego nie słyszał. Dawno już zachrypl, gardło go paliło. Ale krzyczał nadal niezmordowanie.

– Pomocy! Czy ktoś tam jest? Zostaliśmy porwani! Wyciągnijcie nas stąd!

Nieustannie też kopał obiema stopami w podłogę z blachy. Wadik „krzywa mordą” i jego kompan Witalij w ogóle nie zwracali na niego uwagi. Jediną osobą, w całym otoczeniu, która reagowała na krzyki Tiomy, był jego brat.

Transporter jechał w żółtym tempie po wyboistym podłożu naszpikowanym ogromnymi dziurami. Zwiria i Tioma, mając skrepowane z tyłu ręce, nie mogli się niczego przytrzymać i z ogromnym trudem utrzymywali równowagę. GAZ-66 kołysał się na wszystkie strony jak jolka przy wietrze o sile dziesięciu stopni w skali Beauforta.

Kiedy kierowca po raz kolejny zahamował i jednocześnie gwałtownie skręcił w lewo, Zwiria spadł z ławki i uderzył twarzą o zardzewiałą podłogę ciężarówki. Podniósł głowę i spojrzał na Tiomę. W wyniku upadku rozciął sobie czoło i z mniej więcej dwucentymetrowej rany wypływała krew. Na lewej skroni miał ogromnego guza, a jego włosy były pozlepiane krwią aż do ucha. Wyglądał groteskowo, jak oszalały klaun, który na chybił trafił pomalował się czerwoną szminką.

Jednak Tiomę, bardziej niż ta spora ilość krwi, zaniepokoił wyraz twarzy brata.

Zwiria nadal wygląda tak, jakby nie skapował jeszcze co się tutaj dzieje. A przecież zwykle nie jest taki tępy, pomyślał Tioma. Myślał, że nikt się nie odważy nas zaatakować. No i, jak widać, pomylił się. Co jest w tym tak trudnego do zrozumienia?

Kiedy Zwiria, przeklinając, usiłował się podnieść, tylne drzwi otworzyły się gwałtownie. Tioma, mrużąc oczy, spoglądał w jasny prostokąt światła i rozpoznał przywódcę w rozciągniętym szarym garniturze. Gruby sygnet błyszczał na jego lewej dłoni. Wcześniej kierowca nazwał go lejtnantem, czyli porucznikiem. Tioma zastanawiał się, czy to była tylko ksywa, czy też stopień służbowy – w armii albo gdzie indziej.

Napakowany lejtnant pochylił się, złapał Zwirię za kostki i zaczął ciągnąć na zewnątrz, twarzą po blaszanej podłodze.

– Do kurwy nędzy, urwę ci za to jaja! – Głos Zwirii załamywał się i był zniekształcony bólem.

Lejtnant złapał go za skrepowane z tyłu ramiona i próbował brutalnie wyciągnąć z ciężarówki.

– Ty zasrany gnoju! – krzyczał Zwiria. Chciał kopnąć swojego prześladowcę, ale ten zrobił krok w bok. Zwiria, szamocząc się, spadł z ciężarówki i uderzył o asfalt.

Wadik zamachał kałasznikowem.

– No, dalej, nie bądź taki nieśmiały! – krzyknął na Tiomę. – Wyłaż. Teraz dopiero będzie party!

Tioma podniósł się z trudem. Wszystko wskazywało na to, że Wadik „krzywa mordą” jest psychopatycznym sadystą z ilorazem inteligencji szczura kanałowego. Kiedy Tioma stał pochylony do przodu w drzwiach, żeby zejść na zewnątrz, Wadik kopnął go z całej siły w plecy, tak że Tioma wyleciał z ciężarówki, jak rozkładający się nóż sprężynowy. Uderzył przy tym głową o ramę drzwi i ostry ból przeszył mu czaszkę. Upadł na asfalt barkiem do przodu. Krew spływała mu z włosów i kapłała do oczu. Zamrugał gwałtownie, ale nadal nic nie widział, a ręce miał skrępowane z tyłu.

– Oni nas zabijają! – krzyknął znów Tioma.

Razem ze Zwirią popędzono go kopniakami i uderzeniami w stronę budynku fabryki, wyłaniającego się spoza dziko rosnących krzaków i stosów niedających się zidentyfikować odpadów. Ziemia były usiana dziurami i kamiennymi bryłami, tak że Tioma potykał się prawie za każdym krokiem.

– Gdyby chcieli tylko okupu, to nosiliby maski! Powiedz coś, Zwiria! Co mamy robić?

Zwiria, z przekleństwem na ustach, upadł na ziemię obok niego. Lejtnant poderwał go do góry za skrępowane ręce, a Zwiria krzyknął z bólu.

– Stul gębę, Tioma! – wycharczał, dysząc. – Kiedy wreszcie skapujesz, co tu się dzieje?

Dotychczas to Tioma uważał, że Zwiria nie pojmuje, w jakich znaleźli się opałach. Czyżby to jednak jemu, Tiomie, coś tutaj umknęło?

W każdym razie od tej chwili rzeczywiście trzymał język za zębami, chociaż było to głównie skutkiem wyczerpania. Nie czuł już rąk, ale tym mocniej dokuczał mu ból w głowie i w plecach. Wszystko wokół niego było jakby zanurzone w czerwonej mgle.

Z krwawych oparów wyłoniła się nagle pokryta rdzą, otwierana do góry brama w rozpadającym się ceglany murze. Brama była podniesiona na tyle wysoko, że mógł przez nią przejść dorosły mężczyzna średniego wzrostu. Zwiria i Tioma musieli schylić głowy. Kiedy Tioma odwrócił się, przechodząc przez nią, zobaczył, że za nimi szli już tylko lejtnant i Wadik. Przez moment obaj wydali mu się nierzeczywistymi istotami, jak postacie z jakiejś komputerowej strzelanki.

Witalij został zapewne z kierowcą przy ciężarówce, żeby trzymać wartę. Cały ten obszar robił wrażenie, jakby przez ostatnie dwadzieścia lat nie pojawił się tu żaden człowiek.

Tioma tak mocno pokręcił głową, że krople krwi rozprysnęły się na wszystkie strony. Przez chwilę w miarę wyraźnie widział. Znajdowali się w gigantycznej hali fabrycznej, zastawionej niekończącymi się szeregami zardzewiałych maszyn produkcyjnych. Przez wąskie, zabrudzone okna wpadało tylko niewiele dziennego światła. Jednak Tioma rozpoznał tokarki i frezarki starego typu, nieużywane prawdopodobnie już od wielu lat. Wszystko pokryte było kurzem i pajęczynami.

Zakład mechaniki precyzyjnej z czasów Związku Radzieckiego, pomyślał.

Daleko w głębi hali zauważył mocno zbudowanego mężczyznę z łysą głową, ubranego w sięgający prawie kostek skórzany płaszcz. Stał oparty o jeden z filarów obok jasnoniebieskiego metalowego kontenera, z rękami założonymi na potężną klatkę piersiową.

Mając oczy zaklejone zaschniętą krwią, Tioma nie był w stanie dostrzec dokładniej rysów twarzy łysego. Mimo to mężczyzna wydał mu się znajomy.

Przekręcił głowę na bok. Zwiria wysunął podbródek do przodu i wpatrywał się w łysego w skórzanym płaszczu, sprawiając wrażenie, jakby gotował się ze złości.

Tioma obserwował go w napięciu i nagle doznał olśnienia: *Zwiria chciał go wydać! A teraz jest wściekły, bo sam musi, podobnie jak i ja, dostać za swoje!*

Czy to miało jakiś sens? Tioma nie potrafił jeszcze tego nazwać ani tym bardziej skonkretyzować, ale czuł, że jest na właściwym tropie.

Na tropie twojej zdrady, braciszku.

Wtedy otrzymał potężny cios w potylicę. Zdążył jeszcze zobaczyć, jak Zwiria również pada obok niego na ziemię. Potem wszystko przykryła czerń.

5

Berlin, Treptowers.
Jednostka Federalnego Urzędu Kryminalnego „Przypadki nadzwyczajne”.
Sala sekcyjna.
Wtorek 5 września godz. 9.45.

W sali sekcyjnej uderzył Abła kwaśny odór pochodzący głównie z jelit wyjmowanych ze zwłok. U laików tego typu zniuansowane zapachy, wydobywające się ze zwłok, wywoływały zazwyczaj odruch obrzydzenia, aż do mdłości włącznie. Natomiast doświadczeni lekarze medycyny sądowej z tej gamy zapachów śmierci odczytywali niekiedy istotne informacje, na przykład o uszkodzeniu nerek z ich ostrym, zawierającym amoniak zapachem czy też o zaawansowanej cukrzycy z jej słodkawymi oparami, jakie wydobywały się z rozciętych organów, budząc skojarzenia z przejrzalymi owocami.

Dopływ ciał był niewyczerpany. W sali sekcyjnej stały cztery stoły do obdukcji i nierzadko zdarzało się, że pracowano przy wszystkich naraz. Tego przedpołudnia jeden z błyszczących metalowych stołów pozostawał jednakże pusty. Profesor Herzfeld konferował z rządem federalnym, a Murau musiał stawić się przed sądem jako rzeczoznawca w procesie o zabójstwo.

Technicy przywozili zmarłych poddawanych sekcji danego dnia na specjalnych wózkach, służących do transportu zwłok z chłodni na stoły sekcyjne i z powrotem. Każde ciało kładli na pustym stole ze stali szlachetnej. Wcześniej zwłoki wsuwane były kolejno do tomografu komputerowego w celu stwierdzenia, czy struktura kostna nie zawiera ukrytych złamań albo czy w ciele nie znajdują się metalowe przedmioty, na przykład pociski czy też złamane igły strzykawek. Od kiedy Herzfeld preforsował zakup tego drogiego aparatu, w ciałach zmarłych zlokalizowano już najbardziej nieprawdopodobne przedmioty: od połkniętych kluczy, poprzez instrumenty medyczne, pozostawione przez zapomnienie po operacjach aż do odłamanych ostrzy noży włącznie.

– Doktorze Scherz, proszę przejąć Aslewiego. – Abel wskazał na sprzątacza pochodzenia kurdyjskiego, leżącego teraz na plecach na jednym ze stołów; na ciele Aslewiego, od obojczyków do kości łonowej, widniał szew w kształcie litery Y – podpis kolegi Horstmara z Charité, który dokonał jego sekcji już poprzedniego dnia.

Scherz zrobił zaskoczoną minę.

– O ile dobrze zrozumiałem szefa, to miał pan osobiście... – Przerwał w połowie zdania, a jego twarz przybrała zwykły, ponury wyraz. – Biorę, jak jest – powiedział. – A zwykle jest marnie.

Abel chciał już udzielić mu kilku dobrych rad, ale w końcu powstrzymał się od jakichkolwiek komentarzy. Scherz swoją nienaganną ekspertyzę doprawi, jak zazwyczaj, kilkoma jeżącymi włos na głowie wnioskami natury kryminalistycznej, czy też nawet politycznej, a Abel, jak zwykle, usunie co bardziej absurdalne zdania. Potem Scherz będzie urażony, a w konsekwencji popadnie w jeszcze bardziej ponury nastrój niż zwykle, ale zmienioną ekspertyzę podpisze bez protestów. Abel będzie ją kontrasygnował, a później ani on, ani Scherz nigdy już nie poruszą tego tematu.

Ten wzorzec współpracy z tak uzdolnionym i jednocześnie tak wyobcowanym ze świata kolegą sprawdzał się jak najbardziej – tylko że w tym konkretnym przypadku Abel musiał być czujny w jeszcze większym stopniu niż zwykle. Oficjalna ekspertyza Federalnego Urzędu Kryminalnego, w którym pomówiono by na przykład CIA o stosowanie tortur i zabijanie w budynku niemieckiego parlamentu, mogłaby wywołać komplikacje natury dyplomatycznej, których Abel wolał raczej sobie nie wyobrażać.

Jednak będzie musiał zaryzykować, bo sam nie zrobi sekcji domniemanej ofiary tortury podtapiania, lecz człowieka, który rzekomo zmarł w wyniku przerzutów do wątroby. Abel czuł coraz mocniej, że za tym niepozornym nakłuciem od zastrzyku w dole podkolanowym u agenta nieruchomości kryje się coś o wiele poważniejszego. A jego przeczucia rzadko prowadziły na manowce.

– Przejmuję ten rzekomo źle wystawiony akt zgonu – powiedział Abel.

Wzięli się do pracy. Każdy lekarz dokonujący obdukcji miał pod boki asystenta. Abel, podobnie jak cały zespół, zamienił swoje prywatne ubranie na standardowy roboczy kombinezon: górna część z krótkimi rękawami i długie spodnie z niebieskiej bawełny, do tego gumowe buty i fartuch.

Scherz przepędził na bok asystenta sekcyjnego i pochylił się nad martwym ciałem, żeby ocenić jego stan zewnętrzny.

– *Niezbyt dobrze zaszyte rozcięcie Y od obojczyków do kości łonowej pochodzi z pierwszej sekcji dokonanej w klinice Charité – mówił do dyktafonu umocowanego nad stołem sekcyjnym. – Górne i dolne kończyny, jak również przednia strona ciała wykazują wiele zranień: obwodowe otarcia i podbiegnięcia krwawe na nadgarstkach i stawach skokowych, jak również w okolicach klatki piersiowej, pochodzą prawdopodobnie od ciasno założonych więzów; poza tym podbiegnięcia krwawe odpowiadają śladom po chwycie palcami, po każdej stronie kącików ust. Zmiany te nie powstały post mortem, lecz tuż przed śmiercią.*

Scherz otworzył usta zmarłego i odchylił górną i dolną wargę, tak żeby móc dokładnie obejrzeć śluzówkę jamy ustnej i dziąsła.

– *Odciski palców, które musiały znajdować się w formie imadła wokół zuchwy, są wyraźnie widoczne. Prawdopodobnie sprawca lub sprawcy otworzyli usta Aslewiego przemocą – wskazówka na torturę podtapiania, jaka jest typowa dla działań tajnych służb USA, a zwłaszcza CIA.*

Abel, który na sąsiednim stole dokonywał sekcji agenta obrotu nieruchomościami Dominika Kreislera, słuchał jednym uchem tego, co Scherz mamrocze do swojego dyktafonu. Kiedy lekarz naczelny wymienił CIA, Abel cały się wzdrygnął. W tej kwestii zgadzał się całkowicie z Scherzem: że tortura podtapiania, znana jako *waterboarding*, symulująca tonięcie jest jedną z metod stosowanych, w ulepszonej formie, przez ekspertów tajnych służb USA, jako instrument w walce z islamskim terroryzmem. Stąd też spore prawdopodobieństwo, że również i w tym przypadku można było podejrzewać sprawcę lub sprawców z kręgów tajnych służb amerykańskich. Jednakże obraz, jaki widoczny był na pierwszy rzut oka, nie zawsze – a nawet bardzo rzadko – zgadzał się z rzeczywistym przebiegiem wypadków. Jednak dla żyjącego jak odludek naczelnego lekarza pozór i prawda były z reguły tożsame.

Scherz bez słowa wziął od asystenta przygotowany nóż sekcyjny, żeby po raz drugi otworzyć przednią stronę ciała Moaha Aslewiego. Jednym szybkim cięciem, pociągniętym od podbródka do obszaru spojenia łonowego, przeciął szew zrobiony przez Horstmara. Obydwa duże płaty skóry opadły na boki, przez co dostępne stały się narządy w brzuchu i w klatce piersiowej zmarłego.

Abel obserwował go jeszcze kątem oka przez kilka chwil. W końcu jednak, mając złe przeczucia, jeśli idzie o eskapady Scherza w kwestii Aslewiego, skoncentrował się na zmarłym agencie obrotu nieruchomościami.

6

Naddniestrze. Ruiny budynku fabryki. Cztery lata wcześniej.

Brzęk łańcuchów wyrwał Tiomę z ogłuszenia. Chciał otworzyć oczy, ale były tak sklezione, że nie mógł unieść powiek. Leżał na chropowatym, nierównym podłożu, czuł dokładnie każde jego najmniejsze wgłębienie, każdą rysę.

Jestem nagi, pomyślał zamroczony, mam tylko majtki. Co tu się dzieje?

Ręce miał nadal skrępowane, ale już nie na plecach. Leżał wyciągnięty na brzuchu, z ramionami wyciągniętymi nad głową, jak pływak przed skokiem do wody. Także kostki miał skrępowane opaskami zaciskowymi do kabli.

Nagle poczuł bolesne pociągnięcie za nadgarstki. Znów zabrzęczały łańcuchy, zazgrzytała wciągarka, jak przy starodawnym wielokrążku.

Tioma został podciągnięty za ręce do góry aż jego stopy dotknęły ziemi. Ramiona miał wyciągnięte pionowo nad głowę.

Łańcuchy nadal brzęczały. Po milimetrze podciągano go dalej, w końcu dotykał podłoża tylko czubkami palców. Wtedy brzęk i zgrzytanie ustały, a Tioma stał cały drżący i czekał, co stanie się teraz.

Po jego prawym boku przesunął się jakiś zimny, metalowy przedmiot, zatrzymując się w okolicy piersi.

– Ten sukinsyn cały się obsmarkał – powiedział lejtnant – nic już nie widzi. Wyczyść mu gębę, bo inaczej przegapi własny pożegnalny występ!

Wadik przejechał Tiomie kawałkiem szorstkiej szmaty po oczach. Było to uczucie, jakby starto mu powieki i brwi, ale potem przynajmniej coś widział.

W następnej jednak chwili zapragnął oślepnąć. I ogłuchnąć, i stracić wszelkie czucie.

Był rzeczywiście rozebrany do bokserek. Ubrania jego i Zwirii leżały na kupie obok metalowego kontenera. Wadik stał tak blisko, że Tioma czuł jego kwaśny oddech, a wykręcony na lewo podbródek wyglądał z tej odległości jeszcze bardziej groteskowo, jak u postaci z komiksu. W prawej ręce trzymał ogromnych rozmiarów cęgi, które szybko przystawił do jednej z brodawek sutkowych Tiomy.

Zwiria stał dwa kroki obok Tiomy, również z uniesionymi do góry ramionami, przyczepionymi do łańcucha podwieszzonego gdzieś pod dachem hali. Drugi łańcuch łączył, dokładnie tak samo, jak u Tiomy, więzy u stóp z żelazną obręczą w podłodze. Jego brat dygotał z wysiłku, żeby utrzymać ciężar ciała na czubkach palców, a także zapewne z szoku. Jego twarz była nienaturalnie blada, w każdym razie tam, gdzie nie była pomazana krwią, i błyszczała od wyschniętego potu. Patrzył nieruchomo przed siebie i wyglądało na to, jakby nie zwracał w ogóle uwagi na to, co dzieje się wokół niego.

– Zwiria – wyrzeźził z trudem Tioma.

Przeraził się własnego głosu. Zwiria w ogóle nie zareagował. Przed nim stał lejtnant z długimi cęgami w dłoni.

– Zabawimy się w małą grę – powiedział. – Zasady są tak proste, że zrozumieją je nawet takie ptasie

móżdżki, jak wy. Najpierw Wadik obetnie brodawkę sutkową twojemu bratu, a ty ją zjesz. Potem twój brat dostanie twoją do żarcia. Następnie przyjdzie kolej na wasze palce u nóg. Ale tych nie musicie żreć na surowo, ugotujemy z nich dla was gulasz. I mimo że odcinanie palców na pewno diabelnie boli, to będziecie sobie życzyli, żeby to nigdy się nie skończyło, ponieważ później przejdziemy do jeszcze bardziej wrażliwych części ciała.

Szczęknął kilka razy ostrymi, ząbkowanymi brzegami cęgów.

Zwiria spuścił głowę, żeby nie patrzeć na lejtnanta. Ale ten mężczyzna w szarym garniturze wcisnął mu obcęgi pod brodę i zmusił do spojrzenia w oczy.

– Jakieś pytania? – powtórzył.

Zwiria dygotał na cały ciełe.

– Przyrowadź waszego generała! – wyrzucił z siebie. – Nie gadam z niższymi szczeblem, takimi jak ty. Zgnijesz w lochu piwnicznym, kiedy generał dowie się, co tu odstawiasz!

– Jaki generał? Nie mam pojęcia o czym mówisz, obsrana mordo.

Zwiria ostentacyjnie wciągnął gluty do nosa i chciał najwyraźniej opluć lejtnanta, ale ten niedbałym ruchem uderzył go obcęgami w twarz i Zwiria zakrztusił się własnymi smarkami.

– Był tu przed chwilą – wyrzucił z siebie, dysząc, Zwiria. – Więc przestań pieprzyć, tylko zawołaj tu Burkianowa!

Burkianow! – przemknęło przez głowę Tiomy. *To dlatego ten człowiek w skórzanym płaszczu wydał mu się tak znajomy! Oczywiście, pomyślał, to musiał być Burkianow, którego wszyscy nazywają „Generałem”.*

Tioma rzadko widywał go z bliska. Burkianow często bywał wprowadzie w domu „ojczulka”, ale zawsze był osłaniany przez mnóstwo ochroniarzy i waźniaków. Poza tym nikt nie przebywał chętnie w jego pobliżu, jeżeli dało się tego uniknąć. Człowiek ten miał oczy jak studnie i roztaczał wokół siebie aurę komendanta obozu koncentracyjnego.

– Dosyć tych bzdur. – Lejtnant chrząknął i pstryknął palcami w kierunku Wadika. – Zaczynaj!

Robił wrażenie wręcz znudzonego, w przeciwieństwie do swojego podwładnego, którego oczy zaczęły błyszczeć jeszcze większym szaleństwem niż dotąd.

– Robisz tylko to, co ci każe, Wadik. – Porucznik obserwował go, jak bombę, która może wybuchnąć w każdej chwili. – Na początek brodawki sutkowe! – rozkazał.

Tioma zamknął oczy, dygocąc niepowstrzymanie.

Zwiria, proszę! – chciał błagać. *Zrób coś, żeby te typy nas wypuściły! W końcu ty nas w to przecież wpakowałaś!*

Ale Tioma stracił całkowicie kontrolę nad własnym ciałem. Nie potrafił wykrztusić ani słowa, a z jego ust wydobyło się tylko nieartykułowane skomlenie, które jeszcze bardziej go zszokowało.

Wadik przyłożył zębate ostrza cęgów do lewej brodawki sutkowej Tiomy i ścisnął.

Berlin, Treptowers.
Jednostka Federalnego Urzędu Kryminalnego „Przypadkii nadzwyczajne”.
Sala sekcyjna.
Wtorek 5 września godz. 10.10.

Na stole sekcyjnym przed Ablem leżały rozebrane zwłoki średniego wzrostu mężczyzny, który, jak na to wyglądało, dbał za swojego życia o sylwetkę. Dominik Kreisler był szczupły i miał tylko niewielką ilość podskórnej warstwy tłuszczu. Jego mięśnie były, jak na pięćdziesięciosześcioletka, zaskakująco dobrze rozwinięte. Według aktu zgonu ten agent obrotu nieruchomościami musiał być fizycznym wrakiem, wychudzonym, o żółtawej skórze. W wyniku rzekomego raka jelita grubego jego funkcje trawienne powinny być właściwie bardzo ograniczone, a rzekomo zaatakowana przez przerzuty wątroba nie byłaby w stanie odprowadzić żółci do przewodu pokarmowego, co musiałyby doprowadzić do znacznego podwyższenia bilirubiny we krwi, zatem do żółtaczkowej w tego typu schorzeniach.

Zmarły i jego akt zgonu tak bardzo nie pasowali do siebie, że w innych okolicznościach Abel podejrzewałby zamianę ciał. Ale pomyłka była wykluczona, mimo że na akcie zgonu jasno i wyraźnie zaznaczono:

Bezpośrednia przyczyna śmierci: zaburzenie czynności wątroby w następstwie rozsiewu nowotworowego, w tym ognisk przerzutowych w wątrobie

Przyczyna pierwotna: zaawansowany nowotwór złośliwy jelita grubego

Rodzaj śmierci: śmierć naturalna

Oględziny ciała nie przyniosły żadnych wskazówek co do możliwej przyczyny zgonu, zmarły nie wykazywał żadnych widocznych świeżych lub starszych zranień, ani krwiaków na rękach i przedramionach, jakie powstają zwykle przy obronie przed napastnikiem, ani blizn, które wskazywałyby na wcześniejsze wypadki albo operacje z przeszłości. Ponieważ śmierć mężczyzny nastąpiła przed tygodniem, stężenie pośmiertne już ustąpiło w znacznym stopniu.

Abel wraz z asystentką Britta Gerlach przewrócił zmarłego na brzuch. Wyraźnie występujące plamy opadowe na tylnej części ciała nie były niczym dziwnym ze względu na lokalizację i kolor, nie było także żadnych innych oznak wskazujących na nietypowe pochodzenie. Abel zaznaczył to w swoim dyktowanym protokole, potem zajął się lewą okolicą podkolanową zmarłego. Koleżanka z Instytutu Krajowego musiała mieć sokoli wzrok, żeby podczas oględzin w krematorium zauważyć to niewielkie nakłucie w zgięciu kolana.

– Proszę mi podać okulary z lupą – powiedział Abel.

Asystentka podsunęła mu oprawki do okularów zaopatrzone w potężne szkła powiększające, podobne do tych, jakich używają chirurdzy podczas przeprowadzania mikrozabiegów. Abel założył okulary z lupą,

pochylił się nad zmarłym i przyglądał się nakłuciu nie większemu od główki szpilki. W części centralnej było lekko wklęsłe, a na obrzeżach podbiegnięte krwią w kolorze ciemnoczerwonym, co wskazywało, że musiało zostać zrobione bezpośrednio przed zgonem.

Abel chętnie pracował z Brittą Gerlach. Małomówna asystentka miała prawie czterdziestkę i od dwóch lata należała do jego zespołu. Była zawsze uważna w trakcie wykonywanych czynności i nawet w wyjątkowych sytuacjach zachowywała zimną krew. Rutynowo sfotografowała miejsce nakłucia pod różnymi kątami. W tym czasie Abel mówił swoje uwagi do dyktafonu. Następnie wziął znów skalpel do ręki i wyciął miejsce nakłucia wraz z szerokim na centymetr marginesem wokoło, włącznie ze skórą oraz podskórną warstwą tłuszczu. Podzielił ten kawałek nożem na dwie równe połówki, przy czym bardzo uważał, żeby cięcie przebiegało dokładnie w poprzek kanału nakłucia i prawdopodobnego kanału wlotu. Jedną połówkę włożył do plastikowej torebki wypełnionej w dwóch trzecich formaliną, żeby później zbadać ją pod mikroskopem. Drugą połówkę odłożył, bez żadnych dodatków środków konserwujących i utrwalających do pozostałych dowodów rzeczowych w celu przeprowadzenia późniejszych badań w laboratorium.

Badania chemiczno-toksykologiczne krwi, organów wewnętrznych, a zwłaszcza tego kawałka tkanki z miejscem nakłucia wykażą, czy Dominik Kreisler rzeczywiście został zabity w wyniku iniekcji trucizny w obrębie dołu podkolanowego. Jeżeli hipoteza robocza Abła była słuszna, to sprawca, czy też sprawcy, musieli prawdopodobnie użyć silnego analgetyku zawierającego pochodne morfiny, który przy odpowiednim przedawkowaniu prowadzi do zgonu w wyniku zatrzymania oddechu. Abel był już teraz przekonany, że podczas sekcji nie znajdzie żadnych wskazówek dotyczących innej przyczyny śmierci – nie mówiąc już o organach zżartych przez raka. W każdym razie nie było żadnych poszlak uzasadniających diagnozę doktora Lenskiego, który wypisał akt zgonu.

Mimo to Abel pozostawał do końca sekcji bardzo skoncentrowany. Britta rozcięła jelito na całej długości wynoszącej ponad pięć metrów, a następnie przepłukała je pod bieżącą wodą. Zgodnie z oczekiwaniami jelito agenta nieruchomości nie wykazywało żadnych śladów raka. Także w jego wątrobie nie znaleziono patologicznych zmian. Kreisler trenował zapewne nie tylko swoje ciało, ale także trzymał się z daleka od alkoholu i innych trujących substancji.

– Z tymi naczyniami krwionośnymi i z takim sercem mógłby dożyć stu lat – powiedział Abel bardziej do siebie niż do Britty Gerlach.

Potężny obrzęk płuc zmarłego czynił coraz bardziej prawdopodobną diagnozę: *bezdech w wyniku intoksykacji*. Zwłaszcza że był to w ogóle jedyny narząd ze zmianami patologicznymi, jaki Abel mógł udokumentować w swoim protokole sekcyjnym.

Pobrane próbki krwi i tkanek, razem z kawałkiem wyciętej tkanki z miejscem nakłucia, polecił Bricie Gerlach przekazać do laboratorium Federalnego Urzędu Kryminalnego.

– Proszę przekazać doktorowi Fuchsowi, że wyniki potrzebuję dzisiaj do godziny siedemnastej – powiedział jej na drogę. – On jest już przyzwyczajony do tych moich niecierpiących zwłoki przypadków.

Kiwnął głową w jej kierunku i w tej samej chwili przypomniał sobie, jaka sprawa z dawnych lat kojarzy mu się z przypadkiem zgonu Dominika Kreislera.

Wtedy byłem jeszcze studentem.

Z otchłani jego pamięci wyłoniło się także imię: Bettina, niestety bez nazwiska.

Kim była ta Bettina? Koleżanka ze studiów medycznych w Hanowerze? I co dokładnie stało się z nią wtedy?

Z głębi sali sekcyjnej zbliżał się do niego Scherz z charakterystycznym sapaniem.

– Jedną chwileczkę, panie Scherz – powiedział Abel. – Zaraz będę w pełni do pana dyspozycji. – Przetarł dłonią twarz.

Bettina Selzer. Tak miała na nazwisko. Zobaczył także przed sobą jej twarz. Beauty Queen o blond włosach. Jak na mój gust zbyt afektowana, ale większość moich kolegów wzdychała do niej.

Abel pokręcił głową zadziwiony tymi wspomnieniami, które tak nagle się pojawiły.

Byłem jeszcze na początku studiów i wtedy jeszcze miałem zamiar studiować naukowe podstawy medycyny, kiedy pojawiła się informacja o śmierci Bettiny. Podobno została otruta substancją, którą wstrzyknięto jej w okolicę podkolanową.

8

Naddniestrze. Ruiny budynku fabryki. Cztery lata wcześniej.

Kiedy Wadik zacisnął cęgi, Tiomę przeszył ognisty ból. Zmusił się, żeby nie otworzyć oczu, ale i tak wyobraził sobie tę straszną, krwawiącą dziurę po wyrwanej przez tego szaleńca brodawce sutkowej. Ból promieniował we wszystkich kierunkach, aż do mózgu, i w dół, do genitaliów. Tiomie zrobiło się niedobrze, wszystkimi porami łał się z niego pot, serce biło mu jak szalone, gubiąc przy tym rytm.

– Żryj, zasrana mordo! – rozkazał lejtnant dwa kroki dalej.

Tioma nie patrzył w tamtą stronę, ale odgłosy były jednoznaczne. Zwiria dyszał i przeklinał. Metal uderzył o kości, potem dobiegł ohydny zgrzyt. Lejtnant otworzył usta Zwirii cęgami, łamiąc mu przy tym zęby. Zwiria dławił się i jęczał.

– Połykaj! – nakazał lejtnant.

Nagle Tioma poczuł zapach spalenizny. Początkowo myślał, że ma halucynacje, ale potem poczuł po lewej stronie swojej piersi nowy palący ból. Zaskwierczało i zaleciało spaloną skórą i topiącą się tkanką tłuszczową, kiedy Wadik przyłożył płomień palnika do cięcia tam, gdzie zamiast jego brodawki sutkowej ziała czarna dziura.

– Masz szczęście, że w wojsku byłem sanitariuszem – poinformował go Wadik. – Zamykanie rany palnikiem jest tak samo dobre, jak zszycie. A przede wszystkim idzie szybciej! – Jego podkoszulka maskująca była poplamiona krwią.

Moją krwią, pomyślał Tioma i szybko zamknął oczy.

– Gdzie są ci z kotłem, do cholery jasnej? – zaklął lejtnant. – Witalij! Lew! – zaczął krzyczeć na cały głos. – Leniwe gnojki, przynieście tu kocioł polowy!

Od strony bramy dobiegły ciężkie kroki.

– A teraz odwrotnie – powiedział lejtnant i przystawił cęgi do piersi Zwirii. Potem jednak gwałtownie zrobił krok do tyłu. – No, coś takiego – rzucił z udawanym zdziwieniem i plasnął się dłonią w czoło. – Zupełnie zapomniałem objaśnić wam pozostałe reguły tej gry! Ale na szczęście są bardzo proste. Musicie tylko cały swój majątek przepisać na Władimira Bousejewa, wtedy będziecie mogli natychmiast pójść do domu. Chociaż wtedy nie będziecie już mieli niestety żadnego domu.

– Pocałuj mnie gdzieś! – wrzasnął Zwiria. – Wolę dać się pokrajać na kawałki niż oddać wam chociaż jednego rubla!

– Proszę bardzo – odparł lejtnant bez cienia jakiegokolwiek nawet emocji.

– Kim jest ten zasrany Bousejew? – wrzeszczał dalej Zwiria. – Należycie przecież do tego cholernego Generała, a ten, jak wiadomo, nazywa się...

Lejtnant niespodziewanie uderzył cęgami w splot słoneczny Zwirii, który zamilkł, rżąc.

– Wreszcie coś się zaczyna dziać! – Wadik zaczął szczypać na oślep obcęgami Tiomę w piersi i brzuch.

– Przestań, idioto! – ryknął na niego lejtnant. – Tutaj gramy ściśle według zasad, kiedy wreszcie to skapujesz? Przypomnij sobie lepiej, co się stało z twoim kumplem Ronią.

– Kurwa, tak, tego daliśmy psom na pożarcie – wymamrotał Wadik. – Rozkaz Generała, bo Ronia jakiemuś typowi przewiercił się do mózgu.

– To nie całkiem tak – wyjaśnił mu lejtnant. – Błąd Roni polegał na tym, że przewiercił czaszkę Siergiejowi Romonowowi, nie czekając na odpowiedni rozkaz!

Tioma o mało nie dostał zawału, kiedy usłyszał to nazwisko. Z Siergiejem Romanowem chodził do szkoły. Jeszcze ostatniej jesieni grali razem w Tyraspolu w tym samym klubie golfowym. Wtedy Siergiej objął kierownictwo kilku firm, które utworzyli jego ojciec i stryj w ostatniej dekadzie. Krótco potem Siergiej nagle zniknął. Pojawił się dopiero po kilku miesiącach, a Tioma ledwo go rozpoznał. Kuśtykał, jękał się i nie był w stanie skoncentrować się na jednej rzeczy dłużej niż pięć sekund. Rzekomo po „wypadku sportowym” spędził wiele miesięcy w klinice rehabilitacyjnej. Tioma długo zastanawiał się, w wyniku jakich wypadków przy uprawianiu sportu można odnieść takie obrażenia, zwłaszcza kiedy, tak jak było to w przypadku Siergieja, uprawia się praktycznie tylko golf. Tioma nie bardzo też rozumiał to, co krążyło w formie plotek, a mianowicie, że większość imperium firmowego Siergieja znalazła się w rękach tajemniczej spółki udziałowców.

Teraz znał już odpowiedź i ze strachu posikał się w swoje bokserki. Siergiej Romanow był wprawdzie chodzącym, czy może lepiej kuśtykającym, dowodem na to, że Generał niekoniecznie zawsze każe szlachtować swoje ofiary, ale dla Tiomy nie było to żadnym pocieszeniem.

Wolałbym już raczej umrzeć, pomyślał, niż jak Siergiej wegetować jako podrygujący wrak.

Z tych rozważań wyrwał go gulgocący krzyk Zwirii. Kiedy podniósł wzrok, Wadik podsuwał mu właśnie na otwartej dłoni okrwawioną brodawkę sutkową razem z okrągłym kawałkiem rozerwanej tkanki.

– Dobrze pogryź, zasrańcu – powiedział Wadik. – A potem połykamy!

9

**Berlin, Treptowers.
Jednostka Federalnego Urzędu Kryminalnego „Przypadki nadzwyczajne”.
Sala sekcyjna.
Wtorek 5 września godz. 11.23.**

Ten Aslewi ma wątrobę jak młody facet – powiedział Scherz. – To typowe dla fanatycznego, ortodoksyjnego muzułmanina. W końcu prorok surowo zabronił im picia alkoholu.

Lekarz naczelny sapał jak lokomotywa parowa, jego czoło błyszczało od potu.

– Nie każdy abstynent jest od razu islamistą – wtrącił Abel.

Wiedział jednak z bolesnego doświadczenia, że bardzo trudno zawrócić nieokrzesanego Scherza z raz obranego kierunku – zupełnie jak lokomotywę parową, która nabierze pędu.

– Zobacz pan – upierał się Scherz – że moja argumentacja dowodowa jest nie do zbiccia, można powiedzieć: absolutnie wodoszczelna.

To, że użycie wyrażenia „wodoszczelna” akurat w przypadku podejrzenia *waterboardingu* jest raczej niestosowne, nie przeszło nawet przez myśl temu gruboskórnemu człowiekowi.

– Kolega Horstmar z Charité miał całkowitą rację w ocenie jego stanu. Aslewi był zdrowy w każdym calu – ciągnął Scherz. – Ktoś taki nie dostaje ni stąd, ni zowąd zawału serca. A mimo to jego serce nosi ślady niedawnego zawału. Niech pan spojrzy.

Abel poszedł za nim do stołu sekcyjnego w głębi sali. W misce operacyjnej leżało badane już wcześniej przez Horstmara serce tego Turka kurdyjskiego pochodzenia. Mięsień sercowy był w licznych obszarach parocentymetrowej średnicy wyraźnie bielszy, a także wykazywał w nich jasnoczerwone krwotoki wewnętrzne.

Scherz podstawił miskę Ablowi pod nos.

– Serce Aslewiego było całkowicie zdrowe. Żadnego przerostu masy mięśniowej, dobra przepustowość naczyń wieńcowych i zastawki sercowe w znakomitym stanie. Żeby wywołać taki wzorzec ataku serca, jego prześladowca musiał mu niezłe dołożyć. Albo poprzez środki medyczne lub narkotyki, wyzwalające stany paniki i tym samym potężne reakcje stresowe, albo poprzez wprowadzenie ofiary, w sposób brutalny, w stan ekstremalnego strachu.

Abel przytaknął.

– Widzę to podobnie, panie kolego. Czy na narządach były jakiegokolwiek oznaki zatrucia lekami lub narkotykami?

– Najmniejszych – wyrzucił z siebie, sapiąc, Scherz. – Toksykologia dojdzie do tych samych wniosków, mogę się założyć. Niech pan spojrzy na to.

Wziął do ręki drugą miskę operacyjną. Znajdowały się na niej obydwie, zbadane już wcześniej, płuca, z których nadal wypływało sporo wody.

– Płuca są pełne wody. Po same brzegi – wyjaśnił Scherz. – Także i tutaj przyłączam się do wniosku

Horstmara. Przyczyną było wprowadzenie z zewnątrz wody, która poprzez tchawicę przedostała się aż do głębokich partii płuc. Włącznie z rozpoznaniem dotyczącym serca oraz wybroczyn krwawych wynikających z duszenia w jego mięśniach szkieletowych jest to oczywista wskazówka na to, że Aslewi został wprawiony w stan śmiertelnego strachu w wyniku tortury podtapiania!

Sapiąc, odwrócił się do zmarłego na stole sekcyjnym i wskazał na odsłonięte, zabarwione na brązowo mięśnie górnej połowy ciała, które zawierały liczne ciemnoczerwone, podbiegnięte krwią rozerwania.

– Dla mnie jest to jasne, jak słońce, co działo się w ostatnich minutach przed zgonem Aslewiego, i to w piwnicy niemieckiego parlamentu. To wręcz nie do wiary!

Lekarz naczelny coraz bardziej się nakręcał. Abel znał go na tyle dobrze, żeby zdawać sobie sprawę, jak pracuje jego głowa. Mimo to słuchał uważnie Scherza. W kwestiach dotyczących medycyny sądowej jego starszy kolega prawie zawsze miał absolutną rację. Dopiero kiedy wchodził dodatkowo w rolę kryminologa, zawsze się zagalopowywał.

– Jak wiadomo, przy torturze podtapiania ofiara unieruchamiana jest w pozycji na plecach, tak że głowa znajduje się niżej niż płuca – mówił mentorskim tonem Scherz. – Na twarz kładziona jest chusta i polewana wodą. Tym samym wyzwolony zostaje u ofiary odruch dławienia się, a oddychanie zostaje zaburzone. Ale w wyniku niższego położenia głowy ofierze nie wlewa się zazwyczaj przy tej torturze woda do płuc.

– Do tego momentu całkowicie podzielam pana zdanie – wtrącił Abel, ale Scherz notorycznie ignorował zdanie swoich współbliźnich.

– Wzorzec śladów po więzach na nadgarstkach i kostkach oraz na górnej części jego ciała jest jednoznaczny – kontynuował Scherz. – Najpierw, w celu dokonania *waterboardingu*, unieruchomiono go w pozycji na plecach, najprawdopodobniej na stole do tapetowania, który został znaleziony tam w piwnicy. Ale inaczej niż w zwykłych tego typu przypadkach, płuca Aslewiego wypełnione są po brzegi wodą. Zapewne coś tutaj poszło nie tak. Ale na to jest tylko jedno rozsądne wytłumaczenie: Aslewi był w śmiertelnym strachu. Ta tortura go zabiła.

Scherz zrobił krótką pauzę, żeby przejechać językiem po wargach.

– Jego hormonalna składowa stresu pracuje na pełnych obrotach – ciągnął. – Jego ciśnienie nieustannie wzrasta, a naczynia wieńcowe kurczą się aż do momentu, kiedy mięsień sercowy nie otrzymuje odpowiedniej ilości tlenu. A więc dostaje ataku angina pectoris. W wyniku tego popada oczywiście w coraz większy stres, zawał jest już tuż-tuż. Jego oprawcy musieli to zauważyć i podczas gdy woda ciągle leciała mu po twarzy, przenieśli go do pozycji siedzącej. Dostaje ataku serca, kiedy siedzi, a woda nadal leci przez przemokniętą ścierkę na jego twarzy. A to oznacza, że jego głowa znajduje się w pozycji wyższej od płuc.

Scherz przerwał znowu, żeby przenikliwie spojrzeć na Abła.

– Jego usta były z całą pewnością szeroko otwarte, ponieważ na przemian kurczowo próbował łapać powietrze i krzyczeć o pomoc. W ten sposób woda mogła przedostać się do płuc nie tylko poprzez dziurki w nosie, ale także usta. A to oznaczało dla niego fajrant. Koniec, kropka!

Scherz przerwał, dyszący i spocony. Abel o mało sam nie otworzył ust ze zdziwienia. Gdyby jego koledzy nie opuścili już sali sekcyjnej, to z pewnością zareagowaliby podobnie.

Abel jeszcze nigdy nie słyszał, żeby zdziwaczały lekarz naczelny wypowiedział tyle słów naraz, w dodatku z takim ożywieniem i takim przekonaniem. Zazwyczaj Scherz prawie nie otwierał ust, kiedy dyktował do protokołu swoje odkrycia i wnioski jako lekarz medycyny sądowej. Wyglądało jednak na to, że przypadek Aslewiego z jakiegoś powodu, bardzo go poruszył.

– Tak więc śmierć rzeczywiście nastąpiła w wyniku utopienia – dodał Scherz – jednakże wtedy Aslewi był już umierający z powodu ataku serca. Gdyby nie utopił się, to kilka minut później zmarłby na atak serca. To się nazywa właśnie koincydencją zdarzeń.

– Skąd pan wie, że on sam nie wyrwał się i nie usiadł w pozycji wyprostowanej? – zapytał Abel. Bo

wiedział bardzo wyraźnie, do czego zmierzają wnioski dowodowe lekarza naczelnego, i starał się z całych sił go od nich odwieść. Ale nie robił sobie raczej złudzeń pod tym względem.

– Ekstremalnie nieprawdopodobne – odpowiedział Scherz. – Skoro dopóki był na siłach, nie udało mu się wyprostować do pozycji siedzącej, to po kilkugodzinnych torturach sztuka ta tym bardziej by się mu nie udała.

Abel wzruszył ramionami i przytaknął. Niewiele można było przeciwstawić również i temu argumentowi. Mimo to jego intuicja mówiła mu, że lekarz naczelny myli się co do swojego podejrzenia skierowanego przeciwko CIA.

– Przyjmijmy, że Aslewi rzeczywiście zmarł w wyniku tortury podtapiania, jak pan to właśnie przedstawił – powiedział Abel. – W takim przypadku jednak sprawca nie mógł być zawodowcem. Perwersyjna logika tej metody tortur polega właśnie na tym, że ofiara przeżywa ją bez widocznych cielesnych uszkodzeń.

Scherz tak mocno pokręcił głową, że jego wystrzępiona broda zatrzęsała się wraz z podwójnym podbródkiem.

– Całkiem niedawno leciał na Arte film dokumentalny. Wynikało z niego w sposób jasny, że CIA w ten właśnie sposób i tą metodą zabiła wiele ze swoich ofiar w Abu Ghureib i w Guantanamo. Najpierw wyciskali z nich odpowiednie informacje. A potem, żeby zatuszować swoje czyny, unosili głowy ofiar na tyle wysoko, żeby woda przedostała się do płuc. W ten sposób ofiary były dosłownie topione za pomocą jednego wielkiego łyka wody.

Abel ze zdumieniem przyjął do wiadomości, że Scherz w wolnym czasie ogląda reportaże na kanale kulturalnym Arte. Nigdy by tego nie przypuszczał. *I to byłoby na tyle, jeżeli chodzi o znajomość ludzkiej natury*, powiedział sam do siebie.

– W przypadku *waterboardingu* chodzi o rodzaj tortur, który jest głównie stosowany przez tajne służby USA w walce przeciwko islamistycznemu terroryzmowi – pouczał go dalej niewzruszony Scherz. – Aslewi to były aktywista kurdyjskiego Hezbollahu, a więc radykalnej islamskiej organizacji terrorystycznej. To przemawia w sposób jednoznaczny za tym, że mamy tutaj do czynienia z jednym lub kilkoma sprawcami ze środowiska tajnych służb amerykańskich, którzy prowadzą działania w ramach tajnej operacji przeciwko islamskim komórkom terrorystycznym.

– A dlaczego akurat w piwnicy gmachu parlamentu? Czy także i na to ma pan gotowe wyjaśnienie?

Scherz wydał z siebie jedno ze swoich charakterystycznych chrząknięć.

– Aslewi pracował tam jako sprzątac. Prawdopodobnie był uspiętym agentem, którego przemycił Hezbollah albo Państwo Islamskie, żeby przygotować zamach samobójczy.

Abel nabrał głęboko powietrza. Najwyraźniej Scherza kompletnie już poniosło.

Powoli jednak również Abel zaczął się poważnie niepokoić. Ale nie z powodu rzekomo przygotowywanego ataku, ponieważ ewentualność, że islamscy terroryści bez wiedzy Federalnej Służby Wywiadowczej BND kręcą się po parlamencie, nadal wydawała mu się czymś absurdalnym. Zaczął jednak zadawać sobie pytanie, czy tym razem lekarz naczelny przyjmie bez sprzeciwów ingerencje Abła w jego raport, wykreślając te szaleńcze teorie spiskowe. I co powie na to Herzfeld, kiedy dowie się, że Abel zignorował jego polecenie i nie zajął się osobiście sprawą Aslewiego.

– Musi pan poinformować Herzfelda! – wyrzucił z siebie Scherz, jakby w odpowiedzi na jego myśli. – Szef musi natychmiast powiadomić Federalnego Prokuratora Generalnego! Zagroza nam niebezpieczeństwo!

– To, co Herzfeld i ja musimy zrobić, proszę pozostawić naszej trosce. – Abel poklepał go po ramieniu, żeby złagodzić ostrość tych słów. – Jest pan znakomitym lekarzem medycyny sądowej – dodał zaraz. – Proszę sporządzić teraz swoją ekspertyzę, a wszystko pozostałe proszę pozostawić w gestii odpowiednich szczebli.

Abel powątpiewał, czy Scherz usłyszał tę ostatnią radę – nie mówiąc już o zastosowaniu się do niej,

gdyby nawet przyjął ją do wiadomości. W każdym razie lekarz naczelny ruszył już w kierunku przebieralni, zanim Abel zdołał dokończyć ostatnie zdanie.

No, trudno, pomyślał. Najlepiej powiem Herzfeldowi całą prawdę, zanim wybuchnie tutaj bomba – odpalona jednakże przez Scherza, a nie islamistycznych terrorystów.

Dopiero kiedy jechał windą na górę, do biura Herzfelda, przypomniał sobie, że jego szef chciał go wysłać ze specjalnym zadaniem „na dziki wschód Europy”. Normalnie ucieszyłby się z takiej małej przygody, ale w obecnej sytuacji powiększyło to tylko jego niepokój.

Jeżeli Herzfeld na zlecenie rządu federalnego będzie przebywał gdzieś na drugim końcu świata, a ja w tym samym czasie trafię na jakąś Wołoszczyznę, to kto będzie uważał, żeby Scherz nie sprowokował w tym czasie jakiegoś dyplomatycznego skandalu?

10

Naddniestrze. Ruiny budynku fabryki. Cztery lata wcześniej.

Między Zwirią a Tiomą stał kocher na gaz z butli z czymś w rodzaju kociołka na gulasz na wierzchu. To przestarzałe urządzenie przytaszczyli Witalij i Lew, a Wadik uruchomił palnik. Woda już się gotowała w żeliwnym garnku.

– Wystarczy, że podpiszesz – powiedział lejtnant tonem wyzbytym z jakichkolwiek emocji, przykucając przed Zwirią. Zwiria zaczął szarpać łańcuchem, którym jego stopy były przymocowane do podłoża. Lejtnant przyłożył cęgi do lewego dużego palca od nogi Zwirii i zapytał obojętnie: – Podpiszesz?

Zwiria targał więzami na stopach i rzucał głową we wszystkie strony. Tioma przeczuwał, że Zwiria raczej umrze, niż zgodzi się na żądania prześladowców.

– Myślałem, że to się nazywa przepisać – dodał Wadik.

– To jest to samo, kretynie! – warknął na niego lejtnant.

Tioma usiłował rozpaczliwie zwrócić na siebie uwagę lejtnanta. Jednak gardło miał całkowicie ściśnięte, a całe ciało wręcz sparaliżowane. Wydawał z siebie tylko nieartykułowane pojękiwania. Czuł się potwornie, miał wrażenie, że zaraz starci przytomność. Ale przedtem musiał koniecznie przekazać swoją wiadomość.

– Podpiszę! – udało mu się w końcu wykrztusić. – Dostaniecie wszystko... wszystko, co do mnie należy... Gdzie, gdzie...

Zwiria ryczał i szarpał łańcuchami. Kocioł z wodą bulgotał. Tioma tylko z ogromnym trudem rozumiał, co lejtnant mamrocze do siebie, przykucnięty nad stopami Zwirii.

– Tu nie chodzi o ciebie, mały. Twoją nędzną firmę i tak już dawno przyrzekł Generałowi.

Odsunął cęgi od stopy Zwirii, sprawdził ostrość ich kantów i znów je przyłożył.

– Co ty gadasz?! – krzyknął Zwiria. – Nie wierz w ani jedno jego słowo, Tioma, on kłamie!

Tioma pokręcił tylko bezsilnie głową. Nie chciał teraz słuchać zapewnień Zwirii, w które i tak by nie uwierzył. Chciał posłuchać tego, co ma do powiedzenia lejtnant, żeby wreszcie móc zrozumieć, co tutaj jest grane. Zawroty głowy były coraz silniejsze. Nie miał już wiele czasu, zaraz straci przytomność. Jego serce biło jak oszalałe, co chwila gubiąc rytm. Był cały zlany potem i jednocześnie marzył tak okropnie, jakby wsadzono go do chłodni.

Chłodnia na trupy, pomyślał Tioma. Jeżeli teraz zemdleję, to być może nigdy już się nie obudzę.

– Tylko, że twój brat mądrała totalnie się przeliczył – ciągnął lejtnant. Nadal mówił tonem tak pozbawionym emocji, jakby czytał prognozę pogody. – Generał chce nie tylko twoją połówkę, mały, ale także pozostały kawałek. No więc, podpiszesz teraz? – zapytał znowu, nie podnosząc nawet głowy w kierunku Zwirii.

– Wolę zdechnąć, niż wsadzić wam chociaż jednego rubla do tyłka! – krzyknął Zwiria.

Lejtnant zacisnął cęgi i z ostrym chrzęstem przeciął kości dużego palca od nogi Zwirii. W tym

momencie Tioma zemdlal po raz drugi.

Berlin, Treptowers.
Jednostka Federalnego Urzędu Kryminalnego „Przypadki nadzwyczajne”.
Biuro profesora Paula Herzfelda.
Wtorek 5 września godz. 11.56.

Kiedy Abel wszedł do przestronnego, narożnego biura swojego szefa, Herzfeld wiesział właśnie marynarkę na wieszaku w ściennej szafie. Najwyraźniej wrócił właśnie ze spotkania w Ministerstwie Spraw Zagranicznych.

– To będzie gorąca sprawa, i to nie tylko jeśli chodzi o klimat – powiedział Herzfeld i wskazał na skoroszyt z napisem „Sprawa poufna – tajne!”, który leżał na stoliku w narożniku dla gości.

Ze skoroszytu wysunęło się kilka kolorowych fotografii dużego formatu. Abel dostrzegł zarysy wielkiego kontenerowca zacumowanego przy nabrzeżu portowym, pełnym zardzewiałych dźwigów i palm. Na podłodze mostka kapitańskiego leżało najprawdopodobniej kilka, przykrytych plandekami ciał.

Herzfeld gestem dłoni wskazał Ablowi jeden z foteli dla gości, a sam usiadł naprzeciwko.

– Kolejny atak piratów u wybrzeży Somalii – powiedział. – Tym razem padło na frachtowiec niemiecki, kontenerowiec „MSC Gustav”. Na pokładzie było także pięciu ludzi z prywatnej agencji ochroniarskiej. Piraci gonili statek na ścigaczach i usiłowali dokonać abordażu ze wszystkich stron. Załoga broniła się zacięciem i po półgodzinnej wymianie ognia przepędziła piratów. Ale są ofiary śmiertelne, co najmniej siedmiu zabitych po stronie niemieckiej. Było kilka eksplozji granatów ręcznych rzuconych przez piratów i kilkuminutowy ostrzał z moździerzy. Prawie wszystkie ofiary są zmasakrowane nie do poznania i częściowo także spalone. Jeżeli chodzi o dokładny przebieg wydarzeń w trakcie wymiany ognia, koledzy z balistyki nie są jeszcze zgodni. Mam zbadać tam na miejscu zabitych i ich zidentyfikować. Aha, do tego kilku marynarzy uznano za zaginionych, co oznacza, że liczba ofiar śmiertelnych z pewnością wzrośnie.

Abel zmarszczył czoło.

– To może być bardzo niebezpieczne, Paul. Kto zagwarantuje, że piraci nie dokonają kolejnego napadu, kiedy będziesz akurat na pokładzie?

– Armia somalijska. – Herzfeld zrobił ironiczny grymas. – Poza tym nasi chłopcy z BND i wolni strzelcy, którym zleca się tam czarną robotę. Teraz muszę napić się kawy. Ty też, Fred?

Abel skinął głową. Był zaniepokojony. Nie po raz pierwszy wprowadzono Herzfelda o pomoc w wyjaśnieniu zamachów lub zbrodni wojennych – wiele lat temu identyfikował między innymi w byłej Jugosławii ofiary masakry w Srebrenicy. Abel pracował wtedy razem z Herzfeldem, i oczywiście doszło do groźnych sytuacji z serbskimi oddziałami paramilitarnymi, które nadal włączyły się, plądrując po okolicy. Ale ta ich ówczesna misja odbywała się na oczach opinii światowej i pod ochroną błękitnych hełmów ONZ. Natomiast wybrzeże somalijskie znajdowało się, w mniejszym lub większym stopniu, pod panowaniem uzbrojonych po zęby band kryminalistów. A rząd federalny, rok przed wyborami do

Bundestagu, nie był raczej zainteresowany straszaniem własnej opinii publicznej obrazami niemieckich żołnierzy wracających do domu w trumnach.

Z konferencyjnego termosu Herzfeld nalał do dwóch filiżanek błyszczącą oleiście kawę. Ponieważ regularnie prowadzili szkolenia dla egipskich patologów, nigdy nie brakowało im zapasów znakomitej kawy orientalnej.

– Na razie media nic o tej sprawie nie wiedzą – ciągnął Herzfeld, kiedy upili po łyku. – Ci na górze będą usiłowali za wszelką cenę utrzymać zakaz rozpowszechniania informacji tak długo, jak będzie to możliwe. Pani kanclerz i ministrowie już teraz obawiają się nagłówków w gazetach, jak możesz sobie wyobrazić.

Abel przytaknął.

– Na twoim miejscu miałbym jednak pewne obawy, nie tyle z powodu nagłówków, co piratów.

– No przecież nie przeciągną mnie pod kilem. – Herzfeld zaśmiał się w swój charakterystyczny sposób. – A w razie potrzeby wiem, jak chronić własną skórę. Ale teraz o tej drugiej sprawie, z powodu której cię tu poprosiłem.

Podszedł do biurka i wrócił z bladoniebieskim skoroszytem, wypełnionym dokumentami i fotografiami.

– Minister spraw wewnętrznych chciałby bardzo, abym przejął także i to zlecenie – powiedział. – Na szczęście udało mi się go przekonać, że nie posiadam zdolności bilokacyjnych i że mam znakomitego zastępcę, który jest prawie tak samo doświadczony i renomowany jak ja.

– Dzięki za komplement – odpowiedział sucho Abel. – I to przekonało ministra?

– Całkowicie – powiedział Herzfeld. – Zwłaszcza że to zadanie wymaga przede wszystkim mocnych nerwów i nieco wycucia. Twoim celem jest Tyraspol, stolica Naddniestrza.

Abel nie wierzył własnym uszom.

– Dokąd mam lecieć? Do hrabiego Drakuli?

– Nigdy nie posłałbym cię do wampirów, Fred – zapewnił go Herzfeld. Przekartkował skoroszyt. – Chociaż istotnie może to być podróż w czasie z lekkim dreszczykiem grozy – ciągnął dalej. – Naddniestrze to niewielkie pseudopaństwo na wschodnim brzegu rzeki Dniestr, między Ukrainą na wschodzie a Republiką Mołdawii na zachodzie. Na dossier rzuciłem tylko pobieżnie okiem – położył bardzo gruby skoroszyt przed sobą na stole – ale według mnie powinieneś przygotować się na pomniki Lenina, pałace Stalina i flagi z sierpem i młotem na ulicach.

Abel spojrzał na niego zdumiony.

– To jakiś dowcip? Nigdy nie słyszałem o tym miniaturowym Związku Radzieckim.

– Ja do niedawna także nie – pocieszył go Herzfeld. – Naddniestrze nie jest uznawane w prawie międzynarodowym przez żadne państwo świata, nawet przez Rosję, mimo że stacjonuje tam 14. Armia rosyjska, strzegąca linii demarkacyjnej między Mołdawią a Naddniestrzem. Mieszkańcy Naddniestrza obawiają się z kolei, że wraz z Mołdawią zostaną wcieleni do jej wielkiego brata, Rumunii, mimo że większość opowiada się za sojuszem z Rosją. Na zachód od Dniestru używa się języka rumuńskiego, a na wschodnim brzegu rosyjskiego. Od czasu krótkiej, ale krwawej wojny secesyjnej w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym drugim roku, podczas której było około tysiąca zabitych, konflikt został „zamrożony”, jak politycy określają taką patową sytuację.

Na biurku Herzfelda rozdzwonił się telefon, ale on w ogóle nie reagował. Jednak kiedy rzucił okiem na zegarek na rękę, ton jego głosu nie był już tak rozluźniony i swobodny.

– Sytuacja polityczna w Naddniestrzu jest nieco zagmatwana, ale w miarę stabilna – kontynuował swój wywód. – Kraj ten, mimo swoich dekoracji z czasów sowieckich, nie jest bardziej autorytarny, skorumpowany czy zacofany gospodarczo od swojego zachodniego sąsiada; tak w każdym razie zapewniano mnie w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Jest raczej odwrotnie: w mołdawskiej stolicy Kiszyniowie odbyły się niedawno demonstracje, ponieważ miliard euro pomocy z Unii Europejskiej wsiąkł w ciemne kanały. – Herzfeld wzruszył lekko ramionami. – Z tamtejszymi zawirowaniami,

włącznie z nostalgią za czasami Związku Radzieckiego, nie będziesz miał raczej kontaktu. Jedziesz na osobiste zaproszenie naddniestrzańskiego prezydenta i zostaniesz odebrany na lotnisku w stolicy, Tyraspolu, bezpośrednio przez jego ludzi. Jednak główną osobistością na drugim planie jest podobno tamtejszy oligarcha Jefim Stiepanow. Dwóch siostrzeńców tego bardzo zamożnego przedsiębiorcy, Spiridon i Artemij Stiepanowicze, zniknęło bez śladu przed czterema laty. Ich matka to siostra Stiepanowa, Jekaterina, która z kolei zginęła trzydzieści lat temu w niewyjaśnionych okolicznościach... podobno w wyniku zamachu, mimo że w tamtym czasie w Związku Radzieckim nie było oficjalnie zamachów terrorystycznych.

Uniósł nieco brew, żeby dać do zrozumienia, co sądzi o tego typu urzędowych dogmatach. Abel ograniczył się do skinienia głową i upicia kolejnego łyka kawy.

– Stiepanow wychował tych dwóch, jak własnych synów – referował Herzfeld dalej. – Mieli nawet przejąć kiedyś jego firmowe imperium. Niecałe dwa tygodnie temu w ruinach jakiejś fabryki w pobliżu Tyraspolu znaleziono dwa trupy, czy może lepiej, to, co po nich pozostało, w metalowym kontenerze. Kontener był wypełniony niegaszonym wapnem, a ciała uległy prawie całkowitemu rozkładowi. Prawdopodobnie chodzi o pozostałości po Spiridonie i Artemiju Stiepanowiczach. W twojej misji chodzi więc głównie o zidentyfikowanie obu zmarłych i wyjaśnienie okoliczności ich zgonu.

Herzfeld zamknął dossier, przysunął je do Abla i oparł się na swoim fotelu. Telefon na jego biurku znów zadzwonił. Abel widział po Herzfeldzie, że najchętniej podziękowałby mu za spotkanie i wyprosił za drzwi razem z całym tym dossier, ale Abel nie ruszał się z miejsca. Coś mu się w tym wszystkim nie zgadzało.

– Czegoś tu nie rozumiem – powiedział. – Czy w Naddniestrzu nie mają własnych lekarzy medycyny sądowej, którzy mogliby to załatwić? I dlaczego Ministerstwo Spraw Zagranicznych chce, abyśmy spełnili prośbę prezydenta państwa, którego nasz rząd nie uznaje?

Herzfeld spojrzał na niego z uznaniem i przytaknął.

– Dwa pytania, dwa strzały w dziesiątkę. Pełen szacunek, Fred. To są w samej rzeczy dwa wątpliwe punkty w tej całej sprawie. Pamiętasz zapewne Jurija Burkianowa, który zaszczycił nas swoimi odwiedzinami trzy tygodnie temu?

– Tego agenta wywiadu? I to jak – powiedział Abel. – Nieprzyjemny typ. Ale co on ma wspólnego z zaginionymi w Naddniestrzu? On jest przecież Rosjaninem, o ile dobrze pamiętam.

– To zależy – odpowiedział Herzfeld. – W każdym razie ma rosyjski paszport. Ale to dotyczy zapewne większości mieszkańców Naddniestrza. Z dokumentami, jakie wystawiają im ich władze, nie mogą nigdzie pojechać, ponieważ ich kraj nie jest uznawany przez żadne państwo na świecie. Ale Rosjanie pomagają im bardzo chętnie, wydając własne dokumenty podróży, tak jak nawiasem mówiąc, po drugiej stronie, Mołdawianom w szerokim zakresie pomagają Rumuni, zaopatrując ich w oficjalne dokumenty.

Abel pokręcił głową i wypuścił powietrze, wydymając policzki. Herzfeld chciał właśnie mówić dalej, ale jego blackberry wydał z siebie alarmujące dźwięki. Herzfeld, po rzucie oka na wyświetlacz, wymamrotał przeprosiny i podniósł się, żeby odebrać połączenie na drugim końcu biura.

– Herzfeld – usłyszał Abel. – Pani sekretarz stanu?

Ale myślami był już przy Juriju Burkianowie.

12

Berlin, Treptowers.
Jednostka Federalnego Urzędu Kryminalnego „Przypadkii nadzwyczajne”.
Biuro profesora Paula Herzfelda.
Wtorek 5 września godz. 12.37.

Abel bardzo dobrze zapamiętał tego mocno zbudowanego łysielca około sześćdziesiątki, któremu kilka tygodni temu robił obdukcję na zlecenie Prokuratury Federalnej. Burkianow złożył doniesienie na nieznanego sprawcę, twierdząc, że został napadnięty w biały dzień na Kaiserin Augusta Strasse w berlińskiej dzielnicy Charlottenburg. Zaatakowali go rzekomo dwaj mężczyźni ubrani w kominiarki. Jeden z nich uderzył go w potylicę twardym narzędziem, a drugi wykręcił mu rękę do tyłu. Razem zaciągnęli go do limuzyny mercedesa zaparkowanej przy chodniku i usiłowali wsadzić do bagażnika. Jednego napastnika obezwładnił ciosem pięści, a drugiego kopniakiem między nogi i potem uciekł. Dziwnym zbiegiem okoliczności nie było żadnych świadków tej rzekomej próby porwania, mimo że wszystko miało się wydarzyć w biały dzień na ruchliwej ulicy w centrum Berlina. Burkianow dostarczył tylko wyjątkowo ogólnikowy opis sprawców. Równie mgliste było uzasadnienie jego wniosku o udzielenie azylu politycznego w Niemczech, jaki złożył trzy miesiące wcześniej. Twierdził bowiem, że bliżej nieokreśleni „poplecznicy władzy” rzekomo grożą mu śmiercią.

– To, nie byłby pierwszy taki przypadek, że ktoś w sytuacji Burkianowa pozoruje napad na siebie samego – skomentowała lakonicznie tę sprawę Lisa Suttner, partnerka życiowa Abela. Lisa zajmowała wysokie stanowisko w Prokuraturze Federalnej. Żyli już razem ze sobą od około dziesięciu lat w związku, który Abel uważał za bardzo szczęśliwy.

– Ktoś, kto twierdzi, że jest prześladowany z powodów politycznych – dodała Lisa – całkiem spokojnie może wpaść na pomysł, żeby uprawdopodobnić nieco takie rzekome sznykany.

Abel dokładnie przebadał rzekomą ofiarę napadu i doszedł do wniosku, że wszystkie wzorce obrażeń odpowiadają opisanemu przez Burkianowa przebiegowi wydarzeń. Przedramiona Burkianowa wykazywały typowe zranienia obronne, a na potylicy miał potężnego guza, jaki powstaje w wyniku uderzenia twardym, tępyim przedmiotem. Na obu goleniach widoczne były liczne otarcia, które jak najbardziej mogły powstać podczas wpychania go, wbrew jego woli, do bagażnika przez tylną krawędź.

Z drugiej strony, zawodowiec mógł sam zadać sobie te zranienia albo wykorzystać pomoc osób trzecich. A Burkianow, jako wysoko postawiony agent służb specjalnych, był bez wątpienia ekspertem w wytwarzaniu fałszywych śladów. Już patrząc na jego przebiegłą minę i niemal pozbawione barwy oczy, jak u zdechłej ryby, niejednego można się było po nim spodziewać.

W swoim pisemnym raporcie Abel napisał, że z punktu widzenia medycyny sądowej nie stwierdzono zasadniczej sprzeczności między udokumentowanymi obrażeniami a opisanym przez Burkianowa przebiegiem zdarzeń. W żadnej innej mierze nie zajmował się potem tą sprawą i w związku z tym nie wiedział, że Jurij Burkianow jest wielką szyczą nie w rosyjskich, lecz w naddniestrzańskich tajnych

służbach.

– Przepraszam cię, Fred – powiedział Herzfeld. – Ta sprawa z Somalią staje się coraz bardziej gorąca. Lecę już dzisiaj wieczorem rządową maszyną do Boosaaso.

Znów opadł na swój fotel, smartfona położył przed sobą na stole i spojrzał na Abla z mającym mu dodać otuchy uśmiechem.

– Jeszcze jakieś pytania dotyczące twojego wypadu do Naddniestrza?

– Całe mnóstwo – powiedział Abel. – Ze względu na twój kalendarz terminów ograniczę się jednak do najważniejszych. A więc przede wszystkim: co ma wspólnego Burkianow z siostrzeńcami tego oligarchy?

– To, mam nadzieję, odkryjesz – odpowiedział Herzfeld. – Być może zamordował tych dwóch albo kazał zamordować, a być może nie ma absolutnie nic wspólnego z tą sprawą. Jeszcze jakieś trzy miesiące temu Burkianow i oligarcha Stiepanow byli w każdym razie szarymi eminencjami w otoczeniu prezydenta Szewczuka. Burkianow był szefem tajnych służb, Stiepanow kontroluje nadal większą część regionalnej produkcji przemysłowej. Obaj uważani byli za bliskich sojuszników, ale później Burkianow popełnił błąd: prawdopodobnie miał zamiar usunąć Szewczuka z urzędu za pomocą zamachu stanu, żeby samemu zająć prezydencki fotel. Tak przynajmniej wynika z raportu BND, który także odnajdziesz w tych dokumentach. – Herzfeld wskazał na bladoniebieski skoroszyt.

– Przypuszczalnie prezydent Naddniestrza dowiedział się o planowanym puczu – ciągnął Herzfeld – i wydał rozkaz aresztowania Burkianowa. Temu udało się w ostatnim momencie uciec z kraju, a jako miejsce swojej emigracji wybrał Berlin. Jak się zapewne domyślasz, nasze służby specjalne nie są tym faktem szczególnie zachwycone. W różnych wywiadach Burkianow przedstawiał się wprawdzie jako zagorzały zwolennik demokracji i państwa prawa, ale według BND utrzymuje bliskie kontakty z naddniestrzańskimi i rosyjskimi organizacjami przestępczymi. Zanim popadł w niełaskę w ojczyźnie, miał dokonać porwań kilku lokalnych potentatów ekonomicznych, żeby wymuszać okupy i przejmować całe gałęzie gospodarki. Nigdy jednak nie udowodniono mu tego w sposób niezbity.

– Rozumiem – powiedział Abel. – Siostrzeńcy oligarchy pasują więc do schematu jego łupów.

Znów zobaczył w myślach łysego agenta służb specjalnych o oczach martwej ryby. *Fizjonomia psychopaty*, pomyślał. Ale starał się unikać wyciągania przedwczesnych wniosków z subiektywnych wrażeń. Doświadczenie nauczyło go, że pozory i rzeczywistość rzadko się pokrywają, a z wrażeń dotyczących wyglądu zewnętrznego absolutnie nie powinno się wysnuwać wniosków dotyczących wnętrza człowieka.

– Porwanie siostrzeńców pasowałoby do jego schematu postępowania – przyznał Herzfeld. – Jak dotąd jednak nie udowodniono mu żadnych mordów i zabójstw, co niewiele znaczy. Być może tylko nie chciał osobiście brudzić sobie rąk. W każdym razie nie powinno cię już dziwić, dlaczego naszemu ministrowi spraw zagranicznych tak bardzo zależy, żeby to któryś z nas dwóch osobiście zbadał oba trupy z kontenera z wapnem.

Spojrzał wyczekująco na Abla.

– Niech zgadnę – powiedział Abel. – W Naddniestrzu są z pewnością zdolni medycy sądowi. Jednakże w kraju, w którym jeszcze w dwudziestym pierwszym wieku oddaje się hołd pomnikom Lenina, raczej nie jest najlepiej z niezależnością zarówno medycyny sądowej, jak i całego wymiaru sprawiedliwości. A ponieważ Burkianow jeszcze kilka miesięcy temu był szefem miejscowych tajnych służb, to prawdopodobnie nadal ma tam na tyle silne wpływy, żeby sterować dochodzeniami według własnego uznania albo co najmniej utrudniać ich przebieg. Prezydent Szewczuk i jego oligarcha Stiepanow mogą mieć w tym punkcie te same interesy, co władze niemieckie: obie strony chcą, żeby Burkianow został postawiony przed naddniestrzańskim sądem, a potem możliwie szybko zniknął za kratami. Żeby przygotować taki praworządny proces sądowy potrzebny jest, tam na miejscu, niezależny lekarz medycyny sądowej, który będzie odporny na lokalne próby zastraszania i absolutnie niezależny, jeśli chodzi o rozgrywki polityczne.

Herzfeld pochylił się do przodu i poklepał Abła po plecach.

– Tak to dokładnie wygląda, Fred. Lepiej nie mogłaby tego sformułować nawet pani prokurator federalna.

Wziął jeszcze raz do ręki bladoniebieski skoroszyt i otworzył go na pierwszej stronie.

– Masz lot w czwartek rano – powiedział. – Lądujesz o ósmej w Tyraspolu, zostaniesz zawieszony bezpośrednio na miejsce znalezienia zwłok, a potem do Instytutu Medycyny Sądowej, gdzie dokonasz sekcji pozostałości obu zmarłych. Powrót do Berlina wieczorem tego samego dnia.

Zamknął skoroszyt i znów przesunął go w stronę Abła.

– Jeżeli nie masz dalszych pytań, to chciałbym cię teraz przeprosić.

Znowu odezwał się telefon na jego biurku. Tym razem Herzfeld podniósł się wprawdzie, ale nie odchodził od fotela.

– Jeszcze jedna rzecz – powiedział Abel, który także wstał ze swojego miejsca. – Chodzi o tę sprawę z torturami podtapiania.

Herzfeld spojrział na niego z nowym zainteresowaniem.

– Znalazłeś coś podczas obdukcji?

Abel pokręcił przecząco głową.

– Nic nowego. Sprawę przejął Scherz, wiem, że chciałeś, żeby było inaczej – dodał pośpiesznie. – Ale miałem uzasadnione powody. I przypilnuję, żeby nic nie wymknęło się spod kontroli.

Herzfeld chrząknął.

– Jakie powody? – zapytał i tylko jego zwięzione nieco oczy wskazywały, że jest zaintrygowany.

Telefon na jego biurku zamilkł. Za to znów odezwał się blackberry alarmującym potrójnym dzwonkiem.

– Jak dotąd, jest to tylko przecucie – przyznał Abel. – Jestem jednak przekonany, że za tym fałszywym aktem zgonu kryje się coś dużego. Być może seria zabójstw, która rozpoczęła się przed dwudziestu laty.

Herzfeld przycisnął smartfona do ucha i słuchał uważnie. Z zaaferownym wyrazem twarzy skinął głową w kierunku Abła i pomachał mu ręką na pożegnanie.

Abel postanowił uznać to za znak, że Herzfeld zaakceptował jego decyzję.

**Naddniestrze.
Ruiny budynku fabryki.
Cztery lata wcześniej.**

Musisz mnie zrozumieć, braciszku – powiedział Zwiria. – Naprawdę nie chciałem tego zrobić, ale nie miałem innego wyboru!

Jego głos był stłumiony. Tioma nie miał nawet tyle siły, żeby podnieść głowę i spojrzeć na Zwirię. Nieruchomo patrzył w dół, na swoje stopy. Tam, gdzie jeszcze niedawno były duże palce, wystawały teraz ze strzępów mięsa krwawe kikuty. Amputowane kawałki Wadik wrzucił do kotła na gulasz, a rany przypalił palnikiem.

Ból przepływał falami przez nogi Tiomy, aż do górnej części ciała. Niczego bardziej nie pragnął, jak znów stracić przytomność. Błoga ciemność, żadnego strachu, żadnego bólu. Niestety wiedział, że również i ta ostatnia droga ucieczki została przed nimi zamknięta.

Najpierw myślał, że nadal śni, jednak nie był to żaden sen.

Wadik chlusnął mu w twarz wiadrem zimnej wody, a potem pojawił się przed nim Generał, ze staromodną szklaną strzykawką w ręku.

– Zostaw, durniu – powiedział, a Wadik odskoczył na bok, jak zbity pies.

– Na wszelki wypadek dam zastrzyk im obu – dorzucił Generał w kierunku lejtnanta, wkłuwając igłę w zgięcie łokcia Tiomy. – Wtedy serce i krążenie u tych typków będzie śmigąło przez około trzy godziny, nawet jeżeli wrzucicie wyższy bieg. – Spojrzał na lejtnanta nieruchomymi kamiennymi oczami. – Masz dostarczyć dzisiaj do godziny dwudziestej. Kapujesz?

Lejtnant skinął głową i spojrział na zegarek. Tioma nagle całkowicie się rozbudził. Lejtnant miał na przegubie złotego roleksa, który w ogóle nie pasował do jego srebrnego sygnetu.

Zegarek Zwirii. Podzielili już łupy.

Dziwnym trafem Generał miał taki sam szeroki srebrny sygnet, jak lejtnant. Dał zastrzyk także Zwirii, a potem zniknął za opuszczaną bramą. Po chwili na podwórzu fabryki rozległ się odgłos zatrzaszczanych drzwi samochodu, dźwięk włączanego silnika i jakiś pojazd oddalił się szybko. Nie był to żaden pracujący z warkotem GAZ-66, lecz limuzyna zachodniej produkcji, z aksamitnie mruczącym silnikiem.

– Baby mnie zrujnowały, a poker ostatecznie wykończył – lamentował Zwiria dwa kroki od Tiomy. – Kapujesz, braciszku?

Tioma nie odpowiedział. I tak nie wiedziałby, co powiedzieć. Czuł się śmiertelnie zmęczony i zarazem totalnie nakrecony. Przerażony i wypompowany. Jego serce biło tak regularnie i wolno, jak wahadło zegara z kukułką. Zupełnie, jakby Generał dał mu nie tylko zastrzyk, ale przez dziurę w jego piersi zamontował rozrusznik. A każde uderzenie wywoływało niedające się wręcz wytrzymać echo bólu w jego stopach, klatce piersiowej, w głowie.

Kocher na gaz z butli był tak ustawiony, że Zwiria i Tioma mogli dokładnie obserwować, jak powiększa się zawartość „gulaszu” w kociołku. W gotującej się wodzie pływały już cztery palce od nóg,

a Wadik właśnie znów ukucnął przed Tiomą.

– Sto milionów rubli długów karcianych – lamentował Zwiria – a ten pieprzony Generał potajemnie wykupił weksle. A potem nasłał na mnie swojego zbira – splunął w kierunku lejtnanta, wypluwając przy okazji połówkę zęba – a ten wcisnął mi swojego glocka do tyłka: oddajesz całą kasę albo nacisnę spust!

– I wtedy postanowiłeś mnie poświęcić – powiedział Tioma bardziej do siebie.

Nie zdziwiło go to nawet w połowie tak, jak się spodziewał. Jakaś jego część była już chyba od zawsze przygotowana na to, że Zwiria go zdradzi.

– Kurwa, braciszku, nie, o poświęceniu nie ma mowy! – bronił się Zwiria. – Nie kapujesz? To wszystko było tylko blefem! Ciągłe się zastanawiałem, w jaki sposób wcisnąć im tę część naszej firmy, która i tak nic nie jest warta. I kiedy przyszedłeś z propozycją, żeby podzielić wszystko pół na pół, to z radości najchętniej bym cię uściskał!

Tioma zmusił się do ignorowania oprawcy Wadika, który siedział w kucki przed nim w kałuży krwi, moczu i wody i szczekał cęgami.

– Co to ma znaczyć? – zapytał Zwirię. – Która część jest i tak nic nie warta?

– No, twoja, główniana optyczna! – krzyknął Zwiria. – Dotychczas firma dostarczała każdego roku setki lunet i peryskopów dla armii rosyjskiej i nieźle na tym zarabiała. Ale wiem z pewnego źródła, że w przyszłym roku Rosjanie chcą to zlecenie przekazać jakiejś pieprzonej firmie w Soczi, a wtedy twój sklepik jest skończony! Rozumiesz? Bo Ruscy są twoimi jedynymi klientami!

Tioma zapomniał na chwilę nawet o strachu i bólu, tak był skołowany.

– A operat szacunkowy? – zapytał. – Z tej moskiewskiej firmy doradczej?

Ziwiria zaśmiał się drwiąco.

– Ty niewinny aniołeczku! To było rzecz jasna kupione!

– A więc chciałeś orznąć zarówno mnie, jak i Generała – powiedział Tioma. Było to stwierdzenie, nie pytanie. – Mieli mnie porwać i naciskać, abym przepisał na nich część optyczną, a ty pozbyłbyś się długów. A w następnym roku, kiedy Generał zorientowałby się, że kupił martwą firmę, ty zapewniałbyś, że o niczym nie wiedziałeś. Taki był plan, Zwiria?

– Tak, kurwa, coś w tym stylu – wyburczał Zwiria.

Lejtnant ukucnął przy nim.

– Dlaczego twój braciszek dowiaduje się o tym dopiero teraz? – spytał zupełnie obojętnym tonem. – Podpiszesz teraz? – Uderzył Zwirię cęgami w goleń.

– Do kurwy nędzy, nie! – ryknął Zwiria. – Potnij mnie na kawałki, ty pojebany rzeźniku!

Cęgi szczęknęły niemal w tym samym momencie. Tioma i Zwiria zaczęli krzyczeć. Ból uruchomił błyskawice w mózgu Tiomy. Miał uczucie, jakby ktoś wyciskał mu oczy z czaszki od środka. Zazgrzytał zębami i szarpnął łańcuchami.

Wadik zebrał odcięte palce i wrzucił je do kociołka na gulasz. Palnik do cięcia metalu nastawił na mały płomień. Małe fontanny krwi wytryskiwały z ran po odciętych palcach, ale Wadikowi udało się po kilku sekundach zastopować krwawienie.

– To jak, dupku? – Lejtnant po raz setny zwrócił się do Zwirii. Cęgi dyndały w jego luźno opuszczonej dłoni. – Mały podpis i możecie iść, gdzie chcecie.

– Idź do diabła! – wydusił z siebie Zwiria.

– Jak chcesz – powiedział lejtnant. – Myślisz, że jesteś takim twardzielem, co? No to skróćmy nieco to wszystko.

Jego garnitur także był już mocno ubrudzony bryzgami krwi. Twarz, a nawet fryzura z żelem były pomazane czerwonymi smugami.

– Dajemy sobie spokój z palcami – poinstruował Wadika. – A więc ostatnia szansa chłopcy: albo podpisujecie, albo wasze kutasy trafią do garnka. Tylko żeby potem nie było płaczu, że nie zostaliście w porę ostrzeżeni.

– Podpiszę! – wyrzucił z siebie Tioma. – I gwarantuję, że nasz wuj zgadza się na wszystko! Nie potrzebujecie podpisu Zwirii!

Nikt nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi.

– Idźcie wszyscy do diabła! – wykrztusił Zwiria przez zaciśnięte zęby.

Lejtnant przyłożył obcęgi do górnego brzegu bokserek Zwirii i ściągnął mu je aż do kostek.

– Hej, szefie, chwileczkę – powiedział Wadik. – Obiecałeś mi.

– Co obiecałem? – wyburczał lejtnant.

– No wiesz przecież, kamiennego kutasa – powiedział Wadik z miną spiskowca. – Obiecałeś, że następnemu typowi, którego będziemy obrabiać, będę mógł wsadzić to do tyłka!

Berlin, Treptowers.
Jednostka Federalnego Urzędu Kryminalnego „Przypadki nadzwyczajne”.
Biuro doktora Freda Abła.
Wtorek 5 września godz. 13.12.

Jego biuro było dużo mniejsze niż narożne, reprezentacyjne biuro Herzfelda, ale Abel był całkowicie z niego zadowolony. Wprawdzie oba fotele i niewielki stolik w niszy dla gości były permanentnie zasłane papierami, jednak, kiedy ktoś go odwiedzał, to po prostu przekładał nagromadzone ekspertyzy, czasopisma fachowe, protokoły z obdukcji i wyroki sądowe na podłogę.

Żeby w niewielkim chociaż stopniu zrównoważyć brak okien, Abel kazał na ścianie naprzeciwko swojego biurka umieścić wielki płaski ekran w chromowanych ramach, który wyglądał prawie jak okno z przyciemnionego szkła. Czasami pozwalał sobie na żarty i zaskakiwał swoich gości, zapierającym dech w piersiach widokiem na południowo-wschodni Berlin, transmitowanym na żywo z kamery na tarasie trzydziestego drugiego piętra.

Dzisiaj jednak monitor na ścianie pozostawał ciemny, podczas gdy Abel siedział przy biurku i zagłębiał się w naddniestrzańskie dossier. Nadal niepokoiła go myśl, że Herzfeld, gdzieś w Rogu Afryki będzie się musiał zmagać z uzbrojonymi piratami. Natomiast, jeżeli chodziło o jego misję w Europie Wschodniej, to wychodził z założenia, że będzie wprawdzie nieco męcząca, ale prawdopodobnie zupełnie niegroźna.

Po upadku Jugosławii w wyniku wojny domowej Abel dokonywał w Bośni i w Kosowie sekcji i identyfikacji licznych cywilnych ofiar serbskich oddziałów paramilitarnych. Początkowo tych wielu zabitych w masowych grobach i ślady po torturach na rozkładających się w dużym stopniu zwłokach powodowały u niego spory stres. Jednak po tych doświadczeniach widok pozostałości dwóch ciał w kontenerze z wapnem nie powinien wzbudzić w nim większych emocji.

Tylko kiedy myślał o psychopatycznej twarzy Burkianowa o nieruchomych rybich oczach, jego puls nieco przyspieszał. Z tym, że ten były szef tajnych służb będzie raczej unikał osobistego pojawienia się w Naddniestrzu, gdzie musi liczyć się z aresztowaniem.

Główną część dossier stanowił raport z dochodzenia naddniestrzańskiego wydziału zabójstw, który został sporządzony przez prowadzących tę sprawę oficerów śledczych Władimira Gruwczenkowa i Wiktorię Lomaskow. Ich, na szczęście przetłumaczony na angielski, raport został zakwalifikowany jako ściśle tajny i zaczynał się od zniknięcia bez śladu Spiridona (wtedy trzydziestoosmioletniego) i Artemija (wtedy trzydziestosiedmioletniego) Stiepanowów przed około czterema laty. Obaj bracia pojechali do położonej niedaleko Tyraspolu wsi o nazwie Pilipcza i od tego czasu uważani są za zaginionych.

Limuzynę bmw Spiridona znaleziono w pobliżu wiejskiej gospody. Sędziwy właściciel zeznał do protokołu, że tego feralnego dnia obaj mężczyźni zjedli u niego późny obiad. Kiedy zapłacili i opuścili lokal, gospodarz, według własnych słów, położył się do łóżka i natychmiast zasnął. Ani on, ani żaden

inni mieszkańcy Pilipczy nie zauważyli nic podejrzanego. Wyglądało na to, że obaj siostrzeńcy potężnego oligarchy Jefima Stiepanowa zapadli się pod ziemię na piętnastu metrach, jakie dzieliły samochód od gospody.

Oficer śledczy Lomaskow i jej kolega Gruwczenkow byli przekonani, że zarówno gospodarz, jak i inni mieszkańcy wsi musieli zaobserwować coś podejrzanego. Praktycznie każdy w Naddniestrzu chociaż raz widział zdjęcie Spiridona Stiepanowa w gazecie. W tej zapadłej wsi musiał swoim złotym bmw wzbudzić co najmniej taką sensację, jak rozpościerający ogon paw w kurniku. To, że mieszkańcy Pilipczy twierdzą, że nic nie zauważyli, można, według obu oficerów śledczych, wytłumaczyć tylko i wyłącznie jednym: strachem.

Nie był to pierwszy przypadek tego rodzaju. W ciągu dwóch lat „bez śladu” zniknęło w Naddniestrzu w sumie siedmiu zamożnych i bardzo zamożnych przedsiębiorców. Niemniej cała siódemka po jakimś czasie pojawiła się znowu. Jednakże żaden z poszkodowanych nie złożył doniesienia przeciwko swoim porwaczom, ani też nie zwierzył się żadnemu dziennikarzowi. To, co przydarzyło się im w okresie zniknięcia, pozostawało całkowicie w mroku. Wszyscy, z wyjątkiem jednego, niemal natychmiast przenieśli się za granicę, do Europy Zachodniej, a nawet do USA.

Jedyne fakty, jakie w ogóle udało się ustalić oficerowi śledczemu Gruwczenkowowi i jego koleżance, jeśli chodzi o tamte przypadki, to bardzo zły stan fizyczny osób po powrocie. Właściciel firmy produkującej broń stracił oko, prezeska sieci hoteli widziana była po swoim ponownym pojawieniu się z protezą dłoni. Jeden z najbardziej znanych młodych przedsiębiorców, Siergiej Romanow, doznał w czasie „zniknięcia” tajemniczego uszkodzenia głowy, które zmieniło go w trzęsący się i podrygujący kłębek nerwów. A były to tylko te zmiany, które można było dostrzec na pierwszy rzut oka.

Oboje oficerowie śledczy byli przekonani, że osoby te zostały porwane przez zawodowców i okrutnie torturowane. Wiele wskazywało na to, że wypuszczono je dopiero wtedy, gdy przepisały na swoich prześladowców – względnie ich mocodawców – duże części swojego majątku.

Z dokumentów wynikało także, że działania dochodzeniowe Gruwczenkowa i Wiktorii Lomaskow były bardzo utrudniane zarówno przez naddniestrzańskie tajne służby, jak i Ministerstwo Spraw Wewnętrznych oraz Ministerstwo Gospodarki, a samym oficerom wielokrotnie grożono. Jednak ta dwójka nie dała się zniechęcić i wykryła, że co najmniej Siergiej Romanow i jeszcze jedna ofiara porwań przepisali swoje przedsiębiorstwa i udziały kapitałowe na obywatela rosyjskiego nazwiskiem Władimir Bousejew. Ten Bousejew był siedemdziesięciodwuletnim emerytem zamieszkałym w Nowosybirsku; więcej nie udało się ustalić na jego temat.

„Według wszelkiego prawdopodobieństwa w przypadku Bousejewa chodzi o osobę podstawioną”, jak stwierdzono w raporcie śledczym nieustraszonych naddniestrzańskich funkcjonariuszy. „Osoba lub osoby odpowiedzialne za domniemaną serię przestępstw, każą przepisywać wymuszone wartości majątkowe na nieposzlakowanego zapewne dotychczas emeryta, żeby ukryć własną tożsamość oraz sprawstwo.

Spiridon i Artemij Stiepanowie, w przeciwieństwie do siedmiu pozostałych ofiar, nie powrócili żywi po swoim tajemniczym zniknięciu w Pilipczy. Poza tym wzorzec działania jest jednak, o ile udało się to stwierdzić, identyczny. Z tego faktu można, według nas, wyciągnąć wniosek, że podczas tego podwójnego porwania coś poszło nie tak z punktu widzenia sprawców. Znajdująca się w posiadaniu obu ofiar grupa przedsiębiorstw nie została także, według naszych ustaleń, przepisana na Bousejewa, lecz nadal pozostaje potwierdzoną w dokumentach własnością obu siostrzeńców Stiepanowa. Część optyczna tej grupy przedsiębiorstw ogłosiła dwa lata temu niewypłacalność, po tym jak jej obroty spadły w roku poprzednim o dziewięćdziesiąt pięć procent.

Jefim Stiepanow ustanowił tymczasowego zarządcę dla obu części koncernu i kilkakrotnie wypowiadał się publicznie, że jest pewny szybkiego powrotu obu »następców tronu«. Po odnalezieniu dwóch ciał w hali maszyn pod Tyraspołem, nic już właściwie nie przemawia za tą optymistyczną wersją. Cały, zamknięty przed dwudziestu laty, teren fabryczny, należy do Jewgienija Bałkowa,

szwagra Jurija Burkianowa, doskonale znanego ze względu na sprawowane funkcje, a obecnie przebywającego w Berlinie, Niemcy”.

Następne akapity raportu były sformułowane tak zawile, że Abel niektóre fragmenty musiał czytać po dwa razy. Nie wierzył jednak, że Gruwczenkowa i Lomaskow nagle opuściła odwaga. To, że posuwali się naprzód tak ostrożnie, jak na nieuprzątniętym polu minowym, wynikało zapewne z tego, że swoim raportem zbliżyli się do naddniestrzańskiego jądra ciemności.

„W wyniku nakazu aresztowania z 7 czerwca tego roku przeciwko Jurijowi Burkianowowi, do niedawna generałowi naddniestrzańskich tajnych służb, w sposób zdecydowany wzrosły szanse na wyjaśnienie serii porwań, włącznie ze zniknięciem Spiridona i Artemija Stiepanowów. Wiele wskazuje na to, że w przypadku instancji, która przez kilka lat masowo utrudniała nasze dochodzenia, chodzi o wyżej wymienionego byłego generała oraz jego popleczników w strukturach tajnej policji, Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Ministerstwa Gospodarki.

Od kiedy podejrzany uciekł do Niemiec, żeby uniknąć aresztowania z powodu domniemanej zdrady stanu, nasze dochodzenie w sprawie Spiridona i Artemija Stiepanowów wyraźnie posunęło się naprzód. Niektórzy świadkowie naoczni, którzy dotychczas nie mogli sobie nic przypomnieć, dostarczyli jednak szczegółowych opisów domniemanych sprawców oraz częściowego opisu przebiegu domniemanego porwania, po tym, jak ogłoszono, że B. został pozbawiony wszelkich stanowisk, a prezydent państwa powołał komisję, która ma zbadać jego domniemane nielegalne machinacje.

Na podstawie relacji naocznych świadków, w tym również właściciela gospody w Pilipczy, 3 lipca b.r. B. został oskarżony o porwanie Spiridona i Artemija Stiepanowów, a 2 sierpnia b.r. skazany pod nieobecność na karę więzienia w wysokości 20 lat. Dochodzenia dotyczące siedmiu pozostałych przypadków porwań jeszcze trwają”.

W tym miejscu raportu dołączona była pojedyncza, złożona w połowie, kartka. Abel wygładził ten gęsto zadrukowany papier i stwierdził, że jest to streszczenie raportu BND, o którym wspominał Herzfeld. Prawdopodobnie to sam Herzfeld, albo ktoś z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, specjalnie umieścił je w tym miejscu dokumentacji, żeby ułatwić czytającym orientację. W każdym razie dokument ten dostarczał odpowiedzi na kilka pytań, które w raporcie dochodzeniowym oficerów naddniestrzańskich pozostawały otwarte.

Z notatki BND wynikało, że Prokurator Generalny Naddniestrza, już trzeciego sierpnia tego roku wezwał władze niemieckie do wydania Jurija Burkianowa Tyraspolowi w celu wykonania na nim prawomocnego wyroku. Z powodu problematycznego statusu w świetle prawa międzynarodowego i istniejących wątpliwości dotyczących praworządności procedury, która doprowadziła do skazania Burkianowa pod jego nieobecność, Republice Federalnej Niemiec, jak napisano w tym dokumencie, nie pozostawało nic innego, jak tylko odrzucić prośbę o deportację.

Kilkanaście dni później, dwudziestego pierwszego sierpnia tego roku, odkryto kontener wypełniony wapnem z pozostałościami dwóch ciał w hali nieczynnej fabryki pod Tyraspołem.

„Podejrzenie, że chodzi o śmiertelne szczątki poszukiwanych od lat siostrzeńców oligarchy Stiepanowa, było bardzo prawdopodobne”, stwierdzono dalej w notatce BND. „Z tego powodu Prokurator Generalny Naddniestrza nakazał dokonanie natychmiastowej obdukcji przez lokalnych lekarzy medycyny sądowej. W tej kwestii osobiście interweniowały jednak u prezydenta małżonki (tudzież domniemane wdowy) Spiridona i Artemija Stiepanowów, obawiając się, że w ten sposób prawda nigdy nie wyjdzie na jaw. Instytut Medycyny Sądowej w Tyraspolu jest podporządkowany Ministerstwu Spraw Wewnętrznych, a odpowiedzialny za te kwestii szef wydziału jest protegowanym byłego generała Burkianowa, który nadal posiada w aparacie państwowym licznych popleczników. W tym świetle obawy obu małżonek wydają się jak najbardziej uzasadnione. Poprosiły prezydenta, żeby ciała znalezione w metalowym kontenerze z niegaszonym wapnem, które uległy już znacznemu rozkładowi, poddać badaniom przez niezależnych ekspertów z jednego z krajów Unii Europejskiej”.

Abel kilkakrotnie pokręcił głową, czytając pobieżnie ten dokument BND. Zdziwiło go nieustannie, mimo misji na Bałkanach, jakie odbył, że w krajach europejskich, oddalonych tylko o kilka godzin lotu samolotem od Berlina czy Paryża, że chaos i samowola są nadal czymś normalnym. Prezydent Naddniestrza, jak stwierdzono w dalszej części tej notatki BND, przychylił się do prośby domniemyanych wdów i nakazał natychmiastowe przerwanie obdukcji obu zmarłych dokonywanych w Tyraspolu. Sekcja jednego z ciał była już wtedy zakończona, a drugie nadal znajdowało się w stanie, w jakim zostało odkryte. Oba ciała i dowody rzeczowe znajdowały się w chłodni na zwłoki nieczynnej kliniki w aglomeracji tyraspolskiej.

„*Tę zaskakującą na pierwszy rzut oka przychylność naddniestrzańskiego prezydenta*”, jak kończyło się streszczenie raportu BND, „*można wyjaśnić przynajmniej po części tym, że Ministerstwo Spraw Zagranicznych zasygnalizowało swoją gotowość do przychylnego rozpatrzenia wniosku o deportację ze strony władz naddniestrzańskich, jeżeli Jurij Burkianow miałby zostać ponownie skazany na podstawie niezależnego dochodzenia w przejrzystym postępowaniu sądowym zgodnym z zasadami państwa prawa*”.

Abel odchylił się na oparcie swojego biurowego fotela, żeby raz jeszcze przemyśleć to, czego dowiedział się z dossier. Niedawno przeczytał w fachowym czasopiśmie „Forensic Science, Medicine and Pathology” pracę przeglądową zatytułowaną *Chemiczne pozbywanie się zwłok przez rozkład ciała w niegaszonym wapnie: z historycznej i aktualnej perspektywy*. Autorzy tego bogatego w materiały studium pochodzili w przeważającej części z krajów byłego Związku Radzieckiego. Nie był to z pewnością przypadek, ponieważ tam właśnie ta metoda likwidacji zwłok, czy też silnego utrudniania ich identyfikacji, jest nadal bardzo rozpowszechniona.

W okresie istnienia Związku Radzieckiego głównie agenci KGB pozbywali się zwłok swoich zmarłych w wyniku tortur ofiar poprzez umieszczanie ich w beczkach i innych pojemnikach z niegaszonym wapnem. Obecnie metoda ta była bardzo popularna także w kręgach zorganizowanej przestępczości byłego ZSRR. Według autorów studium wyjaśnieniem tego jest przede wszystkim fakt, że setki byłych agentów KGB zmieniło front i pracuje dzisiaj jako płatni zabójcy lub specjaliści od tortur dla mafii rosyjskiej i innych struktur zorganizowanej przestępczości.

Z punktu widzenia sprawców ten rodzaj usuwania ciał ma ogromne zalety, rozważał na swój użytek Abel. Zapach wapna tłumi gnilno-słodkawy odór, jaki wydobywa się z rozkładających się zwłok. Poza tym wapno niegaszone nie tylko rozkłada ciało, lecz na dłuższą metę uniemożliwia dokonanie identyfikacji na podstawie analizy DNA, ponieważ poddaje je degradacji i tym samym rozbija na części składowe. Jednakże ten proces rozkładu nigdy nie przebiega jednakowo i w związku z tym sprawcy nie mogą być pewni, że DNA rzeczywiście zawsze ulega degradacji.

Odgłos telefonu wyrwał go z tych rozmyślań. Abel podniósł słuchawkę i usłyszał głos swojego przyjaciela, profilerę w Federalnym Urzędzie Kryminalnym, Tima Jankowskiego.

– Nadkomisarz Lubitz poprosiła mnie, abym wspierał Grupę Specjalną w poszukiwaniach seryjnego zabójcy posługującego się torturą podtapiania – powiedział Jankowski, kiedy już wymienili pozdrowienia. – Masz kilka minut? Interesuje mnie, rzecz jasna, twoja ocena tej sprawy.

Abel potrzebował dobrej chwili, żeby myślowo przełączyć się z kontenera z wapnem na *waterboarding*, następnie opisał mu możliwie precyzyjnie swoje wrażenia dotyczące tej sprawy, dodając, że za taką tezę przemawia na razie tylko jego przecucie.

– Okay, wielkie dzięki, Fred – odparł Jankowski. – To ważne wskazówki, które pomogą mi dalej.

Abel chciał już zakończyć rozmowę, kiedy nagle przyszło mu coś do głowy.

– Słyszałeś może o Naddniestrzu? – zapytał.

– Nad... co? Chyba nie zacząłeś nagle wierzyć w wampiry, co Fred?

W głosie Jankowskiego pobrzmiwało zdumienie. Abel wyobrażał go sobie, jak otwiera szeroko oczy i gestykułuje rękami. Ten profiler Federalnego Urzędu Kryminalnego był dryblasowatym, młodzieńczym

typem i wyglądał na dużo młodszego niż na trzydzieści osiem lat, jakie miał na karku.

– Naddniestrze, nie Transylwania – wyjaśnił, śmiejąc się Abel. – To jest takie karłowate pseudopaństwo w Europie Wschodniej, o którym także i ja dotychczas nic nie słyszałem. Lecę tam pojutrze, żeby zidentyfikować dwa ciała, bardzo zaawansowane w rozkładzie w wapnie niegaszonym. Coś ci wpada do głowy, tak spontanicznie, na temat tej metody pozbywania się ciał, co ewentualnie powinienem uwzględnić tam na miejscu?

– Spontanicznie? – powtórzył Jankowski. Zastanawiał się przez chwilę, zgodnie ze swoim rozważnym charakterem. – Po pierwsze: KGB – wyrzucił w końcu. – Podczas zimnej wojny tajne służby sowieckie były znane z tego, że pozbywały się zwłok wrogich agentów i miejscowych dysydentów w dołach lub pojemnikach wypełnionych niegaszonym wapnem. Fred, przecież ty wiesz lepiej od mnie, jakie zalety ma ta substancja z punktu widzenia kogoś, kto chce pozbyć się ciał na zawsze, albo przynajmniej utrudnić, o ile nie uniemożliwić, ich identyfikację.

– Jasne – rzucił Abel. – Dlatego też tak rzadko służby te mogły oprzeć się tej pokusie. Nawiasem mówiąc, Naddniestrze należało wcześniej do Związku Radzieckiego i po części robi wrażenie, jakby nadal do niego należało. W każdym razie zgadzasz się z moją oceną, że umieszczanie w pojemnikach z niegaszonym wapnem ciał ofiar zmarłych w wyniku tortur wskazuje na sowieckie lub postsowieckie tajne służby?

– Może wskazywać – przyznał Jankowski. – Oczywiście, wszystko zależy od pozostałych okoliczności czynu.

– A jeżeli one także pasują do wzorca stosowanego przez ten domniemany krąg sprawców? – doprecyzował Abel.

– Wtedy zdeponowanie zwłok w niegaszonym wapnie uznałbym za dodatkową wskazówkę, wspierającą tę hipotezę. Interesuje cię, co jeszcze, tak spontanicznie, wpadło mi do głowy na ten temat?

– No, jasne – odrzekł Abel. – Kto jeszcze ma słabość do tej metody? Może mafia sycylijska?

– Mam tu raczej na myśli historyczny przypadek – powiedział Jankowski. – Legendarny Henry Howard Holmes prowadził w latach dziewięćdziesiątych dziewiętnastego stulecia hotel w Chicago i zamykał w swojej piwnicy dziesiątki gości, żeby później torturować ich tam na wszelkie możliwe sposoby, a potem mordować. Gazem, siekierą, trucizną, nożami, co tylko chcesz. Upodobał sobie zwłaszcza młode kobiety, ale również dzieci pasowały do wzorca jego ofiar. W swojej piwnicy horroru zbudował nawet rodzaj krematorium. Wiele ciał poddał rozkładowi za pomocą substancji, która w tamtym czasie nazywała się żrącym wapnem. To nic innego, jak właśnie niegaszone wapno, które wydaje się nadal popularne w twoim mrocznym Naddniestrzu.

– Naddniestrzu – poprawił go Abel. – Ale według dostępnych mi informacji dotyczących tego kraju określenie mroczne może jak najbardziej pasować. Opowiem ci o tym później, kiedy się znowu zobaczymy.

Umówili się na weekend za dwa tygodnie przy kieliszku wina i zakończyli rozmowę. Abel ponownie sięgnął po skoroszyt dotyczący Naddniestrza i przyglądał się wielkoformatowym zdjęciom rozkładających się ciał.

Dla Burkianowa, jako szefa tajnej służby, który zrobił karierę w KGB jeszcze za czasów Związku Radzieckiego, zastanawiał się Abel, ta metoda usuwania ciał jest zapewne czymś jak najbardziej naturalnym. Jednak, żeby udowodnić mu bezpośredni udział w tej zbrodni, musiałbym nie tylko udokumentować, że w przypadku ciał w kontenerze z wapnem chodzi o pozostałości po siostrzeńcach Stiepanowa, lecz poza tym znaleźć sławetny smoking gun z odciskiem jego palca na spuście – czyli jakiś niepodważalny dowód na to, że osobiście zabił tych dwóch mężczyzn albo zlecił ich zamordowanie, względnie odkryć wzorzec działania, który można by w sposób jednoznaczny przypisać Burkianowowi.

Tak więc mógł się już chyba pożegnać z wizją, że jego krótki wypad na „dziki Wschód Europy”, jak

określił to Paul Herzfeld, będzie spokojną, nudną raczej misją. Burkianow z pewnością dowiedział się już o tym, że naddniestrzański prezydent zlecił niemieckiemu patologowi włączenie się do wyjaśnienia sprawy domniemanego podwójnego zabójstwa. A w takiej sytuacji ten były szef służb specjalnych z całą pewnością nie będzie beczynnym przypatrywał, jak jego przeciwnik gromadzi dowody, żeby wsadzić go za kraty na resztę życia. Nawet jeżeli nie odważy się raczej pojechać incognito do Naddniestrza, to posiadał zapewne nadal na tyle mocne wpływy, żeby znacznie utrudnić pracę Abła tam, na miejscu.

W takim razie zobaczymy, kto z nas dwóch jest lepszy w swoim fachu, powiedział do siebie Abel. Poczł dobrze znane mrowienie w okolicach żołądka.

Obudziła się w nim gorączka myśliwego.

**Berlin, Treptow.
Restauracja Sage.
Wtorek 5 września godz. 13.52.**

Sage znajdowała się w jednej z dawnych fabryk na brzegu Szprewy. Biuro Abła w Treptowers dzielił od tej nowocześnie urządzonej restauracji co najwyżej dziesięciominutowy spacer. Mimo to rzadko przychodził tutaj, czy też do licznych innych pobliskich barów i lokali, których kolorowe parasole słoneczne tłoczyły się wzdłuż brzegu. Jego czas pozwalał mu z reguły na szybki obiad w kantine Federalnego Urzędu Kryminalnego na siedemnastym piętrze imponującej szklanej wieży, o ile nie przebywał gdzieś w Berlinie, w Niemczech lub na zagranicznej misji.

Dzisiaj był miły wyjątek. Lisa powiedziała przy śniadaniu, że w okolicy pory obiadowej ma spotkanie w pobliżu Treptowers, a Abel zaproponował spontanicznie, żeby zjedli wtedy coś małego razem. Umówili się na trzynastą, ale niestety, jak to się często zdarzało, Abel się spóźnił. O 13.15 napisał do niej SMS-a: „*Będę dopiero o wpół do drugiej, Twój Fred*”. Jednak tym razem potrzebował wyjątkowo jeszcze dodatkowych dwudziestu minut.

„*Późny obiad*”, pomyślał, dokładnie takiego sformułowania użyli naddniestrzańscy oficerowie śledczy w swoim raporcie dochodzeniowym. Bezpośrednio potem obydwaj bratankowie oligarchy zniknęli, „*jakby zapadli się pod ziemię*”.

Lisa i on na pewno nie znikną bez śladu po wspólnym lunchu. Mimo to, po lekturze tej dokumentacji, wydało mu się rzeczą nieco makabryczną, że spotykali się akurat w byłej hali fabrycznej. Mimo że ta poddana luksusowej renowacji budowla z okresu przemysłowego XIX wieku różniła się od zrujnowanej hali maszyn pod Tyraspołem jak dzień od nocy.

Dostrzegł Lisę przy stoliku pod oknem z widokiem na przynależącą do restauracji plażę na brzegu Szprewy. Abel pomachał jej, a ona uśmiechnęła się do niego. Na szczęście wyglądało na to, że Lisa nie jest zagniewana, że po raz kolejny kazał jej na siebie czekać. Abel przecisnął się do niej i przywitał czułym pocałunkiem. Mimo swoich czterdziestu czterech lat szczupłą sylwetką, czerwonymi jak rdza włosami i ciemnozielonymi oczami przyciągała pożądliwe spojrzenia wielu mężczyzn. Chociaż byli ze sobą już od dziesięciu lat, Abel rozkoszował się każdą minutą, jak mógł spędzić z Lisą. Była prawie dwa lata młodsza od niego, a on niczego bardziej sobie nie życzył, jak zestarzeć się właśnie z tą kobietą.

Oboje znajdowali się nadal w najbardziej aktywnej fazie swojego życia. Lisa była jedną z najlepszych prawniczek i zajmowała wysoką pozycję w Prokuraturze Federalnej. Abel żałował niekiedy, że w swoim eleganckim domu w południowo-wschodnim Berlinie nigdy nie usłyszą śmiechu dziecka. Ale Lisa postawiona przed wyborem: dzieci albo kariera, zdecydowała się na karierę, a Abel nie mógł robić jej z tego powodu wyrzutów. Oboje żyli swoją pracą.

– Przepraszam, znowu się spóźniłem – powiedział i usiadł przy stole naprzeciwko niej. – Nie wyobrażasz sobie nawet, co się u nas znowu dzieje. Paul leci dziś wieczorem do Somalii, a ja pojutrze do Naddniestrza, z powodu...

– Do Naddniestrza? – wpadła mu w słowo Lisa. Popatrzyła na niego przez chwilę badawczo. – Zdajesz sobie sprawę, że to dosyć niebezpieczny zakątek, prawda?

Abel wzruszył ramionami.

– Nie jest tak strasznie, w każdym razie tak twierdzi Ministerstwo Spraw Zagranicznych i BND. Albo, jak wyraził się Herzfeld, sytuacja jest tam nieco zagmatwana, ale w miarę stabilna.

– Nie brzmi zbyt uspokajająco – zauważyła Lisa. – Mówiłam ci o tej wielkiej sprawie, jaką się teraz zajmuję. – Abel kiwnął głową i jednocześnie przesunął wzrokiem po menu. Lisa, z całą należną dyskrecją, wspomniała mu kilkakrotnie w ostatnich dniach o spektakularnej serii zabójstw i tortur w połowie Europy, które były dziełem organizacji mafijnej z byłej Jugosławii. Gang składał się z byłych, strauwatyzowanych żołnierzy, którzy podczas polowań na członków wrogich grup przestępczych postępowali z niebywałym wręcz okrucieństwem. W trakcie inscenizowanych, bardzo medialnych egzekucji całych klanów gangsterskich wzorowali się prawdopodobnie na meksykańskich i kolumbijskich mafiach narkotykowych.

– Naddniestrze nie należy do byłej Jugosławii – wtrącił Abel.

Kiedy kelner zbliżył się do ich stolika, przerwali swoją małą dysputę. Lisa zamówiła sałatkę Cezar, Abel zdecydował się na diabła morskiego z bobikiem. Jakoś pasowało to, według niego, do dnia, w którym myślał o kilku sprawcach naraz, a każdy z nich zasługiwał na przydomek „diabelski”. Typ stosujący tortury podtapiania, sprawca z upodobaniem do zastrzyków z trucizną aplikowanych w okolice podkolanową i wreszcie pozbawiony skrupułów były szef tajnych służb Burkianow: diaboliczne trio, jakie nawet w ich wydziale nie zdarzało się codziennie.

– Układy w Naddniestrzu są nawet jeszcze bardziej ekstremalne niż w byłej Jugosławii – kontynuowała Lisa wątek po tym, jak kelner zniknął po odebraniu zamówienia. – Zanim na początku lat dziewięćdziesiątych interweniowali tam Rosjanie, kraj ten był, w mniejszym lub większym stopniu, w rękach band kryminalistów. Syberyjskiej, ukraińskiej, kirgiskiej mafii – wyliczała. – Praktycznie każdy postsowiecki syndykat przestępczy miał tam swoją filię. Zwłaszcza miasto Bender, leżące dzisiaj przy granicy z Mołdawią, było całkowicie podzielone między mafijne klany.

Nalała sobie wody mineralnej i bez pytania napełniła również szklanekę Abła. Bo dobrze już znali własne przyzwyczajenia, ale jednocześnie respektowali fakt, że druga strona potrzebuje pewnej dozy swobody i poza wspólnym życiem ma prawo do własnego.

– Czytałem o tym – powiedział Abel. – Ale z dokumentacji, jaką zgromadziło Ministerstwo Spraw Zagranicznych wynika, że stosunki za czasów rządów obecnego prezydenta znacznie się poprawiły. Nowy rząd zerwał z machinacjami starego reżimu. Najlepszym tego dowodem jest to, że zaprosili do kraju niezależnego eksperta, który ma im pomóc w wyjaśnieniu całej sprawy.

Lisa spojrzała na niego wielkimi oczami.

– Czy to oznacza, że w sprawie, którą masz badać, zamieszane są jakie ciemne typy ze starego reżimu?

– O tym, nie mogę mówić – odpowiedział Abel. – Wiesz, jak to jest, Lisa: ściśle tajne przez poufne i tak dalej.

Kelner przyniósł zamówienie i Abel skoncentrował się na swoim diabelskim daniu. Zanim Lisa zdołała poddać go dalszemu przesłuchaniu, włożył do ust kawałek fileta ryby z dwoma bobikami. Lisa nadal spoglądała na niego zaniepokojona, nie zwracając uwagi na swój talerz z sałatką.

– Wylatuję w czwartek bardzo wcześnie rano, ale już późnym wieczorem będę z powrotem – wyjaśniał Abel. – A w godzinach między tymi terminami i tak nic nie zobaczę z tego kraju, ponieważ będę otoczony mnóstwem ochroniarzy.

Miał nadzieję, że tymi słowami uspokoi Lisę, ale nawet w jego uszach zapewnienie to nie brzmiało zbyt wiarygodnie.

Jeżeli Burkianow ma wśród ludzi z siłą bezpieczeństwa chociaż jednego swojego człowieka, pomyślał Abel, to może mi narobić sporo problemów.

**Naddniestrze.
Ruiny budynku fabryki.
Cztery lata wcześniej.**

Coś ty zrobił, cholerny kretynie?! – wrzasnął lejtnant.

– Zrobił, co zrobił? – powtórzył jak echo Wadik.

Lejtnant wskazał na brzuch swojego debilnego podwładnego. Wadik przewiązał się zaimprovizowanym pasem do mocowania sztucznego penisa, ale penis zniknął.

Zwiria leżał przed nimi na podłodze hali obok kociołka na gulasz, którego zawartość dawno już przestała bulgotać. Płomień palnika na propan zgasł, a obaj więźniowie też wyglądali tak, jakby życie ledwie się w nich tliło.

Tioma nadal wisiał na łańcuchu, jego oczy były szeroko rozwarte, ale miały tak szklany wyraz jak denka butelek. Wadik nie zakładałby się już raczej, czy jeszcze dycha, na wszelki wypadek nawet nie sprawdzał. Ten drugi, Zwiria, opierał się na podudziach, które Wadik odpowiednio ułożył, ze stopami przyczepionymi nadal do obręczy w podłodze, i nadgarstkami skrępowanymi opaskami zaciskowymi do mocowania kabli. Tułów był przechylony do przodu, czoło dotykało zaplamionej podłogi, jak u muzułmanina, który modli się w kierunku Mekki.

Łańcuch nad nim kołysał się w pustce w tę i z powrotem. Poza lekkim pobrzękiwaniem metalu nie było nic słychać.

– Jeśli ten wykorkował, to nie ma to nic wspólnego ze sztucznym kutasem! – zapewnił na wszelki wypadek Wadik.

Nie był to tak naprawdę żaden sztuczny penis, tylko po prostu kamień, o kształcie sztywnego członka, który Wadik gdzieś znalazł. Ale sporo trudu kosztowało go przyklejenie tego piętnastocentymetrowego kamienia do pasa – i nie mógł zrozumieć, dlaczego tak po prostu się oderwał.

Trzeba jednak przyznać, że sam oderwał się od rzeczywistości, kiedy stał za tamtym facetem i raz za razem wbijał w niego kamienny kołek. W ogóle nie zauważył, że ten pieprzony kamień został w środku tego jeszcze bardziej pieprzonego gnoja. A kiedy teraz schylił się i jeszcze raz bez większego przekonania zajrzał mu w tyłek, okazało się, że ten cholerny kutas z kamienia po prostu zniknął.

– A jak my ich teraz postawimy z powrotem na nogi? – zapytał Wadik.

Był prawie pewny, że lejtnant wie, co trzeba teraz zrobić. Jak w wozie, którego motor się zalał. Odkręca się świece, przeczyszcza i ponownie wkręca – albo coś w tym rodzaju. Chociaż prawdę mówiąc, ten tutaj i tak miał już o jedną świecę za dużo.

Wadikowi zebrało się na wariacki śmiech, ale zdusił go w zarodku, bo lejtnant wydał z siebie niski, długi pomruk. Wadik znał go już na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że lejtnant ma już wszystkiego powyżej uszu.

Kiedy szef wydawał z siebie taki pomruk, to zazwyczaj impreza szybko dobiegała końca. Wtedy cała sztuka polegała na tym, żeby nie znaleźć się na linii ognia.

– Oni tylko udają umarłaków, bo po tym bulionie, co im wstrzyknął Generał, powinni właściwie być rzeźcy, jak nie wiem co.

Wydawało się, że lejtnant zмага się sam ze sobą. Spojrzał na złotego roleksa, a potem wbił wzrok w Wadika.

– Worki plastikowe i sznury, ale już! Ta mieszanka będzie pewnie jeszcze działała przez kilka minut.

Wadik pognął do metalowego kontenera, który na rozkaz lejtnanta wypełnił już kilka dni temu niegaszonym wapnem. Lejtnant wbił mu do głowy, żeby nikomu o tym nie mówił. „*Nikommu, rozumiesz? Inaczej sam w nim wylądujesz!*”

Wadik otworzył skrzynię z narzędziami, wyjął dwa przezroczyste plastikowe worki w rozmiarze XXL i dwa metrowej długości kable i pognął z powrotem do lejtnanta.

– Kiedy zaczną się dusić, to im się odechce udawać umarłaków. I ten gnój podpisze wszyściutko w try miga! – orzekł lejtnant tonem, w którym jednak pobrzmiewały wątpliwości.

Wadik z trudem potrafił opanować zdenerwowanie. Normalnie lejtnant potrafił się odzywać tylko na dwa sposoby: albo brutalnie wrzeszczał, albo był całkowicie opanowany. Natomiast lejtnant zmartwiony lub wąpiący w samego siebie to było już zbyt wiele jak na Wadika.

Drżącymi rękami nałożył Zwirii plastikowy worek na głowę i naciągnął go tak mocno, aż plastik zakrył szyję. Następnie zarzucił sznurek wokół szyi Zwirii, mocno zacisnął i zrobił na końcu podwójny węzeł na jabłku Adama. Następnie opuścił łańcuch, na którym wisiał Tioma i powtórzył całą procedurę, jak tylko położył go obok brata.

– Kopa w dupę, obu! – rozkazał lejtnant. – I w klatę. Chcę zobaczyć, jak się duszą!

Wadik kopał i tratował tak mocno, jak tylko potrafił. Swoimi, podbitymi stalą, żołnierskimi butami skakał na przemian obu braciom po klatce piersiowej, że aż czuł, jak pękają im żebra.

Bardzo szybko stracił oddech, a pot ściekał mu po ciele strugami.

– To nic nie daje, lejtnant – zameldował, dysząc. – Dalej udają umarłaków.

Lejtnant znowu wydał z siebie pomruk. Pochylił się nad kociołkiem na gulasz, wyłowił z wody palce stóp, a drugą ręką wskazał na niebieski, metalowy kontener.

– Wsadzić ich tam – rozkazał.

Wadik zamarł. Nie, żeby miał coś przeciwko wrzuceniu gości do kontenera, nawet jeżeli według niego nadal żyli. Wręcz przeciwnie: miałby prawdziwą radość, patrząc, jak walczą ze śmiercią.

Jednak z drugiej strony wiedział, jak spojrzeć na tę sprawę Generał. Praktycznie to Generał zgadzał się ze wszystkim, co zaproponował lejtnant. Przypalanie, oblewanie wrzątkiem, gwałcenie, odcinane członków, wrywanie kawałków ciała, obojętnie. Ale dla Generała istniała pewna czerwona linia, której nie wolno im było przekraczać. Z jakiegoś powodu nie wolno im było zakatrupiać swoich ofiar, poza tymi, które osobiście wskazał i akceptował Generał.

Tak było w przypadku Ronii, który wywiercił tamtemu gościowi dziurę w głowie, nie czekając na odpowiedni rozkaz, i został rzucony psom Generała na pożarcie. Albo jak inny kumpel Wadika, którego związali i żywcem wrzucili do bagna nad Dniestrem. W tym momencie Wadik nie mógł sobie przypomnieć, co tamten zawinił. Ale wszystko stało się przez to, że tamten był taki zastrachany. Kątem oka Wadik obserwował, jak lejtnant wrzuca obcięte palce stóp przez okrągły otwór w pokrywie kontenera.

– No, do roboty, durniu – warknął na niego lejtnant – dawaj tu tych dwóch! Na co czekasz?

Nogi Wadika były nieco chwiejne, kiedy ukucnął obok Zwirii i odczepił mu więzy nóg od łańcucha. W przyływie uczucia pietyzmu podciągnął mu bokserki do góry, zanim złapał potężnego Zwirię za ręce i przeciągnął dobre dziesięć metrów do kontenera. Facet jeszcze żył, nie miał co do tego wątpliwości. Podrygiwał, a jego dłonie były ciepłe.

Zanim lejtnant zdołał mu rozkazać, żeby wrzucił Zwirię do kontenera, Wadik odwrócił się i pobiegł na chwiejnych nogach do Tiomy.

Młodszy brat Zwirii rzeził z głową w worku, który był wyraźnie zaparowany jego oddechem. Skóra twarzy pod przezroczystym plastikiem przybrała już jednak ciemnofioletową barwę. Prawdopodobnie konał, ale nie był jeszcze tak całkiem martwy.

Wadik uwolnił stopy Tiomy z łańcucha i zaciągnął go do kontenera. Bardzo uważał, żeby nie spojrzeć po raz kolejny na jego twarz.

Będą kurwa, problemy, pomyślał. Lejtnant z pewnością znowu się wymiga, a na koniec to mnie rzucą na pożarcie jakimś bestiom.

Czy to nie Witalij opowiadał niedawno pogłoski o tym, że Generał ma w swojej letniej rezydencji na Krymie hodowlę krokodyli?

– Wrzucić obu do środka! – Lejtnant wskazał na otwory w pokrywie kontenera.

– Ale oni muszą przecież najpierw przepi... to znaczy podpi...

– Nie twoja sprawa, durniu! – wrzasnął na niego lejtnant. – Generał i tak już niedługo wypieprzy tego pedała prezydenta do Honolulu, a starego Stiepanowa razem z nim!

Wadik gapił się na niego z otwartymi ustami.

– Honolulu? To naprawdę jest coś takiego?

– Szybciej! – wściekał się lejtnant. – I ani słowa do nikogo, kapujesz?

Wadik przytakiwał i przytakiwał, jak kura dziobiąca ziarno. Potakując, chwycił rzeźącego Tiomę za biodra i chciał go wrzucić do otworu stopami do przodu.

– Ochujaleś?! – ryknął lejtnant. – Odwrotnie, no szybciej! – Walnął Wadika pięścią w kark. – Uważaj, pokażę ci jak!

Złapał Tiomę za biodra, podniósł do góry i wepchnął głową w dół do otworu w pokrywie. Tioma zaczął nagle dygotać na całym ciele, a lewa ręka lejtnanta zakleszczyła się jakoś między drgające ciało a stalowy brzeg otworu.

Lejtnant, klnąc na czym świat stoi, wyswobodził rękę i zaczął nią ruszać na wszystkie strony, żeby sprawdzić, czy coś nie jest złamane. Jego czerwona jeszcze przed chwilą ze złości twarz stała się nagle szara.

Wadik gapił się na przemian, to na rękę swojego szefa, to na Tiomę, który wciągnięty własnym ciężarem, zniknął w otworze, jak speleolog w jaskini.

Z dłoni lejtnanta zniknął srebrny sygnet. Lejtnant patrzył na stopy z opaską zaciskową, które ciągle drgając, wystawały z otworu. Tioma jęczał, wapno syczało, a lejtnant zgrzytał zębami.

Pieprzyć sygnet! – pomyślał Wadik, ale powstrzymał się od jakichkolwiek komentarzy. Bo lejtnant wyglądał tak, jakby czekał tylko na najmniejszy pretekst, żeby go zmasakrować.

– Na co czekasz, idioto!?! – wrzasnął na niego lejtnant. – Teraz wsadzisz tego drugiego, potem zamkniesz pokrywę i odmarsz. Ale wcześniej posprzątasz jeszcze z Witalijem ten burdel! Do roboty!

Berlin, Treptowers.

Grupa Specjalna „Wodna zagadka” Federalnego Urzędu Kryminalnego.
Wtorek 5 września godz. 15:02.

Spotkanie powołanej w trybie pilnym Grupy Specjalnej „Wodna zagadka” było wyznaczone na trzecią po południu. Abel dotarł do niewielkiego pokoju konferencyjnego na dziesiątym piętrze Treptowers prawie punktualnie, ale dyrektor dr Lorenz Kastner siedział już, rzecz jasna, za stołem segregatorów, bez których najwyraźniej nie ruszał się z biura. Jego asystenci nie odstępowali go ani na krok, z górą segregatorów marki Leitz, które transportowali częściowo w wielkich walizkach na akta, a częściowo nawet na staroświeckich blaszanych wózkach.

Abel pozdrowił go nieznacznym skinieniem głowy. Kąciki ust Kastnera opadły, podczas gdy on sam odpowiedział prawie niewidocznym potaknięciem. Obaj mieli ten sam stopień służbowy i obaj szczerze się nie znosili.

Kastner dobiegał sześćdziesiątki i był jednym z najdłużej czynnych wysokich rangą funkcjonariuszy Federalnego Urzędu Kryminalnego. Jednak jego talenty były nie tyle natury kryminalistycznej, co dyplomatycznej. Był mistrzem w sztuce niepodpadania nikomu, unikania wszelkiego rozgłosu wokół własnej osoby i bezgłośnego likwidowania wszelkiego rodzaju konfliktów. Wielu popełniało błąd niedoceniań go, ponieważ w swoich popielatych, kupowanych w zwykłym sklepie garniturach, staromodnych okularach w srebrnej oprawce i z zawsze starannie przyczesanym przedziałkiem na siwych włosach nad pozbawioną wyrazu pospolitą twarzą robił wrażenie tak niepozornego, jak marmurkowe segregatory, za którymi z taką lubością się barykadował.

Kastner był w oczach Abela tchórzliwym oportunistą, podczas gdy Kastner ze swej strony uważał go za „wiecznego egocentrycznego mąciela”. To właśnie zarzucił mu ten szary człowieczek w trakcie jednej ze spraw dotyczących zabójstwa. Wtedy Abel zwrócił po prostu uwagę na to, że prominentny właściciel sieci sklepów drogerijnych nie powinien być skreślany z listy podejrzanych tylko dlatego, że przełożony Kastnera jest z nim zaprzyjaźniony. Kastner o mało nie dostał wówczas ataku serca, i mimo że od tego czasu minęło już kilka lat, to nadal kolor jego twarzy był tak szary, jakby zbyt mało tlenu dopływało mu do krwi. Albo jakby nawdychał się zbyt dużo kurzu z segregatorów.

Obecni byli już także nadkomisarze: Charlotte Lubitz i Kevin Westermann. Siedzieli naprzeciwko Kastnera przy kwadratowym stole konferencyjnym. Abel pozdrowił oboje uściskiem ręki, zanim zajęły miejsca od strony okna, między Kastnerem a Lubitz.

Na stole stała, jak zwykle, bateria butelek wody i soków owocowych, termosy konferencyjne z herbatą i kawą, pomiędzy tym wszystkim talerzyki z ciasteczkami z dyskontu, których sam już widok wystarczał, żeby wywołać zgagę. Abel nalał sobie letniej wody mineralnej.

Mimo że tegoroczna fala upałów zelżała przed ośmioma dniami, a przez miasto zdążyły przejść pierwsze jesienne burze, to tu, w obłożonej szkłem betonowej wieży, było nadal duszno i ciepło. Abel wpuściłby najchętniej nieco świeżego powietrza, ale z powodów bezpieczeństwa okna na górnych

piętrach nie otwierały się. Klimatyzacja była, sądząc po odgłosach, włączona, ale oprócz akustycznych symptomów przypominających poświsty wydawane przez gruzlika w ostatnim stadium żadne inne efekty jej działania nie były zauważalne.

Kastner zamknął jeden z segregatorów, odsunął go na bok i sięgnął po następny. Otworzył go, zagłębił się w jego zawartość i robił notatki srebrnym długopisem. Odchrząknął przy tym kilkakrotnie, a Abel nie po raz pierwszy zadawał sobie pytanie, czy to chrząkanie było: (a) nerwowym tikiem czy też (b) trikiem, żeby skupić uwagę zebranych na sobie. Według jego obserwacji prawidłowa była wersja (b), ale znał też wielu kolegów, którzy opowiadali się bardzo zdecydowanie za wersją (a).

– Szanowna pani, panowie, czas nagli – odezwał się Kastner, nie podnosząc wzroku znad akt. – Ogłaszam niniejszym otwarcie pierwszego posiedzenia Grupy Specjalnej „Wodna zagadka” pod moim kierownictwem.

Miał niezwykle niski głos, który wprawiał wręcz w drżenie szklanki i butelki, stojące na stole. Jednocześnie mówił tak cicho, że trzeba było wyęczać słuch, żeby zrozumieć każde słowo. Abel uważał, że to ściszone burczenie jest trenowaną przez lata sztuczką, zmuszającą obecnych do wsłuchiwania się w każde słowo Kastnera.

– Rząd oczekuje od nas bezzwłocznego wyjaśnienia sprawy, i to bez żadnych szkód ubocznych – dodał po krótkiej pauzie. – Pozostawmy więc na boku wszelkie formalności. Do pracy! Co też tu mamy?

Charlotte Lubitz spojrzała na swojego kolegę Westermanna, marszcząc lekko czoło, ten z kolei uniósł brew. Pani nadkomisarz była znana z mówienia wszystkiego prosto z mostu. Dyplomatyczna gadanina Kastnera wydawała się wywoływać u niej wręcz fizyczne mdłości. Podobnie odczuwał też Abel.

Kastner, nie czekając na innych, sam odpowiedział na własne pytanie. Niewzruszony niewerbalnymi komentarzami słuchaczy streścił informacje na temat tego, kiedy i w jakich okolicznościach znaleziono ciało martwego sprzątacza Moaha Aslewiego.

– Spekulacje dotyczące pewnych określonych praktyk przesłuchań – dodał – jakie sformułował lekarz medycyny sądowej z Charité... – przekartkował akta i głośno chrząknął – ...doktor Horstmar w swoim raporcie z obdukcji, są najprawdopodobniej oparte na niezbyt solidnych podstawach. Jednak również naszym medykom sądowym nie udało się w pełni zaprzeczyć podejrzeniu, że Aslewi mógł stracić życie w wyniku praktyk, określanych mianem tortury podtapiania.

Znów zrobił pauzę i popatrzył na Abła spod przymrużonych powiek.

– Tak więc, nasze zadanie polega na tym, żeby możliwie szybko stwierdzić, w jaki sposób człowiek ten naprawdę zmarł, i na ustaleniu, kim jest sprawca, względnie sprawcy.

Abel pokręcił głową. O mało nie parsknął głośnym śmiechem, ale powstrzymał się w ostatniej chwili. To podsumowanie było bardzo typowe dla Kastnera. O ile dobrze pamiętał z czasów, kiedy kształcił się na lekarza medycyny sądowej, prokuratura i policja kryminalna były zobowiązane prowadzić dochodzenie we wszelkich, dających ku temu podstawy kierunkach. Kastner natomiast wydawał się do głębi przekonany o tym, że ich priorytetowym zadaniem jest „likwidowanie” politycznie niewygodnych elementów podejrzeń, żeby państwo i rząd nie poniosły żadnej szkody. Co, nawiasem mówiąc, wydawało się dla niego tym samym.

I właśnie dlatego, pomyślał Abel, Kastner szefuje każdej właściwie Grupie Specjalnej, której działania mogłyby doprowadzić do potłuczenia politycznej porcelany. Tak jak Scherz konstruuje bez większego namysłu swoje niedorzeczne teorie spiskowe, tak Kastner, wręcz odruchowo, wyklucza już na przedpolu wszelkie poszlaki, które mogłyby zaowocować kłopotliwymi dla niemieckiego aparatu państwowego rezultatami.

Charlotte Lubitz pochyliła się do swojego kolegi Westermanna i powiedziała cicho, ale dobrze słyszalnie:

– Czyli znowu ktoś chce, żebyśmy kupili kota w worku?

Abel znieruchomiał nagle, jak rażony piorunem.

– Doktorze Abel – wyburczał Kastner do swojego segregatora, nie podnosząc wzroku. – Czy byłoby pan tak uprzejmy i streścił nam ekspertyzę medyczno-sądową?

Abel skinął głową w jego kierunku, ale myślami nagle znalazł się zupełnie gdzieś indziej.

Kot, czyli Katz, pomyślał, Harald Katz, tak nazywał się jego kolega ze studiów w Hanowerze, który rzekomo szalał na punkcie Bettiny Selzer. Kiedy potem znaleziono ją martwą, pojawiła się pogłoska, że dała kosza Katzowi, a on zabił ją z tego powodu.

Abel nie zwracał wtedy zbytnej uwagi na te plotki. Ani Bettina Selzer, ani Harald Katz nie należeli do kręgu jego bliskich znajomych czy też przyjaciół na uniwersytecie. Katz uchodził za pozbawionego wszelkich ludzkich uczuć i być może nawet psychicznie nieźrównoważonego; w każdym razie nie należał do tych studentów, z którymi chciałoby się siedzieć przy jednym stole podczas seminarium czy w laboratorium. Przebąkiwano także o tym, że jest maniakiem seksualnym, który koktajlami z lekarstw własnej roboty pozbawia kobiety przytomności, żeby je wykorzystać. Ale to była jedna z wielu fantastycznych pogłosek, jakie krążyły wówczas po kampusie i które mało kto traktował poważnie. Funkcjonariusze policji kryminalnej, którzy prowadzili śledztwo w sprawie Bettiny Selzer, z pewnością słyszeli o tych pogłoskach na temat Katza, ale jak sobie przypominał Abel, Katz nigdy nie był poważnie podejrzewany o udział w zabójstwie Bettiny Selzer.

W tamtym czasie Abel był przekonany, że po ukończeniu studiów będzie pracował jako naukowiec na polu badań podstawowych. Jego matka cierpiała na ciężką odmianę stwardnienia rozsianego i marzeniem jego rodziny było, żeby Abel odkrył środek przeciwko tej straszliwej chorobie. W każdym razie instynkt medyczno-sądowy Abła znajdował się jeszcze wówczas w głębokim uspieniu i stąd nigdy nie wpadłby na pomysł, żeby uwierzyć w podejrzenia, że Katz mógłby zamordować piękną Bettinę.

A w sprawie Dominika Kreislera, pomyślał teraz, i tak mi to nie pomoże. Wszystko wskazywało na to, że ten agent nieruchomości został zabity również za pomocą zastrzyku w okolicę podkolanową, a lekarz, który wystawił akt zgonu także ma na imię Harald, tyle że nazwiska się nie zgadzały.

Znane Ablowi aż za dobrze chrząknięcie przywróciło go do terażniejszości. Z głowy zreferował najważniejsze wyniki z ekspertyzy Scherza, które w ostatnim momencie mocno złagodził.

Opisał, jak Aslewi został doprowadzony do stanu śmiertelnego strachu w wyniku waterboardingu, co spowodowało u niego atak serca. Jak w tym samym momencie został przez sprawcę, względnie sprawców, ustawiony w pozycji siedzącej, przez co woda dostała się do jego tchawicy i płuc.

– Utonął w trakcie śmiertelnego ataku serca – powiedział Abel – na który i tak zmarłby kilka minut później.

Zamilkł, a Kastner rzucił mu podejrzliwe spojrzenie.

– Czy to wszystko z pana strony?

– Na razie tak.

W tym czasie z głębi jego pamięci wyłonił się szczegółowy obraz Haralda Katza, tak, jak wyglądał dwadzieścia lat temu: drobny młody mężczyzna o niepozornym wyglądzie, który robił przez większość czasu wrażenie introwertyka, żyjącego w jakimś innym świecie, o wiele bardziej interesującym niż ten rzeczywisty. Jego szaroniebieskie oczy robiły wrażenie matowych, jak zaparowane szkło dymne. Tylko przy jednym temacie zaczynały wręcz niesamowicie błyszczeć: kiedy zaczynał mówić o różnorodnych możliwościach zastosowania morfiny i innych substancji przeciwbólowych i znieczulających. Wydawało się wręcz, że ma na tym punkcie obsesję.

**Gdzieś w Niemczech.
Pomieszczenie piwniczne.
Wtorek 5 września godz. 15.19.**

Lubił, kiedy kobiety mówiły do niego Barry.

Lewą rękę Jany przymocował, z ostrożności, kajdankami do ramy łóżka i nałożył jej na szyję kolczatkę. Tak na wszelki wypadek. U Julii też tak zrobił na samym początku, aż się upewnił, że będzie wykonywała wszystko tak, jak chciał. Najpierw chwyt nogami, potem praca ustami, a potem już sam przejmował dowodzenie.

Tu nie było wiele do skapowania. Ale jemu chodziło o niuanse.

Oczywiście nigdy nie był na tyle naiwny, żeby tak po prostu zaufać Julii. Nawet przez sekundę. Jeśli miałyby być szczery, to nie ufał nikomu. Istniały słowa, których nawet w myślach można było używać jedynie w cudzysłowie. Ale Julia była sprytną dziewczyną i szybko pojęła, że udział w tej grze na zasadach ustalonych przez Barry'ego wyjdzie jej tylko na zdrowie. Co oznaczało, że chodziła z nim do łóżka, a każdy z jej kochanków lądował w trumnie.

Żelazna rama łóżka skrzypiała przy każdym ruchu. Z materaca wydobywał się niedający się określić smród, który mieszał się z zapachem strachu tej małej dziwki. Ale to jeszcze w żadnym razie nie podniecało go na tyle, żeby cokolwiek się u niego ruszyło. Do tego potrzebował impulsu, który normalnie zawsze otrzymywał od Julii.

Uzgodnili, że przez jakiś czas nie będą się widywali. Jak zwykle przez dwa miesiące, aż uspokoi się zamieszanie z powodu kolejnego trupa. Numer siedem na ich liście. Do końca kwarantanny nie było żadnego kontaktu między nimi, nawet mejlowo czy telefonicznie, i oczywiście żadnego wspólnego seksu. Barry sam ustanowił te reguły i ściśle przestrzegał ich dotrzymania przez nich oboje. Ale za każdym razem o mało przez to nie wariował, a tym razem znosił to jeszcze gorzej niż zwykle. Z tych cholernych dwóch miesięcy upłynęły dopiero dwa tygodnie.

Z Julią było jak z żadną inną, którą wypróbował. Zaspokajała jego specyficzne potrzeby tak perfekcyjnie, że sam nadal nie mógł w to uwierzyć. A przy tym byli już ze sobą od dziesięciu lat, chociaż oczywiście tylko po kryjomu. Dla świata zewnętrznego Barry był tylko jej lekarzem domowym, a Julia była szczęśliwie zamężna ze swoim Rainerem, do momentu aż Barry wysłał go pół roku temu w ostatnią podróż.

A więc, wszystko jak zawsze, powiedział sobie Barry. Mimo to był tak niespokojny, że aż go roznosiło. Wynikało to stąd, że ostatni raz pieprzył się przed dwoma tygodniami. W końcu zawsze trochę to trwało, zanim znalazł odpowiednią zastępczą dziwkę i sprawdził wszystko na tyle, żeby móc ją bezpiecznie tu ściągnąć.

Nie chodzi o to, że same przygotowania nie sprawiały mu przyjemności. Wręcz przeciwnie, wtedy zawsze czuł się jak myśliwy w epoce kamiennej, który skrada się do samotnego mamuta. Takie prawdziwe paleo. Ale kiedy tak sobie wyobrażał, co zrobi z tą małą kurewką, kiedy wreszcie

przetransportuje ją do swojej jaskini, też dodatkowo się nakręcał. Tymi wizjami, co to będzie, jak już ją zastraszy, wytresuje, uczyni uległą, żeby wreszcie sobie použíwać.

W jego myślach znów pojawiła się Julia. Ciekawe, czy zdystansowała się od niego wewnętrznie czy też raczej, tak jak on, nie może się już doczekać, kiedy wreszcie skończy się czas rozłąki?

Patrzył ponuro przed siebie. Numer siedem był w końcu jej mężem. Julia, jak zwykle, pomagała z całych sił, ale załatwienie własnego, długoletniego partnera to jednak coś zupełnie innego niż zwykła rutyna.

Mimo to, pomyślał, nadal jest lojalna. W końcu też sama wpakowałaby się w gówno aż po szyję, gdyby go zakapowała u glin. Ostatecznie to ona opracowała numer, jakim zwabiali frajerów w pułapkę, a Barry później jedynie zoptymalizował jej metodę.

Julia wyszukiwała facetów przez Internet i zwabiała, jak napalone jelenie do „romantycznych” miejsc, zazwyczaj do położonych w pustych okolicach domków weekendowych, najlepiej gdzieś głęboko w lesie. Kiedy potem tych dwoje leżało w łóżku, a frajer odleciał po środku nasennym, który Julia domieszała mu do koktajlu, Barry zawsze miał wrażenie, jakby miejsce pod kolanem aktualnego kandydata błagało wręcz o zastrzyk.

Przed dwoma tygodniami numer osiem, ten agent nieruchomości, dotarł prawie do orgazmu, zanim Barry podkradł się i stanął pochylony nad tą dwójką. Numer osiem poruszał się gorączkowo na Julii, która również wydawała się niezłe nakręcona. Oplotła go udami w pasie i wyrzucała z siebie rytmiczne pojękiwania. Oczami błagała Barry’ego, żeby jeszcze trochę poczekał, aż numer osiem doprowadzi ją do orgazmu, ale ani myślał jej słuchać. Jego ambicją było wtrysnięcie każdemu kandydatowi zawartości strzykawki, zanim tamtem sam wytryśnie, i jak dotychczas udało mu się to w każdym przypadku. Błyskawicznie ukucnął przy numerze osiem, wbił mu strzykawkę w zgięcie kolana, a Julia przytrzymała go w uścisku udami, aż agent nieruchomości zwiotczał zarówno na niej, jak i w niej.

A więc, wszystko jak zawsze, powiedział sobie znowu Barry, jakby mógł wpłynąć na Julię telepatycznie. Jednocześnie jednak wiedział, że już nic nie jest jak zawsze. Być może to był jednak błąd, załatwienie numeru siedem. Mimo że był to pomysł Julii i mimo że zapewniała go, że Rainer nic absolutnie dla niej nie znaczy.

– W mężczyźnie zawsze interesował mnie tylko jeden organ – powiedziała pewnego razu do Barry’ego. – I nie jest to jego serce, ani też jego mózg, nie, nawet nie kutas. Lecz tylko i wyłącznie jego portfel.

Teraz wszystko to należało do niej, w całej pełni – po odjęciu doli Barry’ego, rzecz jasna. Nie miała więc żadnego powodu, żeby z powodu własnoręcznie sprokurowanego wdowieństwa nagle odbiła jej szajba. Chociaż jako główna spadkobierczyni miała wręcz klasyczny motyw do popełnienia morderstwa, policja nie interesowała się zejściem jej małżonka z tego świata. Ostatecznie to on, Barry, stwierdził zgon i potwierdził naturalną przyczynę śmierci. Tak jak w przypadku sześciu wcześniejszych ofiar i jednej później.

Mimo to Barry miał poczucie, że Julia jakoś ma mu za złe zgon numeru siedem. Od tego czasu powstała rysa w ich związku, ledwie widoczna, ale on coś takiego wyczuwał od razu.

Być może pewnego dnia straci panowanie nad sobą i wypaple wszystko glinom. A w takim przypadku z całą pewnością pociągnie za sobą Barry’ego. Ale na razie nie było jeszcze takiego zagrożenia. Na wszelki wypadek był już jednak na to przygotowany.

Wyczuję to, pomyślał, z całą pewnością to wyczuję. Nielojalność i zdrada wydzielały specyficzny zapach, a ten wychwytywał na kilometr.

Zupełnie inaczej miała się sprawa z zapachem strachu, jaki dochodził od tej małej dziwki. Jana Forster, dwadzieścia sześć lat, w każdym razie według jej dowodu osobistego, którego w tym życiu już nie będzie potrzebowała. I nie tylko dowodu, zresztą.

– Nie przejmuj się, że porwałem na strzępy twoje ciuchy – powiedział pocieszającym tonem. – Ja chcę

was i tak zawsze nago, do samego końca. Twenty-four-seven, okay?

Wpatrywała się w niego i szlochała. Nic bardziej nie podniecało Barry'ego niż szerzenie strachu i przerażenia. I absolutnie w niczym to nie przeszkadzało, że sobie to nieustannie powtarza. To on chce, żeby ona odczuwała przed nim strach. Nie jest uległy, wręcz przeciwnie. Chodziło mu tylko o to, żeby złamać jej wolę. Ale nie mogło to być tak zwyczajnie i wprost, bo wtedy nie potrafiłby się rozkręcić. Miała go objąć swoimi jędrnymi udami za szyję i porządnie ścisnąć. No chyba nie jest to aż takie trudne, żeby nie dało się zrozumieć, do cholery!

Berlin, Treptowers.

Grupa Specjalna „Wodna zagadka” Federalnego Urzędu Kryminalnego.
Wtorek 5 września godz. 15.27.

W takim razie udzielam pani głosu, pani Lubitz. Czy są jakieś nowe informacje ze strony wydziału zabójstw? – Chrząknięcie dyrektora Kastnera zabrzmiało jak łamany chips: sucho i jednocześnie jakoś tłusto.

Charlotte Lubitz podniosła się. Była tuż po czterdziestce, ale wyglądała dziesięć lat młodziej. Krótko obcięte jasne włosy, szczupła i o długich kończynach, jak biegaczka specjalizująca się w dystansie dziesięciu kilometrów. W swobodnym, sportowym stroju i cytrynowo-zielonych sneakersach Nike na żelowych podszewkach mogłaby wystartować na każdej bieżni żuźlowej.

Ktoś powiedział kiedyś Ablowi, że Lubitz żyje w związku z pochodzącą z Bułgarii sztangistką. I kiedy nadkomisarz sprężystym krokiem podchodziła do tablicy magnetycznej stojącej obok drzwi, Abel zadawał sobie pytanie, ile w tej plotce może być prawdy.

Zapewne niewiele, pomyślał i w zasadzie było mu to obojętne. Życie prywatne było jej sprawą. Charlotte Lubitz była nieustraszonym wolnym duchem i właśnie z tego powodu odnoszącym sukcesy oficerem śledczym. Nigdy też nie przeszłoby jej nawet przez myśl, żeby powstrzymać się od wygłoszenia własnej opinii, tylko dlatego, że mogłoby to kogoś urazić.

– Według mnie konkluzje wyciągnięte przez doktora Horstmara są oparte na całkiem solidnych podstawach – powiedziała i umocowała magnesami na tablicy kilka fotografii formatu A4. – I wcale nie zdziwił mnie fakt, że koledzy Abel i Scherz doszli do tych samych wniosków.

Abel usiłował dostrzec, co przedstawiają te fotografie, ale Charlotte Lubitz stanęła tak, że w sporej części zasłaniała tablicę.

– Jednoznacznie widać, że są to tortury podtapiania – kontynuowała swój wywód. – I uważam, panie doktorze Kastner, że mówienie w tym kontekście o zwykłych praktykach przesłuchań jest po prostu nie na miejscu.

Odwróciła się na prawo i popatrzyła na Kastnera. Szef Grupy Specjalnej chrząknął i dalej kartkował akta.

– Waterboarding to tortury – powiedziała Charlotte Lubitz. – Mówiąc dokładniej, to tak zwane białe tortury, które zazwyczaj nie pozostawiają żadnych widocznych śladów na ciele. Ale symulowane tonięcie wywołuje u ofiary najcięższe traumy, porównywalne ze szkodami psychicznymi spowodowanymi wielokrotnym gwałtem lub ciężkim fizycznym maltretowaniem przez dłuższy czas. Jak powszechnie wiadomo, od skandali związanych ze stosowaniem tortur w Abu Ghuraib i w Guantanamo, waterboarding stosowany jest przede wszystkim przez CIA, głównie wobec domniemych terrorystów ze środowisk islamistycznych.

Kastner po raz pierwszy od rozpoczęcia spotkania przerwał przeglądanie akt. Wyprostował się sztywno na swoim krześle i wbił wzrok w Charlotte Lubitz.

– I co dalej? – zapytał tak cicho, że słowa te można było właściwie tylko odczytać z jego ust. – Praktyki te może zastosować każdy amator. Wystarczy do tego stół, jako podłoże, trochę liny do przywiązania ofiary, kawałek materiału i kilka litrów wody.

Charlotte Lubitz posłała mu skąpy uśmiech.

– W przypadku Aslewiego wyjątkowe jest połączenie utonięcia ze śmiertelnym atakiem serca. Ofiara była torturowana waterboardingiem, przez kilka godzin, ponieważ metoda ta polega na stopniowym łamaniu ofiary. W wyniku długotrwałego stanu paniki, który silnie obciążał ciało, a przede wszystkim serce, doszło do śmiertelnego ataku serca, który tylko dlatego nie stał się przyczyną zgonu Aslewiego, ponieważ ten na krótko przedtem umarł w wyniku utonięcia. Czy to się zgadza, panie Abel?

– Absolutnie. – Abel kiwnął głową w jej kierunku.

– Według naszych informacji – ciągnęła Charlotte Lubitz – dokładnie taka kombinacja utonięcia i śmiertelnego ataku serca w wyniku waterboardingu została udokumentowana w kilku przypadkach. – Spojrzała zachęcająco na swojego kolegę.

– Chodzi o co najmniej pięć przypadków – odezwał się Kevin Westermann. Był nieco korpulentny, mniej więcej w tym samym wieku co jego koleżanka i nazywano go powszechnie „Lex”, ponieważ uchodził za chodzący leksykon kryminalny. Jego konikiem były statystyki dotyczące motywów sprawców i rodzajów uśmiercania ofiar. – Te pięć przypadków idzie w stu procentach na konto CIA – ciągnęła Westermann. – Innym słowy, sposób, w jaki został zabity Moah Aslewi, ma wyraźną sygnaturę amerykańskiej CIA.

Kastner wyrzucił z siebie burczący odgłos, zwiastujący problemy.

– Ostrzegam przed przedwczesnymi wnioskami – powiedział szef Grupy Specjalnej. – Gdyby pojedyncze tego typu błędy były wszędzie tak przejrzyste i otwarcie analizowane jak w USA, to pańskie statystyki z pewnością byłyby jeszcze barwniejsze, panie Westermann.

Westermann przytaknął.

– Bez wątpienia, każda statystyka z konieczności jest ograniczona do konkretnego wycinka czasu i przestrzeni – przyznał. – Ale to nie zmienia w niczym faktu, że wszystkie dostępne dane wskazują na CIA, jako sprawcę. Oczywiście nieujawniona liczba przypadków może być dużo większa.

– Tak więc nie dotyczy to „pojedynczych błędów”. – Charlotte Lubitz spojrzała z wyrzutem na Kastnera. – To jest tak, jakby strzelaninę próbował pan określić mianem „przejściowego podwyższenia zawartości ołowiu w powietrzu”.

Kastner chrząknął i chciał już znów powrócić do swoich akt, kiedy nagle Charlotte Lubitz poderwała się w górę. Z siłą, której nie powstydziałaby się uczestniczka olimpiady, odskoczyła w lewo, obracając się jednocześnie o czterdzieści pięć stopni w prawo i wskazała wyciągniętą ręką na tablicę.

Wszyscy obecni wpatrywali się w nią znieruchomiałym wzrokiem. Nawet Kastner oderwał się od swoich akt, a w jego chrząknięciu zabrzmiała tym razem nuta podziwu.

– Co najmniej pięciu mężczyzn zostało zabitych według tego samego wzorca co Aslewi – skonstatowała pani nadkomisarz.

Na każdym ze zdjęć widać było zbliżenie twarzy innego martwego mężczyzny. Pod każdym stempel z napisem „*Top secret – classified – CIA-File No...*” Trzech z tych mężczyzn miało długie brody charakterystyczne dla salafistów, dwóch innych krzaczaste wąsy pod nosem, jak jest to popularne u Kurdów czy Irakijczyków. Cała piątka miała ciemnobrązową skórę i orientalne rysy twarzy.

Jeżeli byłyby tutaj ofiary seryjnego mordercy, przeleciało przez głowę Ablowi, to automatycznie należałoby dojść do wniosku, że Moah Aslewi pasuje do schematu zdobycy sprawy.

– We wszystkich przypadkach sprawcy byli z CIA – kontynuowała nadkomisarz. – Trzeba być naprawdę bardzo krótkowzrocznym, żeby nie dostrzec występujących tu paraleli. Albo kimś stroniącym od konfliktów. Na szczęście żadna z tych cech nie dotyczy mojej osoby.

– Mojej także nie – dorzucił Westermann.

Abel pochylił się do przodu i oparł łokcie o stół konferencyjny.

– Ja także nie należę raczej do tych, którzy za wszelką cenę stronią od konfliktów. – Spojrzał na Charlotte Lubitz. – Zapewne pamięta pani tę czy inną sprawę, w której wbrew rozlicznym sprzeciwom prowadziliśmy dochodzenie w kierunku, który wydawał nam się najbardziej merytoryczny.

Charlotte Lubitz skinęła głową, a po jej twarzy przemknął cień uśmiechu.

Abel zwrócił się bezpośrednio do szefa Grupy Specjalnej.

– Na końcu zawsze okazywało się, panie Kastner, że te właśnie wpływowe osoby, które koniecznie chciał pan wyłączyć ze śledztwa, mają sporo na sumieniu. Tak więc mogę się tylko podpisać pod pana ostrzeżeniem dotyczącym wyciągnięcia pochopnych wniosków.

Lex Westermann zrobił aprobującą minę, a Charlotte Lubitz wyciągnęła w kierunku Abła dłoń z wyprostowanym kciukiem.

– Jednakże moje przecucie mówi mi – kontynuował Abel – że w tym konkretnym przypadku sprawy nie są z CIA czy też z innych tajnych służb.

Teraz z kolei wszyscy obecni, jak jeden mąż, wpatrywali się w Abła. Westermann prychnął z oburzeniem, Charlotte Lubitz sprawiała wrażenie skonsternowanej; Kastner znieruchomiał z otwartymi ustami.

– Witamy w krainie rozsądku – powiedział w końcu.

– Skąd ta nagła zmiana, panie Abel? – zapytał Westermann. – Jeżeli potwierdzi się podejrzenie, że Aslewi był islamskim terrorystą albo co najmniej sympatykiem, to wiele przemawia za tym, że CIA maczała palce w tej sprawie. Wykryliśmy już, że dwadzieścia lat temu był aktywny w kurdyjskim Hezbollahu. Zapewne wie pan, tak samo dobrze jak ja, że zagraniczne tajne służby postępują z islamskimi ekstremistami tyleż brutalnie, co skutecznie. Tylko w ciągu ostatnich pięciu lat...

Tu zaczął znowu sypać danymi statystycznymi, żeby podeprzeć swoją hipotezę. Abel słuchał go na pozór cierpliwie, jednak myślami znów był przy tajemniczych przypadkach zastrzyków w okolicy podkolanowe ofiar. W ostatnich latach były dwa takie przypadki, trzeci dwie dekady temu. Na ile mogło być prawdopodobne, że między tymi przestępstwami nie ma żadnego związku? Z drugiej jednak strony: na czym ów związek miałby polegać?

– Pan ma swoje liczby, ja mam w tej chwili tylko moją intuicję – powiedział Abel w końcu, kiedy Westermann zamilkł i spojrzał na niego pełen wyczekiwania. – Jestem przekonany, że w tym przypadku nie jest to zawodowiec ze służb specjalnych. To wszystko pachnie CIA lub bliskim jej środowiskiem, tutaj przyznaję panu rację, ale coś nie pasuje do tego obrazka. Nie jestem w stanie na razie powiedzieć panu, który to element puzzli, ale jeżeli dokładnie obejrzymy poszczególne części, wówczas powstanie z tego całościowy obraz. Pani Lubitz wie – tu zwrócił się do pani nadkomisarz – że często mam rację, słuchając mojej intuicji.

Charlotte Lubitz przytaknęła, jednak nadal wyglądała na rozczarowaną. Szybkim, wręcz agresywnym krokiem wróciła do swojego kolegi i przysunęła sobie krzesło w sposób, który skojarzył się Ablowi ze startem załogi bobsleja.

Chrzążnięcie Kastnera zabrzmiało jakoś sarkastycznie.

– Proponuje pan, panie Abel, abyśmy wszyscy rozparli się wygodnie w fotelach i czekali, aż pana wewnętrzna wyrocznia ponownie zamelduje się?

Abel pokręcił głową.

– Proponuję coś zupełnie innego – odpowiedział. – Powinniśmy podążać za każdym śladem i sprawdzać każdą hipotezę, zamiast skupiać się wyłącznie na tych, które sprawią możliwie najmniej problemów politycznych.

Brwi Kastnera drgnęły za okularami.

– Jak wyglądała właściwie aktywność Aslewiego w Hezbollahu przed dwudziestu laty? – Abel zwrócił się do Charlotte Lubitz. – Czy dokonywał zamachów, czy też raczej rozdawał ulotki na rzecz

wolnego Kurdystanu?

Abel od zawsze odczuwał sympatię do narodów, którym utrudniano możliwości pełnego rozwoju kulturowego. Dotyczyło to szczególnie Kurdów, których pierwotny obszar zamieszkania znajdował się dziś na terytoriach trzech państw: Iraku, Syrii i Turcji, niemal konkurujących ze sobą, jeśli chodzi o represje wobec mniejszości kurdyjskiej. Oczywiście Abel nie odczuwał sympatii do terrorystów, którzy masakrują niewinnych cywili, żeby osiągnąć swoje cele. Ale dotyczyło to zarówno żądnych krwi fanatyków kurdyjskiej Partii Pracujących Kurdystanu, jak również terrorystów w wojskowych mundurach.

– Coś pomiędzy – odparł Westermann. – Ale bliżej ulotek niż bomb. Aslewi, jako młody człowiek, pisał prokurdyjskie teksty, rozpowszechniane na obszarach zamieszkałych przez różne plemiona, w celu werbunku młodych sił do Hezbollahu. W połowie lat dziewięćdziesiątych został skazany przez sąd turecki na dziesięć lat więzienia za przynależność do ugrupowania terrorystycznego. W jakiś sposób udało mu się uciec. W każdym razie od dwudziestu lat mieszka tutaj, w Berlinie, i został nawet uznany za politycznego azylanta. Od kiedy jest w Niemczech, wydaje się trzymać z daleka od ekstremistycznych kręgów. Nadal pisze, ale już nie teksty propagandowe, lecz wiersze. Podobno są nawet niezłe – dodał Westermann. – Wydał już własnym sumptem trzy tomiki, najnowszy nosi tytuł Bazar goryczy i...

– ...i z pewnością wie pan, jaka jest średnia liczba wersów oraz jak brzmią trzy najczęściej używane metafory – wpadł mu w słowo Abel. – Ale wolałbym wrócić do naszego przypadku, jeżeli pan pozwoli. Właśnie coś przyszło mi do głowy. Właściwie to raczej pytanie. Ale być może znają państwo na nie odpowiedź, pani Lubitz lub pan, panie Westermann: czy w tych pięciu przypadkach z podobnym wzorcem działania, które badaliście, sprawcy zostawili na miejscu zbrodni ciało razem ze stołem, który służył im do przeprowadzenia tych tortur? To znaczy, czy nie jest raczej typowe, zwłaszcza dla tajnych służb, takich jak CIA, że miejsce znalezienia ofiary inscenizują tak, żeby zwłoki opowiadały zupełnie inną historię, od tej prawdziwej?

Znów skupił na sobie całą uwagę obecnych, chociaż sam jeszcze dobrze nie wiedział, do czego właściwie zmierza. Nie miał żadnego interesu, żeby zdjąć podejrzenia z którejkolwiek z tajnych służb, ale czuł coraz wyraźniej, że jest na właściwym tropie. Tropie, o którym w tym momencie wiedział tylko, dokąd najprawdopodobniej nie prowadzi, a mianowicie do CIA.

– W przypadku ofiar tortury podtapiania najbardziej naturalne, z punktu widzenia sprawcy, wydaje się, żeby ciała pozbyć się gdzieś w wodzie – kontynuował. – Bo kiedy ciało zostanie wyciągnięte z wody, a patolog nie będzie zbyt uważny przy oględzinach, wówczas z dużym prawdopodobieństwem może dojść do wniosku, że ofiara zmarła w tych wodach, w jakich została znaleziona.

Lex Westermann przytaknął i wyglądało na to, że sam zaczął mieć wątpliwości.

– Coś w tym jest – odezwał się. – W dwóch z pięciu udokumentowanych przypadków ofiary włożono po śmierci do wypełnionych wodą wanien. Kolejna ofiara została wyłowiona z jeziora; czwartą sprawcy zawieźli nawet helikopterem do miejsca katastrofy promu, jaka przypadkowo wydarzyła się w pobliżu miejsca zbrodni w tym samym czasie. Wrzucili zabitego między ofiary katastrofy, jednak niektóre z nich jeszcze żyły i opowiedziały później policji o tym niespodziewanym gościu na makabrycznym party w basenie.

Westermann rzucił spojrzenie swojej koleżance. Także Charlotte Lubitz wydawała się pełna wątpliwości po słowach Abla.

– Tylko przypadek piąty – kontynuował Westermann – został znaleziony podobnie jak Aslewi w piwnicznym pomieszczeniu, w którym leżały jeszcze rekwizyty stosowane do tortur. W tym przypadku ktoś przeszkodził sprawcom, którzy uciekli. We wszystkich pozostałych przypadkach sprawcy usiłowali zatrzeć ślady, względnie podłożyć fałszywe, z czego, nawiasem mówiąc, należy wysnuć wniosek, że liczba ofiar pochodzenia arabsko-muzułmańskiego w ogólnej liczbie wypadków podczas kąpieli jest w skali światowej dużo niższa, a liczba rzeczywistych ofiar waterboardingu tego samego pochodzenia

odpowiednio wyższa, niż wskazują to aktualne statystyki.

Kastner przyciągnął do siebie bardzo szeroki segregator, który stał dokładnie na samym środku stołu, i przesunął go nagłym ruchem do lewej strony piętrzących się przed nim segregatorów. W powstałej w ten sposób luce widać było teraz jego ręce, które leżały na blacie stołu splecione jak do modlitwy.

– Podsumujmy – powiedział szef Grupy Specjalnej i chrząknął. – Obecnie nie można wykluczyć z całą pewnością, że Moah Aslewi został poddany przez sprawców ze środowiska służb specjalnych pewnym, zbliżonym do tortur, praktykom przesłuchań, ale nie jest to też niczym więcej, jak tylko spekulacją. Aktualnie nie można nawet wykluczyć, że pan Aslewi padł ofiarą tragicznego wypadku. Czy dobrze interpretuję pana wewnętrzną wyrocznię, panie Abel?

Abel przewrócił oczami. *Co za hipokryta, pomyślał. Kastner wolałby odstąpić od wyjaśnienia sprawy zabójstwa i pozostawić na wolności zbrodniarza niż zaryzykować własną karierę.*

– Niekoniecznie – odpowiedział. – Teoretycznie może oczywiście być tak, że ten człowiek siedział przed miską z wodą, kiedy nagle stracił przytomność. A gdy się ocknął z twarzą w misce i z wodą w drogach oddechowych, wówczas z przerażenia z powodu sytuacji, w jakiej się znalazł, doznał ataku serca. Ale jak prawdopodobny jest taki scenariusz?

– Prawdopodobieństwo jest w przybliżeniu zerowe – powiedział zupełnie serio Lex Westermann. – Nie znam ani jednego tego typu przypadku.

20

Gdzieś w Niemczech. Pomieszczenie piwniczne. Wtorek 5 września godz. 16.14.

W Barrym powoli wzbierała złość, ale jeszcze panował nad sobą. Jeśli wybuchnie, może się zdarzyć, że stłucze tę małą sukę na kwaśne jabłko. Wprawdzie potem na pewno już bez sprzeciwów będzie robiła wszystko, czego od niej zarząda, ale w wyniku bicia stawały się z reguły tak apatyczne, że sprawiały mu już tylko połowę przyjemności.

Musisz je naginać, a nie łamać, napominał sam siebie.

Ta wizja podobała mu się, jednak, nie wiadomo dlaczego, pociągała za sobą od razu inną, która niezbyt już mu odpowiadała. Był to strzęp z jednego z koszmarów sennych, który prześladował go od lat. Zazwyczaj natychmiast wyrzucał go ze świadomości, ale czasem nie był wystarczająco szybki. Tak jak tym razem właśnie. Wtedy pojawiały się kolejne obrazy senne i psuły mu nastrój.

W tym śnie Barry był małym chłopcem, może siedmioletnim. Leżał w łóżku dla dorosłych, które z perspektywy dziecka było przeogromne, krajobraz z poduszek i kołder. W tym łóżku znajdowała się korpulentna blondyna. Jej stopy i podudzia leżały ciężko na jego nagim torsie i wciskały go w materac.

Pieprzony, zasrany koszmar! Gwałtownie przesunął dłonią po twarzy, żeby przepędzić te obrazy. W rzeczywistości nigdy nie widział tej tłustej dziwki, podobnie jak własnej matki, która oddała go do adopcji jeszcze przed urodzeniem. Ten cały dziwaczny sen z blond Walkirią i nim samym, jako małym chłopczykiem, był zwykłym bezwartościowym odpadkiem wyprodukowanym przez synapsy jego neuronów mózgowych.

Ucieszył się niemal, kiedy ta mała dziwka przywołała go do rzeczywistości swoim skomleniem.

– Co tak znowu becysz?! – wrzasnęła na nią. – Musisz do klopa, czy jak?

Przytaknęła gorączkowo.

– To wystarczy powiedzieć, do cholery jasnej! Jak mi naszczasz na łóżko, to wsadzę ci tam nos, ty zasrana suko! Kapujesz?

Otworzył jej kajdanki, ale smycz trzymał w ręku. Zepchnął ją z łóżka i popychał przed sobą aż do chemicznej toalety obok kabiny prysznicowej. Z szyderczym uśmieszkiem patrzył, jak siada na muszli i sika bez końca.

– Jesteś jak wodospad Niagara – powiedział. – Pewnie pracujesz w dziale napojów, co?

Długo nie mógł się uspokoić ze śmiechu ze swojego dowcipu. Kiedy się jednak okazało, że ona wcale nie śmieje się razem z nim, znowu stracił humor.

Ona nie chce inaczej, pomyślał. Wręcz błaga, żeby dać jej porządnie popalić.

Kopał ją na przemian kolanami w tyłek, aż w końcu znowu leżała na materacu. I od razu zaczęła płakać jak bóbr, jakże by inaczej. Staranie przykuł ją do ramy łóżka, a klucz położył na stole, między gotowe dania.

– Przestań już beczeć – powiedział, kiedy znowu siedział przy niej na łóżku. W końcu nie zaszkodzi

spróbować raz jeszcze po dobroci. Lubił mieć przy sobie kobietę, która trzęsąc się ze strachu, słucha go z nabożnym skupieniem.

– Wiesz, ja nie zawsze byłem taki – ciągnął. – Gdzieś tak przed dziesięciu laty, albo coś koło tego, zacząłem chodzić na widowiska Nude Mixed Wrestling. Widziałaś to kiedyś?

Wolną ręką ugniatał jej piersi, ale ona tylko wpatrywała się w niego nieruchomo.

Okay, to było głupie pytanie, pomyślał, tam chodzą tylko mężczyźni. Z wyjątkiem rzecz jasna dziwek.

Widowiska Nude Mixed Wrestling odbywały się w dawnych halach magazynowych na obrzeżach Berlina. Dziwnym zbiegiem okoliczności zarówno w zachodniej, jak i wschodniej części miasta. Być może Wessi i Ossi byli jednak bardziej podobni do siebie, niż twierdzą to nieustannie media. Jeżeli idzie o Barry'ego, to przynależał do obu grup: dorastał w NRD, a od zjednoczenia był niezmordowanym badaczem zachodniej bezpruderyjności, czego jednym z przykładów były właśnie imprezy w odnowionych halach magazynów.

Widowiska Nude Mixed Wrestling to przedstawienia porno-live, podczas których walczyli ze sobą mężczyzna i kobieta. Mężczyźni byli zazwyczaj mizernymi, przypominającymi szczury typami o ogolonych na łyso głowach, podczas gdy kobiety wyglądały jak długowłose lwice. Miały kobiece krągłości, ale ani grama zbytecznego tłuszczu. Ich piersi i pośladki wyglądały jak kule armatnie, a uda jak kolumny ze stali.

Kiedy sędzia ringowy dawał znak do rozpoczęcia walki, wojowniczką powalała zazwyczaj swojego męskiego przeciwnika jednym kopnięciem na ziemię, rzucała się na niego i zakleszczała sobie jego głowę między udami. Twarz mężczyzny stawała się czerwona, zaczynał machać rękami i podrygiwać nogami i dolną częścią ciała, tak że jego penis kołysał się na wszystkie strony. Z reguły dopiero po pełnych wyjątkowego wysiłku minutach udawało mu się wyswobodzić z tych damskich nożyc. O ile w ogóle. Zawodniczka trzymała jego szyję tak długo między udami, aż mężczyzna uderzał otwartą dłońią o podłogę, po czym zwyciężczyni siadała z rozwartymi udami na jego brzuchu i zaczynała maltretować jego genitalia, aż do chwili, kiedy przy akompaniamencie radosnego wycia publiki, dochodziło do wytrysku. Całe przedstawienie miało, rzecz jasna, tylko jeden cel: rozgrzanie męskiej publiki do czerwoności. Wielu z widzów, prawdopodobnie nawet większość, było masochistami fantazjującymi o dominującej partnerce, co jednakże nie dotyczyło Barry'ego. Podniecało go przyglądanie się tym potężnym kobietom powalającym swoich samców, ale dla niego była to tylko gra wstępna. Jak tylko się rozkręcił, sam przejmował inicjatywę i pokazywał zdirze, że to on jest twardzielem. Problem polegał tylko na tym, że od wielu lat potrzebował właśnie takiej rozgrzewki, żeby w ogóle mu stanął.

Tuż obok sceny, urządzonej na podobieństwo ringu do wrestlingu, znajdował się rodzaj wybiegu do nawiązywania kontaktów. Czekwały tam dziwki, spośród których widzowie mogli sobie wybrać własną przeciwniczkę, żeby naśladować to, co zobaczyli na scenie. Rezerwując tzw. łożę VIP-owską można było przed przedstawieniem albo nawet w jego trakcie podejść tam na moment, wybrać sobie jedną z kobiet i zabrać ze sobą do łoży. Korzyść polegała na tym, że można było jednocześnie rozkoszować się przedstawieniem i obrabiać dziwkę. Barry przeżył jednak przy tej okazji dwie porażki najgorszego rodzaju, i to w ciągu dwóch kolejnych sobót. Za pierwszym razem rozkazał dziwce, żeby uklękła w łoży między jego nogami i obciągnęła mu. Nic z tego jednak nie wyszło, bo miał zwiotczałego fiuta jak zepsuty szlauch. W pewnej chwili dziwka spojrzała na niego z dołu, z takim jakimś współczującym wyrazem twarzy, który dopieknął mu bardziej, niż gdyby uśmiechnęła się drwiąco. Wcześniej nigdy mu się coś takiego nie zdarzało albo co najwyżej kiedy miał w sobie zbyt wiele drinków lub barbituranów. Za drugim razem ta sama katastrofa, chociaż wtedy wpadł już na pomysł, żeby założyć dziwce kolczatkę na szyję. Zaciskał ją w trakcie, podniecając się jej strachem, ale i to nic nie pomogło.

W końcu zrozumiał, że muszą robić odwrotnie, tak jak pary wrestlingu na scenie. I od razu znakomicie zadziałało, ale mimo to zakładał od tego czasu kolczatkę każdej swojej ofierze. Na wypadek gdyby nie przestała w porę odcinać mu dopływ powietrza swoimi udami – no i żeby sam nie zapomniał, że mimo wszystko to on jest panem na tym ringu.

– No więc, Jana – spróbował od początku. – Chcę, żebyś położyła się na mnie i objęła mnie za szyję nogami. Ja leżę na plecach, a ty kładziesz się przodem na mnie, ale tak, żeby twoje nogi były przy mojej głowie. Tak, jak przy pozycji 69, o ile już o tym słyszałaś. Owijasz mi więc nogi wokół szyi i zaciskasz mocno, ale nie za mocno. Zrozumiałaś?

Już sama ta wizja przyspieszyła bicie jego serca. Jego moszna skurczyła się, a gardło zrobiło się suche. Od lat trzy razy w tygodniu przeprowadzał specjalny trening mięśni szyi, żeby zapobiec przypadkowemu uduszeniu podczas wrestlingowej gry wstępnej. Jako lekarz wiedział, jak cienka jest granica między kontrolowaną redukcją dopływu tlenu do krwi – która uwalnia w ogromnych ilościach substancje przekaźnikowe w mózgu, uruchamiając w tym momencie w jego ciele najwyższe seksualne napięcie – a momentem, w którym traci się przytomność, stając się niezdolnym do jakichkolwiek działań, co mogłoby oznaczać śmierć. Albo co najmniej uszkodzenie krtani lub tchawicy, które byłoby nie tylko bolesne, ale także zagrażałoby życiu.

– Kiedy walnę cię w tyłek – ciągnął – oznacza to, że masz wziąć mojego kutasa do buzi i ssać go.

Miała pełne, wręcz podobne do poduszczek wargi, co było jednym z głównych powodów, dla którego ją wybrał. Jednak w tej chwili jej usta drżały, jakby miała zaraz dostać ataku epilepsji. Ale on sprawdził wcześniej, wprawdzie ogólnikowo, ale jednak, jej stan fizyczny; była zdrowa jak ryba i powinna przetrzymać wszystko, aż z nią skończy. Zwłaszcza że miał przy sobie wystarczająco dużo analgetyków i kortykosteroidów, żeby w razie konieczności stabilizować przez tydzień jej układ krążenia. Oraz wystarczająco dużo koksu i viagry, żeby samego siebie wystrzelić w kosmos z penisem w bezustannej erekcji.

– Jak tylko mój kutas zrobi się twardy – instruował ją dalej – przestajesz robić wszystko, co robiłaś dotychczas. Żadnego ssania, a zwłaszcza duszenia, okay?

Spojrzał na nią przenikliwie, ale nie był pewny, czy w ogóle dotarło do niej, co mówi.

– Okay? – powtórzył groźnym tonem. – Jeżeli nie będziesz posłuszna, to stanie się to.

Pociągnął energicznie za bykowiec, którego koniec owinął sobie wokół dłoni. Wyrzuciła z siebie na wpół zduszony jęk i przytaknęła spazmatycznie.

– Jak tylko zrobi się twardy, zejdziesz ze mnie – powtórzył swoją mantrę. – Co dalej w programie, to już sama się zorientujesz. I zapewniam, że nie zapomnisz tego przez resztę życia.

Znowu zaczęła beczeć. Musiał wziąć się w garść, żeby nie dać jej w twarz.

Jeszcze nie.

Na początku zawsze próbował być cierpliwy, a nawet wręcz delikatny. W ciągu lat wypróbował na kilkudziesięciu dziewczynach najróżniejsze metody. Zawsze, gdy musiał sobie zrobić przerwę od Julii, rozglądał się z konieczności gdzie indziej. Dziwki z Nude Mixed Wrestling nie wchodziły w rachubę, ponieważ wszystko robiły z obojętną rutyną i nie rozumiały reguł gry. Dla nich klient był albo jednym albo drugim, to znaczy: albo masochistą albo sadystą. Dla Barry’ego natomiast to pierwsze było sposobem, żeby się rozkręcić w tym drugim.

A więc zaczął porywać młode kobiety, takie jak Jana, i zamykać w swoim zabawowym hostelu pod ziemią. Wprawdzie nie liczył tego, ale według jego szacunków w przypadku połowy z nich wystarczało cierpliwe powtarzanie w kółko, czego od nich oczekuje. U pozostałych łagodna metoda nie skutkowała i był zmuszony przedstawiać się w pewnym momencie na inną. Ale usiłował tego jednak unikać. Lubił taką małą zdziwę podręczyć, aż zaczynała kwiczeć i ze łzami w oczach przyrzekała, że zrobi wszystko, czego od niej zażąda. Ale kiedy widział, że straciły nadzieję, nie było już tak samo, co wcześniej.

Naginać, nie łamać, pomyślał znowu i od razu stał się czujny, gdyby ponownie pojawiła się scena z tego pieprzonego snu. Ale potężna blondynka tym razem się nie pojawiła.

– Teraz ty, Jana – powiedział i spojrzał na nią pełen oczekiwania. – Opowiedz mi własnymi słowami, co zaraz będziesz robiła.

Berlin, Treptowers.
Jednostka Federalnego Urzędu Kryminalnego „Przypadki nadzwyczajne”.
Biuro doktora Freda Abła.
Wtorek 5 września godz. 17.15.

Doktor Fuchs, kolega z laboratorium, po raz kolejny przeszedł sam siebie. Kiedy Abel wrócił do swojego biura ze spotkania Grupy Specjalnej „Wodna zagadka”, na jego biurku leżał już raport dotyczący badań próbek krwi, narządów i tkanek w sprawie Dominika Kreislera.

Gdyby Kastner chociaż w połowie był tak wydajny, jak Fuchs! – pomyślał Abel. Doświadczenia, jakie miał z Kastnerem wprawiały go zawsze w konsternację, nawet po tylu latach. Kręcąc głową, wziął do ręki skoroszyt z wynikami z laboratorium i opadł na fotel przy biurku.

Przekartkował cały raport i kilkakrotnie potakiwał w milczeniu głową. Wyniki analizy potwierdziły jego roboczą hipotezę: ten agent obrotu nieruchomościami nie zmarł w wyniku nowotworu złośliwego, którego objawów nie stwierdzono podczas sekcji. Kreisler zmarł w wyniku zastrzyku morfiny, który zrobiono mu w żyłę pod lewym kolanem. Potwierdzeniem były wyniki badania toksykologicznego, które wykazało we krwi denata wysokie wartości metabolitów morfiny.

Doktor Fuchs wykrył również, jakiego opioidu użył sprawca. Grupa opioidów obejmuje różnorodne – zarówno naturalne, jak i syntetyczne – substancje, które były w stanie wejść w interakcje z opioidowymi receptorami mózgu, wywołując różne reakcje. Zasadniczo blokowały ból, jak też powodowały podwyższenie nastroju – aż do euforii włącznie. Opioidy wywołują efekty podobnie jak naturalne opium, ale z reguły mają odmienną strukturę chemiczną. W nowoczesnej medycynie opioidy używane są do różnorodnych celów leczniczych, przede wszystkim w terapiach antybólowych oraz w anesteziologii podczas zabiegów operacyjnych. Euforyczne efekty opioidów docenili głównie narkomani. W małych dawkach oddziałują przeciwbólowo i nasennie. Przedawkowanie prowadzi jednakże do szybkiego zgonu; negatywnie wpływają na centralny system nerwowy, działając negatywnie na ośrodek oddechowy, co może doprowadzić do zatrzymania oddechu.

Tak więc Dominik Kreisler zmarł w wyniku bezdechu, wywołanego śmiertelną dawką opioidu wstrzykniętą w okolicę podkolanową. Do tego momentu raport nie był żadną niespodzianką.

Doktor Fuchs zachował sobie jeden zaskakujący wniosek na koniec. *„Opioid wykryty we krwi zmarłego produkowany jest syntetycznie od 1995 roku w Rosji i znajduje się w obiegu na terenie Federacji Rosyjskiej pod nazwą laxophorin i stosowany jest jako środek przeciwbólowy oraz znieczulający. W Niemczech oraz na terenie całej Unii Europejskiej nie jest dopuszczony do rynku i nie może być używany przez lekarzy i szpitale”.*

No, super, pomyślał Abel. *Rosyjski opioid?* Czy nie znaleziono go także we krwi innego zmarłego, którego fałszywy akt zgonu wystawił tenże sam doktor Lenski?

Abel włączył laptopa i zalogował się do wewnętrznej sieci internetowej Federalnego Urzędu

Kryminalnego. Zastanowił się przez moment, potem przypomniał sobie nazwisko tego drugiego zabitego, którego Herzfeld wymienił dzisiaj podczas porannej konferencji: Rainer Bunting. Wpisał nazwisko w pole wyszukiwania i otworzył cyfrowe akta sprawy.

Rainer Bunting był odnoszącym sukcesy przedsiębiorcą budowlanym, właścicielem willi nad jeziorem Wandlitz i przed około sześcioma miesiącami zmarł w wieku sześćdziesięciu trzech lat – według aktu zgonu na „zawał serca”, w rzeczywistości jednak z przedawkowania opioidu. Kolega z Instytutu Krajowego, który dokonał sekcji ciała Buntinga w marcu ubiegłego roku, nie był podejrzliwy, ponieważ przedsiębiorca rzeczywiście cierpiał nie tylko na osłabienie mięśnia sercowego i zaawansowaną rozedmę płuc, lecz także na chorobę Bechterewa, czyli zeszywniające zapalenie stawów kręgosłupa.

Wszystko wskazywało na to, że bóle związane ze sztywnieniem i wykrzywieniem pleców były w przypadku Buntinga leczone środkami opioidalnymi. Z drugiej jednak strony pogarszało to znacznie stan jego, i tak funkcjonujących w sposób bardzo ograniczony, płuc.

Bunting otrzymywał opioid nie tylko doustnie, ale w okresach nasilonego bólu także w formie zastrzyków; w każdym razie wskazywały na to liczne ślady po ukłuciach na zgięciach jego ramion, niektóre z nich były bardzo stare, inne powstały krótko przed zgonem. Patolog z Instytutu Krajowego znalazł także nakłucie w lewym zgięciu kolana, ale nie przypisywał temu szczególnego znaczenia. Ponieważ zmarły wykazywał ślady po nakłuciach na obu ramionach, to z punktu widzenia sprawcy, nie miało większego sensu ukrywanie ewentualnej trującej iniekcji w ten właśnie sposób. Patolog nie wziął, rzecz jasna, pod uwagę, co zrozumiałe, że mogłaby to być sygnatura seryjnego zabójcy.

Abel zadawał sobie pytanie, czy na miejscu tego kolegi z Instytutu Krajowego obudziłoby się w nim takie podejrzenie, ale raczej w to powątpiewał. Ponieważ firma Buntinga budowała w aglomeracji moskiewskiej ogromne blokowisko dla trzydziestu tysięcy ludzi, to w związku z tym przedsiębiorca ten często w ostatnich trzech latach przebywał w Rosji. W trakcie badania toksykologicznego w jego krwi wykryto wprawdzie znaczne ilości tego produkowanego w Rosji opioidu, lecz właśnie ta okoliczność wydawała się odsuwać wszelkie podejrzenia od długoletniego lekarza Buntinga, doktora Lenskiego, który zeznał, że Bunting był w Moskwie kilkakrotnie leczony na hipotonię.

Stąd też dla funkcjonariuszy policji kryminalnej prowadzących tę sprawę kawałki puzzli ułożyły się w niebudzący większych zastrzeżeń obrazek. Z ich perspektywy wyglądało to tak, że Lenski, wypisując akt zgonu, popełnił po prostu zrozumiałą pomyłkę i z aplikowaniem środka zawierającego opioidy rosyjskich laboratoriów nie miał nigdy nic wspólnego.

Jednak teraz jednostka „Przypadki nadzwyczajne” Federalnego Urzędu Kryminalnego miała przed sobą dwa zabójstwa, wykazujące dwie wyraźne cechy wspólne. Obydwie ofiary zostały zabite nadmierną dawką laxophorinu i pod obydwohoma aktami zgonu widniało nazwisko Lenskiego.

Harald Lenski, powiedział sobie Abel. Nie Harald Katz. A mimo to...

Jego intuicja upierała się jednak przy tym, że musi tu istnieć jakieś powiązanie. *Katz dorastał w byłej NRD, przypomniał sobie jeszcze. I czy to Katz mówił płynnie po rosyjsku i tłumaczył z rosyjskiego bez trudu nawet fachowe teksty?*

Czy też może pamięć splątała mu w tym przypadku figla?

No to sprawdźmy, pomyślał Abel. Zamknął akta sprawy Buntinga i wszedł do banku danych Federalnego Urzędu Kryminalnego. W tej ogromnej bazie znajdowały się wszystkie osoby, które kiedykolwiek na terenie Niemiec zostały wymienione w aktach w związku z jakimś przestępstwem. Łaskotanie w brzuchu Abła zintensyfikowało się, kiedy wklepywał nazwisko doktora Lenskiego w pole wyszukiwarki. Po upływie mniej niż minuty program zameldował dźwiękiem blaszanego gongu, że było co najmniej jedno trafienie. Abel przeleciał wzrokiem wynik poszukiwań.

Doktor Harald Lenski nie był osobą nieznaną Federalnemu Urzędowi Kryminalnemu i najwyraźniej także Ablowi. Urodził się czterdzieści pięć lat temu w Oranienburgu; w tym małym mieście położonym na północ od Berlina chodził do szkoły, aż do matury. Zaraz po upadku muru przeprowadził się do

Hanoweru i zapisał na wydział medycyny na Uniwersytecie imienia LeibnITza.

Jednakże wtedy nazywał się jeszcze Harald Katz.

– Tak też myślałem – wymamrotał Abel sam do siebie. – Ale jak to zrobiłeś? Jak Katz przemienił się w Lenskiego?

Rozwiązanie tej zagadki było zadziwiająco proste. Dwa lata po ukończeniu studiów Harald Katz, wtedy świeżo upieczony doktor medycyny, ożenił się z Saskią Lenski i przyjął nazwisko żony. W ten sposób Harald Lenski, z domu Katz, skorzystał z możliwości prawnej, która istniała już od tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego roku.

Ta nowinka prawna jakoś umknęła uwadze Abła, a on sam nie kojarzył ani jednego mężczyzny w swoim zarówno prywatnym, jak i zawodowym kręgu znajomych, który skorzystałby z tej reformy prawa i przy ślubie zrezygnował ze swojego dotychczasowego nazwiska.

Lex Westermann z pewnością mógłby sygnąć tutaj odpowiednimi statystykami, powiedział do siebie Abel. On sam nie był wprawdzie chodzącym bankiem danych, ale mógłby się założyć o butelkę dobrego wina, że od tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego roku co najwyżej jeden do dwóch procent obywateli Republiki Federalnej Niemiec płci męskiej przyjęło podczas zawierania małżeństwa w urzędzie stanu cywilnego nazwisko żony i z całą pewnością jeszcze mniejszy odsetek z nich został niedługo po ślubie wdowcami.

Tak jak Harald Lenski, z domu Katz. Jego małżonka Saskia zmarła już trzy lata po ślubie w Laosie, podczas podróży małżonków po Azji południowowschodniej. „Przyczyna śmierci: zatrucie rybą”, jak przeczytał w banku danych Federalnego Urzędu Kryminalnego.

W tym przypadku Katz alias Lenski nie mógł co prawda sam wystawić aktu zgonu, co jednak nie musiało mu przeszkodzić w podaniu własnej małżonce zatrutej ryby. W końcu od czasów swoich studiów znakomicie znał się na trujących substancjach, a dyktatorskie władze w Laosie absolutnie nie były zainteresowane wyjaśnianiem przypadków śmierci, w które nie byli zamieszani miejscowi. Dla uproszczenia całej sprawy Lenski kazał poddać kremacji zwłoki swojej dawczyni nazwiska, zanim jako wdowiec w żałobie powrócił do Niemiec.

Wyjaśniło się więc, w jaki sposób udała mu się sztuka zmiany nazwiska, pomyślał Abel. Pozostawało jeszcze pytanie, dlaczego Katz chciał pozbyć się dotychczasowego. Czy był już wcześniej karany albo przynajmniej notowany przez policję?

Abel przewiął w dół stronę, do miejsca, gdzie znajdowały się informacje o przestępstwach i ewentualne wyroki. To, co tu znalazł, wyjaśniało aż za dobrze, dążenie Katza do zmiany nazwiska.

Harald Katz do momentu zawarcia małżeństwa został oskarżony w sumie przez sześć kobiet i za każdym razem zarzut był taki sam: wszystkim tym kobietom podawał rzekomo środki odurzające, żeby je sobie podporządkować i w konsekwencji zgwałcić. Trzy z tych kobiet były pacjentkami w Klinice Hanowerskiej, w której Katz pracował jako praktykant po ukończeniu studiów medycznych. Pozostałe trzy zeznały, że zaczepił je w barze lub w dyskotecie. One odrzuciły jego awanse, ale następnego dnia każda z nich obudziła się na poboczu drogi z mglistymi wspomnieniami koszmarnych przeżyć, których sprawcę zidentyfikowały jako Haralda Katza. Jednak ten za każdym razem kategorycznie odrzucał oskarżenia o podawanie komukolwiek odurzających substancji. Nie zgwałcił także absolutnie tych kobiet, jak twierdził, lecz uprawiał z nimi seks za ich zgodą. Rzeczywiście, wynik badań toksykologicznych krwi był we wszystkich przypadkach negatywny. Mogło to oznaczać, że kobiety myliły się albo że zostały odurzone trucizną, która nie pozostawia śladów we krwi następnego dnia. Jak na przykład znane i osławione liquid ecstasy określane mianem „narkotyku gwałtu”.

Mimo że prokuratura umorzyła dochodzenie przeciwko Katzowi we wszystkich sześciu przypadkach, to jednak zaledwie dwa lata po zdobyciu tytułu doktora medycyny jego opinia była już mocno zszargana. Umowa o pracę z kliniką, której opinia także ucierpiała, została rozwiązana za obopólną zgodą. Wszystko wskazywało na to, że po tym wszystkim Katzowi nie udało się znaleźć nowego miejsca pracy na terenie

Niemiec.

Bo z jakiego powodu, zastanawiał się Abel, znakomicie wykształcony młody lekarz, dwa lata po swojej obronie pracy doktorskiej suma cum laude, zatrudniłby się akurat w jednej z rosyjskich firm farmaceutycznych jako fachowiec od opracowywania nowych substancji? Być może Katz kierował się tutaj także względami prywatnymi, ale Abel uważał to za mało prawdopodobne. O wiele bardziej przekonujące było to, że Katz po swoich różnorodnych, na wpół kryminalnych machinacjach stracił w kraju grunt pod nogami.

W związku z tym pojechał najpierw do Moskwy, gdzie pracował w laboratorium firmy farmaceutycznej Sanoprom, która, nawiasem mówiąc, produkowała między innymi zawierający opioidy laxophorin. Może Katz brał nawet udział w opracowywaniu tego środka?

Bezpośrednio po powrocie z Rosji ożenił się i osiadł jako internista doktor Lenski, z własnym gabinetem nad jeziorem Wandlitz, tylko kilka kilometrów od Oranienburga, gdzie przyszedł na świat jako Harald Katz.

Abel raz jeszcze przyjrzał się w myślach tej bardzo zmiennej karierze. Potem wyjął dyktafon z szuflady biurka i nagrał najważniejsze wyniki z raportu z laboratorium na temat sprawy Dominika Kreislera, jak również własne wnioski. Następnie odnotował jeszcze swoje odkrycia i podejrzenia w stosunku do osoby Lenskiego i jego historii. Potem zadzwonił do Renate Hübner i poprosił ją o natychmiastowe przepisanie tych uwag, żeby nadkomisarz Marie Horowitz z wydziału zabójstw jeszcze dzisiaj otrzymała raport z obdukcji.

Zaczął rozmyślać o misji w Naddniestrzu, na którą miał wyruszyć pojutrze rano. Dziwne, pomyślał Abel, że aż dwa przypadki, którymi zajmuje się aktualnie, mają rosyjskie tło. Katz alias Lenski pracował w Moskwie, a były szef tajnych służb Burkianow to klasyczny były aparatczyk sowiecki.

Przypadek, powiedział sobie Abel. Co do Lenskiego, to Herzfeld miał znowu nosa. Wszystko wskazuje bowiem na to, że tropimy kolejnego seryjnego zabójcę.

**Gdzieś w Niemczech.
Pomieszczenie piwniczne.
Wtorek 5 września godz. 17.31.**

Rama łóżka skrzypiała, jak wagoniki w wesołym miasteczku. Kajdanki na lewej dłoni Jany pobrzękiwały.

– Tak, tak, nie przestawaj! – wyrzucił z siebie Barry zduszonym głosem.

Głowę miał gorącą jak płonący lampion i z pewnością była równie ognistoczerwona. Pot ściekał po nim strumieniami. Jana leżała na nim wyciągnięta wzdłuż, z goleniami zaciśniętym jak u węża dusiciela wokół jego szyi, i obrabiała go ustami.

Wreszcie zrozumiała, co ma robić. I jak zawsze, już po krótkiej chwili był na pełnych obrotach. Jana miała wspaniałe, silne nogi. Barry zastanawiał się, czy nie przyciągnąć jej do siebie w górę, żeby jej uda znalazły się na jego szyi, a on mógł wcisnąć twarz w jej cipkę.

Ale potem zorientował się, że to niemożliwe, ponieważ jej ręka była przytroczona do ramy łóżka. Poza tym i tak z trudem już oddychał. Jego rżenie i charczenie mieszało się z gwizdem w jego uszach, co było jednoznacznym sygnałem alarmowym.

– Przestań! – wydusił. Żadnej reakcji. – Złaż ze mnie!

Złapał ją za nogi i chciał ściągnąć z siebie. Z pewnością ważyła tylko nieco mniej od niego, a po dobrych trzech minutach w kleszczach jej nóg czuł się dosyć osłabiony. Nie dotyczyło to tylko obszaru, dla którego urządzał po raz kolejny to całe show – jego kutas stał jak rakieta Sojuz 3 przed startem.

– Przestań, do cholery!

Przed oczami zaczęło mu migotać. Akurat teraz musiał też pojawić się ten przeklęty obraz z koszmaru. Gwizd w uszach stawał się coraz głośniejszy.

Wszystko wokół Barry'ego zaczęło zapadać się w czerń, kiedy nagle przypomniał sobie, że wokół dłoni ma owiniętą linkę od kolczatki. Gwałtownym ruchem zaciągnął obrożę.

Ta mała zdzira zaczęła charczeć i poderwała tułów do góry, na szczęście dopiero po tym, jak otworzyła usta. Przede wszystkim jednak poluzował się natychmiast chwyt jej nóg wokół szyi Barry'ego.

Jej nogi zsunęły mu się z ramion. Dysząc i kaszląc, wciągał powietrze do płuc. Serce waliło mu jak młotem.

O mały, kurewski włos! Cały był nadal w strachu. Dlaczego ta durna menda nie przestała, kiedy jej rozkazałem?

A, wszystko jedno, powiedział sobie Barry.

Udało mu się jakoś wypełznąć spod niej. Wymacał swoją torbę lekarską i otworzył, nawet nie patrząc. Jego penis nadal był we wspaniałej erekcji, teraz ważna była każda sekunda. Wyciągnął z torby woreczek foliowy z koksem, wyłowił z niego plastikową rurkę i zaaplikował sobie wspaniałomyślnie potężną dawkę bezpośrednio z woreczka. Lewa dziurka nosa, prawa dziurka nosa, potem zwilżonym śliną czubkiem palca natarł sobie mocno białym proszkiem żołądź penisa.

Kiedy odwrócił się z powrotem, ta mała zdzira nadal leżała nieruchomo na brzuchu.

– Chciałabyś, co? – powiedział. – Party dopiero się zaczyna, żadnego przysypiania!

Pochylił się nad nią, złapał za ramiona i odwrócił na plecy. Jej powieki otworzyły się z trzepotem, a twarz wykrzywił grymas strachu.

I dobrze.

– To ja, kochanie – odezwał się. – Świetnie to zrobiłaś. – Klęcząc obok niej na materacu, kołysał naprężonym członkiem we wszystkie strony. – Ale to już nieco mniej. – Wskazał na swoją szyję. Mówienie i łykanie sprawiało mu ból, jakby przepłukał gardło czymś wysokoprocentowym. Kiedy obmacał sobie krtani, jego twarz sposepniała. Dostrzegł to w oczach Jany, które rozszerzyły się ze strachu.

– Chciałaś mnie załatwić, prawda? – powiedział.

Gwałtownie zaprzeczyła ruchem głowy.

– Ależ tak, chciałaś – powtórzył z uporem. – Ale jeżeli o mnie chodzi, to możemy o tym zapomnieć. Grunt, żebyśmy teraz mieli mnóstwo przyjemności. Ale chcę widzieć i słyszeć, jak bardzo ci się to podoba. Rozumiesz? – Uderzył ją w twarz, raz z lewej, raz prawej. Nie za mocno, tylko na tyle, żeby jej głowa poleciała nieco w jedną i w drugą stronę. Potem zrobił to samo z jej piersiami.

– Chcę od samego początku do końca widzieć i słyszeć, jak bardzo ci się podoba – oznajmił Barry ochryplym głosem. – Bez względu na to, jak długo będzie trwało, i bez względu na to, jak ostro cię potraktuję. Wiesz, co stanie się w przeciwnym razie, prawda?

Jana patrzyła na niego zamarła ze strachu.

– Pokaż mi, że to dla ciebie ogromna przyjemność – ciągnął – wtedy być może uwolnię ci nawet rękę. W tej chwili jesteś jeszcze na warunkowym, ale jako oznakę mojej dobrej woli uwolnię cię już teraz od kolczatki. To miło z mojej strony, prawda?

Odpiął zamknięcie na jej karku, a jej twarz rzeczywiście się rozjaśniła na chwilę. Nie był to co prawda jeszcze uśmiech z prawdziwego zdarzenia, ale na pewno krok we właściwym kierunku.

Rzucił obrożę i smycz obok łóżka, znów pochylił się nad swoją torbą lekarską i wyciągnął jednorazową strzykawkę, którą napełnił zapobiegliwie mieszanką z liquid ecstasy, analgetyków i kilku mililitrów laxophorinu.

– Już jestem przy tobie, malutka. – Pokazał jej strzykawkę i zastanawiał się, w jaki sposób mógłby jej wszystko wyjaśnić. Z pewnością nie miała pojęcia o medycynie ani też o terminach łacińskich. – Tutaj w środku są naprawdę dobre rzeczy – kontynuował. – Wprawia cię w prawdziwą euforię i zadbają o to, żeby twoja pompa wytrzymała aż do samego końca. Super, nie?

Rozepchnął jej nogi i przykucnął między nimi. Wykonała świetną pracę wstępną, co jednak nie oznaczało, że może spocząć na laurach.

– A więc wysił się, z łaski swojej! Chcę słyszeć twoje jęki! – Machał strzykawką przed jej twarzą w różne strony. – Masz mi jęczeć do ucha, że chcesz mocniej! Albo wpakuję ci ten zastrzyk!

Rzucił się na Janę i wszedł w nią brutalnie. Lewą ręką przycisnął igłę do jej szyi, a prawą chwycił ją za dolną szczękę tak, że jej zęby wbiły się w wewnętrzną stronę policzków.

– Podoba ci się to? – wydyszał. – No to pokaż mi jak! Nie tak wstydliwie, kochanie!

Berlin, Treptowers.

Grupa Specjalna „Wodna zagadka” Federalnego Urzędu Kryminalnego.
Środa 6 września godz. 10.15.

Twarz Kastnera za ścianą z segregatorów wyglądała nie tylko na chorobliwie szarą, jak zwykle, ale była do tego jeszcze upstrzona czerwonymi plamami. Kierownik Grupy Specjalnej sprawiał wrażenie, jakby był tuż przed wylewem. Nawet jego srebrzysta fryzura, zawsze tak starannie przedzielona przedziałkiem, robiła wrażenie przekrzywionej.

Być może nosi perukę, pomyślał Abel.

Po szybkiej obdukcji wrócił natychmiast na spotkanie Grupy Specjalnej „Wodna zagadka” Federalnego Urzędu Kryminalnego, żeby przedstawić ustnie wyniki sekcji.

W budynku parlamentu znaleziono kolejnego martwego sprzątacza. Drugiego w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Badanie toksykologiczne będzie jeszcze trwało kilka godzin, a pisemny raport sekcji ma być gotowy dopiero następnego dnia.

A liczyła się każda minuta. Jeżeli rzeczywiście nie była to sprawka agentów CIA – w co Abel bardzo powątpiewał – to mogło chodzić o kolejnego seryjnego mordercę, który był na wolności i nadal nie niepokojony wyszukiwał sobie nowe ofiary.

Po prawej i lewej stronie kierownika Grupy Specjalnej siedziało jego dwoje asystentów. Micaela Schweins, blondynka o bujnych kształtach w jasnoróżowym kostiumie z jedwabiu, zapamiętała stuknęła w klawiaturę laptopa. Marvin Fischer, jej kolega, był mniej więcej w tym samym wieku, czyli około trzydziestu pięciu lat, i spokojnie mógłby uchodzić za wnuka piłkarza Bertiego Vogtsa. Przyciskał swój iPhone do ucha i słuchał z rozwartymi szeroko oczami.

– A więc kolejny martwy sprzątacza w budynku imienia Paula Löbe – powiedział Kastner zamiast powitania. – Minister staje na głowie!

To przynajmniej nie wleje mu się woda do płuc, pomyślał Abel, ale powstrzymał się od jakichkolwiek komentarzy.

Kastner spojrział na Charlotte Lubitz z ogromnym wyrzutem, jakby to ona osobiście zabiła tego sprzątacza.

– Proszę, pani nadkomisarz, nich nam pani opowie, co mamy!

Także Charlotte Lubitz i Lex Westermann przyprawili ze sobą posiłki w postaci asystenta. Dryblasowaty nowicjusz podsunął jej skoroszyt, ale Charlotte Lubitz już poderwała się ze swojego krzesła i sprężystym krokiem podeszła do magnetycznej tablicy.

– Dwudziestosiedmioletni Nasir Hassaka został znaleziony martwy dzisiaj o siódmej rano w kotłowni parlamentu – zaczęła. – Jeden z dozorców otworzył pomieszczenie, żeby wpuścić pogotowie techniczne z powodu awarii obiegu wody. Odkryli, że pomieszczenie zostało przemienione w salę tortur.

Referując wyniki dochodzenia, rozmieszczała na tablicy cały zestaw fotografii w formacie DIN A4. Zdjęcia pokazywały zmarłego i okoliczności, w jakich został znaleziony, ze wszelkich możliwych

perspektyw. Nasir Hassaka był krępej postury i miał ciemnobrązowy kolor skóry. W sposób jednoznaczny ten sam typ, co Aslewi. Także on miał gęste czarne włosy i bujne wąsy.

Nasir Hassaka został znaleziony w pozycji na plecach, dłonie i stopy miał przymocowane do drzwi wyjętych z zawiasów. Drzwi znajdowały się pośrodku kotłowni na poustawianych na sobie krzesłach, które po stronie głowy ofiary miały wysokość około pięćdziesięciu centymetrów, a po stronie stóp dwa razy tyle. Głowa Hassaki była tak przymocowana metalową obejmą biegnącą przez czoło, że nie mógł jej ani unieść, ani też przekręcić w bok. Obok zabitego stał kubeł, jakiego używają sprzątacze, wypełniony do połowy wodą, która najprawdopodobniej została ściągnięta z obiegu wodnego pompy.

– Klasyczna sceneria przy torturach podtapiania – powiedziała Charlotte Lubitz. – Obok wiadra leżała nawet ścierka z mikrowłókien, którą prawdopodobnie przykrywano twarz Hassaki podczas polewania wodą. – Wskazała na odpowiednie zdjęcie.

Oczy Hassaki wydawały się podążać za Ablem. Nawet po śmierci człowiek ten emanował niepokromioną siłą. Abel odczuł to także wcześniej na sali sekcyjnej, kiedy zmarły leżał przed nim na metalowym stole. Jednakże tylko do momentu, kiedy to przy sekcji głowy skóra ściągnięta z czaszki zakryła górną część twarzy zmarłego.

Cokolwiek jednak sprawcy chcieli wydobyć od Hassaki, raczej, jak przypuszczał Abel, im się to nie udało. On sam był wprawdzie zdania, że nie ma takich politycznych przekonań czy celów, dla których warto umierać, ale potrafił zrozumieć nieugiętą dumę mężczyzn, którzy dawali się raczej pokroić na kawałki niż wyznać coś swoim katom.

– Paralele do sprawy Aslewiego są oczywiste – ciągnęła nadkomisarz Lubitz. – Obaj mężczyźni pracowali jako sprzątacze w budynku parlamentu. Obaj są pochodzenia kurdyjskiego, przy czym Hassaka nie urodził się w Iranie, lecz w Malatya we Wschodniej Anatolii. Obaj zostali zabici w odstępie dwudziestu czterech godzin w tym samym budynku. Także modus operandi sprawcy lub sprawców jest prawdopodobnie w obu przypadkach taki sam. Wszystko wskazuje na to, że Hassaka, podobnie jak Aslewi, był torturowany za pomocą waterboardingu i w ten sposób zabity. Ale na ten temat pan Abel z pewnością będzie nam mógł powiedzieć nieco więcej.

Lex Westermann rzucił Ablowi znaczące spojrzenie. Także szef Grupy Specjalnej wpatrywał się w niego jak zaklinacz węży.

Wiem już, co chcecie ode mnie usłyszeć, pomyślał Abel. Obaj nadkomisarze chcieli, żeby wsparł ich hipotezę o CIA. A Kastner najchętniej rozkazałby mu na drodze służbowej wystawić świadectwa niewinności wszystkim tajnym służbom zaprzyjaźnionych państw.

Jednak Abel z zasady odrzucał możliwość naginania faktów tak, żeby pasowały do z góry założonych tez. Streszczając wyniki obdukcji, nie podniósł się z krzesła. Prokuratura złożyła wnioski o zrobienie natychmiastowej obdukcji i Abel osobiście dokonał sekcji Nasira Hassaki. Ze skoroszytu, który miał przed sobą, wyjął plik fotografii i przesunął je w stronę Westermanna. Charlotte Lubitz wróciła w tym czasie na swoje miejsce i przyglądała się z zawodowym zainteresowaniem krwawym szczegółom obdukcji widocznym na zdjęciach, które u laika mogłyby wywołać wegetatywne symptomy, takie jak niekontrolowany odruch wymiotny. Podobnie było u mniej zahartowanych policjantów, jak u asystującego im młodego dochodzeniowca, którego twarz przybrała intensywnie zielonkawą barwę. Był jeszcze młodszy, niż przypuszczał Abel na pierwszy rzut oka: mógł mieć co najwyżej dwadzieścia pięć lat. Z przerażeniem pełnym niedowierzania wpatrywał się w fotografie pokazujące ciało w różnych stadiach procesu obdukcji.

– Na dolnej szczęce Hassaki widzą państwo charakterystyczne ślady przytrzymywania dłonią – zaczął Abel. – Prawdopodobnie także i jemu otwierano usta przemocą, tak samo, jak zrobił to sprawca, względnie sprawcy, u Moaha Aslewiego. Sekcja nie wykazała dalszych poszlak wskazujących na waterboarding. Ale na tym polega sens i cel takiej metody tortur, jak już wspomniała o tym wczoraj pani Lubitz.

Spojrzał krótko w jej kierunku. Nadkomisarz robiła wrażenie tak spiętej, jak sprinterka przed startem.

– Poza tym Nasir Hassaka nie zmarł ani w wyniku dostania się wody do płuc, ani też z powodu ataku serca – kontynuował Abel. – Na zdjęciach widać wyraźnie, że jego płuca nie zawierały wody, a serce było absolutnie nienaruszone.

– To dlaczego nie żyje? – zapytał młody policjant.

– Eric, coś ci się pomyliło – mruknął do niego Westermann. – Masz mieć otwarte oczy i uszy, a nie buzię. Zapomniałeś?

Wszystkie oczy zwróciły się na Erica, który skulił ramiona i zrobił się cały czerwony. Za każdym razem, kiedy Abel spoglądał na niego, wydawał się coraz młodszy.

Ale jego pytanie było rzecz jasna uzasadnione. Mimo to Abel nie spieszył się z udzieleniem odpowiedzi. Nie dlatego, że chciał rozkoszować się napięciem albo zadrwić z biednego Erica, lecz z tego powodu, że Kastner jakby wyłączył się na moment ze sprawy.

Przez cały ten czas jego asystent Marvin Fischer telefonował z szeroko rozwartymi oczami. Teraz, przechylony w stronę szefa, szeptał mu coś do ucha z przejęciem. Kastner wydawał z siebie salwy chrząknięć. Siedział tak mocno pochylony do przodu, że jeśli rzeczywiście miał perukę, Abel spodziewał się najgorszego.

**Gdzieś w Niemczech.
Pomieszczenie piwniczne.
Wtorek 6 września godz. 10.27.**

Która to mogła być godzina? Dzień czy noc? I czy była jeszcze środa, czy też już czwartek?

Jana straciła całkowicie poczucie czasu. Jej ciało, jej mózg, cały jej świat – wszystko składało się już tylko ze strachu i bólu. Jej podbrzusze było jedną wielką palącą raną – w którą Barry nieustannie się wbijał.

– Powiedz to! No, dalej, powiedz! – dyszał. – Chcesz, żebym ci tak naprawdę dogodził! No, dalej, powiedz!

Prawą ręką bił ją i szczypał, lewą przyciskał igłę do jej szyi. W tym miejscu, w które wczoraj – a może już przedwczoraj? – wstrzyknął jej szybko działający środek odurzający.

Jaka ja byłam głupia, pomyślała Jana.

Dała się nabrać na jego trik jak cielę, które ufnie daje się zwabić rzeźnikowi. Na przystanku autobusowym zatrzymał się z piskiem opon i wyskoczył z vana. „Niech pani popilnuje dziecka, tylko na chwilę, proszę!”, wyrzucił z siebie. W garniturze wyglądał poważnie i całkowicie niegroźnie. „Muszę wezwać pogotowie, to sprawa życia i śmierci”. W vanie słychać było rozpaczliwy płacz dziecka. Bez chwili wahania weszła na tył samochodu. Do siedzenia przymocowany był fotelik dla dziecka, a na nim leżał niemowlak owinięty w koc. Przesunęła się bliżej i pochyliła się nad nim, kiedy zauważyła za sobą cień. Dziecko to była lalka, która płakała, tyle jeszcze zdołała sobie uświadomić. A rzekomy ojciec był oprawcą! Poczła kłujący ból po lewej stronie szyi, a potem już zupełnie nic.

Kiedy znów przyszła do siebie, była przekonana, że nadal śni. Ale potem dotarła do niej straszliwa prawda. Znajdowała się rękach perwersyjnego zbrojnego, który zdarł z niej ubranie i nagą przywiązał do tego śmierdzącego łóżka wyciągniętego gdzieś ze śmietnika, które stało w piwnicznym lochu, wyglądającym jak przedsionek piekła.

Na początku Jana miała jeszcze nadzieję, że jej dręczyciel będzie miał kiedyś dosyć. Być może zdoła utrzymać erekcję przez dwie, trzy godziny, ale w końcu musiał mieć wytrysk. Potem jego penis zwiotczeje, a ona będzie miała przez jakiś czas spokój. Ale wyglądało na to, że jest to czyste myślenie życzeniowe. Nie miała wprawdzie zbyt dużego doświadczenia na tym polu, ale nigdy jeszcze nie słyszała o facecie, który miałby nieustanny wzwód. Barry jednak wydawał się wyjątkiem od tej reguły, w każdym razie w ogóle nie przestawał.

Za każdym razem, kiedy na krótko z niej wychodził, nacierał sobie czubek penisa drobnym, białym proszkiem. *Speed albo koks, lub coś w tym rodzaju*, pomyślała Jana, ale także z narkotykami nie miała zbyt często kontaktu. W każdym razie na błonę śluzową jej pochwy działało to jak miejscowe znieczulenie.

– Masz też tyle przyjemności, co ja, mała? – Oblizwał sobie palce i przysunął się do niej na kolanach po skrzypiącym łóżku. Dziurki jego nosa były upudrowane białym proszkiem, a jego oczy robiły wrażenie

szklistych.

– Odpowiedz, łaskawie, kiedy cię o coś pytam! – Zamachnął się i uderzył ją w twarz. Niezbyt mocno, ale jej głowa poleciała w bok. Jego twarz wykrzywiła się. – Masz mnie błagać, żebym cię porządnie zerznął, ty mała mendo! – Jego twarz zrobiła się znowu ognistoczerwona. – No dalej albo wbiję ci tę strzykawkę!

– Tak, proszę, zrób to jeszcze raz – wyszeptała. On patrzył na nią groźnie. – Ale tym razem porządnie – dodała prawie niesłyszalnym głosem.

On zamarł obok niej na kolanach i wydawało się, że ponownie zaczyna coś kombinować.

Jana była pewna, że jej już nie wypuści, nawet jeżeli to przyrzekł. Dawno już postanowił ją zabić, kiedy z nią skończy. Będzie ją wykorzystywał, a potem pozbędzie się jej tak, jak wyrzuca się żeberka po obgryzieniu mięsa. Uświadomiła to sobie w jednej chwili, kiedy powiedział: „Ja chcę was i tak zawsze nago, do samego końca”. Nie była pierwsza, którą gwałcił w tej szcurzej norze, i zostanie zabita, tak jak inne kobiety przed nią.

Ale jeszcze nie nadszedł jej koniec, jeszcze jej nie obgryzł do kości. Jana usiłowała kurczowo zebrać tę resztkę energii, jaka pozostała w jej wnętrzu. Tliło się w niej jeszcze kilka iskier, prawie całkowicie zaduszonych bólem i strachem, ale jednak.

– A teraz zła wiadomość – powiedział nagle Barry.

Mówił niewyraźnie, jakby zamiast języka miał w ustach kawałek drewna. Albo jakby jednak mu go przygryzła, kiedy wcisnął go jej do ust. Ale nie miała odwagi, tak samo jak jej nie miała wczoraj – czy też przedwczoraj – żeby odgryźć mu penisa, który powoli pęczniał w jej ustach.

– Przez jakiś czas nie będziemy się widzieć – ciągnął Barry skołowaciałym językiem. – Bądź dzielna, mała, tylko nie płacz.

Patrzył na nią pełen oczekiwania.

Nie będziemy się widzieć? Odchodzi? Zostawi mnie w spokoju, przynajmniej na jakiś czas? O Boże, jak bardzo marzyła o przerwie, przynajmniej tyle! Robiła wszystko, żeby tylko nie spojrzeć mu w oczy, w żadnym razie nie może wyczuć szaleńczej nadziei, jaka w niej się zrodziła.

– Zapytaj mnie dlaczego – wyszeptał z miną spiskowca.

Z zaskoczenia zapomniała o tym, co sobie właśnie przyrzekła i spojrzała na niego.

– Dlaczego? – wyszeptała. – Dlaczego nie będziemy się widzieć przez jakiś czas?

Powiedz, proszę, proszę, że musisz wyjść, pomyślała. Wolę już tutaj sama umrzeć z głodu i pragnienia. Wszystko jest lepsze od bycia gwałconą przez ciebie, ty koszmarny zboczeńcu.

– Ponieważ teraz wezmę cię od tyłu, ty zdiro! – Dostał ataku śmiechu, który przeszedł w rzęzący kaszel. – Przyznaj, miałaś nadzieję, że zostawię cię w spokoju!

Nadal wstrząsany kaszlem, zsunął się z łóżka, zatoczył w kierunku stołu i zaczął rozcierać stojące na blacie opakowania z gotowymi daniami.

– Gdzie ten pieprzony klucz? – biadolił. Strzykawki ani na moment nie wypuszczał z ręki, co nie ułatwiało mu szukania. – Zawsze, kiedy człowiek potrzebuje tej cholernej rzeczy, chowa się nie wiadomo gdzie! Ach, tutaj jest! – Chwycił niewielki kluczyczek w kolorze srebrnym, którym przypiął kajdanki do ramy łóżka i nadgarstka Jany. Kiedy usiadł z powrotem na łóżku stracił równowagę, zamachał rękami i o mało nie wbił jej igły w ramię.

– Hopa! – skomentował to z rozbawieniem. – Mało brakowało. – Położył strzykawkę po swojej stronie przy samym brzegu łóżka.

Jana usiłowała nie patrzeć na nią nawet kątem oka, ale jej serce biło jak szalone.

Daj mi szansę, jedną, małą szansę, błagała w myślach, nie wiedząc nawet, do kogo kieruje tę prośbę. Czy do psychopaty, który manipulował przy kajdankach kluczyczkiem, czy do jakiegoś boga, który wprawdzie dopuścił do tego, że kobiety są gwałcone i torturowane, ale który jednak mógł dojść do wniosku, że to już wystarczy.

Wreszcie Barry otworzył zamek. Zdjął kajdanki z ramy łóżka, rozkazał Janie przekreślić się na brzuch i znów przyczepił jej dłoń do metalowego pręta.

– Zaraz się zaczniesz! – oświadczył. – Lubisz od tyłu?

Potem znowu ta sama czasochłonna procedura. Barry przesunął się na brzeg łóżka, podniósł się i poczłapał na niepewnych nogach do stołu.

Jana wpatrywała się w plastikową strzykawkę. Usta miała wysuszone, serce jej waliło. Wskutek podskoków Barry'ego strzykawka powoli sturlała się we wklęsnięcie w środku materaca w jej stronę.

Bardzo ostrożnie przesunęła prawą nogę w bok. Kiedy Barry rzucił klucz na stół, Jana złapała strzykawkę palcami stóp. Kiedy on chwycił się odwrotnie, podniosła nogę i trzymała strzykawkę na podbiciu stopy. Barry zatoczył się znowu w stronę łóżka, a ona o mało nie zwichnęła sobie barku, chwytając wolną lewą ręką strzykawkę i chowając ją w szparę między ramą łóżka i materacem.

– No, dalej, tyłek do góry! – wybełkotał Barry i opadł obok niej na łóżko.

Pozornie posłusznie oparła się na podudziach i wypięła siedzenie. Jej prawa ręka w kajdankach była całkowicie zdrętwiała, ale tym mocniej odczuwała mrowienie w lewej, którą oparła obok miejsca, gdzie ukryła strzykawkę.

Barry klęknął za nią, złapał ją za biodra po obu stronach i zaczął ocierać się o jej tylną część ciała.

– Jak ci się to podoba, kochanie? – wymamrotał.

Błyskawicznie chwyciła strzykawkę i wbiła mu igłę w tułów. Z tej pozycji mogła tylko na ślepo uderzyć do tyłu, ale miała nadzieję, że trafiła go w serce.

– A tobie jak się podoba to? – wydusiła z siebie i nacisnęła tłok strzykawki.

Barry wydał z siebie nieartykułowane gulgotanie. Zastygł nieruchomo przez niekończącą się z pozoru chwilę. W tym momencie Jana miała wrażenie, jakby wszystko zastygło w bezruchu. Powietrze jak szkło.

Potem Barry przewrócił się do przodu i zastygł bez ruchu na jej plecach.

Jana wybuchnęła histerycznym szlochem.

Berlin, Treptowers.

Grupa Specjalna „Wodna zagadka” Federalnego Urzędu Kryminalnego.

Wtorek 6 września godz. 10.53.

Kiedy Kastner wyprostował się i władczym gestem dłoni odgonił od siebie Marvina Fischera, jego fryzura miała znów idealny kształt. I nie tylko to: czerwone plamy na szyi i policzkach zbladły i jak na siebie, Kastner wglądał wręcz na odprężonego.

– Dobre wieści – powiedział, robiąc tajemniczą minę. – Ale pan jeszcze nie skończył, panie kolego. – Skinął głową Ablowi z jowialnym uśmiechem.

Prawdopodobnie ambasador USA zapewnił go, że w Niemczech nie działa ani jeden agent CIA, pomyślał Abel. Ale to przypuszczenie wolał zachować dla siebie.

– Nasir Hassaka nie zmarł ani w wyniku dostania się wody do płuc, ani też z powodu ataku serca – powtórzył zamiast tego, patrząc na młodego policjanta, który wcześniej wyskoczył ze swoim pytaniem. – Jak mogą państwo dostrzec na podstawie licznych, punktowych wybroczyn w spojówkach, skórze twarzy i rozległych plam na powierzchni tułowia, mężczyzna ten udusił się w mękach. – Puścił w obieg kolejne fotografie. – Powodem tego jest najprawdopodobniej ekstremalnie ukośna pozycja, w jakiej został unieruchomiony na plecach, gdy polewano wodą ścierkę leżącą na jego twarzy. Miał po prostu zbyt mało powietrza i stąd uduszenie. Klasyczna śmierć w anormalnej pozycji ciała, w tym przypadku niskiego ułożenia głowy. Niestety bardzo znany fenomen w medycynie sądowej.

Chciał jeszcze coś dodać, ale Kastner najwyraźniej nie mógł już dłużej wytrzymać. Wydawało się, że podniecenie, z jakim przed chwilą szeptał do niego Fischer, udzieliło się także i jemu.

– Wielkie dzięki, to było bardzo ciekawe – powiedział. – Tym samym możemy z pewnością wykluczyć CIA, jako możliwego uczestnika. Jak również inne tajne służby, takie jak turecki MIT.

– Chwileczkę – wpadła mu w słowo Charlotte Lubitz, jednak szef Grupy Specjalnej dał jej gestem dłoni do zrozumienia, żeby uzbroiła się jeszcze w cierpliwość.

– Jak wiadomo, media bardzo szybko i pochopnie formułują oskarżenia pod adresem tajnych służb – ciągnął. – Ale nawet najostrzejsi krytycy nie będą twierdzili, że CIA to zbieranina dyletantów.

Obdarzył panią nadkomisarz drwiącym spojrzeniem.

– Trzeba być ideologicznie zaślepionym, żeby nie dostrzegać, że oba zabójstwa są dziełem partaczy amatorów – kontynuował pewnym siebie tonem. – To oczywiste, zwłaszcza w przypadku Hassaki. Zawodowcy nigdy nie ułożyliby go pod tak ostrym kątem, że wręcz w sposób nieunikniony udusił się podczas waterboardingu. Czy może jest pan innego zdania, doktorze Abel?

Kastner pochylił się do przodu i przyglądał Ablowi pełen oczekiwania. Mimo że ściana z segregatorów przysłaniała mu widok, Abel mógłby się założyć, że szef Grupy Specjalnej znów złożył rękę jak do modlitwy.

Musi mieć jeszcze w kieszeni jakiś atut, powiedział sobie Abel, *inaczej nie zachowywałby się w sposób tak prowokacyjnie ofensywny.*

– Coś może w tym być – zauważył Abel. – Z drugiej jednak strony, co i pod jakim kątem robią tajne służby, to nie moja specjalność.

– To jesteśmy wyjątkowo podobnego zdania – odpowiedział Kastner i posłał w kierunku Abła sztuczny uśmiech.

Abel nie mrugnął nawet okiem.

– Ja jednak nie podzielam tego zdania – wtrąciła się znowu Lubitz.

– Podobnie jak ja – wsparł ją Lex Westermann.

Młody Eric poruszył bezgłośnie ustami.

– Faktem jest przecież, że w obu przypadkach chodzi o ofiarę ze środowiska muzułmańskiego – ciągnęła nadkomisarz. – A zastosowano tutaj metodę torturowania i zabijania, która jest typowa dla akcji CIA właśnie przeciwko rzekomym terrorystom z regionu Bliskiego Wschodu.

Fałszywy uśmiech Kastnera tylko się jeszcze wzmocnił. Poza tym już od dwudziestu sekund kręcił głową.

– Widzi pani, droga nadkomisarz Lubitz, tutaj pani się myli – zaczął i odwrócił się do Micaeli Schweins. – Proszę wpisać do protokołu: także pani Lubitz nie jest nieomylna. A nasz doktor Abel wycofał się po cichu się ze swoich wczorajszych pozycji. – Micaela Schweins zachichotała gorliwie. Abel powoli tracił cierpliwość, ale jeszcze panował nad sobą. Najpierw chciał zobaczyć ten wspianiały atut, który Kastner zaraz wyjmie z rękawa.

– Do czego pan zmierza, panie Kastner? – wydusiła z siebie Lubitz. – W jakiej kwestii się mylę?

– To proste – rzucił szef Grupy Specjalnej i wyszczerzył zęby w uśmiechu jak święty mikołaj.

Jak na zawołanie wyszło słońce, sprawiając, że jego i tak już błyszczące oprawki okularów rozbłysły jeszcze bardziej.

– Właśnie otrzymałem wiadomość z Ministerstwa Spraw Zagranicznych – kontynuował Kastner.

Fischer przytaknął i znów otworzył szeroko oczy.

– Nasir Hassaka nie był muzułmaninem, lecz koptyjskim chrześcijaninem – wyjaśnił Kastner i chrząknął bardzo energicznie. – Na ile ocenia pani prawdopodobieństwo sytuacji, wielce szanowna koleżanko, że Państwo Islamskie albo Hezbollah rekrutuje koptyjskiego chrześcijanina jako pomocnika terrorystów, który z tego powodu staje się obiektem zainteresowania ze strony CIA albo innej zachodniej tajnej służby?

Charlotte Lubitz patrzyła przed siebie pozbawionym wyrazu wzrokiem, ale mowa jej ciała sygnalizowała, że jest podłamana. Opuściła ramiona, również górna część jej ciała straciła na sprężystości, jakby otrzymała cios w żołądek.

Co też, w przenośnym znaczeniu, było prawdą.

– Mniej niż na pięć procent – przyznał Lex Westermann zamiast niej. – To jednak nie oznacza, że hipoteza o tajnych służbach jest nieważna – dodał, rzucając pośpieszne spojrzenie w stronę koleżanki. – Ale musimy w każdym razie wziąć intensywniej pod uwagę także inne możliwości.

– No to do pracy – zachęcił Kastner. – Na te bzdury w stylu Jamesa Bonda straciliśmy i tak już zbyt wiele czasu. Nasz człowiek to psychopatyczny naśladowca, od razu miałem takie przeczucie. Ten typ ściągnął sobie z Internetu instrukcję obsługi waterboardingu i śmieje się do rozpuku na samą myśl, że polujemy na zagranicznych szpiegów. A on tymczasem całkiem spokojnie mociuje kolejną ofiarę do stołu tapicerskiego.

Charlotte Lubitz pokręciła głową.

– To przecież zupełnie nie trzyma się kupy! – krzyknęła. – Jeśli przyjąć, że jest to naśladowca, to czemu testuje swój zestaw do tortur akurat na personelu sprzątającym w budynku parlamentu?

– Od tego właśnie mamy panią, pani Lubitz. To pani praca. Proszę znaleźć odpowiedź na to pytanie – powiedział Kastner i spojrzał nieprzychylnie na nadkomisarz. – Ale w miarę szybko, jeżeli można prosić. Zanim ten szaleniak znowu uderzy.

Wszystko wskazywało na to, że ma zamiar zakończyć spotkanie.

– Jeszcze jedno – włączył się Abel. – Zdecydowanie zaprzeczam, jakobym zmienił zdanie. Nie ma zresztą ku temu najmniejszego powodu. Wręcz przeciwnie, okoliczności drugiego przypadku zastosowania tortury podtapiania wzmacniają moje wypowiedziane wczoraj przypuszczenia. Najprawdopodobniej nie działali tu zawodowcy z CIA, i to właśnie powiedziałem podczas naszego ostatniego spotkania. Moje przeczucie mówi mi nadal, że tropimy, w jakimś stopniu, sprawcę, który ma związki ze światem turecko-arabskim i z aktywnymi tam tajnymi służbami.

Kastner zdjął okulary i zaczął je czyścić krawatem.

– A więc znowu pana słynne przeczucie z głębi trzewi – ironizował. – Mówiąc szczerze, wolałbym, żeby pana informacje pochodziły z trzewi ofiar tego przestępstwa. – Pochylił się do Micaeli Schweins i szepnął tak, żeby wszyscy słyszeli: – Ten nasz Abel to prawdziwy supertropiciel wśród lekarzy medycyny sądowej. – Ona zachichotała i dalej zapamiętała stuknęła w klawiaturę laptopa.

Według uporczywych pogłosek Kastner od lat romansował z panią Schweins. Abel już choćby ze względów zawodowych miał doświadczenie we wczuwaniu się w najbardziej nawet dziwaczne charaktery i niewiarygodne konstelacje, ale wyobrażenie sobie Kastnera w roli kochanka przekraczało granice nawet jego możliwości.

– Oczekajmy więc po prostu, kto na końcu będzie miał rację – zaproponował. – Modus operandi sprawcy, jego zafiksowanie na waterboardingu i tło etniczne ofiar pasują w każdym razie bardzo dobrze do mojego przypuszczenia. – Abel pozbierał papiery i podniósł się. – Na wypadek gdyby moja intuicja sprawdziła się po raz kolejny, panie Kastner, to już teraz udzielam panu pozwolenia na zgarnięcie laurów dla siebie. Nie byłoby to zresztą po raz pierwszy.

Nie czekając na reakcję Kastnera, kiwnął głową w stronę Charlotte Lubitz i jej obydwu kolegów i szybkim krokiem opuścił salę konferencyjną.

**Gdzieś w Niemczech.
Pomieszczenie piwniczne.
Wtorek 6 września godz. 11.09.**

Barry leżał obok łóżka na poplamionej wykładzinie podłogowej, z rozrzuconymi kończynami był najprawdopodobniej nieprzytomny. Jana potrzebowała całej wieczności, żeby zrzucić jego zwiotczone ciało z pleców. Wreszcie klapnął jak mokry worek obok niej na materac. Centymetr po centymetrze odsuwała go nogami od siebie, aż w końcu zsunął się z brzegu łóżka i walnął o podłogę. Nadal płakała, pot ściekał z niej strumieniami. Jednocześnie trzęsa się, jakby miała febrę. Wzdrygała się cała za każdym razem, kiedy włączał się nawiew.

To szok, pomyślała. Albo utrata krwi. Albo to i to.

W każdym razie nie potrafiła jasno myśleć. Jej siły były na wykończeniu. Nerwy także. Wszystko. Musiała szybko do toalety. A ten cholerny zamek przy kajdankach nie dawał się otworzyć!

Połowa igły strzykawki nadal tkwiła w piersi Barry'ego, niestety spory kawałek poniżej miejsca, gdzie powinno znajdować się według niej serce. Na szczęście strzykawkę z odłamaną igłą trzymała nadal w ręku, gotowa w każdej chwili wbić mu ją znów gdziekolwiek.

Nigdy jeszcze w swoim życiu nikogo nie uderzyła, nawet nie dała w twarz w formie ostrzeżenia. Ale to, co się tutaj stało, zmieniło wszystko. Nigdy już nie pozwoli na to, żeby ktokolwiek używał wobec niej przemocy.

Na razie wyglądało jednak na to, że nie będzie już miała okazji, żeby wcielić w czyn to postanowienie.

Grzebała złamaną igłą w zamku kajdanek. Była jednak tak zapłakana i tak trzęsły się jej ręce, że nie otworzyłyby tego cholernego zamka, nawet gdyby dosięgnęła do klucza.

Oczywiście próbowała. Kilka razy. W każdy możliwy sposób. I mimo wszystko zaraz spróbuje po raz kolejny, jak tylko trochę dojdzie do sił.

Miała wrażenie, jakby jej ciało przekręcone zostało przez maszynkę do mięsa. Jej podbrzusze paliło i pulsowało. Kiedy poczuła, jak coś ciepłego zaczyna spływać jej po nogach, krzyknęła z rozpacz i wbiła strzykawkę w materac. Tuż obok plamy moczu, jaka powiększała się pod nią.

Znów przeszła ramę w nogach łóżka, do której była przypięta. Kiedy kucnęła na podłodze przed łóżkiem, wyciągnęła lewe ramię najdalej, jak tylko mogła, ale i tak wiedziała, że nie da rady. Próbowała już przecież wystarczająco wiele razy. Do stołu było jeszcze dobre dwa metry. A niewiele dalej od niej leżał Barry, jęczał i podrygiwał, jakby zaraz miał przyjść do siebie.

Być może tak tylko udaje, przeleciało jej przez głowę.

Przez kilka minut siedziała jak sparaliżowana i patrzyła na niego cała w panice. Na jego szczupłą twarz, która teraz wyglądała wręcz łagodnie, ponieważ jego oczy były zamknięte. Na jego penisa, który także i teraz nie był całkiem zwiotczały.

Wreszcie podniosła się z trudem i spróbowała pociągnąć łóżko za sobą. Ale próbowała to już zrobić trzykrotnie i za każdym razem musiała stwierdzić, że jest zbyt słaba, żeby ruszyć z miejsca tego żelaznego

kolosa. Stelaż zaczynał ohydnie zgrzytać i chrzęścić, kiedy mocno za niego szarpała. Zupełnie, jakby zbliżała się jakaś horda zombi.

Znów wdrapała się na łóżko i zapamiętała próbowała otworzyć kajdanki złamaną igłą strzykawki. To była jej jedyna szansa. O ile w ogóle jakąś miała.

Zamroczony Barry rzucał głową we wszystkie strony. *Zaraz się obudzi, pomyślała, a wtedy mnie zabije!*

Zaczęła szarpać kajdankami, a stalowa obejma wbiła jej się głęboko w ciało. Teraz krwawiła jeszcze z tej rany.

Nigdy stąd nie wyjdę! Upuściła strzykawkę obok siebie na materac i zamarła apatycznie w pozycji siedzącej. *Może będzie nawet lepiej, kiedy ten typ dojdzie do siebie, a ja będę nadal przywiązana.*

Będzie błagała go o wybaczenie. Przysięgnie, że od teraz zrobi wszystko, czego od niej zażąda. Być może pozostawi ją wtedy przy życiu. Być może otrzyma drugą szansę.

Drugą szansę na przyduszenie jego szyi. Tym razem zrobi to lepiej. Zwolni ucisk dopiero wtedy, kiedy poczuje, jak pękają mu kręgi szyjne. Kiedy jego głowa opadnie do tyłu, jak pęknięty balon. Kiedy tak mocno wgrzyzie się w jego penisa, aż jej zęby uderzą o siebie.

Skoro już mam nie wyjść stąd żywa, pomyślała Jana, to on też tu zdechnie.

A on dyszał i jęczał. Gorączkowo chwyciła strzykawkę i znów zaczęła grzebać w zamku kajdanek.

Barry otworzył oczy. W tym samym momencie w kajdankach rozległo się ciche „klik”.

Berlin, Treptowers.
Jednostka Federalnego Urzędu Kryminalnego „Przypadki nadzwyczajne”.
Biuro doktora Freda Abła.
Środa 6 września godz. 11.43.

Tego przedpołudnia Abel wszedł właśnie po spotkaniu w sprawie wyników sekcji do swojego biura, kiedy na jego biurku zaczął dzwonić telefon. Rutynową sekwencją ruchów zamknął za sobą nogą drzwi i rzucił kurtkę w kierunku wieszaka na ścianie. Kurtka, tak jak powinna, zawisła na jednym z wolnych haków, jednak za kołnierz. Dotychczas tylko raz udało mu się rzucić kurtką w ten sposób, że trafił szlufką do wieszania na hak. Jedno trafienie na przestrzeni tych wszystkich lat to nie było zbyt wiele. Ktoś mógłby powiedzieć, że to czysty przypadek. Jednak Abel nie tracił nadziei, że sztuka ta uda mu się znowu. Nie należał do osób, które szybko rezygnują. Skoro raz udało się coś zrobić przy odrobinie szczęścia, to można to osiągnąć i kolejne razy, jeżeli tylko było się odpowiednio wytrwałym i pracowało nad techniką. Takie było nastawienie Abła nie tylko do kurtek i haków wieszaka lecz wobec wszelkich wyzwania, z jakimi człowiek spotyka się w życiu.

– Panie dyrektorze, telefon do pana – powiedziała Renate Hübner, kiedy nacisnął przycisk włączający tryb głośnomówiący. – Nadkomisarz Marie Horowitz z Krajowego Urzędu Kryminalnego.

– Proszę połączyć.

Ucieszył się, że usłyszy energiczny głos Marie, który był absolutnym przeciwieństwem monotonnego sposobu mówienia Renate Hübner. Sekretarka przyniesie mu zaraz świeżo zaparzoną kawę i zapyta, czy ma jeszcze jakieś życzenia. Była chodzącą niezawodnością, bez jednego słowa skargi brała nadgodziny i nie miała skłonności do rozsiewania plotek i pomówień, a mimo to Abel za każdym razem oddychał z ulgą, kiedy ta podstarzała kobieta w spódnicach w kratę i wykrochmalonych bluzkach z falbankami opuszczała jego gabinet. Pani Hübner była osobą najbardziej pozbawioną humoru, jaką Abel kiedykolwiek spotkał.

Jeszcze jedno przeciwieństwo do Marie, pomyślał.

Kliknęło na linii.

– Wszystko u ciebie dobrze, Marie? – zapytał.

– Kiedy słyszę twój głos, to dużo lepiej – powiedziała. – Ale kiedy patrzę na ten cyrk tutaj, w Krajowym Urzędzie Kryminalnym...

Abel i Marie Horowitz współpracowali już ze sobą z sukcesami przy różnych sprawach. W trakcie tych wspólnie prowadzonych dochodzeń poznał ją i docenił, jako doświadczoną kryminalistykę i jako inteligentną i serdeczną kobietę. Pani nadkomisarz dobiegała czterdziestki, była szczupła i wysoka: okaz dyskretnej elegancji, który przyjemnie wyróżniał się na tle monotonii dzinsów i skórzanych kurtek w berlińskim Krajowym Urzędzie Kryminalnym. Dla Abła było zagadką, jak jej to się udawało, ale wszystko w niej – od skomplikowanych, wysoko upiętych fryzur, przez subtelnie modne koszulki na

ramiączkach i spódnice, aż do eleganckich botków do kostek – także po wielogodzinnych spotkaniach lub obserwacjach robiło nieskazitelne wrażenie.

– To przenieś się do nas, do Federalnego Urzędu Kryminalnego – odpowiedział Abel. – Tutaj pracują, jak wiadomo, sami geniusze i bezinteresowni zbawcy ludzkości.

Zaśmiała się głośno do telefonu, a Abel razem z nią.

Takie stosunki między nimi panowały już od pierwszego dnia. W Krajowym Urzędzie Kryminalnym bano się jej sarkazmu, jednak Abel stwierdził w trakcie ich wspólnej pracy, że za tą kolczastą skorupą kryje się wrażliwa i empatyczna kobieta, która miała podobne poczucie humoru co on. Już wtedy oboje byli w stałych związkach i stąd ich znajomość pozostała na etapie przyjacielskich stosunków zawodowych. Marie Horowitz należała, obok profilerka Federalnego Urzędu Kryminalnego Tima Jankowskiego, do grona niewielu kolegów, z którymi Abel czuł się związany nie tylko zawodowo.

– Czy mój raport przydał ci się do czegoś? – zapytał.

– Był niesłychanie pomocny, wielkie dzięki, Fred – odrzekła. – Zwłaszcza twoja wskazówka dotycząca przeszłości tego Lenskiego alias Katza. Czy też odwrotnie. Przez całą noc przesłuchiwałem jego współniczkę. Dzisiaj rano się przyznała.

Marie ziewnęła głośno.

– Wspólniczkę? – zapytał Abel. – Kto to jest?

Rozochociona Marie mówiła dalej, pozornie nie zważając na jego pytanie.

– Mówię ci, Fred, wygląda na to, że to naprawdę duża rzecz. Ta kobieta nazywa się Julia Bunting. Typ wagnerowskiej walkirii z falistymi blond włosami i biustem jak bliźniacze reaktory z Czarnobyłą. Jest wdową po Rainerze Buntingu, przedostatniej ofierze naszej szacownej pary morderców. A Dominik Kreisler, ten agent obrotu nieruchomościami, którego miałeś wczoraj na stole sekcyjnym, był jej kochankiem, tak jak wielu innych, których Bunting i Lenski ukatrupili w ostatnich latach. Za każdym razem na jej konto wpływały spore sumy z ubezpieczeń. Dwaj z tych nieszczęsnych Romeów ustanowiło nawet swoją Julię główną spadkobierczynią.

– I to wszystko wyznała ostatniej nocy?

– Tak to bywa, kiedy tama wreszcie puści – stwierdziła Marie. – Początkowo nie mieliśmy prawie nic w ręku przeciwko niej, tylko to, że jest wdową po jednym z dwóch mężczyzn, których fałszywe akty zgonu wystawił Lenski. No i że Lenski od wielu lat jest jej lekarzem domowym. Początkowo zaprzeczała, że zna Kreislera, ale czułam, że coś jest nie tak. Taktyka na złamanie, znasz to. Czuliśmy, że jakaś jej część, chce się przyznać i cierpliwie staraliśmy się sprzymierzyć z tą właśnie częścią. W pewnym momencie nazwała Kreislera, którego rzekomo nie zna, Dominikiem. To było mniej więcej po trzech godzinach przesłuchania. I to drobne przejęzyczenie doprowadziło do zawalenia się całej misternej konstrukcji obrony. „Och Boże, biedny Dominik”, wyjąkała i załamała się wręcz podręcznikowo, z atakiem płaczu i całym tym teatrem.

**Gdzieś w Niemczech.
Pomieszczenie piwniczne.
Wtorek 6 września godz. 11.53.**

Jego oczy były szeroko rozwarte, ale wszystko widział zamazane. Czuł ucisk w piersiach, miał trudności z oddychaniem. Łóżko po jego lewej, stół nieco dalej po prawej, wszystko było zanurzone w falującej mgle.

O wiele ostrzej widział natomiast obrazy z cholernego snu, z którego właśnie się przebudził. Ze zduszonym, dziecinnie piskliwym krzykiem, który nadal odbijał mu się echem w uszach.

Nikt nie powinien mieć takich snów, pomyślał. Dlatego właśnie zaczął eksperymentować ze środkami psychoaktywnymi: jako student medycyny miał wizję, że można będzie perfekcyjnie formować przeżycia duchowe, dzięki którym człowiek bez żadnych upadków w otchłanie mroków będzie bezustannie szczęśliwy.

Po prostu cholernie szczęśliwy, pomyślał.

Wypróbowywał na sobie, a także w pojedynczych przypadkach na kolegach ze wspólnie wynajmowanego mieszkania różne kombinacje środków, ale niewiele tym jednak osiągnął. A więc przeniósł się na inny obszar – na koktajle z narkotyków w taki sposób wpływające na ssaki, że robiły to, czego się od nich chce. Bardzo szybko przeszedł od wypróbowywania swoich mieszanek na myszach i szczurach, do eksperymentów na młodych kobietach. To była w końcu również możliwość bycia cholernie szczęśliwym. W każdym razie wtedy, kiedy było się po odpowiedniej strzykawkii.

Nie mógł tylko zapanować nad swoimi snami.

Ostrożnie obmacywał klatkę piersiową i natknął się na igłę sterczącą między jego zębami. Wyjął ją i przysunął blisko oczu. Wyglądała jak złamana igła od strzykawkii. Ale nadal nie widział zbyt wyraźnie, a w jego głowie panowała taka sama mgła jak na zewnątrz.

Nie mam pojęcia, skąd się wzięła ta pieprzona igła.

Ale nie zaniepokoiło go to zbyt. Często już wypróbowywał na sobie samymi nowymi substancjami i odnajdował się później w miejscach i w sytuacjach, których nie potrafił sobie wyjaśnić. Na przykład w swoim ogrodzie, z zarzniętą, na wpół wypatroszoną suką rottweilera w ramionach. Albo nagi na płaskim dachu swojego domu w Wandlitz, otoczony porozrywaniem ciałami gołębi i pomazany od stóp do głów ich płynnymi wydzielinami.

No, dobrze, doktor Jekyll także przeżywał dziwne rzeczy, kiedy przemieniał się w pana Hyde'a. On sam widział siebie właśnie w tej tradycji. Z jednej strony nieszkodliwy Harry z gabinetem nad jeziorem Wandlitz, z drugiej – zły Barry z dłońmi we flakach swoich ofiar. Orzechy we wnętrznościach ich psychiki.

Tylko na swoje pieprzone koszmary senne nie znalazł jak dotąd żadnego lekarstwa. A tym razem było tysiąc razy gorzej niż poprzednio. We śnie był znowu bezbronnym chłopcem, wciskany w materac przez potężną kobietę o blond włosach. Była naga, on także. Jej stopy i podudzia spoczywały na jego tułowiu, tak że nie mógł złapać powietrza.

Ten sen prześladował go już od dziesięcioleci. Niezliczoną ilość razy zadawał już sobie pytanie, kim miałyby być ta cholernie wielka baba. Nie znał jej, nigdy w życiu też jej nie widział.

Tym razem jednak jego podświadomość udzieliła mu odpowiedzi na to pytanie. Odpowiedzi, która mu się nie spodobała. Była to wręcz najbardziej pieprzona odpowiedź, jaką można sobie tylko wyobrazić.

Ta potężna kobieta o blond włosach, z równie potężnymi piersiami i udami zyskała nagle twarz Julii. Zastanawiał się nad tym, i poczuł nagle wzbierający gniew.

Tą cholerną zdzirą, która wdeptywała go pieprzonymi stopami w materac, była Julia!

Tą jebaną mendą, która o mało nie zmiażdżyła mu klatki piersiowej, był nie kto inny, jak właśnie Julia!

Usiadł i złapał się z jękiem za głowę.

O kurwa, co za świństwo sobie właściwie wstrzyknąłem?

Nadal widział wszystko rozmazane. Ale na łóżku wyraźnie ktoś siedział.

To logiczne, przecież inaczej nie byłbym tu w bunkrze. Ale skąd ja wziąłem tę małą zdzirę?

Skomlała i jęczała, do tego szczekała głośno zębami, a przecież tak nastawił ogrzewanie, żeby było zawsze równomiernie ciepło. Dwadzieścia pięć stopni Celsjusza, żeby nie odmrozić sobie tyłka, kiedy nie ma się nic na sobie.

Powoli wracała mu pamięć. Nazywała się Jana Jakaśtam, a zgarnął ją po jej pierwszej zmianie na przystanku autobusowym, gdzie zawsze czekała na autobus. Było to wyjątkowo puste miejsce, mimo że dwie ulice dalej toczyło się zwykłe zakupowe szaleństwo.

– Jana – wymamrotał i podniósł się z głośnym stęknieniem.

Wydała z siebie cichy okrzyk przerażenia, ale on nie zwracał na to uwagi. Był cholernie wykończony i nadal nie mógł sobie przypomnieć, co się wydarzyło. Dlaczego leżał znokautowany obok łóżka, zamiast dymać tę małą zdzirę tak, żeby dusza wyszła jej tyłkiem.

Może ona nie ma duszy, dodał sobie w myślach, ale tyłek z całą pewnością. Na czym więc polega problem? Kiedy i dlaczego wyleciałem z zakrętu?

Na takie przypadki patrzył zawsze okiem badacza. Czy też raczej: usiłował to robić. Albo przynajmniej wmawiał sobie, że usiłuje. Ale w tej chwili i tak miał coś ważniejszego do roboty.

Julia... Zaczynał rozumieć, jaką informację przesłała mu jego podświadomość. *Ona chce cię załatwić. Nie możesz już jej ufać.*

Powłókł się do stołu, jednak nigdzie nie mógł znaleźć tego cholernego woreczka z koką. Czyżby nie położył go tutaj, między gotowymi daniami?

Szukając, rozglądał się wokoło. Przynajmniej znowu odzyskał ostrość widzenia. *Wszystko gra. A propos ostrości: zaraz znowu wezmę się za tę małą. Ale najpierw Julia.*

Jego spojrzenie padło na torbę lekarską obok łóżka. Każdy pojedynczy miesiąc sprawiał mu ból, kiedy bardziej pełzał tam, niż kuśtykał. Ucięta rurka plastikowa tkwiła zawinięta w kupce białej jak śnieg kokainy. Barry pociągnął bezpośrednio z woreczka dwie potężne kreski.

– Eureka, słońeczko wschodzi. – Stał lekko na nogach, jak w podczas pierwszego roku studiów, kiedy jeszcze usiłował przepędzić swoje demony, biegając na długie dystanse.

– Barry, proszę, ja nie chciałam... – skomlała ta mała na łóżku.

Machnął tylko rękę, nawet na nią nie patrząc.

– Nie możesz się doczekać, co? Nic się nie martw, kochanie, zaraz znowu zostaniesz obsłużona. – Zaaplikuje jej zastrzyk ze swoją specjalną mieszanką, po której Julia zawsze odlatywała jak Apollo 13 w drodze na Księżyc.

Julia...

Znów aż się zagotował z wściekłości. Ukucnął przed zlewozmywakiem, szarpnął za wypaczone od wilgoci przesuwane drzwiczki, wklepał kod PIN do zamka sejfu. Uważał przy tym, żeby zasłonić widok tej małej szmacie. W końcu nigdy nic nie wiadomo. Jedną z pierwszych lekcji z okresu jego studiów brzmiała: *Kiedy zabierasz kogoś ze sobą na chatę, zadbaj o to, żeby nic nie leżało na widoku. A*

zwłaszcza noże, klucze, telefony i tego typu rzeczy, które mogą sprawić, że twojemu żeńskiemu gościowi przyjdą do głowy durne myśli.

Otworzył drzwi sejfu i chwycił na ślepo za jedną z zaspawanych w folię komórek jednorazowego użytku, które nabywał od swojego rosyjskiego źródła niejako na abonament. Dziesięć sztuk miesięcznie, niekiedy więcej.

Zawsze kupował ten sam przestarzały, najprostszy model Nokii, bez GPS-u czy jakichś aplikacji, udostępniających dane na temat lokalizacji użytkownika. Jego rosyjskie źródło nazywało się rzekomo Lew, co było tak samo prawdziwym imieniem, jak Barry nazywał się „Barry”. W każdym razie Lew gwarantował mu, że te jednorazowe komórki są kradzione, co oznaczało, że można było wysledzić jedynie tych biednych durni, na których nazwiska były zarejestrowane. Ale w zasadzie nie odgrywało to żadnej roli. Barry używał każdej komórki tylko jeden raz, uważał, żeby połączenie przerwać najpóźniej po sześćdziesięciu sekundach, a na koniec dokładnie niszczył cały telefon.

Zamknął sejf, zasłonił go przesuwanymi, nadającymi się już tylko na złom drzwiczkami i znów się wyprostował. Potem rozerwał folię, wyjął komórkę i nacisnął przycisk włączania. Karta SIM była już w środku, bateria załadowana do jednej czwartej, więcej niż potrzebował. Wklepał kod PIN zapisany na karteczce przyklepionej do folii i wybrał numer stacjonarny Julii Bunting.

Odczekał jeden, dwa, trzy sygnały. Rytm jego serca był przyspieszony, ale to głównie od zażytej koki. Licząc kolejne sygnały, macał swojego kutasa, który oczywiście już zwiotczał. Ale na to miał przecież w torbie zastrzyk ze specjalną mieszanką.

Ta mała dziwka zrobi wszystko, co jej rozkaże, i będzie przy tym jeszcze wyła z podniecenia. Nie będzie potrzebował nawet obroży. Jedyne problem z tą mieszanką polegał na tym, że nie mogły potem mocno ścisnąć udami, ponieważ dostawały całkowitego odjazdu, gdy tylko ich skóra, wszystko jedno, w jakim miejscu, natrafiała na minimalny nawet opór. Ale ma na to sposób.

Cztery, pięć razy. Kiedy włączyła się poczta, przerwał połączenie. Odwrócił się do tamtej na łóżku, poruszał biodrami i wyszczerzył zęby. „Zaraz będę przy tobie”, powiedział bezgłośnie poruszając ustami.

Zaskomlała, z trudem łapiąc powietrze. *Dodać coś na ustabilizowanie krążenia*, zapisał w myślach, *inaczej ta mała kofnie mi jeszcze przed czasem.*

Wpisał nowy ciąg cyfr na klawiaturze, komórkę Julii. Tym razem ktoś odebrał już po pierwszym sygnale.

– Słucham? – usłyszał jakiś głos.

Kobieco, ale definitywnie nie Julii. Energiczny, ostry jak stal.

– Halo, kto mówi? Słucham!

Głos gliniary, powiedział sobie Barry. Był cholernie wściekły, ale ani trochę zaskoczony.

– Pobłagaj trochę, gliniaro – odezwał się. – To być może również i tobie dogodzę. I przekaz Julii ode mnie, że uczciwie zasłużyła sobie na koktajl anakondy.

– Nic nie rozumiem – powiedziała kobieta po drugiej stronie. – Kto mówi? Jaki koktajl anakondy, co to ma znaczyć?

Prawdopodobnie starała się zyskać na czasie. Stary, dobry trik gliniarzy. Z pewnością przewraca oczami i daje jakieś znaki swoim przydupasom, żeby śledzili połączenie.

Ale nie dotrą nawet do tej cioty, której ludzie Lwa ukradli komórkę.

– Sama tak to nazwała – odparł Barry. – A więc, bez obawy, ona już wie, co ją czeka.

Zakończył rozmowę, wyłączył komórkę i otworzył klapkę z tyłu aparatu. Wyjął baterię i kartę SIM, następnie zaczął uderzać komórkę z całej siły o stalowy kant zlewozmywaka, aż zostały z niej tylko szczątki. Kartę SIM złamał na dwie części i wszystko wrzucił do worka na śmieci obok zlewozmywaka.

Odwrócił się do tej małej zdziry.

– Dzięki za twoją cierpliwość – powiedział i posłał jej taki uśmiech, którego przeraziłby się nawet pan Hyde. – W nagrodę dostaniesz teraz coś smakowitego w tyłek.

Przeszedł na drugą stronę łóżka, nieustannie się do niej uśmiechając. Ona zaczęła szlochać wniebogłosy i wpatrywała się w niego jak zahipnotyzowany królik.

Nadal był wściekły jak cholera, ale nie zszokowany. *Cholera tak, szok nie*, pomyślał. W końcu wiedział przecież od zawsze, że Julia kiedyś go zdradzi, no i teraz właśnie się to stało. *Znakomity powód do spuszczenia się komuś w japę. Ale absolutnie żaden do spuszczenia nosa na kwintę.*

Kucnął obok swojej torby lekarskiej i zaczął przygotowywać nową specjalną mieszankę plus kilka dodatków na serce i krążenie. Impreza będzie trwała dłużej, niż to pierwotnie zaplanował.

I będzie to jej impreza pożegnalna.

**Berlin, Treptowers.
Biuro doktora Freda Abła.
Środa 6 września godz. 11.57.**

Podczas gdy Marie relacjonowała mu przez telefon kolejne szczegóły przyznania się do winy Julii Bunting, Abel wyobrażał ją sobie, jak siedzi w swoim pokoju za biurkiem. W eleganckim kostiumie i fryzurą jak ptasie gniazdo, ze stopami przed sobą na blacie, który jak zawsze jest pełny akt różnych spraw.

– Pani Bunting opowiedziała takie rzeczy na temat tego Lenskiego, że jeszcze teraz mnie mdli, kiedy o tym pomyślę – mówiła dalej. – Nie twierdzę, że była absolutnym niewiniątkiem w momencie, gdy miała wątpliwą przyjemność poznać twojego starego przyjaciela ze studiów, ale w porównaniu z nim była wtedy ucieleśnieniem Matki Teresy.

Abel słuchał jej, nie przerywając. Znał to z własnego doświadczenia: niekiedy człowiek potrzebuje godnego zaufania słuchacza, żeby się po prostu wygadać. W tym zawodzie na człowieka sypały się całe kubły psychicznych odpadków. Kiedy zbrodniarze, a zwłaszcza seryjni mordercy otwierali swoje wnętrza, to dla ich słuchacza było to, jak rozwarcie bram piekła. Wypełzały z tego koszmarnie potwory i demony, a człowiek, nawet przy całym swoim profesjonalizmie, nie był w stanie zapobiec temu, żeby kilka z nich nie wskoczyło do jego wnętrza. Jeżeli później, od czasu do czasu, nie uwolnił się od tego balastu, całe to zoo z horroru mogło stać się w pewnym momencie sporym problemem.

Dokonując przed takim słuchaczem rytuału oczyszczającego, nie oczekuje się, że będzie on wypowiadał pocieszenia w formie wyświechtanych formułek. Wręcz przeciwnie. Człowiek chce po prostu mieć poczucie, że ten drugi rozumie, o czym mowa, ponieważ sam już kiedyś coś podobnego przeżył.

– Wygląda na to, że Lenski to psychopata czystej wody – mówiła dalej Marie. – Nieskazitelna mieszczkańska fasada, a za nią sado-masochizm, wielopostaciowe perwersje ze wszystkim, co do tego przynależy. A do tego kilka dodatków ekstra, o których dotąd nie słyszałam. I wołałabym raczej nie usłyszeć. On eksperymentuje z własnymi mieszkankami koktajli narkotykowych, które podaje swoim ludzkim myszom laboratoryjnym. Nazwisko Katz najwyraźniej zobowiązuje: kot i mysz. A jego główną myszą laboratoryjną przez wiele lat była najprawdopodobniej właśnie Julia Bunting.

Marie przerwała na moment. Abel rozmasował sobie kark dłonią i poruszał ramionami, których mięśnie w wyniku tego, co mówiła Marie, stawały się coraz bardziej spięte.

– Dlaczego przez tyle lat brała w tym udział? – zapytał. – To znaczy, jeżeli tak okropnie ją traktował, to dlaczego po prostu od niego nie odeszła?

– O to też naturalnie zapytałam – oparła Marie. – Ona twierdzi, że nie potrafiła się od niego uwolnić. Całkowicie nad nią panował, włącznie ze snami. Twierdzi, że była jego niewolnicą, a on mógł z nią robić, co tylko chciał. I tak dalej. Szprycował ją jakąś mieszkanką farmakologiczną, która sprawiała, to jej dosłowne określenie, że „była obłądnie wrażliwa na dotyk i obłądnie napalona”. Wystarczyło wtedy, że

dotknął jej czubkiem palca, a ona dostawała gęziej skórki plus dziesięć minut ekstatycznej hysterii. Kiedy on na jej tyłku wybijał takt do You can't get no satisfaction, ona miała wszechogarniający wielokrotny orgazm do samego rana. On sam też oczywiście pompował się jakimiś narkotykami, tak że mógł jej dogadzać przez kilka godzin.

Abel jeszcze mocniej poruszył ramionami.

– O kurczę.

– Pani Bunting była mu całkowicie poddana, i to może być częściowa odpowiedź na twoje pytanie, ale też na tych morderstwach oboje zarobili kupę kasy. I to właśnie ona wpadła na ten pomysł. W pewnym sensie ona miała też władzę nad nim. Nie za bardzo to zrozumiałam, w tej kwestii była dość oszczędna w słowach. W każdym razie wszystko wskazuje na to, że tych dwoje, podczas swoich seksualnych gier, zamieniało się od czasu do czasu rolami. Wtedy to ona była szefem i poniżała go, dusiła i maltretowała, ile wlezie. On rzekomo tego potrzebuje, „żeby się rozkręcić”, jak określiła to pani Bunting.

– Nieustannie zadziwia mnie fakt, jak bardzo rozpowszechnione są asfiksyjne praktyki seksualne – powiedział Abel. – A przecież ryzyko rzeczywistego uduszenia nie jest wcale małe.

Usłyszał jakieś szurania w słuchawce. Marie podziękowała komuś cicho, a on wyobraził sobie, że to jakiś kolega lub praktykant przyniósł jej właśnie filiżankę kawy.

– Według jej zeznań szczególnie przyjemność sprawia Lenskiemu dręczenie tych jego ludzkich myszek laboratoryjnych – mówiła dalej Marie, po tym jak upiła łyk. – Na przykład wstrzyknął pani Bunting jakiś środek, który osłabia motorykę. Mogła tylko chodzić na czworakach, a on ciągnął ją za sobą na smyczy, jak psa. Musiała chleptać jakieś żarcie z miski. Raz było to coś w rodzaju dania jednogarnkowego i pani Bunting jest święcie przekonana, że pływały tam kawałki zepsutego mięsa. „On chodzi też na polowania w pojedynkę”, zeznała jeszcze. Podobno porywa młode kobiety i zamyka w miejscu, które sam nazywa raz „bunkrem”, a innym razem „zabawowym hostelem”. Podobno ona nie wie, gdzie znajduje się ten bunkier, i wydaje mi się, że również na ten temat mówi prawdę.

Marie ponownie zamilkła na chwilę i głośno westchnęła.

– Kiedy już to wszystko z siebie wyrzygała, to nie mogła przestać gadać – ciągnęła. – Przyznawała się mniej więcej do jednego morderstwa na godzinę. Dzisiaj rano o piątej dotarliśmy do numeru osiem, ona naprawdę mówi „numer taki a taki” o swoich byłych kochankach, których wspólnie z Lenskim ukatrupiła.

Abel poczekał jeszcze chwilę, ale Marie nic już więcej nie powiedziała. Prawdopodobnie wystarczająco sobie ulżyła. Milczał jeszcze przez moment i starał się to wszystko poukładać sobie w głowie. Wyobrażał sobie, jak Marie może się czuć się po takiej nocy.

– Uff – sapnął w końcu. – Mocna rzecz. Ale gratuluję ci, Marie. Znowu odwaliłaś kawał znakomitej roboty. – Marie ziewnęła tak głośno i długo, że o mało nie zaraziła tym Abła. Mimowolny przymus naśladowania kogoś, kto głośno i wyraźnie ziewa, to niewinny przykład sposobu funkcjonowania neuronów lustrzanych w ludzkim mózgu. Kiedy ma się kontakt z psychopatycznymi masowymi mordercami, to człowiek chciałby często móc wyłączyć moduł empatii, żeby nie czuć potrzeby wczuwania się w sposób myślenia tych ludzkich potworów.

– Na gratulacje jest jeszcze za wcześnie – odparła Marie. – Już dzisiaj w nocy wydaliśmy nakaz aresztowania Lenskiego. Jak dotąd żadnego konkretnego śladu. Być może wyczuł, że Julia Bunting go sypnie. W każdym razie od dwóch dni nie było go w jego gabinecie w Wandlitz. Z całą pewnością się ukrywa.

– Zapewne w swoim bunkrze.

– Też tak uważam – przytaknęła mu. – I dlatego zadzwoniłam do ciebie, Fred.

– Szkoda, miałem nadzieję, że dzwonicz, żeby znowu usłyszeć mój głos. – Pożałował tej swojej spontanicznej uwagi już w chwili, gdy kończył zdanie.

– Jeżeli o mnie chodzi, to chciałabym słyszeć twój głos o wiele częściej. – Oddech Marie nagle lekko przyspieszył. – I cię widywać, Fred.

Abel przeklinał siebie w duchu za nieprzemyślane słowa. Zazwyczaj nigdy nie flirtował, ani w pracy, ani po jej zakończeniu, a także, gdy bywał na kongresach i wieczorem przesiadywał w barze hotelowym z koleżankami i kolegami z całego świata. Wystarczająco często widział, jak rozpadały się związki, ponieważ jeden z partnerów był przekonany, że sporadyczny skok w bok nic nie znaczy. W rzeczywistości jednak to właśnie taki skok jest często przyczyną rozpadu związku.

Z Marie było inaczej. Nie tyle mniej groźnie niż w przypadku jakiejś znajomości kongresowej, ile raczej wręcz o wiele groźniej, ponieważ znali się dobrze i naprawdę lubili. Łatwo mogło się to przekształcić w coś więcej. Bardzo łatwo, i w dużo więcej.

**Gdzieś w Niemczech.
Pomieszczenie piwniczne.
Wtorek 6 września godz. 12.01.**

Przykucnął obok niej na łóżku, ze strzykawką zawierającą specjalną mieszankę w prawej dłoni. Raz jeszcze pociągnął sobie solidnie koki i rozkoszował się tym jedynym w swoim rodzaju uczuciem kryształowej jasności umysłu, jakie wywołać może tylko kokaina. Jakby wszystko było pokryte przezroczystą, połyskującą warstwą lodu.

Dokładnie w tej samej chwili, kiedy chciał jej wbić igłę, ona też podniosła lewą rękę. Barry zamarł w środku wykonywanego właśnie ruchu.

– Hej, to ma być odbicie lustrzane, czy jak?

Przesuwał swoją dłoń ze strzykawką raz w jedną, raz w drugą stronę. Przez chwilę rzeczywiście przypuszczał, że ona wykona te same ruchy. Właśnie jak w lustrzanym odbiciu.

Potem zobaczył, że w jej strzykawce igła jest ułamana. I nagle wszystko sobie przypomniał.

– Ty durna mendo! – krzyknął. – To ty władowałaś mi zastrzyk!

Spojrzał w dół, szukając miejsca na tułowiu, skąd wcześniej wyciągnął sobie połówkę igły. Ale kiedy obmacywał sobie klatkę piersiową w poszukiwaniu tego pieprzonego miejsca ukłucia, ona poderwała prawą rękę do góry. Kajdanki otworzyły się, uderzyły z brzękiem o ramę łóżka i nagle Jana była wolna!

– Wreszcie ci się udało?! – wrzasnęła znowu. – Uważasz się pewnie za superwomen, co? Ale uwierz mi, kochanie, prawie każda przed tobą była szybsza! A mimo to wszystkie wylądowały w niszczarce!

Machał strzykawką w powietrzu na wszystkie strony i szczyrzył szyderczo zęby.

– No, dalej, zaatakuj mnie! – krzyczał. – Strzykawka przeciwko strzykawce, bardziej fair już nie można.

Przymrużył jedno oko i chciał wbić jej igłę w ramię. Ona rzuciła się na bok, a jego dźgnięcie trafiło w pustkę. Pociągnięty własnym impetem, runął do przodu i uderzył czołem o kolano tej pieprzonej szmaty.

Pokręcił właśnie głową, żeby móc znowu myśleć jasno, kiedy na jego szyi znalazły się dwa silne podudzia. Jana zacisnęła je tak mocno, jak tylko mogła. Barry zamachał rękami. Strzykawka wypadła mu z ręki, upadła na podłogę i wbiła się w wykładzinę. Jego strzykawka. Ona swoją trzymała jak rycerz Jedi świetlisty miecz.

Barry rzeził i dyszał. Jego twarz zrobiła się cała czerwona. Wymachiwał ramionami.

Proszę, umrzyj, proszę umrzyj, no dalej, powtarzała w myślach Jana.

Coś wspinało się po wewnętrznej stronie jej nogi. Rozwarła szeroko oczy. Jego ręka! Jana krzyknęła głośno i wbiła mu strzykawkę z całej siły w plecy. Poczwała, jak złamana igła przejechała po kości. Mimo wszystko jednak weszła w ciało aż po nasadę.

Jego palce zagrzebywały się i wciskały coraz głębiej między jej nogi. Jęczał i wzdychał, ale brzmiało to nie tyle jak agonია, co podniecone sapanie. Chyba że w jego przypadku nie było tu żadnej różnicy.

Jana przytrzymała mocno strzykawkę lewą ręką, jak gwóźdź, który ma zostać wbity w ścianę. Płaską

dłonią drugiej uderzyła tak mocno, jak tylko była w stanie w końcówkę tłoka.

Barry wyprężył się, ale mając głowę w imadle jej ud, niewiele się odchylił i już w następnej chwili całe jego ciało zwiotczało.

31

**Berlin, Treptowers.
Biuro doktora Freda Abla.
Środa 6 września godz. 12.07.**

Abel chrząknął tak donośnie, jakby zawładnął nim duch Kastnera. W jakiś sposób pomogło mu to jednak powrócić na stabilny grunt.

– W jaki sposób mogę ci jeszcze pomóc w twojej sprawie, Marie? – zapytał neutralnym tonem.

– W mojej sprawie. – Marie Horowitz potrzebowała dobrej chwili, żeby przetrwać kolejną gwałtowną zmianę płaszczyzny rozmowy: od zawodowej do prywatnej i z powrotem. – Jesteś jedyny, który zajmuje się tą sprawą i zna osobiście Lenskiego alias Katza – kontynuowała. – Kiedy widziałeś go po raz ostatni? Jak on myśli? Gdzie mógłby się ukryć?

Abel przetarł dłonią czoło.

– To było tak dawno. Ponad dwadzieścia lat temu. Poza tym nie znałem go wtedy zbyt dobrze. Katz był odludkiem. Ale już wtedy krążyły pogłoski, że eksperymentuje ze środkami odurzającymi, a swoje koktajle z tymi truciznami wypróbowuje na studentkach. Ale to wszystko docierało do mnie gdzieś tam, na marginesie. A kiedy potem mówiło się już, że może mieć coś wspólnego z zabójstwem Bettiny Selzer, to jeszcze bardziej trzymałem się od niego z daleka. Dzisiaj zachowałbym się inaczej, ale wtedy większość z nas tak postępowała.

Zastanawiał się jeszcze przez chwilę, lecz poza tym, co powiedział, nic istotnego, z punktu widzenia tej sprawy, nie przychodziło mu do głowy.

– Przykro mi, Marie, ale to wszystko – rzucił.

– Zastanów się, Fred – naciskała go. – Mieliście może wspólnych znajomych? Albo może istniał wtedy jakiś, bo ja wiem, domek letniskowy czy też wypoczynkowy, należący do jego rodziny, gdzie czasami jeździł? Nie śpiesz się. Mogłeś przecież usłyszeć przypadkowo, jak mówił o tym do kogoś innego.

Abel zrobił jej tę przysługę i raz jeszcze powrócił w myślach do tamtych czasów. Także i to podobało mu się w Marie: trudno ją było zniechęcić. Tam, gdzie inni odwróciliby się ze wzruszeniem ramion, ona dopytywała po raz kolejny. A jak było trzeba, to i jeszcze raz. Także i w tym byli do siebie podobni. I nierzadko, właśnie z powodu tego uporu, odnosili sukcesy.

Ale nie w tym przypadku i nie tego przedpołudnia.

– Naprawdę mi przykro – powtórzył Abel. – W mojej głowie nie ma nic więcej na temat Katza. Poza tym, że zawsze budził we mnie nieprzyjemne uczucia.

Rozległo się pukanie do jego drzwi. Renate Hübner przyniosła mu kawę, niezawodnie, jak robot.

– Mimo to, dziękuję ci, Fred – powiedziała Marie. – Zadzwoń, proszę, jeżeli coś sobie przypominisz.

Przyrzekł jej to i poczuł wręcz ulgę, kiedy rozmowa dobiegła końca. Przynajmniej w warstwie podprogowej przebiegła ona inaczej, niż oczekiwał.

Jeżeli między mną a Marie coś wymknie się kiedyś spod kontroli, powiedział sobie Abel, to już nie będę mógł się tłumaczyć, że nie byłem świadomy takiego zagrożenia.

Ale nie dopuści do czegoś takiego. Kochał Lisę i z całą pewnością nie naraziłby ich związku na szwank.

Dalej wykuwał swoje słuszne postanowienia, podczas gdy Renate Hübner naląła mu kawy i zapytała, tonem niewiele żywszym niż u katatonika, czy ma jeszcze jakieś życzenia.

– Bardzo dziękuję, pani Hübner. To byłoby na razie wszystko.

Niezależnie od tego, jak absurdalnie brzmiały te zawsze jednakowe dialogi z sekretarką, to przy jego aktualnym nastroju miały w sobie coś pocieszającego. Renate Hübner ucieleśniała świat niezawodnej nudy, w którym błędy nie były możliwe nawet w myślach.

– W takim razie jestem u siebie, panie dyrektorze.

Jej dłoń spoczywała już na klamce, kiedy Abel wymamrotał pod wpływem przebiegłości intuicji:

– Jeszcze jedną chwileczkę, proszę.

Przypomniał sobie nazwisko, którego nie mógł dokładnie przyporządkować: Ulrich Döpfner. Przed oczyma miał tylko twarz, bladą i ciastowatą, w grubych okularach obramowaną kosmykami jasnych włosów.

– Tak, panie dyrektorze?

– Ulrich Döpfner – powiedział Abel. – Albo też Uli. Proszę spróbować odnaleźć jego dane kontaktowe. Studiował medycynę w Hanowerze w tym samym czasie co ja. Poza tym był już wtedy, na początku ery Internetu, freakiem komputerowym. Być może działa zawodowo gdzieś na pograniczu medycyny i IT.

– Jak pan sobie życzy, panie dyrektorze.

Życzyć sobie to akurat tu pasuje, pomyślał Abel. W żadnym razie nie był pewny, czy Ulrich Döpfner miał wówczas rzeczywiście bliższe kontakty z Katzem. Ale jeżeli tak, to być może kontakt ten utrzymał się do dzisiaj. Niewykluczone jednak, że było to zwykłe myślenie życzeniowe, żeby może w ten sposób pomóc Marie w wyśledzeniu Lenskiego alias Katza.

On sam niewiele miał styczności z Döpfnerem. Widywał się z nim na niedających się unikać imprezach semestralnych i rozmawiał z nim parę razy. Abel przypominał sobie mętnie, jak Döpfner i Katz szepotali ze sobą podczas tych letnich party. Masywna, wręcz nieforemna postać Döpfnera obok lisiu szczupłego Katza, który wydawał się być w nieustannym ruchu. Czy może tylko tak mu się wydaje?

Na wszelki wypadek sam porozmawia najpierw z Uli Döpfnerem, żeby dowiedzieć się, co z tych mętnych wspomnień było prawdą.

**Gdzieś w Niemczech.
Pomieszczenie piwniczne.
Wtorek 6 września godz. 13.52.**

Odsunęła go od siebie, przerzuciła nogi przez kant łóżka i podniosła się. Oszłamiające uczucie tak znowu stanąć na własnych nogach. Ale zdawała sobie sprawę, że nadal jeszcze nie jest bezpieczna.

Podbiegła do drzwi, wzmocnionych stalowymi płytami, jak w bunkrze. Wpatrywała się w te drzwi od wielu godzin, dni, wyobrażając sobie, jak się przed nią otwierają.

Nacisnęła klamkę. Co oczywiście nic nie dało, bo drzwi były zamknięte. A jak inaczej? Jana znów dostała ataku paniki. Odwróciła się gwałtownie i upewniła, że Barry się nie rusza. Leżał na brzuchu i chrapał charkotliwie, z twarzą w mokrej, żółtej plamie jej moczu.

Znów odwróciła się do drzwi. Pod klamką wisiała podłużna metalowa klapka na jednej tylko śrubie. Nie była większa od dwóch przyłożonych obok siebie kciuków Jany, a zrobiona była z podrapanego chromu, tak jak klamka i obicie drzwi.

Odsunęła klapkę na bok i z jej ust wyrwał się okrzyk.

Weź się w garść! Musisz być bardzo daleko stąd, kiedy on się obudzi.

Ale jak miała to zrobić? Pod tą pieprzoną klapką nie było dziurki od klucza, jak miała nadzieję, tylko niewielka płytka z przyciskami cyfrowymi!

Zamek elektroniczny. Jak, na miłość boską, miałyby odgadnąć właściwy kod?

Na chybił trafił wbiła jakieś cyfry. 5-7-9-3. Szarpnęła za klamkę, nic. Żadnego kliknięcia, gdzieś tam wewnątrz zamka, tylko uderzenia jej serca, dudniące jak po biegu na tysiąc metrów.

Wypróbowała kolejne kombinacje. Nic. Nie wiedziała nawet, z ilu cyfr składał się ten kod. Bez jakiegś wskazówki było to beznadziejne.

Znów się odwróciła. Leżąc na łóżku, nieustannie przeszukiwała to pomieszczenie wzrokiem. Wypatrując noża, kluczy, czegokolwiek, co mogłoby pomóc jej w ucieczce, kiedy już uwolni się z kajdanek.

Ale nie odkryła nic, co chociaż w minimalnym stopniu byłoby pomocne. Nie było nawet widelców. Ani talerzy z porcelany, ani szklanek, które można byłoby rozbić na kawałki i użyć jako broni. A butelki z wodą były z miękkiego plastiku.

Barry podgrzał kiedyś dla niej paczkę jakiegś brei przeznaczonej do mikrofal i aluminiowy pojemnik postawił jej na łóżku.

– Żryj z michy, suko – rozkazał jej. Krótco tylko ze sobą walczyła, ponieważ głód był przeogromny, a jej duma słabą karlicą. Położyła się na brzuchu, oparła wolną rękę na łokciu i wychłptała tę papkę.

– Doobre Thai-Curry – zachwalał Barry breję z krzywym uśmiechem. Smakowało jak styropian z sosem azjatyckim z proszku, ale zjadła wszystko, a na koniec wylizała nawet to aluminiowe opakowanie.

– Grzeczny piesek – pochwalił ją Barry i dalej torturował. Jego palce na niej i w niej, szczypiące, wwiercające się, ściskające, wykręcające. Jego repertuar był niewyczerpany. Miała nadzieję, że w

pewnym momencie zobojętnieje na to, ale tak się nie stało.

– Przyznaj się, że jesteś rozczarowana – powiedział wtedy do niej. – Z pewnością oczekiwałaś, że będę wrywał z ciebie kawałki mięsa rozżarzonymi obcęgami. Ale ja po prostu nie jestem takim typem. Jestem typem, który woli polegać na własnych rękach. No, chyba że nie da się inaczej i muszę używać zastrzyków i tak dalej.

Dosyć tego! – zrugła sama siebie. *Skup się! On musi mieć gdzieś portfel i może ma w nim karteczkę z zapisanymi liczbami kodu!*

Podeszła chwiejnie do lodówki i otworzyła drzwi. Uderzył w nią odurzający smród pleśni, gumi i stęchłego powietrza. Poza tym lodówka była pusta. Stłumiła w sobie kolejny okrzyk rozpacz. Za jej plecami Barry wydał z siebie długie westchnienie. Jana życzyła mu z całego serca, żeby chociaż we śnie smażył się w piekle.

Okrążyła łóżko i przyklękła obok jego torby lekarskiej. Z łóżka widziała, że ma tam schowane całe mnóstwo strzykawek i ampułek, poza tym ogromny worek z białym proszkiem. Prawdopodobnie z kokainą.

Przetrasnęła torbę. Żadnych nożyczek, żadnego noża, nawet pęsety! Tymi ampułkami i zastrzykami można by zapewne eksterminować całe rodziny, ale chociaż bardzo świerzbila ją ręka, to jednak musiała się wziąć w garść. Jeżeli zabije Barry’ego, zanim znajdzie sposób na otwarcie drzwi, to również sama umrze tu w męczarniach. Kiedyś zjadłaby przecież wszystkie gotowe posiłki, wypila wszystkie butelki z wodą, a potem zostałaby jej już tylko modlitwa.

Szkoda tylko, że nie wierzyła w żadnego dobrotliwego Boga. A od momentu swojego rendez-vous z Barrym jeszcze mniej niż wcześniej. U jej matki, wierzącej chrześcijanki, gorliwie chodzącej do kościoła, zdiagnozowano raka, kiedy dobiegała czterdziestki. Zmarła niecałe cztery miesiące później, a Jana była pewna od tego czasu, że Bóg albo nie istnieje, albo nie ma w ogóle litości. Tak czy inaczej błaganie go o pomoc byłoby zwykłą stratą czasu.

Ukucnęła przed zlewozmywakiem i pociągnęła za wypuczone od wilgoci przesuwane drzwiczki. Stąd przecież Barry wyciągnął komórkę! Dlaczego od razu nie zaczęła szukać tutaj?

Zakleszczone drzwi przesuwały się w bok centymetr po centymetrze. Za nimi pojawiały się kolejne drzwiczki, ciemnoszare, z wibramowej stali.

Tym razem Janie nie udało się powstrzymać okrzyku wściekłości. *Drzwiczki do sejfu!* W płycie, obok prostego uchwyty, także tutaj znajdowała się tabliczka z cyframi.

Wystukała 0-0-0-0, co jej samej wydało się po prostu idiotyczne. Efekt był także równy zeru. Potem spróbowała z 6-9-6-9, co mogło pasować do poczucia humoru Barry’ego z okresu dojrzewania.

Ale i przed tym szyfrowym zamkiem musiała skapitulować.

Janie groziło zalanie kolejną falą rozpacz. Zawzięcie usiłowała to zwalczyć.

Gdzieś musi przecież mieć swoje rzeczy!

Ale to już analizowała z tysiąc razy, leżąc na łóżku. Nie było tutaj żadnych innych szaf czy schowków, w których mógłby coś ukryć. Wyjaśnienie było równie oczywiste, co druzgocące: za stalowymi drzwiami musi znajdować się co najmniej jeszcze jedno pomieszczenie, w którym zostawiał wszystko, czego nie potrzebował do orgii tortur. Swoje, jak i jej ubranie, kluczyki do samochodu, portfel, dokumenty. Ponieważ odurzył ją w vanie na przystanku autobusowym, nie mogła sobie absolutnie niczego przypomnieć, co działo się podczas jazdy tutaj i bezpośrednio potem. Nie miała pojęcia, co to za okolica. Czy byli w mieście, czy też na wsi? Czy ta piwnica należała do anonimowego bloku mieszkalnego, czy też znajdowała się pod zrujnowanym gospodarstwem rolnym, gdzieś w lasach? Kiedy odzyskała świadomość, leżała na tym zasyfionym łóżku, z kajdankami na jednej ręce i kolczatką na szyi.

Zapewne także jej torebka leżała gdzieś za tamtymi stalowymi drzwiami. Razem z jej komórką i sprayem pieprzowym, który zawsze miała przy sobie na wszelki wypadek.

Być może twoje rzeczy dawno już wyrzucił, pomyślała. Po co trupowi torebka? Po co zwłokom

ubranie? Wydawało jej się, że słyszy szyderczy głos. „*Ja chcę was i tak zawsze nago, do samego końca*”.

Znowu zaczęła płakać. Zadziwiające, że miała jeszcze w sobie łzy. Wytarła oczy, wściekła na siebie.

Koniec z tym. Zaczynij myśleć!

Ale w jej głowie panował chaos złożony z krzyków, bólu, przerażających obrazów, paniki.

Musisz się uspokoić. Z całą pewnością nie przewidział wszystkiego. Musi istnieć jakaś możliwość wyjścia.

Podeszła do skrzynek z butelkami wody mineralnej, wyjęła jedną i wypła całą duszkiem. Ponieważ stała akurat w rogu obok drzwi, mogła równie dobrze zacząć od tego miejsca. Wyrwała róg wykładziny spod listwy podłogowej i szarpnięciami ściągnęła z podłogi to syntetyczne, upstrzone plamami pokrycie w kolorze piasku.

Pod spodem znajdował się popękany beton, i to wszystko. Nic, co chociaż w przybliżeniu przypominałoby tajne wejście albo jakąś kłapę w podłodze.

Dyszała i zalewała się potem. Wykładzina była tak mocno przyklejona do podłogi, że już wkrótce nie mogła złapać oddechu.

Jana opadła na jedno z drewnianych krzeseł przy stole i podłamana patrzyła na swoje dzieło.

Marnie, pomyślała. Zdarła na razie z podłogi pas długości trzech metrów, co kosztowało ją z pewnością około godziny.

Kiedy on się obudzi, a ty tu jeszcze będziesz...

Jej serce załomotało.

– Nigdy mnie nie zapomnisz – powiedział raz do niej. – Jeszcze w trakcie swojej ostatniej w życiu nocy obudzisz się z krzykiem, czując to wszystko, co robiłem ci tu. Albo tu. Też się tak dobrze bawisz, jak ja, malutka?

Zaczynij myśleć!

Spojrzała na niego. Jakoś przekręcił się na plecy i rzucał głową we wszystkie strony. W tej chwili wyglądało raczej na to, że to on obudzi się zaraz z krzykiem.

Z krzykiem wściekłości. Żądny odpłacenia jej za wszystko. I to takim wyszukany sposóbem torturowania, który nawet dla niego byłby premierą.

Jego oczy były zamknięte. *Ale być może tylko udaje, że jest nieprzytomny?*

Krzyknęła po raz kolejny. *Jak możesz być taka durna! Musisz go przecież związać! Dlaczego nie zrobiłaś tego od razu?*

Poderwała się. Związać go, ale czym? Zamek w kajdankach zniszczyła. Oprócz smyczy nie znalazła nic, co nadawałoby się na więzy.

Musiała się przemóc, żeby znów wejść obok niego na łóżko. Przysunęła się do niego na kolanach, tak jak wcześniej on to robił do niej. Spojrzała po sobie i przeraziła się. Jej ciało było usiane krwiami i siniakami. Brodawki miała całe w strupach, od pępka w dół, prawie do samych kolan, była cała oblepiona zaschniętą krwią

Poczuła ogromną pokusę założenie mu obroży na szyję. Zaciągnięcia jednym silnym ruchem i popuszczenia dopiero wówczas, kiedy jego twarz zrobi się sina, a z kącika ust wysunie się spuchnięty język.

Ale powstrzymała się. Zdusiła w sobie panikę i wstręt, złapała go za ramiona i znów przewróciła na brzuch.

Strzykawka nie tkwiła już między jego żebrami, ale w miejscu, gdzie Jana ją wtoczyła widniała teraz krwawa dziurka wielkości łebka od szpilki, otoczona niebiesko-fioletową połyskującą obwódką.

Skrzyżowała mu ramiona na plecach, owinęła nadgarstki smyczą i zawiązała na podwójny węzeł.

Chrząkał i sapał. Najwyraźniej wciąż jeszcze był nieprzytomny. Ale miał koszmary senne, w każdym razie wzdrygał się cały i przewracał z boku na bok. Ale już te niewielkie ruchy wystarczyły, żeby węzły

na tej miękkiej skórzanej smyczy rozwiązały się.

Cholera jasna, niech to szlag! I co teraz?

Wyrwała smycz i uderzała w niego jak pejczem. Po jego plecach, pośladkach, nogach. Chrząkał i jęczał.

Przestań! – wrzasnęła na siebie w myślach. *Podniecisz tylko znowu tego perwersyjnego sukinsyna!*

Sturlała się znów z łóżka.

W zasadzie to było proste. Musiała znaleźć możliwość unieruchomienia go tak, żeby z całą pewnością nie mógł się uwolnić. Potem należało poczekać, aż się przebudzi. A do tego czasu musiała wymyślić, w jaki sposób zmusi go do zdradzenia kodu liczbowego do drzwi bunkra.

Przemocą, to było dla niej jasne. Niejasne było jednak to, jakim rodzajem bólu mogłaby złamać jego opór. I czy będzie w stanie zrobić to, co konieczne.

**Gdzieś w Niemczech.
Pomieszczenie piwniczne.
Wtorek 6 września godz. 17.03.**

Od kilku godzin siedziała na łóżku obok Barry'ego, ze strzykawką w ręku. Kiedy przyjdzie do siebie, przyłoży mu igłę do szyi i zmusi do zdradzenia kodu zamka u drzwi.

Nie była w stanie wymyślić lepszego planu, mimo że nieustannie łamała sobie nad tym głowę. W tym całym cholernym bunkrze nie było ani kawałeczka sznura, żeby związać Barry'ego, i żadnej innej broni, którą mogłaby mu grozić.

Tylko strzykawka ze „specjalną mieszanką”, jak nazwał wcześniej ten środek. Jeżeli jednak miałyby być zupełnie szczerą wobec samej siebie, to nie wierzyła, że ta groźba zrobi na nim jakieś szczególne wrażenie.

Przekręcił się na bok i podciągnął zgięte nogi do siebie. Spał z twarzą zwróconą do niej i mamrotał coś od czasu do czasu przez sen.

Jak szurnięci kochankowie, pomyślała. Siedzieli, jak zakłęci nago na łóżku – koszmarna wersja pary kochanków: on znał każdy intymny szczegół jej ciała, ona także znała jego wątlą klatkę piersiową i wszystko inne o wiele dokładniej, niż kiedykolwiek by tego chciała.

Była tak mocno zajęta swoimi myślami, że nie zauważyła kiedy otworzył oczy.

– Hej – wymamrotał zaspanym głosem. Prawdopodobnie nie był jeszcze całkowicie przytomny.

Kiedy chciał się podnieść, przyłożyła mu igłę do szyi. Trochę późno, ale zawsze.

– Nie ruszaj się – powiedziała tak spokojnie, jak tylko potrafiła. Znów miała suche jak pieprz gardło i łomocące serce. – Inaczej właduję to wszystko w ciebie.

Przekręcił się powoli na plecy i spojrzał kątem oka na strzykawkę.

– Ta mieszanka jest super – powiedział i wyszczerzył do niej zęby. – Właściwie to przyniosłem ją dla ciebie, ale jeżeli nie chcesz, to nie krępuj się! Po tym świństwie człowiek jest napalony tysiąc razy więcej niż normalnie i może pieprzyć przez sześć godzin wszystko, co w porę nie ucieknie na drzewo. – Zrobił szeroki gest ręką. – A widzisz gdzieś tutaj drzewa?

Zmusiła się, żeby dalej przyciskać mu igłę przy szyi.

– Powiedz mi, jak otworzyć drzwi?

– Drzwi? Wybierasz się gdzieś?

Patrzył na nią szeroko rozwartymi oczami i dostał ataku śmiechu, który przeszedł w kaszel. Tak bardzo nim wstrząsało, że na wszelki wypadek odsunęła igłę o kilka centymetrów od jego szyi.

– Kod liczbowy – wyrzuciła, kiedy wreszcie przestał odgrywać umierającego faceta z reklamy Marlboro.

Leżał, ciężko oddychając, i wpatrywał się w nią.

– Jaki kod liczbowy? – Zmarszczył czoło i przewrócił oczami w lewo i w prawo, jakby chciał się zorientować, gdzie w ogóle się znajduje. – O czym ty w ogóle mówisz, do cholery?

– O tym cholernym zamku do drzwi! Bo o czym innym?! – Zaczęła krzyczeć w sposób niekontrolowany.

– Otwieraj te pieprzone drzwi albo cię załatwię!

Lewą ręką przycisnęła mu igłę do szyi, a prawą złapała za krocze. Ścisnęła wszystko, za co mogła złapać, a on zaczął kwiczeć jak zarzynany wieprz. Wyprężył się i dygotał jak szalony.

Krzyczy z bólu, pomyślała i zacisnęła dłoń jeszcze mocniej. Czy może to też go podnieca?

Przez moment była rozkojarzona, i to mu wystarczyło. Złapał ją za rękę ze strzykawką i z całej siły uderzył nią o ramę łóżka. Jana zakrzuszyła się z bólu i zaskoczenia. Jej chwyt się rozluźnił, strzykawka spadła na podłogę za łóżkiem.

Wyszczerył do niej szyderczo zęby, jego twarz wykrzywiła się, jak u kogoś obłąkanego w ataku szału. Nadal ścisnęła mu jądra, ale wydawało się, że to nie robi na nim większego wrażenia. Zrobił zamach i uderzył ją z całej siły w nos. Ból eksplodował w jej głowie, odrzuciło ją do tyłu, spadła z łóżka i uderzyła potylicą o podłogę.

– Gong! – wrzasnął Barry tonem komentatora sportowego. – Tę rundę wygrywa Barry Bazooka, mistrz wszechklas Nude Mixed Wrestling!

Podszedł na czworakach do brzegu łóżka, wyciągnął worek z koką z torby i wciągnął trochę przez plastikową rurkę. W następnej chwili poderwał się zadziwiająco sprężysto i stanął na łóżku nad Janą. Chciała się podnieść, ale po ciosie w nos i uderzeniu o podłogę była zbyt otumaniona.

– Panie i panowie, teraz będzie walka na śmierć i życie! – krzyknął. – Czy Wanton Wanda przycisnie Barry’ego Bazookę swoimi legendarnym chwytem za szyję do maty? Czy uda jej się wyssać jego fujarkę tak, żeby stała jak Kolumna Zwycięstwa. Niedługo już będziemy wiedzieli więcej!

Rozwarł ramiona jak Supermann przed startem, pochylił górną część ciała do przodu i rzucił się na Janę z przeciągłym okrzykiem.

**Lot z Berlina do Tyraspolu.
Czwartek 7 września godz. 4.55.**

Naddniestrze nie miało własnego lotniska cywilnego – kto przylatywał maszyną liniową, ten musiał lądować albo w Mołdawii albo na Ukrainie, a pozostałą część trasy odbyć drogą lądową. Nie dotyczyło to jednakże osób przybywających na zaproszenie prezydenta kraju.

Dopiero wczoraj późnym wieczorem, kiedy Abel dokładniej przyjrzał się swoim dokumentom podróży, uświadomił sobie, że do Tyraspolu będzie leciał learjetem. A dokładniej: prywatnym samolotem oligarchy naddniestrzańskiego Jefima Stiepanowa. Maszyna czekała na niego przy jednej z bramek VIP-owskich na General Aviation Terminal w Berlinie-Tegel.

Abel był jedynym pasażerem na pokładzie wyposażonego w dwa silniki odrzutowe Learjeta 60 XR, którym w luksusowych warunkach mogło podróżować do ośmiu pasażerów. Siedzenia były skórzane, dające się obracać o trzysta sześćdziesiąt stopni i po naciśnięciu guzika przemieniały się w komfortowe leżanki; przy każdym miejscu był cyfrowy system komunikacyjno-rozrywkowy z panoramicznym ekranem, a do tego bar, który spełniał każde życzenie. Pod warunkiem, rzecz jasna, że należało się do grona osób, które o wschodzie słońca wypijają pierwszego drinka. Abel zaliczał się raczej do tych, którzy nie palili się specjalnie do drinków także po zachodzie słońca.

Wybrał sobie miejsce całkiem z tyłu, w ogonie samolotu. Ściany kabiny były wyłożone mahoniem, człowiek miał wrażenie, jakby znajdował się w kajucie starodawnego luksusowego parowca. Albo na pokładzie jednego z tych potężnych luksusowych zeppelinów, które ponad sto lat temu szybowwały nad kontynentami i oceanami.

Ciemnoskóra stewardesa troszczyła się o samopoczucie Abła. Jej bardzo skąpo skrojony, fantastyczny mundurek nie pozostawiał wiele miejsca wyobraźni. Wyglądała tak zjawiskowo, że równie dobrze mogłaby pracować jako dziewczyna do towarzystwa z najwyższej półki. Abel podejrzewał, że właśnie to robiła, przynajmniej w dni, kiedy na pokładzie znajdował się Jefim Stiepanow.

Z uśmiechem, od którego od razu skakało ciśnienie krwi, powiedziała, żeby wzywał ją, kiedy tylko będzie miał jakieś życzenie, „whatever it may be”. Kiedy poprosił jedynie o filiżankę kawy, wydawała się zawiedziona.

– Call me JoLo – zachęciła go z uwodzicielskim spojrzeniem.

Abel prawie poczuł ulgę, kiedy zniknęła za zasłoną oddzielającą część serwisową od pasażerskiej. Wyjął skoroszyt z dokumentami na temat domniemanego podwójnego zabójstwa siostrzeńców Stiepanowa i położył go na sporej wielkości stoliku przed sobą. Ponieważ wychodził z założenia, że wróci do Berlina jeszcze tego wieczoru, wziął ze sobą, oprócz torby z instrumentami lekarskimi, jedynie aktówkę.

Po starciu wyjął swojego blackberry, żeby raz jeszcze przeczytać mejla, jaki Renate Hübner wysłała mu wczoraj wieczorem. W tym samym momencie zasłona odsunęła się na bok, a przed nim znów pojawiła się JoLo.

– Co jeszcze mogłabym dla pana dobrze zrobić, panie doktorze Abel? – zapytała z uśmiechem,

zdolnym doszczętnie stopić Antarktydę. Jej angielska intonacja była tak samo seksowna, jak wszystko w niej. – Mamy również małe pomieszczenie wellness na pokładzie, z prysznicem przeżyć.

Prysznic przeżyć? Abel o mało nie wybuchnął głośnym śmiechem. Cokolwiek oligarcha przeżywał tam z JoLo, on sam nie czuł żadnej pokusy, żeby go w tym naśladować.

– Dziękuję, ale nie mam żadnych życzeń – zapewnił i w sposób demonstracyjny zajął się swoim smartfonem.

Może jej zadanie polega na tym, żeby poprzez kompleksową obsługę nastawić mnie pozytywnie do jej szefa, zastanawiał się. Ale to miałyby sens tylko wtedy, gdyby Stiepanow wiedział, że w przypadku zwłok w kontenerze z wapnem nie chodzi o jego siostrzeńców. A więc gdyby sam to wszystko zaaranżował, żeby obciążyć Burkianowa podwójnym morderstwem, a ode mnie oczekiwał, że go w tym poprę.

Albo może jest to po prostu ekstremalna forma gościnności? Wiedział z własnego doświadczenia, że istnieją rejony świata, w których próby przekupstwa za pomocą gratyfikacji seksualnych należą do standardu. Polityczna poprawność nie była z pewnością tym, co spędzało sen z oczu takiego potentata jak Stiepanow. A więc być może tak naprawdę nic specjalnego się za tym nie kryło.

Jednakże JoLo, ze słowami: „Nie będzie panu chyba przeszkadzało?”, usiadła na fotelu po jego lewej stronie. Jej spódnica od mundurka, która i tak nie była szersza od paska, podsunęła się jeszcze kilka centymetrów w górę, a jej ręka sprawiała wrażenie, jakby chciała zbliżyć się do uda Abła.

– Sorry – powiedział sucho – jestem zajęty. *I absolutnie niezainteresowany członkostwem w Mile High Club*, dodał w myślach.

Patrzył na nią przenikliwie i nawet nie próbował już ukrywać podenerwowania. Na szczęście wyglądało na to, że wyczuła, że tym razem nie będzie w stanie wypełnić zlecenia szefa. Abel bez trudu potrafił sobie wyobrazić, jak mówi do Stiepanowa: „Nic nie dało się zrobić, szefie!” W końcu spuściła wzrok, wstała i bez słowa wróciła za kotarę.

Abel kliknął wczorajszy mejl od Renate Hübner i raz jeszcze przesunął wzrokiem po tym, co napisała mu w sprawie Döpfnera.

„Ulrich Döpfner studiował w Hanowerze informatykę i medycynę. Po ukończeniu studiów opracował cyfrową bazę danych dla specjalnych służb medycznych Bundeswehry, którymi kierował pod koniec lat dziewięćdziesiątych. Pułkownik Döpfner mieszka i pracuje w Poczdamie. Z kontaktu telefonicznego z jego miejscem pracy wynika, że obecnie przebywa na kongresie w Japonii i w pracy będzie osiągalny w piątek”.

Pod spodem sekretarka załączyła dane kontaktowe Ulricha Döpfnera.

Abel zastanawiał się przez chwilę, czy nie powinien już teraz napisać mejla do swojego byłego kolegi ze studiów, ale potem postanowił jednak, że zadzwoni do niego jutro rano, kiedy obaj będą znowu w Niemczech. Z Berlina do Poczdamu i tak było tylko rzut kamieniem. Najlepiej byłoby się umówić z Döpfnerem na obiad lub kawę. Już w czasie studium nie byli zbyt zaprzyjaźnieni, a od tamtej pory minęło dwadzieścia lat. W takiej sytuacji Abel nie mógł tak od razu wyłożyć kawy na ławę, tylko musiał najpierw powspominać stare czasy z Ulim, a dopiero potem skierować rozmowę na Katza alias Lenskiego.

Do zalet prywatnego samolotu należało także i to, że w trakcie lotu można korzystać z Internetu w smartfonie. Abel podziękował Renate Hübner krótkim mejlem, dodając, że jutro zadzwoni do pułkownika Döpfnera. Potem zagłębił się w akta sprawy Stiepanowów i doszedł do końca akurat, kiedy learjet zaczął podchodzić do lądowania na lotnisku w stolicy Naddniestrza, Tyraspolu.

**Tyraspol, lotnisko wojskowe.
Czwartek 7 września godz. 7.52.**

Na pasie dojazdowym stały dwa, identycznie wyglądające czarne range rovery bez tablic rejestracyjnych. Kiedy Abel schodził po schodkach, otworzyły się tylne drzwi pierwszego wozu terenowego, z którego wysiadła kobieta o krótko obciętych płowych włosach, w stalowoszarym kostiumie. Bez ruchu przypatrywała się, jak Abel manewruje dwoma bagażami na wąskim zejściu. Jeżeli jego przybycie wywołało w niej jakiekolwiek emocje, to potrafiła je znakomicie ukryć. Na jej twarzy, z energicznym podbródkiem i wąskimi ustami, nie drgnął ani jeden mięsień.

Kiedy Abel zatrzymał się przed nią, zamarkowała coś na kształt skinienia głową.

– Wszystko przygotowane, panie doktorze – powiedziała zamiast pozdrowienia i nadal patrzyła na niego przenikliwie.

Abel doskonale potrafił sobie wyobrazić, jak czuje się przy niej podejrzany, nie mówiąc już o przesłuchiwanym. Jej jasnoniebieskie oczy nie były jeszcze tak martwe, jak u jej byłego przełożonego Burkianowa, ale na najlepszej drodze do tego stanu.

– Jestem wicegenerał Romani – dodała – zastępca naczelnika tajnych służb Naddniestrza.

Nic nie wskazywało na to, żeby chciała podać mu dłoń, ale Abel i tak miał obie ręce zajęte. Ze swoich dokumentów wiedział, że kobieta ta ma czterdzieści dwa lata, a jej imię brzmiało Warwara. W rzeczywistości jednak wyglądała o jakieś dziesięć lat starszej i tak, jakby nigdy nie była młoda. A to, żeby ktokolwiek odezwał się do niej po imieniu, zamiast użyć formuły z rangą służbową, wydawało się wręcz niewyobrażalne.

– Jewgienij załaduje pana bagaż, a potem natychmiast odjeżdżamy. – Mówiła po angielsku, ale tak twardo i przerywanie, że Abel miał problemy z jej zrozumieniem.

Z pierwszego range rovera wysiadł kierowca, młody mężczyzna z ogoloną głową i górą mięśni pod białą, obcisłą koszulą. Wielkimi krokami okrążył przód samochodu, niemal wyrwał Ablowi z rąk torbę z instrumentami i aktówkę i niezbyt delikatnie wrzucił je do bagażnika.

Dzięki, za miłe powitanie, Jewgienij, pomyślał Abel. Wyglądało na to, że jego komitet powitalny bardzo się starał, żeby zapewnić miłą atmosferę.

Z drugiego samochodu terenowego wysiedli mężczyzna i kobieta. Abel rozpoznał ich po zdjęciach w aktach. Byli to oficerowie śledczy Władimir Gruwczenkow i Wiktoria Lomaskow, którzy tak odważnie i wytrwale prowadzili śledztwo w sprawie Stiepanowów.

– To dla mnie zaszczyt, że mogę pracować razem z panem – powiedział Gruwczenkow i uściśnął dłoń Abła. Dobiegający czterdziestki, szczupły mężczyzna miał delikatne rysy twarzy, poorane zmarszczkami znamionującymi zmartwienia.

– Mam ogromny szacunek dla państwa i państwa pracy – zapewnił ich Abel ze swej strony.

– Kiedy usłyszeliśmy, że przyjedzie pan to Tyraspolu, Władimir i ja wypiliśmy za pana zdrowie! – Wiktoria Lomaskow chwyciła lewą rękę Abła i uściśnęła ją serdecznie. Była mniej więcej w wieku

Abla, miała jasne włosy do ramion i emanowała krzepką matczynością.

Wiktorija Lomaskow, podobnie jak Gruwczenkow, miała na sobie dzinsy i skórzaną kurtkę. Abel odczuwał bezwiedną sympatię do tej otwartej policjantki i jej prawdopodobnie bardzo wrażliwego kolegi. Ta sama intuicja podpowiadała mu, że powinien mieć się na baczności przed Warwarą Romani.

Pani wicegenerał z wyraźnym niezadowoleniem obserwowała przyjazne powitanie Abla z dwójką oficerów śledczych.

– Jedziemy! – warknęła. – Mamy mało czasu!

Abel chciał wsiąść do drugiego samochodu razem z Gruwczenkowem i jego koleżanką, ale Jewgienij bezceremonialnie zastąpił mu drogę. Otworzył tylne drzwi i Ablowi nie pozostało nic innego, jak usiąść obok Warwary Romani.

Nieźle się zaczyna, pomyślał. Ona nie ufa własnym oficerom śledczym i nie spuści mnie z oczu ani na sekundę.

I rzeczywiście: wpatrywała się w niego tak badawczo, jakby miała nadzieję przeniknąć do jego myśli, jeśli tylko wystarczająco długo będzie przeszywała go spojrzeniem.

Dlaczego jest taka podejrzliwa i nieprzychylnie nastawiona? W końcu przyjechał na zaproszenie jej prezydenta. Czyżby była nadal oddana swojemu byłemu szefowi Burkianowowi, czy też może z paranoi, wynikającej z wykonywanego zawodu, nie umiała inaczej i podejrzewała wszystkich i każdego z osobna?

Wieloznaczność ludzkiego zachowania. Abel często się nad tym zastanawiał. Zjawisko to było nie tylko zagadką dla kryminalistów i lekarzy medycyny sądowej. Nigdy właściwie nie można było być pewnym, czy zachowania, gesty, czy też słowa innych ludzi rzeczywiście oznaczają to, co nam się wydaje.

Być może także JoLo ocenił całkowicie fałszywie, a ta stewardesa nie miała żadnych ukrytych zamiarów, tylko chciała jedynie trochę poplirtować. Ale raczej w to nie wierzył. Również w przypadku Warwary Romani był mocno przekonany, że swoim zachowaniem dąży do jednego celu: zrobi wszystko, żeby ta misja doprowadziła do określonego rezultatu. Pytanie tylko, jaki to ma być, według niej, rezultat i kto był jej zleceniodawcą – Jefim Stiepanow, Siergiej Burkianow, czy też jeszcze ktoś inny. I na ile jej ustalony z góry wynik będzie w konsekwencji odległy od rzeczywistości.

Dla Scherza, wszystko dawno byłoby już oczywiste, powiedział sobie Abel.

Kiedy tylko pomyślał o tym niepoprawnym lekarzu naczelnym, od razu stał się jeszcze bardziej niespokojny.

Mam nadzieję, że dzisiaj w Berlinie nie będziemy mieli kolejnej ofiary waterboardingu, przebiegło mu przez głowę. *W przeciwnym wypadku Scherza znowu kompletnie poniesie i jeszcze publicznie oskarży CIA o udział w tej serii tortur i zabójstw.*

Jewgienij wystartował range rovera i przyspieszył tak brutalnie, że Abel wciśnięty został w fotel, jak podczas startu odrzutowego learjeta. Pędzili w poprzek pasa startowego w kierunku pięciometrowej wysokości płotu zabezpieczającego cały areał. Wieża kontrolna wyglądała na zupełnie nową, podobnie jak nieco futurystyczny w kształcie główny budynek, ale wyglądało na to, że nie lądowało tutaj, ani nie startowało więcej maszyn niż na wiecznie nieotwartym lotnisku Berlin-Brandenburg. Tu i ówdzie po ogromnej płycie przejeżdżały, podskakując, wojskowe dżipy i małe transportery w barwach ochronnych. W hangarach kurzyło się kilka samolotów, jednak większość z nich wyglądała już na muzealne eksponaty. W sumie to naddniestrzańskie lotnisko wojskowo-rządowe nie zrobiło na Ablu zbyt dobrego wrażenia.

Nic zresztą dziwnego. W swojej dokumentacji przeczytał, że władzę wojskową w tym kraju sprawuje 14. Armia rosyjska. W skład „oddziałów pokojowych”, strzegących linii demarkacyjnej między zwaśnionymi regionami, wchodziła, dla zachowania pozorów, grupka żołnierzy z Mołdawii i Naddniestrza. Ale prawdziwa władza znajdowała w rękach Rosjan. To do nich należały karabiny maszynowe i czołgi.

Nie zdejmując specjalnie nogi z gazu, Jewgienij pędził w stronę wąskiej bramy w płocie

zabezpieczającym lotnisko. Umundurowany wartownik w ogóle nie kwapił się do otwarcia bramy. Stał oparty o ścianę budki wartowniczej, z podbródkiem na piersi; najprawdopodobniej zasnął na stojąco.

Kiedy Jewgienij nacisnął na klakson, wartownik podskoczył gwałtownie, stanął na baczność i zasalutował. Jednak dopiero po chwili dotarło do niego, na czym właściwie polega jego zadanie. Podbiegł do bramy i otworzył ją jednym ruchem. Z wyjątkiem silnikiem przejechali na drugą stronę, za nimi podążał w bliskiej odległości drugi range rover, za którego kierownicą siedział zapewne klon Jewgienija. Tak samo ogolona głowa, osadzona na podobnym do słupa karku, a poniżej ta sama, podobna do szafy sylwetka.

Na placu przed lotniskiem czekały cztery szare minibusy Toyoty, które tak jak range rovery nie miały tablic rejestracyjnych. W pojazdach siedziało ośmiu mężczyzn, którzy, o ile Abel dobrze dostrzegł, byli uzbrojeni po zęby.

Nasza eskorta, pomyślał. Wygląda na to, że pani wicegenerał niezbyt bezpiecznie czuje się we własnym kraju. Czy może ta cała armia jest tu po to, żeby mnie zastraszyć?

**W konwoju jadącym do nieczynnej fabryki.
Czwartek 7 września godz. 8.12.**

Cały konwój pędził sześciopasmowym bulwarem przez miasto, dwa minibusy Toyoty na przedzie, dwa jako straż tylna.

– Jak wygląda nasz harmonogram? – zapytał Abel po angielsku.

Pani wicegenerał wpatrywała się w niego z boku co najmniej przez pół minuty, zanim łaskawie udzieliła odpowiedzi, która i tak była więcej niż zwięzła.

– Najpierw miejsce znalezienia zwłok, nieczynna fabryka. Potem do szpitala w celu obdukcji.

Abel chciał coś powiedzieć, ale Warwara Romani najwyraźniej nie miała najmniejszej ochoty odpowiadać na dalsze pytania. Wyciągnęła z kieszeni kostiumu smartfon koloru khaki i zaczęła rozmowę po rosyjsku.

Nieprzyjemna osoba, pomyślał Abel. Wyraźnie dawała mu do zrozumienia, że jest niemile widziany, i nie mógł pozbyć się wrażenia, że specjalnie zachowuje się w ten sposób.

Odchylił się na oparcie fotela i patrzył przez okno. Fasady domów robiły wrażenie dziwnie nagich, jak wcześniej w państwach bloku wschodniego. Nie było prawie żadnych tablic reklamowych, za to sporo flag z sierpem i młotem. Ale poza tą aurą czasów sowieckich Tyraspol niczym właściwie nie różnił się od jakiegokolwiek mniejszego miasta na Bałkanach.

Abel nie dostrzegał oznak jakiejś drastycznej biedy. Przynajmniej na tyle, na ile można to było stwierdzić podczas szybkiego przejazdu przez miasto. Nie było widać ani ludzi w łachmanach, ani też wózków ciągniętych przez osły. Naddniestrze należało oficjalnie do najuboższych krajów Europy, jednak w Kosowie czy też we wschodniej Rumunii widział już gorsze warunki.

Kilkakrotnie przejeżdżali obok pełnych przepychu budowli w stalinowskim stylu. Także pomników Lenina było aż w nadmiarze, ale poza tym wyglądało na to, że również w Naddniestrzu czas nie zatrzymał się całkowicie.

Na ulicach panował niezbyt intensywny ruch. Obok typowych wschodnioeuropejskich trolejbusów wyróżniały się duże limuzyny bmw i Mercedesa, vany i SUV-y produkcji azjatyckiej lub niemieckiej. Jednak limuzyny bmw i Mercedesa miały prawie wyłącznie zagraniczne rejestracje lub oznakowania, wskazujące na pojazdy służbowe Czerwonego Krzyża lub UNICEF-u. Tylko od czasu do czasu słychać było astmatyczne rżężenie wołgi czy wartburga produkcji wschodnioeuropejskiej. Także liczne transporty wojskowe należały raczej do ery sowieckiej, tym bardziej że oznakowane były czerwonymi gwiazdami. W sumie jednak cała ta sceneria wydawała się Ablowi o wiele mniej zatęchła, szara i przypominająca państwo policyjne, niż oczekiwał tego na podstawie opisów w swojej dokumentacji.

Natomiast kobieta siedząca obok niego wydawała się mieć wszystkie te atrybuty. Wicegenerał Romani ucieleśniała wręcz idealnie władzę państwową w starym sowieckim stylu. Obiektywnie rzecz biorąc, było to raczej żałosne, ponieważ Naddniestrze było miniaturowe nawet w porównaniu do karłowatych tworów państwowych, takich jak na przykład Kosowo. Składało się jedynie z długiego na ponad

dwieście kilometrów i wąskiego niekiedy na jedynie kilka kilometrów pasa nadbrzeżnego po wschodniej stronie Dniestru. W aglomeracji tyraspolskiej mieszkało zaledwie trzysta pięćdziesiąt tysięcy ludzi, którzy stanowili prawie dwie trzecie wszystkich obywateli Naddniestrza.

Ale również małe państwa potrafią terroryzować swoich mieszkańców w wielkim stylu, powiedział sobie Abel. Przykładów na to jest wystarczająco dużo.

W tym czasie pędzili przez monotonne osiedla na przedmieściach, składające się w większości z bloków z wielkiej płyty w stylu lat siedemdziesiątych. Prawdopodobnie jechali dokładnie w kierunku na zachód; we wstecznym lusterku wschodziło słońce na bezchmurnym niebie. Napisy na drogowskazach były w cyrylicy. Abel bardziej domyślił się, niż przeczytał, że zbliżają się do miasta Bender, leżącego już na linii demarkacyjnej.

– Pani Romani, czy to prawda, że Bender było bronione przez członków klanu przestępców, kiedy na początku lat dziewięćdziesiątych próbowaly tam wkroczyć oddziały mołdawskie?

Do zadania tego pytania musiał go podkusić chyba diabeł. Romani zaczęła wpatrywać się w niego z komórką przyłożoną nadal do ucha. Jej mocno zaciśnięte usta przypominały stalową szparę, z której zaraz zacznie walić w niego ładunkami śrutu.

– To byli bohaterscy towarzysze! – wyrzuciła z siebie. – Dzielni mężczyźni i kobiety, którzy ryzykowali życie w walce z rumuńskimi faszystami i często także je stracili. Ale zmusili ich do ucieczki!

Usiłowała jeszcze przez dobrą chwilę gromić go wzrokiem, ale kiedy Abel zareagował na te wyjaśnienia jedynie skinieniem głowy, odwróciła się znów do swojego okna i kontynuowała rozmowę po rosyjsku.

Okay, pomyślał Abel, bardzo trudny temat. Głupio z mojej strony, że w ogóle go poruszyłem. Jeżeli będzie dalej nastawiał przeciwko sobie swoją towarzyszkę podróży, to w rezultacie będzie działał na własną niekorzyść. Ale jednocześnie czuł przemożną chęć odpłacenia jej za nieprzyjazne traktowanie.

No, dobrze, ale w mojej dokumentacji w przypadku tych, tak zwanych bohaterskich towarzyszy, chodzi w większości o zbrodniarzy z sybirskich, kaukaskich, ukraińskich i innych wschodnioeuropejskich klanów mafijnych, którzy do końca lat osiemdziesiątych dzielili między siebie praktycznie całe miasto Bender. A w dossier nie ma mowy o rumuńskich agresorach, lecz o oddziałach mołdawskich, które chciały zbuntowane Naddniestrze „przywrócić ojczyźnie”.

Co jednakże nie musiało wcale oznaczać, że Warwara Romani mówiła tylko nieprawdę, rozmyślał dalej nad tym problemem. Także zbrodniarze mogą się radykalnie zmienić, kiedy chodzi o obronę rodziny przeciwko agresorom, a to, że oddziały mołdawskie były wtedy wspierane przez rumuńskich „ochotników”, było wręcz bardzo prawdopodobne. W końcu od czasu rozpadu Związku Radzieckiego Rumunia mniej lub bardziej otwarcie dążyła do przyłączenia Mołdawii do własnego terytorium – do której, z punktu widzenia zarówno rumuńskiego, jak i mołdawskiego, przynależało także Naddniestrze.

Nic nie jest jednoznaczne, powiedział sobie znowu Abel i od razu pomyślał o koledze Scherzu, dla którego wszystko wydawało się albo czarne albo białe. Jutro rano będę już z powrotem, usiłował się uspokoić, a do tego czasu, mam nadzieję, Scherz będzie jakoś trzymał się w ryzach.

Chciał właśnie wyjąć swojego blackberry z kieszeni, żeby sprawdzić, czy w Berlinie nie wydarzył się kolejny przypadek stosowania tortur podtapiania, kiedy Jewgienij ostro zahamował. Ich konwój zjechał z czteropasmowej drogi szybkiego ruchu zjazdem, który był opatrzony ogromnymi szyldami zakazu ruchu dla normalnych użytkowników.

Wąska droga wyglądała, jakby nie używano jej już od bardzo dawna. Asfalt był popękany, w szparach rosły kępy traw i ostów. Zaraz za pierwszym zakrętem drogę blokowało kilka pomalowanych na niebiesko-biało policyjnych samochodów.

Co najmniej dziesięciu policjantów w niebieskich mundurach stało wokół pojazdów. W ogromnych czapkach w stylu sowieckim, z przewieszonymi przez ramię pistoletami maszynowymi wyglądali dosyć marsowo.

Oficer policji sprawdził dokumenty, jakie podał mu kierowca pierwszego minibusa Toyoty przez boczne okno. Potem zrobił krok do tyłu i zaszalutował. Jeden z policyjnych samochodów odjechał na bok, a ich konwój precyzyjnie przesunął się przez tak powstałą lukę.

Kiedy znów ruszyli pełnym gazem, Ablowi dała się boleśnie we znaki uszkodzona nawierzchnia. Podskakiwali na wyrwach i za każdym razem, kiedy przejeżdżali przez takie miejsce, razem z Warwarą Romani szybował pod dach. Po każdym takim twardym opadnięciu na pośladki Abel miał wrażenie, że jego kręgi lędźwiowe za chwilę ulegną zmięczeniu.

Abel dziwił się odgłosowi głuchego dudnienia, z jakim range rover wyskakiwał z tych dziur. Przypominało mu to opancerzone pojazdy zwiadowcze z czasów jego służby w Bundeswehrze sprzed dwudziestu pięciu lat. W końcu zorientował się, że to właśnie jest powodem tego pogłosu: siedzieli w samochodzie opancerzonym stalowymi płytami, który był również prawdopodobnie wyposażony w kuloodporne szyby.

Czyżby nadal obawiali się, że Burkianow mógłby próbować puczu w celu zdobycia władzy? Abel stawał się coraz bardziej niespokojny. W każdym razie wydaje się, że prezydent nadal nie czuje się pewnie na swoim stanowisku. Mam tylko nadzieję, że nic takiego się nie wydarzy, dopóki jestem w tym kraju.

Po mniej więcej dziesięciominutowej jeździe skręcili z wyboistej drogi na pustkowie. Bardzo stara nawierzchnia asfaltowa była w większym lub mniejszym stopniu wykruszona. Cały ten teren ponownie odzyskała przyroda: porastały go trawy, maki i zboża. Wszędzie leżały głazy różnej wielkości, jakby dokonano tu rozbiórki jakiegoś budynku. Metrowej wysokości krzaki tworzyły dziwaczne kolaże w połączeniu z rzeźbami ze złomu o nieokreślonych kształtach. Wijącymi się liniami podpełzały w kierunku budynku fabryki, która nawet za swoich najlepszych czasów musiała robić wrażenie mrocznej i nieprzyjaznej.

Szara nieotynkowana fasada wyglądała jak zżarta przez kwas. W połowie wysokości przebiegał niekończący się na pozór szereg wąskich okien, zarośniętych brudem i podziurawionych w wielu miejscach. Charles Manson dostałby zapewne błogich dreszczy na taki widok.

Kiedy range rover zatrzymał się około dziesięciu metrów od pokrytej rdzą przesuwanej bramy, Abel poczuł jednak zimny dreszcz. Zazwyczaj nie był człowiekiem strachliwym. Ale kiedy Jewgienij otworzył drzwi i Abel wysiadł z samochodu, przeleciało mu przez głowę pytanie, czy opuści to miejsce bez szwanku, czy też może Warwara Romani postanowiła, że powinien skończyć w metalowym kontenerze, tak jak ci dwaj nieszczęśnicy. Zżarty żywcem przez niegaszone wapno.

Mógł tylko mieć nadzieję, że tym razem jego intuicja okaże się zbyt przewrażliwiona.

**Ruiny fabryki w aglomeracji tyraspolskiej.
Czwartek 7 września godz. 8.37.**

Około dziesięciu agentów z minibusów pod dowództwem Jewgienija wpadło do hali z bronią gotową do strzału. Wyglądało na to, że ten ogolony na łyso mięśniak jest więcej niż tylko kierowcą, ale Abel nie był tym zdziwiony. Reszta uzbrojonych ludzi rozproszyła się, pod dowództwem kierowcy drugiego range rovera, na wszystkie strony żeby zabezpieczyć teren. Ze swoimi potężnymi sylwetkami, krótko obciętymi włosami i wyćwiczonymi ruchami profesjonalnych zabójców przypominali Ablowi legendarny Specnaz, elitarną jednostkę armii sowieckiej, na temat której krążyły w czasach jego służby w Bundeswehrze najbardziej fantastyczne pogłoski.

Niecałe dwie minuty później Warwara Romani otrzymała informację przez bezprzewodową słuchawkę w uchu, z której wynikało zapewne, że w tej byłej hali fabrycznej nie ukrywają się żadni podejrzani osobnicy. Władczym gestem nakazała Ablowi i oficerom śledczym pójść za nią przez podnoszoną bramę.

Po obu stronach szerokiego na mniej więcej trzy metry korytarza stały maszyny nadające się już tylko do muzeum. Stęchły zapach, gruba na palec warstwa kurzu i liczne pajęczyny wskazywały, że zakład był nieczynny już od lat.

Między dwoma słupami, prawie na końcu hali, stał jasnoniebieski, mocno przerdzewiały metalowy kontener, o wymiarach mniej więcej trzy na trzy metry. Tam właśnie zatrzymała się Warwara Romani, odwróciła się i, wyraźnie zniecierpliwiona, czekała, aż Abel dołączy do niej.

Jednak on zatrzymał się w połowie drogi i oglądał dwie duże plamy na ziemi. Prawdopodobnie była to zaschnięta krew, która wsiąkła w popękany beton. Pośrodku każdej z tych plam przymocowana była do podłogi stalowa obręcz.

Wzrok Abła powędrował do sufitu hali. Dokładnie nad obręczami w podłodze zwisały zardzewiałe stalowe łańcuchy, kończące się mniej więcej dwa metry nad ziemią.

– Zakładamy, że Spiridon i Artemij Stiepanowowie byli tutaj przykuci łańcuchami i torturowani – powiedział Władimir Gruwczenkow, który, tak jak i jego koleżanka, zatrzymał się przy Ablu. Na twarzy Gruwczenkowa malowała się groza, mimo że musiał już znać na pamięć każdy szczegół tego miejsca tortur.

Bo istnieją rzeczy, do których nigdy nie da się przywyknąć, pomyślał Abel. A jeżeli już, to za cenę zobojętnienia.

Odstawił na bok swoją torbę z instrumentami medycznymi, wyjął aparat fotograficzny i nastawił go na niezbyt dobre oświetlenie panujące w tym wnętrzu. Następnie sfotografował obręcze, plamy na podłodze i wiszące nad nimi łańcuchy.

– Tutaj, doktorze! – zawołała pani wicegenerał prawie w tonie rozkazu. – Tutaj znaleziono zwłoki.

Abel rzucił Gruwczenkowowi i Lomaskow szybkie spojrzenie. Bardzo chciałby wiedzieć, co sądzą o zachowaniu Romani, ale tych dwoje nie okazało żadnej reakcji.

Dobrze wiedzieć, powiedział sobie Abel. Bardzo odważnie prowadzili dochodzenie w sprawie

Burkianowa, ale wygląda na to, że nie chcą zadzierać z nowymi władcami.

Zawiesił sobie aparat na szyi, podniósł torbę i poszedł za dwójką śledczych wzdłuż korytarza. W całej hali, między maszynami, które przypominały drzemiące w mroku stalowe dinozaury, rozmieszczeni byli agenci. Broń nadal trzymali gotową do strzału.

Jako środki bezpieczeństwa to wyraźna przesada, pomyślał Abel. Ale jeżeli ich zadanie polega na wywieraniu na mnie nacisku, to wywiązują się z tego znakomicie.

– To wszystko trwa zbyt długo! – warknęła pani wicegenerał.

Abel postanowił ignorować ją na tyle, na ile było to możliwe. Im mniej będzie zwracał uwagi na naciski, jakie stwarzała wobec jego osoby Warwara Romani, tym szybciej załatwi całą sprawę.

Położył torbę z przyrządami na wózku ze stalowej blachy, który stał obok kontenera i został najprawdopodobniej niedawno prowizorycznie oczyszczony. Następnie sfotografował kontener i jego otoczenie ze wszystkich możliwych perspektyw i odległości. Ten stalowy pojemnik został na przedniej stronie rozcięty pośrodku palnikiem gazowym. Z pionowego otworu między kawałkami blachy wydobywał się fekalno-gnilny zapach.

Warwara Romani odeszła na bok z zawziętą miną, gdy tylko Abel podniósł aparat. Prawdopodobnie nie lubiła rozgłosu medialnego – w całkowitym przeciwieństwie do swojego byłego szefa Burkianowa, który czuł magiczny wręcz pociąg do kamer i mikrofonów. Przynajmniej od momentu, kiedy złożył w Berlinie wniosek o udzielenie azylu politycznego, ponieważ, jak twierdził, był w swojej ojczyźnie okrutnie prześladowany.

Kiedy Abel ponownie zawiesił sobie aparat na szyi, Warwara Romani podeszła nagle do niego. Stała tak blisko, że wyczuł zapach jej ciała. Oraz męsko-cierpkich perfum, którymi usiłowała zapewne zagłuszyć własny, kwaśnawy zapach.

– Niech pan wreszcie weźmie się do pracy – zbeształa go. – Wezwaliśmy pana tutaj jako lekarza sądowego, a nie fotografa!

Patrzyła na Abła tak wściekła, że nie zdziwiłby się, gdyby splunęła mu w twarz. Patrzyli tak na siebie z dobrą minutę. Abel usiłował zdusić w sobie chęć rzucenia po prostu tego wszystkiego w diabły. Być może to właśnie było celem jej prowokacyjnego zachowania. Z drugiej jednak strony miał wyraźne poczucie, że nie pozwoliłaby mu ot, tak po prostu odejść, gdyby wyraził takie życzenie.

Do czego dążyła ta kobieta swoją wrogością i ciągłymi próbami zastraszania?

Abel odetchnął głęboko i czekał, aż uspokoi mu się puls.

– Nikt mnie tutaj nie wzywał – powiedział w końcu. – Przyjechałem na zaproszenie waszego prezydenta. A teraz proszę pozwolić mi wykonywać moją pracę.

Korciło go, żeby wyjaśnić jej tę małą, ale znaczącą różnicę między lekarzem sądowym a specjalistą medycyny sądowej. On sam uważał się za specjalistę, a to oznaczało, że nie da się wykorzystać do tropienia przez instytucje odpowiedzialne za ściganie przestępstw. Był niezależnym rzeczoznawcą, który na podstawie faktów oceniał tylko to, w jaki sposób dana osoba zmarła. Oraz jaka jest jej tożsamość.

Jednak Abel powstrzymał się od wygłoszenia tego małego wykładu, który zapewne tylko jeszcze bardziej rozsierdziłby Romani.

To się nazywa pech, moja droga. „Wezwaliście” lekarza sądowego, a dostaliście specjalistę medycyny sądowej.

Podszedł bliżej do kontenera, żeby dokonać oględzin górnej powierzchni pojemnika. Obydwa koliste otwory miały około jednego metra i trzydziestu centymetrów średnicy, były na tyle szerokie, że można było przepchnąć przez nie nawet męczyznę postury siostrzeńców Stiepanowa. Otwory te były pierwotnie zamykane kłapami, których jednak już nie było.

– Wszystko zaczęło się od anonimowego telefonu do drogówki – wyjaśnił Władimir Gruwczenkow. – Nieznany mężczyzna twierdził, że w tym kontenerze ukryte są zwłoki. Wysłano więc dwóch policjantów, żeby to sprawdzili. Oczywiście powinni nas od razu zawiadomić, ale coś prawdopodobnie poszło nie

tak.

Uśmiechnął się przepaszająco i wymienił spojrzenia z Wiktoria Lomaskow.

– Policjanci z patrolu usiłovali wyciągnąć zwłoki z kontenera za stopy. Ponieważ przeszkadzały im przy tym zawiasy, to wyłamali klapy. Ale i w ten sposób nie posunęli się dalej. Potem pojęli wreszcie, że natrafili tu na coś większego, i zadzwonili do nas, do wydziału zabójstw.

Abel pokręcił głową. Tak durni nie mogą być przecież nawet tutejsi policjanci z patrolu!

– Wykryliście, kto wykonał ten anonimowy telefon? – zapytał zamiast tej uwagi.

Tym razem to Gruwczenkow pokręcił przecząco głową.

– Koledzy z policji drogowej – wtrąciła Wiktoria Lomaskow – nie zmienili niczego poza demontażem klap. Tak przynajmniej zeznali oficjalnie i, jak udało nam się stwierdzić, mówili raczej prawdę.

Abel nie drażył dalej tej kwestii. Włożył parę rękawiczek roboczych i wyjął z torby mocną, długą na pięćdziesiąt centymetrów pęsetę i kieszonkową latarkę.

– W momencie odkrycia kontener był wypełniony mniej więcej do połowy niegaszonym wapnem – powiedział Gruwczenkow. – Obaj zabici byli mniej lub bardziej całkowicie zakryci wapnem.

Abel skinął głową. Czytał protokół ze znalezienia kontenera i widział zrobione wówczas zdjęcia. Jednak w jego dokumentacji nie było ani słowa o tych dwóch policjantach, którzy byli tu wcześniej. Gorączkowo zastanawiał się, co ta niespodziewana okoliczność może oznaczać dla dochodzenia.

Być może cała zastana po przestępstwie sytuacja została sfingowana? Jednak przeciwko temu przemawiały przede wszystkim duże plamy krwi na początku korytarza. Wszystko wskazywało na to, że obydwoj siostrzeńcy Stiepanowa byli jednak torturowani w tej hali fabrycznej, a następnie, żywi lub umarli, wrzuceni do kontenera.

O ile, rzecz jasna, to krew obu Stiepanowów, pomyślał Abel.

Ukucnął przed otworem z przodu kontenera. Zapach zgnilizny z tej odległości był tak silny, że zaparło mu prawie dech w piersiach. Kiedy włączył silne światło latarki, zobaczył, co było źródłem tego nieznosnego smrodu.

Kontener był już prawie całkowicie opróżniony, jednak na ścianach wewnętrznych nadal widoczne były wilgotne grudki osadów w kolorze białoszarym. Abel zrobił kilka zdjęć, włączył dyktafon i wymamrotał kilka zdań do dokumentacji.

Kątem oka widział, że Warwara Romani patrzy na niego podejrzliwie. Ale z pewnością niewiele zrozumiała z jego mamrotanego staccato, nawet jeżeli znała nieco niemiecki. Z jej uważnego wsłuchiwania się można było wyciągnąć wniosek, że wychwyciła ten czy inny strzęp zdania, jednakże poza Renate Hübner nikt na świecie nie był w stanie poprawnie odszyfrować nagrań Abła na dyktafonie.

„Ściany i dno kontenera pokryte częściowo lepką i brejowatą masą, przypominającą rozkładające się ludzkie tkanki miękkie”, wymamrotał do dyktafonu. „Z lewej i prawej połówki kontenera pobrane zostały nieoznaczone próbki materiału przypominającego wapno”.

Małą plastikową szpachelką pobrał próbki i włożył do kilku przezroczystych, zamykanych pojemników z plastiku.

– Znalazł pan coś, co przeoczyli nasi ludzie, doktorze? – zapytała Warwara Romani ostrym tonem.

Abel podniósł się i pokręcił głową.

– To raczej nie powinno wchodzić w rachubę. Ale, rzecz jasna, muszę wyrobić sobie własne zdanie. Kiedy i gdzie mogę dokonać sekcji zwłok? – zwrócił się do Wiktorii Lomaskow.

Jednak zanim zdążyła odpowiedzieć, pani wicegenerał znów przejęła inicjatywę.

– Wszystko jest przygotowane. Jedziemy. Teraz pana wielki występ, doktorze Abel.

**Przedmieścia Tyraspolu.
Sala sekcyjna w nieczynnej klinice.
Czwartek 7 września godz. 10.45.**

Abel widział już różne instytucje medycyny sądowej, które – mówiąc łagodnie – znacznie odstawały od zachodnich standardów. Marnie oświetlone sale sekcyjne, nadające się do muzeum piły do kości i kostnicy, w których z chłodni kapą woda. Ale sala sekcyjna, w której miał dokonać obdukcji szczątków siostrzeńców oligarchy, przebijała wszystko, z czym dotychczas zetknął się w tej sferze.

Gdy tylko podjechali pod główny budynek niszczonego kompleksu z wielkiej płyty na przedmieściach Tyraspolu, wiedział, że musi być przygotowany na niemiłe niespodzianki. Także i tutaj uzbrojeni agenci z autobusów zabezpieczali budynek i teren wokół niego. Następnie Abel poszedł za panią wicegenerał przez zatęchłą klatkę schodową z oblepionymi brudem schodami ze sztucznego kamienia do piwnic byłego szpitala. Miał wrażenie, że ta klinika, nawet w swoich najlepszych czasach, mogła służyć co najwyżej do leczenia z ideologicznych odstępstw zacietrzewionych w swoich poglądach dysydentów.

W podziemiach szli długim, klaustrofobicznie wąskim korytarzem. Na betonowej podłodze pojawiały się na przemian rdzawe kałuże i pęknięcia grubości ramienia. Na ścianach ciągnęły się rury grube jak pnie drzew owinięte rozpadającą się izolacją z tworzywa piankowego. Z przeżartych rdzą dziur i nieszczelnych złączeń kapą takie ilości brunatnej wody, że na drugim końcu tej instalacji musiała już panować susza. Światło zakratowanych lamp neonowych na suficie drgało jak w spazmatycznych skurczach.

Warwara Romani nakazała władcym gestem jednemu ze swoich ludzi otworzyć drzwi na końcu korytarza. Abel był przygotowany na najgorsze, ale kiedy wszedł za panią wicegenerał do rzekomej sali sekcyjnej, to nawet i te obawy okazały się stanowczo zbyt optymistyczne.

Pomieszczenie miało wystarczająco dużo miejsca na rozgrywanie meczów halowej piłki nożnej, ale w dużej mierze świeciło pustkami. Ściany były pomalowane na kolor grzybiczy, co miało tę zaletę, że bogato rozwinięte kultury grzybów można było wyczuć jedynie węchem. Ściana naprzeciwko drzwi miała szereg wąskich okien, które były zarośnięte brudem i przylegały do szybów świetlnych. Pod ścianą znajdowały się dwa stoły sekcyjne, obydwa pokryte warstwą niezidentyfikowanego brudu. Na równie zarośniętych stolikach pomocniczych leżały porzucane noże, piły, skalpele, kubki, nożyce, miski. Także i te instrumenty robiły wrażenie, jakby dwadzieścia lat temu posłużyły skutecznie przy jakiejś masakrze, a następnie zostały tu porzucone i zapomniane.

Nad każdym ze stołów wisały trzy świetlówki, światło wszystkich sześciu migotało, każde w innym rytmie. Jeżeli przez dłużej niż kilka sekund stało się w jednym miejscu, buty przyklejały się mocno do kleistej mazi, pokrywającej pofalowane linoleum. A jeżeli ktoś byłby na tyle lekkomyślny, żeby dotknąć jednego ze stołów sekcyjnych lub instrumentów chociażby czubkiem palca, to z pewnością wszedłby w kontakt z bardzo spektakularnym koktajlem bakterii.

Abel rozglądał się skonsternowany wokoło. Gdyby wcześniej nie byli w nieczynnej fabryce, mógłby

spokojnie przyjąć, że tutaj jest miejsce zbrodni. To była najgorsza z koszmarnych wersji sali sekcyjnej, jaką mógł sobie wyobrazić. Oszklone szafki pod lewą ścianą były wypełnione starodawnymi szklanymi butlami, w których, w brązowawej cieczy pływały czaszki i inne preparaty. Abel nie zdziwiłby się zbyt, gdyby w następnej chwili zza którychś z na wpół przezroczystych szklanych drzwi wychynęła dwugłowa kreatura, która została tu zamknięta za czasach panowania Stalina.

– Nie mogę tutaj pracować – powiedział, kiedy rozejrzał się wokoło, kręcąc z niedowierzaniem głową.

Warwara Romani już otworzyła usta, żeby go z zrugać, ale coś, być może ton, w jakim odezwał się do niej Abel albo wyraz jego twarzy, skłoniły ją do ponownego zamknięcia stalowej szpary ust.

– To jest całkowicie wykluczone – dodał Abel. – Jeżeli chcą państwo, żeby dokonał obdukcji zwłok z kontenera z wapnem, to proszę stworzyć mi takie warunki pracy, które będą odpowiadały przynajmniej minimalnemu standardowi medycyny sądowej. Poza tym potrzebuję aparatu rentgenowskiego, żeby stwierdzić, czy pozostałości po obu ciałach nie zawierają pocisków lub innych metalowych części.

Pani wicegenerał pokręciła głową.

– Będzie pan pracował tutaj, doktorze. Tak jak całe pokolenia medyków sądowych przed panem.

– Ostatnie z tych pokoleń musiało wymrzeć jeszcze za czasów Chruszczowa – odpowiedział jej sucho Abel. – A od tego czasu, jak na to wygląda, całym pokoleniom personelu sprzątającego uniemożliwiano wstęp do tego pomieszczenia.

Pani wicegenerał wpatrywała się w Abła, a Abel wpatrywał się w nią.

– Dokona pan obydwu obdukcji tutaj – powtórzyła i wysunęła podbródek do przodu. – Jewgienij! – zawołała, nie spuszczając Abła z oczu. – Zadbaj o trochę porządku. Każ umyć podłogę i stoły. Coś jeszcze, doktorze? Właściwie to byliśmy przekonani, że niezbędne narzędzia przyniesie pan ze sobą.

Wzrok Abła przeniósł się z Romani na jej przybocznego Jewgienija, który zbliżał się do nich wielkimi krokami. Za nim podążało jego pięciu ludzi. Mimo że lufy karabinów mieli opuszczone ku ziemi, to jednak Abel wręcz fizycznie wyczuwał emanujące od nich zagrożenie.

Najwidoczniej nie mam wyboru, powiedział sobie Abel. Nie wypuszczą mnie stąd, zanim nie zakończę tu i teraz swojej roboty.

– Moje narzędzia sekcyjne i ubranie ochronne mam oczywiście ze sobą. Niestety, nie było możliwe włożenie do walizki aparatu rentgenowskiego.

Pani wicegenerał znów zaczęła się w niego wpatrywać. Abel, możliwie spokojnym tonem, wyliczał, czego będzie potrzebował, żeby móc pracować w przynajmniej połowicznie profesjonalnych warunkach. Aparat rentgenowski i kogoś, kto potrafi go obsługiwać. Sprawne oświetlenie, bieżącą wodę, małe i dużo sito, umywalkę z zamykanym odpływem. Kilka gąbek, szczotek różnej wielkości wraz ze szczoteczką do zębów, poza tym dla siebie gumowce rozmiar czterdzieści pięć i plastikowy fartuch.

**Przedmieścia Tyraspolu.
Nieczynna klinika.
Czwartek 7 września godz. 11.42.**

Warwara Romani rzuciła rozkaz po rosyjsku i dwóch agentów położyło na prowizorycznie wyczyszczonym stole sekcyjnym podłużny, czarny plastikowy worek. Pani wicegenerał i Jewgienij krzatali się nerwowo przez ostatnią godzinę i spełnili prawie wszystkie życzenia z listy Abła. Migające lampy neonowe nad stołem sekcyjnym zostały wyłączone, a w ich miejsce, przy węższych krańcach obu stołów, ustawiono lampy budowlane dużej mocy. Otworzono wszystkie okna, czego wątpliwym efektem było to, że grzybiczy zapach wymieszał się z wyziewami śmieci gnijących w szybach świetlnych.

Gumowce, jakie przyniesiono Ablowi, były o numer za duże, a fartuch robił wrażenie, jakby został zarekwirowany w magazynie rzeźni miejskiej. Powierzchnia stołu sekcyjnego była teraz wyszczerbiona i pełna plam, co jednak było o wiele lepsze od zalegającej poprzednio warstwy przypominającej skórę gada. Podłoga nadal była wprawdzie lepka, tak że spod podeszew butów, kiedy unosiło się stopę, wydobywały się mlaskające odgłosy, ale przynajmniej buty nie przyklejały się na amen do podłoża. W sumie ludzie Jewgienija wykonali w miarę dobrą robotę.

Zwłaszcza że nawet w trakcie dyrygowania grupą sprzątającą ani na moment nie odłożyli na bok swoich pistoletów maszynowych.

Także dwaj agenci, którzy jak zrolowany dywan rzucili na stół czarny plastikowy worek, mieli przewieszane przez ramię karabiny. Jeden z nich miał już czterdzieści parę lat, a drugi był wręcz jeszcze chłopcem. Ale z twarzami bez wyrazu, krótko obciętymi lub wygolonymi głowami i potężnymi sylwetkami wyglądali jakoś podobnie do siebie. W dodatku wszyscy mieli na sobie tanie szare garnitury na obcisłych białych koszulach, a ich twarze, o jasnej skórze z platynowo blond włosami i brwiami, robiły wrażenie osobliwie nagich.

Agenci odsunęli się od stołu, a Abel włożył rękawice robocze. Dyktafon włączył na nagrywanie i umocował na haku nad stołem sekcyjnym, tak że mógł mówić do niego bezpośrednio w trakcie dokonywanej obdukcji.

Wcześniej, przy pomocy technika rentgenowskiego, wsunął nieotwarty jeszcze worek plastikowy do przewoźnego urządzenia, które, jakby cudem, odnalazło się w sąsiednim pomieszczeniu. Na zdjęciu, tak jak się spodziewał, nie było żadnego, w miarę zachowanego w częściach szkieletu, lecz chaotyczny zbiór różnych kości. *„W badaniu rentgenowskim brak dowodów na obecność ciał obcych, a zwłaszcza pocisków”*, wymamrotał Abel do dyktafonu. *„Dokumentacja i ocena ewentualnych złamań nastąpi po wykonaniu zdjęć, ponieważ aktualnie nie ma możliwości przyporządkowania topograficznego pojedynczych struktur kostnych”*.

W rzeczywistości na obrazie tym było widać nieprzepuszczalne dla promieni rentgena okrągłe ciało obce wielkości około dwa na dwa centymetry. Abel postanowił, kierowany spontanicznym odruchem, nieco później obejrzeć dokładnie ten przedmiot.

Kiedy rozciął wzdłuż plastikowy worek, uderzył go przenikliwy zapach, którego źródłem były jednoznacznie pozostałości wapna, przypominający mu latrynę z obozu wakacyjnego z okresu dzieciństwa. Zobaczył szczątki ciała, które zostało już poddane obdukcji. Ciało było w każdym razie w tym samym mniej więcej stanie, jak na zdjęciach naddniestrzańskiego lekarza medycyny sądowej. Wyglądało więc na to, że lodówka w kostnicy obok funkcjonowała w miarę nieźle.

Niech więc nikt nie mówi, że nie ma tu także i dobrych wieści, pomyślał Abel.

Dobrze widoczne były części kręgów piersiowych i wiszących na nich żeber, jak również pojedyncze kości kończyn, a wszystko to pokryte masą wapna o kolorze kredy i lepkiej, a po części grudkowatej konsystencji. Głowa zabitego została zabezpieczona już podczas pierwszej obdukcji jako dowód i była przechowywana oddzielnie. Podobnie jak bokserki w czarno-białą kratę, silnie zabrudzone krwią, które ofiara miała na sobie jako jedyną część ubrania.

„Stan rozkładu jest daleko posunięty z odpowiednią do tego utratą tkanek miękkich”, wymamrotał Abel do kołyszającego się przed nim na rzemieniu dyktafonu, po tym jak poszczególne części ciała przyporządkował na stole sekcyjnym do odpowiednich regionów ciała. „Brak paluchów obu stóp oraz drugiego palca u lewej stopy. Prawdopodobnie odcięte cęgami lub siekierą. Nie można jednak na pierwszy rzut oka określić, czy przed zgonem, czy też po nim”.

W błotnistej mieszance z pozostałości wapna i rozkładających się tkanek miękkich Abel zauważył niewielkie okrągłe wybrzuszenie. Początkowo myślał, że to kolejny amputowany palec u stopy jednej z ofiar, ale to było raczej niemożliwe. O wiele bardziej prawdopodobne wydawało się, że ma przed sobą przedmiot, który już zwrócił jego uwagę podczas prześwietlania rentgenem. Kiedy pani wicegenerał odwróciła się, żeby porozmawiać ze swoim asystentem Jewgienijem, Abel wydłubał ten obiekt z błotnistej masy. Był to sygnet, zapewne z masywnego srebra. Oczyszczył go pobieżnie rękawiczkami i dostrzegł grawerunek po wewnętrznej stronie. Litery w cyrylicy, a dalej liczba 73551 oraz data: 20.12.1980.

Odruchowo schował sygnet do bocznej kieszeni górnej części ubrania. Nie umiałby wytłumaczyć dlaczego, ale czuł, że powinien postąpić w ten właśnie sposób, a nie inaczej.

Sygnet należy do sprawcy, przeleciało mu przez głowę. Być może na podstawie grawerunku da się zidentyfikować tego, kto jest odpowiedzialny za tę masakrę. Raczej nie należał do któregoś z braci Stiepanowów. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym roku byli jeszcze dziećmi.

W skroniach Abla pulsowała krew.

Po zewnętrznych oględzinach pozostałości ciała na stole sekcyjnym wziął do ręki skalpel i piłę do kości. Mimo że Abel oświadczył, że zabrał ze sobą narzędzia sekcyjne, to Jewgienij zdobył skądś pełny zestaw tych instrumentów, i to produkcji jednej z wiodących w tej dziedzinie firm zachodnich, w dodatku oryginalnie zapakowany. Gdzieś w Tyraspolu musiał istnieć instytut medycyny sądowej, w którym pracowano na w miarę profesjonalnym poziomie. Cieszyło to zapewne naddniestrzańskich kolegów po fachu Abla, ale jednocześnie tym bardziej palące stawało się pytanie, dlaczego Warwara Romani upierała się przy tym, żeby pracował w tym gabinecie horroru.

Ale nad tym będzie się zastanawiał później. Najpierw musi dokonać sekcji tych dwóch zabitych tak dokładnie i tak szybko, jak pozwalały na to panujące okoliczności.

Należało jeszcze rozpreparować pojedyncze struktury mięśniowe, nawet jeżeli żrące wapno i proces rozkładu silnie zniszczyły ciało. *„Powierzchnia zachowanych jeszcze na mięśniach i kościach struktur skórnych i tkanek miękkich ma konsystencję lepko-grudkowatą”, dyktował Abel, rozcinając pozostałości klatki piersiowej. „Piąte zebro po lewej stronie wykazuje nieprawidłową ruchomość w przebiegu linii przedniej z ostrym załamaniem”.*

„Nieprawidłowa ruchomość” oznaczała, że określona kość z natury nie powinna być ruchoma. Żebro było złamane, albo co najmniej nadłamane, co mogło być wynikiem upadku, wkładania przemocą ciała do metalowego kontenera albo wcześniejszych tortur. Abel stawiał na to drugie, podobnie jak w przypadku

odciętych, względnie oderwanych cęgami, palców u stóp. Nie można było już jednak stwierdzić obecności krwiałków podskórnych czy śladów po uderzeniach pięścią lub po kopniakach, które mogłyby być źródłem dokładniejszych informacji.

Cztery żebra i prawą łopatkę naddniestrzański lekarz sądowy wyciął już i zmacerował, czyli włożył do rozpuszczalnika, i w ten sposób całkowicie obnażył kości, nie uszkadzając ich. Abel miał je obejrzeć później. Naddniestrzański kolega po fachu zabezpieczył też jako dowody części tchawicy i oskrzeli. Drogi oddechowe były prawie całkowicie zatkałe lepką i kruszącą się masą wapna o kolorze kredy. Wynikało z tego, że mężczyzna wciągnął do płuc wapno, a więc został wrzucony do kontenera z wapnem jeszcze za życia.

Abel czuł wręcz, jak pani wicegenerał nadstawia uszu, kiedy tylko mamrotał coś do swojego dyktafonu. Chociaż Warwara Romani i jej ludzie wycofali się do tylnej części sali sekcyjnej, nadal wyczuwał ich przytłaczającą obecność. Nie musiał się nawet odwracać, żeby ujrzeć oczami duszy sztywną postać pani wicegenerał, przesywającej go wzrokiem. Albo podobną do szafy sylwetkę Jewgienija i pozostałych agentów.

Jak zareagowaliby, gdyby znalazł coś, co by im nie pasowało do przyjętej z góry tezy? Czy zmusiliby go, pod groźbą użycia broni, żeby sfałszował znalezione dowody?

Władimir Gruwczenkow i Wiktorija Lomaskow stali nieco dalej, po jego lewej stronie, oparci o ścianę między dwoma oknami. Abel wyczuwał wyraźnie także ich napięcie. Ci oficerowie śledczy nie wydawali się wrogo nastawieni w stosunku do niego, ale gdyby przyszło co do czego nie należało spodziewać się od nich większej pomocy.

Nie mógł im tego brać za złe. Musieli dalej jakoś układać się z Warwarą Romani i z aparatem państwowym, który stał za nią, podczas gdy on już dzisiaj późnym wieczorem opuści ten kraj.

Rzadko tak tęsknił do szybkiego zakończenia misji zagranicznej, ale tutaj czuł się zagrożony w sposób, którego nie potrafił bliżej zdefiniować. Jeżeli sprawy nie będą przebiegały tak, jak wyobrażała to sobie Warwara Romani i ludzie stojący za nią, wówczas zwiększą naciski na niego. Tylko że Abel nadal nie miał, nawet w przybliżeniu, jasności, kto i czego tutaj od niego oczekuje.

Znów skoncentrował się na swojej pracy. Narządy miednicy małej nie zostały jeszcze poddane obdukcji przez naddniestrzańskiego lekarza. Abel spreparował odbytnicę i dokonał kolejnego zadziwiającego odkrycia.

„Dziesięć centymetrów za odbytem w jelicie prostym znajduje się twardy, przypominający kamień przedmiot”, powiedział do dyktafonu, „długi na około piętnaście centymetrów i średnicy około sześciu”.

Oczyścił ten przedmiot pod bieżącą wodą. To, że z kranu obok stołu sekcyjnego leciała woda, graniczyło wręcz z cudem. W tej sytuacji nie było co narzekać, że woda ma ten sam rdzawo brunatny kolor, co ciekąca z nieszczelnych rur kanalizacyjnych w piwnicznym korytarzu. Ani się dziwić, że kran chwilami dławił się, a potem wyrzucał z siebie fontanny, jak nafaszerowany narkotykami gargulec.

Przypominający kamień przedmiot w jego dłoni miał mniej więcej kształt męskiego członka w erekcji. *Sztuczny penis z epoki kamiennej*, pomyślał Abel.

Seksualne maltretowanie ofiary należało na całym świecie do standardowego repertuaru wszystkich katów, którzy nie muszą przejmować się śladami, jakie pozostawia. Albo w ogóle się nad tą kwestią nie zastanawiają, bo nie muszą obawiać się ścigania z mocy prawa.

Problem pojawia się w momencie, kiedy mocodawca, który dotychczas trzymał nad nimi parasol ochronny, traci nagle władzę i musi uciekać z kraju.

Abel odwrócił się do dwójki oficerów śledczych i podniósł do góry kamienny członek.

– Do waszego magazynu dowodów.

Władimir Gruwczenkow zbliżył się z wyraźnymi oporami do stołu sekcyjnego. Idąc, wyciągnął plastikową torebkę z kieszeni kurtki i otwartą podsunął Ablowi. Abel wrzucił do niego przedmiot, a

Gruwczenkow skinął głową. Przez cały ten czas unikał starannie spojrzenia na ludzkie szczątki leżące na stole sekcyjnym.

To wyraźnie go przytłacza, pomyślał Abel. A przecież musiał już zapewne widzieć wielu zabitych, i to we wszystkich stadiach gnicia i rozkładu. Być może zbyt wielu. A zwłaszcza zbyt wielu takich, którzy zostali zamordowani za wiedzę i akceptacją, o ile wręcz nie na zlecenie, władz zwierzchnich.

Nie była to jednak myśl uspokajająca. Władze państwowe Naddniestrza nie robiły raczej wrażenia, że już w sposób ostateczny pożegnały się z metodami stosowanymi w okresie istnienia Związku Radzieckiego. Chyba że Warwara Romani i jej ponad trzydziestu ciężkozbrojnych członków elitarniej jednostki wojskowej robili w tym budynku pokaz w stylu retro, jaki od czasu odsunięcia od władzy Burkianowa należał już właściwie do przeszłości.

Abel spojrzął na zegarek. Ta pierwsza sekcja trwała już ponad trzy godziny i daleko było jeszcze do jej zakończenia.

– Chce pan może zrobić przerwę? – zapytał Gruwczenkow. Wyglądał tak, jakby sam jej pilnie potrzebował, ale Abel pokręcił przecząco głową.

– Jeszcze nie teraz.

Zwrócił się ku drugiemu stołowi sekcijnemu, na który ludzie Warwary Romani położyli drugi, dużo mniejszy czarny worek plastikowy.

Abel rozciął go i wyjął usuniętą wcześniej głowę pierwszego zabitego i przezroczysty worek plastikowy wraz z trzyżyłowym kablem elektrycznym o długości ponad dwóch metrów. Według raportu Władimira Gruwczenkowa i Wiktorii Lomaskow zabitego zaleziono z workiem plastikowym na głowie. Wokół jego szyi był owinięty kabel, i to w ten sposób, że wlot worka był mocno zaciągnięty.

„*Włosy na głowie są jasnoblond i krótko obcięte*”, dyktował Abel. „*Kostna pokrywa czaszki nie została otwarta; skóra głowy nie wykazuje żadnych widocznych zranień. Brak dolnej szczęki, ponieważ została odseparowana podczas pierwszej obdukcji. Lewa kość jarzmowa na pograniczu z kością szczękową po lewej stronie wykazuje ubytek wielkości jeden przecinek pięć na jeden przecinek pięć centymetra wraz z otwarciem zatoki szczękowej*”.

Dotychczas obdukcja czaszki nie przyniosła żadnych zaskakujących wyników. Co nie znaczyło, że ich nie będzie. Być może w przypadku tych zwłok nie chodzi wcale o szczątki Spiridona lub Artemija Stiepanowa? A jeżeli tak właśnie było, to czy pani wicegenerał odetchnie wtedy z ulgą i nagle pokaże się ze swojej gościnniej strony? Czy też rozkaże Jewgienijowi i spółce przystawić Ablowi broń do skroni, żeby jednak, wbrew wynikom sekcji, zidentyfikował zabitego jako siostrzeńca Stiepanowa?

Abel nadal nie potrafił wyczuć, jakiego wyniku oczekuje bądź obawia się Warwara Romani. Czy działa na zlecenie oligarchy Stiepanowa, czy też jego byłego towarzysza Burkianowa? Jeżeli idzie o jego pracę, nie grało to właściwie żadnej roli. Ale dla jego nerwów była to zasadnicza różnica.

W następnej kolejności Abel dokonał oceny wyjętych już żeber i prawej łopatki, które znajdowały się już w pojemnikach z rozpuszczalnikiem. „*Pojedyńcze żebra wykazują wiele złamań*”, wymamrotał do dyktafonu. „*Na podstawie zewnętrznych tylko oględzin – podobnie jak w przypadku palców u stóp – nie można stwierdzić, czy chodzi tu o złamania powstałe przed zgonem, czy też po nim. Dolny fragment prawej łopatki został wyłamany w kształcie rombu. Wprowadzony analnie do jelita prostego, długi na piętnaście centymetrów kamień stanowi być może oznakę maltretowania, względnie molestowania seksualnego*”.

W zasadzie był przekonany co do tego, że również złamania kości były w przeważającej części wynikiem użycia przemocy podczas tortur. Ale jego zawód i wewnętrzne przekonanie wymagały, żeby możliwie wyraźnie oddzielał od siebie obiektywne dowody od subiektywnych przekonań.

Nie tylko autorytarni władcy, którzy chętnie manipulują prawdą na własną korzyść, mają problemy z

dokonaniem takiego rozdziału. Dotyczyło to niestety również kolegi Scherza, o którym Abel akurat teraz pomyślał. W krótkiej, ale przerażającej wizji zobaczył tego lekarza naczelnego, jak podczas konferencji prasowej wygłasza swoją interpretację zabójstw dokonanych w trakcie tortur podtapiania.

Na miły Bóg, pomyślał Abel. Mam nadzieję, że Scherz nie posunie się tak daleko.

Wytarł sobie czoło rękawem. Pracował od ponad pięciu godzin i właściwie potrzebował już przerwy. Ale najpierw chciał zakończyć tę obdukcję, a dopiero potem zrobić sobie zasłużony odpoczynek.

Brakowało jeszcze tylko ostatniej i decydującej części tej układanki. W tutejszej klinice Frankensteina nie mógł, rzecz jasna, określić DNA ofiary. W tym celu potrzebowałby laboratorium i dużo więcej czasu, niż chciała mu przyznać Romani. Wszystko to będzie musiał nadrobić w Berlinie. Ale na razie powinno wystarczyć stare dobre badanie uzębienia.

„Ząb za ząb”, jak napisano już w Starym Testamencie. Nawet jeżeli w tym słynnym cytacie z Biblii nie chodziło o identyfikację na podstawie stanu i układu uzębienia, lecz o krwawą formę zadośćuczynienia, Abel niejednokrotnie już musiał uznać to skojarzenie za jak najbardziej pasujące. Nie był specjalnym znawcą Biblii, ale jeżeli przypadkowo napotykał na cytaty starotestamentowe, to często dostrzegał ich zadziwiającą zbieżność z rzeczywistością. W odróżnieniu od Nowego Testamentu, który zalecał wyznawcom Jezusa, jako reakcję na otrzymany policzek, nadstawienie drugiego. Jednak metoda polegająca na wybijaniu przeciwnikowi zęba w reakcji na utratę własnego, wydawała się bardziej odpowiadać naturze ludzkiej. Każdy cywilizowany obywatel musiał to z żalem przyjąć do wiadomości, co jednak w żadnym stopniu nie robiło wrażenia na bliźnich nieprzestrzegających zbyt rygorystycznie zasad prawnych.

Tak więc Abel odtwarzał, ząb z zębem, schemat uzębienia niezidentyfikowanych zwłok, przy czym kierował się tutaj numeracją *Fédération Dentaire Internationale (FDI)*. „Widać wyraźnie, że za życia dokonane zostały szeroko zakrojone zabiegi dentystyczne, głównie złote wypełnienia protetyczne”, mówił do dyktafonu.

Tym samym było jasne, że w przypadku tego zabitego musiało chodzić o człowieka zamożnego. Wprawdzie nierzadko zdarzało się, że mordowany był jakiś biedak, którego tak szybko nikt nie będzie szukał, a miejsce zbrodni inscenizowane tak, żeby wszystko wyglądało na przykład jak śmiertelny wypadek kogoś innego, z reguły zamożnego. Ale często taki szwindel był odkrywany, ponieważ zwłoki wykazywały typowe cechy egzystencji na najniższych szczeblach drabiny społecznej. Bezdomni czy narkomani byli z reguły w marnym stanie fizycznym, a ten można najszybciej stwierdzić po stanie uzębienia. Żeby w tak biednym kraju, jak Naddniestrze móc pozwolić sobie na wypełnienia w złocie, albo leczyć się stomatologiczne za granicą, trzeba było należeć do grona tych najbogatszych. Tak jak bracia Stiepanow.

Władimir Gruwczenkow i jego koleżanka Lomaskow już kilka tygodni temu zabezpieczyli zdjęcia rentgenowskie, jakie sporządził dentysta z uzębienia obu mężczyzn. Abel wyjął akta sprawy ze swojej teczki, porównał wydruk zdjęć rentgenowskich ze schematem uzębienia, jaki właśnie sporządził i doszedł do jednoznacznego wniosku.

W przypadku zabitego, którego miał przed sobą chodziło z dużym prawdopodobieństwem o Spiridona Stiepanowa, starszego z obu braci, który według raportu policji znany był jako próżny i nadęty typek, który miał dodatkowo fioła na punkcie złota.

Koniec pierwszej połowy, pomyślał Abel. Teraz musi tylko zabezpieczyć i udokumentować dowody.

„Po zakończeniu badania”, dyktował dalej, „zabezpieczono następujące dowody: a) do badań DNA: kości, mięśnie, b) do badań chemiczno–toksykologicznych: stolec z jelita prostego, tkanki miękkie, mięśnie, tkanki wątroby, c) do badań tkanek drobnych / mikroskopowych: kawałki żeber z obszaru złamań, tkanki płuc, mięśnie, tanki miękkie”.

Zamknął i opisał pojemniki i włożył je do swojej torby. W trakcie tych czynności znów pojawiła się obok niego pani wicegeneral i Jewgienij.

– Co pan stwierdził, doktorze? – zapytała Warwara Romani. – Czy udało się panu ustalić tożsamość zabitych?

Jej ton był tak łagodny, jak bat nadzorcy niewolników. *Zgodnie z logiką, według której pomalowano to pomieszczenie na grzecznościowo, przeleciało przez głowę Ablowi, jej pokoje przesłuchań musiały być krwistoczerwone.*

– Nadal kompletuję części tej układanki – zrobił unik. – Złożę je w całość w Berlinie, kiedy będę miał wszystkie wyniki. Analizy DNA, toksykologii, histologii, pełny zakres. Wynik będzie pani mogła przeczytać w moim raporcie. A teraz chciałbym zrobić przerwę i nieco się wzmocnić. Jeżeli pani pozwoli, pani wicegenerał.

Patrzyła na niego, a jej bladoniebieskie oczy sprawiały wrażenie tak pozbawionych wyrazu i pustych, jak dziury po kulach.

**Przedmieścia Tyraspolu.
Nieczynna klinika.
Piątek 8 września godz. 3.15.**

Pierwsza obdukcja trwała pięć i pół godziny, druga ponad osiem. Nic dziwnego, że Abel czuł się skrajnie wyczerpany, kiedy kwadrans po trzeciej nad ranem chował do swojej torby zabezpieczone dowody w postaci próbek krwi i tkanek drugiego zabitego.

Był już na nogach od dwudziestu dwóch godzin i prawie od dwudziestu czterech bez snu. Jednak miał wyraźne przeczucie, że Warwara Romani i towarzysze przygotowali dla niego kolejne niespodzianki. Stąd też, mimo potwornego zmęczenia, nadal działał w trybie alarmu.

– Niech pan nie torturuje mnie już dłużej niepewnością, doktorze – naciskała Warwara Romani.

Torturowanie ludzi pozostawię raczej pani, pomyślał Abel, ale powstrzymał się od jakiegokolwiek komentarza.

– Udało się panu zidentyfikować chociaż jednego zabitego? – drążyła dalej. – Czy może pan potwierdzić bądź wykluczyć, że chodzi tutaj o ciała Spiridona i Artemija Stiepanowów?

– Ani jedno, ani drugie – powiedział Abel. Co nawet się zgadzało, jeżeli naciągnęło się nieco prawdę.

Drugim zabitym był Artemij, pierwszym Spiridon Stiepanow, to było dla niego prawie pewne. Ale nie w stu procentach. Na te pytania będzie można odpowiedzieć w sposób jednoznaczny dopiero, kiedy będą wyniki testów DNA. A jeżeli wtedy okaże się, że pani wicegenerał i ludzie stojący za nią nie będą zadowoleni z wyników jego ekspertyzy, to przynajmniej nie będą mogli już wywierać na niego nacisków, bo wtedy będzie już dawno w Berlinie. Daleko od Warwary Romani, jej umięśnionych i uzbrojonych od stóp do głów komandosów, i tej sali sekcyjnej, znakomicie nadającej się do nakręcenia remake’u filmu o Frankensteinie.

Agenci utworzyli luźny krąg wokół Abla i stołu sekcyjnego, przy którym ostatnio pracował. W rękach trzymali, gotowe do użycia, pistolety maszynowe, z lufami skierowanymi wprawdzie ku ziemi, ale mimo to nie wyglądali na przyjaźnie nastawionych.

Młodszy z siostrzeńców oligarchy był, podobnie jak jego brat Spiridon, brutalnie torturowany – także i ten fakt stanowił dla Abla po drugiej obdukcji w dużym stopniu pewnik. Jednakże również i w tej kwestii postanowił się nie wypowiadać, dopóki znajduje się na terytorium Naddniestrza. Również Spiridonowi sprawca lub sprawcy ucięli trzy palce u nóg cęgami lub siekierą. Czy amputacja ta nastąpiła *ante mortem*, a więc jeszcze za życia ofiary, czy też *post mortem*, wykażą późniejsze histologiczne analizy odciętych palców. Także kości klatki piersiowej jego brata miały ślady licznych złamań. Od kopniaków, jak podejrzewał Abel, albo skoków na górną część ciała, kiedy leżał na ziemi. Tylko tak można było wyjaśnić formę tych zranień, chyba że spadł z dużej wysokości. Jednak po tym wszystkim, co tutaj zobaczył dotychczas, Abel uważał to za bardzo mało prawdopodobne.

Ponieważ rozkład ciała Artemija był również bardzo zaawansowany, to także i w tej kwestii nie można było stwierdzić z pewnością, czy obrażenia te powstały przed zgonem czy po nim. Abel nie miał jednak

żadnych wątpliwości, że w tym przypadku chodzi o ślady powstałe w wyniku tortur. Sprawcy usiłowali zmusić do czegoś swoje ofiary, a na podstawie wyników dochodzenia, prowadzonego przez Władimira Gruwczenkowa i Wiktorię Lomaskow, prawdopodobne było przypuszczenie, że chodziło tutaj o części imperium firmowego braci Stiepanowów.

Także Artemij Stiepanow został wrzucony do metalowego kontenera z workiem plastikowym naciągniętym na głowę i kablem, którym worek ten był przymocowany do jego szyi. Abel nie znalazł wprawdzie oznak na seksualne molestowanie czy też użycie podobnych metod, jak w przypadku jego brata, co jednak nie oznaczało w żadnym razie, że Artemij nie został zgwałcony, tak jak jego brat, kamiennym penisem lub innym przedmiotem. Być może sprawcy zabrali potem narzędzie tortur ze sobą.

Jeżeli ofiara jest gwałcona analnie twardym przedmiotem, wówczas prowadzi to do typowych obrażeń w obszarze okołoodbytowym, składającym się z bardzo wrażliwej skóry, tkanek miękkich i zwieracza. Jednakże nie da się już stwierdzić, czy Artemij odniósł tego typu zranienia, ponieważ jego ciało znajdowało się w zbyt zaawansowanym stanie rozkładu. Niegaszone wapno zniszczyło nie tylko obszar okołoodbytowy, ale również dokonało znacznego rozkładu całych zwłok.

Abel dyskretnie przypatrywał się otaczającym go uzbrojonym agentom. Być może któryś z nich brał udział w tym zabójstwie z torturami? Jako obstawa albo nawet bezpośredni sprawca? W takim przypadku słyszał zapewne jęki obydwu braci Stiepanowów i ich dyszenie, kiedy wpychano ich do kontenera.

Abel był prawie pewny, że zarówno Artemij, jak i Spiridon żyli jeszcze w tamtej chwili. Przemawiał za tym fakt, że torba plastikowa naciągnięta na głowę Artemija była odsunięta o kilka centymetrów do góry, a wypełnione wapnem były nie tylko usta, lecz także części tchawicy i krtani.

Artemij usiłował jeszcze złapać oddech, kiedy już tkwił w kontenerze, a jego głowa zakryta była wapnem; Abel był o tym przekonany. Mimo brutalnych tortur, które prawdopodobnie trwały kilka godzin, nie zmarł ani na atak serca, ani też nie dostał zapaści. A to z kolei oznaczało, że oprawcy podali ofiarom środki stabilizujące krążenie, żeby zagwarantować sobie, że torturowani nie stracą przytomności, lub wręcz nie umrą przed czasem.

Abel wyczytał w swoim dossier, że takie metody odpowiadały mrocznym praktykom charakterystycznym jeszcze nie tak dawno dla tajnych służb naddniestrzańskich. Co mogło umocnić podejrzenie, że obydwaj zabójstwa – pośrednio lub bezpośrednio – są dziełem Burkianowa. Jednak kwestię tego, czy ofiary zostały ustabilizowane farmakologicznie przed torturami albo w ich trakcie, będzie można wyjaśnić dopiero po uzyskaniu wyników badań toksykologicznych.

Jednak ani słowem nie wspomniał o tym wszystkim, kiedy zdejmował rękawice robocze, ściągał fartuch operacyjny i zamieniał gumowce na zwykłe buty. W końcu zdjął także górną część kombinezonu operacyjnego i włożył jakby mimochodem do torby.

Warwara Romani i jej ludzie nadal nie spuszczała go z oka. Także Władimir Gruwczenkow i Wiktor Lomaskow patrzyli na niego wyczekująco. Abel nadal był pewny, że tych dwoje oficerów dochodzeniowych nie dałoby się namówić na sfałszowanie czy też ukrywanie wyników śledztwa. Ale także i im nie powie ani słowa na ten temat, dopóki ludzie Warwary Romani będą mu grozili bronią gotową do strzału. W tych okolicznościach było lepiej dla obojga policjantów, żeby wiedzieli możliwie najmniej na temat tego, co odkrył.

Ale i tak Władimir Gruwczenkow i jego koleżanka trzymali się wyraźnie z daleka. Od kilku godzin stali oparci o ścianę i patrzyli apatycznie przed siebie. Z całą pewnością nie byli szczęśliwi z powodu sposobu i formy, w jaki pani wicegenerał naciskała na Abla. Ale mowa ich ciała wskazywała jednoznacznie, że w razie czego nie będą się za niego narażali.

Jestem zdany na samego siebie, pomyślał Abel. Ale fakt ten nie zwiększył jego zaniepokojenia; przeciwko trzydziestu ludziom z pistoletami maszynowymi trzy osoby mogły równie niewiele zdziałać, co jedna. A tak przynajmniej wiedział, na czym stoi.

Być może ten sygnet z tak wyraźnym grawerunkiem należał do Burkianowa i został mu przyznany

przez jakąś elitarną uczelnię, zastanawiał się Abel, namydlając i spłukując ręce i przedramiona pod rdzawym strumieniem wody. Znał kilku amerykańskich kolegów, którym po uzyskaniu dyplomu uczelnie przyznawały podobne sygnety. Być może tutaj również działał podobny zwyczaj, z tą tylko różnicą, że taki uniwersytet, ewentualnie akademia, znajdował się w Rosji lub w Naddniestrzu.

W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym roku Burkianow dobiegał trzydziestki, w tym wieku mógł jeszcze spokojnie ukończyć szkołę dla przyszłej kadry kierowniczej w byłym Związku Radzieckim. Burkianow studiował poza tym także psychiatrię, a więc powinien znać się na kwestiach związanych z psychologicznymi i farmakologicznymi aspektami tortur. Nie oznacza to oczywiście, że osobiście zaaplikował zastrzyk braciom Stiepanowom, choć jest to możliwe. Kiedy na koniec pomagał włożyć zabitych lub umierających do kontenera, sygnet zsunął mu się z palca i został przykryty ciałami.

Czy tak to się odbyło? Im dłużej Abel zastanawiał się nad tą kwestią, tym scenariusz taki wydawał mu się coraz bardziej prawdopodobny. I tym większy ogarniał go lęk.

Gdyby Romani lub Jewgienij wiedzieli, że znalazłem ten sygnet, to zrobiliby wszystko, żeby mi go odebrać i zmusić mnie do milczenia.

A więc musi się stąd zmywać. Tak szybko, jak to możliwe, i najdalej, jak się da. Nagle doskonale zrozumiał motywację porwanych naddniestrzańskich przedsiębiorców, którzy po uwolnieniu wyjeżdżali do dalekich krajów.

– Moja praca została ukończona – zwrócił się spokojnym tonem, na jaki było go w tym momencie stać, do pani wicegenerał. – Proszę wydać dyspozycję, żeby odwieziono mnie na lotnisko.

Nie był ani trochę zaskoczony, kiedy odmówiła jego prośbie.

– Pana praca nie została w żadnym razie zakończona, doktorze – powiedziała. – Prezydent Szewczuk oczekuje od pana sporządzenia tymczasowego pisemnego raportu z obdukcji, zanim opuści pan nasz kraj. Po to tutaj pana ściągnęliśmy. Niech pan nagra na taśmę, o kogo, według pana przypuszczeń, chodzi w przypadku tych dwóch zabitych i jak wyglądały, według pana oceny, okoliczności ich zgonu.

Sięgnęła do kieszeni swojego kostiumu i wyjęła starodawny dyktafon. Przy tym modelu zwrot „niech pan nagra na taśmę” miał znaczenie dosłowne – za plastikowym okienkiem znajdowała się niewielka kaseta magnetofonowa, jakich używano powszechnie przed erą cyfrową.

– Niech pan tutaj nagra najważniejsze fakty i wnioski – powiedziała Romani tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Taśma zostanie natychmiast przepisana. Następnie wystarczy, że pan podpisze transkrypcję i na śniadanie będzie pan z powrotem w Berlinie.

Jej twarz była jak zawsze pozbawiona wyrazu, niemniej jednak Abel odniósł wrażenie, jakby przy ostatnich słowach przez jej wargi przemknął szyderczy grymas. Zupełnie, jakby było kompletnym absurdem przypuszczać, że jeszcze kiedykolwiek zje śniadanie w Berlinie.

Jeżeli o mnie chodzi, to mogą dostać swój tymczasowy raport. I tak nie zostawiają mi wyboru.

Abel odetchnął głęboko, wyjął jej dyktafon z ręki i włożył do kieszeni.

– To proszę zawieźć mnie przynajmniej gdzieś, gdzie mógłbym coś zjeść, napić się i krótko odpocząć.

– Ależ oczywiście, panie doktorze. Pana dobre samopoczucie bardzo leży nam na sercu, jak pan, mam nadzieję, zauważył.

Tym razem nawet nie próbowała ukryć ironicznego uśmiešku.

**Tyraspol, centrum miasta.
Hotel Aist, restauracja.
Piątek 8 września godz. 4.23.**

Hotel, położony w centrum Tyraspolu, był urządzone w starym dobrym sowieckim stylu. Konstrukcja z płyt betonowych, pięć pięter z portalem, przez który przejechałby nawet autobus piętrowy. W holu mógłby się spokojnie zmieścić cały garnizon. A oświetlenie było tak skąpe, że Abel zadawał sobie pytanie, czy w Tyraspolu nie ma przypadkiem awarii prądu.

Abel wszedł do recepcji z wicegenerał Romani, prawie zataczając się ze zmęczenia. Już kiedy jechali tutaj w konwoju, zastanawiał się, czy w naddniestrzańskiej stolicy nie wyłączają w nocy prądu, ponieważ w niekończących się szeregach bloków nie widział ani jednego oświetlonego okna. Coś podobnego przeżył raz w Egipcie, kiedy odwiedził Instytut Medycyny Sądowej w Kairze. Żeby nie nadwerężyć sieci elektrycznej, zawsze włączano prąd tylko w części miasta, tak że w godzinach nocnych poszczególne ciągi ulic i kwartały dzielnic na zmianę pogrążały się w ciemnościach.

Warwara Romani uderzyła pięścią w dzwonek na kontuarze recepcji i w sekundę potem zapłonęło światło. Lobby hotelu przypominało kulisy z klasycznego filmu o Jamesie Bondzie Pozdrowienia z Moskwy. Fotele klubowe w stylu lat pięćdziesiątych, ale z tak wytartymi obiciami z aksamitu, że wychodziły z nich wnętrzości. Na podłodze wykładzina dywanowa w kolorze kremowym, wydająca syntetyczne skrzywienie pod butami Abla. Lampy wyglądały jak retrofuturystyczne rzeźby. W jednym z rogów, na cokole ze sztucznego marmuru, stało popiersie Lenina.

Nocny portier wyszedł, ziewając, z wąskich drzwi za kontuarem. Był to nieco otyły młody jeszcze człowiek o łagodnych rysach twarzy. Idąc, dopinał pasek u spodni pod marynarką uniformu z czerwonymi lampasami. Włosy sterczały mu we wszystkie strony, najprawdopodobniej spał. Kiedy dostrzegł Warwarę Romani, wzdrygnął się cały.

Warknęła coś do niego po rosyjsku. Nieszczęśliwiec kiwnął głową i zasalutował. Następnie rzucił się do telefonu i teraz on z kolei zaczął coś wykrzykiwać wysokim, ujadającym głosem.

Abel obserwował ten dziwny spektakl przez mgłę zmęczenia. Pojawiła się pracownica hotelu, także w uniformie z czerwonymi lampasami. Wicegenerał warknęła coś do niej, kobieta wkułiła głowę w ramiona i poszła przodem. Warwara Romani i Abel ruszyli za nią do restauracji o rozmiarach hali tenisowej i w kolorystyce prowincjonalnego klubu nocnego.

Dywany, meble, abażury w lampach – wszystko tutaj było czerwone. Zakres kolorów zmieniał się od czerwieni buraczanej, poprzez pomidorową, aż do krwistej. Na ścianach błyszcząły poza tym liczne gwiazdy w kolorze maków polnych.

Pracownica hotelu była jeszcze bardzo młoda i najwyraźniej straszliwie zdenerwowana. Trzęsąc się ręką wygładziła obrus na stole i unizonym gestem poprosiła Warwarę Romani, żeby zajęła miejsce. Abel zadawał sobie pytanie, co tej młodej kobiecie napędziło więcej strachu – posępna wicegenerał, łysy olbrzym Jewgienij czy też horda uzbrojonych agentów, którzy rutynowo rozproszyli się przed hotelem, w

lobby i w restauracji.

Abel i pani wicegenerał usiedli naprzeciwko siebie przy stole, jak małżeństwo, które nie ma już sobie nic do powiedzenia. Jewgienij wydawał się wahać przez moment, czy ma się dosiąść, czy też nie, ale w końcu wycofał się na drugi koniec sali.

W ubiegłych godzinach Abel zastanawiał się kilka razy nad tym, czy przypadkiem nie krzywdzi Warwary Romani fałszywymi ocenami. Może to właśnie Jewgienij jest tym, który działa na zlecenie anonimowego inspiratora tych wydarzeń. W każdym razie Abel widział kilka razy, jak Jewgienij przykłada telefon do ucha i w postawie na baczność odbiera najprawdopodobniej rozkazy. Warwara Romani obserwowała go wtedy z wyrazem twarzy wyrażającym strach lub poczucie winy, który absolutnie nie pasował do jej zwyczajnego zachowania. Poza tym Jewgienij był jedynym człowiekiem, którego pani wicegenerał traktowała z rodzajem ostrożnego respektu, a który nie był najprawdopodobniej skierowany bezpośrednio do niego, lecz raczej do jego przełożonego.

Ale nawet jeżeli te obserwacje Abela były zgodne z prawdą, w niczym nie zmieniało to jego sytuacji. W końcu nie było dla niego żadnej różnicy, czy palec na spuście trzyma Romani, czy też Jewgienij, dopóki on sam stał po niewłaściwie stronie lufy. Główny inicjator nie odpuści, dopóki Abel nie dostarczy mu odpowiedniego wyniku. W zasadzie nie było większych wątpliwości, że człowiekiem, który krył się za tym wszystkim, jest Burkianow.

Ten był szef tajnych służb, żeby nie zostać skazanym za podwójne zabójstwo, potrzebował takiego raportu z obdukcji, w którym niezależny rzeczoznawca potwierdzi, że w przypadku obydwu zabitych z całą pewnością nie chodzi o braci Stiepanowów. Ale właśnie tej fałszywej opinii Abel nie mógł i za nic nie chciał mu dostarczyć. Ani tu i teraz, ani kiedykolwiek później. Problem polegał tylko na tym, czy Romani zadowolą się mniej lub bardziej ogólnikowymi sformułowaniami w jego tymczasowym raporcie.

Odpowiedź jest oczywista, pomyślał Abel, i brzmi: nie. Naturalnie, że się tym nie zadowolą. Jeżeli nie spodoba im się to, co nagram na dyktafon, to zintensyfikują naciski.

Dwóch kelnerów przyniosło półmiski z frytowanymi obwarzankami drożdżowymi, ociekającymi olejem i kiełbaski w pomarańczowym kolorze, wyglądające na jeszcze bardziej tłuste. Do tego była parująca, gorąca herbata.

Abel upił łyk i poczuł, jak powracają mu siły witalne. Herbata była gorzka i diabelnie mocna.

– Tym można przywrócić martwych do życia – powiedziała Warwara Romani.

Abel spojrzał na nią znad swojej filiżanki. Wyraz jej twarzy wydał mu się nagle niemalże łagodny, ale być może wynikało to z tego, że patrzył przez opary unoszące się z herbaty. Ale być może to tylko jego przemęczenie czyniło go podatnym na myślenie życzeniowe.

– Ładnie powiedziane – stwierdził. – Jednak z punktu widzenia medycyny sądowej raczej mało prawdopodobne.

Nałożył sobie kiełbaskę i kilka placków na talerz i zmusił się do jedzenia. W końcu od przylotu do Tyraspolu nic prawie nie jadł, jedynie kawałek tureckiego chleba i kilka batonów czekoladowych między obdukcjami. Nadal także miał wyraźne poczucie, że jest w niebezpieczeństwie, co być może częściowo wynikało z jego nadwyreżowanych nerwów. Musiał więc zadbać o to, żeby wzmocnić się przynajmniej fizycznie.

Pani wicegenerał obserwowała go z wyraźnym zniecierpliwieniem. Po łagodnym wyrazie twarzy, jaki jeszcze przed chwilą miał wrażenie widzieć, nie było już śladu. Jej oczy wyglądały jak polakierowane na jasnyniebieski kolor szkło pancerne.

– Zaprowadzę pana do pańskiego pokoju – powiedziała, kiedy Abel przeżuwał jeszcze ostatni kęs kiełbaski. – Wszystko zostało przygotowane.

Wyglądało na to, że to jej ulubiony zwrot, za którym szło: „Mamy mało czasu”.

Tyraspol.
Hotel Aist, pokój nr 111.
Piątek 8 września godz. 05.07.

Pokój, w którym Abel miał nagrać swój raport, znajdował się na pierwszym piętrze pięciopiętrowego budynku z wielkiej płyty. Warwara Romani zaprowadziła go na górę po schodach z trzeszczących desek, potem dalej ciemnym korytarzem aż do drzwi na samym końcu po prawej. Za nimi szedł Jewgienij i trzech jego ludzi.

Warwara Romani wyjęła klucz i otworzyła pokój. Abel wszedł do środka, niosąc torbę z instrumentami i aktówkę w rękach. Pani wicegenerał robiła wrażenie, jakby chciała wejść razem z nim, ale Abel zagroził jej od razu drogę.

– Zanim nagram raport, chciałbym wziąć prysznic i położyć się chociaż na pół godziny – stwierdził. – Jeżeli chce mi pani w tym dotrzymać towarzystwa, to muszę niestety panią rozczarować.

Patrzyli na siebie nawzajem. Abel miał już tymczasem zawroty głowy z powodu toczącej się w jego organizmie walki między melatoniną a adrenaliną. Ale zmusił się do wytrzymania jej spojrzenia.

W końcu Warwara Romani cofnęła się z progu na korytarz.

– Maksymalnie godzinę – rzuciła i spojrzała na zegarek. – O szóstej odbierzemy od pana dyktafon z raportem, doktorze. Szczegóły może pan sobie zachować na później, prezydenta interesują jedynie pańskie zasadnicze wnioski. Potem może pan wziąć prysznic i spać do woli.

Abel skinął głową, mimo że miał raczej ochotę nie zgodzić się z tą propozycją. Zamknął drzwi i zaryglował, ale nie miał w tej kwestii żadnych złudzeń: drzwi składały się z tektury i plastikowej ramy i można je było wyłamać jednym kopniakiem, jak kromkę chrupkiego pieczywa.

Pokój był kompozycją z plastikowych mebli koloru ekskrementów, syntetycznego dywanu przypominającego szlam i pasujących do nich kolorystycznie zasłony i pościeli, które zapewne w czasach Stalina stanowiły ostatni krzyk mody. Okno wychodziło na podwórze. Mniej więcej trzy metry pod nim stało kilka pojemników na śmieci. Przynajmniej po części wyjaśniało to silny smród panujący w pokoju.

Abel wyjął z kieszeni marynarki starodawny dyktafon i położył na stoliku ze szkła dymnego między fotelami klubowymi. Wyciągnął ładowarkę z aktówki, wyłączył swój blackberry i przypiął do gniazdka, które ku jego uldze odpowiadało normom Unii Europejskiej. Potem rzucił marynarkę na hak na drzwiach, nie sprawdzając, czy zaczepiła się za kołnierz, czy na szlufce. Na takie gierki był teraz nie tylko zbyt zmęczony, ale przede wszystkim zbyt wielki odczuwał niepokój.

Właściwie to miał zamiar wysłać przynajmniej SMS-a do Lisy „Tu wszystko okay, pozdrowienia Fred”, ale jeżeli przyjrzeć się temu wszystkiemu bliżej, to nic tutaj nie było okay, a więc dał sobie spokój. Z drugiej strony było jeszcze za wcześnie, żeby zadzwonić do Lisy, a dokładniej: jeszcze o godzinę wcześniej niż w Berlinie, bo kwadrans po czwartej. Lisa bardzo przestraszyłaby się, gdyby o tej porze wyrwał ją ze snu. A poza tym, co miałby jej powiedzieć, nie przemieniając jej początkowego przestraszenia w poważne zaniepokojenie?

Po rzucie oka na łazienkę postanowił przesunąć wzięcie gorącego prysznica aż do powrotu do Berlina i zamiast tego spryskał twarz kilkoma garściami wody. Jak się okazało, była to mądra decyzja, ponieważ kran z gorącą wodą wydawał z siebie tylko zardzewiałe kasznięcia. Jednak żeby przewyciężyć zimny dreszcz, jaki przeszedł go na widok pokrytych grzybem kafli, potrzebował czegoś więcej niż tylko gorącego prysznica.

Łóżko także nie wyglądało na zachęcające. Jednak kiedy tak stał przed nim, nagle pokój wokół niego zaczął podejrzanie wirować. Nie zdejmując nawet butów, położył się ostrożnie, starając się nie dotknąć ciałem syntetycznej kołdry.

Najpierw musi uporządkować myśli. Ustalić, o czym mógłby wspomnieć w swoim tymczasowym raporcie, a co absolutnie powinien przemilczeć. Ale im dłużej się nad tym zastanawiał, tym bardziej dochodził do wniosku, że nie może sporządzić żadnego tymczasowego raportu z obdukcji. Nie, dopóki znajduje się w Naddniestrzu.

Oni chcą od niego usłyszeć, że tych dwóch zabitych to nie bracia Stiepanow – co do tego nie miał już żadnych wątpliwości. A takiego przekazu od niego nie dostaną. Jednak cokolwiek mógłby im zaproponować w zamian, z całą pewnością ich to nie zadowoli. Mógł co prawda łagodzić, relatywizować lub rozwadniać, ile chciał, ale w końcowym rezultacie jego raport musiałby zawierać dwa główne wnioski: jeżeli chodzi o ciała znalezione w nieczynnej fabryce, to z dużym prawdopodobieństwem można powiedzieć – z zastrzeżeniem ewentualnych wyników badań DNA – że należą one do Artemija i Spiridona Stiepanowów. Ponadto obaj mężczyźni byli okrutnie torturowani, a potem żywcem wrzuceni do kontenera. To jedyny wniosek, jaki można wysnuć z całościowego oglądu wyników obdukcji, i z pewnością zostanie on potwierdzony przez wyniki badań toksykologicznych i mikroskopowych.

Jakkolwiek opisowo by to potraktował i jakkolwiek by to upiększał, w konsekwencji i tak wyczytają z jego raportu tylko te właśnie wnioski. W rezultacie, czego Abel był w stanie nerwowego i psychicznego napięcia prawie pewny, przejdą od terroru psychicznego do fizycznego, żeby wymusić na nim żadaną, sfałszowaną wersję. Nie musiał specjalnie nadwierać swojej wyobraźni, żeby przedstawić sobie różne scenariusze, które wszystkie bez wyjątku byłyby dla niego bardzo nieprzyjemne.

Abel wstał i zaczął chodzić tam i z powrotem po wąskim pasie wolnej przestrzeni między łóżkiem a biurkiem pod oknem.

Jestem w pułapce, pomyślał. Jeżeli dostarczę im raport z fałszywymi wnioskami, to pogrzebię własną wiarygodność. Nawet jeżeli później oświadczę, że raport ten sfałszowałem, żeby móc bezpiecznie opuścić ten kraj, to moja reputacja i tak będzie już nadszarpnięta na zawsze. A jeżeli pójdę w zaparte, a oni znajdą przy mnie ten sygnet, wówczas Burkianow, czy ktokolwiek inny, zainteresowany tym, żeby ten ewentualny dowód zniknął, nie będzie zwlekał ani sekundy, żeby także i mnie usunąć z drogi. Musiał zwalczyć w sobie chęć natychmiastowej ucieczki.

Jak daleko zaszedłbym? Sądząc po krokach na korytarzu za drzwiami, nie dalej jak dziesięć metrów.

W czasie służby w Bundeswehrze przeszedł szkolenie na zwiadowcę. W tej elitarnej jednostce specjalnej nauczył się między innymi, w jaki sposób znosić, i to przez wiele godzin, zmasowany nacisk psychiczny, także w najbardziej niekorzystnych warunkach, jak pozbawienie snu, zimno czy głód, i jak nie załamywać się nawet przed groźbą użycia przemocy fizycznej. Ale to było prawie trzydzieści lat temu, a ludzie Burkianowa, w odróżnieniu od jego przeciwników podczas ćwiczeń, nie poprzestaną jednie na groźbach.

Może powinien zadzwonić do Herzfelda albo jednego z doświadczonych kryminalistyków z Federalnego Urzędu Kryminalnego i zapytać o radę? Ale o tej godzinie? Napędzi im jedynie potężnego strachu – a w rezultacie także i oni nie powiedzą mu niczego, czego sam by już nie wiedział.

Muszę sam sobie poradzić, pomyślał znowu.

Abel schylił się do swojej torby, którą postawił obok biurka, wyjął sygnet z bocznej kieszeni górnej

części kombinezonu operacyjnego i usiadł na wytartym krześle przy biurku. Włączył lampę i obejrzał dokładnie ten przedmiot w mętnym świetle dwudziestopięciowatowej żarówki. Sygnet był szeroki na ponad pół centymetra i zrobiony z litego, gładko wypolerowanego srebra. Z całą pewnością był przeznaczony dla męskiej dłoni.

Napis w cyrylicy po wewnętrznej stronie Abel odcyfrował z trudem jako MGIMO. *Prawdopodobnie jakiś skrót, pomyślał, obracając sygnet w palcach. Ale co on oznacza? I do czego odnosi się data 20.12.1980 oraz liczba 73551?*

Z powodu zmęczenia Abel miał problem z logicznym myśleniem. Mimo to podniósł się z fotela, okrążył łóżko i podszedł znowu do nocnego stolika, na którym leżał smartfon. Odłączył urządzenie od kabla ładowarki i wrócił do biurka. Z niecierpliwością czekał, aż załaduje się oprogramowanie zmieniające smartfon w mały komputer i zażąda kodu PIN. Wpisał kod i z ulgą stwierdził, że nawet w tym dzikim zakątku kontynentu jest całkiem niezły zasięg sieci UMTS.

Włączył przeglądarkę i wpisał *MGIMO* w pole wyszukiwania.

A jeżeli podpięli się pod moją komórkę? – przemknęło mu przez głowę. To w tej samej chwili, w której wystartuję wyszukiwarkę, będą wiedzieli, że znalazłem sygnet.

Usiłował się nad tym zastanowić, jednak miał spore problemy z koncentracją. *Dlaczego mieliby zhakować mój smartfon? Chcą mojego podpisu pod raportem, który odciąży Burkianowa, poza tym nie są raczej mną zainteresowani.*

Nacisnął Enter. Kilka sekund później wiedział już, że jego podejrzenia co do sygnetu były słuszne.

**Tyraspol. Hotel Aist, pokój nr 111.
Piątek 8 września godz. 5.51.**

МГИМО, względnie MGIMO, było skrótem od Московский государственный институт международных отношений, czyli Moskiewski Instytut Stosunków Międzynarodowych. Według artykułu w „Der Spiegel” MGIMO był, od ery sowieckiej aż do czasów współczesnych, „akademią elit”, w której „kształcono dyplomatów oraz zagranicznych szpiegów”. Ukończenie tej uczelni „do dnia dzisiejszego daje gwarancję pracy w tajnych służbach oraz w ambasadach”.

Abel klikał kolejne zakładki, aż w końcu dotarł do punktu „MGIMO – egzaminy i odznaczenia” ze zdjęciem srebrnego sygnetu. Wyglądał dokładnie tak samo, jak ten wyłowiony przez niego z kontenera. Takie sygnety, jak przypuszczał, MGIMO przyznawało swoim absolwentom, którzy później okazywali się członkami elitarnej kadry.

Założę się, pomyślał Abel, że również Burkianow był w tej szkole agentów.

Wpisał nazwisko tego byłego szefa tajnej służby w pole wyszukiwarki i trafił na artykuł w Wikipedii o Burkianowie. Patrzyły na niego martwe oczy. Abel przewinął szybko do rubryki „życiorys”.

Strzał w dziesiątkę. Od tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego szóstego do tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku Siergiej Burkianow „uczęszczał do moskiewskiej elitarnej szkoły MGIMO, którą ukończył z wyróżnieniem”.

Abel pomasował skronie. Mocna herbata pobudziła go tylko na chwilę. Coraz trudniej było mu się skoncentrować.

Jeżeli sygnet należy do Burkianowa, zastanawiał się, to znaczy, że osobiście pomagał w zabójstwie braci Stiepanowów. Czy jest właścicielem sygnetu, można sprawdzić na podstawie listy absolwentów MGIMO.

Abel wyłączył swój blackberry i znów podłączył do kabla ładowarki.

W praktyce jednak będzie raczej trudno zdobyć dostęp do takiej listy, zastanawiał się dalej. Szkoła, która kształci rosyjskich szpiegów, z pewnością nie publikuje nazwisk swoich absolwentów w Internecie.

Podszedł do drzwi, gdzie powiesił swoją marynarkę. Wisiała dokładnie na szlufce, ale nawet to tak długo wyczekiwane trafienie nie było w stanie poprawić humoru Ablowi. Miał poczucie, jakby jego głowa znajdowała się pod wodą. Nawet świadomość bezpośredniego zagrożenia nie pomagała mu w okiełznaniu paraliżującego go zmęczenia.

Stał przed zamkniętymi drzwiami i nie mógł sobie w ogóle przypomnieć, po co tutaj przyszedł. Bezradnie popatrywał na swoją marynarkę, potem na swoją prawą dłoń. *Ach tak, ten cholerny sygnet.*

W jego marynarce znajdowała się mikroskopijna ukryta kieszonka, schowana za podszewką i wewnętrznymi szwami. Podczas podróży w niepewne rejony przechowywał tam z reguły jeden lub dwa banknoty po sto euro, jako żelazną rezerwę, złożone w trójkąt wielkości kciuka i sprasowane. Abel wyłuskał zielony banknot z kieszonki i włożył go do portfela. Zamiast niego umieścił w kieszonce sygnet i

pomacał od zewnątrz to miejsce tuż pod prawą pachą, gdzie podszywka była szczególnie gruba. Jeżeli ktoś specjalnie go nie szukał, to sygnet był praktycznie nie do wymacania.

Być może Burkianow dopiero po wszystkim zorientował się, że zgubił sygnet podczas pozbywania się zwłok, rozważał Abel.

Wrócił do biurka i pokręcił ramionami, żeby rozluźnić nieprzyjemnie napięte mięśnie.

Albo też zorientował się od razu, że sygnet wpadł do kontenera, ale potem stwierdził, że nie ma to żadnego znaczenia. W końcu był wówczas jednym z najpotężniejszych ludzi w kraju. Nikt nie odważyłby się wnieść przeciwko niemu oskarżenia. Bez względu na to, jakie dowody zostałyby zgromadzone przeciwko niemu, to przed próbą puczu nigdy nie zostałby skazany.

Jednak wszystko to niewiele pomogło Ablowi w rozwiązaniu jego aktualnego problemu. Dyktafon wciąż leżał na biurku, którego okleina wybrzuszała się na brzegach. Abel nie nagrał jeszcze na taśmę ani jednego słowa.

Właśnie chciał znowu usiąść przy biurku, kiedy usłyszał kroki na korytarzu. Zaraz potem ktoś mocno zapukał. Abel podniósł się bezgłośnie, przemknął pod drzwi i przekręcił umocowany na stałe klucz w lewą stronę tak cicho, jak było to tylko możliwe.

– *Come in* – powiedział i zrobił duży krok w bok. Na wypadek gdyby te typy na zewnątrz wpadły na pomysł otwarcia ognia.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i do środka wszedł Jewgienij. Musiał schylić głowę i wręcz precyzyjnie się przez ramę drzwi, która była zbyt wąska dla jego osoby. W obecności tej łysej góry mięśni cały pokój wydał się nagle klaustrofobicznie mały.

Dwaj z jego ludzi, z nieodłącznymi pistoletami maszynowymi w rękach, ustawili się przy drzwiach.

– Report ready? – spytał łamaną angielszczyzną Jewgienij. Podbródkiem wskazał na biurko, gdzie na użycie czekał starodawny dyktafon.

Abel pokręcił głową. Jewgienij zmarszczył groźnie czoło i pozbawione prawie koloru brwi. Biała koszula pod pogniecioną marynarką była tak dopasowana, że mięśnie jego brzucha odciskały się na niej, jak relief. Dał znak swoim ludziom, którzy weszli do pokoju i skierowali broń na Abła.

Przez naczynia krwionośne Abła zaczęła pędzić adrenalina, mieszając się z zalewającą go falą wściekłości. Gwałtownie skoczył mu puls. Zmęczenie zniknęło jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

– Sporządzę mój raport w Berlinie, niech pan to przekaze swojej szefowej! – naskoczył po angielsku na Jewgienija. – Otrzyma go oficjalną drogą służbową, rozumiano?

Jewgienij wpatrywał się w niego.

– You no report? – wyrzucił z siebie. Jego potężna klatka piersiowa unosiła się i opadała w rytmie oddechu.

– No report! – potwierdził Abel. – Domagam się zawiezienia na lotnisko, natychmiast!

Podszedł do biurka, wziął do ręki dyktafon i wcisnął go Jewgienijowi do łapska wielkości patelni.

– For you vice-general.

Dłoń Jewgienija zacisnęła się na urządzeniu, jakby chciał je rozgnieść. Odwrócił się gwałtownie, wrzasnął coś do swoich ludzi i wszyscy trzej wypadli z pokoju z takim impetem, że zachwiały się meble w całym pomieszczeniu.

To wprawdzie nierozważne, ale już od dawna konieczne, powiedział sobie Abel. I poza tym nieuniknione.

**Tyraspol, centrum miasta.
Piątek 8 września godz. 6.03.**

Kiedy na korytarzu znów rozległy się ciężkie kroki, Abel miał już marynarkę na sobie. Podbiegł do nocnego stolika obok łóżka, odłączył blackberry od kabla ładowarki i schował telefon do kieszeni. Okno otworzył już wcześniej, tak cicho, jak tylko było to możliwe, ponadto ułożył poduszki i koce pod kołdrą w taki sposób, żeby wyglądały jak zarys postaci śpiącego człowieka. To na wypadek gdyby Jewgienij & Co. chcieli zrobić sobie ćwiczenia w strzelaniu.

Prawdopodobieństwo, że mają już dosyć ograniczania się do groźnego wymachiwania bronią, wyraźnie wzrosło w ciągu ostatniej półgodziny. Abel zdawał sobie sprawę, że Jewgienij i/lub Warwara Romani odbiorą jego odmowę nagrania raportu jako otwarte wypowiedzenie wojny. W konsekwencji sytuacja może stać się dla niego bardzo nieprzyjemna, o ile możliwie szybko nie opuści tego ponurego miejsca.

Podczas gdy kroki na korytarzu zbliżały się coraz bardziej, Abel spojrzął z żalem na swoją aktówkę i torbę z zabezpieczonymi dowodami, które postawił obok biurka. Smartfon i portfel wraz z paszportem włożył do marynarki, wszystko inne musiał zostawić. Kiedy zapukano do drzwi, był już na biurku i wysunął się przez okno na zewnątrz. Nad Tyraspołem wschodziło słońce, gdy Abel zsuwał się po murze znajdującym się pod oknem jego pokoju hotelowego. Trzymając się czubkami palców gzymsu pod oknem, rzucił jeszcze ostatnie spojrzenie do środka. Jego intuicja go nie zawiodła: drzwi rozpadły się hukiem, dwaj mężczyźni wpadli do środka, z twardymi pałkami w rękach. Tym razem to Jewgienij pozostał na zewnątrz z bronią gotową do strzału. Obaj agenci zaczęli okładać pałkami dublera Abła, wykonanego z poduszek i syntetycznych koców.

Abel spojrzął w dół i dostrzegł górę odpadków kuchennych między dwoma pojemnikami na śmieci. Puścił chwyt i wylądował w morzu zgniłych liści sałaty i obierek z ziemniaków.

Wyjście na ulicę z tego małego podwórka prowadziło przez drewnianą bramę. Jedna jej połówka była otwarta. Abel ostrożnie wysunął głowę na zewnątrz. Brama wychodziła na boczną uliczkę, która o tej porze była pusta. Kilkanaście kroków na prawo widniał ogromny portal hotelowy z potężnymi schodami zewnętrznymi i kolumnami, jak niegdyś w Helladzie. Albo może na Krecie, co do tego Abel nie był pewny.

Przed portalem stało trzech ludzi Jewgienija, łatwych do rozpoznania po sylwetkach przypominających szafy. I rzecz jasna, po pistoletach maszynowych nonszalancko przewieszonych przez ramię.

W momencie kiedy Abel wyszedł na boczną uliczkę, rozległ się za nim głośny okrzyk. Nie znał prawie zupełnie rosyjskiego, ale założyłby się o wszystko, że człowiek wychylający się z okna pokoju numer 111 woła: „Łapcie go!”

Jego kompanom przed wejściem do hotelu nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Jeden z nich zaczął biec w kierunku Abła, jednak wyglądało na to, że otrzymał od swoich szefów niepełne informacje. Abel, jako posiadacz czarnego pasa w dżu-dżitsu, nie miał żadnych problemów z obezwładnieniem

napastnika, mimo że od wielu lat nie uprawiał już tego sportu. Odczekał, aż atakujący mięśniak znajdzie się mniej niż pół metra od niego. Wtedy błyskawicznie zrobił unik, zamachnął się kantem prawej dłoni i uderzył przeciwnika dokładnie nad krtanią. Napastnik osunął się na ziemię, wydając gulgocący odgłos.

Abel odwrócił się gwałtownie i ruszył biegiem wzdłuż wąskiej uliczki. Za nim rozległy się znów głośne okrzyki. Tym razem były chyba skierowane bezpośrednio do niego i oznaczały najprawdopodobniej coś w rodzaju: „Stać!” albo „Stój, bo strzelam”.

Jednak Abel nie zrobił ani jednego ani drugiego, tylko skręcił w wąski zaułek prowadzący prosto na zachód. Oczywiście, o ile nie zawodził go zmysł orientacji.

Musi dotrzeć do granicy Mołdawii, przeleciało mu przez głowę, wtedy będzie bezpieczny. Przynajmniej Jewgienij i jego siepacze nie będą mogli tak swobodnie wziąć go w obroty, jak w Naddniestrzu. W każdym razie miał taką nadzieję, w końcu Mołdawia była mniej lub bardziej demokratycznym państwem prawa. Utrzymywała stosunki dyplomatyczne z zachodnimi krajami, podpisała umowy stowarzyszeniowe z Unią Europejską, a w stolicy, w Kiszyniowie, znajdowała się ambasada niemiecka. W porównaniu do tego, Naddniestrze znajdowało się poza cywilizacją zachodnią. I dlatego zapewne panowały w nim barbarzyńskie obyczaje.

Do granicznego miasta Bender było niecałe dwadzieścia kilometrów. Abel zawsze był dobrym długodystansowcem, i mimo, że w ostatnich latach nieco wyszedł z formy, to był pewny, że da radę pokonać tę odległość także biegiem, o ile nie znajdzie odpowiedniego środka transportu.

Jednak kiedy odwrócił się przez ramię, stwierdził, że również ścigający go są niezłymi biegaczami. Trzech z nich podążało za nim z rozwianymi połami marynarek i wykrzywionymi twarzami. Dzielilo ich może z pięćdziesiąt metrów, a ten pośrodku włożył właśnie rękę pod lewą pachę i wyciągnął pistolet.

Abel znów spoglądał do przodu i przyspieszył na tyle, na ile mógł. Pobiegł do końca zaułka, który wychodził na bardziej ruchliwą ulicę.

Tymczasem musiało już być po szóstej. Na ulicy znajdował się przystanek autobusowy, na którym czekała spora grupka ludzi. Prawdopodobnie jechali do pracy, żeby w ten czy inny sposób zarobić na chleb. Być może polerowali popiersia Lenina albo szyli narodowe flagi z sierpem i młotem. Nieważne. Wyglądało na to, że kiedy Abel biegł, jego myśli poruszały się własnym torem.

Wybiegł sprintem na ulicę, gdy właśnie przytoczył się trolejbus. Przed drzwiami tłoczyła się cała masa ludzi, żeby wcisnąć się do pełnego już i tak pojazdu. Abel wmieszał się w ten tłum. Był o głowę wyższy od większości Naddniestrzan, których usiłował rozepchnąć na boki, ale okazało się że w przepychaniu się mają większą wprawę, bo nie ruszył się nawet o krok do przodu, za to sam zaliczył mnóstwo ciosów łokciami.

Nagle ktoś złapał go za ramiona od tyłu. Odwrócił się przestraszony, spodziewając się ujrzeć przed sobą wyblakłą twarz Jewgienija. Był to jednak młody człowiek w niebieskim kombinezonie robotnika, który wyszczerzył się w szczerbatym uśmiechu. Zasypał go potokiem niezrozumiałych słów, którym towarzyszył odór czosnku. Abel puścił go przodem i posuwał się tuż za nim.

Okazało się, że ten młody Naddniestrzanin ma wrodzony talent w przepychaniu się łokciami i wciskaniu między ludzi. Tłum rozstępował się przed nim jak Morze Czerwone przed Mojżeszem. Idąc tuż za nim, Ablowi zadziwiająco szybko udało się przedostać do wnętrza autobusu.

W środku było tak ciasno, że z trudem mógł złapać oddech. Z jeszcze większym trudem udało mu się wyjrzeć na zewnątrz. Okna były zaparowane, stąd też nie był pewny, czy dobrze widzi. Być może ponosiła go wyobraźnia. Dwóch mocno zbudowanych mężczyzn, którzy w ostatniej chwili wskoczyli do autobusu drzwiami obok kierowcy mogli być równie dobrze pracownikami jakiegoś biura.

W następnej chwili autobus ruszył z otwartymi drzwiami, przechylając się na boki. Dwaj mięśniacy zaczęli przepychać się przez tłum pasażerów. Pozornie nie zwracali uwagi na Abła, ale kierowali się bezpośrednio do niego. A im bliżej podchodzili, tym Abel był coraz bardziej pewny, że to dwóch ludzi Jewgienija.

**Tyraspol, centrum miasta.
Piątek 8 września godz. 6.17.**

Abel rozejrzał się nerwowo wśród ludzi w autobusie. Tylko parę osób miało na sobie ubrania zachodnich marek, biedniejsza większość zadowalała się marnej jakości imitacjami. Oprócz tych dwóch, przypominających szafy mężczyźni nie zauważył nikogo innego, kto tak jak oni lubowałby się w tanich garniturach i w zbyt ciasno dopasowanych koszulach. Tymczasem byli już tak blisko, że mógł dojrzeć popękane naczynka krwionośne w ich gałkach ocznych.

Byli jeszcze jakieś trzy metry od niego. I jeżeli będą nadal przeciskali się przez pasażerów stojących im na drodze w tym tempie, to dopadną go najpóźniej za trzydzieści sekund.

Abel stał zakleszczony między potężnych rozmiarów kobietą, która zbudowała wokół siebie mur z walizek i toreb, a dwoma starszymi mężczyznami, którzy wybuchali na zmianę astmatycznym kaszlem i ochrypłym śmiechem. Różnicę tę zauważył dopiero po kilku minutach, początkowo myślał, że męczy ich nieustanny przymus odkasływania. Bezpośrednio przed Ablem, a tym samym między nim a drzwiami, stał mistrz w przepychaniu otoczony właściwą sobie atmosferą potu i czosnku.

Abel, nie zastanawiając się długo, chwycił go za ramiona. Młody mężczyzna odwrócił się gwałtownie, a Abel wyszczerzył do niego zęby, tak jak tamten zrobił to przed autobusem. Nie mógł tylko pochwalić się brakami w uzębieniu, a zamiast oparów czosnku mógł jedynie służyć zapachem rozkładu z sali sekcyjnej. Ale to w pełni zadowoliło tego młodego człowieka.

Wskazał ruchem głowy na tych dwóch typów w garniturach i mrugnął do niego porozumiewawczo. Abel przesunął się obok niego, a król rozpychania się łokciami stanął w rozkroku plecami do prześladowców Abła.

W tej samej chwili kierowca nacisnął na hamulec i wyrzucił z siebie potężne przekleństwo. Wyglądało na to, że ktoś bezpośrednio przed jego zderzakiem chciał przebiec przez ulicę i o mały włos nie wpadł pod koła. Abel skinął głową swojemu nowemu kumplowi i podziękował cieniem uśmiechu. Potem podszedł do nadal otwartych drzwi i spojrzał na wąski pas asfaltu między autobusem a krawężnikiem, który wydawał się przesuwać niepokojąco szybko.

Jeżeli zwicznie sobie stopę lub, co gorsza, złamie nogę, to jego ucieczka zostanie zakończona, zanim się jeszcze tak naprawdę rozpoczęła. Jednakże jeżeli pozostanie w autobusie, to nie będzie miał żadnych szans przeciwko swoim prześladowcom.

Młody Naddniestrzanin krzyknął coś do Abła, co zapewne oznaczało „Skacz!” albo „No, teraz!” Porośnięta bezbarwnym włosiem łapa wystrzeliła nad jego ramieniem w kierunku Abła.

– Sorry! – krzyknął Abel i popchnął barkiem swojego, już teraz znowu byłego kumpla.

Młody człowiek wpadł na stojącego bliżej agenta. W górę wystrzeliły ramiona wiosłujące w powietrzu, rozległy się krzyki, jednym słowem: teoria domina została po raz kolejny potwierdzona w całej pełni.

W tym czasie Abel zeskoczył na chodnik, przez sekundę musiał walczyć o zachowanie równowagi, a

potem ruszył w tempie innych przechodniów wzdłuż ulicy.

Autobus, z dwoma mięśniakami wtłoczonymi we wściekłą ludzką masę, przyspieszył i zniknął, kiwając się na boki, za najbliższym zakrętem. Abel dostrzegł jeszcze, jak jeden z tych typów w garniturach wyjmując z kieszeni marynarki komórkę i przyciska ją do ucha.

**Tyraspol, centrum miasta.
Piątek 8 września godz. 6.28.**

Jak okiem sięgnąć: zapuszczone blokowiska. Nienaturalnie szerokimi chodnikami sunęły niemrawo do swoich miejsc pracy grupki mieszkańców Naddniestrza. Abel usiłował wtopić się w ten tłum, ale miał nieodparte wrażenie, że wyróżnia się jak kolorowa papuga.

Na czteropasmowej ulicy poruszało się tylko niewiele pojazdów. Terkotały motorowery, błękitne trabanty wypluwały z siebie obłoki słodkawo pachnących spalin. Prawdopodobnie było jeszcze za wcześnie na pracowników organizacji pozarządowych, w ich potężnych zachodnich limuzynach. Nie było także widać stróżów porządku, którzy stali wczoraj na każdym skrzyżowaniu.

Ale prośenie o pomoc policjantów i tak nie byłoby najlepszym pomysłem. Abel miał jeszcze przed oczyma obrazek, jak oficer policji salutował przed kierowcą minibusa Toyoty. Może Warwara Romani i Jewgienij wydali już nakaz jego zatrzymania.

Ulica wydawała się biec w kierunku północno-zachodnim. Jeżeli Abel będzie trzymał się tej trasy, to powinien, wcześniej czy później, dotrzeć do granicy. Ale na piechotę był zbyt wolny i zbyt rzucał się też w oczy. Poza tym powinien korzystać z nawigacji w swoim blackberry, żeby móc się zorientować w tym gąszczu ulic. Jednak wcześniej wyeksploatował trochę smartfon, zanim podłączył go znów do ładowarki w pokoju hotelowym. A po tak krótkim czasie bateria była z pewnością naładowana co najwyżej do połowy.

Przede wszystkim jednak musi usunąć się z widoku. Tylko jak? Dlaczego do cholery nie ma tu ani jednej taksówki?

W dżinsach, w jasnoniebieskiej koszuli, granatowej marynarce i czarnych sneakersach nie wyróżniałby się w żadnym z zachodnich miast. Tutaj jednak przyciągał spojrzenia. Wydawało się, że każdym włóknem wysyłał sygnał: jestem tu obcy.

Był sam i uciekał przed naddniestrzańskimi władzami.

Abel oglądał się za siebie co pięć kroków, przygotowany na widok czarnego range rovera ze wściekłym Jewgienijem za kierownicą. Albo kilku Toyot pełnych uzbrojonych po zęby agentów.

Nagle, z potężnym stęknieniem resorów, zatrzymała się obok niego przy krawężniku nadająca się już tylko na złomowisko łada. Abel spojrział jedynie przelotnie na samochód i szedł dalej. Pojazd, polakierowany na czerń karawanów pogrzebowych, wyglądał jak trumna na kółkach. Prawe boczne lustro było przymocowane taśmą klejącą, prawego przedniego światła w ogóle nie było. Abel podejrzewał, że lewa strona nie wyglądała lepiej. Cały samochód pełen był wgnieceń i plam rdzy, jak twarz dojrzewającego nastolatka pryszczami. Tylko że okres młodości tego sowieckiego pojazdu przypadał gdzieś na połowę zeszłego stulecia.

Ale kierowca nie dał się tak łatwo spławić. Z dudniącą rurą wydechową toczył się powoli obok Abła.

Pochylił się do okna po stronie pasażera, które było całkowicie opuszczone, czy też raczej po prostu kiedyś opadło. Kierowca był w średnim wieku, miał rzadkie czarne włosy i prawdopodobnie cierpiał na dolegliwości żołądkowe. Miał zapadniętą twarz i szarą skórę poraną ostrymi, pionowymi fałdami.

Człowiek ten wziął z siedzenia pasażera kawałek tektury i podniósł tak, żeby Abel mógł odczytać nakreślone na niej słowo. Z trudem odcyfrował „Taksi”.

– Taxi? – powtórzył z niedowierzaniem.

Kierowca potwierdził uśmiechem odsłaniającym brązowo zabarwione pozostałości uzębienia.

– To the border? – zapytał Abel z nadzieją, ale i sporą dozą nieufności. Mężczyzna ten wyglądał jak ograniczony umysłowo opryszek. Ale w porównaniu do Jewgienija i spółki robił wrażenie wręcz nieszkodliwego.

– Border, no problem – wymamrotał kierowca. – Me: Jossi! – Wskazał palcem na swoją zapadniętą klatkę piersiową. Potem wsunął rękę do tyłu między przednie siedzenia, wyginając się z zadziwiającą zręcznością, i otworzył tylne drzwi po stronie Abla. Jednocześnie jednak, z budzącym litość rżeniem zgasł silnik.

Wsiadanie do tego grata, to nie jest dobry pomysł, powiedział sobie Abel. *Ale czy mam inny wybór?*

Spojrzał szybko za siebie. Ruch na ulicy wzmógł się. Między motorowerami i motocyklami, przestarzałymi rosyjskimi samochodami małowitrazowymi i pojedynczymi nowoczesnymi zachodnimi limuzynami dostrzegł w pewnej odległości czarnego range rovera, za którym jechały dwa małe busy. Przejął go strach. Nie, nie miał wyboru. Otworzył skrzypiące drzwi i opadł na postrzępioną sztuczną skórę.

– Go! – powiedział. – To the border! Hurry up! – zmotywował Jossiego, który gorliwie potakiwał, pokazując swój szczerbaty uśmiech.

Brudna osłona przeciwsłoneczna po stronie pasażera była opuszczona. Znajdowało się tam oryginalne lustro pochodzące jeszcze z czasów Breżniewa. Pęknięcia na nim wyglądały jak sieć pająka.

– Do Bender, okay? – poganiał kierowcę Abel. – No, ruszaj!

Miał ochotę złapać Jossiego za ramiona, które rysowały się kościście pod swetrem, i potrząsnąć nim. Ta malowniczo wręcz zniszczona część ubrania ozdobiona była białymi i niebieskimi pasami.

Abel przesunął się na swoim siedzeniu możliwie daleko do tyłu, na ile pozwalała przestrzeń w pojeździe i długość jego nóg. W pokrytym pajęczyną pęknięć lustro w osłonie przeciwsłonecznej mógł obserwować ulicę za sobą.

Jossi przekręcił kluczyk w stacyjce, co wywołało rżący odgłos rozrusznika. W skupieniu wsłuchiwał się w dźwięki wydobywające się spod maski i potakiwał przy tym odwróconą przez ramię głową w stronę Abla. Wreszcie, po całej wieczności oczekiwania, silnik zaskoczył. Brzmiało to jak kaszel nałogowego palacza. W lusterku widać było przez moment tylko czarno-niebieską chmurę dymu, a kiedy się roziała, Abel zobaczył range rovera.

Abel jeszcze głębiej wcisnął się w siedzenie. Za kierownicą potężnego SUV-a siedział Jewgienij, u jego boku pani wicegenerał. Ich pojazd był co najwyżej trzy, cztery długości samochodu za nimi. Jewgienij odsłonił zęby, wyglądał przerażająco. W tym czasie Jossi ruszał dźwignią zmiany biegów przypominającą spacerową laskę. Dochodzący przy tym odgłos świadczył o straszliwym tarcu zębatek o siebie. Ale potem nagle wszedł pierwszy bieg, a śmiertelnie ranny wehikuł zrobił skok do przodu. Jossi skinął Ablowi głową z uśmiechem i chciał już ruszyć.

Abel położył mu dłoń na ramieniu.

– Wait a moment – powiedział.

Range rover przewalił się obok nich, a za nim dwa minibusy Toyoty. Agenci przyklejali wręcz nosy do szyby, tak intensywnie wypatrywali Abla. Najwidoczniej jednak nie wpadli na pomysł, że mógłby schronić się w zardzewiałym gruchocie, tuż obok nich.

Abel pogratulował sobie przypadku, który we właściwym czasie zesłał mu tę taksówkę. Nawet jeżeli

był to najgorszy gruchot na świecie, a w innych warunkach kierowca nie zasługiwałby wręcz na tyle zaufania, żeby powierzyć mu podręczny bagaż.

 Nie mówiąc już o własnym życiu.

**W taksówce, w drodze do granicy.
Piątek 8 września godz. 6.53.**

Sprężyny resorów auta pojękiwały na każdej dziurze w jezdni, a zawieszenie pod siedzeniem Abła odpowiadało im pełnymi skargi dźwiękami. Obicia ze sztucznej skóry, w połączeniu z ciepłem jego ciała stanowiły taką kombinację napotną, że ubranie Abła już po krótkim czasie było całe wilgotne. Mimo to nie zdjął marynarki, ponieważ miał w niej cały dobytek, jaki mu pozostał. Pas bezpieczeństwa okazał się po krótkiej inspekcji bezużyteczny; na końcu zamiast zatrzasku miał zawiązany podwójny węzeł. Abel z równą uwagą obserwował tylne lusterko i ulicę przed sobą. Ale koniec końców zaczął się jednak trochę odprężyć.

Od czasu, kiedy mały konwój przejechał obok nich, wydawało się, jakby Jewgienij, pani wicegenerał i obydwie minibusy pełne agentów zapadli się pod ziemię. Na paru skrzyżowaniach Abel zauważył posterunki policji, ale nikt nie interesował się Jossim i jego rzeźącym gratem.

Na ile Abel potrafił odcyfrować napisy w cyrylicy na drogowskazach, to jechali prosto do miasta Bender na pograniczu. Ze swojej wczorajszej jazdy w range roverze Abel zapamiętał kilka charakterystycznych budowli z czasów stalinowskich i pomników Lenina.

Bez problemów zostawili za sobą miasto i jechali teraz czteropasmową drogą szybkiego ruchu, którą Abel także już znał. Kiedy mijali zamknięty zjazd do nieczynnej fabryki koszmaru, mimowolnie wstrzymał oddech. Jednak również i tam, gdzie wczoraj roіło się od mundurowych, dzisiaj nie było widać ani jednego policjanta. Z drugiej strony Warwara Romani i Jewgienij nie mieli żadnego powodu przypuszczać, że właśnie tutaj, gdzie bracia Stiepanow zostali tak okrutnie zamordowani, będzie szukał schronienia.

Przed nimi pojawiały się już przedmieścia Bender. To przygraniczne miasto i Tyraspol praktycznie łączyły się ze sobą. Niedaleko stąd powinna płynąć rzeka Dniestr, która stanowiła naturalną granicę z Mołdawią.

Z lektury dokumentacji Abel zapamiętał, że po tej stronie Dniestru rozciąga się pas lasów, niezbyt szeroki, ale bagnisty i w przeważającej części trudny do sforsowania. Kiedy przeglądał pobieżnie te geograficzne informacje, do głowy by mu nie przyszło, że będzie ich kiedyś potrzebował w praktyce.

Teraz jednak będzie musiał znaleźć wzdłuż brzegu Dniestru miejsce, w którym można niepostrzeżenie przekroczyć linię demarkacyjną. Przejście przez jeden z oficjalnych punktów granicznych z paszportem wydawało się wprawdzie bardzo pociągające, ale z pewnością nie był to dobry pomysł. Długie ramię wicegenerał Romani z pewnością sięgało aż tutaj. Żołnierze ochrony granic z rosyjskich „oddziałów pokojowych” z pewnością go aresztują i wydadzą Jewgienijowi i jego zabójcom. Abel wołał sobie nie wyobrażać tego, co zrobi z nim wtedy ten naddniestrzański Bruce Willis. W każdym razie byłby to co najmniej nietuzinkowy spin-off Szklanej pułapki.

Wielkie dzięki, ale nie skorzystam, powiedział do siebie Abel.

Jossi po raz kolejny usiłował wciągnąć go w rozmowę. Na wstępie zawsze stukał się w pierś, dając

tym samym do zrozumienia, że bohaterem opowiadanej anegdoty będzie on sam. Jednakże jego angielski był całkowicie niezrozumiały, a Abel nie był zwolennikiem tego typu pogaduszek, a już z pewnością nie takich prowadzonych za pomocą rąk i nóg. Przede wszystkim jednak walczył ze zmęczeniem.

Adrenalina w jego żyłach prawdopodobnie już się skończyła, nie lepiej też wyglądały zapasy kortyzolu. Im bardziej malało w nim napięcie, tym bardziej groziło mu obezwładnienie przez sen. Nie spał już od trzydziestu godzin, a przez piętnaście dokonywał obdukcji, bez większej przerwy, ale za to w katastrofalnych warunkach i przy maksymalnym stresie. Jego system nerwowy chciał tylko jednego: natychmiastowego wyłączenia, a jego cały organizm krzyczał o głęboki sen. Abel miał problemy, żeby utrzymać oczy otwarte, podczas gdy Jossi jechał wąską drogą, która właściwie była polną ścieżką.

Zaraz, zaraz, coś tu się nie zgadza, pomyślał Abel. Dlaczego nie jesteśmy już na drodze szybkiego ruchu?

Jego mózg pracował z takim trudem, jak prastary silnik łady. Usiłował sobie przypomnieć, kiedy i dlaczego zjechali z drogi szybkiego ruchu. Ale zanim zdołał dojść do jakiegokolwiek wniosków, Jossi znów skręcił, tym razem na leśną drogę posypaną żwirem.

– Hej, co to ma znaczyć?! – zawołał Abel. – Gdzie ty jedziesz, do cholery?!

Jossi zacisnął wargi, wrzucił trzeci bieg i dodał gazu. Silnik zawył i Abel został wciśnięty w oparcie siedzenia. Spod kół wystrzeliwał żwir. Samochód jęczał i zawodził jak stado duchów ze średniowiecznego zamków.

Czyżby Jossi także należał do tajnych służb? Dostał zadanie odstawienia mnie z powrotem do Jewgienija?

Abel szarpał za dość wątle wyglądającą klamkę i napierał ramieniem na drzwi. Albo były specjalnie zablokowane, albo się zakleszczyły, co w sumie wychodziło na to samo. Naciskał i uderzał w nie całym ciałem, ale nie ustąpiły nawet o centymetr.

W tej sytuacji Ablowi pozostało tylko jedno: musiał zmusić w jakiś sposób Jossiego do zatrzymania auta. W razie konieczności przemocą.

Pędzili osiemdziesiąt kilometrów na godzinę po drodze wysypanej tłuczniem. Z obu stron uderzały o szyby gałęzie, a Jossi z trudem utrzymywał samochód na tej wąskiej drodze. Jeżeli Abel chwyciłby go za gardło albo zadał mu cios, to z całą pewnością uderzyliby w drzewo. Z pewnością odnieśliby ciężkie, a może nawet śmiertelne obrażenia.

Podczas gdy Abel zastanawiał się, co robić, Jossi skręcił nagle gwałtownie w lewo.

Abel uderzył głową w szybę po prawej stronie. Przez kilka sekund był ogłuszony. Obmacał czoło. Miał rozciętą skórę nad prawą brwią i z rany spływała mu do oka krew.

Zanim znów zaczął cokolwiek widzieć, drzwi obok niego zostały gwałtownie otwarte. Ktoś złapał go za ramię i brutalnie wyciągnął na zewnątrz. Jak przez mgłę, co wynikało z krwi zalewającej mu oko i skutków ogłuszenia, Abel dostrzegł postawnego mężczyznę w szarej kurtce.

A więc jednak! – pomyślał. Ukartowana gra! Rzekomą taksówkę podesłał mi Jewgienij lub Romani.

Usiłował się wyrwać, ale mężczyzna trzymał go w żelaznym uścisku. Abel ukucnął i chciał zadać uderzenie wyprostowanymi palcami w splot słoneczny przeciwnika, ale w tym samym momencie otrzymał cios w tył głowy. Poczł jeszcze, jak załamują się pod nim nogi. Zanim uderzył o ziemię, wszystko wokoło rozpląnęło się w mroku.

**Niedaleko Bender,
zagłębienie nieczynnych kamieniołomów.
Piątek 8 września godz. 13.33.**

Mężczyzna był prawie nagi, a jedyną częścią jego ubrania były bokserki ubrudzone krwią i ekskrementami. Leżał na stole, który po stronie głowy był silnie przechylony do dołu. Mężczyzna był przywiązany do stołu za ręce i nogi; dodatkowo jego głowa była unieruchomiona żelazną obręczą przebiegającą przez czoło.

Na jego twarzy leżała szara szmata. Jakiś człowiek, znajdujący się poza zasięgiem wzroku Abła, polewał nieustannie wodą i tak już przemoknięty materiał i chrząkał przy tym z zadowoleniem.

Abel straszliwie się bał. Część jego świadomości wiedziała, że tylko śni, ale to mu nie pomogło przewyciężyć paraliżującego przerażenia. Czuł się tak, jakby sam miał się za chwilę udusić. Mimo że tamten mężczyzna leżał na plecach, Abel wyraźnie widział jego doły podkolanowe, jakby wykręcono mu nogi i odwrotnie włożono ponownie w panewki stawowe. To było przerażające, podobnie jak zaczerwienione miejsca po nakłuciach igły pod lewym kolanem, od których Abel nie mógł wręcz oderwać wzroku.

Jednak najbardziej ze wszystkiego obawiał się tej chwili, kiedy nieznajomy ściągnie płachtę z twarzy tego mężczyzny. Chociaż Abel intensywnie głowił się nad tym, czyja twarz się wtedy ukaze, nie był w stanie tego odgadnąć. I dlatego tak bardzo obawiał się tej chwili.

Rzucił się na wszystkie strony. Chciał się poderwać do góry, użyć swoich rąk i nóg, kiedy nagle zamarł w bezruchu. Dreszcz przerażenia przeniknął całe jego ciało. Jego dłonie i nogi były przywiązane! Człowiek leżący na stole i torturowany za pomocą waterboardingu to był właśnie on!

Ktoś jednym ruchem zdjął ścierkę z twarzy mężczyzny. Abel jęknął głośno – rzeczywiście to był on, a jego twarz wyglądała, jakby obrabiała ją heblami i pilnikami horda szaleńców. Skóra była całkowicie zdarta, odsłaniając ciało w stanie zapalnym, miejscami już przegniłe, tak że widać było kości...

Chociaż część Abła wiedziała przez cały czas, że to tylko sen, to jednak potrzebował dobrych kilku minut, żeby zorientować się, gdzie jest. Po twarzy spływał mu zimny pot, serce waliło jak szalone. Leżał w piaszczystym zagłębieniu, bezpośrednio pod ścianą z ociosanego czerwonego kamienia.

Zapewne kamieniołomy, ale jak ja się tu znalazłem? Zamazane obrazy z pamięci mieszały się z urywkami jego snu. Jossi i Łada. Samochód pędzący po leśnej drodze. A pośród tego wszystkiego jego straszliwie zniekształcona twarz, wyłaniająca się spod szmaty. Potem musiało dojść do rękoczynów, a on został znokautowany. W każdym razie tutaj urywały się jego wspomnienia.

Z tyłu głowy czuł silne pulsowanie. Nadal był nieco ogłuszony, ale jego mózg zaczął powoli ponownie funkcjonować. Prawe oko miał sklezione, prawdopodobnie zaschniętą krwią. Przez chwilę mrugał oczami i wykrzywił twarz, żeby zobaczyć cokolwiek.

Kilkanaście kroków od niego, na blokach skalnych siedziało w kręgu trzech mężczyzn. Między nimi stał większy głaz, który służył zapewne za stół. Gdyby mieli długie brody i kudłate futra, mogliby

uchodzić za myśliwych z epoki kamiennej. Ale ich ubrania nie były aż tak egzotyczne.

Dżinsy, swetry, tenisówki, wszystko bardzo zniszczone. Najsilniejszy z tego tria, którego Abel, ze względu na gestykulację i mimikę, uznał za przywódcę, miał na sobie dodatkowo tanią kurtkę skórzaną w dziwnym odcieniu szarobrązowym.

Widok ten pomógł mu odzyskać pamięć. Zanim został ogłuszony, ostatnie, co widział, to właśnie ta szara kurtka przywódcy. Wcześniej uderzył głową o szybę w samochodzie i dlatego był już wcześniej zamroczony. Z tego powodu właśnie myślał, że wpadł w ręce Jewgienija i jego hordy w szarych garniturach. Ale kimkolwiek byli ci faceci, wyglądało na to, że nie mają nic wspólnego z tajnymi służbami.

Ten po lewej na kamieniu to Jossi, pomyślał Abel.

W dokumentacji przeczytał, że w Naddniestrzu porwania nie są niczym rzadkim. Porywacze żądali od dwudziestu tysięcy do ćwierć miliona euro okupu – w zależności od tego, czy złowili zwykłego turystę z plecakiem, czy też wysokiego rangą przedstawiciela organizacji pozarządowej.

Niech to szlag, pomyślał Abel. *Zamienił stryjek siekierkę na kijek!*

Ostrożnie poruszył rękami, które miał mocno związane za plecami. Leżał na prawym boku. Także jego stopy były tak ciasno skrępowane, że krew z trudnością do nich dochodziła, a dodatkowo założono mu także kajdanki.

Mimo niezbyt pomyślnej sytuacji Abel nabrał jednak otuchy. Węzły dawały się poluzować, kiedy poruszał nadgarstkami i je rozciągał. Wyglądało na to, że nie złapali go ani agenci, ani też zawodowi przestępcy. Profesjonaliści zastosowaliby węzły, które zaciskałyby się przy próbie rozciągnięcia, albo od razu użyłoby opasek zasikowych do kabli.

Jossi i jego kumple rozmawiali wyraźnie podnieceni. Prawdopodobnie nie zauważyli jeszcze, że ich zdobycz dnia doszła już do siebie. Mówili ze sobą po rosyjsku, dlatego Abel nie rozumiał praktycznie ani słowa. Mężczyzna o byczym karku, który siedział naprzeciwko Jossiego, nazywał się najprawdopodobniej Talip. Miał ogromny brzuch, który wylewał mu się zza paska jak wrzód, i nawet na siedząco miał problemy z oddychaniem. Gdyby Ablowi udało się ucieczka, to wymarzonym ściągającym byłyby właśnie Talip. W razie czego poradziłyby sobie także z rachitycznym Jossim. Zupełnie innego kalibru był natomiast ich przywódca w szarobrązowej kurtce, którego dwaj pozostali nazywali Ilją. Z wydatnymi brwiami nad silnie wybałuszonymi oczami przypominał byłego szefa sowieckiego państwa Breżniewa.

Abel zaczął udawać atak kaszlu. Przywódca natychmiast się podniósł i podszedł do niego szerokim, kowbojskim krokiem.

– You okay? – zapytał i pochylił się nad Ablem. Oparł przy tym obie dłonie o uda i intensywnie przypatrywał się Ablowi z uśmiechem, który mógłby wręcz uchodzić za życzliwy.

– Ściga mnie wasza tajna służba! – powiedział do niego Abel po angielsku agresywnym tonem. – Wicegenerał Warwara Romani, mówi ci coś to nazwisko? Osobiście pourywa wam głowy, jeżeli natychmiast mnie nie wypuścicie!

Ilja jeszcze niżej pochylił się do Abła. Z bliska był jeszcze bardziej podobny do Breżniewa w średnim wieku.

– You rich?

Abel szarpnął swoimi więzami.

– Nie rozumiesz, durniu? Oni nas wszystkich zabijają!

Ilja wyprostował się znowu i uderzył w pierś.

– I kidnap! – oznajmił z wyraźnym zadowoleniem. – You my prey. You bring me lot of ransom! Two hundred thousand euro!

Zatarł ręce i spojrzał promiennie na Abła, ruszając brwiami.

Abel jęknął sfrustrowany. Przywódca warknął jakiś rozkaz, a Jossi i Talip podeszli do niego. Obaj

opryszkowie ukucnęli po jego lewej i prawej stronie, odwrócili go na plecy i obmacali kieszenie.

Leżenie na związanych z tyłu rękach i podudziach było bolesne, ale Abel zacisnął zęby. Jossi i Talip szperali w jego kieszeniach, zabrali mu smartfon i portfel, wyjęli nawet drobniaki z małej kieszonki w dżinsach.

Abel przycisnął ramię do sygnetu ukrytego w tajnym schowku. Zmusił się do regularnego oddychania, podczas gdy Talip obmacywał jego marynarkę w poszukiwaniu kolejnych kieszeni. Znow przez jego głowę przemknęły strzępy niedawnego snu. Jego podświadomość wymieszała sprawę Stiepanowów z dwoma pozostałymi przypadkami, jakimi zajmował się przed wyjazdem z Berlina. Mężczyzna w jego śnie, tak jak było to w przypadku ofiar Katza alias Lenskiego, miał ślady po nakłuciach w okolicy dołów podkolanowych; był torturowany za pomocą waterboardingu, tak jak zamordowani sprzątacze w budynku berlińskiego parlamentu; oraz, tak jak w przypadku zabitych w kontenerze z wapnem, jego twarz była straszliwie zniekształcona i częściowo odarta ze skóry i mięśni.

Ale to nie była moja twarz, pomyślał Abel. *To tylko tak wyglądało, bo to koszmar senny*. Ludzka twarz przeżarta niegaszonym wapnem i daleko zaawansowanym procesem rozkładu nie wykazuje już indywidualnych cech charakterystycznych.

Mimo to sen ten był czymś więcej niż tylko bezsensownym produktem jego skołowanej psychiki i napiętych do granic możliwości nerwów. O tym Abel był przekonany. Jego podświadomość chciała w ten sposób przekazać mu wskazówkę. Jednak na razie nie rozumiał nawet w przybliżeniu, czego ta wskazówka miałyby dotyczyć. Być może te sprawy jakoś się ze sobą łączyły? Ale czy to miało sens? A może jednak było jakieś połączenie, przynajmniej między dwiema z nich? Być może między Lenskim a Burkianowem? Także Lenski miał sporo wspólnego z Rosją. Czy to coś więcej niż tylko banalny zbieg okoliczności? A może istniało po prostu zbyt wiele otwartych kwestii w tych sprawach, a jego wyczerpany organizm potrzebował pilnie odpoczynku?

Talip dosyć brutalnie odpiął skórzany pasek od zegarka na nadgarstku Abła, ale on prawie tego nie zauważył. Myślami był nadal przy owej wiadomości, jaką przekazał mu sen – jego intuicja. *Niestety znowu niezbyt klarownie*, pomyślał.

Potem przypomniał sobie Uliego Döpfnera. Kumpla Lenskiego z czasów studenckich, którego dane kontaktowe odnalazła pani Hübner. Od Uliego Döpfnera mógłby się być może dowiedzieć, gdzie schował się Lenski – ale nie tylko tego.

Ilja przywołał do siebie swoje pieski, które grzecznie aportowały zdobycze. Wszyscy trzej znowu zasiedli wokół kamiennego głazu, który służył im za stół.

Abel znow skierował całą swoją uwagę na bezpośrednie otoczenie. *Cokolwiek moja podświadomość chciała mi przekazać*, pomyślał, *jedną pożyteczną wskazówkę mogę już odczytać: jeżeli ktokolwiek jest w stanie ustalić tożsamość absolwenta MGIMO o numerze 73551, to jest nim komputerowy maniak Uli Döpfner. W każdym razie jest to wystarczający dobry powód, żeby nawiązać z nim kontakt*.

W tym czasie Ilja badał zawartość portfela Abła. Wyjmował jedną po drugiej karty kredytowe, karty EC i gotówkę i ułożył wszystko przed sobą obok zegarka i smartfona.

Na końcu wyjął z portfela Abła jaskrawoczerwony paszport z napisem „*Paszport służbowy – Official Passport*”. Wyglądało na to, że zarówno niezwykajny kolor, jak i napisy skonfundowały nieco całe trio. Wymieniali spojrzenia. Talip wygłosił dłuższą tyradę nieco zafrasowanym tonem, w której kilka razy padło słowo „diplomacji”, albo coś w tym rodzaju.

Ilja wrzasnął coś do Jossiego. Chudy mężczyzna z głębokimi bruzdami na twarzy, zrobił poważną minę, odwrócił się do Abła i przypatrywał mu się jak sztuce bydła. Podniósł się ze swojego kamienia, podszedł do Abła i okrążył go, podtrzymując przy tym podbródek dłonią, w pozie myśliciela. Abel obserwował ze zdumieniem to pozerskie przedstawienie.

– Tourist! – wyrzucił z siebie w końcu Jossi i wskazał palcem na Abła. – You tourist, your family pay!

– No! – krzyknął Abel. – Nie, do cholery! Zaprosił mnie wasz prezydent!

Ale Jossi wrócił już do swoich kumpli. Ilja przesuwał przedmioty należące do Abła po kamiennym stole w tę i z powrotem, a potem trójka zaczęła kłócić się o podział łupów.

**Niedaleko Bender,
zagłębienie obok nieczynnych kamieniołomów.
Piątek 8 września godz. 14.52.**

Kiedy Abel znów przyszedł do siebie, huczało mu w głowie, jak w ulu. Paliło go gardło. Oblizął wargi, które były popękane z wysuszenia. Dlaczego zasnął? Jak długo spał? I dlaczego czuł się, jakby ponownie stracił przytomność? Bolała go nie tylko głowa, ale także ramiona i klatka piersiowa, kiedy usiłował się ostrożnie poruszyć.

Zagłębienie obok kamieniołomów leżało w pełnym słońcu. Abel zmrużył oczy i spojrzał w niebo. Jak na początek września było niezwykle ciepło. Słońce zaczęło już chylić się ku zachodowi. Szacował, że jest około trzeciej po południu.

– Wody! – wycharczał po angielsku. – Dajcie mi chociaż coś do picia, gnoje!

Ilja, Talip i Jossi nadal siedzieli w kucki wokół kamiennego stołu. Kiedy Talip wstał i sapiąc, począł w jego kierunku, Abel przypomniał sobie, dlaczego boli go prawie każda kość.

Wydierał się na porywaczy, żeby go puścili. Talip dał mu wtedy kopniaka w żebra i w związane ręce, ale Abel nadal krzyczał: „Oni nas wszystkich zabijają! Nie tylko mnie – także i was, durnie!” Wtedy Talip pochylił się do niego, opierając na udach swój wielki jak sflaczała piłka lekarska brzuch. Zacisnął prawą dłoń w pięść i tak mocno uderzył Abła w głowę, że znów wszystko wokół niego otoczyła ciemność.

– Wody! – powtórzył Abel ciszej i spojrzał Talipowi prosto w oczy. O ile Jossi był absolutnym nieudacznikiem, jeżeli idzie o znajomość ludzi, to Talip bez wątpienia był mistrzem w ich tłuczeniu. Zwłaszcza gdy jego przeciwnik miał związane ręce i nogi i był wycieńczony z pragnienia.

– You drink? – zapytał Talip. Abel przytaknął gorliwie. Wtedy grubas zaczął szukać swojego rozporoka.

Co to ma być? – pomyślał Abel. *Chce na mnie nasikać?* Już samo przebywanie w rękach porywaczy było wystarczająco nieprzyjemne – a w tym przypadku mogło szybko przekształcić się w zagrożenie życia, kiedy Jewgienij i spółka wpadną na jego trop. Jednak Abel wychodził dotychczas z założenia, że porywacze będą go traktowali w miarę poprawnie. Ale teraz okazało się, że na domiar wszystkiego przetrzymuje go jeden co najmniej, sadystyczny psychopata.

Talip nadal poszukiwał rozporoka, który był przykryty jego brzuchem, jak lawiną szlamu, kiedy Ilja wrzasnął do niego jakiś rozkaz. Talip zrobił niezadowoloną minę, zaprzestał poszukiwań i zamiast tego wyjął z kieszeni spodni blackberry Abła.

– You say PIN! – wyrzucił z siebie, sapiąc. – Or I beat shit out of you!

Abel nie potrzebował dużo czasu, żeby rozważyć oba te warianty. Ryzykowanie zdrowia dla przedmiotu, który można bez trudu zastąpić, było bezsensowną bohaterstwą. Talip z największą przyjemnością będzie go obrabiał nogami i pięściami, aż wyrzuci z siebie ten kod, wraz z kilkoma zębami. A przy odniesieniu poważniejszych obrażeń, na przykład złamaniu kości, Abel nie miałby najmniejszej szansy na dostanie się poza linię demarkacyjną, zanim siepacze Burkianowa wpadliby na jego trop.

– Wody – wycharczał znowu. – Daj mi wody, to dostaniesz PIN.

Ilja warknął kolejny rozkaz. Jossi podszedł do samochodu, który stał jakieś dwadzieścia metrów dalej na polanie, i wrócił z manierką. Ukucnął obok Abla i odkręcił blaszaną butelkę, której filcowa powłoka była tak poszarpana, że przypominała pajęczynę.

– Good drink – powiedział Jossi i przytknął mu butelkę do ust. Abel zaczął pić łapczywie, zamarł na moment, ale potem pił dalej. Nie była to czysta woda, lecz bardzo rozcieńczona wódka. Jednak Abel miał takie pragnienie, że gdyby było trzeba, wlałby w siebie nawet litr wina. *Zawartość alkoholu sprawi przynajmniej, że płyn w sporej części pozbawiony będzie bakterii*, powiedział sobie.

Kiedy wypił wszystko do ostatniej rdzawej kropli, Jossi wyprostował się po jego lewej stronie. W tej samej chwili pochylił się ku niemu Talip z prawej.

– PIN, now! – zażądał, sapiąc.

Abel podał mu czterocyfrowy kod. Talip pokiwał ciężko głową i znów się wyprostował. Zanim się odwrócił, żeby wdrapać na niewielkie wzniesienie, spojrzał demonstracyjnie na zegarek.

Na zegarek Abla, mówiąc dokładnie, model Swiss-Military, który Lisa kupiła mu w zeszłym roku na urodziny.

Wygląda na to, że udało im się uzgodnić podział łupów, pomyślał.

Także zegarek jest do zastąpienia; mimo to poczuł nieprzyjemne ukłucie, kiedy zobaczył go na nadgarstku oprawcy.

Muszę tylko dotrzeć do ambasady niemieckiej w Kiszyniowie, powiedział sobie, tam otrzymam niezbędną pomoc, włącznie z dokumentami zastępczymi i niezbędną gotówką na bilet powrotny, jeżeli będę musiał zostawić tu portfel.

Ale to wcale nie było jeszcze takie pewne. Abel przekręcił się na bok, tak że przodem był zwrócony do porywaczy. W ten sposób nie widzieli, jak nieustannie porusza związanymi na plecach rękoma. Przekręcał nadgarstki to w jedną, to w drugą stronę, prostował palce, zginał dłonie. Udało mu się już nawet wcisnąć kciuk do węzła, który znajdował się na jego lewym nadgarstku, dokładnie tam, gdzie zwykle nosił zegarek. Bez przerwy ciągnął i szarpał za pętlę, która stopniowo stawała się coraz większa.

Ilja, Jossi i Talip nie zwracali na niego uwagi. Uruchomili jego smartfon i wprowadzili PIN. Cała trójka poszeptywała coś między sobą i wpatrywała się w mały ekran.

Być może przeglądają listę moich kontaktów i zastanawiają się, od kogo najlepiej zażądać wypłaty okupu, pomyślał Abel.

Rozprawiali o czymś w podnieceniu. Ilja znowu wygłaszał wielkie przemowy, ale wydawało się, że jego autorytet podupada. Cała trójka sprawiała wrażenie niezdecydowanych. Zapewne byli w jeszcze mniejszym stopniu zawodowcami, niż przypuszczał to początkowo Abel. Być może było to ich pierwsze porwanie, a wcześniej nie zastanawiali się, w jaki sposób spieniężyć swoją ludzką zdobycz.

Węzeł na nadgarstku zaczął się rozwiązywać. Puls Abla przyspieszył, ale zmusił się do pozostania w tej samej pozycji co przedtem. Musiał poluzować także więzy na nogach. Następnie powinien poczekać na odpowiedni moment, kiedy jego strażnicy będą czymś bardzo zajęci. A do tego czasu musi także dokładnie zastanowić się, jak postąpić później. Poderwać się i pobiec jak najszybciej prosto do lasu przy granicy, który zaczynał się jakieś dwadzieścia kroków na prawo od niego? Czy też raczej spróbować wcześniej odzyskać portfel i komórkę?

Portfel leżał nadal na kamiennym głazie, który służył tej trójce cwaniaków za stół. *To byłoby jakieś dodatkowe dziesięć metrów do przebiegnięcia*, zastanawiał się Abel, *poza tym dosyć stromo pod górę*. Dopóki siedział tam Ilja i tych dwóch pozostałych, nie miał żadnej szansy na zabranie swoich rzeczy i udaną ucieczkę do lasu. Od razu rzucą się na niego i znów obezwładnią, ale wtedy Talip połamie mu wszystkie kości. Z obleśnego spojrzenia, jakie od czasu do czasu rzucał na niego ten grubas, Abel mógł bez trudu wyczytać, że Talip czeka tylko na odpowiednią okazję, żeby znowu zacząć go maltretować.

Abel bił się tak z myślami przez mniej więcej kwadrans, podczas gdy porywacze dalej wpatrywali się

w jego smartfon i przekrzykiwali wzajemnie. Wtedy nagle od wschodu rozległ się niezidentyfikowany odgłos. Początkowo było to tylko brzęczenie, które jednak szybko stawało się coraz głośniejsze. Wkrótce całe powietrze nad kamieniołomem zaczęło wibrować.

Ilja, Jossi i Talip poderwali się i zaczęli wpatrywać się w niebo. Robili wrażenie nie tyle przestraszonych, co zdziwionych, tak też czuł się Abel. Jednak, cokolwiek było źródłem tego metalicznego brzęczenia, był to dokładnie ten moment, na jaki czekał Abel.

Jednym ruchem uwolnił się z więzów. Rozmasował sobie dłonie i nadgarstki, w których poczuł silne mrowienie, kiedy krążenie zaczęło wracać do normy. Stopy miał jeszcze dosyć zdrętwiałe, ale to szybko się zmieni.

W tym momencie przed Ablem przemknął po ziemi podłużny cień z podobnymi do kikutów skrzydłami. Zdumiony spojrział w górę. Nad kamieniołomami unosił się dziwny obiekt latający. Abel pomyślał najpierw, że chodzi o zabawkę, ale to było zbyt duże. Poza tym poruszało się dokładnie w ich kierunku. Błysnęły oka kamer. Prawdopodobnie obiekt filmował wszystko, co działo się w jego otoczeniu.

Dron! – przeleciało przez głowę Abła. Wysłany przez Warwarę Romani lub Jewgienija, żeby mnie wytropić. Ale jak ten dron mnie zlokalizował?

I, co było jeszcze dziwniejsze, dlaczego leciał bezpośrednio na tę trójkę cwaniaków?

Abel nie czuł się jeszcze zbyt pewnie na nogach, gdy się poderwał i wbiegł na krótkie wzniesienie do porywaczy. Brzęczenie drona było teraz tak głośne, że przestępcy zauważyli Abła dopiero wtedy, gdy znalazł się bezpośrednio przy nich. Najprawdopodobniej byli całkowicie zaskoczeni. Popatrywali tylko na zmianę raz na niego, raz na drona.

– *Diplomatij!* – zawołał Ilja i potrząsnął pięścią w kierunku Jossiego. – Idiot!

Abel wyrwał mu swój blackberry, złapał portfel wraz z leżącym na kamiennym stole paszportem. Odwrócił się gwałtownie, znów zbiegł w dół tego krótkiego spadku i pognął, jak najszybciej mógł, w stronę lasu przy zachodnim brzegu zagłębienia.

Biegnąc, spojrział szybko za siebie. Trzej cwaniacy biegli, prawie potykając się o siebie, w stronę zdezelowanej łady Jossiego.

Dron zakreślił łuk i leciał teraz w niewielkiej odległości za Ablem, który szybko zniknął między gęsto rosnącymi drzewami.

Teraz jestem już z całą pewnością na polowaniu, przeleciało mu przez głowę. Ale nie jako myśliwy, tylko jako zwierzyna.

**Las w pasie granicznym nad Dniestrem.
Piątek 8 września godz. 15.13.**

W lesie nie było nawet ścieżki, tylko gęsto rosnące drzewa, a między nimi bagna, rozpadliny i potężne krzewy kolczaste, które ciągle zmuszały go do zmiany obranej drogi.

Abel kierował się mniej więcej na zachód, w stronę chylącego się ku horyzontowi słońca. W zasadzie powinien posuwać się bardziej w kierunku północo-zachodnim, żeby trafić od północnej strony Bender na rzekę graniczną. Poza miastem miał z całą pewnością lepsze szanse na przekroczenie Dniestru, nie będąc zauważonym przez żołnierzy ochrony pogranicza. Poza tym przebiegała tamtędy droga szybkiego ruchu do Kiszyniowa, o ile dobrze pamiętał.

Ale najpierw musiał uzyskać możliwie dużą przewagę nad prześladowcami.

W biegu wyłączył blackberry i wsunął go do wewnętrznej kieszeni marynarki. Bateria była naładowana jeszcze tylko do jednej trzeciej pojemności, a kiedyś nadejdzie moment, w którym będzie musiał pilnie zatelefonować lub wysłać SMS. W biegu sprawdził także swój portfel – był pusty z wyjątkiem złożonego na czworo banknotu stueurowego w wewnętrznej kieszonce, którą oprychy musieli przeoczyć.

Do granicy mogło być już tylko kilka kilometrów. Nadal miał dobre szanse na dotrzeć na mołdawski brzeg Dniestru. Nawet jeżeli pojawienie się drona mocno go zaniepokoiło.

W jaki sposób znalazł mnie ten cholerny aparat? Czy może ten dron wcale nie tropił jego, tylko porywaczy?

Przebiegł jakiś kilometr i zatrzymał się. Wytężył słuch, jednak nie usłyszał ani kroków nadbiegających prześladowców, ani brzęczącego odgłosu drona. Tym głośniejszy był jego oddech.

Pochylił się, oparł dłonie o uda i odczekał, aż uspokoi mu się oddech i stanie się regularny. Potem znów wytężył słuch.

Nic. Wyglądało na to, że zgubił drona. A jeżeli ktoś ścigał go na piechotę, musieli być to zawodowcy, którzy bezgłośnie poruszali się w tym terenie. Ilję, Jossiego i Talipa mógł już skreślić z listy ewentualnych ścigających. Jeżeli z kolei zmienili zdanie i postanowili go raz jeszcze porwać, to cały las rozbrzmiewałby ciężkimi krokami i sapaniem Talipa. Nie mówiąc już o wykrzykiwanych rozkazach Ilji i rachitycznym dyszeniu Jossiego.

Abel nadal miał potworne pragnienie, ale i to mogło poczekać, aż dotrze na zachodni brzeg rzeki. Niebo zaciągnęło się chmurami, tak że nie mógł już orientować się według położenia słońca.

Wyjął z kieszeni smartfon i włączył go, wprowadził PIN i włączył nawigację. Chciał tylko rzucić krótko okiem na mapę, żeby zorientować się mniej więcej w terenie, a potem od razu wyłączyć komórkę.

Po raz kolejny zastanawiał się, czy nie zadzwonić do Lisy, ale porzucił szybko tę myśl z tego samego powodu, co w hotelu. A co z Herzfeldem albo kimś z Federalnego Urzędu Kryminalnego? Czy powinien poinformować ich o swoim przykrym położeniu? Pomysł taki był pociągający, ale tylko na pierwszy rzut oka. Oczywiście, że wtedy spróbują go stąd wydostać. Ale z drugiej strony wołał raczej nie wyobrazać

sobie komplikacji natury wewnątrzpolitycznej i zagranicznej, jakie by to wywołało.

Wielkie dzięki, pomyślał. To już raczej wolę sam spróbować się przedrzeć, żeby później nie musieć tłumaczyć się przed biurokratami i komisjami dochodzeniowymi. Gdybym poszedł tą oficjalną drogą, to istnieje bardzo realne niebezpieczeństwo, że Warwara Romani dowie się o moim miejscu pobytu, a jej psy gończe natychmiast mnie zlikwidują.

Kiedy na displayu blackberry pojawiał się mapa, stwierdził, że jest mniej więcej na właściwym kursie. Około czterech kilometrów od tego miejsca przepływał Dniestr. Jednakże obszar przybrzeżny na długości pięciu kilometrów stanowiły bagna nie do przebycia. Żeby uwypuklić to zagrożenie, kartografowie oznaczyli ten teren trójkątnymi symbolami z napisem „*Danger!*” Tak więc Ablowi nie pozostawało nic innego, jak tylko przejście najpierw około pięciu kilometrów w kierunku północnym, a potem ponowne skręcenie na zachód.

Była to spora przeszkoda, która będzie kosztowała go dodatkowe kilka godzin drogi. Zaczął szukać punktów orientacyjnych, które ułatwiłyby mu odnalezienie właściwej drogi, kiedy nagle ponownie usłyszał metaliczne brzęczenie. Zbliżało się od wschodu i szybko stawało się coraz głośniejsze.

Jak do diabła ten dron znowu mnie namierzył? Abel spojrzął na wierzchołki drzew. Nie zauważył żadnego latającego urządzenia, ale brzęczenie było jednoznaczne.

Jego spojrzenie padło na smartfon, który trzymał w dłoni. *Oczywiście, ta cholerna maszyna lokalizuje mnie przy pomocy GPS-a!*

Wyłączył szybko swój blackberry i schował do kieszeni. Aż pokręcił głową, dziwiąc się własnej głupocie. Powinien wpaść na to już dawno!

Znów wyteżył słuch, ale dron już się nie przybliżał. Wyglądało na to, że krążył kilka minut bez celu nad drzewami, a potem zawrócił. Z coraz cichszego odgłosu brzęczenia Abel wnioskował, że aparat oddala się powoli w kierunku wschodnim.

Jak długo smartfon jest wyłączony, pomyślał, tak długo tu w lesie dron jest dla moich prześladowców mniej lub bardziej bezużyteczny.

W zasadzie była to dobra wiadomość. Właściwie to nie potrzebował nawigacji, żeby zorientować się w terenie. Kiedy przechodził szkolenie na zwiadowcę w Bundeswehrze, nauczył się wielu pożytecznych rzeczy. Ćwiczone ich wtedy w myleniu tropów, przemieszczaniu się w terenie i przechodzeniu przez linię wroga w sposób niewidoczny dla przeciwnika. I to bez żadnych technicznych środków pomocniczych, takich jak kompas, lornetka, broń palna czy telefony komórkowe, których w tamtym czasie – na początku lat osiemdziesiątych – i tak jeszcze nie było. Zwiadowcy stanowili operującą w ukryciu elitarną jednostkę Bundeswehry, która w okresie zimnej wojny odgrywała znaczną rolę strategiczną. W przypadku, wówczas wcale nie tak nieprawdopodobnej, okupacji Niemiec Zachodnich przez wojska bloku wschodniego żołnierze tej jednostki mieli przeczekać w ukryciu na granicy niemiecko-niemieckiej inwazję wroga, żeby potem uprawiać sabotaż na jego tyłach i możliwe silnie dezorganizować jego szereg.

To było jednak dawno temu, pomyślał Abel. W szczytowym okresie swoich umiejętności żołnierskich mógłby spokojnie walczyć z członkami elitarnych oddziałów wrogich nacji, jednak dzisiaj umiejętności te dawno już zagubił. Mimo to jednak uważał, że jest jeszcze w stanie wyprowadzić w pole takich amatorów jak Ilja & Co. albo, w razie konieczności, także hordę agentów Jewgienija. Jednak jeżeli naślą na niego oddziały Specnazu, legendarnej elitarniej jednostki rosyjskiego wywiadu wojskowego, wówczas jego szanse na dotarcie żywym do Dniestru stawały się co najmniej niewielkie. Żeby nie powiedzieć: równe zeru.

Abel, znów zaniepokojony, rozejrzał się na wszystkie strony. *Kiedy poruszasz się po lesie i nie słyszysz za sobą najmniejszego trzasku gałęzi, nie mówiąc już o krokach czy głosach, może to oznaczać, że nikt cię nie ściga. Albo też, że tropią cię specjaliści wytrenowani w polowaniu na ludzi – wtedy może się zdarzyć, że w chwili, w której będziesz uważał się za bezpiecznego, poczujesz wylot lufy*

pistoletu na karku. Albo dostaniesz cios nożem od tyłu między żebra.

Abel musiał walczyć z nagłym atakiem paniki. *Z tym potrafisz sobie radzić*, napominał siebie samego.

Nie tak dawno spotkał się z Larsem Moewigiem, starym kumplem z okresu służby w Bundeswehrze. Rozmawiali między innymi o mentalnych technikach pomagających w unikaniu wpadania w panikę w niebezpiecznych sytuacjach, jakich nauczyli się w swojej kompanii zwiadowców. Lars Moewig był przez jakiś czas zawodowym żołnierzem i uczestniczył w różnych akcjach zbrojnych w Afganistanie i w innych obszarach kryzysowych i objętych działaniami wojennymi. Abel chciałby bardzo mieć go teraz obok siebie.

Ale jesteś zdany na samego siebie, powiedział do siebie. *Z tym także nauczyłeś się sobie radzić.*

Kiedy znów ruszył w drogę, zwracał uwagę na to, żeby oddychać równomiernie: ani zbyt głęboko, ani zbyt płytko. Samokontrola była w dużej mierze kwestią techniki oddychania. Kiedy człowiek się boi, ma skłonności albo do hiperwentylacji, albo wręcz przeciwnie, do hipowentylacji, czyli do mimowolnego wstrzymania oddechu i niedostarczania w ten sposób płucom odpowiedniej ilości tlenu. Obydwa te zjawiska mogą prowadzić do ataków paniki i zaburzeń postrzegania.

Niebo zasnuło się tymczasem gęstą warstwą chmur. W razie konieczności Abel mógł skonstruować prymitywny kompas, żeby móc się orientować w terenie bez nowoczesnych instrumentów. Zamierzał jednak iść stale w kierunku północno-zachodnim, a w tym przypadku istniały łatwiejsze metody, które sprawdziły się w praktyce podczas jego całodniowych ćwiczeń jako zwiadowcy w Bundeswehrze.

Pnie drzew są zawsze porośnięte mchem po tej stronie, która jest najmniej narażona na oświetlenie promieniami słonecznymi, a w lasach Europy Środkowej to właśnie północny zachód. Tak więc podczas marszu musiał tylko uważać na warstwy mchu na drzewach – wtedy z pewnością będzie na właściwym kursie.

Abel maszerował już prawie trzy godziny, i w tym czasie nie zauważył żadnych oznak ewentualnego pościgu. Jednak nie łudził się zbyt. Warwara Romani i jej agenci nie pozwolą mu tak łatwo się z tego wywinąć.

Poruszał się jeszcze wolniej, niż się tego wcześniej obawiał. Nieustannie musiał omijać zapadliny albo niekończące się kolczaste krzewy. Z każdym krokiem, jaki robił w kierunku północno-zachodnim, grunt stawał się coraz bardziej grząski. Wkrótce ziemia zrobiła się wręcz mokra pod jego podeszwami. Odciski jego sneakersów, jakie pozostawiał w bagnistej ziemi, wypełniały się teraz wodą.

Abel napił się kilka garści tej ziemistej cieczy. Smak nie był zachwycający, ale przynajmniej złagodziło to jego pragnienie. Poza tym bagniste podłoże było dobrą oznaką, która dowodziła, że zbliża się do Dniestru. Jednak droga przez ten rozmiękły teren była coraz bardziej uciążliwa, z każdym krokiem zapadał się prawie po kolana. Nie mówiąc już o tym, że pozostawiał za sobą bardzo widoczne ślady.

Zaczęło się zmierzchać, kiedy Abel nagle zamarł. W powietrzu wisiał jakiś zapach, który nie wróżył niczego dobrego. Bardzo słaby zapach, ale jednoznaczny.

Zapach dymu papierosowego.

**Las w pasie granicznym nad Dniestrem.
Piątek 8 września godz. 18.07.**

Zaalarmowany Abel ukrył się za drzewem. Z pewnością nie był to przypadek, że tu, w lesie, krótko przed zapadnięciem zmierzchu ktoś się kręci. Jego prześladowcy musieli go wytropić. Po tym, jak dron odnalazł go w lesie nadgranicznym, dla Jewgienija i Warwary Romani wszystko było jasne.

Abel przypomniał sobie, jak podczas podstawowego szkolenia w międzynarodowej Szkole Zwiadowców w Weingarten wpajano im, żeby podczas akcji nigdy nie palić. Na wolnym powietrzu zapach dymu papierosowego można wyczuć w promieniu dochodzącym do trzystu metrów.

Nie są to przynajmniej członkowie elitarniej jednostki, pomyślał Abel. Agenci Specnazu nigdy nie paliliby i nie rozmawiali ze sobą podczas pościgu. Ci chłopcy pojawiliby się nagle za mną, tak że nie miałbym najmniejszej szansy zauważenia ich wcześniej.

Tymczasem zapach stał się tak intensywny, że ścigający musieli znajdować się co najwyżej w odległości stu metrów od niego. Abel wyteżył słuch i zlokalizował głosy dwóch mężczyzn rozmawiających ze sobą szeptem. Niski bas i dużo wyższy głos, przenikliwy, jak szczekanie teriera.

Nerwowo rozejrzał się w dookoła. Przez cały dzień musiał obchodzić przeszkody, i akurat tutaj nie było ani zapadlisk ani kolczastych krzewów, które mogłyby posłużyć za kryjówkę.

Pozostaje więc tylko jedno, pomyślał Abel. Muszę ich zgubić.

Tymczasem obaj mężczyźni byli już tak blisko, że można było rozpoznać ich sylwetki między drzewami. Jeden z nich był potężnej postury, drugi mały i chudy. Szli po jego śladach stóp, które nadal były bardzo wyraźne w podmokłym terenie, ale jeszcze go nie zauważyli. Mimo odległości wynoszącej około pięćdziesięciu, sześćdziesięciu metrów Abel był pewny, że nie jest to ani Talip z Jossim, ani też Jewgienij czy jego ludzie.

Zabójcy na zlecenie, pomyślał. Bender to podobno miasto klanów przestępczych najcięższego kalibru. W takiej sytuacji Jewgienij i Warwara Romani nie musieliby brudzić sobie rąk.

Abel nadal nie był pewny, kto z tej dwójki jest marionetką w rękach Burkianowa. Wcześniej stawiał na ogolonego na łyso mięśniaka, Jewgienija, ale teraz z pewnością nie był to dobry moment, żeby się nad tym zastanawiać.

Abel poderwał się i pobiegł sprintem między drzewa w kierunku północo-zachodnim.

Jego prześladowcy zapewne go już zauważyli.

– Lejtnant! – krzyknął ten z głosem teriera, a potem rozległ się potok słów po rosyjsku, którego Abel nie zrozumiał.

– Zatknis! – pogroził bas. – Stul pysk! – W każdym razie Abel przypuszczał, że takie właśnie znaczenie miał ten wydyszany rozkaz. I na tym zakończyła się wymiana słów. Obaj gonili go z milczącą zaciętością.

Abel biegł tak szybko, jak pozwalał na to zapadający zmierzch. Na szczęście grunt był tutaj mniej rozmokły, tak że nie zostawiał widocznych z daleka śladów. Przeskoczył przez duży głąz i popędził przez podszycie lasu, ale mimo tych wysiłków, jego prześladowcy byli ciągle za nim.

Lejtnant oznaczało porucznika, to słowo Abel zapamiętał z jednego z filmów, w którym głównym motywem były trudności w komunikacji między sowieckimi i amerykańskimi żołnierzami podczas drugiej wojny światowej. Czyżby ten potężnie zbudowany mężczyzna był rzeczywiście porucznikiem w jakiejś tajnej służbie albo w armii? A być może była to tylko ksywka, tak jak stary kumpel Abła, były starszy sierżant Lars Moewig, był nazywany przez swoich byłych towarzyszy broni „sierżantem”, mimo że po pewnych zaszczytach został zwolniony z wojska.

Serce Abła gwałtownie przyspieszyło, gdy usłyszał za sobą charakterystyczny odgłos przeładowywanego pistoletu. Potknął się o korzeń i o mało nie upadł.

W tym samym momencie rozległ się strzał.

Kula uderzyła w drzewo, tuż obok głowy Abła.

Mają za zadanie mnie zabić. Abel musiał walczyć z coraz silniejszym uczuciem paniki. *Muszę zniknąć im z oczu, inaczej koniec ze mną.*

Biegając, rozglądał się za jakąś kryjówką. Zatoczył łuk i usiłował zmylić swoich prześladowców. Ale byli tak blisko, że nie był w stanie zniknąć z ich pola widzenia.

Nagle pojawił się przed nim głaz narzutowy, jak ogromnych rozmiarów menhir wstawiony w płaski jak deska teren. Abel okrążył tę skałę. Tym samym zniknął na krótki moment z pola widzenia prześladowców. Kilkanaście kroków za głazem leżał ogromny, powalony przez piorun, pień drzewa, porośnięty grzybami i bluszczem. Około trzech metrów za tym pniem znajdowało się mnóstwo liści z ubiegłego roku, co najmniej na metr wysokości. Abel skoczył w pełnym biegu na ten pień drzewa, odbił się do niego i spadł na górę liści. Gwałtownie narzucił pachnące zgnilizną liście na siebie i położył się bez ruchu, jakby sam był powalonym drzewem.

Niecałe piętnaście sekund później, tuż obok niego, przebiegł lejtnant i ten drugi.

– Marsz bystrzej, Wadik! – wydyszał lejtnant. Co oznaczało zapewne: „Szybciej, Wadik!”

Abel zmusił się do leżenia nieruchomo jeszcze przez jakiś czas. Najpóźniej po pięciu minutach Wadik i lejtnant zorientują się, że go zgubili, i zawrócą, żeby znów sprawdzić drogę jego ucieczki. Policzył do dwustu, a potem wygrzebał się z liści tak cicho, jak tylko mógł i szerokim łukiem pobiegł znów w swoim pierwotnym, północno-zachodnim, kierunku.

**Las w pasie granicznym nad Dniestrem.
Noc z piątku na sobotę 9 września.**

Zanim zapadła całkowita ciemność, Abel ukrył się w „śpiworze z liści”. Był u kresu sił, poza tym dalsza wędrówka po ciemku byłaby już niebezpieczna dla życia. Nie tylko dlatego, że szukali go uzbrojeni zabójcy, ale także ze względu na zagrożenia czyhające na tym pełnym zapadlisk, bagnistym terenie. Przez moment zastanawiał się jeszcze, czy nie podłożyć fałszywego śladu, ale był już po prostu zbyt wyczerpany.

Właśnie nieco przysnął, kiedy znów usłyszał kroki i głosy swoich prześladowców. Lejtnant i Wadik przeszli koło jego kryjówek w odległości niecałych dziesięciu metrów, nie zauważając go. Znowu prawie nic nie zrozumiał z ich rozmowy, ale kilkakrotnie usłyszał jedno wyrażenie. I to wypowiedziane z pełnym nadziei, wręcz zachwyconym tonem.

„Sobaka”. Pies.

Abel był luźno zaprzyjaźniony z rosyjskim kolegą z medycyny sądowej. Odwiedził go nawet niedawno po raz kolejny w Moskwie. Ten kolega był zwariowany na punkcie psów, i mimo że znakomicie mówił po angielsku, zawsze, kiedy zaczynał z pełnym zapałem opowiadać o swojej hodowli psów, używał z zachwytem ojczystego języka.

„Sobaka”. W ustach lejtnanta słowo to, wypowiedziane z podobnym zachwytem, brzmiało już mniej sympatycznie. Sprowadzą psy tropiące i po wschodzie słońca ponownie zaczną go szukać, to było dla niego oczywiste. Abel często rozmawiał z funkcjonariuszami z oddziału psów tropiących Federalnego Urzędu Kryminalnego, stąd też wiedział doskonale, że mantrailery, czyli psy tropiące ludzi, znajdą go w ciągu kilku minut.

Spędził niespokojną noc. Tego typu noclegi pod gołym niebem bez śpiwora zapamiętał z przeszłości jako o wiele przyjemniejsze, ale wtedy jego kości były o dwadzieścia pięć lat młodsze. Jego nerwy również. Budził się nieustannie, a kiedy wreszcie zapadł w sen, śnił o hordzie oprawców bez twarzy, którzy gonili go z wyjąkami, krwiożerczymi psami.

Kiedy obudził się przy pierwszych przebłyskach świtu, miał uczucie, jakby po jego plecach ktoś skakał przez kilka godzin. Swędziało go całe ciało. Z pewnością całe chmary pajaków i chrząszczy wpełzły mu do rękawów i nogawek. Jego żołądek burczał, a pragnienie stało się już wręcz nie do zniesienia. Mimo to chętnie spędziłby jeszcze kolejne dni i noce w tej dzicy, gdyby odgłosy, które przybliżyły się ze wschodu, okazały się złudzeniem.

Ale to nie było złudzenie. Abel słyszał bardzo wyraźnie szczekanie psów. Psów tropiących, tego był pewien.

Abel przeszył dreszcz. Wiedział dosyć dokładnie, co musi teraz zrobić. Jako zwiadowca nauczył się między innymi sposobów myślenia czteronożnych prześladowców. Ale nigdy nie był w tak poważnej

sytuacji jak teraz. I wcale nie był pewny, czy te, nawpół już zapomniane metody z dawno minionych czasów wystarczą, żeby pozbyć się całej sfory psów.

Abel zaczął biec. Psy chwyciły już zapewne jego trop. Ich rosnący niepokój i coraz głośniejsze ujadanie sygnalizowały przewodnikom, że są na właściwym tropie. Niedługo spuszcza zwierzęta ze smyczy.

W tych okolicznościach nie grało już żadnej roli to, czy może go wytropić także dron. Abel wyjął w biegu smartfon z kieszeni, włączył go i otworzył nawigację. Jedno spojrzenie na mapę wystarczyło, żeby zorientował się, że w odległości około kilometra przebiegała odnoga Dniestru, otoczona po obu brzegach lasem. Abel ruszył sprintem w tym kierunku, podczas gdy szczekanie psów stawało się coraz głośniejsze.

Kiedy zobaczył rzekę połyskującą między drzewami w pierwszym brzasku dnia, znów wyłączył w biegu smartfon. Odnoga miała najwyżej siedem metrów szerokości i nie wydawała się zbyt głęboka. Jasne kamienie na dnie były widoczne aż do drugiego brzegu.

Abel zbiegł między krzewami porastającymi brzeg w dół. Szczekanie psów odbijało się echem po lesie, kiedy brodził już w wodzie. Już po kilku krokach woda zaczęła mu sięgać do piersi. Kierując się ku drugiemu brzegowi, trzymał smartfon i portfel wraz z paszportem nad głową. Na szczęście woda nie była głębsza i nawet na środku sięgała mu po szyję. Metaforycznie nie był to co prawda najlepszy omen w tej sytuacji, ale w praktyce oznaczało, że nie musiał płynąć. W przeciwnym razie jego blackberry wyzionąłby ducha, a to oznaczałoby ostateczne odcięcie od świata zewnętrznego.

Dotarłszy do brzegu, najszybciej, jak mógł, zniknął między drzewami. Gdy wbiegał do lasu, woda wylewała mu się z butów, rękawów i nogawek. Zaczął liczyć kroki, aż doszedł do tysiąca, wtedy skręcił na prawo i pobiegł łukiem z powrotem do brzegu odnogi Dniestru.

Znajdował się teraz w odległości około kilometra od miejsca, w którym przekroczył rzekę. Tam też zdążyły dotrzeć już psy; ich szczekanie i rozkazy wykrzykiwane przez przewodników brzmiały przerażająco blisko. Jednak nie mogli dostrzec Abła, ponieważ oddzielał ich zakręt.

Abel znów wszedł do wody, tym razem jednak posuwał się wzdłuż brzegu, podczas gdy ścigający dopiero przekraczali rzekę. Abel ponownie przeszedł tysiąc kroków w wodzie po pas w górę rzeki. Potem znowu wyszedł na brzeg, na którym rozpoczął swój manewr. Szczekanie psów stawało się cichsze, prawdopodobnie szły nadal jego tropem, pozostawionym na tamtym brzegu.

Abel miał świadomość, że nie pozbył się w sposób ostateczny swoich prześladowców. Oczywiście, że bez problemów wytropią jego ślady aż do miejsca, gdzie po raz drugi wszedł do rzeki. Będą jednak potrzebowali kilku dobrych godzin na odnalezienie jego śladów po tej stronie rzeki. Nie wiedzieli przecież, jak daleko i w jakim kierunku szedł w wodzie i na którym brzegu znów schronił się do lasu.

Mimo to wcześniej czy później odnajdą jego ślady, a do tego czasu Abel musi być wystarczająco daleko, najlepiej poza granicami kraju. Marzył i jednocześnie się pocił, kiedy biegł przez las, orientując się według mchu porastającego od północy pnie drzew. Koszula, marynarka i spodnie były kompletnie mokre i przyklejały mu się do ciała. Po tym wielogodzinnym polowaniu z nagonką był wyczerpany i czuł, że niedługo straci resztki sił.

**Linia demarkacyjna między Naddniestrzem a Mołdawią.
Sobota 9 września godz. 7.41.**

Abel szedł jeszcze z dobrą godzinę wzdłuż bagien pokrywających brzeg Dniestru. Szedł wzdłuż szerokich pasm trzciny i trzęsawisk, z których wystawały obumarłe drzewa zagradzające mu drogę do rzeki. W końcu natknął się na ścieżkę prowadzącą prosto przez morze trzcין do Dniestru.

Prawdopodobnie dotarł do północnego krańca bagiennego obszaru.

Dniestr nie robił jednak takiego wrażenia, jak sobie wcześniej wyobrażał Abel. Jak wszystko w tym kraju, także rozcinająca go na pół rzeka wydała mu się jakaś mała. Mołdawski brzeg był oddalony tylko o rzut kamieniem. Jednak pomalowane na czerwono i zielono słupy graniczne po tej stronie uświadomiły w sposób jednoznaczny Ablowi, że nadal znajduje się w obszarze władzy swoich prześladowców.

Ukryty w krzakach obserwował przez kilka minut okolicę. Ptaki w trzcinach i w lesie za jego plecami robiły potężny hałas, jednak ani po tej, ani po mołdawskiej stronie nie było widać żywej duszy. Żadnych żołnierzy ochrony pogranicza, żadnych rybaków rzucających sieci albo płynących po Dniestrze i żadnego oszalałego lejtnanta spuszcającego ze smyczy czteronożnych zabójców.

Prawie idylla, pomyślał Abel.

Ale to wrażenie spokoju było złudne. Wcześniej czy później lejtnant i jego kompani znów wpadną na trop Abła. Jeżeli do tego czasu nie znajdzie się na drugim brzegu, to szybko się z nim rozprawią. Wszystko wokół niego wydawało się rozedrgane, tak był wyczerpany. Wystarczyło, że pomyślał o tym, że znowu przez kilka godzin będzie musiał biec po lesie, a od razu rozboleły go wszystkie stawy, a każdy mięsień w jego ciele zaczął protestować przed taką wizją.

Wyszedł ze swojego ukrycia i skulony pobiegł w dół wzdłuż nadbrzeżnych krzewów. Kilka kroków od niego stała łódź wiosłowa, do połowy w wodzie, do połowy na brzegu. Abel przyglądał się jej sceptycznie. Łódka wyglądała na rozpadającą się ze starości, dno było pokryte spleśniałą wodą. Było tylko jedno wiosło, które sprawiało wrażenie, że przy bardziej energicznym używaniu złamie się jak wykałaczką.

Ale lepszej możliwości nie było w zasięgu ręki. Abel, nie namyślając się długo, wypchnął rozklekotaną łódkę na wodę. Kiedy stwierdził, że nie nabiera szybko wody, wskoczył do środka i ostrożnie zaczął wiosłować w kierunku zachodniego brzegu. Zmurszałe drewno trzeszczało groźnie. Ponieważ miał tylko jedno wiosło, musiał je zanurzać w wodzie na przemian po obu burtach. Woda dostawała się do wnętrza przez coraz więcej szpar. Z każdym metrem, o jaki posuwał się do przodu, łódka wydawał się zapadać w wodę o kilka centymetrów. Bardzo szybko Abel znów był mokry do pasa. Jednak udało mu się dotrzeć do mołdawskiego brzegu, nie tonąc razem z łódką; nie pojawili się także strzelcy wyborowi, którzy mogli wziąć go na cel.

Kiedy dziób łodzi z chrzęstem wbił się w szlam na brzegu, Abel wyskoczył na płytką wodę i brodząc, wyszedł na brzeg.

**Pogranicze mołdawskie.
Sobota 9 września godz. 8.45.**

Po tej stronie Dniestru rozciągały się rozległe pola zbóż. Na południu były ograniczane przez przedmieścia podzielonego miasta Bender, na północy ciągnęły się, jak okiem sięgnąć. Między tymi obszarami biegła na zachód polna droga, otoczona po obu stronach pochylonymi od wiatru krzakami.

Abel ruszył w drogę w przemokniętych butach. Człapał wzdłuż pola pszenicy i skręcił w polną drogę. Był tak zmęczony, wygłodzony i odwodniony, że poruszał się naprzód, jak robot. Robot z wyczerpanym już prawie akumulatorem.

Idąc brzegiem rzeki, walczył z pokusą ugaszenia pragnienia wodą z Dniestru. Na szczęście jego samokontrola nadal jeszcze, mniej lub bardziej, funkcjonowała. W Naddniestrzu było mnóstwo zakładów ciężkiego przemysłu i prawdopodobnie żadnych oczyszczalni ścieków dla fabryk. Woda w Dniestrze była zwodniczo klarowna, ale bez wątpienia skażona ciężkimi metalami. Gdyby Abel napił się jej, to do końca życia musiałby unikać magneów. I z pewnością byłoby to jedno z mniejszych zmartwień.

Szedł wzdłuż betonowej drogi, zataczając się ze zmęczenia, z dwudniowym zarostem i zapadniętymi policzkami. Krawędzie nieregularnie położonych płyt tworzyły zdradzieckie pułapki, ze szpar pomiędzy nimi wyrastały osty i dzikie kwiaty. Abel, w swoim stanie nadwrażliwości, nie zdziwiłby się, gdyby nagle spod płyt wysunęły się ręce żywcem pogrzebanych tu kiedyś ludzi. Idąc, wyjął ponownie z kieszeni smartfon i uruchomił go. Musiał wreszcie dać znać Lisie. Właściwie to powinien już w czwartek wieczorem być w Berlinie. A od kiedy uciekał, nie zgłosił się do niej jeszcze ani razu.

Wbił PIN i napisał krótką wiadomość SMS. „*Jestem znowu po stronie mołdawskiej, odezwę się, pozdr. Fred*”. Więcej nie był w stanie napisać, ale Lisa nawet z tych niewielu słów wyczyta najważniejszą informację: że nadal znajduje się w trudnym terenie, ale najgorsze ma już za sobą.

Abel mógł mieć tylko nadzieję, że ta wiadomość odpowiada rzeczywistości.

Idąc tą zakurzoną polną drogą, zastanawiał się także, czy nie wysłać wiadomości do Herzfelda. Ale miał trudności z koncentracją, nie mówiąc już o podejmowaniu decyzji, człapał więc dalej, trzymając tylko blackberry w dłoni. Liczył swoje kroki, żeby nie zasnąć. Doszedł do pięciuset, potem nagle znowu znalazł się przy trzystu trzydziestu trzech i zaczął od początku. Aż do chwili, kiedy znów usłyszał metaliczne brzęczenie.

Abel wzdrygnął się i spojrział za siebie na Dniestr, który tworzył jasnoniebieską, cienką linię między polami a naddniestrzańskim obszarem bagien i lasów. Dron zostawił właśnie za sobą las na wschodnim brzegu i zawisał prawie bez ruchu nad trzciniami.

Abel skrył się w krzakach. Jego puls przyspieszył, jednak mózg pracował nadal bardzo wolno. Od pewnego stopnia wyczerpania adrenalina nie jest już w stanie zdziałać żadnych cudów.

Znajdował się mniej niż kilometr od rzeki – wystarczająco blisko, żeby zostać zeskanowanym przez drona. Ale czy polecą za nim także na mołdawską stronę, kiedy będzie miał włączoną komórkę?

Prawdopodobnie nie, pomyślał, ale nie będę już w stanie tego sprawdzić.

Bateria była prawie na wyczerpaniu. Jeżeli jeszcze dłużej będzie miał włączony smartfon, to resztki energii nie wystarczy nawet do przeprowadzenia jednej rozmowy telefonicznej. Wyłączył aparat i wsunął z powrotem do kieszeni marynarki. Skulony za krzewami obserwował, jak dron leci zygzakiem nad trzcinami.

Gdybym miał teraz karabin, pomyślał Abel, z przyjemnością zestrzeliłbym to cholerne urządzenie.

W ramach szkolenia na zwiadowców odbywał także, rzecz jasna, ćwiczenia w obchodzeniu się z bronią palną, a Abel był wyjątkowo dobrym strzelcem. Ale już wtedy nie przepadał za karabinami czy pistoletami, a jego praca jako lekarza medycyny sądowej tylko umocniła w nim tę niechęć. Miał już na stole sekcyjnym niezliczonych zabitych, którzy za życia nosili przy sobie broń palną, ponieważ człowiek czuje się wtedy podobno bezpieczniej.

Dron zatoczył łuk nad Dniestrem i poleciał w stronę Tyraspolu.

Czyżby oznaczało to, że Jewgienij & Co. już się poddali? – zastanawiał się Abel. Czy może spotkam jeszcze w Kiszyniowie albo w drodze do niego kolejne hordy mięśniaków ubranych w szare garnitury?

Gdyby prawdą okazało się to drugie, nie mógł wykluczyć, że w trakcie ewentualnej bójki po prostu zaśnie.

Calfa, Mołdawia.
Sobota 9 września godz. 11.17.

Zabita dechami dziura nazywała się Calfa i składała się w zasadzie tylko z jednej zakurzonej ulicy, upstrzonej po bokach kolorową mieszanką domów. Dacze w stylu szop pokrytych blachą falistą, pyszałkowate budowle z kolumnowymi portalami, rozpadające się bloki z wielkiej płyty, gospodarstwa chłopskie z górami gnoju, biegającymi luzem kurami i świniami, w końcu kiosk z zakratowanymi oknami – wiocha ta miała dla każdego coś miłego. Tylko dworca kolejowego czy też postoju taksówek nigdzie nie było widać.

Abel szedł chwiejnie ulicą. Słońce robiło, co mogło, żeby wysuszyć go do końca. Ostatkiem sił dotarł do lokalu o nazwie La Crisma, co według Abła oznaczało „głowa”, w każdym razie po hiszpańsku. Być może nazwa miała jedynie sugerować, że dobrze dawano tu zjeść, ale sądząc po stanie ogródka tego lokalu za drewnianym, rozpadającym się płotem, równie dobrze mógł to być sygnał, że obcy dostawali tu po prostu po głowie.

Pod plastikowym dachem, rozsiewającym słodkawą woń plastyfikatorów stłoczono ogromną ilość ławek. Jednak w tym ogródku piwnym wielkości boiska do piłki ręcznej siedziało tylko kilku samotnych pijaczków, którzy zajęli miejsca w taki sposób, jakby chcieli utrzymać między sobą możliwie duży dystans. Unieśli głowy i spojrzeli na niego zmęczonymi oczami. Nawet drewniane piłkarzyki do grania obok wejścia wydawały się drzemać.

Jeżeli miała to być olimpiada zmęczenia, to Abel mógł liczyć na zajęcie dobrego miejsca.

Opadł na jedną z ławek i walczył z ogarniającym go snem. Było jeszcze za wcześnie, żeby czuć się bezpiecznie.

Szurając nogami, podszedł do niego gospodarz lokalu, potężnych gabarytów mężczyzna w podeszłym wieku z opadającymi powiekami i imponującymi workami pod oczyma. Otworzył usta i Abel wcale by się nie zdziwił, gdyby ten człowiek najpierw potężnie ziewnął. Ale nie, zamiast tego przemówił do Abła długo i melodyjnie.

Abel nie zrozumiał ani jednego słowa, niemniej skinął potakująco głową, gdy gospodarz po wygłoszeniu przemowy spojrzął na niego wyczekująco.

Abel mógł mieć przynajmniej pewność, że znajduje się już po mołdawskiej stronie. Gospodarz odezwał się bowiem do niego najprawdopodobniej po rumuńsku, który to język na terenie Mołdawii nazywano mołdawskim.

– Proszę czarną herbatę – powiedział Abel po angielsku. – Cały dzbanek, możliwie mocnej.

Gospodarz znów otworzył usta, tym razem po to, żeby wrzasnąć na całe gardło: „Marissa!” W otwartych drzwiach, prowadzących prawdopodobnie bezpośrednio do kuchni, pojawiała się młoda kobieta. Niosła tacę z wielkim glinianym dzbanem i pasującym do tego kubkiem.

– Marissa! – powtórzył gospodarz i przywołał ją gestem do siebie.

Zbliżyła się z wahaniem i postawiła tacę na stole przed Ablem.

Miała włosy koloru pszenicy, które zaplecione w warkocz otaczały jej głowę. Pod fartuchem miała na sobie rodzaj sukienki ludowej z białego lnu w kwieciste wzory. Mogła mieć jakieś dwadzieścia parę lat, była szczupła i wysoka i najwyraźniej w ogóle nie zdawała sobie sprawy, jakie wrażenie robi na mężczyznach.

Uśmiechnęła się nieśmiało do Abła. Odpowiedział uśmiechem i miał uczucie, że po raz pierwszy od dłuższego czasu spotyka ludzką istotę. Jego zapotrzebowanie na dwunożne wilki, hieny i piranie zostało już zaspokojone z nadwyżką.

Nalał sobie wody z dzbana, opróżnił kubek jednym haustem i nalał znowu. Dopiero gdy wypił i ten drugi, powtórzył swoje zamówienie.

Marissa zapytała po angielsku z zabawnym akcentem, czy chciałby także coś zjeść. Jego żołądek zaprotestował burczeniem, kiedy Abel pokręcił przecząco głową, bo chciał możliwie najszybciej dostać się na lotnisko w Kiszyniowie.

Jednak Marissa nie odpuszczała. Zaproponowała mu wybór między *mititei*, grillowanymi kiełbaskami, i gulaszem z *mamaliga*, kluskami z kukurydzy. Mimo zmęczenia Abel musiał się uśmiechnąć, obserwując zaangażowanie, z jakim opisywała miejscowe potrawy. Zaczerwieniła się przy tym i wyglądała jeszcze atrakcyjniej.

– Żadnego jedzenia – podkreślił. – Ale potrzebuję taksówkę do Kiszyniowa.

– Taksi? – Gospodarz pokręcił głową i jednocześnie podrapał się po karku.

– Czegoś takiego tutaj nie mamy – dodała Marissa. – Ale za trzy godziny jedzie autobus.

– Trzy godziny? – Abel o mało też nie pokręcił głową, drapiąc się w kark. – Wykluczone. Muszę natychmiast jechać na lotnisko.

Gospodarz i Marissa, która prawdopodobnie była jego córką, wymienili bezradne spojrzenia.

– Czy tutaj we wsi nie ma nikogo, kto ma samochód i za dwadzieścia euro zawiózłby mnie do Kiszyniowa? – naciskał Abel.

Perspektywa czekania w tym miejscu jeszcze trzy godziny w ogóle mu się nie podobała. Znajdował się co najwyżej trzy kilometry od granicy i siedział tutaj jak na tacy.

Gdyby Jewgienij wpadł na pomysł przeszukania zachodniego brzegu Dniestru, to bez najmniejszego trudu by go tu znalazł. A zmęczeni pijackowie w La Crisma tylko przypatrywaliby się, ziewając, kiedy naddniestrzański oddział specjalny dałby mu po głowie.

Wyglądało jednak na to, że Abel okazał się niesprawiedliwy wobec co najmniej jednego z obecnych.

Gospodarz rozglądał się po ławkach pod plastikowym dachem. Z tyłu w rogu siedział grubokościsty mężczyzna po trzydziestce, w wypłowiałym T-shircie i z krótko obciętymi blond włosami.

– Iwan! – zawołał do niego gospodarz i przywołał go ręką.

Iwan miał na sobie dżinsy, kowbojskie buty i sprzączkę do pasa, na której widniała ogromna głowa byka. Podeszedł powoli z rękami w kieszeniach i ustawił się przed gospodarzem.

Marissa wyjaśniła mu, o co chodzi. Brzmiało to, jakby śpiewała i do tego potrząsała małymi dzwoneczkami.

Iwan słuchał jej ze zmarszczonym czołem.

– Fifty euro – powiedział, nie patrząc na Abła. – Start in thirty minutes.

Abel zapłaciłby i dwa razy tyle, gdyby tylko możliwie szybko zawieziony został na lotnisko. Iwan nie budził w nim co prawda zbyt dużego zaufania, ale po raz kolejny brakowało alternatywy.

Abel powstrzymał się od pytania, czy samochód Iwana nadaje się do jazdy.

Równie dobrze mógłby go zapytać, czy ma zamiar go porwać.

**W wóldze, w drodze do Kiszyniowa.
Sobota 9 września godz. 13.20.**

Kwadrans po pierwszej Abel zaczął się już oswajać z myślą, że będzie musiał czekać na autobus. Poprosił Marissę o rachunek, ale na widok jego banknotu stu euro, zapewniła go z uśmiechem, że herbata była na koszt lokalu. O ile dobrze ją zrozumiał, w Mołdawii można było płacić wyłącznie miejscową walutą – lejami.

Abel podziękował Marissie, która znów zniknęła za drzwiami kuchni. Bębnił palcami po stole i obliczał w myślach pierwiastki kwadratowe, żeby nie zapaść w głęboki sen. Po wlaniu w siebie całego litra czarnej herbaty, nadal był przemęczony, ale jednocześnie czuł swędzenie aż po nasadę włosów.

Po kolejnych działających na nerwy pięciu minutach pod La Crisma zatrzymała się stara limuzyna z ogromnymi błotnikami. Abel ruszył prawie biegiem do wyjścia, którego szpiczasty drewniany daszek marzył o nowej farbie zapewne już od czasów pieriestrojki.

Wyglądało na to, że Iwan jest dumnym właścicielem państwowej limuzyny marki Wołga z ery panowania Związku Radzieckiego. Pojazd musiał mieć już z pół wieku na blaszanym karku, ale był w całkiem dobrym stanie. Pompatyczny wygląd i lakier w szarym kolorze przypominały Ablowi fasady wielkich stalinowskich budowli w Tyraspolu. Prawdopodobnie era sierpa i młota nie przeminęła jeszcze całkowicie także i po mołdawskiej stronie Dniestru.

Iwan zaparkował tak blisko bramy, że Abel musiał się przeciskać między płotem a błotnikiem. Kierowca siedział nonszalancko na swoim fotelu i wyglądało na to, jakby nie miał zamiaru zwracać najmniejszej uwagi na swojego pasażera. Nie mówiąc już o przywitaniu się. Powoli, jak w zwolnionym tempie, żuł gumę, co tylko uwydatniało jego potężne szczęki.

Abel obszedł ogromnych rozmiarów maskę, żeby dotrzeć do drzwi po stronie pasażera. Pokryta chromem osłona chłodnicy przypominała mu zęby rekina. *Witamy znowu w basenie z krwiożerczymi bestiami*, pomyślał Abel. Łagodny uśmiech Marissy był już przeszłością, przynajmniej dla niego. Droga, zakurzona i opuszczona, ciągnęła się przed nim w południowym słońcu, jakby gotowa do kowbojskiego pojedynku.

Z niemiłym uczuciem w żołądku Abel usiadł na tylnym siedzeniu. Tutaj przynajmniej, w przeciwieństwie do zardzewiałego grata Jossiego, siedzenia były pokryte skórą, a pas bezpieczeństwa funkcjonował. W tej samej chwili przypomniawszy mu się jednak scena z pewnego filmu, kiedy to pas, który zapiął niczego niepodejrzewający, pasażer, nie dawał się już później odpiąć. Porywacz doprowadził do tego, że ofiara sama się unieruchomiła.

Jednak kiedy Abel nacisnął czerwony przycisk, zamek otworzył się bez problemów. *Tylko bez paranoi*, pomyślał i zapiął się znowu.

– Proszę zawieźć mnie na lotnisko w Kiszyniowie – powiedział po angielsku.

Iwan tak przestawił wsteczne lusterko, że mógł widzieć Abła, bez konieczności odwracania się. Skinął głową w zwolnionym tempie, ale na jego twarzy nie pojawiał się żaden grymas. Pomijając ruchy szczęki,

wywołane równie spowolnionym żuciem gumy.

Przekręcił klucz w stacyjce i wołga obudziła się do życia z cichym pomrukiem. Jewgienij mógłby wziąć przykład z miękkiej jak masło jazdy Iwana. Także resory tej limuzyny z nostalgicznych czasów były miękkie jak aksamit. Cały samochód wydawał się być starannie konserwowany, tylko lekkie pobrząkiwanie szyb zdradzało, że czasy świetności sowieckiego imperium i jego osiągnięć na polu motoryzacji należą już do odległej przeszłości.

W średnim tempie jechali po wąskiej szosie w kierunku zachodnim. Abel z napięciem obserwował drogę. Nie chciał znów przeżyć nieprzyjemnej niespodzianki, jak podczas przejażdżki z Jossim, po której obudził się, leżąc związany w kamieniołomach.

Jednak wkrótce przyszło mu walczyć z coraz silniejszą pokusą snu. Żeby jej nie ulec, zaczął wpatrywać się w kolorowy proporczyk umocowany do wstecznego lusterka Iwana. Miał kształt kwadratu, do którego na dole dołączony był trójkąt o ostrych kątach. Kolor tła był czerwony, obramowanie złote; przez sam środek przebiegał pionowo zielony pas. Pierwszy plan tworzyło coś w rodzaju herbu, w którym z kolei dominowały symbole sowieckie: sierp i młot i czerwona gwiazda.

Na każdej dziurze w drodze, na każdej nierówności proporczyk zaczynał tańczyć na nowo. Abel wpatrywał się w niego i coraz bardziej obsuwał się z jawy w sen.

Dopiero kiedy proporczyk przestał tańczyć, Abel nieco się ożywił. Spojrzał przez okno i stwierdził, że znajdują na drodze szybkiego ruchu. Jeden z drogowskazów informował w alfabecie łacińskim i cyrylicznym, że jechali w kierunku *Chişinău/Кишинёв*. Uspokojony chciał się już wygodnie oprzeć w na siedzeniu, kiedy jego spojrzenie znów padło na proporczyk.

Napis powyżej herbu był wygięty jak łuk triumfalny i wykonany również w alfabecie łacińskim i cyrylicznym. Tylko że tutaj litery cyrylicą znajdowały się na górze:

Приднестровье
Pridnestrowje

Abel, w swoim sennym zamroczeniu, potrzebował kilku dobrych chwil, zanim dotarło do niego, co to wszystko oznacza. *Pridnestrowje* „Przeddnistrze”, to była nazwa, jaką posługiwali się rosyjskojęzyczni mieszkańcy regionu na wschód od Dniestru, tudzież sympatyzujący z Moskwą regenci. Z perspektywy Rosji kraj ten leżał właśnie z tej, a nie z tamtej strony Dniestru.

O wszystkim tym Abel przeczytał w dokumentacji i uznał wtedy za zbędną wiedzę specjalistyczną. Aż do tej chwili.

Ale przecież jestem w Mołdawii, pomyślał, czy może nie? To dlaczego na lusterku Iwana wisi flaga Naddniestrza?

W głowie Abła odezwały się wszystkie dzwonki alarmowe. Jednocześnie zadzwoniła komórka Iwana. *Ta Wołga z nostalgicznych czasów sowieckich, pomyślał Abel. Potem to imię: Iwan, najbardziej rosyjskie z rosyjskich. I wreszcie proporczyk naddniestrzański czy też raczej: przeddnistrzański – naprawdę nie można im zarzucić, że nie grają w otwarte karty. Ale w moim stanie nic nie zauważyłem.*

Obserwował Iwana we wstecznym lusterku. Ten człowiek potrafił nawet podczas rozmowy nie otwierać prawie ust. Potakiwał i żuł gumę, podczas gdy jedną ręką kierował samochodem, a drugą przytykał do ucha prastary model Nokii. Od czasu do czasu burczał potakująco.

Iwan należy do nich. Musieli go umieścić w Calfie, na wypadek gdybym tam się pojawił. A teraz wiezie mnie bezpośrednio do lejtnanta i jego kompanów!

Znowu melatonina z adrenaliną walczyły o palmę pierwszeństwa w organizmie Abła. Zasnąć albo pozostać przy życiu. Pot wystąpił mu na czoło, serce zaczęło bić jak szalone.

– Da – powiedział Iwan, co po rosyjsku znaczyło „tak”, ale też po niemiecku miało sens, bo znaczyło „tutaj”. Przez ramię podał Ablowi komórkę, nawet na niego nie patrząc.

– She talk to you.

– Who? – zapytał Abel. A przecież odpowiedź była więcej niż oczywista. Wziął Nokię i w milczeniu przyłożył do ucha.

– W imieniu Republiki Priddniestrowje i naszego prezydenta przepraszam za nieprzyjemności, jakie pana spotkały, doktorze – oświadczyła Warwara Romani. – To nie powinno się wydarzyć.

Abel był tak zaskoczony, że nie od razu zdołał odpowiedzieć.

– Nieprzyjemności, a to dobre – powiedział w końcu. – Te typy chciały mnie zabić!

– Tego nie chcieli – zaprzeczyła pani wicegenerał. – Gdyby miał zamiar pana zabić, to teraz leżałby pan na stole sekcyjnym. A on nie przybliżyłby się ani o krok do rozwiązania problemu.

Coś w tym jest, powiedział sobie Abel.

– Kogo pani ma na myśli, mówiąc „on”? – spytał Abel. – Tak, dla pewności, żebyśmy wiedzieli, że mówimy o tej samej osobie. Twierdzi pani, że były szef taj...

– Tylko bez nazwisk – wpadła mu w słowo. – Jest rzeczą oczywistą, że on chce wyrzucić wpływ na pana raport. Skoro nie może zapobiec temu, że taka niezależna opinia w ogóle powstanie. W końcu nie może przecież ukatrupić wszystkich renomowanych lekarzy medycyny sądowej w świecie zachodnim.

Roześmiała się, a Ablowi przeszedł na plecach lodowaty dreszcz. W jej tonie nie było ani śladu skruchy. Ona jednak, w odróżnieniu od Burkianowa, wydawała się stawiać na to, że Abel da się przekonać do właściwej opinii w wyniku czystego terroru psychicznego. Już w sali sekcyjnej Abel wyczuwał przecież pewien konflikt między Romani a Jewgienijem. Oboje chcieli poddać go naciskom, żeby skłonić do zdjęcia podejrzeń z Burkianowa odpowiednią ekspertyzą. Jednak Jewgienij był zapewne gotowy do zastosowania fizycznej przemocy, podczas gdy pani wicegenerał, jak wszystko na to wskazywało, nie chciała zepsuć sobie układów ani z byłym szefem tajnej służby, ani z aktualnymi władcami kraju. Stąd Romani miała pewien dylemat. Nie udało jej się próba służenia jednocześnie dwóm panom.

Poza tym fanatycznie chce mieć nad wszystkim kontrolę, pomyślał Abel, *i już z tego powodu jest wściekła na Jewgienija. W jej oczach zawalił całą akcję, włączając swój oddział i psy tropiące.*

– Skąd mam wiedzieć, że nie stoi pani po fałszywej stronie? – zapytał.

– A jaka strona jest według pana fałszywa? – odpowiedziała pytaniem na pytanie.

Abel czekał na ciąg dalszy, ale rozmowna faza w życiu Warwary Romani wydawała się znów zakończona.

Być może naprawdę chodzi jej o to, żeby mnie uspokoić i przekonać do swoich uczciwych zamiarów, pomyślał. *Dlaczego więc odczuwam to jako kolejną próbę zastraszenia?*

– Pana bagaż, ze wszystkimi zabezpieczonymi dowodami, zostanie wysłany bezpośrednio do Berlina – powiedziała w końcu. – Jestem pewna, że przy sporządzaniu raportu uwzględni pan wszystkie istotne punkty widzenia.

Ja też jestem tego pewien, pomyślał Abel. *Pytanie tylko, czy oboje uważamy za istotne te same punkty.*

– Dobrej podróży – rzuciła Warwara Romani i zakończyła rozmowę, nie czekając na odpowiedź Abela.

**Lotnisko w Kiszyniowie.
Sobota 9 września godz. 14.13.**

Lotnisko było małe, ale wydawało się odpowiadać zachodnim standardom. W końcu było używane przez takie międzynarodowe towarzystwa lotnicze, jak Lufthansa czy Aeroflot.

Jedyny terminal znajdował się w nowoczesnym budynku z betonu i sporej ilości szkła. Iwan zatrzymał się bez słowa przed automatycznymi drzwiami. Abel wyciągnął z portfela banknot stueurowy, rozłożył go i położył na obciążonej skórą konsoli między przednimi siedzeniami.

– Fifty euro back, please – powiedział.

Iwan zaczął grzebać w kieszeni spodni, nie przerywając żucia gumy. W końcu wyłowił zwitek brudnych banknotów i podał go przez ramię.

Abel z nieprawdopodobnym zdziwieniem wziął ten zwitek surrealistycznie małych banknotów do ręki. Miały napisy w cyrylicy i ozdobione były portretami jakiejś historycznej postaci, która wyglądała jak bliski krewny hrabiego Draculi.

Ruble naddniestrzańskie, pomyślał Abel. Poza tym pseudopaństwem banknoty te nie były warte nawet papieru, na jakim je wydrukowano.

– Euro, please – rzucił i odłożył lepiący się zwitek na konsolę.

– No euro, no dollar, no Moldovan leu – odpowiedział Iwan. Jak na niego była to wręcz cała przemowa.

Abel był na tyle mądry, żeby rozumieć, kiedy przegrywa bitwę. I zbyt zmęczony, żeby rozpocząć walkę na kolejnym polu.

Zostawił te naddniestrzańskie pieniądze nadające się do gry w Monopoly, tam gdzie leżały, i wysiadł. Chwiejąc się ze zmęczenia, przeszedł przez automatyczne szklane drzwi i skierował się do najbliższego okienka informacji. Z trudem trzymał się na nogach. Wyczerpanie zamykało mu powieki, otepiało jego umysł i jednocześnie czyniło końcówki nerwów nadwrażliwymi. Kiedy spoglądał w dół, wzorzec szachownicy podłogi lotniska wydawał się kołysać, powodując zawroty głowy.

W okienku siedziała młoda kobieta w granatowym uniformie. Powitała go uśmiechem i pytaniem po rumuńsku. Ablowi podobała się melodia tego języka, ale nie rozumiał ani słowa.

Oparł przedramiona na wytartym blacie okienka i usiłował się uśmiechnąć. Miał uczucie, jakby jego twarz zrobiła się gumowa ze zmęczenia.

– Potrzebuję bilet do Berlina – powiedział po angielsku. – Najbliższy lot, proszę.

Spojrzał na lewo i prawo. W hali panował spory ruch. Pośród kilkuset tłoczących się tu pasażerów, jego prześladowcy nie rzucaliby się w oczy. O ile nie wyglądali jak Jewgienij czy lejtnant.

Pracownica lotniska zaczęła gorliwie stukać w klawiaturę swojego komputera.

– Na maszynę Lufthansy dzisiaj wieczorem do Berlina nie ma już niestety wolnych miejsc. – Spojrzała ze współczuciem na Abła. – Następny możliwy lot jest pojutrze, samolot Austrian Airlines.

Pojutrze?

Tylko wyczerpanie powstrzymało Abła od wybuchu. Wyciągnął swój bardzo odchudzony portfel i wyjął służbowy paszport.

– Doktor Abel, Federalny Urząd Kryminalny. – Usiłował mówić możliwie stanowczym tonem, ale nawet w jego uszach brzmiało to raczej jak błaganie. – Muszę natychmiast wracać do Berlina. Chodzi o...

Nie mógł mówić dalej. Jak miał wyjaśnić tej młodej Mołdawiance, dlaczego natychmiast potrzebuje biletu? Kiedy szukał odpowiedniego sformułowania, ona gwałtownie kartkowała jakiś skoroszyt. Gdy znów uniosła głowę, jej twarz promieniała.

– Doktor Abel? Jedną chwileczkę, proszę.

Złapała telefon i przeprowadziła krótką rozmowę po rumuńsku. Znowu nie rozumiał ani słowa, ale zanim zdołał zapytać, o co tym razem chodzi, pojawiała się druga młoda kobieta w niebieskim uniformie.

– Proszę ze mną, doktorze Abel – powiedziała z twardym akcentem, który przypominał mu Warwarę Romani. – Jest pan oczekiwany – dodała, kiedy spojrzał na nią nieufnie. Jej krótkie blond włosy wzmacniały jeszcze podobieństwo do pani wicegenerał.

– Oczekiwany? Przez kogo?

– Proszę za mną – powtórzyła pracownica lotniska.

Abel z wahaniem schował paszport z powrotem do portfela i wsadził go do kieszeni. W tej chwili czuł się pokonany. I tak nie otrzymałby żadnej odpowiedzi.

Jego wilgotne ubranie nadal kleiło mu się do ciała, kiedy szedł za młodą kobietą w kierunku drzwi z napisem „Business & Diplomatic Lounge”. Wklepała kod i drzwi otworzyły się z cichym sykiem. Za nimi znajdowała się sala, która wyglądała dokładnie tak samo, jak V.I.P. Lounge w zachodnich portach lotniczych. Mężczyźni i kobiety w biznesowych strojach siedzieli przy swoich laptopach albo odbywali konferencje w specjalnych do tego celu przeznaczonych niszach. Kelnerzy podawali drinki i przekąski. Dyskretnie szumiała klimatyzacja.

W odseparowanej nieco niszy siedział wysoki mężczyzna około sześćdziesięciu pięciu lat w garniturze koloru miodowego, który błyszczał jak polakierowany. Warwara Romani junior podeszła do niego w postawie pełnej szacunku i czekała, aż zwróci na nią uwagę.

– Doktor Abel – odezwała się w pewnej chwili i wskazała na Abła, jak na sztukę bagażu, który dostarczyła zgodnie z zamówieniem.

Mężczyzna w połyskującym złociście garniturze podniósł się. Dwaj potężnie zbudowani ochroniarze, którzy siedzieli po jego prawej i lewej stronie na skrajach foteli, jakby gotowi w każdej chwili do skoku, poszli za jego przykładem. Z uśmiechem robiącym wrażenie sztucznego mężczyzna wyciągnął rękę w jego kierunku.

– Jefim Stiepanow. – Jego głos był jeszcze niższy niż bas lejtnanta. – To zaszczyt dla mnie, doktorze Abel, że mogę poznać pana osobiście.

Wyglądał jak starsze wydanie swojego martwego siostrzeńca Spiridona. Ta sama czupryna koloru pszenicy, jaką Abel zapamiętał z fotografii w dokumentacji, tylko dużo rzadsza i poprzeplatana siwymi pasmami, to samo upodobanie do złotych łańcuchów na nadgarstkach i grubych sygnetów.

– Słusznie chyba wychodzę z założenia, że zidentyfikował pan pośmiertne szczątki moich, w okrutny sposób zamordowanych siostrzeńców? – zapytał Stiepanow. To było pytanie retoryczne. – Jestem panu bardzo wdzięczny za to, że wspomaga mnie pan w tej smutnej sprawie. Spiridon był dla mnie jak syn. Arkadij oczywiście także – dodał po krótkim wahaniu.

Jednocześnie ścisnął dłoń Abła, jakby chciał ją zmiażdżyć. Z całej biżuterii na jego rękach i nadgarstkach wyróżniał się szczególnie sygnet na prawym palcu serdecznym. Gdy Abel odwzajemniał uścisk oligarchy, mógł z bliższej odległości przyjrzeć się tej ozdobie.

By to taki sam sygnal, jaki przesznuł z Naddniestrza w wewnętrznej kieszeni swojej marynarki. I zapewne miał taki sam wygrawerowany napis MGIMO, z datą i pięciocyfrowym numerem.

Znajdą się już przez pół życia, pomyślał Abel. Burkianow i Stiepanow. Przez długi czas byli dwoma najpotężniejszymi ludźmi przy prezydencie, aż do czasu, kiedy z przyjaciół przemienili się w śmiertelnych wrogów. Ponieważ Burkianow chciał mieć wszystko dla siebie. Całą władzę oraz imperium przemysłowe Stiepanowa.

– Proszę mi przedwcześnie nie dziękować – odpowiedział Abel, ostrożnie otwierając i zaciskając dłoń, kiedy już Stiepanow uwolnił ją ze swojej. – Jeszcze nie zidentyfikowałem w sposób jednoznaczny obu zmarłych jako pana siostrzeńców. A bez dowodów, które musiałem zostawić w bagażu w Tyraspolu, i tak nie będę mógł sporządzić ekspertyzy.

Spojrzał badawczo na tego starego człowieka. Stiepanowowi nie drgnęła nawet powieka.

– Proszę przyjąć moje najszczerze przeprosiny za nieprzyjemności, jakie spotkały pana w mojej ojczyźnie – oznajmił i usiłował nadać swoim słowom współczujące brzmienie. Jednak jego żal był tak samo prawdziwy, jak poprzedni uśmiech.

– Bardzo dziękuję – odparł sucho Abel. – Pani Romani przekazała mi już pana przeprosiny.

Na dźwięk nazwiska Romani na twarzy Stiepanowa pojawił się grymas. Tylko przez krótką chwilę, ale nie uszedł uwagi Abla.

Stiepanow nie ma nic wspólnego z tą całą akcją, powiedział sobie Abel. Nie miał też żadnego motywu, ponieważ wszystko wskazuje na to, że ci zabici to jednak jego siostrzeńcy. Musi być więc zainteresowany wsadzeniem Burkianowa za kraty. A do tego potrzebuje mojego raportu, bez zafałszowań czy też pomniejszania faktów.

A może ta interpretacja jest nieprawdziwa? Gdy Stiepanow wyjął z marynarki grubą kopertę, Abel znów zaczął wątpić w jego niewinność. Był już przygotowany na to, że oligarcha będzie chciał go przekupić plikiem banknotów. Co z kolei oznaczałoby, że jednak nie chce usłyszeć tylko czystej i niezafałszowanej niczym prawdy.

Kiedy Abel otworzył tę kopertę i zajrzał do środka, oczy łzawiły mu ze zmęczenia. Wiele dałby za to, żeby móc usiąść na jednym z tych, wyglądających wyjątkowo wygodnie foteli. Ale wiedział, że wtedy natychmiast zaśnie.

Musiał najpierw dostać się na pokład samolotu, jeżeli nawet nielecącego bezpośrednio do Berlina, to przynajmniej do jakiegoś zachodnioeuropejskiego miasta. W samolocie natychmiast zaśnie głębokim snem i obudzi się dopiero podczas lądowania.

Ku zdumieniu Abla koperta zawierała bilet lotniczy do Berlina, pierwszej klasy, odlot dzisiaj o 19.05.

– Jeden z moich asystentów będzie eskortował pana do odprawy, a potem do bramki – powiedział Stiepanow i raz jeszcze spróbował uśmiechnąć się do Abla. Wyglądało to, jakby miał zamiar go ugryźć.

Abel skinął powoli głową, żeby utrzymać w ryzach uczucie zawrotu głowy.

Pięć godzin później, w samolocie Lufthansy, rozłożył oparcie swojego fotela w pierwszej klasie i w następnej sekundzie zasnął.

**Berlin–Grünau.
Dom doktora Abla i Lisy Suttner.
Niedziela 10 września godz. 11.25.**

Kiedy Abel obudził się, był natychmiast gotowy do ucieczki. Odprężył się dopiero wtedy, gdy uświadomił sobie, że jest w domu. Leżał we własnym łóżku, a nie w stosie liści w lesie, gdzieś w naddniestrzańskim obszarze przygranicznym. Na tarasie słyszał rozmawiającą Lisę, zapewne telefonowała do swojej przyjaciółki Anji, z którą mogła godzinami rozprawiać na ich ulubiony temat: sztuki surrealistycznej.

On sam odczuwał jako surrealistyczną atmosferę spokoju, jaka wokół panowała.

Żadnych ujadających psów myśliwskich, żadnych strzałów, żadnego lejtnanta, który ściga mnie z przekleństwami na ustach. Żadnych uzbrojonych po zęby żołnierzy z elitarnego oddziału i żadnych drobnych opryszków, którzy chcieliby mnie porwać.

Jeszcze wczoraj wieczorem, w drodze do domu z lotniska Tegel, rozglądał się, szukając mężczyzn wyglądających na takich, którzy pochodzą z Europy Wschodniej. Najpierw w hali odpraw, a potem z taksówki. Wielu takich zauważył, ale przecież w Berlinie stanowili oni powszechny element ulicy. Jeżeli wśród nich było kilku ludzi Burkianowa, to zupełnie się nie wyróżniali.

Burkianow został z pewnością poinformowany o jego niekonwencjonalnej ucieczce. Dopóki Abel nie sporządzi raportu z obdukcji oraz ekspertyzy i go nie odeśle, dopóty ten były szef służb specjalnych będzie zapewne usiłował wywierać na niego nacisk także tutaj, w Berlinie. A to mogło potrwać, ponieważ Abel do ekspertyzy potrzebował swojej torby z instrumentami i zabezpieczonymi dowodami oraz dokumentów w postaci nagrań oraz fotografii, zapisanych na dyktafonie i w aparacie fotograficznym. Jeżeli Warwara Romani nie dotrzyma słowa i nie odeśle mu bagażu, wówczas Jewgienij & Co. będą mogli zniszczyć cały niepasujący im materiał dowodowy.

Słońce przeświecało przez spuszczone żaluzje, musiało być już prawie południe. Promienie światła błyszczały, ponieważ odbijały się od Dahme, rzeki, która przepływała bezpośrednio za niewielkim ogrodem ich eleganckiego domu.

Całe szczęście, że dzisiaj niedziela, pomyślał Abel. I że nie mam dyżuru w pracy.

Wczoraj tylko pokrótce opowiedział Lisie o swoich przeżyciach. Lot powrotny prawie w całości przespał, także podczas międzylądowania w Monachium z trudem doszedł do siebie i po zmianie samolotu znów natychmiast odpłynął. Mimo to nadal padał z nóg i po gorącym prysznicu natychmiast zapadł w głęboki sen w swoim łóżku.

Dopiero po kolejnym prysznicu poczuł, jak powoli wracają do niego siły witalne. Poczul też wilczy apetyt. Przygotował sobie obfite śniadanie i z tacą poszedł do Lisy na taras.

Zakończyła już rozmowę telefoniczną. Pozdrowiła go czułym pocałunkiem i patrzyła z uśmiechem, jak pałaszuje jajecznicę na szynce w połączeniu z całą górą bułek pełnoziarnistych z pieprzowym serem, serem kozim i miodem z leśnych kwiatów na słodkie zakończenie. Opróżnił do tego kilka szklanek soku

pomarańczowego i cały dzbanek kawy.

– Trzymali cię tam chyba na diecie – zażartowała Lisa, ale nadal wyglądała na zaniepokojoną. Mimo że wrócił, jak na to wyglądało, cały i zdrowy. Zapewne wyczuwała, że cała sprawa jeszcze się nie zakończyła.

– Dostałem frytowane obwarzanki drożdżowe – opowiadał Abel. – Poza tym dokonywałem sekcji aż do upadłego, a potem cały godzinami biegałem po lesie.

Tym razem opowiedział jej wszystko ze szczegółami. Jednak opuścił najbardziej drastyczne detale, jak również prawdopodobne powody niebezpiecznej gonitwy po naddniestrzańskim lesie. Nie chciał zbyt niepokoić Lisy, a poza tym tajemnica służbowa była tajemnicą służbową.

Ze swoim pełnym troski uśmiechem Lisa wyglądała cudownie. Czerwone jak rdza włosy miała dzisiaj rozpuszczone, a jej zielonkawo połyskująca bluzka harmonizowała z zielenią oczu. A im dłużej Abel patrzył jej w oczy, tym bardziej zamazywały się strach i napięcie ostatnich dwóch dni. Aż w końcu klinika Frankensteina na obrzeżach Tyraspolu i ujadanie psów w bagnistym lesie przygranicznym stały się prawie czymś nierealnym, jak strzępy koszmaru sennego.

Ale właśnie tylko prawie. Bo zdawał sobie dobrze sprawę z tego, że kokon spokoju i domowego szczęścia, jaki otaczał go w tej chwili, jest bardzo wątki, i że już niedługo polowanie zacznie się na nowo.

**Berlin-Grünau.
Brzeg rzeki Dahme.
Niedziela 10 września godz. 15.10.**

Południowo-wschodnie obrzeża Berlina stanowiły rodzaj zielonej idylli, oazy dla młodych rodzin, ludzi lubiących spokój i uprawiających sporty wodne. Ceny domów i mieszkań były tutaj jeszcze w miarę dostępne, a poza tym było tu o wiele mniej hałasu niż w modnych dzielnicach, takich jak Prenzlauer Berg czy Friedrichshain. Pod warunkiem że nie mieszkało się pod jednym z korytarzy powietrznych pobliskiego lotniska Schönefeld.

Abel i Lisa, po odprężającym spacerze wzdłuż Dahme, wracali do domu. Kiedy przechodzili przez Wassersportallee, nagle pojawił się motocykl, jaskrawoczerwony kawasaki, który z wyjątkowym silnikiem pędził prosto na nich. Motocyklista miał na sobie czarny skórzany kombinezon i czarny kask z lustrzaną szybą. Gwałtownie zahamował obok Abela, sięgnął do tyłu i wyciągnął lewą ręką w rękawicy jakiś przedmiot z torby, którą miał przypiętą w poprzek pleców.

Kij bejsbolowy! – przeleciało przez głowę Ablowi.

Mężczyzna zrobił zamach lewą ręką, żeby uderzyć go kijem. Abel odskoczył na bok, a motocyklista stracił równowagę na swojej ciężkiej maszynie. Abel przeturlał się przez ramię, podrywając się, wyciągnął jeszcze smartfona i zrobił zdjęcie napastnikowi. Ale zdołał go sfotografować tylko od tyłu, kawasaki pędził w stronę centrum miasta.

– Co za cholerny gnojek! – przeklął Abel.

– Na miłość boską, Freddy! – zawołała Lisa. Wyglądała na tak przerażoną, że Abel jeszcze bardziej się przestraszył. – Wszystko okay?

Numer rejestracyjny tej maszyny wyścigowej był zaklejony taśmą. *Widocznie zawodowiec*, pomyślał Abel.

Skinął głową w kierunku Lisy i jednocześnie wybrał numer policji. Kiedy zgłosił się dyżurny funkcjonariusz, wymienił swoje nazwisko i funkcję, jaką pełnił w Federalnym Urzędzie Kryminalnym, i zreferował krótko, co się wydarzyło. Ponieważ jednak nie mógł podać ani numeru rejestracyjnego, ani opisu sprawcy, poszukiwania policji zakończą się zapewne niczym. Ale mimo to musiał, rzecz jasna, spróbować.

Prawdopodobnie motocyklista zaczął się na niego na skrzyżowaniu Wassersportallee i Regattastraße, rozmyślał Abel, kiedy w oddali pojawiał się odgłos syreny policyjnego radiowozu. W każdym razie Abel nie zauważył wcześniej tej bardzo charakterystycznej maszyny wyścigowej, mimo że od czasu swoich przeżyć w Naddniestrzu nieustannie rozglądał się po okolicy, wypatrując potencjalnych napastników.

Nie miał żadnych wątpliwości, kto kryje się za tym atakiem, i wcale też nie był zaskoczony, że Burkianow dalej wywiera na niego presję. Ale nie spodziewał się, że uderzą zaraz po jego przyjeździe do Berlina.

– To był zamach na twoje życie! – powiedziała Lisa i strzepnęła mu kurz z ramion. – Na miłość boską,

Freddy, potrzebujesz ochrony policyjnej, i to natychmiast! – Była najbardziej zrównoważoną kobietą, w jakiej kiedykolwiek zakochał się Abel, ale wyglądało na to, że ten atak potężnie nią wstrząsnął.

– Nie przesadzajmy – odpowiedział.

– On miał kij bejsbolowy – stwierdziła Lisa. – Usiłował rozbić ci czaszkę!

Abel miał jednak pewne wątpliwości w tej kwestii.

– Gdyby rzeczywiście chcieli mnie zabić, to zrobiliby to już w lesie nad Dniestrem – zauważył. – Bez świadków, za to pośrodku olbrzymiego obszaru bagiennego, w którym z całą pewnością zniknęło już na zawsze niejedno ciało.

Berlin, Treptowers.
Jednostka Federalnego Urzędu Kryminalnego „Przypadki nadzwyczajne”.
Pokój konferencyjny.
Poniedziałek 11 września godz. 7.30.

W weekend ze swojej misji w Rogu Afryki powrócił także Herzfeld. Pewny siebie, jak zawsze, i opalony na brąz, prowadził poranną odprawę w katakumbach Treptowers.

– Przejdźmy do następnego przypadku obdukcji – powiedział. – Powodem jest bijatyka z co najmniej trzema zabitymi i nieznaną dotychczas liczbą rannych.

W tej porannej odprawie brali udział, oprócz Herzfelda i Abła, również Scherz, Murau, Sabine Yao i czterech asystentów sekcyjnych, a także, jak zwykle nad wyraz zmotywowany, japoński lekarz medycyny sądowej, przebywający gościnnie w Berlinie, Takahito Hayashi. Wszyscy patrzyli ze zdumieniem na Herzfelda.

– Co znaczy tutaj „co najmniej”? – wyrwał się lekarz naczelny Scherz. – Czy ci z kryminalnej nie potrafią już liczyć?

Herzfeld posłał Scherzowi uprzejmy uśmiech.

– Nie mam żadnych przesłanek, żeby tak sądzić, panie kolego.

Mimo że Herzfeld również musiał mieć za sobą wyczerpujące dni, wydawał się uosobieniem spokoju, jak nie przymierzając Dalajlama.

– Ta masowa bójka odbyła się wczoraj wieczorem na Karl- -Marx-Straße w Neukölln – kontynuował.

– Według zeznań świadków uczestniczyło w niej od stu pięćdziesięciu do dwustu osób, wszystko mężczyźni pochodzenia orientalnego. Zajmujący się tym wydział zabójstw podejrzewa, że w tym przypadku chodzi wyłącznie o członków dwóch wielkich klanów: jednego z Libanu, a drugiego z Jemenu.

Przekartkował dokumentację sprawy i zmarszczył czoło.

– Wielu z nich było już od dawna notowanych policyjnie – ciągnął. – Obydwa klany uznawane są za organizacje przestępczości zorganizowanej. W ostatnich kilku miesiącach miało miejsce kilka starć między nimi, ale wczoraj doszło najprawdopodobniej do eskalacji tej wrogości. W bójce użyto pięści, noży i żelaznych prętów. Kiedy zaalarmowana przez okolicznych mieszkańców policja przysłała na miejsce zdarzenia kilka oddziałów, obie strony zdążyły zebrać już swoich rannych i uciekły w czekających na nich samochodach. Być może zabrali również kilku zabitych, stąd też aktualny znak zapytania dotyczący liczby ofiar śmiertelnych, panie Scherz.

Naczelną lekarz parsknął głośno przez nos, ale powstrzymał się od jakiegokolwiek komentarza.

Abel popatrywał na niego nie bez pewnego zatroskania. Scherz, jako numer trzy w wewnętrznej hierarchii, kierował od czwartku ich wydziałem. Abel obawiał się, że lekarz naczelny pozostawił po sobie kilka niemiłych niespodzianek – przede wszystkim w postaci nieprzemyślanych oświadczeń na temat zabójstw dokonanych za pomocą tortur podtapiania w budynku berlińskiego parlamentu. Co

prawda, jak dotąd, nic nie słyszał na ten temat, ale dzień dopiero się zaczynał.

Jak na zawołanie Herzfeld wziął do ręki kolejny skoroszyt, na którym wielkimi czerwonymi literami było napisane „*WATERBOARDING nr 3!?*” Jednocześnie z nienaganną elegancją krupiera przesunął w stronę Abla teczkę koloru piaskowego z przypadkami sekcji z Neukölln.

– Znalaziono kolejne zwłoki sprzątacza imigranta, tym razem jednak nie w budynku parlamentu, lecz w Czerwonym Ratuszu, siedzibie burmistrza i rządu krajowego. – Herzfeld strzepnął niewidzialny pyłek z rękawa swojej granatowej marynarki. – Suspected waterboarding victim in the Red City Hall – dodał, zwracając się do Hayashiego.

– Water in the lungs? – Japończyk z wyraźnym zachwytem otworzył szeroko oczy.

Żaden inny zawód nie przyciąga tylu dziwacznych indywiduów, co medycyna sądowa. Takahito Hayashi znajdował się na najlepszej drodze do zdobycia palmy pierwszeństwa wśród japońskich lekarzy tego fachu. Był nie tylko utalentowanym i głodnym wiedzy młodym naukowcem, ale swoimi ekscentrycznymi upodobaniami już teraz mógł konkurować nawet z kolegami o dużo większym stażu. Mimo że w tym zawodzie „łatwo utknąć w martwym punkcie”, jak zwykł żartować profesor Faßbender, promotor pracy doktorskiej Abla.

– Musimy poczekać – powiedział Herzfeld. – Pewne jest tylko to, że ofiary miały ślady zadzierzgnięcia. Obdukcja wykaże, czy śmierć w tym wypadku nastąpiła w wyniku waterboardingu, uduszenia czy kombinacji obu tych metod.

Hayashi odegrał pantomimicznie scenkę samouduszenia, zapewne żeby pokazać, że zrozumiał wywody Herzfelda po niemiecku. Albo też, żeby zakwalifikować się skutecznie do konkursu na największego dziwaka w japońskiej medycynie sądowej.

– Ze śmiertelną wręcz pewnością można stwierdzić, że ofiara numer trzy także modliła się w kierunku Mekki – dorzucił Scherz.

Herzfeld uniósł brew.

– Także i na to twierdzenie nie mamy, jak na razie, żadnych przesłanek. Mężczyzna ten nazywa się Candide Dessallier i pochodzi z Haiti. Gdzieś w aktach znajduje się jego wniosek o przyznanie azylu politycznego, w którym podał swoją przynależność religijną. – Przerzucił kilka kartek w popielatym skoroszytcie. – Ach, tutaj jest. Monsieur Dessallier określił sam siebie jako wyznawcę religii wudu.

– Wudu? – powtórzył jak echo Hayashi. – To może nie trup, tylko zombi?

Również i tę myśl zilustrował pantomimicznie, a wszyscy, z wyjątkiem Scherza, patrzyli na niego z rozbawieniem.

– Tym samym można uznać hipotezę, mówiącą, że seria waterboardingu skierowana jest wyłącznie przeciwko muzułmanom z rzekomymi powiązaniem islamistycznymi, za całkowicie błędną – oznajmił Herzfeld. – Dostaję systematycznie newsletter kolegi Charles’a Duponta z Paryża, który od dwóch lat z wielkim trudem stara się stworzyć funkcjonującą medycynę sądową w haitańskiej stolicy Port-au-Prince. Z jego bardzo pouczających wywodów wynika między innymi, że ponad dziewięćdziesiąt pięć procent Haitańczyków jest zarówno katolikami, jak i wyznawcami kultu wudu. Nigdy natomiast nie wspomniał o islamistycznych wyznawcach wudu.

Berlin, Treptowers.

Grupa Specjalna „Wodna zagadka” Federalnego Urzędu Kryminalnego.
Poniedziałek 11 września godz. 10.04.

Także i tym razem członkowie Grupy Specjalnej „Wodna zagadka” Federalnego Urzędu Kryminalnego siedzieli już na swoich miejscach w pokoju konferencyjnym, kiedy pojawił się spóźniony Abel. Natomiast punktualnie, na każde takie spotkanie, sprawca lub sprawcy dostarczali nową ofiarę waterboardingu, którą wcześniej Abel musiał poddać obdukcji.

– Pojawiła się nasza gwiazda, no to możemy wreszcie zaczynać! – stwierdził szef tej Grupy Specjalnej, Lorenz Kastner.

Abel nie zwracał na niego uwagi. Przywitał się uściskiem dłoni z Charlotte Lubitz i z Kevinem „Leksem” Westermannem, kiwnął przyjaźnie głową wolontariuszowi Ericowi i usiadł na krześle naprzeciwko Kastnera.

– Co też pańska intuicja ma zamiar nam dzisiaj objawić, panie doktorze – ciągnął jadownicę Kastner, wpatrując się w Abła zza swojego muru z segregatorów. Jedyne nieodzowny jak zwykle duet jego asystentów, czyli Micaela Schweins i Marvin Fischer, skwitował marny dowcip swojego szefa obowiązkowym parsknięciem śmiechem.

– Zajmijmy się może najpierw faktami – zaproponował Abel. Nerwowość Kastnera wydawała się elektryzować powietrze w pomieszczeniu. Szef Grupy Specjalnej wyglądał na jeszcze bardziej poszarzałego na twarzy niż ostatnim razem, o ile było to w ogóle możliwe. Każda nowa ofiara tortur podtapiania wydawała się postarzać go o kilka kolejnych lat.

Zapewne znajduje się pod ogromną presją, powiedział sobie Abel. Urząd kanclerski, Ministerstwo Spraw Zagranicznych, Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, nie mówiąc już o mediach – wszyscy oczekują od niego, żeby wreszcie rozbroił tę bombę. Zamiast tego bomba zaczyna pękać w szwach – zupełnie jak nasze chłódnie od ofiar waterboardingu.

Abel o mało, ale tylko o mało, nie zaczął go żałować.

– Candide Dessallier był torturowany, tak jak dwie poprzednie ofiary, metodą podtapiania – ciągnął Abel. – Ale zgon nie nastąpił w wyniku obecności wody w narządach oddechowych. Został uduszony stalową pętlą.

Wyciągnął plik fotografii ze skoroszytu, który wcześniej położył przed sobą na stole, i puścił zdjęcia w obieg.

– Na zdjęciach wyraźnie widoczny jest ślad po duszeniu – dodał. – A na tych fotografiach – rozdał kolejne wielkoformatowe, kolorowe zdjęcia – udokumentowany jest stan jego płuc. W odróżnieniu od Moaha Aslewiego nie zawierają one wody.

Podczas gdy Kastner oglądał zdjęcia ze zmarszczonym czołem, Charlotte Lubitz wstała ze swojego miejsca. Miała na sobie zielonkawy top, czarne dzinsy i buty do biegania w tym samym zielonym odcieniu, co górna część garderoby. Tylko ciemne kręgi pod oczami nie pasowały do tego sportowego

stroju. Wyglądała na niewyspaną i sfrustrowaną.

– Znaleźliśmy się w ślepych zaułku – przyznała. – Od kilku dni prowadzimy dochodzenie w wielu kierunkach, ale nie natrafiliśmy na żaden istotny trop. W piątek, za pośrednictwem mediów, poprosiliśmy o pomoc mieszkańców. Od tego czasu otrzymaliśmy tysiące zgłoszeń, ale jak zwykle większość stanowili żartownisie i rasiści. Do tego dochodzą jeszcze zwykli paranoicy i ludzie, którzy od dawna chcieli dopiec na przykład sąsiadowi.

Odwróciła się w bok i bezpośrednio do Abła powiedziała:

– À propos dowcipnisiów. Wywiad, jakiego udzielił pana kolega tym głupkom z RTL 104.6, też nie był zbyt pomocny.

O Boże, pomyślał Abel. A tak się tego obawiałem.

– Jaki kolega? – zapytał, żeby zyskać na czasie.

Charlotte Lubitz zignorowała to pytanie, przewracając z irytacją oczami.

– Ten facet z RTL zadzwonił chyba od razu po naszym apelu w mediach do Wydziału Medycyny Sądowej Federalnego Urzędu Kryminalnego. Zapewne sam był zdumiony, kiedy przełączono go do waszego lekarza naczelnego. Pana kolega oświadczył z głębokim przekonaniem, że ta metoda tortur nosi typowe znamiona działań CIA w walce przeciwko islamistycznemu terrorowi.

Abel jęknął. *To nie może być prawda!*

– I ten wywiad został wyemitowany? – zapytał.

– Czy pan, jako reporter radiowy, pozostawiłby w archiwum tak atrakcyjną wypowiedź wysokiego rangą lekarza medycyny sądowej Federalnego Urzędu Kryminalnego? – odpowiedziała pytaniem na pytanie Charlotte Lubitz. – I to jeszcze na dzień przed rocznicą zamachu na World Trade Center?

Tym razem to Abel zrezygnował z udzielenia cisnącej się wręcz na usta odpowiedzi.

– Pod nieobecność swojego wielkiego wzorca, doktora Sherlocka Abła – wyzywał się dalej Kastner – detektyw amator o trafnym nazwisku Scherz^u, wykorzystał okazję, żeby wystawić na pośmiewisko cały Federalny Urząd Kryminalny.

To straszne, pomyślał Abel. Przewidywał już całe mnóstwo konsekwencji dyscyplinarnych, jedna gorsza od drugiej. Musimy uporać się z tyloma wyzwaniem, a Scherz strzela z biodra, jak pijany kowboj!

– Na szczęście mam dobre kontakty także w mediach – ciągnął Kastner. Nagle zniknął gdzieś jego defensywny ton i perorował z takim samozadowoleniem jak rzadko kiedy. – Ten redaktor z radia zadzwonił do mnie i dopytywał, co sędzę o tezie waszego doktorka żartownisia. Co sędzę? Sędzę, że gazy gnilne uderzyły mu do głowy w tej jego kostnicy! – nakręcał się Kastner. – Dokładnie tak powiedziałem temu reporterowi. Użyłem wszelkich moich umiejętności perswazyjnych, żeby przekonać go do wyemitowania jedynie krótkiego fragmentu z tej pełnej bzdur wypowiedzi pańskiego kolegi. Poza tym źródło podano jako anonimowe: „spekulacje znającego sprawę lekarza medycyny sądowej, który nie chciał ujawniać swojego nazwiska”.

Nie tylko Kastner i Lubitz, ale również pozostali uczestnicy spotkania patrzyli na Abła z wyrzutem. Przynajmniej tak mu się wydawało. Ale nie miał zamiaru robić z siebie kozła ofiarnego.

To w końcu nie jego wina, że Grupa Specjalna „Wodna zagadka” nadal porusza się po omacku. Być może było błędem, przekazanie obdukcji pierwszej ofiary waterboardingu Scherzowi. Ale gdyby jego zadanie w Naddniestrzu nie wymknęło się tak nieoczekiwanie spod kontroli, to jednostka Federalnego Urzędu Kryminalnego „Przypadki nadzwyczajne” już od piątku znajdowałaby się pod jego kierownictwem, a wtedy z całą pewnością żadnemu reporterowi na tej planecie nie udałoby się dodzwonić do Scherza.

Ich sekretariat otrzymał ściśle wytyczne dotyczące zapytań ze strony przedstawicieli mediów na temat bieżących dochodzeń. Najważniejsza z nich brzmiała, że jedynie Herzfeld i jego zastępca Abel są upoważnieni do wydawania oświadczeń na zewnątrz, i to tylko w porozumieniu z rzecznikiem prasowym

Federalnego Urzędu Kryminalnego. Scherz musiał więc coś źle zrozumieć albo też specjalnie zignorował drogę służbową. Rzecz jasna, wytyczne te obowiązywały jego samego również wtedy, gdy pełnił obowiązki szefa wydziału.

– Krótko mówiąc, wiele hałasu o nic – podsumował Abel. – Czy może coś istotnego umknęło mojej uwadze? – Przesunął wzrok z Kastnera na Charlotte Lubitz. – Pisemny raport z obdukcji będą mieli państwo, jak zwykle do jutra w południe, a wyniki toksykologiczne dzisiaj po południu – ciągnął. – W każdym razie mogą być państwo pewni, że najważniejsze fakty natury medyczno-sądowej leżą już teraz na stole.

A teraz wasza kolej, dodał w myślach.

Wyglądało na to, że przekaz ten dotarł do adresatów. Charlotte Lubitz, Lex Westermann i Lorenz Kastner zaczęli przerzucać się nerwowymi opiniami.

Z wypowiedzi tych Abel dowiedział się, że żadna z ofiar nie miała kontaktów z ugrupowaniami terrorystycznymi, a także nie znaleziono dowodów na związki między poszczególnymi ofiarami. Według badań przeprowadzonych przez Lexa Westermanna było kilkuset zarejestrowanych pracowników firm sprzątających, zatrudnionych w budynkach federalnych parlamentu i rządu w Berlinie oraz władz samego miasta. Wszyscy zostali sprawdzeni według ścisłej procedury i nie mieli absolutnie nic na sumieniu. Mimo to trzech z nich zostało zamordowanych, i to w dodatku w połączeniu z metodą tortur stosowaną przez CIA w celu zmuszenia islamskich terrorystów do zeznań.

Dyskusja zaczynała kręcić się w miejscu. Zamiast propozycji rozwiązania problemów zaczęto wzajemnie obarczać się winą, a uwaga Abla skierowała się w zupełnie innym kierunku. W myślach nadal zajmował się naddniestrzańskim podwójnym zabójstwem i wczorajszą próbą zamachu na niego. Także Katz alias Lenski przemykał przez jego głowę. Akurat podczas pogoni w lesie nad Dniestrem, kiedy ujadły za nim psy gończe, doszedł do wniosku, że jego były kolega ze studiów najprawdopodobniej wykorzystał wycieczkę po Azji do zamordowania własnej żony.

Jak tylko skończy się to spotkanie, zadzwonię do Döpfnera, postanowił Abel. Być może nadal utrzymuje kontakt ze swoim starym kumplem i może mi dać jakąś wskazówkę, gdzie ten mógłby się ewentualnie ukrywać. A w każdym razie na pewno będzie mógł dyskretnie sprawdzić, do kogo należy sygnet znaleziony w kontenerze z wapnem.

Jeżeli Uli Döpfner nie zmienił się za bardzo, to nie będzie zadawał uciążliwych pytań, lecz z entuzjazmem rzuci się na to zadanie, ponieważ będzie to wyzwanie dla jego technicznych umiejętności.

Ale najpierw muszę się z nim spotkać, odświeżyć wspólne wspomnienia, trochę mu się przypochebić.

W jego pamięci pojawiły się obrazy dawnych letnich wieczorów w Hanowerze, w ogródku piwnym nad brzegiem Leine, z Ulim Döpfnerem i wieloma innymi kolegami, w tym także Harrym Katzem.

– Czy na wspaniałe zakończenie zdradzi nam pan może, co przepowiada pana intuicyjna wyrocznia? – Sarkastycznie brzmiący bas Kastnera wyrwał go z zadumy i przywrócił do teraźniejszości.

– Trzeci przypadek zabójstwa w tej serii utwierdza mnie w przypuszczeniu, które sformułowałem już podczas naszego pierwszego spotkania – odpowiedział Abel rzeczowym tonem. – Ścigamy najprawdopodobniej seryjnego sprawcę, który w oczywisty sposób nie może być zawodowcem z kręgu tajnych służb. Nie opanował techniki waterboardingu w sposób wystarczająco dobry, ponieważ przy tej metodzie tortur chodzi właśnie o niepozostawianie widocznych śladów. Poza tym wybór jego ofiar nie wskazuje na żaden wzorzec pasujący do działań jakiegokolwiek tajnej służby. Muzułmanin, koptyjski chrześcijanin i wyznawca wudu. Dwóch Arabów i jeden Haitańczyk. To nie pasuje w żaden sposób do siebie. A mimo to obstaję przy swoim: to sprawca lub kilku sprawców, którzy mają zdecydowanie bardziej niż tylko powierzchowną styczność z praktykami tych służb.

Westermann popatrzył w zamyśleniu na Abla.

– Być może tych trzech sprzątaczy to ofiary skrajnie prawicowej grupy terrorystycznej? – zaproponował. – Wszyscy trzej to ciemnoskórzy cudzoziemcy. Może sprawcy są zdania, że niemieckie

budynki parlamentarne powinny być sprzątane wyłącznie przez Niemców? Być może to jest drugie Narodowosocjalistyczne Podziemie, tylko że teraz ich celem nie są budki z kebabem, tylko sprzątacze.

Kastner chrząknął groźnie.

– Co to znowu za dziwaczne spekulacje! – Jego bas wprawił szyby w drżenie. – Na to nie ma żadnych poszlak! Niech pan sobie wyobrazi tylko te tytuły w prasie: „Neonaziści polują na cudzoziemców w Niemieckim Bundestagu”!

Abel o mało się nie roześmiał, ale udało mi się zdusić w sobie ten odruch.

– Modus operandi wskazuje według mnie w sposób oczywisty na to, że sprawca miał kontakt z praktykami waterboardingu nie tylko w sposób powierzchowny – podkreślił raz jeszcze Abel. – A więc ma on, względnie miał, kontakt ze środowiskiem tajnych służb, być może na Bliskim lub Środkowym Wschodzie. W końcu dwie z jego dotychczasowych trzech ofiar pochodziły właśnie z tamtych rejonów.

Kastner wydał z siebie na wpół zduszone sapnięcie. Brzmiało to, jakby przypadkowo połknął korek od szampana, a teraz usiłował bezskutecznie go wykasłać.

– Sprawca jest psychopata, to jest dla mnie prawie pewnik! – wydobył wreszcie z siebie słabym głosem. – Pana hipoteza o neonazistach, panie Westermann, nie przekonuje mnie, tak samo jak bajeczka doktora Abła o środowisku tajnych służb. Jest rzeczą niewyobrażalną, żeby osoby nieupoważnione mogły mieć dostęp do naszego ściśle chronionego budynku parlamentarnego i dokonywały tam jeszcze tortur i zabójstw. Tam przecież dzień i noc roi się od ochroniarzy!

W takim razie niech mi ktoś wyjaśni, co się tutaj dzieje, pomyślał Abel. Jednak postanowił milczeć w tej kwestii i nie wychylać się już bardziej. Ostatecznie miał już wystarczająco dużo własnych problemów. Tak więc zadowolił się posłaniem wyzywającego spojrzenia Charlotte Lubitz i Leksowi Westermannowi.

– W takim razie przyjrzymy się bliżej środowisku ochroniarzy – oświadczyła nadkomisarz. – Dotychczas wychodziliśmy z założenia, że należą oni do tych dobrych, ale przy okazji afery z Narodowosocjalistycznym Podziemiem też okazało się to przedwczesnym założeniem.

Kastnerowi zaczęło brakować powietrza.

– Jedna trzecia zatrudnionych w prywatnych firmach ochroniarskich skłania się do skrajnie prawicowej ideologii – dodał Lex Westermann. – Według najnowszych badań odsetek ten jest nawet dużo wyższy.

I wielu spośród tych pracowników, dodał w myślach Abel, *ma za sobą służbę jako najemnicy w Iraku czy w innych regionach, w których stosowanie waterboardingu było, przynajmniej przez jakiś czas, na porządku dziennym.*

Już w drodze do drzwi wyjął swojego smartfona i wybrał z listy kontaktów wpis „Döpfner, Uli”.

**Gdzieś w Niemczech.
Pomieszczenie piwniczne.
Poniedziałek 11 września godz. 10.52.**

Jana nie miała pojęcia, jak długo już znajduje się w rękach Barry'ego. Kilka dni, tygodni? Czy też może całe swoje życie?

Być może istnieje jednak jakiś Bóg i to wszystko inne, pomyślała. Grzech i kara. Tak jak twierdziła jej matka. A to tutaj jest piekłem.

Kiedy Barry uderzył ją pięścią w twarz, zgasła jej ostatnia iskierka nadziei. Wyleciała tyłem z łóżka i walnęła potylicą w podłogę. On wyłowił strzykawkę spod łóżka i znów założył jej obrozę. Potem zaciągnął ją z powrotem do łóżka i wydzierał się jak konferansjer podczas walki bokserskiej. „Ring wolny do kolejnej rundy! Barry Bazooka przeciwko Wanton Wanda!”

Następnie zmusił ją, grożąc strzykawką jak nożem, żeby znów zacisnęła nogi wokół jego szyi. Znowu stwardniał w jej ustach, a ona znowu nie miała odwagi zacisnąć na nim zębów.

Gwałcił ją nieustannie. W przerwach wstrzykiwał jej i sobie jakieś substancje. Kilkakrotnie traciła przytomność. I zawsze, kiedy dochodziła do siebie, odnajdywała się uwięziona w tym samym koszmarze. Barry leżący na niej. Barry wbity w nią. Barry torturujący ją na wszelkie możliwe sposoby. *On jest diabłem. Nie, on sam jest opętany przez diabła.*

W pewnym momencie musiało u niego nastąpić załamanie. Od tego czasu Barry robił wrażenie, jakby walczył o coś, o czym wiedział, że jest dla niego nieosiągalne. Szczęście. Zaspokojenie. Cokolwiek by to było.

Być może tylko to sobie wmawiam, pomyślała Jana. Ale i tak nie ma to żadnego znaczenia.

Utrata świadomości. To było jedyne, czego jeszcze sobie życzyła. Żeby nie czuć tego wszystkiego, co z nią robił.

Kilka razy wyrwała się przerażona ze swojego stanu zamroczenia, ponieważ brakowało jej powietrza. „Żryj!” Wciskał jej twarz w papkę w aluminiowym pojemniku do podgrzewania w mikrofalówce i jednocześnie wbijał w nią od tyłu swój penis.

To nie jest tak, że on jest sterowany przez kutasa, pomyślała Jana. Jego chorobliwy popęd seksualny oładnął go już bez reszty. Jego uczucia, myśli, wszystko.

To się nigdy nie skończy, o tym była przekonana. Ale teraz, kiedy znowu odzyskała przytomność, wszystko było jakoś inaczej.

Barry przesunął na bok stół i oderwał z tego miejsca, położony widocznie tylko kawałek linoleum. Tam gdzie przedtem stał stół, widniała teraz kwadratowa dziura w podłodze. Obok leżała przykrywa z desek, pasująca wielkością do otworu. W głąb dziury, z której dochodził ohydny smród, prowadziła chybotliwa drabina.

Gnijące mięso. Tak samo śmierdziało ostatniego lata w naszym supermarkecie, kiedy przez weekend nie było prądu.

Wyjątkowo ohydny, wręcz nie do wytrzymania, był smród w dziale mięsnym. Tak samo jak ten słodkawy, dławiący zapach wydobywający się z tej dziury.

Barry stał nad luką w podłodze z długą latarką w dłoni. Musiał ją wyjąć z sejfu pod umywalką, kiedy Jana była nieprzytomna.

Włączył latarkę i skierował strumień światła do otworu.

– Widzisz to coś tam na dole, mała? – W jego głosie pobrzmiwało zmęczenie. – Rozdrabniacz do gałęzi, z tych profesjonalnych. Właściwie to więcej niż rozdrabniacz. Tym możesz mieć całe drzewa, rozumiesz? Znaczący, na pewno krzaki.

Kiedy odwrócił głowę w jej stronę, wzdrygnęła się cała. Był blady jak śmierć. Z wyjątkiem ogromnych, fioletowoniebieskich worków pod oczami.

– Koniec zabawy, dziewczynko. – Barry pochylił się i położył zapaloną latarkę na stopniu drabiny, tak że oświetlała jaskrawożółty rozdrabniacz.

– Czas się pożegnać, skarbie. – Podszedł do łóżka powłóczystym krokiem. W lewej ręce trzymał strzykawkę, rzekomo zawierającą substancję, od której końcówki nerwów czuciowych w skórze stają się tysiąc razy bardziej wrażliwie niż normalnie. Prawą złapał za smycz.

On chce cię wepchnąć do tego rozdrabniacza. Zrób więc coś! Inaczej pokroi cię żywcem na kawałki!

Jana pozwoliła się zaciągnąć, bez żadnego oporu, na brzeg materaca. Barry był najwyraźniej wykończony. Stał obok łóżka, ciężko oddychając, a pot spływał po nim strumieniami. Jego ręka ze strzykawką zwisała bezwładnie przed oczami Jany, kiedy przekładała nogi przez brzeg łóżka.

Obiema dłońmi złapała za jego nadgarstek i wbiła mu igłę w udo. Barry krzyknął, pociągnął za smycz, a drugą ręką chwycił za strzykawkę tkwiącą w nodze.

Jana zaczęła się dusić. Jej gardło paliło jak ogień. Uderzyła górną częścią ciała o prawy bok Barry'ego. Oboje stracili równowagę i upadli na podłogę. Jeszcze w trakcie upadku Jana sięgnęła do tyłu i wcisnęła tłok strzykawki aż do końca.

Barry wydał z siebie dzikie wycie.

– Zastrzyk był dla ciebie, ty durna zdziro! Żebyś mogła rozkoszować się rozdrabniarką! – wrzasnęła, tracąc oddech. – Ale wielkie dzięki, nawet nie wiesz, co straciłaś!

Leżąc na plecach, wyprężył się w pałąk.

– Wow! Tylko mnie teraz nie dotykaj, ty mendo.

Jana nawet o tym nie myślała, bo właśnie była zajęta zdejmowaniem obroży. Ostrożnie obmacała sobie szyję.

Barry opierał się praktycznie na palcach rąk i nóg. Usiłował prawdopodobnie unikać kontaktu z podłogą pod swoimi plecami, tak żeby jak najmniejsza powierzchnia skóry miała styczność z podłożem. Jego oczy były tak silnie wywrócone, że było widać jedynie białka gałek, pokryte siatką popękanych naczynek. Sprawiał wrażenie nieobecnego. Kogoś, kto dryfuje w równoległym świecie, w którym najmniejsze nawet dotknięcie wywołuje fale w całym ciele.

– Jestem cholernie szczęśliwy! – wrzeszczał Barry. – I tyle z tego masz, ty durna dziwko!

Jana patrzyła z mieszką wstrętu i nieprawdopodobnego przerażenia, jak penis Barry'ego znów zaczyna się powiększać. Odsunęła się jeszcze dalej i wstała.

Zakończ to wreszcie, rozkazała sobie. Natychmiast i na zawsze. Ciało Barry'ego było wykrzywione w łuk triumfalny. Z drżącym obeliskiem na wierzchu.

– Koniec zabawy, Barry – powiedziała Jana. Uniosła stopę i kopnęła go w biodro.

Barry wrzasnął, przewrócił się i zaczął dygotać na całym ciele. Chciał prawdopodobnie się podnieść, żeby w ten sposób zmniejszyć kontakt skóry z podłożem. Ale nie był w stanie utrzymać koordynacji ruchów. Usta, oczy, każde włókno jego twarzy drżało. Jego ramiona bębniły bezładnie o podłogę, a stopy odpowiadały w innym spazmatycznym rytmie. Robiło to akustycznie wrażenie free jazzu granego przez zespół szympansów. Tym bardziej że Barry skrzeczał i piszczął jak małpa.

Jana kopnęła go znowu, a on przetoczył się cały w drgawkach w kierunku dziury w podłodze.
– Widzisz to coś tam na dole, mały? – spytała. – Twój profesjonalny rozdrabniacz do gałęzi?

**Berlin, Treptowers.
Biuro profesora Herzfelda.
Poniedziałek 11 września godz. 11.15.**

Późnym popołudniem Abel siedział razem ze swoim szefem w kąciku dla gości w jego biurze. Przyszedł tu właściwie po to, żeby opowiedzieć o katastrofalnym przebiegu swojej podróży do Naddniestrza. Ale najpierw rozmawiali krótko o sprawach, które dzisiaj trafiły na ich stół.

Po przedpołudniowych sekcjach także Herzfeld wydawał się nieco wyczerpany. Abel, w asyście Takahita Hayashiego, dokonał sekcji Haitańczyka Candide'a Dessalliera.

Ten wysoki, trzydziestodwuletni mężczyzna o jasnobrązowej skórze i przeredzonych włosach na głowie miał ślady po więzach na nadgarstkach i kostkach nóg i znane już siniaki powstałe po silnym ucisku szczęki. Nie miał wody w płucach, ale prawdopodobnie także i on był torturowany za pomocą waterboardingu. Wskazywały na to utensylia, jakie sprawca pozostawił w pomieszczeniu piwnicznym pod Czerwonym Ratuszem razem ze zwłokami: składany stół do tapetowania, wypełniony do połowy kubeł z wodą, opaski zaciskowe do kabli i mokra ścierka. Jednak przyczyną zgonu było uduszenie owiniętą dwukrotnie wokół szyi stalową pętlą. Pozostawiła ona głębokie, krwawe bruzdy w skórze szyi Dessalliera i dosłownie zmiażdżyła części krtań i kości gnykowej.

Herzfeld, Scherz i Murau dokonali jednoczesnej obdukcji trzech zabitych członków arabskiego klanu – z jak najbardziej jednoznacznymi wynikami. Najstarszy z tych trzech mężczyzn, wąsaty Jemeńczyk, który ruszył do boju w tradycyjnym kaftanie i odpowiednim do niego nakryciu głowy, otrzymał trzy ciosy nożem w lewą stronę klatki piersiowej, jeden w płuca i dwa w serce. Dwaj pozostali członkowie klanu, ubrani po zachodniemu młodzi ludzie, odnieśli w tej bójce masywne obrażenia czaszek, jakie występują zazwyczaj po uderzeniach kijem bejsbolowym albo stalowymi prętami.

Tego typu archaiczne wybuchy masowej przemocy były do niedawna wręcz niewyobrażalne w Niemczech i w Europie Środkowej. Wizja, w której brutalne bandy – z krajów arabskich, Europy Wschodniej czy też innych rejonów – zaczęłyby całe dzielnice miast uważać, w mniejszym lub większym stopniu, za swoje terytoria, wydawała się nawet tak gruboskórnemu człowiekowi jak Scherz przekroczeniem pewnej granicy.

– No to tyle z rzeczy przygnębiających – powiedział w końcu Herzfeld. – Podobno istnieją nadal ludzie, którzy wierzą, że przynależymy do łagodnego gatunku miłujących pokój roślinożerców. Ale takie spojrzenie na ludzkość zostało dzisiaj po raz kolejny drastycznie podważone.

Abel skinął głową.

– Pośród lekarzy medycyny sądowej tego typu mylne przekonanie i tak nie ma zbyt wielu wyznawców. W każdym razie, jeśli o mnie chodzi, wcale nie potrzebowałem korepetycji w tej kwestii podczas mojego pobytu w Naddniestrzu.

Opowiedział pokrótce Herzfeldowi, jak to od pierwszych minut swojego pobytu na naddniestrzańskiej ziemi został poddany silnej presji i jak jego misja powoli, ale systematycznie wymykała się spod

kontroli. Kończąc swoją opowieść, stwierdził, że próba zamachu na niego, jaka miała miejsce wczoraj po południu, była również dziełem Burkianowa.

– Szczegółów nie będę opowiadał, zostawię je na przesłuchanie policyjne dzisiaj po południu – dodał.
– W każdym razie towarzyszu Burkianow będzie na mnie dalej naciskał aż do chwili, gdy mój raport zostanie napisany i dostarczony do właściwego sądu w Tyraspolu. A dopóki nie oddadzą mi mojej torby z zabezpieczonymi dowodami, dopóty przewaga jest po jego stronie.

Herzfeld spojrzawszy współczująco na swojego zastępcę. Nalał im obu mocnej egipskiej kawy, upił łyk i raz jeszcze przemyślał szybko relację Abła.

– Rzeczywiście, sporo przeszedłeś – powiedział w końcu. – Skąd jednak taka pewność, że ten atak motocyklisty idzie na konto Burkianowa?

– Oczywiście, że nie jestem pewny na sto procent – przyznał Abel. – Nie widziałem twarzy napastnika. Ale założyłbym się, że to był ten sam typ, który gonił mnie po lesie. Jego kumpel nazywał go lejtnantem. Po naszymu „porucznik”.

Zarządzone wczoraj od razu poszukiwania pozostały bez rezultatu, kierowca w czarnym skórzanym kombinezonie i jego jaskrawoczerwona maszyna wyścigowa zniknęli, jakby zapadli się pod ziemię. Co jednakże nie wymagało sił nadprzyrodzonych. Motocyklista potrzebował jedynie małej furgonetki zaparkowanej gdzieś dyskretnie w pobliżu, żeby zniknąć bez śladu w ciągu kilku minut. Na tych słabo zaludnionych jeszcze obrzeżach Berlina było także wystarczająco dużo stodół i szop, w których mógł schować motocykl razem ze swoim skórzanym ubraniem, a potem oddalić się samochodem osobowym.

Wyraz twarzy Herzfelda stawał się coraz bardziej zatroskany.

– Nie musisz pisać tego przekłętego raportu, Fred. Mam wyrzuty sumienia, że obarczyłem cię tą sprawą. Gdybym wiedział, że oni sięgną po tego typu środki...

Robił wrażenie wyraźnie podłamanego.

– Jedno twoje słowo wystarczy – ciągnął – i Ministerstwo Spraw Zagranicznych powiadomi prezydenta Szewczuka, że nie jesteś w stanie występować w tej sprawie jako rzeczoznawca, po tym jak kilku jego rodaków zaczęło ci w poważny sposób grozić. Zobaczysz, że próby zastraszania skończą się, jak nożem uciął.

Abel spojrzawszy na swoją filiżankę kawy i postanowił zrezygnować z kolejnych porcji kofeiny. I tak czuł się już pobudzony w sposób wystarczający.

– A raport? Kto przywróci tym zabitym ich imiona? Kto odpowie na pytania rodzin, co stało się z ich krewnymi? – zapytał.

– Ja to przejmę.

– Nie ma mowy. – Abel pokręcił głową. – Dlaczego ty miałbyś nadstawiać karku tylko dlatego, że ja okazałbym się zbyt tchórzliwy? Wykluczone. Wytrzymam te naciski. Jak tylko moja ekspertyza znajdzie się w sądzie w Tyraspolu, Burkianow nie będzie miał już powodu napuszczać na mnie swoich goryli. Najważniejsze jest to, żeby możliwie szybko dotarł do mnie mój bagaż z zabezpieczonymi dowodami, żeby Fuchs mógł ruszyć z analizą DNA tych ciał z kontenera.

Herzfeld patrzył jeszcze przez moment badawczo na niego, potem skinął głową na znak zgody.

– Prawdopodobnie też bym tak postanowił. Jeszcze dzisiaj będę interweniował w rządzie naddniestrzańskim, abyś najpóźniej pojutrze dostał to, czego potrzebujesz. – Podniósł się z fotela, a Abel poszedł za jego przykładem. – A dopóki ta sprawa nie zostanie zakończona, trzymaj się możliwie na uboczu, Fred.

Abel odpowiedział jedynie wieloznacznym burknięciem. Rada Herzfelda wynikała z pewnością z dobrych intencji, ale w tej chwili nie dało się jej raczej urzeczywistnić. Jeżeli jeszcze sam zacząłby się teraz izolować, to z całą pewnością dostałby od tego wszystkiego fioła.

**W samochodzie doktora Abła.
W drodze z Berlina-Treptow do Poczdamu.
Poniedziałek 11 września godz. 12.05.**

Z Treptowers do centrum Poczdamu można było dojechać samochodem w trzy kwadranse, o ile ulice były w miarę niezatłoczone. Co jednak prawie nigdy się nie zdarzało. Berlińska obwodnica była praktycznie zawsze przeciążona. Poza tym Abel musiał najpierw przedrzeć się przez dzielnicę Baumschulenweg, w której na przekór nazwie było wszystko z wyjątkiem szkółek drzew^[2]. Za to był tam labirynt robót drogowych, przez który ruchem wahadłowym przepychały się niezliczone samochody.

Dobra wiadomość była taka, że Abel już za pierwszym razem dodzwonił się do swojego byłego kolegi ze studiów, Uliego Döpfnera. A Uli wręcz entuzjastycznie zareagował na propozycję Abła, żeby spotkać się w południe na obiad. Powiedział, że i tak każdego dnia chodzi około trzynastej do Pfeffer & Salz, w pobliżu Bramy Brandenburskiej, więc jeśli Abel ma ochotę, może do niego dołączyć. „Ale nie ciesz się na zapas”, dodał Döpfner, „mówię o Bramie Brandenburskiej w Poczdamie”. Jako podsumowanie tego dowcipu wybuchnął zdumiewająco głośnym i długim śmiechem.

Abel zapamiętał go właściwie jako osobnika raczej cichego. Wysoki, ale już w młodych latach miał skłonność do pewnej nieforemności, w grubych okularach i z rzadkimi, prawie bezbarwnie jasnymi włosami. Można powiedzieć, że Uli jako typ wyprzedził swój czas. Okularnicy ze skłonnością do tycia, unikający światła dziennego maniacy komputerowi stali się masowym fenomenem dopiero lata później.

W tamtym czasie, w trakcie studiów, Döpfner był uważany przez większość studentów medycyny za kuriozalnego osobnika bez przyszłości. Nikt nie potrafił wyobrazić go sobie jako doktora Döpfnera w kitlu lekarskim w klinice lub w krawacie i garniturze na jakimś kongresie. Uli zawsze robił wrażenie, jakby nie tylko występował nie w tym filmie, co trzeba, ale też jakby nie było nawet scenariusza filmu, do którego ewentualnie pasowałby lepiej. Stąd też przez cały okres studiów pozostawał nieśmiałym outsiderem, nawet sympatycznym, ale przez nikogo nietraktowanym poważnie i wręcz niezauważanym.

Z wyjątkiem Haralda Katza.

Abel przejechał wreszcie ostatnie roboty drogowe i skręcił na autostradę. Kiedy wjechał na pas do wyprzedzania i przycisnął nieco pedał gazu, sprawdził rutynowo w lusterku wstecznym, czy nie jadą za nim potencjalni prześladowcy. Audi A5 powoli rozpędzało się, cicho mrużąc.

Kiedy Abel wyprzedzał starszy model czarnego range rovera, przez chwilę spodziewał się, że zobaczy Jewgienija za boczną szybą. Ale mężczyzna za kierownicą był dwa razy starszy od przypuszczalnego psa łańcuchowego Burkianowa. Był chudszy, miał na sobie coś w rodzaju smokinga, staromodny kapelusz i do tego białe jak śnieg, sięgające ramion włosy.

Może zawodowy morderca z zamiłowaniem do filmów Tarantina, pomyślał Abel. Jednak ten starszy mężczyzna był raczej artystą cyrkowym albo magikiem w drodze na kolejne party dziecięce. W każdym razie nie miał zamiaru wjechać za Ablem na pas do wyprzedzania.

Abel nie dostrzegł także nigdzie umiędnionych mężczyzn na motocyklach, mimo to napięcie go nie

opuszczało. Miał uczucie, jakby coś wsiądo w powietrzu, ale nie był w stanie powiedzieć, co to może być. Zagrożenie, szansa, nieoczekiwana zmiana?

Jego myśli powróciły do Uliego Döpfnera. I do Harry'ego Katza. Obaj byli outsiderami i być może dlatego nieco się zaprzyjaźnili. Mimo że poza tym nic ich chyba nie łączyło. Tego misiowatego Uliego o łagodnych rysach twarzy z płochliwym, nieobecnym uśmiechem i szczupłego Katza o lodowatym spojrzeniu, który zawsze sprawiał wrażenie, jakby na coś czyhał. *Rzeczywiście miał coś z kota, czy też może raczej z lisa, który skrada się wokół kurnika*, pomyślał Abel.

W centrum Poczdamu zaczął jechać za nim ciemnoszary van. Wprawdzie był to hyundai, nie toyota, ale dwa typy na przednim siedzeniu sprawiały podobnie mroczne wrażenie co mięśniaki Jewgienija w Tyraspolu. Abel skręcił kilka razy w boczne uliczki, jednak hyundai ciągle jechał za nim. W końcu Abel zatrzymał się przy krawężniku, a szary van przesunął się koło niego, jak chmura burzowa.

Chyba mieli przypadkowo tę samą drogę, powiedział sobie Abel, kiedy hyundai zniknął z pola jego widzenia. Jednak to werbalne placebo nie zdołało go uspokoić. Wręcz przeciwnie.

Musi być ostrożny. Ta sprawa nadal nie była jeszcze zamknięta.

**Poczdám, restauracja Pfeffer & Salz.
Poniedziałek 11 września godz. 13.05.**

Restauracja Pfeffer & Salz znajdowała się przy Brandenburger Straße, rzeczywiście było z niej widać Bramę Brandenburską. Poczdamska wersja znanej na całym świecie berlińskiej budowli nie miała wprawdzie żadnych kwadryg na dachu, ale wyglądała równie imponująco. Liczni turyści robili sobie selfie, odwróceniem plecami do monumentu. W ten sposób będą sobie mogli obejrzeć bramę przynajmniej na zdjęciu.

Abel wyczał miejsce parkingowe obok lodziarni, obleganej przez kilka ekspedycji turystów wysypujących się z autokarów.

Nie oczekuj zbyt wiele od tego spotkania, w każdym razie jeżeli chodzi o Katza alias Lenskiego, upominał się w duchu, przemierzając te kilkadziesiąt kroków dzielących go od restauracji. Zapewne już dawno temu stracili się z oczu.

Za to oczy Döpfnera wpatrywały się w niego już z daleka. Uli siedział przy stoliku na zewnętrznym tarasie i machał obiema rękami jak kontroler ruchu na lotnisku.

– Freddy, stary kumplu! – wrzasnął na całe gardło i poderwał się ze swojego krzesła, podczas gdy Abel torował sobie jeszcze drogę między ciasno ustawionymi stolikami i ławkami.

Pfeffer & Salz, mimo swojej niemieckiej nazwy, była włoską restauracją w rustykalnym stylu. Na tarasie siedziało się w otoczeniu donic z kwiatami, przy ciemnych ławach ozdobionych snycerką. Menu dnia było wypisane kredą na tablicy z łupku i jak zwykle trudno było je odczytać. Ale to nie stanowiło tutaj żadnego problemu, ponieważ włoski kelner taszczył tę tablicę do każdego stolika i dźwięcznym głosem odczytywał spis dań.

Zajęte było około dwóch trzecich stolików i praktycznie każdy z obecnych gości zmuszony był uczestniczyć w spotkaniu byłych kolegów ze studiów. Döpfner chwycił prawą dłoń Abła i ścisnął ją z całych sił.

– Freddy, nie do wiary! – krzyknął. Nawet kelner przerwał recytowanie jadłospisu i odwrócił się w stronę Döpfnera i Abła.

Wygląda więc na to, że Uli nie jest już cichy i nieśmiały, pomyślał Abel. I tym samym mamy problem. Jeżeli ludzie Burkianowa szukają mnie w tej okolicy, to wystarczy, że pójdą za okrzykami „Freddy!” Döpfnera.

Z wyciem silnika przemknął obok motocykl. Abel spojrzał przestraszony przez ramię, wyzwolił dłoń z uścisku i podszedł bliżej Döpfnera, który miał na sobie koszulę w ten sam wzorek, co obrus na stole, tylko że niebiesko-białą, zamiast czerwono-białą. Koszula był o wiele za duża i zwisała mu znad paska, mimo to nie dało się ukryć, że brzuch Döpfnera znacznie się powiększył od czasów studiów. Poza tym jednak Uli zadziwiająco mało się zmienił, przynajmniej zewnątrz.

– Zjedzmy może w środku – powiedział Abel tak cicho, że turyści przy sąsiedni stoliku na próżno wyteżali słuch.

Uli wytrzeszczył oczy za grubymi okularami. Jego ciastowata twarz wyrażała niezrozumienie, które w następnej chwili przemieniło się w zachwyty.

– Jasne – zgodził się chrypiącym szeptem. – Sam powinienem na to wpaść. Przecież tutaj wszyscy nas słyszą!

Można tak powiedzieć, pomyślał Abel. Przez telefon powiedział Döpfnerowi tylko tyle, że chce z nim porozmawiać „na temat poszukiwań w sieci w sprawie wywiadowczej”. Ale wyglądało na to, że wprowił tym swojego byłego kolegę ze studiów w ogromne podniecenie.

W środku Abel wybrał narożny stolik i usiadł tak, żeby mieć na oku wejście do restauracji. Było to przytulnie urządzone pomieszczenie, dużo drewna w rustykalnym stylu. Na ścianach znajdowały się regały z winami i zdjęcia ferrari. Jednakże Abel nie miał raczej głowy do szczegółów wystroju tego wnętrza.

Podbiegł kelner z kamienną tablicą, ale Abel przerwał mu ruchem dłoni odczytywanie dzisiejszych specjalów.

– Co zamawiasz, Uli? – zapytał.

– Tagliatelle z cielecym ragout. Jest naprawdę wyśmienite. I cola zero.

– Dwa razy tagliatelle – powiedział Abel do kelnera, który trzymał tablicę przy piersi, jak średniowieczną tarczę. – A dla mnie woda mineralna.

Kelner zniknął. Döpfner założył ręce na brzuchu i spojrzał na Abła pełen oczekiwania. Robił wrażenie zbitego z tropu, wręcz onieśmielonego – albo po prostu był taki, jakiego miał go w pamięci Abel. Cichy, oderwany od życia i nieśmiały.

Abel upominał siebie, żeby nie wywalać od razu kawy na ławę. Musi najpierw pozyskać zaufanie Uliego, a potem dopiero wyjawic cel spotkania. Mimo że sam pękał wręcz z niecierpliwości.

Tak więc Abel pozwolił mu mówić i słuchał, co Uli ma do opowiedzenia. Döpfner, z pewnością lunatyka, wspiął się na taką pozycję zawodową, która najlepiej odpowiadała jego umiejętnościom i dziwacznemu usposobieniu. Pod koniec lat osiemdziesiątych nikt chyba nie potrafiłby tak szybko i sprawnie opracować cyfrowego banku danych dla specjalnych służb medycznych Bundeswehry, jak właśnie on. W końcu Uli studiował medycynę i informatykę, w tamtym okresie jeszcze bardzo rzadka kombinacja.

– Zdążyłem już awansować na pułkownika – opowiadał z nieśmiałym uśmiechem, który bardziej pasowałby do dwunastolatka, natomiast u oficera Bundeswehry w wieku czterdziestu pięciu lat wyglądał co najmniej dziwnie. – Tylko sobie nie wyobrażaj, że każdego ranka każę moim ludziom stawać na baczność, czy coś w tym rodzaju. Jesteśmy bandą nerdów, stroniących od światła pracoholików, odpowiadamy każdemu stereotypowi, o jakim kiedykolwiek słyszałeś w tym kontekście. Mimo że odbywamy także ćwiczenia w terenie, ale tylko na konsoli.

Znów wybuchnął śmiechem na całe gardło, ale natychmiast zredukował głośność do zera.

Kelner podał talerze z tagliatelle i napoje, a Abel usiłował skierować rozmowę na dawne czasy studenckie i na byłych kolegów, których obaj znali. Jak się okazało, Uli nie miał zbyt wielkiej ochoty na wspomnianie starych czasów, które chyba nie były dla niego okresem specjalnych rozrywek. Większość kolegów ze studiów, jakich wymieniał Abel, wydawała się budzić u Döpfnera co najwyżej zamazane wspomnienia. Jednak Abel nie chciał mówić o Harrym Katzu, zanim nie przekona Döpfnera do zajęcia się szukaniem właściciela tajemniczego sygnetu.

Jednak wspólne tematy do rozmowy zaczęły się wyczerpywać, zanim jeszcze Abel skończył jeść.

Döpfner natomiast spałaszował swoją porcję kilkoma zręcznymi ruchami widelca, na który nawijał makaron i zatapiał go w ustach, nie przerywając mówienia.

Zaraz potem, z licznymi śladami po ragout na brodzie, zaczął opowiadać anegdoty ze świata informatyki. Dla Abła nie było nic bardziej nudnego niż niekończące się opowieści o hakowaniu, wirusach i slotach. Ale zmusił się do skupienia na nich, żeby móc chociaż roześmiać się we właściwych,

jak miał nadzieję, miejscach.

Nagle do restauracji wpadł zwałisty mężczyzna w czarnym kombinezonie motocyklisty i stanął pośrodku sali na szeroko rozstawionych nogach. Miał jeszcze na głowie kask, którego szyba była na wprost podniesiona, i rozglądał się demonstracyjnie wokoło.

Puls Abła zaczął galopować.

To może być wczorajszy napastnik, pomyślał. Być może nawet sam lejtnant.

**Gdzieś w Niemczech.
Pomieszczenie piwniczne.
Poniedziałek 11 września godz. 13.17.**

Udało jej się! Ten sukinsyn leżał na dole przy drabinie. Z całej siły kopnęła go w tyłek, a on poszybował dokładnie w środek otworu, podrygując rękami i nogami jak ogromny pajak w ataku epilepsji. Uderzył przy tym głową o podłogę i stracił najprawdopodobniej przytomność. A może był nawet martwy? W każdym razie przestał się ruszać. Latarką, którą wcześniej schowała przed nim, zaświeciła w głąb czeluści. Latarka była zrobiona ze stali i miała długość prawie jej przedramienia.

No dalej, dopingowała siebie sama. Zejdiesz teraz na dół i wsadzisz tego gnoja stopami do rozdrabniacza. Potem przyłożysz kciuk do włącznika, a kiedy Barry dojdzie do siebie, wyjaśnisz mu, jaką ma alternatywę. Albo zdradzi ci kod liczbowy do drzwi, albo włączysz maszynę.

Brzmiało to jak naprawdę dobry plan. Najlepszy, jaki miała od czasu, kiedy wpadła w łapy Barry'ego. Mimo to nadal siedziała nieruchomo w kucki na skraju włazu i patrzyła w dół.

Kilka razy już próbowała postawić stopę na pierwszym szczeblu drabinki, ale jej nogi po prostu zbyt się trzęsły.

Z pewnością tylko udaje, że jest nieprzytomny. Kiedy stanę na drabinie, przewróci ją razem ze mną! A gdy znów odzyskam świadomość, to ja będę tkwiła w rozdrabniaczu, a Barry naciśnie włącznik!

Dygot stał się jeszcze silniejszy. Zaciśnęła zęby, żeby nie zacząć krzyczeć.

Masz broń, usiłowała uspokoić siebie. A on jest w miarę unieszkodliwiony środkiem, który mu wstrzyknęłaś.

Zanim by się podniósł, byłaby już dawno na dole. Wtedy mogłaby na wszelki wypadek walnąć go jeszcze latarką w głowę, zanim wsadzi go do rozdrabniacza. *Ale musisz zacząć to robić, natychmiast!*

Znów dotknęła stopą szczebla drabiny. Wtedy zobaczyła kątem oka, że Barry się wzdrygnął.

Ten sukinsyn dochodzi do siebie!

Krzyknęła histerycznie i cofnęła stopę z drabiny. O mało nie straciła równowagi i nie spadła na dół do niego. Oddychając gwałtownie, przykleknęła znów na brzegu otworu w podłodze.

Barry uniósł się na czworakach i robił wrażenie, jakby chciał wspiąć się po drabinie.

Mój Boże, jaka ja jestem głupia! Drabina!

Jana z krzykiem odrzuciła od siebie lampę, złapała za najwyższy szczebel i chciała wciągnąć drabinę do góry.

– W zasadzie to dobry pomysł, maleńka – powiedział Barry, lekko bełkocząc. – Tylko nieco spóźniony.

Wyprostował się błyskawicznie i zaczął wchodzić sprawnie do góry. Za każdym razem, kiedy jego stopa lub ręka dotykały drewnianego szczebla, piszczał jak obłąkany.

Jana przypatrywała się temu apatycznie. *Zrób coś, do cholery!* Ale nie była w stanie się ruszyć. *On wygrał. To koniec.*

Dopiero kiedy ręce Barry'ego chwyciły najwyższy szczebel, opadła z niej apatia. Poderwała się i z

całej siły kopnęła głowę Barry'ego, która właśnie wychynęła z otworu w podłodze. Znow krzyknęła, bo jej stopę przeszył potworny ból.

Barry krzyknął razem z nią w duecie, kiedy kopniak odrzucił go do tyłu. Drabina, której nadal kurczowo się trzymał, stała przez moment pionowo pod otworem.

A potem zupełnie jak w zwolnionym tempie przewróciła się do tyłu.

**Poczdham, restauracja Pfeffer & Salz.
Poniedziałek 11 września godz. 13.23.**

W sali restauracyjnej Pfeffer & Salz panował taki półmrok, że Abel nie mógł dokładnie zobaczyć twarzy pod kaskiem motocyklowym. Mężczyzna ten miał jednak brodę, a więc nie był to lejtnant.

Do wnętrza weszły trzy kolejne osoby w strojach motocyklowych. Cała czwórka zdjęła kaski i usiadła przy stole niedaleko wejścia. Dwie kobiety, jedna z czarnymi lokami, druga z kasztanowymi, krótko obciętymi włosami. A rzekomy lejtnant miał siwy koński ogon i białą kozią bródkę.

Oni są zupełnie niegroźni, pomyślał Abel. Jednocześnie zauważył, że Uli podążył za jego wzrokiem.

– Coś jest z tymi nie tak? – zapytał Döpfner.

– Zupełnie niegroźni – powtórzył głośno Abel.

– No to mów – powiedział Döpfner. – Czekam z napięciem, jak przewód z dziesięcioma tysiącami volt. Z pewnością nie chciałeś się ze mną spotkać tylko po to, żeby pogadać o dawnych czasach.

Jednak nie jest tak bardzo wyobcowany z życia, jak mi się wydawało, powiedział sobie Abel.

– Nie musisz mi mówić, co robisz zawodowo – dodał Döpfner – o tym wystarczająco często donoszą media. Z pewnością też jesteś w szczęśliwym związku uczuciowym, masz wspaniały dom, kilkoro dzieci i tak dalej. W sumie: dokładne przeciwieństwo mojej sytuacji. Nie chcę nawet tego słuchać. – Jego twarz wykrzywił grymas. – A więc nie dręcz mnie dłużej: w czym rzecz?

Abel wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki cienki plik fotografii.

– Obejrzyj te zdjęcia, Uli. I zwróć uwagę na inskrypcję. Mówi ci to coś?

Döpfner spojrzał na pierwsze zdjęcie, zastanowił się i zaczął oglądać kolejne fotografie, mrużąc oczy.

– Oczywiście, że mi to coś mówi – odpowiedział. – Litery cyrylicą oznaczają M-G-I-M-O. To skrót od *Moskiewski Instytut Stosunków Międzynarodowych*. Do końca istnienia Związku Radzieckiego kształcono tam całą partyjną elitę. Aparatczycy, politruki, agenci, przewidziani do zadań za granicą. Prawdopodobnie sklepik ten nadal służy tym samym celom, przynajmniej częściowo.

Abel był pod wrażeniem.

– Nieżle się w tym orientujesz.

– To element mojej pracy. – Döpfner wyraźnie rozkwitł. – Obecnie w MGIMO kształceni są także wysokiej klasy specjaliści od IT. A raczej: szpiedzy z umiejętnościami hakerów. Na ten temat jest fajna historia, którą koniecznie muszę ci opowiedzieć. Można zdechnąć ze śmiechu...

– Później – wpadł mu w słowo Abel. – Pozostańmy jeszcze przez chwilę przy sygnecie. Co, według ciebie, oznaczają te wygrawerowane liczby?

Döpfner znów zaczął wpatrywać się w zdjęcie, pokazujące napis w silnym powiększeniu.

– 22.12.1980 – wymamrotał. – Oraz 7-3-5-5-1. Teoretycznie właściciel mógłby, rzecz jasna, wygrawerować sobie na tym datę ślubu i kod PIN do banku. Ale bardziej przekonujące wydaje mi się to, że sygnety te datowane są i numerowane przez MGIMO, zanim zostaną przekazane tym czy innym właścicielom: absolwentom, członkom honorowym, profesorom, czy, bo ja wiem, komu jeszcze. W

każdym razie są one w ten sposób personalizowane, to znaczy, że każdy pojedynczy sygnet można, na podstawie daty i numeru, przyporządkować do określonej osoby.

Abel przytaknął głową.

– Też tak uważam. Przypuszczam, że sygnety te rozdawane są absolwentom, tak jak jest to na przykład w zwyczaju na wielkich uniwersytetach w USA.

– Brzmi logicznie – zgodził się Döpfner. – Gdyby chodziło tylko o profesorów lub członków honorowych, nie doszliby do pięciocyfrowej liczby.

Abel upił łyk ze szklanki, ale spowodowana zdenerwowaniem suchość w jamie ustnej dała się tylko na chwilę zniwelować wodą mineralną.

– Oznacza to jednak – dociskał dalej – że muszą istnieć listy, na których każdy pojedynczy numer przyporządkowany jest do nazwiska, prawda?

Döpfnerowi po raz kolejny udało się sztuka przybrania w jednej chwili miny całkowitego ignoranta, którą w następnym momencie zastąpił wyraz bezgranicznego zachwyty.

– No przecież, Freddy! – krzyknął. – Och, sorry. – Zniżył głos i nawet przykrył usta dłonią, jakby obawiał się ukrytych specjalistów odczytujących słowa z ruchu warg. – Teraz rozumiem – kontynuował zachrypłym szeptem – chcesz, żebym wyszukał dla ciebie, do kogo należy ten sygnet?

Abel skinął znowu.

– Ale tylko pod warunkiem, że zrobisz to, nie pozostawiając najmniejszych śladów w sieci. Dasz radę Uli, czy to jest zbyt duży numer dla ciebie?

Döpfner zrobił obrażoną minę.

– Lepiej zastanów się raz jeszcze – upierał się Abel. – Sam powiedziałeś przed chwilą, że żeby dotrzeć do listy, musiałbyś włamać się do tego elitarnego instytutu, w którym rosyjski wywiad kształci własnych szpiegów cybernetycznych.

– Żaden problem. – Döpfner, na ile było to możliwe, przyjął na siedząco postawę na baczność. Jego prawa ręka poderwała się w kierunku skroni i zsalutował dziarsko. – Pułkownik Döpfner bierze to na siebie!

– Świetnie – powiedział Abel. – Tym samym masz u mnie wielki dług wdzięczności. – Spojrzał przenikliwie na Döpfnera. – I ani słowa nikomu, okay?

Oczy Uliego błysnęły za grubymi szklami okularów jak dwie supernowe. Z nowym zapalem opowiadał kolejne anegdoty ze świata IT. Abel, po zamówieniu dla Uliego cappuccino, a dla siebie podwójnego espresso, wysłuchiwał wszystkiego z anielską cierpliwością. Mrowienie stało się nieważne, bez nowej dawki kofeiny nie przetrzymałby historyjek Döpfnera z cyfrowego świata.

Kwartet motocyklowy wyniósł się już, kiedy Abel znów skierował rozmowę na wspólną przeszłość jego i Uliego.

– Pamiętasz jeszcze tę piękną Bettinę? Bettinę Selzer?

– O Boże, tak. – Nastrój Döpfnera zmienił się nagle w przeciwieństwo niedawnego uniesienia. – Moja pierwsza, ha, ha, wielka miłość! Na trzecim semestrze. Do końca życia nie zapomnę pięknej Bettiny Alka-Selzer. – Zrobił minę, jakby miał się za moment rozpłakać. – Nigdy przedtem ani potem nie byłem tak często pijany i skacowany jak wówczas – ciągnął. – To była porażka, z której nigdy już się nie podniosłem, uwierz mi.

O mój Boże, pomyślał Abel, co tu jest grane? Nie spodziewał się takiego wybuchu uczuć. Uli i piękna Bettina? Już sama ta wizja miała w sobie coś z tragicznego komizmu.

– No tak, wtedy dawała kosza każdemu, kto usiłował się do niej zbliżyć, prawda? – zbagatelizował całą sprawę.

Uli przytaknął.

– Na tym właśnie polega różnica, Freddy! Inni chociaż próbowali. Ale ja? – Zrobił lekceważący gest. – Ja zawsze wielbiłem ją z dystansu! Umarła, nie podejrzewając nawet, jak bardzo ją kochałem!

– Oj, nieźle musiało cię to wtedy wziąć. – Abel pokręcił w myślach głową, patrząc jednocześnie ze współczuciem na Döpfnera. – Ale, o ile dobrze pamiętam, nawet Katzowi z nią się nie udało, mimo że próbował wszelkimi możliwymi trikami.

– Harry Katz? – Döpfner zrobił nagle wrażenie, jakby rozboleł go ząb. – On naprawdę próbował wszelkimi możliwymi trikami. Nie mógł się po prostu z tym pogodzić, że Betty nie chce z nim być. Ale to go tylko mobilizowało. Ciągle miał nowe pomysły, jak wreszcie ją dopaść.

– A na końcu umarła – powiedział Abel.

– Harry nie miał z tym nic wspólnego!

– Skąd ta pewność? Masz z nim jeszcze kontakt?

Uli zwiesił głowę.

– Od dawna już nie. Od początku lat dziewięćdziesiątych. Wtedy wykorzystał mnie jak dupek i dodatkowo oszukał.

Abel ostrożnie drążył temat, dopytując się, co wtedy zaszło. Döpfner wił się dłuższy czas jak piskorz.

– Masz prawdziwy talent do wydobywania z ludzi wstydlivych wyznań – mruknął. Abel nie odpuszczał, aż w końcu Döpfner opowiedział całą historię.

– Wtedy komputery miały mniejszą moc niż dzisiejsze komórki – tłumaczył. – A za żadne pieniądze i najlepsze układy nie można było dostać kamery wideo, która nie byłaby wielkości pudła. Więc możesz sobie wyobrazić, że pomysł Harry’ego nawet dla mnie był prawdziwym wyzwaniem.

W Ablu uruchomił się wewnętrzny alarm.

– Co to był za pomysł? – zapytał jakby od niechcena.

Na twarzy Döpfnera duma walczyła ze złością.

– Chciał, żeby mu zbudować urządzenie do ukrytych nagrań wideo, żeby mógł sfilmować siebie i swoją zdobycz podczas seksu.

– A co chciał potem zrobić z tymi nagraniami?

– W tym właśnie sęk – rzucił Döpfner. – Twierdził, że chce mieć te filmy tylko dla siebie, a ja dureń mu uwierzyłem! Potem przypadkiem zobaczyłem fragment jednego z jego ohydnych pornosów.

Döpfner westchnął głęboko. Kiedy podnosił do ust filiżankę z kawą, jego ręka wyraźnie się trzęsła. Spora porcja cappuccino wylądowała na jego brodzie.

– Faszrował te dziewczyny jakimiś narkotykami – ciągnął. – Żeby je rozhamować seksualnie. Ale wcześniej nigdy o tym nie mówił! Poza tym pokazywał im później te nagrania wideo i stawiał je w sposób bezwzględny przed wyborem: „Albo filmy te trafią w niewłaściwe ręce, albo robicie to, czego od was zażądam!”

Uli pokręcił głową, tak że na stół poleciały krople cappuccino.

– Kiedy go zdemaskowałem, tylko się zaśmiał i poklepał po ramieniu. „Jak chcesz, to też możesz coś mieć”, powiedział do mnie. „Po świecie chodzi wystarczająco dużo lasek, a najlepsze w tej całej sprawie jest to, że możesz mieć je wszystkie. Jak tylko taka zobaczy nagranie wideo z sobą w roli porno queen, to zrobi wszystko. Bez narkotyków, bez stosowania przemocy i całkiem świadomie”.

– Uszkodzenie ciała, gwałt, szantaż – wyliczał Abel. – Nie powiadomiłeś policji?

– Chciałem – zapewnił Döpfner. – Taki byłem wściekły na sukinsyna. A wiesz, co on do mnie raz powiedział? „Moja recepta jest równie prosta, co genialna. Doprowadzam do rozkładu ich moralność i osobowość, aż w końcu stają się moimi seksualnymi niewolnicami”.

Rozkład, przeleciało przez głowę Abła. A więc można to robić także bez niegaszonego wapna.

– Ktoś, kto robi coś takiego, jest nie tylko sukinsynem, ale także przestępcą – zauważył. – Złożyłeś więc doniesienie czy nie?

Uli znów pokręcił głową.

– Kazałem mu oddać kamerę i wszystko inne, bo inaczej pójdę na policję, ale on mnie tylko wyśmiał. Wtedy będę taka samo głęboko siedział w gównie, powiedział, w końcu to ja zbudowałem to urządzenie

do nagrywania. Powiedział, że zezna, że to ja byłem głównym inicjatorem w całej tej sprawie.

Döpfner przesunął dłonią po twarzy.

– Ale to było tak dawno temu – kontynuował tonem, jakby chciał tę przeszłość odsunąć od siebie możliwie daleko. – Potem nie chciałem już w każdym razie mieć z Katzem nic wspólnego. Spotykałem go, rzecz jasna, w kampusie, ale już ze sobą nie gadaliśmy. Wcześniej widywałem go jeszcze często na tych zabawach weekendowych, jakie odbywały się zawsze latem na łące nad brzegiem Leine. Pamiętasz?

Abel skinął głową. Niejasno przypominał sobie tamtą okolicę: ogromna połać łąki nad brzegiem rzeki i kilka drzew, nic poza tym. A wszystko to kilka kilometrów od miasta.

– Ale potem dowiedziałem się – dodał Döpfner – że ta łąka należy podobno do krewnych Katza. I potem nie chodziłem już tam na imprezy. I tak stałem tam tylko zawsze sam, jak palec, i nic nie wrywałem.

Przy tych słowach jego twarz nagle spochmurniała.

– Nie tak dawno byłem służbowo w Hanowerze – ciągnął Uli – i jeszcze raz obejrzałem sobie miejsca mojej ówczesnej hańby i wstydu. Szukałem także tej durnej łąki nad rzeką, ale teraz wszystko tam wygląda zupełnie inaczej. Nowa ulica, całe nowe osiedle, wałęsałem się tam trochę, ale wszystko jest wylane asfaltem i zabudowane. Może to i lepiej – dodał z nutą fatalizmu w głosie.

Abel przestał już na niego naciskać. Nie trzeba było posiadać telepatycznych zdolności, żeby dostrzec, że Uli mówi prawdę. Był gorzko rozczarowany swoim byłym kumplem i od kilkudziesięciu lat nie miał z nim żadnego kontaktu.

Rozmawiali jeszcze przez kilka minut o mało istotnych sprawach. Abel poprosił o rachunek, zapłacił za nich obu i poprosił Döpfnera, żeby od razu zadzwonił do niego na komórkę, jeżeli znajdzie coś na temat tego sygnetu.

– Ale żadnych szczegółów przez telefon. A zwłaszcza żadnych nazwisk – dodał jeszcze.

Nastrój Döpfnera od razu się poprawił.

– Przyrzekam – powiedział. – Jeszcze dzisiaj wezmę się do roboty!

**W samochodzie doktora Abła.
Wtorek 12 września godz. 8.38.**

Poproszę pana, żeby mi pan towarzyszył w klinice Helios – powiedział Abel do Scherza po porannej odprawie. – Podczas badania Burkianowa powinna być obecna jeszcze jedna osoba, jako świadek.

I ewentualnie drugi człowiek z mocnymi pięściami, dodał w myślach.

Scherz prychnął i wymamrotał niezrozumiały komentarz w swoją brodę, ale Abel był w końcu jego przełożonym, więc nie miał innego wyboru, jak podporządkować się tak uprzejmie sformułowanej prośbie.

Krótko potem ten masywny mężczyzna siedział obok Abła w samochodzie, z ramionami skrzyżowanymi na potężnej klatce piersiowej. W swojej podniszczonej brązowej marynarce ze sztruksu i opinającej brzuch koszuli w paski zapewne nawet w swoich najlepszych czasach nie przedstawiał pociągającego widoku. Jednak dzisiaj wydawał się Ablowi wręcz godny pożałowania.

– Scherz, człowieku, w trakcie tego wywiadu wysiadł panu chyba jakiś bezpiecznik – powiedział Abel tonem łagodnej nagany. – Co pan sobie wtedy myślał?

Scherz nie odpowiedział. Już w trakcie porannej odprawy unikał patrzenia Ablowi w oczy. Oczywiście musiał zdawać sobie sprawę z tego, że za tak poważne złamanie zasad grozi mu spora awantura, jednak nie wyglądał ani na podłamanego, ani na zaciętego, lecz raczej na dziwnie nieobecnego ducha.

– Jest pan jednym z najzdolniejszych lekarzy medycyny sądowej, z jakimi dotychczas pracowałem. Potrafi pan wykryć nawet bąka puszczonego kilka dni wcześniej pod kołdrą, jak powiedział raz profesor Herzfeld – ciągnął Abel. – Ale w przypadku tych tortur z zastosowaniem waterboardingu nie mogło przecież ująć pana uwagi, że pańska hipoteza oparta jest na bardzo wątkich podstawach. Ani z dowodów zebranych podczas obdukcji, ani z innych okoliczności popełnienia tego czynu nie można wyciągnąć, z niezbędną do tego pewnością, wniosku o współudziale CIA. Wręcz przeciwnie: istnieją poważne przesłanki, które wyraźnie przemawiają przeciwko takiemu przypuszczeniu.

Scherz w milczeniu patrzył przez boczną szybę. Jednak Abel czuł, że w tym potężnym mężczyźnie coś się dzieje.

Przebijali się nieustannie zagrożoną totalnym zakorkowaniem B2 przez blokowiska w Lichtenbergu w kierunku północnym. Klinika Helios, w której miał zbadać Burkianowa, znajdowała się na najdalszych peryferiach Berlina, w dzielnicy Buch.

Były szef tajnych służb ponownie złożył wczoraj doniesienie o uszkodzeniu ciała i usiłowaniu porwania. Rzekomo po raz drugi próbowano wsadzić go w biały dzień do bagażnika limuzyny mercedesa. Tym razem także nie było świadków rzekomego przestępstwa. Jednak Burkianow domagał się obdukcji obrażeń przez lekarza medycyny sądowej. I to właśnie przez doktora Freda Abła.

Abel nie był raczej zachwycony perspektywą ponownego spotkania tego byłego szefa tajnych służb. Człowieka o psychopatycznym spojrzeniu, który w Naddniestrzu, według wszelkiego

prawdopodobieństwa, napuścił na niego lejtnanta razem z jego psami tropiącymi. Z drugiej jednak strony miał ochotę osobiście przyjrzeć się temu ewentualnemu podwójnemu zabójcy, tudzież zleceniodawcy tych mordów.

Całe wczorajsze popołudnie Abel poświęcił na zestawienie wszystkich dostępnych dotychczas faktów i wniosków do swojego raportu na temat ciał znalezionych w kontenerze z wapnem. W bankach danych Federalnego Urzędu Kryminalnego i Interpolu przejrzał podobne przypadki tortur i zabójstw, które w sposób ewidentny były dziełem tajnych służb Naddniestrza. Wzorzec był w zasadniczych punktach taki sam, jak w przypadku podwójnego morderstwa w ruinach fabryki na przedmieściach Tyraspolu.

Ofiary były zawsze szprycowane lekarstwami, a potem brutalnie torturowane – były bite i kopane, rażone prądem, albo dokonywano amputacji członków przy pełnej świadomości ofiary. W końcu były duszone oraz/lub uśmiercane za pomocą plastikowych toreb, które zakładano im na głowy i zawiązywano na szyi sznurem lub kablem. Także wkładanie zabitych do niegaszonego wapna należało do ulubionych metod pozbywania się zwłok przez naddniestrzańską tajną policję pod dowództwem Burkianowa.

Do szerzej zakrojonych badań i wniosków w tych konkretnych przypadkach Abel potrzebował jednakże swojej torby z zabezpieczonymi dowodami, dyktafonem i aparatem ze zdjęciami.

Nareszcie zostawili za sobą ruchliwą dzielnicę Weißensee, a sytuacja na drodze zaczęła się normalizować. Nie dotyczyło to jednak pasażera siedzącego obok Abła.

– Czy jest możliwe, że w tej sprawie z waterboardingiem zagalopował się pan z powodów osobistych? – Abel usiłował odnaleźć się w otchłaniach emocjonalnych Scherza. – Pan i ja nie zawsze się zgadzamy, jeżeli chodzi o przyczyny w poszczególnych przypadkach. Ale w tych aktualnych sprawach jest pan tak emocjonalnie zaangażowany, jak nigdy wcześniej. Proszę, niech pan mi pomoże zrozumieć, co panem kieruje.

Scherz siedział obok Abła bez ruchu jak posąg Buddy. Co prawda nie tak mądry i spokojny, ale równie nieruchomy i potężny, jak posągi tego dalekowschodniego założyciela religii w buddyjskich świątyniach.

Abel czekał na odpowiedź, ale jednak miał trudności ze skoncentrowaniem się na Scherzu, ponieważ jego myśli prawie nieustannie krążyły wokół obu domniemych seryjnych zabójców. Katza i Burkianowa. Marie Horowitz niewiele posunęła się naprzód w poszukiwaniach ukrywającego się internisty, podobnie jak on w rozwiązaniu podwójnego zabójstwa w Naddniestrzu. Miał poczucie, że to rozwiązanie znajduje się bardzo blisko, ale było to tylko mgliste wrażenie, i nie był nawet w stanie powiedzieć, którego z tych dwóch przypadków dotyczyło, Katza czy Burkianowa. Teraz jednak musi się sprężyć i wyjaśnić sprawę z Scherzem, zanim ten lekarz naczelny jeszcze bardziej straci nad sobą kontrolę. Trudno było nie dostrzec, że Scherz przeżywa potężny stres.

– O co więc chodzi – naciskał na niego Abel. – Możemy jeszcze całą sprawę wyjaśnić w sposób nieoficjalny. Ale do tego musi się pan w końcu odezwać, panie Scherz.

Scherz odwrócił się w jego stronę w zwolnionym tempie. Abel dostrzegł przestraszony, że kąciki jego ust pod siwymi wąsami wyraźnie drżą.

– Ma pan rację, to wszystko bardzo mnie dotyka. Ale nie oznacza to wcale, że emocje ograniczyły moją zdolność oceny!

Abel pozostawił to bez komentarza, mimo że był dokładnie przeciwnego zdania. Zadziwiło go, że Scherz w ogóle zaczął mówić o emocjach. Cekał w napięciu na dalszy ciąg jego wyznania, co jednak w żadnym razie nie przeszkadzało mu obserwować otoczenia. Każdy motocykl i range rover w tylnym lusterku wywoływał w nim dreszcz. Ponieważ Burkianow osobiście zaaranżował ich spotkanie w klinice, to dla jego ludzi nie byłoby nic prostszego, jak zastawić na niego pułapkę po drodze.

Jednak poza przypominającym westchnienia oddechem lekarza naczelnego Abel nie zauważył nic niezwykłego w swoim otoczeniu.

– Miał na imię Laith – odezwał się niespodziewanie Scherz. – Młody Irakijczyk, który przez jakiś czas mieszkał u mnie jako podnajemca. To było ponad dziesięć lat temu, ale to wszystko do dzisiaj bardzo

mnie porusza.

Abel o mało nie zakrztusił się własną śliną. Czyżby ten Laith był kochankiem Scherza? Dotychczas nawet nie przypuszczał, że jego kolega może mieć inklinacje w tym kierunku. Czy w ogóle w jakimkolwiek innym.

– Mieszkał u mnie niecałe dwa miesiące – kontynuował Scherz łamiącym się głosem. – Pewnego ranka zniknął. Wyprowadził się bez pożegnania. Kilka miesięcy później zobaczyłem go znowu. W reportażu telewizyjnym o Abu Ghuraib.

Scherz zacisnął dłonie leżące na udach w pięści i otworzył je znowu. Powtarzał to kilka razy, coraz szybciej.

– Laith był jednym z tych nagich więźniów, którzy na czworakach, na smyczy jak psy, pełzali za swoimi wartownikami. Kiedy opublikowano te zdjęcia, już nie żył. Atak serca w wyniku długich tortur waterboardingu. Tak napisano po latach w raporcie *Amnesty International*. Był jednym z wielu, którzy zostali w ten sposób zakatowani na śmierć. I to przez siepaczy z CIA, panie Abel, przez nikogo innego! – Ostatnie słowa Scherz wykrzyknął niespodziewanie załamującym się głosem i z czerwoną z gniewu twarzą. – A teraz pan przychodzi mi tu z głodnymi kawałkami, że nie da się w sposób jednoznaczny udowodnić sprawstwa katów z tajnej służby USA? – rozpędział się dalej. – W końcu po to są te typy w tajnej służbie: żeby utrzymywać w tajemnicy zarówno swoje zbrodnie, jak i prawdziwych sprawców!

We wstecznym lusterku Abel obserwował, jak jaskrawoczerwony motocykl kawasaki ryzykownymi manewrami wyprzedził kilka samochodów i jechał teraz dokładnie za jego tylnym zderzakiem. Jednak szczupła postać w czarnym, skórzanym kombinezonie nie była w niczym podobna do mężczyzny, który zaatakował go w niedzielę. Wąskie ramiona i delikatne rysy twarzy za wizjerem kasku pasowały raczej do drobnej kobiety.

Z drugiej strony nie było żadnego powodu, żeby przypuszczać, że Burkianow za każdym razem będzie nasyłał na niego tych samych ludzi. Dlaczego więc dla odmiany nie mógłby to być żeński kiler?

– Z jakiego powodu ten młody Irakijczyk siedział w Abu Ghuraib? – zapytał możliwie rzeczowym tonem. – Z pewnością usiłował pan się dowiedzieć, dlaczego nagle wrócił do swojej ojczyzny i co tam robił.

Scherz prychnął.

– Nie było nic do dowiadywania się – rzucił swoim zwykłym nieprzyjemnym tonem. Po tym wybuchu znów przybrał zwykłą maskę. – Rodzina Laitha wywierała na niego presję, żeby wrócił i pomógł im w codziennej walce o przeżycie. Prawdopodobnie popełnił błąd i poddał się temu naciskowi. Amerykanie zamknęli wtedy samowolnie setki Irakijczyków. Wystarczył anonimowy donos i człowiek zniknął na zawsze w kazamatkach tortur, które Saddam pozostawił w uprzejmy sposób dla CIA.

Abel odczekał, aż kawasaki z wyciem sinika przemknęło obok nich.

– Okay, rozumiem – odparł. Jego zdziwienie z powodu tak nagle okazanej ludzkiej strony lekarza naczelnego, który zazwyczaj zachowywał się w sposób gburowaty, mieszało się coraz bardziej ze współczuciem. – Jeżeli następnym razem dojdzie pan do wniosku, że z powodów osobistych nie będzie w stanie podejść do sprawy w sposób odpowiednio obiektywny, to proszę wcześniej mi o tym powiedzieć, albo Herzfeldowi.

Znów rzucił z boku szybkie spojrzenie na Scherza. Lekarz naczelny skrzyżował ramiona na piersi i patrzył pozornie obojętnie przed siebie.

Abel powstrzymał się od zadania pytania o rodzaj uczuć, jakimi obdarzał wtedy Scherz swojego młodego lokatora. Nie miało to żadnego znaczenia, a poza tym nie powinno go to absolutnie obchodzić.

– Jeżeli zapewni mnie pan teraz przekonująco – powiedział – że jest panu przykro z powodu tego nieprzemyślanego wywiadu, to, jeżeli o mnie chodzi, możemy o całej sprawie zapomnieć.

– Jest mi – wyburczał Scherz.

– Proszę?

– Przykro mi. – Scherz parsknął jak lokomotywa. – I już się nie powtórzy.

– W takim razie wszystko w porządku. – Abel był niemal pewien, że kiedy w ich polu widzenia pojawił się długi, płaski budynek kliniki Helios, to nie tylko on odczuł sporą ulgę.

**Berlin, Buch.
Klinika Helios, gabinet lekarski.
Wtorek 12 września godz. 9.40.**

Młody, barczysty pielęgniarz z tatuażami na szyi i kolczykiem w nosie wprowadził Burkianowa do gabinetu badań. Pokój ten znajdował się na drugim piętrze; przez ogromnych rozmiarów okno wlewało się do środka światło słoneczne. Burkianow zrobił ponurą minę, kiedy niedźwiedzimi ruchami zbliżył się do Abła. Tył głowy tego ogolonego na łyso, potężnie zbudowanego mężczyzny był częściowo zabandażowany, co nadawało mu teatralny nieco wygląd. Nad prawą brwią przyklejony miał plaster.

– Lekarz sądowy i miłośnik podróży! – odezwał się Burkianow. Mówił po niemiecku, chociaż ze specyficznym akcentem, jak wielu byłych funkcjonariuszy z bloku wschodniego, którzy przez jakiś czas przebywali na terenie NRD. – Co za zaszczyt, że poświęca mi pan czas.

Żaden nich nie miał zamiaru podać ręki drugiemu.

– Nie traćmy czasu – zaproponował Abel. – Złożył pan na policji doniesienie, że został napadnięty. Zbadam teraz pana, udokumentuję obrażenia i następnie przekażę władzom dochodzeniowym moje wnioski, dotyczące tego, czy pana obrażenia odpowiadają przebiegowi zdarzeń, jakie opisał pan policji.

– W co pan osobiście powątpiewa – dodał Burkianow.

Abel zrezygnował z udzielenia na to odpowiedzi. Burkianow rozpiął i zdjął koszulę, nie spuszczać wzroku z Abła. Jak na mężczyznę po sześćdziesiątce był zdumiewająco umięśniony. Zapewne każdego dnia spędzał sporo czasu na ławce z hantlami.

Scherz otworzył zamek swojej torby z instrumentami i wyjął aparat fotograficzny do dokumentacji zdjęciowej, a także kątomierz, który podał Ablowi.

„...w sumie cztery obrzęknięte obszary tkanek miękkich na przedniej stronie klatki piersiowej, o średnicy między osiem i dwanaście milimetrów, lekko sprężyste przy ocenie palpacyjnej, u podstawy szyi i nad dolnym krańcem mostka z niezależnymi krwiami podskórnymi”, mamrotał Abel do swojego zastępczego dyktafonu. *„Na prawym przedramieniu po stronie łokciowej i w środkowej jednej trzeciej przedramienia zlokalizowano krwiak w kolorze granatowym o średnicy osiemnastu milimetrów, o owalnym kształcie z centralnym, powierzchownym otarciem skóry bez zachowanych naderwanych elementów nabłonka i tym samym bez wskazówki na kierunek otarcia...”*

Scherz ukucnął z sapnięciem i robił zdjęcia. Abel poprosił pielęgniarza o zdjęcie bandaża i plastra z czoła Burkianowa.

„...obrząk skóry głowy o średnicy niecałego centymetra, lekko sprężysty przy ocenie palpacyjnej, położony pośrodku potylicy, pięć centymetrów nad środkiem czoła. Obrażenia wykazywały centralnie zlokalizowane zdarzenie powierzchniowej warstwy skóry”, kontynuował Abel swoje dyktowanie. *„Pod plastrem na czole cztery równoległe położone powierzchowne otarcia, zlokalizowane w identycznym odstępnie wynoszącym pół centymetra względem siebie. Także i tutaj nierozpoznawalny kierunek otarcia”*.

Przerwał i czekał, aż Scherz zakończy robienie dokumentacji fotograficznej.

„Ocena rzeczoznawcza”, mamrotał do dyktafonu. „Stwierdzone obrażenia można bez większych zastrzeżeń uznać za powstałe w wyniku samookaleczenia, dokonanego przez samego poszkodowanego lub przy pomocy innej osoby. Powstanie obrażeń przy udziale osób trzecich w ramach napadu względnie fizycznego ataku wydaje się, z medyczno-sądowego punktu widzenia, mało prawdopodobne”.

Burkianow włożył tymczasem koszulę. Nie sprawiał wrażenia, jakby był zainteresowany wynikiem tego badania.

– Pana obrażenia tworzą wyraźny obraz – powiedział Abel, podczas gdy Burkianow wkładał koszulę do spodni. – Jednakże nie potwierdzają one pana opisu rzekomego napadu, lecz stanowią podejrzenie, które pojawiało się już przy pana pierwszym doniesieniu o przestępstwie.

– No to jestem ciekawy – rzucił Burkianow. – Jakie to ma być podejrzenie?

Kiedy pielęgniarz chciał mu znów założyć bandaż na głowę, Naddniestrzanin odmówił gestem ręki.

– Pan nie został napadnięty – odpowiedział Abel – ani wczoraj, ani podczas pierwszego rzekomego napadu. W obu przypadkach upozorował pan rzekomą próbę porwania prawdopodobnie po to, żeby uwiarygodnić twierdzenie, że jest pan prześladowany przez swoich rodaków z powodów politycznych.

Usta Burkianowa wykrzywiły się w minimalistycznym grymasie uśmiechu.

– Tym razem chodzi o coś innego – powiedział. – Muszę z panem porozmawiać w cztery oczy, doktorze. Ponieważ inaczej by się pan nie zgodził, zaaranżowałem to w ten sposób.

Jego niemiecki był równie imponujący, co jego bezczelność.

– Nie wiem, o czym mielibyśmy rozmawiać – odrzekł Abel.

Wyłączył dyktafon i schował do kieszeni marynarki. Miał ogromną ochotę dać mu chociaż do zrozumienia, że znalazł sygnet. Sygnet z jednoznaczną inskrypcją, należący prawdopodobnie do Burkianowa i tym samym będący dowodem na jego osobisty współudział w podwójnym zabójstwie. Jeżeli sygnet rzeczywiście należał do byłego szefa tajnych służb, to będzie on usiłował wszelkimi dostępnymi środkami usunąć ten bardzo niebezpieczny dla niego dowód. A razem z nim człowieka, który go znalazł.

– W cztery oczy – powtórzył Burkianow lekko poirytowanym tonem.

– No, dobrze. W cztery oczy, dwie minuty – zgodził się Abel. Scherz wziął torbę z instrumentami i poczłapał na zewnątrz. Aparat fotograficzny wisiał mu jeszcze na rzemieniu na szyi. Młody pielęgniarz poszedł za nim i drzwi się zamknęły.

Burkianow wpatrywał się w niego nieruchomo. Abel był lekko zdenerwowany, ale za wszelką cenę starał się wytrzymać to spojrzenie, nawet jeżeli oczy Burkianowa były tak szare i twarde jak stal czołgu.

Naddniestrzanin wykrzywił znów usta w prawie nierozpoznawalnym uśmiechu.

– Ma pan niebezpieczny zawód, doktorze – zaczął. – I po co pan tak ryzykuje? Pana przyjaciółka nie jest już najmłodsza, chociaż bardzo ładna. A pana dom to jedynie skromna szeregówka, nawet jeżeli urządzona z dużym smakiem, z tego co opowiadają ludzie. Ale niech pan sam powie, doktorze: czy nie zasłużył pan na coś lepszego? Pan, z takimi umiejętnościami?

Starannie zapiął przedostatni guzik swojej śnieżnobiałej, obcisłej koszuli.

– Czy zdaje pan sobie sprawę, jak krucha jest nawet ta odrobina szczęścia i dobrobytu, do jakiej pan doszedł? – spytał. – Te delikatne nadgarstki pana przyjaciółki, jak on ma na imię? Lisa? A także te łatwe do sforsowania drzwi werandy...

Westchnął teatralnie i pokręcił głową.

Abel patrzył na niego bez słowa. Jego puls wyraźnie przyspieszył. Ten facet miał czelność otwarcie mu grozić!

– A przecież pana życie mogłoby być tak piękne – ciągnął Burkianow. – Mógłby pan żyć na zupełnie innym poziomie, doktorze, z pana piękną przyjaciółką w szykownej willi, gdyby wziął pan tylko pod

uwagę myśl, że istnieje coś więcej niż tylko jedna prawda.

– Więcej niż tylko jedna prawda? – powtórzył Abel. Był tym wszystkim tak niebotycznie zdumiony, że o mało się nie roześmiał. – Pan oczekuje ode mnie, że potwierdzę pana wizję prawdy moim raportem?

– Niczego nie oczekuję – stwierdził Burkianow. – Tylko bardzo ucieszyłbym się, w pana interesie, doktorze, gdyby w wolnej chwili zastanowił się pan nad moimi słowami.

Abel pokręcił głową. Zuchwalstwo Burkianowa było wręcz niewiarygodne. Jego próby przekupstwa były jeszcze bardziej prymitywne od jego grózb.

– Proszę nie robić sobie nadziei – powiedział Abel. – Nie jesteśmy w Naddniestrzu, gdzie takie typy jak Jewgienij czy też lejtnant tańczą, jak pan zagra. Tutaj w Niemczech nic pan nie zdołała tego typu metodami.

Burkianowowi nie drgnęła nawet powieka. Jakby nigdy nie słyszał o Jewgieniju czy lejtnancie.

– Ma pan fałszywy obraz mojej osoby – odparł. – Nikt już nie tańczy, jak mu zagram, te czas bezpowrotnie minęły. Z pewnością nie jest pan w stanie sobie wyobrazić, jak to jest być przywiązany do kołka jak kozioł, kiedy we wcześniejszym życiu było się wilkiem. Ale tym właśnie jestem, tu w Berlinie: kozłem uwiązanym do kołka!

Wykrzywił twarz w grymasie udawanej wesołości.

Abel skinął mu głową i bez słowa opuścił gabinet lekarski.

Na korytarzu Scherz i młody pielęgniarz siedzieli obok siebie na ławce. Mimo że nie rozmawiali ze sobą, tworzyli obraz spokojnej harmonii.

Czy Scherz i ten młody Irakijczyk także w ten sposób spędzali wolny czas? Siedzieli w milczeniu obok siebie, cieszyli się po prostu, że ten drugi istnieje?

W jednej kwestii Burkianow miał jednak rację, pomyślał Abel. Każdy spokój jest kruchy, dopóki wilki, takie jak on, mogą wałęsać się bez problemów.

Z rozmyślań wyrwał go dzwonek smartfona.

– Pan Abel? – spytała Charlotte Lubitz. – Proszę możliwie szybko przyjechać do Paul-Löbe-Haus. Chyba mamy naszego człowieka. Zabójcę od waterboardingu. Jest w pułapce, ale ma przy sobie kolejną ofiarę.

– Czy są już jacyś zabici? – spytał Abel zdziwiony. Zwykle lekarze medycyny sądowej wzywani są na miejsce przestępstwa, kiedy ktoś umrze.

– Nie, na szczęście nie. Niestety jakiś waźniak u nas albo u pana nie utrzymał języka za zębami, w każdym razie dzisiaj rano kilka lokalnych rozgłośni podało informację o „tajemniczych zabójstwach waterboardingowych w dzielnicy rządowej”. I dlatego potrzebuję pana tu na miejscu, doktorze Abel. Gdyby zakładnik nie przeżył, muszę natychmiast wiedzieć, czy złapaliśmy prawdziwego zabójcę, czy też...

– ...naśladowcę, rozumiem – dokończył za nią zdanie Abel. – Już jadę.

**Centrum Berlina.
Paul-Löbe-Haus, budynek przyległy.
Wtorek 12 września godz. 11.22.**

Budynek przyległy parlamentu był, tak jak gmach główny, filigranową konstrukcją z nieotynkowanego betonu i szkła. Kiedy Abel przyjechał, na placu przed wejściem i na dziedzińcu wewnętrznym roilo się od funkcjonariuszy sił bezpieczeństwa. Patrole policyjne, jednostka do zadań specjalnych, policja federalna i całe mnóstwo atletycznie zbudowanych mężczyzn po cywilnemu, którzy biegali we wszystkie strony i mamrotali coś do swoich mikroportów.

Abel zaparkował na placu w pobliżu budynku parlamentu, gdzie stało już kilkanaście pojazdów policyjnych i cywilnych. Poza tym była też karetka pogotowia i niepozorny szary mercedes transporter, z którego dowództwo kierowało akcją.

Chwycił zastępczą torbę z instrumentami i poszedł w kierunku barierek policyjnych.

Scherz pojechał taksówką z powrotem do Treptowers, podczas gdy Abel umocował magnetycznego koguta na dachu swojego audi i te dwadzieścia kilometrów pełne robót drogowych, korków i szepionych ze sobą samochodów po stłuczkach pokonał w mniej niż pół godziny.

Umundurowani policjanci trzymali na dystans grupki ciekawskich. Na łące wylądował z ogłuszającym dudnieniem helikopter policji federalnej. Wyglądało na to, że odcięto połowę dzielnicy rządowej.

Charlotte Lubitz opisała Ablowi, gdzie zabarykadował się domniemany zabójca. Pozbawione okien pomieszczenie w podziemnym trakcie bocznego budynku. Pomieszczenie to znajdowało się na końcu korytarza. Nie było żadnej możliwości ucieczki. Ale dopóki istniała szansa na uwolnienie zakładnika żywego, dopóty jednostka do zadań specjalnych nie mogła rozpocząć szturm.

Idąc, wyjął z kieszeni legitymację Federalnego Urzędu Kryminalnego i pokazał funkcjonariuszowi przy barierce, który przepuścił go machnięciem dłoni. Na wewnętrznym dziedzińcu przejął go Lex Westermann.

Ten otyły nieco nadkomisarz zawsze emanował niewzruszonym spokojem. Dzisiaj jednak wyglądał na strapionego.

– Potrzebujemy średniej wielkości cudu, inaczej nie wydostaniemy zakładnika żywego – powiedział. – Uwięził dostawcę pizzy, młodego Afgańczyka. Wie pan, ile przypadków z zakładnikami w podobnych warunkach kończy się jatką?

Abel pokręcił głową.

– Niech pan powie mi lepiej, co wiecie o sprawcy. Jak wpadliście na jego ślad?

– Dzięki Jankowskiemu, waszemu profilerowi z Federalnego Urzędu Kryminalnego – odpowiedział Westermann, gdy przeciskali się między funkcjonariuszami jednostki do zadań specjalnych w pełnym bojowym rynsztunku. – O ile wiem, Charlotte Lubitz i pan rozwiązaliście dzięki jego pomocy kilka trudnych spraw. Daliśmy Jankowskiemu wszystko, co mieliśmy, co wiedzieliśmy na temat sprawcy i pierwszych trzech ofiar, a on praktycznie przez noc sporządził nieprawdopodobnie precyzyjny profil

sprawcy.

Zaskrzeczały krótkofalówki, rozdzwoniły się komórki, wszyscy zaczęli się przekrzykiwać. Ogólna nerwowość wydawała się elektryzować powietrze. Abel widywał już lepiej przygotowane akcje.

– Na podstawie profilu sporządzonego przez Jankowskiego – ciągnął Westermann – przeczesaliśmy wszystkie dostępne banki danych i trafiliśmy w dziesiątkę. Nasz człowiek nazywa się Martin Rahn, czterdzieści trzy lata, należy do kierownictwa służby ochrony budynków rządowych i parlamentarnych w całym Berlinie. Jak pan słusznie przypuszczał, doktorze Abel, brał przez kilka lat, na początku tego wieku, udział w akcjach na Bliskim Wschodzie. Rahn pracował w Bagdadzie jako szef zespołu kontrwywiadu dla prywatnej firmy ochroniarskiej i tam zapewne spotkał się z praktykami waterboardingu. Profil sporządzony przez Jankowskiego pokazałem jednej z psychologek naszego Krajowego Urzędu Kryminalnego. Potwierdziła, że takie praktyki tortur powodują traumę nie tylko u ofiar, ale także u aktywnych uczestników, nazwała to „triggered”.

Abel przytaknął. *Niektórzy ludzie mają za sobą tak przerażające przeżycia, że w ich wyniku zmieniają się na zawsze, pomyślał. Niekiedy jedyną możliwością życia z bagażem tych doświadczeń wydaje się nieustanne powtarzanie tego, co się przeżyło. W ten sposób ofiary maltretowań i molestowań mogą stać się sprawcami, którzy zadają swoim ofiarom te same cierpienia, jakich sami doznawali przez lata, czy też dziesięciolecia, ponieważ nauczyli się takiego właśnie wzorca zachowań i przejęli go na resztę życia. W podobny sposób sprawcy czy też współsprawcy mogą się uzależnić od dreszczu ekscytacji, jaki powoduje w nich powtarzanie własnych traumatycznych przeżyć – tylko właśnie nie jako ofiary, lecz jako ci, którzy u innych wywołują strach i ból.*

Ale istnieją także ludzie, którzy od samego początku są źli, przeleciało mu przez głowę. Kiedy stoją potem przed sądem, ponieważ popełnili niewyobrażalne zbrodnie, nawet ich obrońcy muszą przyznać, że ich klienci nie przeżyli ani przysłowiowego trudnego dzieciństwa, ani też innych poważnych traum. Ci ludzie są ucieleśnieniem zła. Odczuwają przyjemność, kiedy dręczą innych, przerażają ich, torturują i mordują. A jednym z nich jest Katz alias Lenski. Podobnie jak Burkianow.

– Kiedy dwie godziny temu chcieliśmy aresztować Rahna w jego miejscu pracy – wyjaśniał dalej Westermann – był u niego właśnie dostawca z pizzą. Rahn wziął tego dwudziestoletniego Afgańczyka jako zakładnika. Przyłożył mu do skroni służbową berettę 92 i uciekł razem z nim do podziemi. Przechowuje się tam rzeczy dla sprzątaczy, jest tam także bieżąca woda.

Westermann nie potrzebował nic dodawać. Abel i tak rozumiał, co chciał przez to powiedzieć. *Nawet taka rzecz, jak wiadro pełne wody, jeżeli wpadnie w niewłaściwe ręce, może stać się śmiertelną bronią, pomyślał.*

Abel pospieszył za Westermannem do drzwi na drugim końcu dziedzińca. Tam dostrzegł postać o siwych włosach, w szarym garniturze, której widoku chętnie by sobie oszczędził.

Naczelnny oportunistą Kastner.

Kierownik Grupy Specjalnej rozmawiał z Charlotte Lubitz i człowiekiem w mundurze jednostki specjalnej. Szklą jego okularów błyskały w południowym słońcu, a jego chrząknięcia brzmiały jak odgłosy zaciętej piły. Pani nadkomisarz nie tylko ze względu na swoje żółte buty do biegania sprawiała wrażenie, jakby chciała możliwie szybko uciec od Kastnera. Ale on był jednak szefem, toteż musieli zarówno ona, jak i dowódca jednostki do zadań specjalnych wysłuchać kazania Kastnera.

Z pewnością domaga się od nich, żeby „złagodzili fałszywe wrażenie, że ma tu właśnie miejsce wzięcie zakładnika”, powiedział sobie Abel. W końcu nie może istnieć coś, co jest niedopuszczalne. Dokąd by nas to zaprowadziło, gdyby dowolny przestępca z zakładnikiem mógł narazić karierę Kastnera?

Nie mając innego wyjścia, przyłączył się razem z Westermannem do tej trójki.

Szef Grupy Specjalnej spojrział na nich krótko i wydał z siebie nerwowe burczenie.

– Czego pantu chce, doktorze? Jeszcze nie mamy żadnego trupa, a ja zrobię wszystko, żeby tak

pozostało.

Abel zignorował go, ale Kastner i tak zaczął znowu przemawiać do szefa jednostki specjalnej.

– No to rozumiem, że jesteśmy zgodni, panie Hülsdorf, tak? – Brwi Kastnera drgały.

Na twarzy Hülsdorfa pojawił się mało przyjemny grymas.

– Oczywiście. Nikt nie chce przelać krwi niewinnych ludzi, jeżeli da się tego uniknąć.

Abel słyszał już gdzieś nazwisko tego szefa jednostki do zadań specjalnych, nawet jeżeli nie pracował jeszcze razem z nadkomisarzem Janem Hülsdorfem. W każdym razie ten żyłasty, zbliżający się do czterdziestki mężczyzna z cienkim czarnym wąsem nie był uważany za twardziela za wszelką cenę. Co było pozytywnym zjawiskiem w porównaniu do innych jego kolegów. W oczach wielu funkcjonariuszy tej jednostki akcja wtedy kończyła się sukcesem, gdy udało się unieszkodliwić sprawcę czy sprawców. Jeżeli zostali przy tym zranieni lub zabici zakładnicy względnie cywile, wówczas przynależało to do tak zwanej rubryki „skutków ubocznych”: godnych pożałowania, ale nie zawsze do uniknięcia.

Z drzwi korytarza wybiegł młody funkcjonariusz w uniformie jednostki specjalnej i w czarnym kasku szturmowym.

– Proszę szybko ze mną – powiedział do Hülsdorfa. – To, co słyhać ze środka, nie brzmi za dobrze.

**Gdzieś w Niemczech.
Pomieszczenie piwniczne.
Wtorek 12 września godz. 11.29.**

Barry leżał na dole na plecach obok rozdrabniacza, miał dziwnie wykręconą nogę, na nim leżała ukosem drabina. Nie ruszał się. Jak długo? Od wielu godzin, pomyślała Jana, być może cały dzień.

Wydawało jej się, że całą wieczność klęczy na krawędzi otworu w podłodze i tępo patrzy w dół. Co kilka sekund oświeślała go latarką, żeby upewnić się, że się nie przesunął. Że rzeczywiście jest nieprzytomny. A może nawet nie żyje.

Ale to wlepianie wzroku w dół, gdzie była śmierdząca katakumba, wręcz odbierało jej rozum. Albo pozostałość tego, co mimo wszystko z niego zostało.

Był ranny albo martwy. W każdym razie nie mógł jej nic zrobić. Co mu dokładnie jest, ustali, kiedy do niego zejdzie. Ale wcześniej musi mieć plan.

Wstała więc i znów zakryła otwór kwadratową drewnianą płytą, którą Barry w jakiś sposób wypchnął od dołu. Płyta była od góry pokryta wykładziną podłogową, a od spodu rodzajem pianki wygłuszającej. Najwyraźniej była to kłapa zamaskowanego zejścia, ponieważ reszta podłogi składała się z betonu. W każdym razie o ile Jana zdążyła się zorientować.

Gdy tylko właz został zakryty, z dołu od razu przestał dochodzić fetor zgnilizny. To był pozytywny aspekt. Ale w tej samej chwili wyobraźnia Jany zaczęła wariować. I to już nie było pozytywne, to był istny koszmar.

Co z myśli, to z serca, pomyślała sobie, ale w tej chwili było dokładnie odwrotnie. Nie mogła myśleć o niczym innym. Cały czas miała przed oczyma Barry'ego, jak na dole dochodzi do siebie i odsuwa na bok przygniatając go drabinę. Jak wstaje i ma w oczach te dziwne błyski. Jak błądzi w ciemności i przygotowuje wszystko, żeby ją wreszcie wykończyć.

Z pewnością trzyma tam na dole narzędzia. Broń, liny, diabli wiedzą, co jeszcze. A ty, głupia krowo, zamknęłaś kłapę, żeby mógł cichcem przygotować się do ataku!

Znów więc uklękła na roztrzęsionych kolanach przy otworze w podłodze. Złamała dwa paznokcie, żeby znów wyjąć pokrywę z ramy. A wtedy krzyknęła i patrzyła jak sparalizowana w dół, a światło latarki dygotało w takim samym rytmie jak jej dłoń, jak jej usta, jak ona cała.

Barry zniknął! Leżała tam już tylko drabina. Gdzie on się, na Boga, podział?

Jana położyła się płasko na brzuchu i wsunęła głowę w otwór. Jedną ręką mocno trzymała się krawędzi podłogi. Drugą kręciła latarką na wszystkie strony.

Snop światła natrafił na rozdrabniacz. Jana zamarła.

To on! O Boże, co ten łajdak tam robi?

Barry stał pochylony, chwiejąc się obok niszczarki, w połowie zakryty jaskrawożółtym urządzeniem.

„Profesjonalny rozdrabniacz do drewna”, jak zachwalał niedawno to urządzenie, składał się ze spalinowego silnika i mającego jakieś półtora metra plastikowego zasobnika, czegoś w rodzaju pojemnika na śmieci, który zamiast spodu miał rząd błyszczących noży. Całość była zamontowana na dwukołowej podstawie. Masywny, kilka razy wygięty metalowy pręt służył widocznie do tego, żeby pojemnik rozdrabniacza ustawiać pod różnym kątem.

W każdym razie służył do tego do tej pory. Ponieważ Barry właśnie wyjął go z mocowania i pomachał nim w górę, do Jany.

– W zasadzie ta rzecz nie została zaprojektowana w tym celu, bo popatrz na te wygięcia. – Obszedł rozdrabniacz dookoła, stanął bezpośrednio pod otworem w podłodze i wyciągnął pręt w jej stronę. Zachwiał się przy tym i omal nie stracił równowagi. – Mimo to w ostateczności się nada – kontynuował coraz bardziej bełkotliwie. – Mam na myśli, do nabicia cię na pal. Możesz mi zaufać, mała. Zaraz wyjdę na górę i go wypróbuję.

Jana znów krzyknęła. Górny koniec pręta sięgał prawie do niej. Omal nie trafił w latarkę i nie wytrącił jej z dłoni.

– To będzie zupełnie nowe doświadczenie – bełkotał Barry. – Dla nas obojga, skarbie.

Wydawało się, że wciąż jest na haju od tej substancji, którą mu wstrzyknęła, ale jej działanie stopniowo słabło.

– Zdechniesz tam na dole! – krzyknęła. – I to jest jedyne doświadczenie, jakie cię jeszcze czeka!

Podskoczył i dźgnął prętem w jej kierunku. Odczołgała się gwałtownie od krawędzi i znów zakryła płytą otwór w podłodze. Przesunęła też z powrotem stół nad otwór i odczołgała się tyłem od miejsca, pod którym musiał jeszcze stać Barry z prętem.

Dopiero kiedy uderzyła plecami o ścianę, zorientowała się, że wciąż krzyczy.

**Centrum Berlina.
Siedziba parlamentu, budynek przyległy.
Wtorek 12 września godz. 11.37.**

Drzwi wykonano z ogniotrwałego metalu, mimo to było przez nie wyraźnie słychać bulgotanie i charczenie, przerywane nieartykułowanymi krzykami. Potem znów soczysty chlupot, który wszystkim, nasłuchującym na zewnątrz w korytarzu, nasuwał nieunikniony obraz.

Wody, która chlapie na przykrytą rękami twarz ofiary.

Młody dostawca pizzy nazywał się Nissar Alizada. I po prostu miał ogromnego pecha, ponieważ był na miejscu w chwili, kiedy zabójca potrzebował zakładnika. Złe miejsce, zły czas. Tak jak w przypadku wielu, którzy znaleźli się na stole sekcyjnym Abla.

W obecnych okolicznościach Rahn na pewno nie byłby wybredny, ale ofiary z niemieckim paszportem być może przynajmniej by nie torturował.

– No, wyrzuć to z siebie! – dobiegł przez drzwi ostry głos. Znów dźwięk wody lejącej się na miękkie podłozie. – Dostawca pizzy to tylko twoja przykrywka, w rzeczywistości chciałeś wybadać tu wszystko przed atakiem bombowym. Przyznaj się wreszcie, ty islamski potworze!

Potem znów kasłanie i rżenie. Skrzypienie drewna, zgrzytanie metalowych zawiasów. Widocznie ofiara szarpała więzy i prężyła się.

– Należysz do Państwa Islamskiego – ciągnął Rahn pewnym siebie tonem. – Albo do Al-Kaidy! Chcecie wysadzić w powietrze niemiecką demokrację i nasze państwo prawa! Trach! Bum!

Dowódca oddziału specjalnego Hülsdorf dał Kastnerowi i Charlotte znak. Odeszli od drzwi i stanęli tuż obok Abla.

– Musimy natychmiast tam wejść! – powiedział Hülsdorf stłumionym głosem. – Oczywiście mam świadomość, że sprawca ma broń. Jeśli tam wtargniemy, ryzykujemy, że zakładnik dozna obrażeń. Ale jeśli nic nie zrobimy, będzie to na pewno ostatnia pizza, jaką dostarczył. – Chrząkanie Kastnera zabrzmiało prawie jak wołanie o pomoc.

– Jak pan go ocenia jako lekarz? – Hülsdorf zwrócił się do Abla.

– Abel jest patologiem – wtrącił się Kastner. – Dopóki zakładnik żyje, jego opinia nie ma tu nic do rzeczy.

– A ja widzę to inaczej – odezwał się Abel spokojnym głosem. – Moi koledzy i ja przeprowadziliśmy do tej pory trzy autopsje ofiar waterboardingu. Nasze orzeczenia są jednoznaczne: istnieje ekstremalnie wysokie ryzyko, że tortury doprowadzą do śmierci ofiary. Sprawca nie panuje nad tą techniką tortur, czego akustyczne konsekwencje państwo sami słyszą. – Pokazał na żelazne drzwi. – Jeśli będziecie jeszcze dłużej czekać, ofiara zginie od wody, która wedrze się do przełyku, a stamtąd do płuc.

Kastner szarpał włosy na głowie, zdjął okulary, popatrzył na niego i znów je założył.

Dyszenie i charczenie za żelaznymi drzwiami stało się niepokojąco ciche.

Dowódca oddziału szturmowego rzucił pytające spojrzenie Charlotte Lubitz, potem Hülsdorfowi, a w

końcu nawet Ablowi. Wszyscy troje przytaknęli.

– Zgoda – powiedział Kastner tak cicho, jakby miał nadzieję, że nikt go nie usłyszy. – Hülsdorf, wchodzi pan ze swoimi ludźmi. Ale, na miłość boską, ma pan zadbać, żeby...

Nie dokończył. Poza rżeniem torturowanego i niemal bezgłośnymi krokami szturmowców nie było już nic słyhać. Sześciu ludzi podeszło do żelaznych drzwi, nadkomisarz Hülsdorf na czele. Wszyscy mieli na twarzach maski oddechowe. Czterech z nich trzymało broń gotową do strzału, piąty miał taran, szósty trzymał w ręku granat dymny.

Trzy, dwa, jeden, odliczył Hülsdorf na palcach lewej dłoni.

Taran z impetem uderzył w gałkę u drzwi, i zamek, i drzwi gwałtownie się otworzyły. Na ułamek sekundy ukazała się za nimi paraliżująco banalna sceneria: blaszane regały ze środkami czyszczącymi, wiadra i sterty ułożonych jedna na drugiej ścierek. Potem eksplodował granat dymny i pomieszczenie spowiała ciemnoszara mgła.

Ktoś zaklął, ten sam ostry głos, który dopiero co wydawał ofierze tortur nedorzeczne rozkazy.

– Cholerni idioci, wszystko spieprzyliście! – krzyknął Martin Rahn. Chwiejnym krokiem wyszedł z uniesionymi rękami z zadymionego pomieszczenia. W lewej ręce pomiędzy kciukiem i palcem wskazującym trzymał za lufę wyciągniętą daleko od siebie swoją beretę, żeby zasygnalizować, że się poddaje. Niepozorny mężczyzna trochę ponad czterdzieści lat, z łysiną nad czołem i zadatkami brzucha pod bluzą munduru.

– To ja tu żyły sobie wypruwam – pomstował – żeby unieszkodliwić cholerną grupę terrorystów, którzy chcą podkopać naszą niemiecką demokrację, a wy, bezpieczeństwowi najemnicy, co robicie? – Uklęknął, upuścił beretę na podłogę i znów wstał. – Wtrąćcie się i działacie na korzyść wroga! A ja tylko spełniam swój obywatelski obowiązek i dbam o bezpieczeństwo państwa!

Nie stawiając oporu, dał sobie założyć kajdanki i nieustannie wrzeszczał dalej. Wciąż pomstował, kiedy dwaj funkcjonariusze wyprowadzali go przez korytarz na zewnątrz.

Nikt nie zwracał na niego uwagi. Wszyscy w napięciu nastawili uszy w stronę żelaznych drzwi. Ale z pomieszczenia na środki czystości nie dochodziło już kasłanie ani ciężki oddech.

Ludzie z oddziału specjalnego przeszukali pomieszczenie i szybko wyszli. Hülsdorf zerwał maskę oddechową i pokręcił głową.

– Być może lekarz będzie znał jakieś czary – rzekł.

Lekarz najwidoczniej nie posiadał jednak takich umiejętności.

– Ciało jest pańskie, doktorze Abel – powiedział, po tym jak przez niemal dwadzieścia minut próbował reanimować młodego Afgańczyka za pomocą respiratora i urządzenia do stymulacji serca.

Abel wszedł do pozbawionego okien pomieszczenia i zaznajomił się ze scenerią. Kilku funkcjonariuszy z sekcji zabezpieczania śladów krzątało się przy regałach. Neonówki na suficie oświetlały wszystko bezlitosnym bladym światłem, w którym nawet żywi wyglądali jak zwłoki.

Nissar Alizada leżał na środku pokoju na długim na dwa metry stole, którego nogi przy jednym końcu były złożone.

Młody Afgańczyk był drobnym mężczyzną, miał ciemnobrązową skórę i kruczoczarne włosy. Leżał na plecach przywiązany opaskami zaciskowymi do kabli do blatu stołu, który opadał tak stromo, że wydawało się, że chłopak niemal stoi na głowie. Błękitna ścierka, którą sprawca położył na twarzy ofiary, najwidoczniej zsunęła się i zakrywała teraz już tylko część powyżej nosa. Usta Alizady były szeroko otwarte, co wskazywało na to, że do ostatniego uderzenia serca łapał oddech. Z przemoczonej ścierki wciąż skapywała woda do kałuży, która utworzyła się pod jego głową. Stojące obok wiadro było prawie w jednej trzeciej napełnione wodą.

Abel kucnął obok zmarłego. Otarcia w okolicy szczęki stanowiły dobrze znaną oznakę. Widocznie sprawca siłą przytrzymał usta Alizady, kiedy lał wodę na rozłożoną ścierkę. Abel podciągnął zmarłemu T-shirt pod szyję i znalazł to, czego się spodziewał. Półkoliste świeże krwawe podbiegnięcia

na skórze na piersi i bokach były skutkiem zlokalizowanych tam więzów, a także wykazywały typową sygnaturę sprawcy, który przed Nissarem Alizadą dręczył waterboardingiem trzech innych mężczyzn i ich zamordował.

– Oczywiście ostateczną informację może dać dopiero obdukcja. – Abel odwrócił się do Charlotte Lubitz, która właśnie weszła do pomieszczenia. – Ale już teraz mogę powiedzieć państwu z dość dużą dozą pewności, że Rahn nie jest naśladowcą. – Zamknął walizkę z instrumentami i wstał. – Złapała pani waterboardingowego zabójcę, pani Lubitz.

**Gdzieś w Niemczech.
Pomieszczenie piwniczne.
Wtorek 12 września godz. 13.26.**

Siedziała pod stołem z gotowymi daniami, uda miała podciągnięte do piersi i kurczowo trzymała się rękami za łydki.

Od dołu Barry uderzał żelaznym prętem w drewnianą klapę i przy każdym uderzeniu Jana wzdygała się i krzyczała.

Widocznie znów podstawił drabinę i stał tuż pod otworem w podłodze. Najpierw próbował wypchnąć płytę do góry. Stół zachwiał się i z pewnością za chwilę Barry'emu by się udało, ale Jana wykazała się refleksem, błyskawicznie wpełzła pod stół i od tamtej pory siedziała tu w kucki i krzyczała.

Drewno rozlatywało się już od jego uderzeń. Jak długo jeszcze potrwa, aż rozbije pokrywę?

A ona siedziała na jej środku i obejmowała tułów rękami jak przestraszone dziecko.

Jeśli uda mu się przedziurawić deski pokrywy, pręt zrobi Janie dokładnie to, co zapowiedział Barry.

„To będzie zupełnie nowe doświadczenie. Dla nas obojga, skarbie”.

Kłapa podskakiwała od uderzeń. Jana krzyczała i krzyczała, i zasłaniała uszy rękami.

„W zasadzie ta rzecz nie została zaprojektowana w tym celu, bo popatrz na te wygięcia”.

Walił prętem od dołu w klapę, jeszcze raz i jeszcze raz. Nieustannie. Jana krzyczała, podskakiwała i krzyczała.

Potem nagle przestał.

Cisza. Kłapa już się nie trzęsła. Tylko ona wciąż dygotała na całym ciele.

Ostrożnie odsunęła dłonie od uszu i nasłuchiwała. Nic. Żadnego uderzenia, trzeszczenia drewna, żadnych odgłosów.

Poddał się, pomyślała. Zrozumiał, że tu nie wejdzie.

Nie miała odwagi się poruszyć. Ze strachu, że on to zrobił, żeby ją zmylić. Że chciał, żeby poczuła się bezpiecznie, żeby dłużej nie blokowała klapy swoim ciężarem.

Zostań tu, gdzie jesteś, poleciła sobie. I tak zresztą była tak słaba, że dałaby radę odczołgać się najwyżej kilka kroków na bok. Jak długo tu siedzisz, on jest uwięziony tam na dole.

Co prawda ja też, dodała w myślach. Tylko że piętro wyżej.

Nasłuchiwała w napięciu, z dołu nie dochodził już żaden dźwięk. Próbowwała wyobrazić sobie, co on teraz robi. A może na dole było wyjście, które prowadzi prosto na dwór? Czy to by wyjaśniało fakt, że nie słyszała już wydawanych przez niego dźwięków? Ale jeśli tak, to dlaczego od razu nie wybrał tej drogi?

Znowu zaczęła w sposób niekontrolowany dygotać. Czy ten szalenięc uciekł i zostawił ją na pewną śmierć? A może za chwilę wtargnie do niej przez zewnętrzne drzwi? Serce waliło jej jak szalone.

Czy można ze strachu dostać zawału serca? W wieku dwudziestu sześciu lat? Nie potrzebowała studiów medycznych, żeby poczuć odpowiedź w bolącej piersi. Jasne, że można.

Zdechnie tu marnie, jeśli nie odważy się zejść na dół i sprawdzić, czy jest tam jakieś wyjście. Ale jeśli zaryzykuje, a Barry się tam czai, to też zginie. Tylko w większych męczarniach.

Lepiej umrzeć z głodu niż znów dostać się w jego ręce.

I wtedy nastąpiło mordercze uderzenie, które wprawiło w drżenie całą podłogę. Rozległ się trzask łamanych desek, ale nie pod stołem, gdzie siedziała Jana.

Gorączkowo rozglądała się po pomieszczeniu.

Całkiem w głębi, na prawo od drzwi wykładzina rozerwała się na strzępy, jakby zrobiła to ręka jakiegoś ducha. Deski uniosły się i sterczały krzywo z podłogi, jak chore zęby.

Spomiędzy desek wyłoniła się dłoń, dłoń Barry'ego!

**W samochodzie doktora Freda Abła.
Autostrada A10 Berlin—Poczdam.
Wtorek 12 września godz. 13.31.**

Na horyzoncie widać było koniec remontowanego odcinka, przez który Abel od pięciu kilometrów poruszał się w żółtym tempie. Za filarem obstawionego rusztowaniami mostu można było rozpoznać tablicę z czterema pionowymi pasami, która znosiła ograniczenie prędkości. O godzinie wpół do drugiej był umówiony z Ulim Döpfnerem, który wcześniej w rozmowie przez telefon sprawiał wrażenie dość zakłopotanego. Było oczywiste, że się spóźni, ale być może uda mu się dotrzeć do restauracji Pfeffer & Salz przynajmniej do godziny drugiej.

Tuż za tablicą sygnalizującą powrót do normalnych warunków ruchu Abel zjechał na lewy pas, podobnie jak kierowca czerwonego motocykla wyścigowego, który pędził, mając włączone oślepiające długie światło. Mały wóz dostawczy, który za Ablem kierował się na lewy pas, cofnął się nagle z powrotem na prawo. Mercedes klasy C i leciwy golf poszły za jego przykładem. Dzięki temu zrobiła się wolna droga dla motocykla. Wszystko to działo się jakieś pół kilometra za Ablem, ale przy tej prędkości Abel miał wrażenie, że motocykl w ciągu kilku sekund przyklei mu się niemal do tylnego zderzaka.

Abel nacisnął pedał gazu.

Jego audi sportback A5 było samochodowym wilkiem w aluminiowej owczej skórze. Miał trzylitrowy silnik i napęd na cztery koła, i ponad 300 koni mocy. Mimo to nie mógł się równać z maszyną wyścigową kawasaki, ale to wcale nie oznaczało, że Abel nie ma szansy zgubić „porucznika”, czy jak tam się do niego zwracał Burkianow. Skoro wciągnął Uliego Döpfnera w całą sprawę, musiał przynajmniej spróbować pozbyć się ogona. Jeśli zbiry od Burkianowa odkryły, że spotkał się z pułkownikiem Bundeswehry i komputerowym ekspertem, na pewno skojarzyli jedno z drugim. Przynajmniej jeśli doszli do wniosku, że Abel znalazł sygnet. A to oznaczało, że również Uli Döpfner jest w wielkim niebezpieczeństwie.

Aż do zjazdu z autostrady Potsdam-Nord Abel pędził z prędkością dwieście czterdzieści kilometrów na godzinę zewnętrznym lewym pasem. Wolniejsze samochody zmiatał z drogi, migając nieustannie światłami. Kawasaki trzymał się cały czas tuż za nim. Abel spoglądał co chwilę na kierowcę w lusterku wstecznym, ale nie mógłby przysiąc, że był to ten sam mężczyzna, który go w niedzielę zaatakował. Ale ile czerwonych maszyn wyścigowych kawasaki prowadzonych przez atletycznej budowy motocyklistów w czarnych skórzanych kombinezonach i czarnych hełmach mogło być w Berlinie?

Wykonując śmiały manewr, Abel zahamował na krótko przed zjazdem, zjechał z zewnętrznego lewego pasa na pas skrętu, nic sobie nie robiąc z przeraźliwej kakofonii klaksonów, i już na długim skřęcie zjazdu znów dodał gazu. W lusterku bocznym obserwował, że kierowca kawasaki również na krótko zahamował, ale potem na nowo przyspieszył i pomknął dalej autostradą.

Albo przekazał mnie już komuś innemu w innym pojeździe, pomyślał Abel, albo był całkiem niegroźny, tylko miał przyjemność w ściganiu się.

**Gdzieś w Niemczech.
Pomieszczenie piwniczne.
Wtorek 12 grudnia godz. 13.38.**

Barry oderwał kawałek wykładziny od podłogi, rozepchnął jeszcze bardziej deski i zaczął się przeciskać przez otwór w podłodze.

– Nie! – krzyknęła Jana. – Nic z tego, ty cholerny gnoju! Zostaniesz tam na dole!

Chwyciła latarkę, chwiejnie wypełzła spod stołu i pobiegła do nowo powstałej dziury w podłodze obok drzwi.

Barry przecisnął się już do bioder i śmiał się do niej szyderczo. „Zmęczony, ale pierońsko szczęśliwy, mała”. Słyszała jego głos w swojej głowie.

– Ty parszywa świni! – krzyknęła i rzuciła się na niego.

Dopiero wtedy zauważyła żelazny pręt, który trzymał między kolanami.

Ta mała dziwka próbowała trafić go latarką w głowę, a on uniósł żelazny pręt do góry. Chciał nim odeprzeć uderzenie, jak rycerz lancą, ale był zbyt powolny. Przez tę specjalną mieszankę, którą ta głupia krowa mu wstrzyknęła. Wciąż widział wszystko jak za mgłą, a skórę miał tak wrażliwą, jakby wszystkie nerwy czuciowe miał na wierzchu.

Trafiła go latarką z całej siły w lewą skroń. Barry poczuł, jak chrupnęło mu w czaszce. Jego cios prętem trafił tę głupią dziwkę w ramię i oboje jednocześnie wrzasnęli z bólu.

Barry kurczowo trzymał się jedną ręką drabiny, która pod jego ciężarem niebezpiecznie się chwiała. Tamtą głupią krowę rzuciło do tyłu, latarka wypadła jej z ręki i potoczyła się po podłodze.

– To był błąd – wykrztusił Barry. – I do tego twój ostatni, skarbie!

Widział wszystko podwójnie i potrójnie, bolała go czaszka, ale tamtej szmacie nic do tego. Głos miał niewyraźny, jakby cały czas przyciskał język do zębów. Wyglądało na to, że ta mała zołza trafiła go dość mocno.

Próbował dalej przeciskać się między deskami podłogi, ale utknął. Wymachiwał rękami, ale to nic nie pomagało, biodra ugrzęzły między potrzaskanymi deskami i nie mógł się wygramolić.

– Proszę mnie przepuścić, jestem lekarzem – mamrotał. Jego atak śmiechu przeszedł w konwulsyjny kaszel. Czuł, jakby jego czaszkę pokrywała siatka pęknięć.

Niech to szlag, chyba jestem porządnie zmasakrowany, pomyślał Barry. Muszę się dostać do mojej torby lekarskiej, i to jak najszybciej.

Tamta mała dziwka przykucnęła kilka kroków od dziury, w takiej odległości, że Barry nie mógł do niej dosięgnąć. Obmacywała ramię, jęczała i wpatrywała się w coś leżącego na podłodze. Barry nie mógł rozpoznać, co to jest, wszystko wokół niego wyglądało jak całkowicie prześwietlony obraz.

Znów spróbował wygrzebać się z dziury w podłodze. *Gdzie podział się ten cholerny pręt?*

Zaklął szpetnie. To coś, w co ta dziwka cały czas się wpatrywała, to nic innego, jak właśnie jego dobry stary pręt!

Tamta ruszyła przed siebie. Jęcząc i stękając, pełzła w stronę Barry'ego. Pręt leżał prawie dokładnie w połowie drogi między nimi na wyświechtanej wykładzinie. Zabrudzonym olejem końcem od strony Barry'ego.

– Niedoczekanie twoje! – wykrztusił. Obiema rękami chwycił jedną ze sterczących przed nim desek i odsunął na bok.

Dziura powiększyła się. Oparł się stopami na kolejnym szczeblu drabiny i wysunął jeszcze kawałek z przekłętej dziury. *No, jakoś idzie!* Ale w tej właśnie chwili drabina pod nim przewróciła się. Z hałasem upadła na podłogę – a Barry zawisł z nogami w powietrzu.

O ile tam na dole, gdzie zawsze załatwiał małe dziwki, można w ogóle mówić o „powietrzu”. Raczej o gazach pochodzącym z gnicia i rozkładu. Choć Barry regularnie wyrzucał odpady do szczelnie zamykanych kadzi i dezynfekował i czyścił rozdrabniacz, nigdy nie pozbył się do końca fetoru.

Rzucił się całym tułowiem do przodu i wyciągnął się najdalej, jak mógł. W ten sposób znów docisnął ciałem deskę, którą dopiero co z takim trudem podniósł do góry, a jego uda zaklinowały się jak korek w butelce.

– Nie dasz rady, mała! – wydyszał. – Jesteś bez szans! Barry Bazooka jak zwykle wymiata!

Wyciągnął prawą rękę do przodu, aż zatrzeszczało mu w stawie barkowym, a roztrzaskane deski wbiły mu się w brzuch.

Niech to jasny szlag, brakuje zaledwie trzech centymetrów!

Wyginał się w dziurze na wszystkie strony jak tańczący salsę po amfetaminie, ale nic to nie dało prócz tego, że poharatał sobie nogi do krwi.

Tamta dziwka w zwolnionym tempie podpełzała z drugiej strony. Czołgała się na kolanach i na jednej ręce, drugie ramię zwisało bezwładnie w dół. Barry ciągle jeszcze nie odzyskał jasności widzenia, ale to, co zdołał zobaczyć przez jaskrawe pasma mgły, spodobało mu się. Jej ramię było spuchnięte jak balon.

– Nie dostaniesz tego cholernego pręta, ty przekłeta kurwo! – wyrzucił z siebie.

Wyciągał się coraz bardziej i bardziej i drapał paznokciami w podłogę. Ale wciąż nie udawało mu się dosięgnąć!

Tamta wyciągnęła rękę po pręt. Barry zmienił taktykę. Wyprostował się, oparł dłonie z lewej i prawej na podłodze i z nadludzkim wysiłkiem podniósł się w górę. Zupełnie, jakby wystrzelił z włazu. Darł się przy tym jak, nie przymierzając, horda Indian, bo miał wrażenie, jakby zdierał sobie z ud płaty skóry wielkości dłoni.

Z krzykiem rzucił się do przodu i dokładnie w tej samej chwili ona też chwyciła pręt.

Każde od swojego końca. Ale on, Barry, miał dwie zdrowe ręce, podczas gdy jedno ramię tamtej małej dziwki było najwidoczniej złamane!

Poczdam.
Restauracja Pfeffer & Salz.
Wtorek 12 grudnia godz. 13.59.

Tym razem Abel znalazł miejsce dokładnie naprzeciwko ulubionej restauracji Uliego Döpfnera. Wsiadł i rozejrzał się niepostrzeżenie dokoła. Ani śladu czerwonego kawasaki. Jednakże jego prześladowcy mogli się równie dobrze ukryć w tamtej dacji na rogu następnej ulicy albo siedzieć po przeciwnej stronie w leciwym volkswagenie busie.

Abel był zły, że nie umówił się z Döpfnerem w jakimś innym miejscu. Jeśli ludzie Burkianowa śledzili jego i Uliego podczas ich ostatniego spotkania, zwyczajnie mogli tu już na nich czekać.

A więc załatwimy rzecz krótko, powiedział sobie Abel. Dziś Uli będzie musiał sam zjeść swoje tagliatelle.

Döpfner siedział przy tym samym stoliku co ostatnim razem. Kiedy Abel wszedł do restauracji, szpieg amator obrzucił go obojętnym wzrokiem. Tak jakby nigdy wcześniej nie widział Abła.

Również gdy Abel usiadł naprzeciwko niego przy stoliku, Uli zachował tę dziwną postawę. Abel pozdrowił swojego dawnego kolegę, a Döpfner lekko skinął głową, tak jak w metrze człowiek kiwa głową na widok znajomego z widzenia.

– Odkryłeś coś? – zapytał Abel ściszone głosem. – Mam na myśli srebrny sygnet?

Przeczący ruch głowy Uliego wypadł równie oszczędnie jak wcześniej powitalne skinienie.

– Niestety, nie – mruknął. Wciąż jeszcze unikał patrzenia na Abła. – Nawet sam Mister Hack Uniwersum nie dałby rady rozgryźć Intranetu MGIMO – dodał, kiedy Abel spojrzał na niego pytająco.

Jego blada zazwyczaj twarz pokryła się czerwonymi plamami. W jednej chwili stało się dla Abła jasne, dlaczego Döpfner tak dziwnie się zachowuje. To nie była udawana obojętność rodem z filmów z Jamesem Bondem – poczciwy Uli niemal umierał z zakłopotania, ponieważ nie poradził sobie z firewallem rosyjskiej kuźni agentów. Jego honor komputerowego asa został poważnie nadwerężony.

– Mimo wszystko bardzo dziękuję – powiedział Abel. – Rzecz była warta próby, ale jeśli nie posunę się do przodu w tej sprawie, świat się nie zawali. – Pochylił się w stronę Döpfnera i poklepał go po plecach. – To nic strasznego. A dla mnie jest oczywiste, że skoro nie udało się nic zdziałać w tej sprawie, to nikt tego nie robi. Tym samym pytanie, komu można przypisać ten sygnet, jest dla mnie odhaczone.

Początkowo improwizował tylko, ot, tak sobie, żeby pomóc Döpfnerowi w pozbyciu się uczucia zakłopotania. Skoro Uli wykonał już tyle pracy, a Abel na dodatek naraził go na niebezpieczeństwo, jego były kolega nie powinien przechowywać w pamięci tego krótkiego epizodu szpiegowskiego jako haniebnej porażki.

Ale kiedy tak przemawiał do Döpfnera pocieszającym tonem, dla niego samego stało się jasne, że dokładnie tak właśnie to czuje. Było mu już obojętne, że pytanie, czy sygnet rzeczywiście należał do Burkianowa, pozostanie bez odpowiedzi. Mało tego, w istocie wcale nie chciał już tego wiedzieć.

Są sprawy, które lepiej pozostawić samym sobie, pomyślał, podczas gdy Döpfner powoli na nowo

odzyskiwał równowagę. *Gdybym miał czarno na białym, że jest to sygnet Burkianowa, musiałbym ten dowód wymienić w mojej opinii. A przez to udowodniono by Burkianowowi przynajmniej udział w podwójnym morderstwie, a tym samym zgodnie z prawem chyba mógł być pewien kary śmierci.*

Abel był całym sercem za tym, żeby surowo karać przestępców posługujących się przemocą. Ale dla niego oznaczało to, że mordercy, którym udowodniono przestępstwo, powinni być skazywani na długoletnie więzienie, żeby mogli się zastanowić nad swoimi czynami i nad swoim życiem i żeby boleśnie odczuli utratę wolności. Był zdecydowanie przeciwny, żeby państwo odpłacało pięknym za nadobne i zabijało „w imieniu narodu”. *W moim imieniu nie*, takie było stanowisko Abela wobec tego drażliwego tematu. Był świadomy, że wielu z jego kolegów śledczych było innego zdania. Wielu z nich przeżywało silną frustrację, ponieważ kryminaliści, którzy w bestialski sposób zamordowali jakiegoś człowieka albo nawet wiele osób i których aresztowano pod poważnym zarzutem, już po kilku latach wychodzili na wolność, podczas gdy rodziny ofiar prawie w każdym przypadku pozostawały w wiecznej traumie wskutek tragicznego zdarzenia.

Mimo to państwu nie wolno zabijać, pomyślał Abel, *nawet tych obywateli, którzy zamordowali innych obywateli*. A już w żadnym razie nie chciał popierać wyroku śmierci w takim pseudopaństwie jak Naddniestrze, w którym niezależność prawa i przejrzystość postępowania sądowego mimo oficjalnych zapewnień były dość wątpliwe.

Niezależnie od tego wszystkiego, niezbyt mu odpowiadało mieć stale na karku zbiorów Burkianowa. Gdyby Abel przedstawił sygnet jako oficjalny dowód w sprawie i doprowadził w ten sposób do skazania Burkianowa na karę śmierci, były szef tajnej służby zrobiłby wszystko, żeby się zemścić na Ablu. Jeszcze z celi śmierci i do ostatniego tchu. I nie poprzestałby jedynie na terrorze psychicznym, tylko wszelkimi dostępnymi sobie środkami próbowałby doprowadzić go do śmierci.

Abel musiał przyznać, że próby zastraszenia, na jakie pozwalał sobie Burkianow, nie do końca spływały po nim jak po kaczcze. Postanowił, że tak szybko, jak to tylko możliwe, sporządzi tę przeklętą opinię, sygnet z pięciocyfrowym numerem identyfikacyjnym schowa do sejfu w swoim domu i zapomni o całej sprawie.

Döpfner już znowu zaczął opowiadać anegdoty z emocjonującego świata bajtów i megabajtów, ale Abel z miejsca mu przerwał.

– Nie gniewaj się na mnie, Uli, ale muszę już iść. Wiesz przecież, że mam całą piwnicę trupów.

Wstał, a Döpfner razem z nim. Abel zastanawiał się przez chwilę, czy powinien jeszcze raz wysondować go na temat możliwej kryjówki Harry’ego Katza, ale zdecydował, że nie robi tego. *Uli w obu wypadkach więcej mi już nie może pomóc, a więc nie mówmy już o tym.*

– To trzymaj się. I jeszcze raz stokrotne dzięki – powiedział Abel i potrząsnął jego ręką.

Przed restauracją nadal nie widział żadnych podejrzanych postaci na motocyklach kawasaki albo bez, ale nie miał złudzeń. Podczas ich ostatniego spotkania Burkianow wyrażał się jednoznacznie.

Mam nadzieję, że jutro otrzymam z powrotem swoje bagaże z Tyraspolu i ten koszmar ostatecznie się skończy, pomyślał Abel.

**Gdzieś w Niemczech.
Pomieszczenie piwniczne.
Wtorek 12 września godz. 14.03.**

Mogła trzymać pręt tylko jedną ręką, bo lewa nie nadawała się do użytku. Czuła, jak całe ramię pali ją od środka.

Nie wytrzymam dłużej, nie wytrzymam dłużej, skamlał głos w głowie Jany. *Poddaję się, niech robi ze mną, co chce! Zamknij się!* – warknęła na siebie w myślach. *Jeśli ktoś tu ma się poddać, to Gówniany Barry.*

Ze wszystkich sił, jakie jej pozostały, ciągnęła pręt i choć Barry trzymał jego koniec obiema rękami, wysliznął mu się on z palców.

– Ty pieprzony idioto – wydyszała Jana. – I po co było to smarować oliwą?

Przykucnęła na podudziach, wyprostowała tułów i zamachnęła się prętem. Rękę miała niewątpliwie złamaną, ból rozprzestrzenił się na wszystkie strony jak płomień ognia. Ale zacisnęła zęby i z całej siły walnęła Barry’ego prętem w głowę.

A w każdym razie tam, gdzie jeszcze przed chwilą ją widziała.

Barry krzyknął, jego twarz wykrzywiła się z wściekłości. Nareszcie zniknął z niej ten uśmieszek. Ale Jana nie była pewna, czy to dla niej dobra wiadomość.

Lewą ręką trzymał się za prawe przedramię i jednocześnie z małą zręcznością zerwał się na nogi. Wrzeszcząc, szedł chwiejnie w jej stronę. Tym razem Jana zamachnęła się z boku i walnęła go w kość piszczelową. Stracił równowagę i upadł przed nią na podłogę. Dygocząc cały, leżał na brzuchu, wystarczyło mu tylko dołożyć. W jego odrażającą głowę. W jego obrzydliwy kark.

No, dalej, jazda, zagrzewała samą siebie. Jeden silny cios i będzie po wszystkim!

Ale w tej chwili Barry na nowo się pozbierał. Wspierając się jedną ręką, uniósł tułów w górę. Prawe ramię zwisało bezwładnie, podobnie jak jej lewe.

No i dobrze mu tak, pomyślała Jana i na nowo się zamachnęła. Zrobił gwałtowny unik i niczym raniony pajak olbrzym zaczął się czołgać na czworakach po pokoju. Szedł zygzakiem w kierunku łóżka, gdzie leżała jego lekarska torba, ale Jana odcięła mu drogę. Posuwając się na kolanach jak kaczka, trzymając w górze pręt gotowy do ciosu, spychała go z powrotem do otworu, z którego wypełznął.

– Zabiję cię, ty świni! – krzyczała. – Roztrzaskam ci czaszkę, gnoju!

Oboje wiedzieli, że nie jest w stanie spełnić tej groźby. Ale przynajmniej przegna stąd tego przekłętego typa. Dysząc, doczołgał się do otworu w podłodze i starał się jak najszybciej wsunąć z powrotem do środka, nogami do przodu.

– Jeśli jeszcze raz wyjdiesz tu na górę, zabiję cię! – wrzasnęła.

Tkwiał już do połowy bioder w otworze, ale potem zrobił błąd i uśmiechnął się do niej szyderczo. Jego twarz była szara i wykrzywiona z bólu, był u kresu sił, tak samo jak ona. Ale ona już za nic nie zniosłaby tego, gdyby jeszcze choć jeden raz nazwał ją dziwką albo kimś takim. Po prostu miała tego dość!

Otworzył usta, wtedy ona zamachnęła się i uderzyła z całej siły. Trafiła go w ramię i usłyszała, jak chrupnęły mu kości. Krzyknął, a ona znów uderzyła. Tak jak wbija się gwóźdź w ścianę, tak ona waliła w niego prętem, aż przepchnęła Barry'ego między potrzaskanymi deskami i spadł na dół do tej szczurzej nory, uderzając o coś, co zadźwięczało metalicznie.

Jana ostatkiem sił podczołgała się do brzegu otworu i ciężko dysząc, spojrzała w dół.

Barry leżał na brzuchu na przewróconej drabinie, jego prawe ramię i lewa noga były wykrzywione pod nienaturalnym kątem.

– Ty przeklęty draniu! – wyszeptała. – Mam nadzieję, że jeszcze żyjesz.

Berlin-Grünau.
Dom doktora Abla i Lisy Suttner.
Wtorek 12 września godz. 18.35.

Kiedy Abel otworzył drzwi domu, usłyszał w środku dzwonek telefonu. Miał za sobą wyczerpujący dzień, wypełniony po brzegi obłędem panującym w Jednostce Federalnego Urzędu Kryminalnego „Przypadki nadzwyczajne”.

Teraz chciał już właściwie tylko się zrelaksować. Być może pobiegać przez godzinę brzegiem Dahme, jak zastanawiał się już w samochodzie, albo przynajmniej wyżyć się na bieżni w ich małej salce do ćwiczeń w piwnicy. Tam nie musiał przynajmniej rozglądać się ciągle za potencjalnymi prześladowcami.

Lisa pojechała do Strassburga w jakiejś unijnej sprawie i będzie z powrotem w Berlinie dopiero rano. Z pewnością nie dzwoniłaby na telefon stacjonarny, z zasady telefonuje zawsze na komórkę, ponieważ w ich przypadku rzadko zdarzało się, żeby któreś z nich było podczas dnia w domu.

Abel rzucił pęk kluczy na komodę w przedpokoju, położył aktówkę na stojącym obok fotelu i zaczął szukać którejś z bezprzewodowych słuchawek. Teoretycznie w każdym pomieszczeniu umieścili po jednej, ale w praktyce człowiek napotykał jedynie osierocone stacje do ładowania.

Abel znalazł wreszcie jedną słuchawkę na parapecie panoramicznego okna. Dopiero kiedy odebrał już połączenie przyszło mu do głowy, że może to być Burkianow, albo jeden z jego podwładnych, który chciał nadal wywierać na niego presję.

– Tak? – powiedział w związku z tym, mimo że sam nienawidził, kiedy ludzie odbierali telefon, nie podając nazwiska.

– Fred, dzięki Bogu! – Był to głos jego siostry Marlene, który zawsze był pełen napięcia. – Matka źle się czuje! – mówiła dalej. – Ma silne bóle serca. Zadzwoiłam już po lekarza, ale obawiamy się najgorszego!

Słumił westchnienie. Marlene z zasady zawsze obawiała się najgorszego, od kiedy ich matka kilkadziesiąt lat temu zachorowała na stwardnienie rozsiane. Ojciec zginął w wypadku samochodowym niedługo przedtem. Marlene była o trzy lata starsza od Abla i poczuła się w obowiązku z dnia na dzień zrezygnować ze swoich planów życiowych. Od tego czasu poświęciła się dla matki, a w pewnym sensie także i dla brata, jak uważała.

Abel nie mógł brać jej tego za złe. On skończył studia, a Marlene została w domu, troszczyła się o wszystko, w tym zwłaszcza o leżącą w łóżku chorą, która potrzebowała coraz więcej pomocy przy najprostszych nawet czynnościach, ponieważ choroba pogłębiała się coraz bardziej. Marlene była przez krótki czas mężatką; jej mąż, architekt, wprowadził się do ich domu, ale małżeństwo rozpadło się już w pierwszym roku. Od tego czasu Marlene była sama i coraz bardziej sfrustrowana.

Co najmniej dwa razy w miesiącu dzwoniła do niego, domagając się, pod różnymi pretekstami, żeby natychmiast przyjechał „do domu”, do wsi Lenthe pod Hanowerem, gdzie dorastali i gdzie Marlene spędziła całe swoje życie. Abel przyjeżdżał na te wołania o pomoc, kiedy tylko mógł, nawet jeżeli po

tonie jej głosu wyczuwał po raz kolejny, że siostra znacznie przesadza. Często niechodziło wcale o pogarszający się rzekomo stan zdrowia matki, który skłonił Marlene do wykonania telefonu do Abla, lecz o rozpacz z powodu jej sytuacji życiowej.

Ale tym razem rzeczywiście stan matki był poważny, Abel wychwycił to od razu. Marlene nie rozwodziła się nad szczegółami, tylko błagalnym tonem dodała:

– Przyjeżdżaj szybko, Fred, inaczej może być za późno.

– Wyruszam natychmiast – oznajmił. – Informuj mnie na bieżąco, dobrze?

Zakończyli rozmowę, a krótko potem Abel znów gnał obwodnicą berlińską w kierunku zachodnim. Jeżeli lejtnant lub ktoś inny wyciągnął z tego wnioszek, że jedzie spotkać się po raz drugi z Ulim Döpfnerem w Pfeffer & Salz, to dostanie teraz nauczkę. Abel mijał wszystkie kolejne zjazdy w kierunku Poczdamu, przekroczył wszelkie ograniczenia prędkości i z każdym przejechanym kilometrem stawał się coraz bardziej nerwowy.

Miał nadzieję, że stan matki nie jest aż tak poważny! Abel kochał ją bezgranicznie i sam często popadał w czarną rozpacz, kiedy myślał o tym, że według wszelkiego prawdopodobieństwa miała przed sobą tylko kilka lat życia. Choroba coraz bardziej rozprzestrzeniała się w jej organizmie, a kiedy dosięgnie serca, wówczas najlepszy lekarz nie będzie w stanie utrzymać jej długo przy życiu.

Ale tak źle jeszcze nie jest, powiedział sobie Abel. Jej dolegliwości sercowe to z pewnością jedynie skutki uboczne nowych lekarstw, które bierze od niedawna. I które w sumie całkiem nieźle się sprawdziły.

Krótko potem dzwoniła Marlene i powiedziała, że przyjechał lekarz. Stan matki jest poważny, ale przynajmniej nie ma „bezpośredniego zagrożenia życia”. Jednak również i to połowiczne odwołanie alarmu nie było w stanie tak naprawdę uspokoić Abla. Jego potencjalni prześladowcy, którzy mogli siedzieć dosłownie w każdym samochodzie, niepokoił go nie mniej niż obawy o stan zdrowia matki.

Dlaczego nie zażądałem ochrony policyjnej, tak jak radził mi Herzfeld?

Jednakże w obliczu takich pozbawionych wszelkich skrupułów kryminalistów, jak lejtnant, dwóch funkcjonariuszy policji w cywilnym aucie nie zawsze stanowiło skuteczną ochronę. W trakcie innej sprawy Abel przeżył już sytuację, w której przydzieleni do jego ochrony funkcjonariusze złapali gumę i musieli się zatrzymać, podczas gdy jego ówczesni prześladowcy, bezwzględne typy z jemeńskiego gangu, zwolnili przy policjantach i z uśmiezkami sfotografowali ich stojącego na poboczu opla astrę.

Ale nie był to prawdziwy powód, dla którego Abel akurat tego wieczoru nie chciał ochrony policyjnej. Jego podświadomość szalała. Już od wczoraj miał przeczucie, że coś wisi w powietrzu, jakaś potężna niespodzianka, że już niedługo wydarzy się coś znaczącego. Nadal jednak nie był w stanie powiedzieć, do czego konkretnie odnosi się to przeczucie. I jak to często bywało, intuicja karmiła go niejednoznaczными przeczuciami.

Udało mu się przejechać całą trasę w rekordowym tempie niecałych dwóch godzin. I to nawet bez cienia jakiegoś kawasaki we wstecznym lusterku.

Ostatnie kilometry na drodze powiatowej przejechał w normalnym tempie. Z bocznej, nieutwardzonej drogi wypadł z wyciem silnika wóz terenowy subaru i zaczął jechać za nim. Abel specjalnie zwolnił jeszcze bardziej, jakby był turystą szukającym noclegu albo podziwiającym krajobrazy, łąki z krowami w zapadającym zmierzchu. Za kierownicą subaru siedział wąsaty pięćdziesięcioparolatek w zielonym kapeluszu. Błysnął długimi światłami, nacisnął klakson i zaczął wyprzedzać. Abel podniósł przeproszająco rękę i dodał gazu. To był zapewne rzeczywiście tylko myśliwy albo leśnik. Żaden z łowców ludzi od Burkianowa.

Marlene nie zadzwoniła po raz kolejny. Abel postanowił uznać to za dobry znak. Gdyby matka została zabrana karetką do szpitala, Marlene z całą pewnością by się zgłosiła.

Ale co z Burkianowem? – zastanawiał się Abel. Czyżby ten niedoszły puczysta zrezygnował z dalszego wywierania na niego nacisku? Abel nie wierzył w to ani przez sekundę. Wręcz przeciwnie: Burkianow

powinien właśnie teraz wygrać do końca swoje ostatnie atuty. Abel otrzyma prawdopodobnie jutro wszystkie niezbędne dokumenty i zabezpieczone dowody, żeby móc szybko sporządzić swoją ekspertyzę. A to, co będzie można w niej przeczytać, z pewnością nie spodoba się temu byłemu szefowi tajnych służb.

**Lenthe pod Hanowerem.
Dom rodzinny doktora Freda Abła.
Wtorek 12 września godz. 20.47.**

Kiedy Abel zaparkował w spokojnej bocznej ulicy tuż przed wyjazdem z miejscowości, lekarz i karetka pogotowia już odjechali. Jego rodzinny dom z lat dwudziestych w kształcie sześcianu, z oświetlonymi oknami i zawsze starannie wypielegnowanym ogrodem, sprawiał wrażenie spokojnego i zadbanego.

Ogród był oczkiem w głowie Marlene. Poświęcała mu każdą wolną chwilę, sadziła i pielęgnowała najróżniejsze kwiaty i krzewy, które w specjalnie obmyślonej kolejności kwitły przez cały rok. Ogród ciągnął się wokół całego domu; Marlene zasadziła z tyłu budynku warzywa, poza tym były też różne drzewa owocowe. Podczas każdej wizyty Abel musiał podziwiać ogromne ilości kompotów i marmelad, które Marlene osobiście gotowała i napełniała nimi nostalgiczne stare słoiki z gumowymi uszczelkami i kabłąkowatymi zamknięciami. On i Lisa nie byli zbytnimi entuzjastami marmelad, a jego siostra zrezygnowała w pewnym momencie z wpychania im wypełnionych tymi specjałami słoików. Ale od tego czasu pojawiło się kolejne źródło, z którego żywiło się poczucie goryczy Marlene.

Drzewa owocowe.

Abel proponował już kilka razy, żeby niewielką część ogrodu z przodu domu utwardzić i używać jako miejsca do parkowania dla dwóch samochodów osobowych. Ale za każdym razem napotykał na zdecydowany opór ze strony siostry, stąd też musiał parkować na małej bocznej drodze.

Drzewa owocowe. Z jakiegoś powodu jego myśli uczepiły się tego niegroźnego słowa i nieustannie do niego wracały. Z czym to mogło być związane?

Kiedy wysiadał, zatrząskiwał drzwi, zamykał samochód elektronicznym kluczem i przechodził przez ulicę, zastanawiał się intensywnie nad tym pytaniem. Jednocześnie obserwował badawczo otoczenie, ale ulica była pusta. Tak jak, mniej lub bardziej, wszystkie ulice o każdej porze dnia i nocy w tej sennej wsi.

Drzewa owocowe...

Tok jego myśli na temat dziwnego przeczucia przerwała Marlene, która wypatrywała go przez okno i otworzyła drzwi, zanim zdążył zadzwonić. Abel miał, na wszelki wypadek, własne klucze, ale unikał ich używania.

– No wreszcie przyjechałeś!

Patrzyła na niego z wyrzutem. Jednak Abel wziął ją po prostu w ramiona i przez chwilę mocno trzymał w lekkim uścisku. Była chuda i żylasta, fizycznie w świetnej formie, ale z naznaczonymi nieustanną troską rysami twarzy wyglądała dużo starszej niż na swoje czterdzieści osiem lat.

– Jak się czuje matka? – zapytał.

– Nie ma bezpośredniego zagrożenia życia. Ale było blisko. – Marlene wysunęła się z jego uścisku i zrobiła krok do tyłu.

Abel podążył za nią do przedpokoju i zanim wszedł w drzwi, rzucił jeszcze jedno spojrzenie na ulicę. Marlene pospieszyła przodem do pokoju matki, który ze zrozumiałych względów znajdował się na

parterze.

– Lekarz dał jej środek uspokajający, na jej życzenie. Miała poważny atak i tak się tym przejęła, że dostała przyspieszonego bicia serca.

Marlene mówiła szeptem, ale ich matka spała głęboko i mocno. Abel wszedł za swoją siostrą do pokoju chorej z uczuciem smutnego przygnębienia, jakie zawsze go opanowywało na widok matki.

– Co dał jej lekarz? – zapytał Abel.

– Diazepam, dwadzieścia miligramów dożylnie.

Abel usiadł na krześle obok łóżka, w którym jego matka spędziła połowę życia. Pogłaskał jej dłoń pełną niebieskich żył, która wyglądała na bardzo kruchą i prawie przezroczystą. Jej twarz, która stawała się coraz chudsza, robiła wrażenie spokojnej i odprężonej. Jednak Abel nie dawał się tym zmylić. Zastrzyk uspokajający podarował jej kilka godzin spokojnego snu, ale jak tylko jego działanie ustąpi, bóle powrócą. Razem z zaburzeniami rytmu serca i wywoływanymi przez to stanami lękowymi.

Abel kochał swoją matkę bardziej niż kogokolwiek na świecie, z wyjątkiem Lisy. Myśl, że już niedługo mogłaby od nich odejść, wywoływała u niego ból, jaki towarzyszy bardzo poważnej ranie. Miała sześćdziesiąt osiem lat i nawet jej stary lekarz domowy, który był notorycznym optymistą, powiedział niedawno, że to byłby cud, gdyby dożyła siedemdziesiątych urodzin.

Drzewa owocowe...

Abel pochylił się, pocałował matkę w czoło i wyprostował się.

– Chyba nie chcesz już jechać? – Marlene stała w drzwiach jak sztyldwach. Skrzyżowała ramiona na piersi i patrzyła na niego z wyrzutem. – Poczekaj chociaż, aż się obudzi i cię zobaczy!

– Nie mogę, Marlene. – Ujął ją za ramiona i przesunął delikatnie na bok. – Poza tym przy tej dawce, jaką otrzymała, obudzi się najwcześniej za sześć, osiem godzin.

– To chociaż zjedz ze mną kolację! – Właściwie była to prośba, ale jak wszystko, co Marlene mówiła do niego, brzmiało jak wyrzut.

– Naprawdę nie mogę, Lene. – Poczł się jak absolutny egoista, jednocześnie jednak czuł ogromne zniecierpliwienie. Musiał się natychmiast przekonać, czy w jego przeczuciu rzeczywiście jest coś prawdziwego. A jeżeli tak, to liczyła się każda minuta.

– Co musisz tak pilnego załatwić? Powiedz raczej, że szkoda ci czasu, żeby poświęcić chociaż godzinę własnej siostrze. Podczas gdy ja tutaj poświęcam się całą sobą!

Szła za nim, złorzecząc i narzekając.

Dopiero przy drzwiach zatrzymał się i odwrócił do niej.

– Bardzo mi przykro. Możliwe, że wrócę już za godzinę. Wtedy będziemy mogli spokojnie porozmawiać. Przenocuję tutaj, a rano z pewnością będzie można porozmawiać z matką. Ale teraz muszę jechać. Nie mogę ci tego wyjaśnić. To sprawa życia i śmierci.

– Tak jak zawsze u ciebie – odpowiedziała. – I jak zawsze twoi zmarli są ważniejsi od żywych!

Abel pokręcił głową. Chciał ją objąć raz jeszcze, ale jej sztywna postawa sygnalizowała, żeby lepiej trzymał się na dystans.

Marlene nie ma racji, pomyślał, zawsze chodzi o żywych.

A w tym specjalnym przypadku chodziło poza tym o drzewa owocowe. Sad owocowy, mówiąc dokładniej, ale tego też nie powiedział.

Gdyby oświadczył, że nagle zaczął się bardzo interesować drzewami owocowymi, tylko jeszcze bardziej rozżłościłby Marlene. Zwłaszcza że nigdy nie okazywał zainteresowania ani jej ogrodem, ani robionymi przez nią przetworami.

Podniósł dłoń w geście pożegnania i wyszedł na zewnątrz. Kiedy tylko usłyszał, że drzwi zostały zamknięte, zaczął biec.

Sam nie pojmował za bardzo, dlaczego odezwały się jego wewnętrzne dzwonki alarmowe, kiedy myślał o tym właśnie terenie. Wydawało się nie mieć to żadnego sensu, ponieważ przynajmniej w jego

wspomnieniach, łąka nad brzegiem Leine nie była wówczas zabudowana. Tylko porośnięta kilkoma drzewami owocowymi.

Teren ten należał do krewnych Katza, w każdym razie tak twierdził Uli Döpfner. Po tym, jak Uli został oszukany przez Katza, unikał odbywających się tam letnich imprez – ponieważ Katz był w pewnym sensie ich gospodarzem. Kiedy Uli pojechał tam niedawno, to nie rozpoznał „miejsca swojej hańby”, ponieważ stały tam nowe osiedla mieszkaniowe.

Mimo to dzwonki alarmowe nadal rozbrzmiewały w głowie Abela.

Döpfner mógł się pomylić, zastanawiał się, odpalając silnik samochodu. To przecież było tak dawno, być może Uli szukał po prostu w niewłaściwym miejscu. Z drugiej jednak strony, bez względu na to, czy łąka była zabudowana, czy też nie, jakie było prawdopodobieństwo, że Katz właśnie tam miał swój bunkier, w którym, według Julii Bunting, zamykał swoje ofiary w celu odbywania perwersyjnych orgii?

Lex Westermann, powiedział sobie Abel, odrzekłby zapewne: mniej niż pięć procent. Mimo to istniała minimalna szansa, że Katz alias Lenski tam właśnie się ukrył. A ponieważ Abel znajdował się w pobliżu, to mógł bez większego trudu obejrzeć ten teren.

O ile będzie miał więcej szczęścia niż Uli i jeżeli odnajdzie to miejsce. Dwadzieścia pięć lat, to szmat czasu. Abel przypominał sobie tylko mgliście, jak szło się wtedy do tego miejsca organizacji wydziałowych imprez.

Czy to rzeczywiście miało jakiś sens, żeby przy zapadającym zmroku szukać jakiejś ogrodowej działki pośród innych weekendowych idylli, które wszystkie wyglądały mniej lub bardziej tak samo jak inne?

Abel wsłuchiwał się w swoje wnętrze. Tym razem jego intuicja nie pozostawiała miejsca na żadne wątpliwości.

Ten trop jest gorący. Ruszaj!

**Brzeg Leine na obrzeżach Hanoweru.
Wtorek 12 września godz. 21.55.**

Jako student Abel mieszkał w kawalerce, w centrum miasta. Często wyjeżdżał za miasto swoim garbusiem, z reguły w towarzystwie aktualnej dziewczyny. Na zachodnich obrzeżach Hanoweru było wtedy wzdłuż Leine mnóstwo terenów działkowych, które były zabudowane jedynie domkami weekendowymi.

Dojazd z Lenthe trwał co najwyżej kwadrans. O ile znało się drogę. Abel jechał prosto, jak strzełił, drogą powiatową przez pola i łąki na północ, aż dotarł do szosy federalnej. Minął po lewej stronie Seelze i kierował się na Leine, która na północnym zachodzie tego spokojnego miasteczka zataczała długi łuk w prawo.

Jego wewnętrzne anteny były czujnie wysunięte, jego pamięć pracowała gorączkowo. O ile dobrze sobie przypominał, to gdzieś po jego lewej ręce musiało znajdować się odgałęzienie w postaci polnej drogi, a kiedy ją znajdzie, wówczas automatycznie powinien znaleźć się na szukanym terenie ogródków.

Całkowita wręcz ciemność utrudniała poszukiwania. Abel krążył przez jakiś czas tam i z powrotem, bo wyglądało na to, że droga ta została połknięta przez otchłań czasu. Zamiast tego pojawiła się kilkaset metrów dalej nowa droga, biegnąca równolegle do tej, która zniknęła. W tamtym czasie jeszcze jej nie było. Albo nie została naniesiona na mapę jego wspomnień.

W końcu Abel uświadomił sobie, że ta droga została wybudowana jako zastępstwo dla tamtej wyboistej, starej ścieżki. Co zapewne oznaczało, że Uli się nie mylił: było pustkowie z nieużytków i łąk padło ofiarą nowo wybudowanego osiedla.

Abel jechał tą drogą, ale nie miał już raczej nadziei na odnalezienie działki należącej do Harry'ego Katza. I rzeczywiście: po kilku kilometrach natrafił na osiedle domków jednorodzinnych i szeregowców. Na szyldzie znajdowała się nazwa Spielstraße. W niewielkich ogródkach stało mnóstwo huštawek, piaskownic, trampolin.

Na takim osiedlu, pełnym podejrzliwych matek, które samotnego mężczyznę mogą uważać za potencjalnego pedofila, Lenski nie mógłby zbudować swojego bunkra. Nie było chyba bardziej nienadającego się do tego miejsca, jak to właśnie.

Abel jechał wolno ulicą z ograniczeniami dla ruchu. Wiele okien było oświetlonych, w ogrodach i na wąskich alejkach nie było już nikogo. Czyżby jego intuicja zawiodła go tym razem? Już chciał zawrócić, kiedy nowe osiedle nagle urwało się za kolejnym zakrętem. Cały ten konglomerat składał się prawdopodobnie tylko z kilkudziesięciu domów, a za nim rozciągały się łąki. Jak dwadzieścia pięć lat temu.

Za zakrętem ulica przechodziła nagle w nieutwardzoną drogę z dawnych czasów. Abel od razu ją rozpoznał.

Stada owadów, zwabione światłem reflektorów, kończyły żywot na jego przedniej szybie. Różne przeszkody i dziury wystawiały na próbę resory jego audi A5. Wtedy w swoim garbusie wytrząsł się za

każdym razem wprost niemiłosiernie.

Za wcześnie zrezygnowałeś z poszukiwań, Uli, pomyślał Abel.

Drzewa i drewniane szopy odcinały się jak wycinanki od ciemnoszarego wieczornego nieba. Domki weekendowe wyglądały dużo solidniej niż ich poprzednicy przed ćwierćwieczem, jednak poza tym wydawało się, że czas rzeczywiście zatrzymał się tutaj w miejscu.

Abla znów opanowała myśliwska gorączka. Gdzieś tam, z przodu, musiała znajdować się działka, na której w ciepłe letnie wieczory bawiła się do utraty tchu połowa wydziału. Jej teren rozciągał się wprawdzie aż do samego brzegu Leine, ale przynajmniej w tamtym czasie był ogrodzony i otoczony dodatkowo żywopłotem wysokości dwóch metrów. Do środka prowadziły dwie masywne bramy, jedna z drogi, druga od strony rzeki. Nie można było tam wejść bez klucza, a podczas letnich imprez brama od strony rzeki była zawsze zamknięta.

Abel przypominał sobie mętnie zacięte dysputy, które w wyniku alkoholu stawały się coraz gorętsze i bardziej zagmatwane. Za każdym razem kilku kolegów chciało koniecznie, między północą a świtem, popływać w Leine, mimo że byli mniej lub bardziej pijani w sztok. I za każdym razem brama wychodząca na brzeg była zamknięta, co potencjalnych pływaków prowokowało do wściekłego potrząsania żelaznymi sztabami. Ale czy cały ten płot nie był i tak przesadnie duży? Bramy zbudowane były z żelaznych prętów zakończonych na górze zardzewiałymi szpikulcami. Wtedy nikomu to jednak nie przeszkadzało, także Ablowi. Wręcz przeciwnie: zasłaniające widok krzaki przyczyniały się do szczególnej atmosfery tamtych imprez. Ogromnych rozmiarów ogród z sękatymi drzewami owocowymi był jak ich osobny świat. „Rajski ogród”, jak mówili niekiedy z rozmarzeniem koledzy.

Im dłużej Abel nad tym rozmyślał, tym bardziej niepasujące wydawało mu się to porównanie. Nawet jeżeli naprawdę nie brakowało tam wtedy jabłoni.

Być może już wtedy było to piekło dla „myszy laboratoryjnych”, na których Katz wypróbowywał swoje koktajle narkotykowe.

Abel dostał gęziej skórki. Jego samochód powoli przetoczył się obok przedniej bramy. Żywopłot był wprawdzie jeszcze bardziej sękaty niż wtedy, ale tak samo wysoki i zasłaniający widok. Także brama była ta sama co wtedy. Tylko bardziej zardzewiała i nieprzyjazna, jakby bardziej mroczna przez przecucie Abla tego, co może go oczekiwać w środku.

**Teren ogródków działkowych na obrzeżach Hanoweru.
Wtorek 12 września godz. 22.23.**

Brama składała się z żelaznej ramy i przypominających lance żelaznych prętów, wzmocnionych przebiegającymi w poprzek sztabami. Biegące pionowo pręty były umieszczone tak blisko siebie, że Abel z trudnością mógł wcisnąć między nie palce.

Podciągnął się w górę na zardzewiałych prętach, oparł stopy na dającej jakie takie oparcie poprzecznej sztabie i wyprostował się, tak że obejmował teraz rękami dwa spiczaste pręty bramy. Podciągnął się wyżej i stwierdził, że jego obawy były jak najbardziej słuszne: odstęp między okrągłymi, umieszczonymi obok siebie, szpicami był tak mały, że można było włożyć między nie jedynie czubek buta.

Po chwili Abel przysiadł na samej górze bramy, z dłońmi zaciśniętymi na szpicach lanc. Niespokojnie spoglądał w dół, na tonący w mroku teren. Co go tam czekało? Psy, które Lenski spuścił ze smyczy? Zastrzyk z trucizną wbity w szyję pod osłoną ciemności?

Po ulicy za plecami Abła nadjeżdżał samochód. Czy to Lenski? No bo kto włączyłby się o tej porze nocnej w tak opuszczonej okolicy?

Przyszedł mu na myśl Burkianow, ale szybko zarzucił tę myśl. Gdyby lejtnant z kumplami śledzili go aż tutaj, to zauważyłby ich. Z drugiej strony im dłużej będzie siedział tu na górze, tym szybciej dostanie skurczu łydek i palców u nóg. Poza tym zobaczą go pasażerowie auta, którego reflektory żłobiły już w ciemności kołyszące się przesieki.

Abel zaparkował samochód kilkaset metrów dalej, na wpół ukryty na poboczu drogi. Zrobił głęboki wdech, przesunął się nad groźnie ostrymi szpicami i skoczył w dół.

Po drugiej stronie zamarł przynajmniej na minutę, przyczajony przy ziemi, gotowy w każdej chwili do ucieczki. Po drugiej stronie przejechał samochód, nie zmniejszając prędkości. Potem znów wszystko utonęło w ciszy i w ciemności. Nie było nic słychać z wyjątkiem oddechu Abła i aktywnych o tej nocnej porze zwierząt w krzakach i na drzewach.

Żadnych ludzkich głosów. Żadnych kroków.

Niebo było pochmurne, ale właśnie w tej chwili chmury się rozeszły i całą scenę oświetlił prawie pełny księżyc. Abel nie był pewny, czy cieszyć się z tego powodu, czy też nie. Czuł się jak jeleń na łące, z daleka widoczny cel dla myśliwego na ambonie.

Kiedy zaczął posuwać się do przodu, jego puls wyraźnie przyspieszył.

Szedł wzdłuż żywopłotu po prawej stronie bramy, a kiedy ten załamał się w lewo, szedł za nim dalej. Oczyma duszy widział ten teren, jak wyglądał przed dwudziestu pięciu laty: płaski obszar pokryty trawą, być może długi na sto metrów i na czterdzieści szeroki, który na jednym końcu, sięgającym brzegu Leine, był lekko spadzisty.

Na łące było pięćdziesiąt albo sześćdziesiąt drzew, rozmieszczonych w miarę równomiernie po całym terenie. Abel widział prawie cały teren nawet w bladym świetle księżyca. Nie było na nim żadnych budowli z wyjątkiem niewielkiej szopy w jednej trzeciej odległości od tylnego końca łąki. *W każdym*

razie żadnych naziemnych, jak dodał w myślach. Ale bunkier, jak swoją kryjówkę nazywał Lenski, mógł znajdować się także pod ziemią.

Pytanie tylko gdzie? I jak miał go znaleźć po ciemku. Czy jednak nie był to niezbyt mądry pomysł, żeby wałęsać się tutaj po nocy, samemu i bez broni? Może powinien zawrócić i zacząć od nowa jutro przy dziennym świetle? Nie, to nie wchodziło w rachubę, jego intuicja mówiła mu, z rzadką wyrazistością, że jest na właściwym tropie, a to oznaczało, że Katz alias Lenski gdzieś tutaj przetrzymuje siłą swoją kolejną żeńską ofiarę.

Czy może powinien od razu zadzwonić do nadkomisarz Marie Horowitz i poprosić o przysłanie jednostki specjalnej? Względnie poprosić o pomoc kolegów z Krajowego Urzędu Kryminalnego w Hanowerze, żeby oni wysłali oddział specjalny?

Na razie jeszcze nie, powiedział sobie Abel. *Najpierw potrzebuję konkretnych punktów zaczepienia, potwierdzających moje podejrzenie.*

Według Marie nigdzie w Niemczech, jak dotychczas, nie zgłoszono zaginięcia kobiety, która pasowałaby do schematu ofiar Lenskiego. Ale to niewiele znaczyło. Niekiedy mijają całe tygodnie, zanim ktoś się zorientuje, że dawno nie widział jakiejś samotnie żyjącej osoby. A potem jeszcze może upłynąć wiele dni, zanim taki ktoś zdecyduje się zgłosić to na policję.

Poza tym nie wiem z całą pewnością, pomyślał Abel, *czy to jest właśnie ogród Katza. Albo jego krewnych. Ale w zasadzie to wiem. On musi tu być. Wyczuwam jego obecność.*

Abel wyszedł z cienia żywopłotu i podbiegł schylony w kierunku małej szopy. Księżyc zniknął za chmurą i nagle zrobiło się tak ciemno, że nie widział nic na wyciągnięcie ręki.

Wyjął blackberry z kieszeni, wyłączył dzwonek i uruchomił aplikację latarki. W zdumiewająco silnym świetle pojawiła się drewniana szopa w kształcie sześcianu. Miała podstawę wielkości może trzech metrów kwadratowych i wyglądała o wiele solidniej niż jej poprzedniczka przed dwudziestu pięciu laty.

Ale taka szopa nie nadaje się do celów Lenskiego, powiedział sobie Abel.

Drzwi miały klamkę i wmontowany w deski zamek, a nie zwykłą kłódkę. Także stalowe okucia były raczej niezwykłe w przypadku szopy na narzędzia.

Abel nacisnął ostrożnie klamkę. Drzwi były zamknięte. Przyłożył do nich ucho i wstrzymał oddech, ale słyszał tylko szum własnej krwi.

Obszedł dokoła całą szopę. Z tyłu było zadziwiająco dużo krzaków i krzewów. Abel odchyłał gałęzie i pędy na bok i świecił smartfonem w puste miejsca między nimi. W końcu znalazł to, czego szukał.

Proszę, proszę, rura od klimatyzacji.

Wystawała tylko kilka centymetrów nad ziemią i była pomalowana na maskujący zielony kolor trawy. Gdyby nie szukał specjalnie tego rodzaju wyróżniających się szczegółów, to z pewnością by to przeoczył. Kiedy się pochylił i przystawił dłoń do otworu, poczuł wyraźny powiew powietrza. Serce zabiło mu mocniej.

Teraz wiem, gdzie się schowałeś, pomyślał.

Korzystając ze szwajcarskiego scyzoryka, który wziął na wszelki wypadek z samochodu, Abel potrzebował mniej niż minutę na otwarcie zamka w drzwiach szopy. Kolega z wydziału włamań pokazał mu kiedyś, jak otworzyć samochód, drzwi mieszkania czy okno za pomocą najprostszych narzędzi, i zawsze w ciągu kilku sekund.

Abel przesunął strumieniem światła po wnętrzu szopy. Grabie, motyki i inne narzędzia ogrodnicze, wszystko starannie powieszona na prawej ścianie albo poukładane na półkach. Przed nim stała duża kosiarka z siedzeniem, kierownicą i dźwignią biegów, błyszcząca czystością. Wyglądało na to, że Lenski

to fanatyk porządku.

Potem jednak wzrok Abła padł na lewą połowę szopy. Tam z kolei panował absolutny chaos. Spróchniałe deski leżały porozrzucane jedna na drugiej, na nich wiadro bez dna, zardzewiała łopata ze złamanym trzonkiem.

Szopa była idealnym odzwierciedleniem rozdwojonej osobowości jego kolegi ze studiów. Po prawej: doktor Lenski z dobrze prosperującą praktyką lekarską nad jeziorem Wandlitz. Po lewej: potwór, którego co jakiś czas spuszczał z łańcucha.

Dr Jekyll i pan Hyde, przeleciało przez głowę Ablowi.

Ukucnął przy stercie rupieci i oświetlił ją smartfonem. Pociągnął za jedną z desek, potem za kolejną i stwierdził, że wszystkie te części pozornie chaotycznego stosu są do siebie mocno przymocowane. Kiedy pociągnął za jedną z desek, cały stos przesunął się na dobrze naoliwionych łożyskach na bok.

Pod nim ukazała się kłapa w podłodze.

**Bunkier pod działką na obrzeżach Hanoweru.
Wtorek 12 września godz. 22.47.**

Kłapę wykonano ze stali, ale nie była zamknięta. Abel wsunął ostrze grabi pod metalową płytę i otworzył ją. Pod spodem znajdowało się pomieszczenie zatopione w całkowitym mroku, z którego wypływało stęchłe powietrze.

Musi tu być jeszcze jedno pomieszczenie, stwierdził Abel. Pomieszczenie poniżej najwyraźniej nie było podłączone do klimatyzacji.

Bezpośrednio pod otworem stała oparta o kamienny mur zwykła metalowa drabina. Schodząc ostrożnie w dół, Abel trzymał się jedną ręką drabiny, a drugą oświetlał szczeble pod swoimi stopami.

Bateria komórki niedługo się wyczerpie, aplikacja latarki straszliwie pożerała energię. Musi się pospieszyć.

Kiedy dotarł na sam dół, najpierw zapało mu dech w piersiach. Pomieszczenie było duszne i wąskie i emanowało aurą grobowca. Tylko stalowe drzwi na lewej ścianie, zaopatrzone w zamek cyfrowy, nie pasowały do ogólnego obrazu.

Wyglądało na to, że pomieszczenie to należało kiedyś do piwnicy budynku, który musiał tutaj stać dawno temu. Sufit był tak niski, że Abel z trudem mógł się wyprostować. Ale jeszcze bardziej przerażające niż atmosfera starego horroru w połączeniu z supernowoczesnymi drzwiami pancernymi były dwa zwykłe drewniane krzesła, stojące po ich lewej i prawej stronie.

Na jednym wisały i leżały starannie poskładane: niebieski męski garnitur, jasnoniebieska koszula, bielizna i skarpetki. Pod krzesłem stały równo obok siebie, eleganckie czarne półbuty męskie.

Kobieca garderoba na drugim krześle była porwana na strzępy i rzucona byle jak. Bluzka w kwiaty bez guzików, z oderwanym jednym rękawem. Resztki dzinsów, tak dziwnie pociętych, jakby zostały właścicielce zdjęte siłą za pomocą nożyczek. Biustonosz z mnóstwem dziur. Nawet podeszwy jej sandałów były w środku przedziurawione.

Abel wyłączył światło w komórce, zbliżył się na palcach do stalowych drzwi i przyłożył do nich ucho. Miał wrażenie, że słyszy głos kobiety, ale tak daleki i zniekształcony, że chyba tylko sobie to wmawiał. Potem męski głos, jeszcze bardziej odległy i niewyraźny.

Wsłuchiwał się w napięciu i jednocześnie zastanawiał, co powinien teraz zrobić. W środku był Lenski, tego był pewien, i ten wielokrotny morderca miał w swoich rękach nową ofiarę.

Czy miał próbować oswobodzić tę kobietę na własną rękę? *Nie ma takiej szansy*, zdecydował Abel. *Nie potrafiłbym nawet otworzyć tych pancernych drzwi. A jeżeli nawet, to znalazłabym się oko w oko z psychopatą, który trzymałby swojej ofierze nóż na gardle albo pistolet przy głowie. I co wtedy?*

Pokręcił głową. *Zadzwonię do Marie, ona załatwi wszystko, co jest niezbędne do uratowania tej zakładniczki. Nawet jeżeli tamta kobieta będzie musiała być jeszcze godzinę albo dłużej w szponach Lenskiego.*

Abel odwrócił się od drzwi i zdążył jeszcze zobaczyć, jak potężny mężczyzna schodził na dół po

drabinie. W rękę trzymał pistolet skierowany prosto w głowę Abła.

Lejtnant! – pomyślał Abel. Jednak było tak ciemno, że widział tylko zarysy jego postaci.

Rozległ się strzał, ogień z lufy rozświetlił na ułamek sekundy panującą wokół ciemność. Kula odbiła się od stalowych drzwi, rykoszet śmignął z przenikliwym wizgiem przez pomieszczenie. Jednocześnie zza stalowych drzwi dobiegł krzyk kobiety.

Abel błyskawicznie odskoczył na bok, przewrócił krzesło z garniturem Lenskiego i przeturlał się przez chaos nie tak dawno starannie poukładanych części męskiej garderoby. Strzelec wpatrywał się w matowoszare drzwi z zamkiem cyfrowym, wyglądał na totalnie zaskoczonego. Kobieta z drugiej strony nieustannie krzyczała, ale nie można było nic zrozumieć.

Abel poderwał się i rzucił na mężczyznę.

– Moi koledzy są już w drodze – powiedział na wszelki wypadek.

Chwycił prawy nadgarstek mężczyzny. Wolną ręką złapał za jego prawy łokieć i nagłym ruchem wygiął go do góry, tak że lufa pistoletu skierowana była teraz w dół za plecami napastnika. Abel płynnym ruchem wykręcił prawe ramię przeciwnika ponad jego plecy, trzymając mocno jego nadgarstek. Poczł opór, a potem usłyszał chrupnięcie, kiedy prawe ramię przeciwnika wyskoczyło ze stawu.

Jak się dociśnię, to się i wyciśnię, pomyślał z ulgą Abel.

Pistolet upadł na ziemię i przeleciał, szurając po betonie, w kierunku stalowych drzwi. Przeciwnik Abła wyrzucił z siebie niezrozumiałe przekleństwo. Po rosyjsku, jak zdołał się zorientować Abel.

Znów rzucił się na tego mięśniaka, żeby unieszkodliwić go celnym uderzeniem w grdykę. Lecz tym razem natrafił na granice swoich możliwości. I to w sposób bolesny.

Wyglądało na to, że zbir Burkianowa jest wyjątkowo twardym typem albo to adrenalina całkowicie wypłukała z niego ból. W każdym razie pełne wywichnięcie prawego ramienia najwyraźniej w ogóle mu nie przeszkadzało. Ten potężny mężczyzna ruszył na Abła jak żywy taran i trafił go z całym impetem w klatkę piersiową, w wyniku czego obaj padli na podłogę.

Kiedy Abel pozbierał się znowu, zobaczył już tylko buty swojego przeciwnika znikające po drabinie w otworze.

Czarne buty z cholewami do połowy łydki, takie jakie preferują motocykliści. Nawet jeżeli ten mężczyzna nie miał dzisiaj na sobie skózanego kombinezonu, Abel był pewny, że to ten sam typ, który zaatakował go na motorze.

Strach przenikał każdą komórkę jego ciała. Znów włączył aplikację latarki i poszukał pistoletu, który wytrącił przeciwnikowi z dłoni. Ale broń zniknęła. Napastnik musiał ją zabrać, kiedy walcząc, upadli na podłogę.

Abel nie miał raczej ochoty biec na górę za lejtnantem czy innym zbirem, który do niego strzelał. Jednakże znów był pewny, że oddano do niego jedynie strzał ostrzegawczy: gdyby napastnik chciał go zabić albo zranić, wówczas z pewnością nie spuściłoby z takiej odległości.

Przypomniał sobie bezczelne słowa Warwary Romani: „Gdyby Burkianow miał zamiar pana zabić, to teraz leżałby pan na stole sekcyjnym”.

Nadal nie brzmiało to uspokajająco, ale nadal zapewne odpowiadało prawdzie. Napastnik z pewnością dawno już zniknął. W ciemności Abel nie widział ani jego twarzy, ani nawet koloru włosów. Ale jak w ogóle ten typ znalazł go w tej okolicy?

Musieli przyczepić nadajnik GPS do mojego samochodu, pomyślał Abel, wchodząc do góry po drabinie i wybierając numer Marie Horowitz. *Dlatego od wczoraj w południe nie widziałem, żeby ktoś mnie śledził. Po prostu czekali, aż nadarzy się okazja, żeby dać mi następną nauczkę w jakimś ustronnym miejscu.*

**Bunkier pod działką na obrzeżach Hanoweru.
Wtorek 12 września godz. 22.53.**

Barry znalazł gdzieś tam na dole drugą drabinę. Był tak samo wykończony jak Jana, ale jakoś udało mu się ustawić drabinę pod otworem w podłodze. Jedna była z metalu, druga ze spróchniałego drewna. I od tego czasu Barry i ona przemieszczali się od jednej dziury do drugiej, tam i z powrotem. Barry w dolnej piwnicy, ona piętro wyżej.

Tam i z powrotem. Od wielu godzin. A może dni.

Kiedy Barry dotarł do jednej drabiny i w otworze włazu zobaczył rękę Jany z uniesioną latarką, wyszczerzał zęby i czołgał się do drugiej. Albo też udawał tylko, żeby potajemnie zawrócić i pojawić się pod tym samym otworem.

Jana nie mogła w żadnym razie zamknąć chociaż na moment oczu, ponieważ natychmiast by zasnęła. A wtedy nastąpiłby koniec. Barry wspiałby się do niej po jednej z drabin i z takim okrucieństwem zamęczył na śmierć, jak nieustannie jej to zapowiadał.

– Znasz te noże elektryczne, skarbie, takie do kebabu? Jeden taki mam w sejfie pod zlewem.

Mówił niewyraźnie, rozciągając słowa i pełzając przy tym w lochu z rozdrabniaczem tam i z powrotem. Musiała diabelnie uważać.

Jeżeli nie będzie wcześniej od niego przy otworze, do którego on właśnie zmierza, to wejdzie pod drabinie i rzuci się na nią.

Nadal miała przed oczami obraz, jak z małpią zręcznością wspina się po drabinie, piszcząc przy każdym kroku jak pawian.

– Tym nożem potnę cię na kebab z dziwki. Cieszysz się?

Mimo że mamrotał jak pijany, Jana rozumiała każde słowo. Zupełnie, jakby Barry siedział w jej mózgu i szeptał tam do niej.

– Możesz sobie wybrać, skąd mam zacząć. Od twoich jędrnych cycków czy może raczej od słodkiego, małego tyłeczka?

Kiedy tak mamrotał, jednocześnie czyhał na swoją szansę. Przez większą część czasu, kiedy przemieszczał się tam na dole, Jana nie mogła go widzieć. W napięciu czekała na jego mamrotanie i szurające odgłosy, jakie wydawały jego kolana i stopy przy pełzaniu po betonowej podłodze. Musiała w porę odgadnąć, gdzie pojawi się znowu. Nie mogła pozwolić sobie na najmniejszy błąd, chociaż była tak śmiertelnie zmęczona, że część jej chciała już się poddać. Coraz większa część i coraz bardziej na to zdecydowana.

Położ się na łóżku, szeptał głos w jej głowie, niech robi, co chce. Tym szybciej będzie po wszystkim. Ale ona już na nic mu nie pozwoli, za nic nie dopuści do tego, żeby dotknął jej jeszcze choć raz. Nie mówiąc już o tym, żeby przerobił ją na mielone mięso. A więc będzie broniła tych dwóch otworów w podłodze. Nawet jeżeli miałyby to być ostatnia rzecz, jaką robi w życiu. Musi tylko za każdym razem być w porę przy odpowiednim otworze, wtedy może w razie konieczności uderzyć solidną stalową

latarką Barry'ego w głowę i przewrócić wraz z drabiną, tak jak już raz to jej się udało.

– Mała, też tak świetnie się bawisz, jak ja?

Jej ciało było jedną palącą, pulsującą raną. Jej wnętrze było wypełnione po brzegi paniką, horrorem, krzykami. Od dawna nie mogła już utrzymać się na nogach. Była tak wyczerpana, że zdrową ręką nie podniosłaby już do góry żelaznego pręta. Teraz nosiła ze sobą tylko latarkę, ale i to było dla niej coraz trudniejsze.

Początkowo Barry tylko kuśtykał na dole tam i z powrotem. Ale wyglądało na to, że jego noga została złamana podczas upadku albo przynajmniej mocno stłuczona. Mimo to Jana była pewna, że nadal był w stanie wspiąć się do niej jak małpa, jeżeli tylko raz spóźni się do wjazdu.

Z trudem przeczłgała się do wjazdu, nad którym wcześniej stał stół z gotowymi daniami. Wysunęła głowę nad brzeg otworu i spojrzała w dół. Jednocześnie podniosła w górę latarkę, żeby pokazać Barry'emu, że nadal była gotowa do obrony.

I nagle zastygła w tym geście.

Gdzie jest ten cholerny sukinyń? Przecież dokładnie słyszała, w którą stronę się poczołgał.

– Hej, mała! – wyseplenił za nią Barry.

Chciała natychmiast cała się do niego odwrócić, ale panika kompletnie ją sparaliżowała. Dlatego odwróciła tylko głowę jak w zwolnionym tempie i popatrzyła na niego przez ramię.

– Naprawdę doceniam to, dziewczyno, jak zachęcająco wypinasz do mnie dupcię.

Głowa i barki Barry'ego wystawały już z otworu. Przecisnął już też ręce i oparł dłońmi o podłogę.

– Jeszcze tylko sekundę, skarbie, zaraz będę przy tobie.

**Teren ogródków działkowych na obrzeżach Hanoweru.
Wtorek 12 września godz. 22.56.**

Marie? – powiedział Abel, kiedy żeński głos odezwał się w telefonie.

Ledwo ją słyszał, ponieważ tło akustyczne składało się z gwaru wielu głosów i brzęku szkła. Wyglądało na to, że nadkomisarz Horowitz jest akurat na jakiejś imprezie.

Co za zbieg okoliczności, pomyślał. W końcu tutaj też odbywały się kiedyś imprezy.

Krótko i zwięźle opisał jej, gdzie się znajduje i co odkrył.

– To jest bunkier Lenskiego, nie ma wątpliwości – powiedział. – Najprawdopodobniej ma tam ze sobą zakładniczkę. Powiedz swoim kolegom w Hanowerze, że potrzebujemy tutaj natychmiast jednostki do zadań specjalnych. Poza tym specjaliści kasiarza. Oraz, rzecz jasna, lekarza pogotowia, żeńskiego psychologa i tak dalej. Ta kobieta jest z nim w środku prawdopodobnie już od kilku dni. Nie chce mi się nawet myśleć, co musiała przejść przez ten czas.

Rozmawiając z Marie Horowitz, Abel stał tuż przy drewnianej szopie. Obserwował na przemian otwartą klapę w podłodze wewnątrz szopy i teren działek, który znów zalany był blaskiem księżyca.

Nie dostrzegł jednak ani uciekającego czy podkradającego się znowu zbira Burkianowa, ani też wyłazącego ze swojego bunkra Lenskiego.

– Tylko pospieszcie się, na miłość boską! – powiedział Abel na zakończenie rozmowy. Marie przyrzekła mu, że poruszy niebo i ziemię. Już wychodziła z imprezy.

Abel słyszał jej szybkie kroki na nocnej ulicy, gdzieś w Berlinie.

Zakończyli rozmowę, a Abel patrzył na księżyc, jak chowa się za chmurami, by za chwilę znów się zza nich wyłonić. W zasadzie była to piękna noc.

Jeżeli pominąć fakt, że w okolicy roiło się od dwunożnych wilków.

**Bunkier pod działką na obrzeżach Hanoweru.
Środa 13 września godz. 1.21.**

To z pewnością czwórka – powiedział specjalista od sejfów, którego przywiozła ze sobą hanowerska jednostka do zadań specjalnych. Wyglądał jak potomek Attyli, władcy Hunów. Mały i żyłasty, pałakowate nogi i czarne wąsy, których końcówki zwisały nad kącikami ust.

– Klasa czwarta drzwi sejfu – wyjaśnił, kiedy Marie Horowitz spojrzała na niego pytająco. – Znaczący się, czwarta kategoria zabezpieczenia, czwarta z sześciu. – Postukał palcem w powierzchnię z ryflowanej stali. – Ściana jest ze zbrojonego żelbetu. Ten człowiek zbudował sobie tutaj pierwszorzędny schron. Łomem czy palnikiem do cięcia nie robi pani tu nawet rysy.

Niemal z czułością przesunął wnętrzem dłoni po betonowej ścianie.

– Także zamek elektroniczny jest najwyższej jakości – dodał. – Aktualnie nie ma żadnego software'u w moim laptopie, którym mógłbym to złamać.

Jego nieogolone policzki błyszcząły w niebieskawym świetle reflektorów, jakie rozstawiono w przedsionku bunkra.

– To co pan proponuje? – spytała Marie Horowitz.

Jej wysoko upięta fryzura, mimo tak późnej godziny, była wciąż perfekcyjna. Pod oliwkowym płaszczem miała na sobie nadal czarną suknię wieczorową z przyjęcia, z którego została wyrwana telefonem Abla.

– Plastikowy materiał wybuchowy. – Specjalista od sejfów wzruszył ramionami. Kończówki jego wąsów zakołysały się tam i z powrotem. – Gdyby czas nie odgrywał żadnej roli, mogłaby pani jutro zapytać u producenta zamka, czy nie ma software'u...

– Okay, bardzo dziękuję – wpadła mu w słowo Marie Horowitz. Odwróciła się do dowódcy oddziału specjalnego, który stał tuż obok Abla i także przysłuchiwał się tej rozmowie. – Jak szybko sobie z tym poradzimy? – zapytała. – Bez dodatkowego narażania życia zakładniczki podczas eksplozji?

– Proszę dać nam pięć minut. – Dowódca akcji miał około trzydziestu pięciu lat i posturę niedźwiedzia. Ze swoją olbrzymią klatką piersiową i ramionami grubymi jak konary drzewa wyglądał, jakby w razie konieczności mógł gołymi rękoma otworzyć pancerne drzwi. – A państwa oboje proszę o opuszczenie strefy zagrożenia aż do chwili, gdy dam zielone światło. – Spojrzał przenikliwie na Marie i Abla. – Czy też chcą państwo przedyskutować najpierw kwestię kompetencji, podczas gdy zakładniczka...

Urwał w połowie zdania. Przez stalowe drzwi znów dobiegł krzyk, bardzo cichy i odległy, ale jednoznacznie kobiecy. Od kiedy Abel i Marie Horowitz weszli do tego podziemnego pomieszczenia, słyszeli już wielokrotnie krzyki tej kobiety.

To zakładniczka Katza, nie było wątpliwości. Sprawiała wrażenie wyczerpanej i do głębi zdesperowanej, ale zarazem wyraźnie rozwścieczonej. Najwyraźniej dysponowała wielką siłą woli i wcale jeszcze nie skapitulowała.

Drugi głos, także w sposób jednoznaczny, należał do mężczyzny. Wyglądało na to, jakby Katz alias Lenski nieustannie coś mówił, ale przez masywne stalowe drzwi dochodziło tylko niezrozumiałe mamrotanie.

Kobieta krzyknęła znowu. Marie i Abel przyłożyli uszy do stalowych drzwi. Po drugiej stronie rozległ się odgłos uderzenia, jakby tępy przedmiot uderzył w kości. I jakby te kości pękły pod impetem ciosu.

– Halo, tam w środku? Tutaj policja! Słyszysz mnie pani? – Marie bębniła pięściami w pancerną stal.

Jednak za drzwiami zapanowała nagle przeraźliwa cisza.

Marie i Abel posłuchali wezwania dowódcy jednostki specjalnej i wrócili na górę. Stali w milczeniu pod jedną z jabłoni obok ogrodowej szopy i przyglądali się, jak funkcjonariusze jednostki w czarnych uniformach i kaskach szтурmowych jeden po drugim schodzą na dół przez otwór w podłodze. Prawie wszyscy mieli czarne ochronne tarcze. Jeden z nich miał pod pachą płaską paczkę opatrzoną znakiem trupiej czaszki.

Plastyczny materiał wybuchowy, pomyślał Abel. Mam nadzieję, że nie będzie za późno.

Tamten odgłos uderzenia za pancernymi drzwiami i cisza, jaka potem zapadła, kazały spodziewać się najgorszego.

Marie wyciągnęła ze swojego płaszcza torebkę małego formatu, którą znalazła między podartymi częściami garderoby zakładniczki. Przeszukała ją w świetle latarki w komórce Abła. Torebka wyglądała na pierwszy rzut oka jak mały pluszowy miś.

Portmonetka, którą wyjęła ze środka, była ozdobiona uśmiechniętymi misiami koala i zawierała dowód osobisty na nazwisko Jany Forster. Według tego dokumentu zakładniczka miała dwadzieścia sześć lat i mieszkała w jednym z wieżowców na obrzeżach Hanoweru.

– Założę się, że tam pracuje. – Marie pokazała Ablowi kwitek z dyskontu. Czubkiem swojego pomalowanego na ciemną czerwień paznokcia postukała w rubrykę w dolnej części paragonu. – Dostała rabat dla pracowników.

– To dlaczego pracodawca nie zgłosił jej zaginięcia? – zapytał Abel. – Mimo że od kilku dni nie zgłosiła się do pracy?

– Ponieważ bez problemów mógł ją zastąpić, jak myślę. – Marie włożyła portmonetkę z powrotem do torebki w kształcie misia. – Może Jana Forster wykonuje tylko jakieś prace pomocnicze albo pracuje w niepełnym wymiarze godzin – ciągnęła. – Kiedy nie pojawiła się w pracy, kierownik zadzwonił po kogoś innego. W sektorze dyskontów to normalna praktyka.

Abel przytaknął. Marie miała najprawdopodobniej rację. W dużych miastach żyło coraz więcej samotnych ludzi, pozbawionych więzi społecznych, czy to z sąsiadami, czy też z kolegami z pracy. Kiedy nagle znikali, to niekiedy nikt tego nie zauważał przez wiele dni lub tygodni. Z reguły dotyczyło to starszych ludzi, którzy byli już na emeryturze i nie mieli żyjących członków rodziny w najbliższym otoczeniu. Jednak również coraz więcej młodych mężczyzn i kobiet żyło samotnie, jak wyizolowani seniorzy.

Marie grzebała dalej w torebce misiu i wyjęła komórkę w różowym kolorze. Nacisnęła kilka przycisków i przyłożyła aparat do ucha.

– Na jej poczcie głosowej nie zapisanego ani jednego połączenia – powiedziała.

Znów przycisnęła klawisz i pokazała komórkę Ablowi.

– Sam zobacz, lista połączeń z ostatnich miesięcy zawiera jedynie trzy wpisy, które należą zapewne do jej dentysty albo dostawcy pizzy. Wygląda na to, że Jana Forster nie ma ani chłopaka, ani rodziny, z którą utrzymywałyby kontakt.

– Idealna ofiara dla takiego łowcy ludzi, jak Katz – zauważył Abel.

Ledwo wypowiedział to zdanie rozległ się pod nimi ogłuszający wybuch. Mimo że na to czekali, oboje

aż się wzdrygnęli. Coś ciężkiego uderzyło o beton.

– Chodź, Fred – rzuciła Marie.

Nie czekając na zielone światło od szefa jednostki specjalnej, wrócili przez otwór w podłodze do podziemi.

**Bunkier pod działką na obrzeżach Hanoweru.
Środa 13 września godz. 1.29.**

Abel wszedł za Marie do bunkra Lenskiego. Tam, gdzie przedtem były drzwi, ziała teraz w betonowej ścianie wielka dziura. Wokoło unosił się jeszcze dym z eksplozji. Najpierw Abel dojrzał tylko dziwnie ułożone sylwetki, siedzące na podłodze w odległości kilku kroków od nich.

Kobieta, mężczyzna, oboje nadzy i zalani krwią. Jana Forster i Lenski, któż by inny. Młoda kobieta siedziała na podudziach, Lenski leżał przed nią na brzuchu. Wokół nich w półkołu stali funkcjonariusze jednostki specjalnej w rynsztunku bojowym, z pistoletami maszynowymi skierowanymi na skurczone postacie.

Ale coś się nie zgadzało w tym obrazie, jaki widzieli.

Zakładniczka była, na pierwszy rzut oka, przy życiu, chociaż siedziała nieruchoma jak posąg. W dłoni trzymała długą na trzydzieści centymetrów latarkę, która była zbryzgana krwią.

?wie?? krwi?, Świeżą krwią, pomyślał Abel. Tak świeżą jak krew ciekąca z rany na lewej skroni Lenskiego. I z jego lewego ucha.

Także Lenski leżał zupełnie bez ruchu. Być może już nie żył. A w każdym razie był nieprzytomny. Znokautowany lub ukatrupiony przez własną zakładniczkę seksualną, która jak urzeczona wpatrywała się w jego głowę.

Dopiero kiedy opadły kłęby dymu, Abel uświadomił sobie, co tak bardzo go zaintrygowało.

Wydawało się, że Lenski nie ma dolnej części ciała. Jednak bardziej prawdopodobne wydawało się, że tkwi po biodra w dziurze w podłodze, jak dziwaczna postać ze sztuki Samuela Becketta. *Szczęśliwe dni*, pomyślał Abel, *dokładnie taki tytuł miała ta sztuka*. Kilka tygodni temu widział ją razem z Lisą w teatrze.

Podobała mu się ta mroczna ironia sytuacji, nawet bardziej niż sztuka, której treść wydawała mu się zbyt wydumana. W końcu Katz próbował, według słów Uliego Döpfnera, wyprodukować narkotyk szczęścia. Psychogenne koktajle, które czyniły innych ludzi całkowicie mu uległymi, a ich torturowanie i gwałcenie przysparzało mu szczęśliwych dni. To, że teraz Katz, jak absurdalni bohaterowie sztuki Becketta, wydawał się żywcem zapadać w ziemię, Abel uznał za sprawiedliwą karę.

Mimo to nadal było dla niego zagadką, co tu właściwie zaszło.

Marie uklękła obok Jany Forster. Włożyła rękawiczki lateksowe i wyjęła latarkę z dłoni młodej kobiety. Jana Forster nadal nie okazywała żadnej reakcji. Marie podała latarkę dowódcy jednostki, który włożył ją do plastikowej torby na dowody.

Jeden z funkcjonariuszy podał Marie koc, a ona okryła nim młodą kobietę.

– Już po wszystkim, pani Forster – powiedziała cicho. – On nic już pani nie robi.

Jana Forster dalej wpatrywała się w zakrwawioną głowę Lenskiego, która zwrócona była profilem w jej stronę.

Jednostka specjalna wycofała się, a w jej miejsce pojawiła się lekarka pogotowia z dwoma

sanitariuszami. Po krótkim badaniu młodej kobiety sanitariusze położyli ją na noszach i przykryli folią ratowniczą w kolorze złota, przypięli pasami i pospiesznie wynieśli na zewnątrz.

W bunkrze pozostał Katz alias Lenski. Nadal leżał niczym absurdalna postać ze sztuki Becketta, z prawym uchem przyłożonym do podłogi, jakby czegoś słuchał. Wystawał znad podłogi od pępka w górę. Sterczące krzywo, połamane deski wokół jego bioder nasuwały tylko jeden wniosek, a mianowicie taki, że przebijał się od dołu przez podłogę. To jednak było bez sensu.

A może jednak?

Podczas gdy Abel coraz bardziej zaintrygowany oglądał to miejsce, lekarka ukucnęła obok Lenskiego i spokojnie szukała czegoś w swojej torbie. Wyglądało na to, że nic nie jest w stanie poruszyć tej pięćdziesięciopięciolatki.

Uniosła do góry lewą powiekę Lenskiego i poświeciła mu latarką w oko.

– Żadnych... – zaczęła i nagle zamilkła.

Lenski podniósł gwałtownie głowę i charkotliwie wciągnął powietrze do płuc. Jego wzrok przesuwał się gwałtownie po twarzach ludzi go otaczających, którzy patrzyli na niego z przerażeniem.

– Dobrze, że wreszcie przyszliście – wysepleniał. – Ta menda o mało mnie nie zabiła!

– Panie Lenski, jest pan podejrzany o popełnienie ośmiokrotnego, morderstwa – odezwała się Marie Horowitz. – Pańska współniczka Julia Bunting złożyła obszernie wyjaśnienia. Jest pan tymczasowo aresztowany.

Lenski dostał ataku śmiechu, który wymieszał się z napadem kaszlu. A potem gwałtownie uniósł tułów i wyciągnął obie ręce do góry.

Nadal wstrząsany śmiechem i kaszlem zsunął się w dół przez dziurę. Kiedy uderzył o podłogę, rozległ się metaliczny pogłos. Śmiech zamarł, za to do kaszlu dołączyły mamrotane pod nosem przekleństwa.

Abel i Marie spojrzeli po sobie zdumieni.

– Świetne zejście do piekła, jeżeli ktoś by chciał wiedzieć – powiedziała lekarka. – Może powinnam się jednak zastanowić, czy warto występować z Kościoła.

Piętro niżej Lenski chodził na czworakach. Abel słyszał te szurające odgłosy, z jakimi nagie ciało przesuwało się po podłodze. Rozejrzał się wokoło i zauważył drugi otwór w podłodze z tyłu pomieszczenia. W następnej chwili wiedział już, jaki dramat rozegrał się tutaj między Katzem a Janą Forster.

A dokładniej: ostatni akt dramatu.

Z bliżej nieznanego powodu Lenski znalazł się w podziemiach poniżej właściwego bunkra. Próbował wrócić na górę przez któryś z otworów, a Jana Forster broniła dostępu do nich, aż do zupełnego wyczerpania. Nie tylko ona była najwyraźniej ciężko ranna. Lenski także. I kiedy ostatkiem sił próbował wydostać się z otworu w podłodze, ona uderzyła go ciężką latarką w głowę.

Dzielna dziewczyna, pomyślał Abel.

Należy mieć tylko nadzieję, że pewnego dnia zapomni o tych straszliwych przeżyciach. Z pewnością nie będzie to łatwe, ale przecież nie dała się złamać, w końcu nawet pokonała swojego prześladowcę i dlatego miała szansę na przezwyciężenie swojej traumy. W każdym razie Abel życzył jej tego z całego serca.

Odsunął się na bok, żeby zrobić miejsce funkcjonariuszom jednostki specjalnej, którzy z bronią gotową do strzału oba otwory szturmowali jednocześnie. Drabiny stękały pod ich butami.

– Wyłaż! – Abel usłyszał okrzyk dowódcy jednostki. Beton podłogi sprawiał, że jego głos dochodził tu stłumiony i zniekształcony. – Chcę widzieć twoje ręce. Ale już! – Pistolety maszynowe zostały odbezpieczone. Lenski kasłał i śmiał się.

– Spieprzajcie gnojki albo nacisnę włącznik! – mamrotał.

– W ten sposób zrobiłbyś prezent podatnikom.

Abel podszedł do drugiego otworu i spojrział w dół. Nagi Lenski stał zalany krwią w pojemniku koloru

cytrynowej żółci, który wyglądał jak kubeł na śmieci i był przymocowany do podstawy na dwóch kołach.

Rozdrabniacz, pomyślał Abel i poczuł mrowienie na karku. Według zeznań Julii Bunting Lenski zmuszał ją do jedzenia budzącego wstręt zepsutego zarcia zawierającego spleśniałe kawałki mięsa.

– Jesteś psychopata, Katz – powiedział Abel. – Czułem to już wtedy, dwadzieścia pięć lat temu.

Głowa Lenskiego odchyliła się do tyłu. Zdumiony patrzył w górę na Abła. Zapewne usiłował sobie przypomnieć, kogo ma przed sobą, ale w jego zamglonej głowie nie chciała powstać żadna myśl.

Zdjął dłoń z włącznika rozdrabniacza. Wytarł krew z lewego oka i mrugał nim z wysiłkiem, patrząc w kierunku sufitu.

– Atak – zarządził dowódca.

Dwóch funkcjonariuszy jednostki specjalnej chwyciło Lenskiego za ramiona, wyszarpnęli go z rozdrabniacza i przycisnęli twarzą do podłogi. Wykręcili mu ręce na plecy i założyli kajdanki.

Lenski kasłał i klął.

– Abel? – wyrzucił z siebie. – Ten pieprzony mądrała Fred Abel? – Przekręcił głowę na bok i spojrzał w stronę sufitu. – Ty przecież zostałeś tym faciem od trupów, zgadza się?

Wyprężył się w pałąk i zdumiewająco mocnym głosem krzyknął:

– Trzymajcie ode mnie z daleka tego doktora od trupów! Na pomoc! Jestem ciężko ranny, potrzebuję natychmiast lekarza!

– Już idę. – Przysadzista lekarka przycisnęła się obok Abła ze swoją torbą i zaczęła schodzić po chwiejnej drabinie. – Tak pan urządził tę biedną kobietę, że nie mogę się wręcz doczekać, żeby udzielić panu pierwszej pomocy zgodnie ze wszystkimi regułami sztuki lekarskiej.

**Berlin, Treptowers.
Biuro doktora Freda Abła.
Piątek 15 września godz. 14.25.**

Wejść! – zawołał Abel. Już to podwójne równomierne pukanie do drzwi zdradziło mu, kto za nimi stoi.

Bywały dni, w których godna wręcz robota poprawność Renate Hübner działała mu straszliwie na nerwy. Ale bywały też dni, jak ten teraz, kiedy doceniał jej niedopuszczający jakichkolwiek niespodzianek sposób działania.

Jego zapotrzebowanie na niespodziewane wydarzenia zostało już zaspokojone na długi czas.

– Ekspertyza w sprawie Stiepanowów, panie dyrektorze. – Mechanicznym krokiem blaszanego żołnierzyka sekretarka podeszła do jego biurka, pochyliła się do przodu i z komputerową precyzją położyła przed nim szary skoroszyt. – Czy ma pan jeszcze jakieś życzenie?

– Bardzo dziękuję, pani Hübner, to byłoby na razie wszystko. Jak tylko to przeczytam – położył płasko dłoń na skoroszytcie – i podpiszę, natychmiast panią zawiadomię. Ekspertyza ta musi jeszcze dzisiaj zostać wysłana jako dyplomatyczna przesyłka kurierska za pośrednictwem Ministerstwa Spraw Zagranicznych, a wcześniej przez Intranet.

Spojrzał na nią z uśmiechem, a Renate Hübner odpowiedziała spojrzeniem bez wyrazu. Wszystko jak zawsze.

– Jak pan sobie życzy, panie dyrektorze. – Zrobiła niemal wojskowy zwrot w prawo i opuściła jego biuro.

Ale to dotarło do Abła tylko gdzieś na marginesie. Otworzył już skoroszyt i zagłębił się w lekturę raportu.

Warwara Romani dotrzymała słowa. Wczoraj przed południem przysłano z Tyraspolu jego torbę z instrumentami i aktówkę, jak też torbę z zabezpieczonymi dowodami, aparatem fotograficznym i dyktafonem, na których Abel dokumentował swoje odkrycia w obrazie i słowie.

Próbki tkanek i krwi wysłał natychmiast do laboratorium i dziś przed południem otrzymał wyniki od doktora Fuchsa.

Wyniki analizy DNA były tak samo jednoznaczne, jak wyniki badań toksykologicznych. W przypadku tych dwóch ciał w stanie daleko posuniętego rozkładu wydobytych z kontenera z niegaszonym wapnem chodziło, bez żadnych wątpliwości, o pozostałości po Spiridonie i Artemiju Stiepanowach.

Podobnie jednoznaczny był fakt, że obaj ci mężczyźni zostali nafaszerowani przed śmiercią lekarstwami, żeby przedwcześnie – z punktu widzenia ich katów – nie zmarli w trakcie trwających kilka godzin tortur. Zarówno ślady tortur, jak i koktajl z medykamentami, który został podany ofiarom, nosiły znamiona metod stosowanych przez naddniestrzańskie służby specjalne pod wodzą Burkianowa.

Abel raz jeszcze przeczytał dokładnie swój raport, który razem z protokołem z obdukcji i wynikami badań laboratoryjnych obejmował około trzydziestu stron. To była już druga korekta, po tym jak podczas pierwszej poprawił kilka niewielkich błędów.

Jego metoda pracy, to znaczy: mamrotanie w szybkim tempie do dyktafonu i używanie przy tym mnóstwa fachowych terminów i skrótów, mogła doprowadzić do rozpaczki każdego innego człowieka, ale nie panią Hübner. Jeżeli od czasu do czasu fałszywie odczytała za bardzo zaszyfrowany skrót, była to raczej wina jego niechlujstwa niż jej bezbłędnej zazwyczaj interpretacji.

Kiedy Abel przeczytał ostatnią stronę, wyciągnął wieczne pióro i odkręcił skuwkę. Z uczuciem głębokiej ulgi podpisał wszystkie trzy egzemplarze. Następnie chwycił za telefon i poprosił sekretarkę o natychmiastowe wysłanie ekspertyzy w sprawie Stiepanowów. Burkianow zrobił wszystko, żeby go zastraszyć i poddać presji, ale nic to mu nie dało. Raport Abła zawierał niezafałszowaną prawdę, jedyną, która opierała się na faktach, a nie jakieś naginane pseudoprawdy, pasujące Burkianowowi.

Czy sąd w Tyraspolu skaże tego byłego szefa tajnych służb i czy w konsekwencji władze niemieckie deportują niechcianego gościa do Naddniestrza, długo jeszcze nie będzie pewne. Jednak Abel wykonał swoją część pracy, żeby mogła zatriumfować sprawiedliwość. Mimo że postanowił zachować dla siebie fakt znalezienia sygnetu. Nie musiał już także, o tym raczej był przekonany, obawiać się kolejnych prób zastraszania.

Kiedy już oddałem swój strzał, pomyślał, Burkianow nie ma żadnego sensownego powodu, żeby próbować wytrącić mi broń z ręki. W żadnym razie nie uda mu się już zawrócić tej kuli z powrotem do lufy.

Mówiąc obrazowo, dodał jeszcze w myślach, ponieważ ja nie walczę za pomocą kul i pistoletów, lecz orężem medycyny sądowej. A niekiedy także intuicją.

Dawno już nie odczuwał takiej ulgi. To miało również związek z rozmową telefoniczną, jaką przeprowadził wcześniej z Marie Horowitz.

Jana Forster nadal była w stanie szoku, ale życiu jej nie zagrażało już niebezpieczeństwo, choć doznała wprawdzie ciężkiego zatrucia dziwnymi koktajlami narkotykowymi podawanymi jej przez Lenskiego, a także miała poważne obrażenia w strefie narządów płciowych i odbytu, wielomiejscowe złamania ramienia, jak również nieprawdopodobną wręcz ilość krwiaków, stłuczeń, ran od duszenia, bicia i gryzienia.

– Ale dojdzie do siebie. Także psychicznie – dodała Marie. – Ma wielkie szanse, sprawia na mnie wrażenie osoby niesamowicie silnej i opanowanej.

Życie Lenskiego także nie było już zagrożone, dzięki pierwszej pomocy, jaką uzyskał od lekarki pogotowia, bez niej najprawdopodobniej zmarłby w drodze do szpitala. Doświadczona lekarka już na miejscu stwierdziła u niego nie tylko złamanie podstawy czaszki, ale też pęknięcie trzech kręgów szyjnych. O wiele trudniejsze od zabiegów stabilizujących jego funkcje życiowe było farmaceutyczne uspokojenie go przed transportem, żeby zapobiec ewentualnemu uszkodzeniu rdzenia kręgowego w odcinku szyjnym – zagrożenie takie jest spore, nawet mimo unieruchomienia za pomocą kołnierza ortopedycznego, jeżeli pacjent się rusza.

Z całą pewnością nikt na całej planecie nie uрониłby z jego powodu nawet jednej łzy, powiedział sobie Abel, także Julia Bunting i prawdopodobnie jego matka. Ale jego zadaniem, jako policjanta i lekarza medycyny sądowej, nie był rozstrzygnięcie o życiu i śmierci, lecz zadbanie o to, żeby prawda wyszła na jaw i żeby zostały zastosowane zasady państwa prawa.

Katz alias Lenski, tak samo jak Burkianow, będzie musiał odpowiedzieć za swoje czyny przez sąd. Za osiem zabójstw, jakie popełnił razem ze swoją współniczką Julią Bunting, za porwanie, torturowanie i wielokrotne zgwałcenie Jany Forster i prawdopodobnie za większą liczbę kolejnych przestępstw, które nadal są przedmiotem prowadzonego intensywnie śledztwa.

Marie Horowitz zajęła się wszystkimi niewyjaśnionymi przypadkami zaginięć z terenu całych Niemiec z ostatnich dziesięciu lat, które pasowały do schematu postępowania Lenskiego. Niektóre przesłanki zostały potwierdzone już zeznaniami Julii Bunting. Wynikało z nich, że Jana Forster nie była pierwszą ofiarą, którą Lenski zamknął w swoim bunkrze i, jak wszystko na to wskazuje, żadna z jej poprzedniczek

nie wyszła z tego żywa. Lenski zamordował je, zwłoki kroił w rozdrabniaczu, a potem porcjami gdzieś wrzucał.

– Katz to dwunożny drapieżnik – powiedziała Marie pod koniec ich rozmowy telefonicznej.

– Ale na Janie Forster połamał sobie zęby – odrzekł Abel. – Katz był przekonany, że jest ona tylko kolejną z długiej listy myszy laboratoryjnych. Ale ona odwróciła ich role. Pod koniec to on był myszą, a ona kotem, który zaczął się na swoją zdobycz. I ostatecznie to ona go załatwiła.

Epilog

Pięć miesięcy później.

Są takie sprawy, przy których nawet ja dostaję gęziej skórki – powiedział profesor Herzfeld. – Takie jak na przykład ta.

– O! – Abel spojrział na niego uważnie. – Zaciekawileś mnie.

Tuż po przerwie obiadowej Herzfeld zadzwonił do niego i powiedział:

– Zupełnie nowy przypadek. Nieco niewygodny z politycznego punktu widzenia. Omówmy to jednak w cztery oczy.

Dlatego Abel siedział teraz w kąciku dla gości w biurze Herzfelda. W ich filiżankach parowała egipska kawa. Wszystko było jak zawsze. Tylko zafrasowany wyraz twarzy Herzfelda nie pasował do zwykłego obrazu.

– Ale mam jeszcze dobrą wiadomość. Przypomnij mi o tym później. – Herzfeld otworzył skoroszyt i przekartkował szybko pierwsze strony. – Najpierw jednak o naszym najnowszym przypadku. Chodzi o pedofilskiego przestępcę seksualnego, Hennesa Lehmana, lat sześćdziesiąt trzy. Ten człowiek ma za sobą piętnaście lat więzienia i pięć lat dodatkowego dozoru. Został wypuszczony przed dwoma miesiącami. Jego adwokaci znaleźli jakiś błąd formalny w uzasadnieniu jego dodatkowej kary i uzyskali uwolnienie swojego klienta.

Wykrzywił twarz w grymasie wstrętu i kartkował dalej.

– W latach dziewięćdziesiątych Lehmann porywał małych chłopców z placów zabaw – kontynuował swój wywód – ale po odbyciu kary sporządzono ekspertyzę psychiatryczną jego osoby, według której nie ma w jego przypadku zagrożenia recydywą. I tutaj rzeczoznawca ma nawet rację: po swoim zwolnieniu Hennes Lehmann wyspecjalizował się w dużych chłopcach. A mówiąc dokładniej: w „niepełnoletnich pozostających bez opieki” nastolatkach, którzy bez rodzin przylecieli do Niemiec z Syrii czy Afganistanu.

Herzfeld upił najpierw kolejny łyk kawy. Wyglądało na to, że ta sprawa naprawdę go porusza. Ale Abel nadal nie rozumiał, dlaczego właśnie ten przypadek tak bardzo wstrząsnął doświadczonym przecież lekarzem medycyny sądowej.

– Lehmann jest już w podeszłym wieku – ciągnął Herzfeld. – Wtedy człowiek nie podejmuje już trudów wyruszenia na polowanie w złą pogodę. Zamiast tego zamawia sobie zdobycz bezpośrednio do domu, i to w samej administracji berlińskiego senatu. A ta natychmiast ją dostarcza.

– Co proszę? – Abel o mało nie udławił się swoją kawą. – Nie mówisz tego chyba poważnie, Paul.

– Śmiertelnie poważnie – odparł Herzfeld i kartkował dalej. – Lehmannowi udało się w jakiś sposób przejąć dosłownie tożsamość innego człowieka. Nieposzlakowanego emeryta nazwiskiem Jürgen Heldrich, po którym nawiasem mówiąc, zaginął wszelki ślad. Nasz pan Lehmann jest zapewne nieco podobny z wyglądu do pana Heldricha, zwłaszcza gdy nikt nie przygląda się tak dokładnie. W każdym razie zarejestrował się pod nazwiskiem swojego alter ego jako honorowy pomocnik do spraw uchodźców i zobowiązał się wielkodusznie do przyjęcia jednego lub kilku nastoletnich uchodźców do swojego mieszkania. I od razu wysłano do niego trzech syryjskich chłopców w wieku od dwunastu do

czternastu lat. Potem zapanowała cisza w kontaktach między władzami miasta a szlachetnym wolontariuszem. Na całe cztery tygodnie.

Herzfeld dolał kawy do obu filiżanek. Abel zaczął już powoli się domyślać, dlaczego ta sprawa tak poruszyła jego szefa. Trudno było zaakceptować fakt, że dzieci lub nastolatki tracą życie w wyniku urzędniczego niechlujstwa, ale jeżeli oficjalnie przekazywano ich w ręce sadystycznego przestępcy seksualnego, to było to już nie do zniesienia.

– W końcu przedstawicielka Urzędu do spraw Młodzieży zapowiedziała swoją wizytę u pana Heldricha – ciągnął Herzfeld. – Ale ta dobra kobieta nikogo nie zastała. Jedna z sąsiadek opowiedziała jej w końcu, że już od bardzo dawna nie widziała pana Heldricha. Kilka tygodni temu zauważyła w domu paru wyglądających obco nastolatków, ale nie skojarzyła tych „małych Arabów”, jak się wyraziła, z Heldrichem, który żył samotnie. Poza tym później nie widziała już tych chłopców. Nic dziwnego: Lehmann alias Heldrich przewiózł ich od razu do odległego domu w lesie, gdzieś w Ruppiner Land.

Herzfeld znów przekartkował skoroszyt.

– Tutaj znajdziesz dokładny adres. Była leśniczówka, wynajęta na nazwisko Heldricha. Wydział zabezpieczania śladów przeszukuje cały ten teren. Są tam również budynki gospodarcze. Ciągłe istnieje nadzieja, że być może chociaż jeden lub dwóch z tych chłopców nadal żyje.

– A trzeci?

– Sam przeczytaj, Fred. – Herzfeld pokręcił głową. – Wydział Zabójstw Krajowego Urzędu Kryminalnego zażądał „lekarza medycyny sądowej o silnych nerwach” z jednostki „Przypadki nadzwyczajne”. Nie chcą w tej sprawie współpracy ani z kliniki Charité, ani z nikim z Instytutu Krajowego. Ciało jest już w drodze. Ale, jak mówię: być może Lehmann tę pozostałą dwójkę gdzieś na razie zamknął, żeby później się do nich dostać.

Abel zrobił głęboki wdech i powoli wypuścił powietrze z płuc.

– Aha, a teraz ta dobra wiadomość – przypomniał Herzfeld, starając się wyraźnie o weselszy ton. – Koniecznie musisz się o tym dowiedzieć, Fred.

Wstał, podszedł do swojego biurka i wrócił z jedną kartką papieru w dłoni.

– Chodzi o towarzysza Burkianowa.

Abel przytaknął rozkojarzony. Myślni był w tym domu horroru w lesie. Ci chłopcy musieli już wcześniej przeżyć straszne rzeczy w swoich krajach ojczystych, a później także w trakcie ucieczki. A w kraju, który miał im zapewnić bezpieczeństwo i umożliwić nowe życie, zostali wydani przez urzędników państwowych na pastwę przestępcy seksualnego! To było rzeczywiście nie do zniesienia.

– W zeszłym tygodniu Burkianow został skazany pod nieobecność przez sąd w Tyraspolu na czterdzieści lat obozu pracy – powiedział Herzfeld. – Nie udowodniono mu wprawdzie bezpośredniego udziału w torturowaniu i zamordowaniu braci Stiepanowów, bo wtedy nie uniknąłby kary śmierci. Ale sąd uznał za udowodnione, że w tym, jak i w trzech innych przypadkach, mordowano na jego rozkaz. Nasi obserwatorzy na tym procesie potwierdzili odpowiednią przejrzystość i praworządność postępowania sądowego. Na wniosek władz naddniestrzańskich Burkianow został trzy dni temu aresztowany i siedzi w zakładzie karnym Moabit w areszcie deportacyjnym.

Abel skinął głową zamyślony. Przypomniał sobie przelotnie sygnet znaleziony w kontenerze z niegaszonym wapnem, który włożył w domu do sejfów w ścianie. Ale to był już zeszłoroczny śnieg. Całej jego uwagi wymagał teraz los tych młodocianych uciekinierów, z których dwaj mogą być może jeszcze zostać uratowani. Przynął skoroszyt po stole do siebie i odwrócił go, tak żeby móc czytać.

– Oczywiście Burkianow natychmiast złożył apelację – kontynuował Herzfeld. – Ale jak dowiedziałem się z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, jego wniosek do władz w Tyraspolu nie ma większych szans na powodzenie. A do momentu deportacji z całą pewnością pozostanie w areszcie.

Herzfeld pochylił się nad stołem i poklepał Abła po ramieniu.

– Wszystkiego najlepszego, Fred. Dużo ryzykowałeś, żeby ten człowiek otrzymał sprawiedliwą karę.

Nawet jeżeli nigdy się nie skarżyłeś, to wiem doskonale, że twoje życie zmieniło się na jakiś czas w koszmar. Ale to już minęło.

Abel kartkował akta sprawy – sadystyczne i kanibalistyczne fantazje, które Hennes Lehmann urzeczywistnił w latach dziewięćdziesiątych na sześć- i ośmioletnich dzieciach – przysyłaniały wszystko, co słyszał lub widział dotychczas. I ta, w dosłownym znaczeniu, żarłoczna bestia została wypuszczona na wolność przez władze niemieckie i do tego jeszcze dostarczono jej nowych ofiar! To było niepojęte.

– Czy ty w ogóle mnie słuchasz? – zapytał Herzfeld.

– Co? Przepraszam. Co właśnie powiedziałeś?

– Powiedziałem: koszmar już minął, Fred.

– Nie jestem tego taki pewny. – Abel wziął do ręki skoroszyt i wstał z fotela. – Być może właśnie się rozpoczął.

Podziękowania

Jeszcze więcej true crime, dreszczu emocji i prawdziwych zdarzeń

Także powieść Identyfikacja została zainspirowana prawdziwymi przypadkami kryminalnymi, w których badaniach medyczno-sądowych brałem bezpośredni udział, jak również licznymi osobistymi przeżyciami.

W piątek, 13 maja 2011 roku, otrzymałem mejlem zapytanie z zagranicznej kancelarii adwokackiej, czy zgodziłbym się polecieć na krótko do jednej z byłych republik Związku Radzieckiego w Azji Centralnej. Znalaziono tam, w metalowych beczkach z niegaszonym wapnem, dwa ciała w stanie całkowitego rozkładu, które miałem poddać obdukcji oraz – jeżeli to możliwe – zidentyfikować. Podejrzewano, że w przypadku tych dwóch zabitych chodzi o menedżerów bankowych, którzy zostali porwani cztery lata wcześniej i od tego czasu uznawani byli za zaginionych. Głównym podejrzanym w tej sprawie o zabójstwo był, w tamtym czasie ukrywający się już, szef tajnej służby tego kraju – były zięć prezydenta, miliarder, który jednak popadł w niełaskę. Nic więc dziwnego, że ani jeden lekarz medycyny sądowej w tym kraju – czy też w innej byłej republice sowieckiej – nie chciał podjąć się obdukcji i identyfikacji ciał. Powszechnie znany był fakt, że były szef tajnej służby nadal ma dobre kontakty w kraju oraz sporą liczbę oddanych mu wiernie sojuszników. Obaj menedżerowie, zanim zostali porwani i wszelki ślad po nich zaginął, przepisali na tego szefa tajnych służb swoje majątki warte po kilkaset milionów. Postać Jurija Burkianowa, głównego przeciwnika Abła w Identyfikacji, pod wieloma względami przypomina tego człowieka. Nawiasem mówiąc, pierwowzór Burkianowa zginął przed kilkoma miesiącami w niewyjaśnionych okolicznościach w jednym z krajów Europy Zachodniej, kiedy jeszcze razem z Andreasem Gößlingiem pracowaliśmy nad tą książką.

Kiedy w 2011 roku, trzy dni po odbiorze mejla, pojechałem do Azji Centralnej, informacje na temat tego, jaką rolę odgrywał główny podejrzany w swoim kraju ojczystym, tudzież jakimi wpływami nadal tam dysponuje, nie dotarły do mnie do Berlina, a mój zleceniodawca, zagraniczna kancelaria adwokacka, po prostu skrzętnie przemilczała specyficzne okoliczności tej sprawy. Ponieważ z tego powodu aż do chwili przybycia do Azji Centralnej nie miałem pojęcia o tle wydarzeń, zostałem skonfrontowany z potencjalnymi zagrożeniami wynikającymi z tej misji dopiero na miejscu, kiedy było już właściwie za późno. Razem z moim zastępcą, doktorem Larsem Oesterhelwegiem, i naszą preparatorką Janą Hoffmann dokonałem sekcji i identyfikacji obu ofiar w warunkach najostrzejszych środków bezpieczeństwa, jakie można sobie tylko wyobrazić: na przykład zamykano całkowicie wszystkie ulice w stolicy kraju, którymi przejeżdżał nasz konwój, a także te sąsiadujące. Na trasie naszego przejazdu nie było ani jednego człowieka, a w naszym bezpośrednim otoczeniu przebywało zawsze kilkudziesięciu uzbrojonych po zęby żołnierzy jednostki specjalnej. Wszystkie pozostałe szczegóły dotyczące obdukcji tych dwóch ciał można przeczytać w odpowiednich rozdziałach tej książki.

Andreas Gößling i ja pozwoliliśmy sobie przenieść misję identyfikacyjną opisaną w Identyfikacji do Naddniestrza. Ten kraj istnieje naprawdę, nawet jeżeli nie jest omawiany na lekcjach geografii w szkołach niemieckich. Położony jest jedynie około tysiąca sześciuset kilometrów od Berlina, co

oznacza dwie godziny lotu samolotem. Jednakże dla nas, mieszkańców Europy Środkowej, Naddniestrze to odległy punkt na mapie, położony dalej niż Księżyc.

Także jeśli chodzi o pełną napięcia pogoń za Fredem Ablem na terenach przygranicznych Naddniestrza i zastosowanych tam manewrach kamuflujących i technikach przeżycia mogą powołać się na własne doświadczenia w tej kwestii. Od roku 1986 do 1988 byłem przez dwa lata żołnierzem w oddziale zwiadowców Bundeswehry, w specjalnej jednostce, która dzisiaj już w tej formie nie istnieje z powodu zmiany uwarunkowań politycznych.

Początkowo, w 1986 roku, odbywałem szkolenie podstawowe w szkole zwiadowców w Weingarten, później, do 1988 roku, jak żołnierz służyłem w plutonie zwiadowczym kompanii 100 w Braunschweig. To był czas pełen wrażeń i bardzo wymagający pod względem fizycznym. Jako maturzysta z opiekuńczego, mieszczańskiego domu rodzinnego trafiłem nagle do oddziału szkoleniowego z nowymi kolegami, pochodzącymi ze środowisk, gdzie od wczesnego dzieciństwa trzeba umieć korzystać z prawa pięści, i których celem życiowym było zostanie zawodowymi żołnierzami biorącymi udział w akcjach frontowych, członkami Legi Cudzoziemskiej czy najemnikami, co było dla mnie czymś nie tylko zupełnie nowym i wyjątkowym, ale przede wszystkim czymś, co mnie ukształtowało, zwłaszcza że zetknąłem się z tym bezpośrednio po szkole, oddzielony setkami kilometrów od domu. Ale jestem za to doświadczenie nieskończenie wdzięczny i cieszę się, że dane mi było je przeżyć. W tamtym okresie spotkałem dobrych przyjaciół, których plany na życie były wprawdzie całkowicie odmienne od moich, ale na których mogłem zawsze polegać – w wielu przypadkach jest tak do dnia dzisiejszego. Dzięki doświadczeniom z tamtych lat posiadam do dzisiaj (co najmniej teoretyczną) wiedzę na temat tego, w jaki sposób zabić atakującego psa, orientować się w terenie za pomocą roślinności, zablokować składanym szpadlem skrzynię biegów rosyjskiego wozu terenowego, zniszczyć gąsienicę czołgu przy małym nakładzie sił, odpalić samochody na przewody czy też wysadzać je w powietrze koktajlami Mołotowa własnej roboty i jak za pomocą materiału, krzemieni i piasku zbudować w kilka minut naturalną oczyszczalnię wody. Trzydzieści lat temu, w obliczu grożącego konfliktu wojennego między NATO a Układem Warszawskim, i dwustu pięćdziesięciu nocy, jakie musieliśmy spędzić w lesie jako zwiadowcy, było to z całą pewnością użyteczne. W dniu dzisiejszym, jako profesor medycyny zamieszkały w największej metropolii niemieckiej, bardzo rzadko mogę odwoływać się do tych umiejętności...

Na początku lat dziewięćdziesiątych, po zjednoczeniu Niemiec i zakończeniu zimnej wojny, zwiadowcy stali się w dużej mierze po prostu zbędni. Nie było już zapotrzebowania na zadania, do których byli szkoleni, czyli w przypadku ataku wrogich wojsk przeczekanie inwazji nieprzyjaciela w ukryciu na granicy niemiecko-niemieckiej, żeby potem uprawiać sabotaż na jego tyłach i możliwe silnie dezorganizować jego szeregi (nawet jeżeli oficjalnie byliśmy jedynie zwiadowcami). Z tego też powodu rozwiązano dwie z trzech kompanii zwiadowców, a części tych oddziałów stały się podstawą powołanego do życia w 1996 roku Komanda Sił Specjalnych Bundeswehry.

Oprócz generała Burkianowa także drugi przeciwnik Abla, całkowicie oszalały doktor Harald Lenski (alias Katz), ma swój odpowiednik w rzeczywistości (tak jak i jego współniczka Julia Bunting). Prawdziwy doktor Lenski i prawdziwa Bunting kilka lat temu zabili z zachowaniem opisanego tutaj modus operandi pewnego mężczyznę na północy Niemiec z chęci wzbogacenia się. Jednakże na ich ślad wpadł jeden z moich spostrzegawczych kolegów. Zauważył bowiem świeże nakłucie po igle na ciele zmarłego, którego zgon (tak jak u Dominika Kreislera w książce) miał nastąpić rzekomo z przyczyn naturalnych, czyli raka jelita grubego z przerzutami.

Natomiast jeżeli chodzi o cechy charakteru Lenskiego i stan jego psychiki przedstawiony w Identyfikacji, to z pewnością większość lekarzy zgodzi się ze mną, że na prawie każdym semestrze uczelni medycznych zawsze znajdzie się jeden bardzo specyficzny student, zafascynowany możliwościami nowoczesnej farmakologii, który dokonuje sam na sobie doświadczeń z lekami

psychotropowymi, za pomocą których ma nadzieję powiększyć do niebotycznych rozmiarów własne możliwości zarówno fizyczne, jak i intelektualne, a także napędzany jest myślą o dokonaniu czegoś wielkiego dla ludzkich synaps i komórek nerwowych.

Japoński lekarz Takahito Hayashi, odbywający gościnnie staż w jednostce Abla, także jest postacią rzeczywistą. To bardzo zaangażowany i nieprawdopodobnie żądny wiedzy lekarz medycyny sądowej, który spędził rok w Berlinie. W tym czasie często dokonywaliśmy razem sekcji i wspólnie publikowaliśmy fachowe artykuły. Lekarz ten wrócił już do Japonii i pracuje jako lekarz sądowy w pobliżu Fukuoka.

To tyle, jeżeli chodzi o prawdziwe wydarzenia i true crime. Teraz nadszedł czas, żeby podziękować wszystkim tym, bez których książka ta nigdy by nie powstała. Ale najpierw informacja o tym, że prawdziwy Fred Abel czuje się dobrze i jest dumny z tego, że jego nazwisko robi już tymczasem furorę w literaturze sensacyjnej. Tak w każdym razie powiedziała mojej żonie jego życiowa partnerka. Prawdziwy Fred Abel jest zbyt skromny, żeby zakomunikować mi to osobiście.

Dziękuję przede wszystkim, i to z całego serca, mojej żonie Anji za jej nieustanne i niczym nieograniczone wsparcie we wszystkim, co robię, i za to, że zawsze mnie ochrania i daje swobodę, jakiej potrzebuję do wszystkich moich działań.

Dziękuję mojemu współautorowi, doktorowi Andreasowi Gößlingowi, który wspólnie ze mną stworzył postać Freda Abla. Podczas pracy nad tym drugim tomem serii o Ablu odkryliśmy, że obaj jesteśmy ogromnymi fanami wielokrotnie nagradzanego serialu telewizyjnego 24 godziny – co zapewne wyjaśnia tempo powstawania naszych książek.

Dziękuję Carolin Graehl i Regine Weisbrod za ich, jak zawsze, uważną pracę redaktorską! Dziękuję także Hansowi-Peterowi Übleisowi, najlepszemu wydawcy na świecie, i Romanowi Hockemu, naszemu niemniej utalentowanemu agentowi literackiemu.

Podziękowania należą się także Helmutowi Henkensiefkenowi (ZERO Werbeagentur, München) za naprawdę wspaniałą okładkę. Podobnie jak Steffenowi Haselbachowi (kierownik działu beletrystyki w Droemer Knaur), Theresie Schenkel, Liesie Arendt oraz Jochenowi Kunstmannowi (marketing), Katharinie Ilgen i Patricii Kessler (dział prasowy), Christinie Schneider i Sabine Hartl (organizacja promocji), Bernhardowi Fetschowi (szef działu marketingu i kolportażu), Iris Haas i Birgit Hennig (kolportaż), Barbarze Stelcer (asystentka), Sibylle Dietzel (produkcja), Renate Abrasch (wydział praw autorskich i licencji) i Swea Preuß (smakowity catering na Targach Książki we Frankfurcie).

Dziękuję także przedstawicielom Droemer Knaur Verlag za wspaniałą pracę w kraju i zagranicą: Katrin Englberger, Brigitte Loesdau, Delii Peters, Martinie Pferscher, Christiane Thöming, Marcelowi Gerberowi, Matthiasowi Kuhlemannowi, Ernstowi Kurzowi, Robertowi Willingerowi oraz Dennis Woischneck.

Mam nadzieję, że pozostaną Państwo nadal naszymi czytelnikami, ponieważ już niedługo ukaze się ciąg dalszy trylogii o Fredzie Ablu. W trzeciej części zobaczymy się ponownie z Larsem Moewigiem (ze Smaku śmierci), a Fred Abel z całą pewnością zdąży wylizać się z odniesionych obrażeń.

Ale proszę, przeczytajcie to sami.

Michael Tsokos

Podziękowania

True crime, thriller polityczny i psychologiczny

Identyfikacja jest połączeniem thrillera politycznego i psychologicznego: Fred Abel zostaje uwikłany w walkę o władzę między byłymi sowieckimi aparatczykami i skonfrontowany zostaje z sadystyczno-psychopatycznym seryjnym zabójcą. Obydwa te wątki mają własną strukturę i dynamikę, stąd też podczas pisania tej książki musiałem sprostać podwójnemu wyzwaniu. Fakt, że fikcyjna struktura oparta była na prawdziwym fundamencie, nie pomniejszyła stopnia trudności tego zadania. Ponieważ jednak napisałem już kilka powieści z punktu widzenia mniej lub bardziej psychopatycznych bohaterów i opublikowałem odnoszący sukcesy thriller oparty na faktach, byłem pewny, że poradzę sobie także i z tym wyzwaniem.

Sprawę Burkianowa i Stiepanowów przenieśliśmy z Michaelem Tsokosem do Naddniestrza. A że to mało znane, pseudopaństwo rzeczywiście istnieje, postanowiłem poznać na własnej skórze panujące tam stosunki i miejsca akcji naszej powieści.

Podczas mojej podróży informacyjnej do dziwnego postsowieckiego świata naddniestrzańskiego rozmawiałem z osobami w Mołdawii oraz w Naddniestrzu, znajdującymi tamtejsze okolice i stosunki w kraju. Zwiedziłem także stolicę Mołdawii Kiszyniów oraz naddniestrzańskie miasta Tyraspol i Bender. Wędrowałem także wzdłuż linii demarkacyjnej nad Dniestrem, gdzie w obszarze nadbrzeżnym Fred Abel ścigany jest przez ludzi Burkianowa. Kiedy w końcu rosyjscy żołnierze ochrony pogranicza stali się podejrzliwi, wycofałem się przezornie wraz z osobami mi towarzyszącymi, ale zdążyłem zebrać wystarczająco dużo obserwacji i wrażeń.

Fabryka, w której godni współczucia siostrzeńcy oligarchy są w powieści torturowani, istnieje naprawdę; nawet jeżeli nie jestem w stanie zagwarantować (i rzecz jasna, nawet nie mam takiego zamiaru), że w tej budowli jak z horroru rzeczywiście zabijano kiedyś przeciwników reżimu. Jeszcze podczas pisania scen pościgu rozgrywających się nad Dniestrem miałem wrażenie, że czuję pod stopami grząską ziemię w tamtym lesie. Także nadająca się do muzeum łada jako taksówka wiozła mnie naprawdę przez kilka kilometrów, na szczęście z dobrym zakończeniem. Co jednak wcale nie było takie oczywiste: ludzie uważani za zamożnych turystów i cudzoziemców nierzadko są porywani w Naddniestrzu. Na szczęście realny pierwowzór Jossiego zadowolili się uzgodnioną wcześniej zapłatą.

Im bardziej solidny jest fundament z faktów i rzeczywistości, na którym budowana jest fikcja, tym gęstsza atmosfera i bardziej intensywne przeżycia czytelnika. Dotyczy to zwłaszcza thrillerów typu true crime, jakkolwiek nie tylko. W naszym gatunku literackim dochodzi do tego jeszcze fakt, że zebrane w formie raportów z obdukcji i wyników dochodzeń policji kryminalnej fakty muszą w miarę możliwości zostać włączone do powieści i nie powinny być zmieniane. W przypadku pojawiających się wątpliwości fikcja musi dopasować się do faktów, a nie odwrotnie.

Stąd też nie można na przykład zrekonstruować, ani na podstawie badań sądowo-medycznych, ani dochodzeń kryminalistyczno-policyjnych, jak przebiegały w szczegółach tortury zadawane braciom Stiepanowom. W konsekwencji sceny tortur skonstruowałem w ten sposób, żeby zgadzały się one ze

znalezionymi dowodami, które Michael Tsokos zabezpieczył podczas badań pozostałości ciał – aż do makabrycznych szczegółów, jak kamienny sztuczny członek czy amputacje palców u nóg.

Podczas przekształcania na formę powieści przypadku Lenskiego alias Katza alias Barry'ego miałem mniej faktów, ponieważ ten wątek akcji w przeważającej części przedstawiany jest z perspektywy psychopatycznego sprawcy oraz jego bohaterkiej żeńskiej ofiary. W tym przypadku nie miałem, rzecz jasna, żadnych protokołów z oryginalnych nagrań, w których realne osoby opisywałyby powody swoich zachowań i nastrojów.

Ale również w tych rozdziałach nie ma tylko rzeczy zmyślonych, jakby to się wydawało być może na pierwszy rzut oka. Z powodu licznych projektów książkowych od lat zajmuję się wzorcami myślenia, odczuwania i postępowania osób z zaburzeniami psychicznymi i ich ofiarami (na przykład dla celów książki napisanej wspólnie z Michaeliem Tsokosem i Saskią Guddat *Deutschland misshandelt seine Kinder* [Niemcy – jak molestuje się tutaj dzieci; Droemer 2014]); także i ta moja wiedza znalazła swój oddźwięk w pracy nad *Identyfikacją*.

Chciałem podziękować Michaelowi Tsokosowi za, także i tym razem, produktywną i bezproblemową współpracę; naszemu agentowi Romanowi Hockemu za jego niezmordowaną i pełną sukcesów aktywność; wszystkim z wydawnictwa Droemer Knaur za ich zaangażowanie, zwłaszcza paniom redaktorkom Carolin Graehl i Regine Weisbrod, i jak zawsze mojej żonie Anne, która towarzyszyła mi przy pisaniu tej książki, jako pierwsza i krytyczna czytelniczka.

Andreas Gößling

Andreas Gößling (ur. 1958) to niemiecki pisarz i wydawca, wybitny znawca w dziedzinie literatury i nauki o społeczeństwie. Jest autorem opublikowanych pod pseudonimem i pod własnym nazwiskiem wielu książek z zakresu literatury faktu oraz powieści dla dorosłych i młodzieży z niemieckich listy bestsellerów.

Przypisy

- ^[1] Scherz (niem.) – żart (przyp. tłum.).
- ^[2] Baumschule (niem.) – szkółka drzew (przyp. tłum.).

Table of Contents

[Okładka](#)
[Tytułowa](#)
[Redakcyjna](#)
[Prolog](#)

[1](#)
[2](#)
[3](#)
[4](#)
[5](#)
[6](#)
[7](#)
[8](#)
[9](#)
[10](#)
[11](#)
[12](#)
[13](#)
[14](#)
[15](#)
[16](#)
[17](#)
[18](#)
[19](#)
[20](#)
[21](#)
[22](#)
[23](#)
[24](#)
[25](#)
[26](#)
[27](#)
[28](#)
[29](#)
[30](#)
[31](#)
[32](#)
[33](#)
[34](#)
[35](#)
[36](#)
[37](#)
[38](#)
[39](#)
[40](#)

[41](#)
[42](#)
[43](#)
[44](#)
[45](#)
[46](#)
[47](#)
[48](#)
[49](#)
[50](#)
[51](#)
[52](#)
[53](#)
[54](#)
[55](#)
[56](#)
[57](#)
[58](#)
[59](#)
[60](#)
[61](#)
[62](#)
[63](#)
[64](#)
[65](#)
[66](#)
[67](#)
[68](#)
[69](#)
[70](#)
[71](#)
[72](#)
[73](#)
[74](#)
[75](#)
[76](#)
[77](#)
[78](#)
[79](#)
[80](#)
[81](#)
[82](#)
[83](#)
[84](#)
[85](#)
[86](#)
[87](#)

[Epilog](#)

[Podziękowania](#)

[Podziękowania](#)

[Przypisy](#)